

## Marsz Sybiraków

Z miast kresowych, wschodnich osad i wsi,  
Z rezydencji, białych dworków i chat,  
Myśmy wciąż do Niepodległej szli,  
Szli z uporem, ponad dwieście lat!

Wydłużyli drogę carscy kaci,  
Przez Syberię, wiódł najkrótszy szlak  
I w kajdanach szli Konfederaci  
Mogiłami znacząc polski trakt...

Z Insurekcji Kościuszkowskiej, z powstań dwóch,  
Szkół, barykad Warszawy i Łodzi;  
Konradowski unosił się duch  
I nam w marszu do Polski przewodził.

A myśmy szli i szli – dziesiątkowani!  
Przez tajgę, stepy – płataniną dróg!  
A myśmy szli i szli – niepokonani!  
Aż „Cud nad Wisłą” darował nam Bóg!

Z miast kresowych, wschodnich osad i wsi,  
Szkół, urzędów i kamienic, i chat:  
Myśmy znów do Niepodległej szli,  
Jak z zaboru, sprzed dwudziestu lat.

Bo od września, od siedemnastego,  
Dłuższą drogą znów szedł każdy z nas:  
Przez lód spod bieguna północnego,  
Przez Łubiankę, przez Katyński Las!

Na niehumanitarnej ziemi znowu polski trakt  
Wyznaczały bezimiennie krzyże...  
Nie zatrzymał nas czerwony kat,  
Bo przed nami Polska – coraz bliżej!

I myśmy szli i szli – dziesiątkowani!  
Choć zdradą pragnął nas podzielić wróg...  
I przez Ludową przeszliśmy – niepokonani  
Aż Wolną Polskę raczył wrócić Bóg!!!

*Zarząd Główny Związku Sybiraków  
poświęca ten numer „Zesłańca”  
Pamięci  
Mariana Jonkajtysa  
Człowieka wielkiego serca i talentów,  
Serdecznego Przyjaciela nas wszystkich*

*Zarząd Główny Związku Sybiraków  
Redakcja „Zesłańca”  
i społeczność sybiracka*

*Warszawa, kwiecień 2007 rok*

Wiesław Krawczyński

*Przyjacielowi  
śp. Marianowi Jonkajtysowi*

życie  
chwila przelotna  
smagana często  
okrucieństwem zdarzeń  
nawet wobec dzieci

życie  
układ cybernetyczny  
niezależnych zjawisk  
nieodgadnionych zapytań  
jak tajemnice kosmosu

odejście  
klamra ostatniego oddechu  
dla ludzi

w świecie wieczności  
wejście w bramę niebios  
nieskończoności

odszedłeś  
w rytmie poezji  
sybirskich znaków  
w hymnie – dającym pamięć  
nam – sybirakom

żegnam Cię – przyjazną myślą  
w modlony szept  
niech Ci się spełni  
niebios firmament  
a m e n

7 kwietnia 2004 roku

---

## BYŁ WŚRÓD NAS...

Z miast kresowych, wschodnich osad i wsi,  
Z rezydencji, małych dworków i chat  
Myśmy wciąż do Niepodległej szli,  
Szli z uporem ponad dwieście lat

(M. Jonkajtys, *Marsz Sybiraków*)

Redakcja „Zesłańca” poświęca ten zeszyt śp. Marianowi Jonkajtysowi, znanemu Sybirakom aktorowi, który strofami poezji utrwalał nasz sybiracki los. Jako dziecko przeżył on długą drogę cierpień, wyrzeczeń, upokorzeń, wraz z Matką, siostrami i bratem zesłanymi do Kazachstanu. Był głęboko przeniknięty tymi wspomnieniami, które przekazywał w wierszach i malarstwie a rodzinne patriotyczne korzenie pomagały Mu w tej twórczości. Zesłańcza groza dzieciństwa i młodości pozostawiły więc niezatarte piętno w Jego poezji.

Syberyjskie losy tak dobrze nam znane przejawiały się stale w twórczości poetyckiej Mariana. Aktor, pedagog, reżyser, artysta plastyk, w naszej pamięci pozostał przede wszystkim jako poeta. Był pomysłodawcą „Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru”. W poetyckich strofach ukazywał zesłańczy Sybir i dążenie do wolności.

Pamiętamy Jego utwór *Matkom Sybiraczkom*. Jednak najlepiej ukazał On zesłańcze losy w *Marszu Sybiraków*, który jest hymnem naszego Związku. Powielany w setkach nagrań w kraju i za granicą marsz ten otwiera wszystkie ważniejsze nasze uroczystości. I wtedy Marian znowu jest wśród nas. Nagradzamy Go hołdem wdzięczności oraz trwałej pamięci.

A myśmy szli i szli – dziesiątkowani!  
Przez tajgę, stepy – płataniną dróg!  
A myśmy szli, i szli – niepokonani!  
Aż „Cud nad Wisłą” darował nam Bóg!

Redakcja „Zesłańca”

\*

### ***Teatr, który stworzył***

Głęboko wzruszona pamięcią o moim zmarłym Mężu Marianie Jonkajtysie (4. kwietnia 2007 roku minęły już trzy lata jak nas opuścił) pragnę podzielić się z Czytelnikami „Zesłańca” wydarzeniem ogromnie ważnym dla utrwalenia

pamięci o Nim jako aktorze, reżyserze i twórcy jednego z teatrów Warszawy. Dziś teatr ten nosi nazwę „Rampa”. Powstał w 1974 roku pod nazwą Muzyczno-Estradowy „Teatr na Targówku”. Gdy już nie ma Mariana, wśród Przyjaciół zrodził się pomysł by uczcić Jego pamięć właśnie w murach teatru, który stworzył. Trudne i żmudne starania podjęte przez środowisko artystów warszawskich uwieńczone zostały sukcesem.

Tak więc 9 grudnia 2006 roku w pobliskim teatrowi kościele odbyła się Msza św. za spokój duszy Mariana. Po nabożeństwie w foyer teatru nastąpiło uroczyste odsłonięcie Jego popiersia odlanego w brązie, dłuta znakomitego artysty rzeźbiarza Gustawa Zemły. Potem uczestnicy tej uroczystości byli świadkami wzruszającego widowiska opartego na poezji Mariana ukazującej polski Sybir i sześć lat dzieciństwa, które spędził wraz z Matką i rodzeństwem na zesłaniu w północnym Kazachstanie. Wykonawcami byli studenci II roku Akademii Teatralnej w Warszawie, tej samej, w której przez 27 lat wprowadzał On jej słuchaczy w tajniki sztuki aktorskiej. W ustach młodych ludzi pieśni sybirackie do muzyki Cz. Majewskiego, A. Płonczyńskiego i J. Senta, wiersze, a nade wszystko *Marsz Sybiraków* zabrzmiały tak świeżo i poruszająco, że ocierając łzy pomyślałam: oto spełnione zostało marzenie mego Męża, aby temat – Syberia, wywózki i przeżycia Polaków na „niehumanitarnej ziemi” nie poszły w zapomnienie i przekazane zostały następnym pokoleniom. Może tak się stanie?

Spektakl z wyczuciem wyreżyserował Tadeusz Wiśniewski, a swoim wystąpieniem uświetnił prowadząc narrację historyczną prof. dr hab. Wiesław Jan Wysocki, prezes Fundacji „Poległym i Pomordowanym na Wschodzie” oraz nauczyciel akademicki Uniwersytetu Katolickiego im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. W imieniu zaproszonych na tę uroczystość Sybiraków podziękował serdecznymi słowami prezes Oddziału Warszawskiego Związku Sybiraków Ryszard Piotrowski.

Drugi dzień uroczystości, (10 grudnia 2006 r.) poświęcony był wspomnieniom. Już na wstępie, udekorowane plakatami i zdjęciami artystów foyer teatru, przypominało tamte lata, tamten repertuar i tworzyło ciepłą, niewymuszoną atmosferę wspominków. Sam spektakl zgromadził na scenie wszystkich dawnych wykonawców, którzy mogli przybyć. Śpiewano przy akompaniamentach Czesława Majewskiego, Włodzimierza Korcza, Eugeniusza Majchrzaka. Dawny repertuar „Teatru na Targówku” przypomnieli ci, którzy swą drogę artystyczną rozpoczęli w tym właśnie teatrze m.in. Alicja Majewska, Grzegorz Markowski, Ewa Śnieżanka. To ci, których i dziś słyszymy na antenie PR i TV. Całość prowadził Artur Barciś (również zaczynał karierę w tym teatrze). Wśród występujących był także Krzysztof Daukszewicz oczarowując publiczność swoim celnym i wysublimowanym dowcipem. Owacjom, śmiechom i łzom wzruszenia, nie było końca. Widownię zapełniała publiczność związana z tym miejscem rozrywki, refleksji i zadumy, pamiętająca czasy, kiedy „Teatrowi na Targówku” „dyrektorował” Marian Jonkajtys.

Dzięki funduszom Urzędu Stołecznego Miasta Warszawy (mam na myśli całość uroczystości), staraniem jednego z artystów, niestrudzonego Michała Muskata, powstał przepięknie wydany album zatytułowany *Teatr na Targówku*

– *pierwsza dyrekcja*, Warszawa 2006. Zawiera on repertuar, zdjęcia, plakaty, afisze, recenzje, a nade wszystko wspomnienia ówczesnych współpracowników, nad wyraz serdecznie charakteryzujących postać ich dyrektora. „Teatr na Targówku”, to było spełnione marzenie zawodowego życia mego Męża. Mieć miejsce, gdzie można eksperymentować, kreować nowych artystów, pokazywać życie przetworzone w różnych formach scenicznych. I to Mu się udało. Świadczą o tym recenzje z licznych przedstawień zawarte w albumie, który wraz z Jego popiersiem zostanie w ukochanym przez Niego Teatrze, przypominając założyciela i pierwszego dyrektora.

Gdy wprowadzono stan wojenny w grudniu 1981 roku skończyło się „dyrektorowanie” i teatralne życie, które Go tak pochłaniało. Przyszedł czas na refleksję, spojrzenie wstecz i powróciły wspomnienia z bardzo odległej przeszłości. Marian zawarł je w tomikach wierszy sybirackich. Są to: *My, których ocaliłaś*, *Żywa pamięć*, *W Sybiru białej dżungli*, *Sonety Kołymskie* (pośmiertnie wydane wiersze z grafikami syna, Grzegorza Jonkajtysa), *Różaniec sybiracki* (modlitwa sybiracka w formie różańca, o której w swej recenzji tak napisał ks. bp opolski A. Nossol: „za tę właśnie scalającą moc tej wyjątkowej modlitwy, za zawarte w niej ewangelijne natchnienie, składam autorowi wyrazy głębokiego uznania i pokorny hołd wdzięczności.....”). Do dwunastu z tych wielu wierszy, z *Marszem Sybiraków* na czele, który jak wiadomo stał się hymnem Sybiraków, muzykę napisał Czesław Majewski. Do pięciu innych – Janusz Sent. Do kilku kolejnych – Andrzej Płonczyński. Z ogromną pieczołowitością hołubię cały ten dorobek mając nadzieję, że będzie on kiedyś wykorzystany nie tylko w środowisku sybirackim. A przecież wszystkim nam na tym zależy.

Łączę serdeczne podziękowania Redakcji „Zesłańca” za pamięć o moim Mężu Marianie. Jak ten czas szybko płynie – nie na darmo słowa znanej piosenki głoszą „upływa szybko życie...”. Minęły już trzy lata, a mam wrażenie jakby to było wczoraj!

*Rena Rolska-Jonkajtys*

\*

### ***Po prostu Brat***

Trudno jest pisać wspomnienie o kimś tak bliskim, jakim był dla mnie mój Brat, Marian Jonkajtys, nazywany w rodzinie Marysiem – chociaż już trzy lata minęły od czasu, kiedy od nas odszedł. Marian urodził się 20 maja 1931 roku, jako najmłodszy z siedmiorga dzieci, w nauczycielskiej rodzinie Hieronima i Marii Jonkajtysów w Augustowie.

Rodzice nasi – od czasu przyjazdu z Mińska Litewskiego (gdzie ojciec w latach 1918-1920) był inspektorem szkolnym) skąd latem 1920 roku uciekli przed nawałą bolszewicką – pracowali w szkołach w Augustowie: ojciec był kierownikiem jednej ze szkół, a matka nauczycielką. Rodzina mieszkała w budynku szkoły, przy którym był dość duży ogród ze starymi drzewami i krzakami wzdłuż płotów, wspaniały teren do „eksploracji” dla gromadki dzieci. Maryś, rozpieszczany przez starsze siostry, szybko „oswobodził się” od uciążliwej opieki, i znalazłszy sobie kolegów wśród dzieci sąsiadów, buszował po ogrodzie i po pobliskich łąkach, które rozciągały się za płotami sąsiedzkich ogrodów.

Po rozpoczęciu nauki w pierwszej klasie szkoły powszechnej w 1938 roku, zapisał się do Gromady Zuchów i z nimi odbywał różne wyprawy do otaczających miasto wspaniałych lasów. Wiosenne i letnie niedziele rodzina spędzała zwykle na wycieczkach łodzią po zatokach i zakamarkach pięknych jezior augustowskich.

To krótkie, „sielsko-anielskie” dzieciństwo przerwała wojna: atak Niemców 1 września 1939 roku – i wkrótce potem – „nóż w plecy” – wbity przez armię sowiecką 17 września 1939 roku. 11 października tego roku NKWD aresztowało naszego ojca – i teraz, przygotowani na najgorsze, czekaliśmy na rozwój wypadków.

Szkoły w mieście działały „w miarę” normalnie: mama i najstarsza siostra pracowały jako nauczycielki, młodsze rodzeństwo nie przerwało nauki. Trudna to była zima: nie mieliśmy wiadomości o najstarszym bracie, Bronisławie, podchorążym Wojska Polskiego, który we wrześniu poszedł na wojnę, a od grudnia 1939 roku nie mieliśmy już też żadnej wiadomości o uwięzionym ojcu. Coraz więcej natomiast znikano naszych znajomych.

Miastem i okolicami wstrząsnęła straszliwa, niespodziewana deportacja rodzin leśników, osadników wojskowych, sołtysów i bogatszych gospodarzy z okolicznych wsi, przeprowadzona przez NKWD w nocy z 10 na 11 lutego 1940 roku, przy czterdziestostopniowym mrozie. Wywieziono wówczas przeszło 250 tysięcy osób – czasem całe wsie, co spotkało np. wieś osadników Nette-Folwark z okolic Augustowa.

Teraz jako rodzina aresztowanego, a szczególnie po „zarejestrowaniu” nas na listę urzędującego w mieście „politruka”, oczekiwaliśmy swojej kolejki. W nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku – cała nasza rodzina – mama i nasześcioro wraz z mieszkającą u nas kuzynką 14-letnią Jasią – została wywieziona w drugim wielkim transporcie liczącym około 350 tysięcy deportowanych do północnego Kazachstanu. Po trwającej prawie trzy tygodnie podróży w bydłych wagonach zawieziono nas do kolchozu w lenińskim rejonie i umieszczono ośmioro w jednej izbie, o jednym oknie i z klepiskiem zamiast podłogi, zamieszkałej przez 4-osobową rodzinę miejscowego kolchoźnika. Kiedy stopniał śnieg, który spadł tu jeszcze 3 maja i dość grubą warstwą pokrył ziemię – poszliśmy do pracy w kolchozie: dziewczęta – 4 siostry i kuzynka Jasia – do „pielienia pszenicy”, czyli do wyrywania chwastów zagłuszających zboże, siane w niechlujnie uprawianą ziemię, 12-letni brat Janek poszedł do pracy przy orce wołami, a Maryś, który w maju 1940 roku skończył 9 lat, chodził wraz z rówieśnikami z kolchozu pasać woły na stepie.

W jesieni tego roku przenieśliśmy się do większej wsi, gdzie zamieszkałiśmy sami w letniej kuchni u miejscowej gospodyni, ale przede wszystkim była tu 4-ro oddziałowa szkoła, do której mama natychmiast zapisała Marysia i 11-letnią siostrę Terenię. Dzieci uczyły się w szkole regularnie matematyki, geografii (oczywiście „z punktu widzenia” Związku Sowieckiego) i języka rosyjskiego. Regularne lekcje języka polskiego, historii i wiedzy o świecie odbywały się wieczorami w domu, przy nędznym świetle naftowej „kopciłki”, malutkiej lampki, o płomieniu 4-krotnie mniejszym od płomienia świecy.

Głównym zajęciem całej rodziny było tej jesieni zaopatrywanie się w opał na czas długiej, 7-8 miesięcy trwającej niezwykle ostrej zimy: do lasu było 40-50 kilometrów, a o węglu nikt tu nie słyszał. Jedynym opałem był suchy nawóz by-

dłęcy oraz suche piołuny, rosnące na stepie do około 2 metrów wysokości, których trzeba było nałamać i naznosić do domu w wielkich wiązках przed nastaniem mrozów i śnieżyc. Mama zarabiała szyciem, przychodziły też przesyłane przez ciotkę i przyjaciół z Augustowa paczki z żywnością – ale głównym źródłem utrzymania była wymiana na żywność „zbędnej” przywiezionej pościeli i odzieży. Ta pierwsza na zesłaniu, bardzo surowa, śnieżna i mroźna zima, podczas której mrozy dochodziły czasem do –50 stopni Celsjusza, a zamiecie śnieżne („burany”) trwały czasem przez cały tydzień, ściany i sufit w naszej „letniej kuchni” pokrywały się szronem – bardzo nam się dała we znaki.

W marcu 1941 roku mamę wezwał do siedziby rejonu naczelnik NKWD (60 kilometrów od naszego miejsca zamieszkania), aby jej udzielił odpowiedzi na jej podania do Stalina i do generalnej prokuratury Związku Sowieckiego, zawierające pytania o los naszego aresztowanego ojca i o dalsze losy naszej rodziny. Odpowiedź brzmiała, że ojciec został skazany na 25 lat łagru bez prawa korespondencji do rodziny, i że my nie mamy co marzyć o powrocie do Kraju, możemy jedynie przenieść się do większej, pocztowej wsi, gdzie mama zostanie zatrudniona w pracowni krawieckiej jako krojczyni. Była też w tej wsi większa szkoła i więcej ludzi, a więc łatwiejsze znalezienie pracy i zarobienie na życie.

W czasie topnienia olbrzymich śniegów, w kwietniu tego roku – naszą izdebkę zalała woda. Początkowo przenieśliśmy się do wysoko posadowionego domu gospodyni, a w maju tego roku przenieśliśmy się do wsi – Korniejewka. Wszyscy znowu pracowaliśmy w kolchozie gdzie w dalszym ciągu nie płacono nam za pracę – ale można było trochę zarobić pracując u kolchoźników. Terenia i Maryś chodzili do tej „lepszej” nieco szkoły, gdzie „święcili triumfy” jako najlepsi uczniowie. Marian – po lekcjach i po pracy przy zwózce płodów rolnych z pól kolchozowych (przy czym udawało mu się zrzucić czasem przy domu trochę kartofli czy główkę kapusty) – znajdował jeszcze czas na szalone gry z chłopakami z kolchozu, którzy wprawdzie przezywali go „Marian, Marian, na żopie karman” – ale uznawali jego „zdolności organizacyjne” i często był ich „przywódcą”.

W czerwcu 1941 roku, z chwilą wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, skończyły się paczki z żywnością, przesyłane do nas z Kraju, skończyły się również zapasy „zbędnych” ubrań do wymiany na żywność. Głód zaczął nam coraz bardziej doskwierać. Pomimo mamy szycia i pracy naszej w kolchozie wciąż chodziliśmy głodni. Umowa Polskiego Rządu Emigracyjnego w Londynie z Rządem Związku Sowieckiego niewiele zmieniła nasze położenie: od września 1941 roku dostaliśmy z pomocy alianckiej trochę lekarstw, bezcennej odzieży i obuwia, trochę żywności i tłuszczu – ale skończyło się to wszystko wiosną 1943 roku, po odkryciu przez Niemców grobów pomordowanych polskich oficerów w Katyniu i po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między naszym Rządem Emigracyjnym i Rządem ZSSR. Po krótkotrwałym rozbudzeniu nadziei nasza sytuacja – zesłańców syberyjskich – stała się jeszcze bardziej beznadziejna.

W jesieni 1943 roku przenieśliśmy się do „polskiego” kolchozu, który znajdował się w sąsiedniej „obłasti” – czyli województwie, na co musieliśmy uzyskać pozwolenie od miejscowego NKWD, pod którego opieką stale egzystowaliśmy. Kolchoz ten – „Sieło Južnoje” zamieszkiwały polskie rodziny, wysiedlone z sowieckiej Ukrainy w 1936 roku, podczas wielkiej kolektywizacji rolnictwa w Związku Sowieckim. Wyszędłono wówczas około 600 tysięcy ludzi,



wywieziono ich na stepy Kazachstanu i kazano wybudować kołchozy. Były one pod każdym względem lepiej zabudowane i zorganizowane w porównaniu z rosyjskimi, w których mieszkaliśmy i pracowaliśmy dotychczas. Płacono nam tu za pracę i o wiele lepiej karmiono w brygadach polowych podczas pracy. W Jużnym istniała też szkoła – tzw. „10-latka”, prowadzona na niezłym poziomie. A przede wszystkim – zarówno z mieszkańcami, jak i z zarządem kołchozu – mówiliśmy po polsku. Odbywały się w Jużnym nawet „nabożeństwa niedzielne”, prowadzone przez starsze kobiety przy użyciu starych, przywiezionych z Ukrainy, książeczek do nabożeństwa.

Terenia i Maryś chodzili do szkoły, w wolnym czasie, wraz z resztą rodziny i kolegami, pracując w polu, gdyż ze względu na wojnę każde ręce do pracy były potrzebne. W listopadzie 1945 roku, już po zakończeniu wojny, której koniec w maju tego roku nie przyniósł żadnych zmian na lepsze w naszym położeniu – nagle zaistniała nadzieja naszego powrotu do Kraju: zorganizowany w Moskwie w 1943 roku przez polskich komunistów z Wandą Wasilewską na czele, Związek Patriotów Polskich – wymienił nam sowieckie dokumenty na karty repatriacyjne. Ale niezwykle surową zimą 1945/1946 przeżyliśmy jeszcze w Jużnym – nękanii już przez straszne choroby i potworne insekty – wszy – przeciwko którym nie było żadnego ratunku.

Przez „uludę” wyjazdu, który nam obiecywano na jesień 1945 roku, nie przygotowaliśmy też sobie wystarczającej ilości opału. Marian musiał przerwać naukę w szkole, gdyż – niezależnie od panujących mrozów – musiał jeździć do odległego o 30 kilometrów lasu po drzewo dla urzędów kołchozowych, przedszkola i cieleśnika. Wyprawiali się chłopcy do tego lasu w kilka sań, zaprzęgniętych w woły lub konie – taka wyprawa trwała zwykle 3 do 4 dni, a wracając, mogli zrzucić trochę bezcennego opału dla domu. Innym jego źródłem były przynieszone przez braci tzw. „objedki” po pracy w stajni czy oborze. W czasie tych zimowych wypraw do lasu drżeliśmy ze strachu o naszego 13-letniego wówczas Marysia, który wracał, mając czapkę, brwi, kołnierz od kurtki i czasem nawet „dziecinny” jeszcze puszek na twarzy pokryte szronem. Ale był w dobrym humorze – po zjedzeniu ciepłego posiłku, podczas gdy jego walonki zmarznięte rozgrzewały się na piecu, grając na „bałajce” śpiewał nam świeżo wyuczone w czasie wyprawy „czastuszki”.

Wyjazd do kraju wyznaczono nam dopiero na 2 marca 1946 roku. Niedługo przed tym terminem władze kołchozu Južnoje wypłaciły nam zaliczkę za nasze „trudodni”, przepracowane przez 5 osób w ciągu 1945 roku. Reszty zapłaty już nigdy nie mieliśmy odebrać. Było to 100 kilogramów ziarna pszenicy. Zaraz wymieniono je nam w młynie (w wiatraku) na mąkę, z której sąsiadki upiekły nam chleba na drogę i nasuszyły sucharów. Worek tych sucharów i garnek „bigosu” – kapusty ugotowanej z kawałkiem mięsa z dorzniętego w kołchozowej rzeźni wołu – stanowił nasz prowiant na nie wiadomo jak długą drogę. Rozpoczęliśmy ją saniami 2 marca, odprowadzani daleko przez wszystkich mieszkańców Jużnego.

Załadowano nas na stacji znowu do bydłych wagonów, zaopatrzonych w dwa poziomy prycz i piecyk żelazny na środku. Umieściliśmy się na dolnym poziomie, ze względu na dwie chore osoby. Nad nami na górnej pryczy, jechała żydowska rodzina szewca Dratwy z Nieświeża: matka i sześcioro dzieci, wszyscy ubrani na gołe ciała w swetry z owczej miejscowej wełny, utkane przez tę

matkę na drutach – i okropnie zawszeni. Te wszy sypały się na nas – i nie było ratunku! Zresztą tych insektów pełne były ściany i pryce w całym transporcie. Rodzina Dratwów nie miała żywności i wszyscy pasażerowie wagonu dzielili się z nimi skąpymi zapasami, gdyż przez całe 30 dni podróży nie dostaliśmy ani razu jakiegoś posiłku od konwojujących nas enkawudzistów. Zima była w pełni, ściany i sufit wagonu pokrywał szron.

Na mijanych stacjach, gdy pociąg stawał, chłopcy (wśród nich i Marian) wyskakiwali na tory i błyskawicznie wrzucali bryły węgla ze stojących na stacjach pociągów do naszych wagonów – i tym węglem paliliśmy w piecykach. Dopiero za Uralem, już po europejskiej stronie, zrobiło się nieco cieplej. Zaprowadzono nas też do „łaźni” i do „odwszalni”, co niewiele pomogło na tę ilość insektów.

W Brześciu nad Bugiem, na stacji granicznej z obecną Polską, czekaliśmy na transport do Warszawy, paliliśmy ogniska i gotowaliśmy „zupę” ze spleśniałych okruszków sucharów, jakie nam pozostały na dnie worków.

Do Warszawy przyjechaliśmy 31 marca, osobowym pociągiem z Brześcia. „Nasz transport” miał jechać do Słupska, na tzw. „Ziemie Odzyskane”, nasza rodzina pozostała w Warszawie, gdzie mieliśmy przed wojną wielu krewnych i znajomych. Zaopiekowały się nami siostry z zakonu Rodziny Marii, z których Matką Generalną zaprzyjaźnieni byli nasi rodzice. Zabrały nas one do swego Domu na ulicy Hożej w Warszawie, skąd na naszą prośbę wysłały worki bochenków chleba dla „naszego” transportu na stację Marki pod Warszawą. My sami okupowaliśmy natychmiast wielką łazienkę, gdzie pozbyliśmy się zawszonych łachów, i po wymoczeniu się i wielokrotnym wzajemnym szorowaniu oblekliśmy się w czystośćkie ubrania, dostarczone nam przez siostry. Zakon miał zapasy ubrań, przysłanych do Polski w tym czasie przez UNNR-ę, aliancką komisję pomocy ofiarom wojny, wraz z żywnością i środkami czystości.

14-letni wówczas Maryś, wykąpany i w czystośćkiej piżamie, wzniosł ręce do góry i wygłosił: – „Te siostry powinny żywcem pójść do nieba! Ja znowu jestem Europejczykiem!”

Na drugi dzień, o świcie, odpowiednio zabezpieczeni i w gumowych rękawicach, wynieśliśmy z nim te nasze potworne, „ruszające się” łachmany z łazienki do ogrodu za domem zakonnym i oblane benzyną paliliśmy je przez dwa dni. Tak wyglądał nasz powrót do cywilizacji... Chorą od kilku lat na Syberii siostrę umieszczono z miejsca w szpitalu pod opieką ortopedy. Mama wkrótce wyjechała do Szklarskiej Poręby, gdzie rozpoczęła pracę nauczycielską w tamtejszej szkole. Zabrała ze sobą Terenię i Mariana i zapisała ich do miejscowego gimnazjum. Chociaż zdobywali w tej szkole „znakomite” oceny – od nowego roku szkolnego przeniosła ich mama do Warszawy, do gimnazjum im. Limanowskiego – znanej żoliborskiej „Jedynki”. Na pierwsze półrocze otrzymali bardzo niskie oceny. Szybko jednak wygrzebali się z tego „dołka” – był to okres jeszcze względnie „ludzkiego stalinizmu” i nie brano pod uwagę w tej szkole ich zeszłą przeszłość przy ocenianiu postępów w nauce. Mieli tu oni bardzo dobrych profesorów – polonistą był np. Prof. Zdzisław Libera, dziekan Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, łaciny uczyła ich p. Żmijewska, która zachwycała się tłumaczeniami „Od” Horacego, wykonanymi przez Mariana. Przestrzegła też ona naszego Braciszka, aby na zebraniach młodzieżowych opowiadał w sposób raczej powściągliwy o swoich syberyjskich przeżyciach...

W tej szkole miał Marian przyjaciela – Janka Kotowicza – dwumetrowego dryblasa z Białorusi. Kiedyś wysłano ich obu na tzw. „agitkę”, czyli na wygłaszanie pogadanek agitacyjnych przed jakimiś wyborami do mieszkańców Żoliborza, często mieszkających w ledwo zagospodarowanych ruinach. I w czasie takiej „agitki”, jeden z tych mieszkańców, spoczywający na rozesłanej na podłodze słomie, na której sypiała cała rodzina, mówi do tego Janka, patrząc na jego nogi: „Te, student, ty lepiej buty sobie kup, jak idziesz na agitkę, a nie chodź w taki mróz, po śniegu w sandałkach, bo sobie nogi odmrozisz!” – takie to były czasy.

Marian zdał maturę w 1951 roku. Aktorski Wydział Estradowy Warszawskiej Wyższej Szkoły Teatralnej ukończył z odznaczeniem w 1957 roku. Pracował potem w teatrach warszawskich jako aktor, jako reżyser, także w Telewizji, brał udział w radiowych „Podwieczorkach przy Mikrofonie”, wyjeżdżał do Stanów Zjednoczonych i do Związku Sowieckiego ze swoją żoną Reną Rolską i z zespołem aktorów, wiele lat pracował jako asystent, potem adiunkt, w Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie. W 1975 roku utworzył, założył i zorganizował Teatr Muzyczny na Targówku w Warszawie, którego dyrektorem i kierownikiem artystycznym był do czasu stanu wojennego w 1981 roku. Przerwał wówczas pracę aktorską, zdobył kwalifikacje i uzyskał dyplom czeladnika w dziedzinie „rzeźbiarstwa w drewnie” – w ciągu wielu lat, wraz z wciągniętą w tę pracę żoną – stworzył liczne piękne ikony, portreciki sławnych Polaków, a przede wszystkim – stale pozostając pod wrażeniem przeżyć syberyjskich – wykonał kilkanaście egzemplarzy „Różańca Syberyjskiego”, na którego drewnianych paciorkach-wagonkach wypisane zostały nazwy miejsc zesłań i łagrów, gdzie ginęli Polacy.

Wiele tych „Różańców Syberyjskich” znajduje się w polskich kościołach i w „Sybirackich Izbach Pamięci”, jeden z nich zawiesił Marian w Kaplicy Katyńskiej w kościele pod wezwaniem Świętego Krzyża w Warszawie, jeden zaś – co najważniejsze – został ofiarowany Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II jak dar od polskich Sybiraków w czasie pielgrzymki do Rzymu w 1993 roku.

Największą popularność i sławę zdobył Marian przez swoją sybiracką twórczość poetycką. Wiersze Jego o Syberii są niezwykle realistyczną, skrótową – dzięki formie poetyckiej – kroniką syberyjskich przeżyć Polaków, zesłańców XX wieku. Przyniosły one wielką sławę Autorowi pośród rzeszy Sybiraków na świecie. Słynny *Marsz Sybiraków* autorstwa Mariana z muzyką Czesława Majewskiego – Jego Przyjaciela – jest hymnem Sybiraków, śpiewanym od Kanady po Australię na wszystkich zebraniach i uroczystościach sybirackich.

Marian był również inicjatorem różnych wydarzeń sybirackich: nazwy „Ronda Sybiraków” w Warszawie, nadania Imienia Sybiraków szkołom w Augustowie i Nettcie, pomnika czczącego pamięć Sybiraków i dorocznego „Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru” w Białymstoku oraz współinicjatorem „Pomnika Wywiezionych i Pomordowanych na Wschodzie”, przy ulicy Muranowskiej w Warszawie.

O tym, jak niezwykle miejsce znalazła Jego twórczość w życiu i działalności Sybiraków w Polsce, świadczył jego pogrzeb w dniu 13 kwietnia 2004 roku w kościele pw. Świętego Krzyża w Warszawie i na Cmentarzu Powązkowskim, z udziałem rzeszy Sybiraków oraz kilkudziesięciu delegacji ze sztandarami sybirackimi z całej Polski.

W pamięci pozostałego, żyjącego jeszcze rodzeństwa pozostał Maryś jako kochany, serdeczny, czuły, pogodny, o swoistym, subtelnym poczuciu humoru – Brat.

*Grażyna Jonkajtys-Luba*

\*

### *Z ogrodowej altany*

Mariana Jonkajtysa poznałem w szkole. Razem chodziliśmy do Liceum Bolesława Limanowskiego w Warszawie na Żoliborzu, razem też zdaliśmy maturę w 1951 roku. Marian śpiewał solo basem-barytonem w naszym chórze, świetnie tańczył, znakomicie mówił po rosyjsku i grał Dyndalskiego w „Naszem Domu” na Bielanach – sierocińcu założonym przed wojną przez Marynę Falską, bliską współpracownicę Janusza Korczaka. Byłem pewien, że Marian jest sierotą, okazało się jednak, że ma matkę, która jest nauczycielką w Jeleniej Górze. Chcąc by syn uczył się w Warszawie, umieściła go w tym zakładzie. Przyznam się, że nie najlepiej o niej wówczas myślałem. Co to za matka – dziwiłem się – która oddaje syna do sierocińca? Moja by tego nigdy nie zrobiła. Po maturze razem z Marianem znaleźliśmy się na Uniwersytecie Warszawskim. On na rusycystyce, ja na polonistyce. Znow jak w szkole występował na wieczornicach w Sali Kolumnowej i świetlicy ZSP. Zwłaszcza śpiewana przez niego po rosyjsku radziecka piosenka „Futbolisty” cieszyła się powodzeniem. Zrażony nudą stalinowskiej ery na UW postanowił szukać szczęścia w teatrze. Namawiał mnie, bym z nim poszedł na PWST. Znudzony, podobnie jak on, przystąpiłem do wkuwania ballady Mickiewicza „Czaty”, interpretując ją niskim głosem aktora Władysława Hańczy. Do dziś pamiętam pierwszy dramatyczny wstęp: „Z ogrodowej altany wojewoda zdyszany bieży w zamek z wściekłością i trwogą. Odchyliwszy zasłony, spojrzął w łóżce swej żony, pojrzał, zadrzał, nie znalazł nikogo”. Marian wysłuchał mej interpretacji, uznał, że dobra i mogę iść. Sam przygotował balladę „Świtez”. Na szczęście zadrzałem i nie poszedłem. On poszedł, zdał i został magistrem sztuki estradowej. Dziekan tego wydziału – znany aktor i konferansjer Kazimierz Rudzki – na pytanie, dlaczego wykłada na PWST odpowiadał: – Musiałem zostać profesorem, by Łazuka mógł zostać magistrem. Ten żart Rudzkiego Marian często powtarzał. Kochał Rudzkiego, sam zaś był ukochanym uczniem Ludwika Sempolińskiego. Podobnie jak słynny Lunio tańczył we fraku posuwistym krokiem, śpiewając: – „Tomasz, Tomasz, ach gdzie ty, to masz?” Jeszcze jak był w PWST spotkaliśmy się razem w STS-ie, gdzie Marian wystąpił w mojej sztuce muzycznej „Esmeralda”, wstrzymanej przez cenzurę w 1958 roku po generalnej próbie. Śpiewał tam tango: „Tych kilka słów przed rozstrzelaniem serdecznie prostych tak, jak kmieć”.

Po ukończeniu PWST zaangażowany został do warszawskiej „Syreny”. Był też asystentem Sempolińskiego i przez wiele lat uczył studentów trudnej sztuki starego mistrza. Sukcesy aktorskie i pedagogiczne nie zaspokoiły go jednak. Postanowił stworzyć teatr muzyczno-estradowy. Dla bezpartyjnego aktora było to porywanie się z motyką na słońce. Marian uparcie szukał sali i znalazł ją w końcu w Domu Kultury na Targówku. Gmach wzniesiony w erze naszych studiów jako dar partii dla robotniczej Warszawy – był podobnie bez sensu jak Pałac Kultury i Nauki. Tak samo nosił imię Józefa Stalina, tak samo był niefunkcjonalny i gigantyczny. Z marmurowymi schodami i kolumnami, ale z salą

na sześćset miejsc. Liczono, że ferajna z Targówka skuszona tym darem stanie się w przyszłości wiernym ramieniem partii. Nic z tego nie wyszło. Po śmierci Stalina Dom Kultury na peryferiach Warszawy stracił propagandową moc. Wegetował w erze ponurego Gomułki, ale po nastaniu ciut weselszej ekipy Gierka w myśl hasła: „Aby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej” zrobiono gest dla ludności i zezwolono na rozrywkowy teatr muzyczny. Słodki patronat nad nim objęły „Zakłady imienia 22 Lipca”, dawniej E. Wedel, dziś E. Wedel bez 22 lipca. Marian Jonkajtys przystąpił do akcji. W 1974 roku „Teatr na Targówku” (dziś „Rampa”) dał swe pierwsze przedstawienie. Dysponował odpowiednim zapleczem, dużym zespołem aktorskim, baletem i orkiestrą. Zaczął wystawiać musicale i odnosić artystyczne sukcesy.

Wtedy zainteresował się nim wszechwładny szef Radia i Telewizji Maciej Szczepański, zwany Krwawym Maciusiem. Jak każdy car i władca potrafił rugać i wyrzucać na zbity pysk, ale też nagradzać i wywyższać swych faworytów jak mało kto. Znany był z fantazji i pańskiego gestu. Dla swego zastępcy towarzysza Patyka sprowadził ze Szwajcarii złoty zegarek Patka. Niby Patek dla Patyka. Taki żart.

Z Marianem Jonkajtysem odbył rozmowę w swoim stylu. W telewizji były dwa bufety. Górny do wyłącznej dyspozycji prezesa i dolny dla pracowników. Gdy w tym pracowniczym bufecie pojawiały się wytworne dania, mówiono: U Prezesa był łośoś i zjadamy resztki po bankiecie. Na taki właśnie bankiet wziął Mariana. „Dawno na takiej uczcie nie byłem” – wspominał Marian. W pustej sali kelnerzy tańczyli koło nas, podając największe rarytasy. Wreszcie, przy koniaku i francuskich serach, Prezes przystąpił do rzeczy.

– Uznałem, towarzyszu Jonkajtys, że nadszedł czas, aby wasz teatr stał się nasz.

– Nasz, to znaczy czyj? – spytałem.

– Telewizji.

– Na razie jest miasta – odparłem.

– To nie będzie – zaśmiał się. – Załatwiłem tę sprawę w KC. To nie problem.

Wiedziałem, że jest pupilkiem Gierka i wszystko może. Sytuacja była jak z „Ojca Chrzestnego”. Propozycja nie do odrzucenia. Prezes roztoczył przede mną świetlane perspektywy. Mogę grać i reżyserować. O forszę nie muszę się martwić. – Ja płacę – mówił. – Miasto nigdy wam tyle nie da...

Odparłem, że podlegam miastu i muszę porozumieć się z mymi zwierzchnikami. Był wyraźnie dotknięty. Na pożegnanie rzekł chłodno: – Pamiętajcie, że bez was też przejmę ten teatr dla telewizji...

Jakoś nie przejął, ale zemścił się odpowiednio. Zakazał występu Mariano wi i jego aktorom. Wstrzymał też wszelkie recenzje i informacje. „Teatr na Targówku” przestał w telewizji istnieć. Miałem możliwość się o tym przekonać, gdy zostałem konsultantem programowym. Z zachęty Mariana napisałem musical: „Kto mi śpiewał serenadę”. Wystawiony został w gorącym okresie strajku w stoczni i prezes zezwolił na występ „Targówka” w moim programie. Pamiętam, jakie w teatrze było zdziwienie po tej kilkuletniej banicji. Marian zaśpiewał wtedy moją piosenkę: „Gdy nadejdzie dzień zapłaty, pošlę cię w dyplomaty, włóż na siebie czarny frak i śpiewaj ze mną tak: – Charge d’affaires, charge d’affaires

ma krok jak Fred Astaire” – i sunął krokiem Ludwika Sempolińskiego. Na szczęście Prezes minął, a brawurowy krok Mariana zachował się na taśmie.

W teatrze działała silna komórka „Solidarności”. Nasze aktorki pojechały do Gdańska i zaprosiły Wałęsę do teatru. Obiecał, że jak będzie podpisywał umowy z rządem, to przyjdzie do teatru. Tego dnia cały hall teatru zapelniał się luminarzami polskiej sceny i filmu. Przez parę godzin czekali z prezesem SPATiF-u Gustawem Holoubkiem na czele na przyjazd Wałęsy. Wreszcie zajeżdża słynny omnibus Wałęsy ze znakiem „Solidarności”. Przywódca nowych NSZZ wkroczył dziarsko na salę w otoczeniu swej gwardii. Za nim szedł jak cień „latający reporter” Józef Kuśmierk z mikrofonem i wielką torbą. Wałęsa zaprezentował swe słynne pióro, którym podpisał umowy sierpniowe i wygłosił przemówienie oklaskiwane z entuzjazmem przez elitę artystyczną miasta. Każdy czuł, że to historyczny dzień.

Nadszedł stan wojenny i Mariana zdjęto w pierwszej kolejności. Na jego miejsce przyszedł wierny i zasłużony działacz partii.

Spotkaliśmy się u Mariana w domu na Nowogrodzkiej. Powiedział, że odchodzi i zostawia mi wolny wybór. Mogę zostać lub złożyć dymisję na jego ręce. Na kartce papieru podanej przez Mariana złożyłem dymisję. Jego żona, Rena Rolska, zrobiła kolację. Opiliśmy to nasze rozstanie.

Nie przypuszczałem, że ten zimowy dzień 1982 roku stanie się dla Mariana i Remy tak przełomowy i będzie miał tak dalekosiężne konsekwencje. Obydwoje stracili pracę. Mieli na wychowaniu małego syna, Grzegorza. Marian wcześniej, jako dyrektor teatru, zrezygnował z pracy w PWST. Teraz koledzy wiedząc, że jest bezrobotny, nie zaproponowali mu powrotu na uczelnię. Ten fakt przeżył mocno. Miał dość aktorskiej gry i wiszenia u klamki partii. Postanowił się sprywatyzować. Jak Piłsudski, wycofał się do Sulejówka. Dosłownie. Tam zamieszkał z Reną Rolską i synem. Zaczęli żyć z nowej pracy. Marian zdał kurs metaloplastyki i rzemiosła artystycznego i dostał dyplom mistrza. Tym razem Izby Rzemieślniczej. Zaczął wykonywać cudowne ikony z drewna i metalu, krzyżyki „Solidarności”. Wykazał niezwykły talent i pomysłowość. W „Cepelii”, jak i „Desie” jego wyroby chętnie kupowano. Rena pomagała mu zarówno w pracy w warsztacie, jak i w sprzedaży. Czasem było mi wstyd – mówiła – jak ludzie poznawali mnie w sklepie. Ale przywykłam. Tak jak Marian przez dwadzieścia lat nie wystąpiła na estradzie. Dopiero w 2001 roku dała koncert w radio, zakończony wielkim sukcesem. Podobnie jak Mariana. Okazało się, że na sali mają wielu przyjaciół, którzy docenili ich postawę. I ten ryzykowny wtedy krok.

Najważniejsze jednak, że w Sulejówku narodził się nowy Marian. Marian poeta, którego absolutnie nie znałem. Trzeba było dopiero pierwszego tomu poezji „My, których ocaliłaś”, żeby odkrył na skrzydełku książki jego prawdziwy życiorys. Pisał w nim: „Urodziłem się 20 maja 1931 roku w Augustowie, w rodzinie nauczycielskiej. Po zajęciu części Polski przez bolszewików we wrześniu 1939 roku, Augustów znalazł się pod okupacją sowiecką. W walce z Czerwoną Armią zginął mój starszy brat Bronisław, podchorąży WP. W październiku NKWD aresztowało mego ojca Hieronima. 13 kwietnia 1940 roku zostałem wraz z czterema siostrami, drugim bratem i matką wywieziony do północnego Kazachstanu w okolice Pietropawłowska i Kokczetawu. Tam, w małych kolchozach posiołkach Papatnia, Nowouzienka, Korniejewka i Južnoje przebywałem do marca 1946 roku. Jak tysiące polskich dzieci zesłańców doświadczyłem ciężkiej fizycznej pracy ponad siły, głodu, wszy, chorób, nędzy i poniewierki –

zgodnie z treścią słów, które na powitanie wygłosił przewodniczący kołchozu: „Was, panowie, iz Polski, przywieziono tutaj, żebyście wyzdychali”. Niezbada-  
ne są jednak wyroki Boże... Chyba tylko dzięki opiece Matki Boskiej Czę-  
stochowskiej i heroicznej postawie naszej Matki w sześcioletniej walce o przeży-  
cie – w kwietniu 1946 roku wróciliśmy wszyscy do Kraju”.

Mój Boże. Jak niesprawiedliwie i głupio ocenilem po wojnie jego Matkę-  
Sybiraczkę, o której napisał przejmujący wiersz.

A wiersze Mariana są naprawdę niezwykle. Okładkę „Żywej pamięci” sta-  
nowi fotografia Różańca Sybirackiego, wykonanego techniką inkrustacji metalem  
w drewnie przez Mariana. Różaniec ten, którego paciorki-wagoniki symbolizują  
miejsca wywózki Polaków na zesłanie, został złożony w darze Ojcu Świętemu od  
Sybiraków w czasie ich pielgrzymki do Rzymu w październiku 1996 roku. Wier-  
sze w tym tomie są podobnymi paciorkami-wagonikami. Skromnie nazwane za-  
piskami mają coś z pamiętnika ocalającego miejsca, nazwy i fakty – jednocześnie  
zrymowane celnie i błyskotliwie, nierzadko z humorem, nabierają pełnego rozpę-  
du właśnie na scenie. W końcu pisał je aktor, który wie, co to estrada. Niektóre  
utwory są klasy Feliksa Konarskiego – Refrena i innego Mariana – Hemara.  
„Marsz Sybiraków” na pewno ma ten sam ładunek uczuciowy, co słynne „Czer-  
wone maki” Refrena czy „Karpacka brygada” Hemara. Nic dziwnego, że marsz  
ten szybko stał się hymnem Sybiraków. Trudno bez wzruszenia nie słuchać tych  
słów, ze świetną muzyką Czesława Majewskiego: „A myśmy szli, i szli – dzie-  
siątkowani. Przez tajgę, stepy – płataniną dróg! A myśmy szli, i szli – niepok-  
nani! Aż ‘Cud nad Wisłą’ darował nam Bóg!” W tym marszu pobrzmiwa her-  
bertowskie przesłanie o ludzkiej postawie wyprostowanej, ze słynnego wiersza  
„Kwestia smaku”. Ten smak wykazał mój stary kolega szkolny, z którym razem  
próbowałem zdać egzamin do szkoły teatralnej. On zdał. Tylko ja recytując  
przed nim „Czaty” nie wiedziałem co „Świtez” dla niego znaczy. Musiało mi-  
nąć pół wieku, bym wyszedł z ogrodowej altany i zadrżał jak wojewoda. Będąc  
nawet bliskimi kolegami nic o sobie nie wiedziliśmy. Takie to były czasy. I  
taki raj, który próbowano nam zafundować.<sup>1</sup>

*Jarosław Abramow-Newerly*



### ***Sybiracy nagradzają go holdem...***

Sybiracka twórczość Mariana Jonkajtysa niesie w sobie refleksję i zadumę  
zarówno nad doświadczeniem tych, którzy już od nas odeszli na zawsze – aby na  
zawsze pozostali w naszej pamięci i w pamięci naszych potomnych..., jak również  
zadumę nad powtarzalnością historycznych polskich doświadczeń i naszej polskiej  
martyrologii... Zadumę i refleksję czy ta powtarzalność jest nieunikniona?

Ale jednocześnie twórczość Mariana Jonkajtysa niesie w sobie siłę inte-  
grującą jako model osobistych i jednocześnie wspólnych doznań, przeżyć i do-  
świadczeń. Staje się przez to wiarygodnym świadectwem, że wszystkie te cier-  
pienia i przeżycia były szczególną formą walki Polaków o wolność i niepodle-  
głość, o narodową tożsamość, honor i godność, o prawo do wiary w Boga, pra-  
wo do bycia człowiekiem.

<sup>1</sup> Przedruk z książki M. Jonkajtysa, pt. *W Sybiru białej dżungli*, Wydawnictwo  
„Instytut Lwowski”, Warszawa 2003, s. 11-17.

Wiersze Mariana Jonkajtysa zaskakują trafnością uogólniających obserwacji, opisywanych faktów, przeblyskami refleksyjnego humoru. Urzekają skupieniem zawartego w nich uczucia..., oczarowują siłą wyobraźni i wyzwolenia emocji, przez najprostsze – zdawałoby się – sformułowania zdań, ze słów, którymi posługujemy się na co dzień.

[...] Dlatego jest Poetą wszystkich Sybiraków – w sensie geograficznym i historycznym. Geograficznym, bo dotyczy Sybiraków żyjących w Polsce i poza Polską, rozsianych na wszystkich kontynentach, rozproszonych po całym świecie. Historycznym – bo Jego twórczość dotyczy tych z XIX stulecia, więzionych w kibitkach, i tych z czasów XX stulecia w eszalonach. Tych pochowanych w obcej ziemi i tych, którzy powrócili [...] To wyznacza Jego szczególnie miejsce w dziejach literatury i dziejach patriotyzmu polskiego. Za zrywy niepodległościowe kolejne pokolenia płaciły cenę katongi na Wschodzie.

Miejsce dla Poety Sybiraków czekało puste dwieście lat. Tyle czasu upłynęło, nim pojawił się ktoś taki jak Marian Jonkajtys. Było wspaniałe malarstwo i grafika sybiracka.

Były książki i opracowania tych kolejnych zesłań. Były pojedyncze wiersze. Nie było poezji sybirackiej o takiej sile wyrazu i tak rozległym horyzoncie przeżycia tej problematyki i takiej wierności tej sprawie.

Talent artysty pozwolił fakty życia zapisać językiem poezji. Zachował obraz tamtych czasów i utrwalił go w pieśni, aby stała na straży odzyskanej wolności i była przestrożą dla ludzi i narodów.

Sybiracy nagradzają go hołdem wdzięczności za dar tej Poezji.<sup>2</sup>

*Ryszard Reiff*



### ***Był wdzięczny za reaktywowanie Związku Sybiraków***

Niewielu Sybiraków wie o Jego równoległej do poezji działalności. W swoim domu w Sulejówku urządził pracownię – rzeźbiarstwo w drewnie inkrustowanym metalem. Razem z żoną rzeźbili też talerze z herbem Związku Sybiraków inkrustowane metalową taśmą. W moim pokoju wisi taki talerz na honorowym miejscu obok skrzyżowanych szabel i ryngrafu Legionów Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Przed pielgrzymką do Rzymu w 1996 roku Państwo Rena i Marian Jonkajtysowie wykonali różaniec dla Ojca Świętego. Paciorki tego różańca symbolizowały najważniejsze miejsca kaźni i zsyłek Polaków w czasie ostatniej wojny. Ojciec Święty Jan Paweł II przesłał na ręce kapelana Sybiraków ks. Edmunda Cisaka list z podziękowaniem za ten dar.

W Warszawie repliki tego różańca znajdują się w bazylice św. Krzyża po prawej stronie od wejścia, w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu, w wnęce po prawej stronie poświęconej Matce Boskiej Fatimskiej, w kościele pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli przy ul. Rakowieckiej 61 oraz w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej Patronki Polskich Męczenników przy Al. Stanów Zjednoczonych.

---

<sup>2</sup> Przedruk z książki.: M. Jonkajtys, op. cit. s. 9-10.



Ze śp. Marianem łączyła mnie wyjątkowa przyjaźń. Był bardzo wdzięczny, że reaktywowałam Związek Sybiraków. Utrwalił to wydarzenie w tomiku poezji zatytułowanym *Różaniec syberyjski*. W jednym z wierszy opisał małą dziewczynkę z Białegostoku, która w latach trzydziestych uczestnicząc w świątecznym capstrzyku, zapamiętała grupę Sybiraków ze sztandarem. Wspomnienie to ożyło w roku 1987, gdy tamta mała dziewczynka, mając teraz za sobą doświadczenia sowieckiej zsyłki, wystąpiła wraz z dwudziestoma Sybirakami o reaktywowanie Związku Sybiraków. Do tej pory nie mogę pogodzić się z Jego odejściem.

Irena Głowacka



### *Na zawsze pozostanie w sybirackiej rodzinie*

Minał kolejny rok jak odszedł od nas Marian Jonkajtys, wybitny aktor, dyrektor teatru, poeta, autor słów naszego hymnu – *Marsz Sybiraków*. Urodził się w Augustowie w znanej patriotycznej rodzinie. Ojciec został zamordowany przez Sowietów na przełomie 1939/1940 roku, najprawdopodobniej w Mińsku, i pochowany w podmiejskich lasach.

Marian wraz z Matką i pięciorgiem rodzeństwa, jako „wrogowie ludu” zostali deportowani w 1940 roku do północnego Kazachstanu na „wieczne zesłanie”, bez prawa powrotu do rodzinnego domu. Na szczęście ten pobyt na nieludzkiej ziemi – wieczne zesłanie w lodowych krematoriach, trwało sześć lat. Ale i tak naznaczyło Mariana „syberyjskim syndromem”, okaleczonym dzieciństwem, strachem przed głodem. Powrót do Polski, działał ozdrowieńczo. Szybko nadrabiał utracone lata. Kończył kolejno szkoły i studia: Państwową Wyższą Szkołę Teatralną – Wydział Estradowy. Przez wiele sezonów występował w teatrach estradowych: „Buffo”, „Syrena”, w Teatrze Dramatycznym i „Ludowym” w Warszawie. Był adiunktem w swojej macierzystej uczelni i asystentem Ludwika Sempolińskiego, Kazimierza Rudzkiego i Aleksandra Bardiniego. Przez długie lata Jego domem był „Teatr na Targówku” na warszawskiej Pradze, który założył i któremu dyrektorował przez wiele lat. O Jego zasługach dla tego teatru świadczy wniosek złożony przez przyjaciół do prezydenta i Rady Miasta Warszawy o nadaniu mu imienia Mariana Jonkajtysa.

Po roku 1989 przejęty odrodzeniem się Związku Sybiraków zaczyna (jak sam nazywał – notatkami – wierszami) utrzymywać przeżycia polskich zesłańców na Sybir. Pisał wiele o Syberii i tragicznym losie deportowanych tam Polaków. W tym rozliczeniowym nurcie twórczości Mariana Jonkajtysa rodziło się wiele arcydzieł poetyckich, prozy i wierszy. Na szczególną uwagę zasługuje wiersz Mariana o Matce sybiraczce. Skumulował w nim pamięć i miłość deportowanego dziecka do swej rodzicielki, która na syberyjskiej i kazachskiej tułaczce, gotowa była poświęcić własne życie, aby ono mogło żyć. „Matka Sybiraczka” wedle Mariana – to kobieta wielka duchem i niezłomna, troskliwa, czuła i wyrozumiała. Ostatni kęs czarnego chleba zawsze oddawała swoim dzieciom. Własnym ciepłem ogrzewała swe pociechy w czasie syberyjskich mrozów. Dla swych dzieci była gotowa pójść w czasie buranu do dalekiego lasu lub stepu, aby przynieść kilka drewna czy z trudem uzbieranego chrustu umożliwiającego przetrwanie kolejnej mroźnej zimy.

Marian Jonkajtys pozostawił o sobie pamięć Człowieka o wielkim sercu. Wierzył, że Wolna Polska powstała dzięki wstawiennictwu u Boga, Ojca Świętego Jana Pawła II. To osobiste przekonanie zawarł w paru pięknych wierszach, a zwłaszcza w sybirackiej modlitwie różańcowej. Zorganizował dziękiczynną pielgrzymkę do Rzymu, w czasie której przekazał Papieżowi Janowi Pawłowi II – Polakowi wielki drewniany „Różaniec Sybiraków”, którego replika jest w bazylice św. Krzyża w Warszawie.

Marian Jonkajtys był przyjazny wszystkim – najbliższym, przyjaciółom, a także każdemu człowiekowi, nawet nieznanemu. Dla każdego miał miłe słowo. Wielu pomagał. Zapewniło to Marianowi naszą wdzięczną pamięć, której owoce znajdziemy w różnych miejscach na terenie Polski. W „Teatrze na Targówku” koledzy ufundowali Mu wielkie popiersie. Mieszkańcy Augustowa imieniem Mariana Jonkajtysa nazwali ulicę, a w miejscowej katedrze ufundowali tablicę epitafijną. Jego dokonania zapisane zostały w licznych książkach, programach teatralnych, telewizyjnych i radiowych oraz w naszej trzytomowej *Księdze Sybiraków*. Sybiracy nagradzają Go pamięcią, wielkim hołdem i wdzięcznością za Jego pozycję i za to, że był wśród nas. Szkoda, że tak szybko odszedł.

Pamięć o Marianie Jonkajtysie na zawsze pozostanie w naszej sybirackiej rodzinie.

*Edward Duchnowski*



### ***Był mi bliski...***

Był pogodny, przyjazny ludziom, a w swoich uczuciach wrażliwy na piękno, ludzkie cierpienia, których mu w życiu nie zabrakło. Często zapraszano go na poszerzone plenarne zebrania Zarządu Głównego Związku Sybiraków. Dla lepszego kontaktu z Sybirakami zrzeszonymi oddziałach i kołach na terenie kraju, często posiedzenia takie były wyjazdowe.

Po zebraniach, gdy inni spotykali się w swoich gronach, wspominając miejsca zesłań, przeżywane tam zdarzenia, uwalnialiśmy się od tłumnych spotkań, które często odbywały się przy ogniskach. Dzieliłiśmy się wrażeniami z zebrania, ich tematyki, dyskusji oraz wystąpienia prezesa Związku.

Ciekawe, mieliśmy podobne oceny. Raził nas syndrom sowieckich przeżyć przejawiający się w śpiewach przy ognisku. Rosyjskie melodie i słowa pieśni świadczyły o tym, jak głęboko zapadły w sercach ich wykonawców dramatyczne przeżycia z zesłańczej poniewierki. To było smutne a zarazem dziwne, że ten syndrom złowrogiego Sybiru ujawniał się właśnie i w ten sposób. Czy nie można było się uwolnić od nich śpiewając polskie, od pokoleń wykonywane pieśni, często tak bardzo patriotyczne?

Ten fragment spotkań z Marianem przedstawiał cząstkę jego osobowości, jakże mi bliską.

*Wiesław Krawczyński*



## Marian

Odszedł trzy lata temu w 64. rocznicę kwietniowej wywózki na Sybir. Matka i sześcioro dzieci nagle, ku przerażeniu wszystkich, ze spokojnego Augustowa brutalnie zostali rzućeni w kazachski step, w miejsce o którego istnieniu być może nawet nie wiedzieli. Los wyznaczył im miejsce w okolicach Pietropawłowska i Kokczetawu w posesjach Korniejewka i Južnoje. Sześć lat zesłańczego życia – pracy ponad siły, głodu i poniżenia. Sześć lat walki o przeżycie odcisnęło trwale piętno w psychice Mariana, które odnajdujemy we wszystkich jego utworach.

Po powrocie w 1946 roku do kraju podejmuje naukę w szkole średniej – maturę uzyskuje w Liceum im. B. Limanowskiego w Warszawie, potem podejmuje studia na Wydziale Estradowym Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Po skończeniu studiów pracuje w teatrach warszawskich „Syrena” i „Buffo”, na estradzie i w kabaretach literackich. Zajmuje się reżyserią, daje występy za granicą dla Polonii w USA i w Kanadzie. Ale w pamięci i w sercu nadal pozostają obrazy tamtych tragicznych dni i lat, tego nie da się wymazać z życiorysu i wspomnień. W pamięci i sercu pozostały obrazy, które układały się w zapiski – wspomnienia, jak sam Marian napisał w podtytule tomiku wierszy *My, których ocaliłaś – wspomnień rodzinnych z zesłania w Kazachstanie 1940-1946*, tomiku, który ukazał się w 1995 roku. I wtedy poznałam Mariana Jonkajtysa osobiście, którego przedtem znałam tylko jako aktora. Podarował mi wówczas skromnie wydaną niespełna 70-stronicową książeczkę zawierającą 16 utworów, wśród których były publikowane po raz pierwszy, ale niezauważone przez czytelników *Marsz Sybiraków* i *To o was, bezimiennie*. Wrażenie natomiast zrobił tytułowy wiersz *My, których ocaliłaś*, deklamowany odtąd w czasie okolicznościowych spotkań sybirackich.

W 1995 roku pewnego dnia Marian zaproponował mi wspólne przygotowanie i prowadzenie w Katolickim Radiu Warszawa audycji o sybirakach. Radio nadawało swoje audycje z kościoła parafialnego w Falenicy, którego proboszczem był w tym czasie ks. Tadeusz Łakomic. Tematyką sybiracką zainteresowała księdza żona Mariana – Rena Rolska. Ksiądz chętnie przyjął propozycję i tak rozpoczęliśmy nadawanie naszych wspólnych audycji.

Na pierwszym nagraniu w studiu byli również państwo Kira i Andrzej Płonczyńscy, śpiewaczka i muzyk kompozytor – przyjaciele Mariana, którzy bezinteresownie nagrali dla potrzeb naszych audycji kilka piosenek ze słowami autorstwa Mariana. Tam po raz pierwszy nadaliśmy *Marsz Sybiraków*, z tekstem Mariana Jonkajtysa i muzyką Czesława Majewskiego. Odtąd spotykaliśmy się w studiu raz w miesiącu przez półtora roku, by stamtąd nadawać półgodzinne programy o sybirakach, Sybirze i gehennie Polaków na Wschodzie. Niestety, moc nadajnika była niewielka i nasze audycje docierały do niewielu słuchaczy. Mimo to odtwarzany w audycjach jako sygnał programu *Marsz Sybiraków* stawał się coraz bardziej znany i popularny wśród słuchaczy, zwłaszcza sybiraków. Nagrany na kasety trafił do najdalej położonych Kół Związku Sybiraków w kraju i za granicą – Anglia, Francja USA, Kanada, a nawet daleka Australia.

Na III Krajowym Zjeździe Związku Sybiraków w Jeleniej Górze w dniach 17-18 października 1998 roku delegaci jednogłośnie podjęli uchwałę o uznaniu *Marsza Sybiraków* za hymn organizacji. Dzisiaj wszystkie nasze spotkania rozpo-

czyzna zawsze ten hymn. Wysłuchujemy go w postawie na baczność...Hymn wszedł do repertuaru wielu chórów zawodowych i amatorskich. Śpiewają go soliści, jest w repertuarze Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego. Marian i jego poezja zyskały popularność nie tylko wśród nas Sybiraków, Jego wiersze są chętnie czytane przez młodzież szkolną i zainteresowanych historią zesłań. Poezja ta bowiem w prosty i wręcz ascetyczny sposób opisuje człowieczy los.

A Marian niestrudzenie nadal utrwał w piśmie i rzeźbie zapamiętane obrazy z dzieciństwa, tworzył symbole naszej wspólnoty, symbole i obrazy głodu, pogardy, poniżenia i wiary w Boga oraz powrotu do Ojczyzny. Pamiętam dzień Jubileuszu 40-lecia pracy artystycznej Mariana, gdy z tej okazji odbyło się spotkanie w Klubie Aktora. Przyjaciele – aktorzy recytowali utwory Mariana, a młoda piosenkarka akompaniując sobie na gitarze śpiewała piosenki skomponowane do jego wierszy. Goście słuchali w milczeniu, z niedowierzaniem, ktoś nieśmiało zaczął klaskać... Alina Janowska, która była gospodynią wieczoru, powiedziała wtedy – „Chciałoby się nagrodzić oklaskami kunszt autorski, ale treść jest tak tragiczna, że byłoby to barbarzyństwo z naszej strony...Obecna na spotkaniu Hanka Bielicka ukradkiem ocierała łzy, zresztą nie tylko ona.

Podobną reakcję obserwowałam na spotkaniu z harcerzami w szkole w Aninie. Był piękny, słoneczny dzień majowy – sobota, a więc dzień wolny od nauki. Jechaliśmy na to spotkanie pełni obaw czy w ogóle ktokolwiek przyjdzie? Ku naszemu zaskoczeniu sala była wypełniona harcerzami – począwszy od zuchów – pierwszaków, aż do tych z najstarszych klas, osób już prawie dorosłych. Trzyosobowy zespół w składzie: Jolanta Fijałkowska, Czesław Majewski i Marian Jonkajtys wystąpił z godzinnym programem artystycznym pt. „Żywa pamięć – Sybir w poezji Mariana Jonkajtysa”. Program trudny, przedstawiający ponure historie z lat drugiej wojny światowej. Patrzyłam zdumiona na te dzieci – siedziały bez ruchu, słuchały uważnie, żywo reagowały, zwłaszcza na muzykę w wykonaniu Czesława Majewskiego. Po spotkaniu przewidzieliśmy 15-20 minut na rozmowę z harcerzami. Urzeczeni poezją i niezwykłą historią, którą usłyszeli, jak przypuszczam po raz pierwszy, zadawali Marianowi mnóstwo pytań. Nasze spotkanie trwało ponad dwie godziny! To wnukowie sybiraków (wiekiem oczywiście), dla których Marian Jonkajtys napisał wiersz-pieśń, pokazali to, co autor chciał usłyszeć:

    Nie gardzimy zdobyczami końca wieku  
    I w dwudziesty pierwszy też wchodzimy śmiało  
    Lecz nie chcemy by pejdżery i gadżety  
    Były dla nas tym jedynym ideałem.

I właśnie w tym momencie doskonale sprawdziły się słowa poety:

    [...] Przeszłość to jak korzenie  
    Dumnego dębu, który  
    Dzięki nim mężnie znosi  
    Burze, mrozy, wichury.

    Żywa Pamięć Historii  
    To właśnie te korzenie  
    Które nam zapewniają  
    Niepodległe istnienie [...]

Podobne spotkania i koncerty odbywały się w wielu szkołach warszawskich i cieszyły się wszędzie dużym zainteresowaniem. Marian uczył historii, rozjaśniał jej mrok, zaczerniał białe plamy...

Od siedmiu lat coraz liczniej stawiamy się na „Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru”, odbywający się w Białymstoku. Jego pomysłodawcą i inicjatorem jest właśnie Marian Jonkajtys.

Pamiętam, jak niedługo po kolejnym „Marszu Pamięci”, jaki odbywa się w Auschwitz (Oświęcim) zatelefonował do mnie Marian mówiąc, że my sybiracy też powinniśmy „wyjść na zewnątrz”, i że ma pomysł jak to zrobić. Następnego dnia pokazał mi projekt takiej imprezy o ogólnopolskim zasięgu. Poparłam z całego serca i zachęcałam do przedstawienia projektu zarządowi Związku Sybiraków. Inicjatywa spotkała się z żywym zainteresowaniem prezesa i Zarządu Głównego Związku Sybiraków. Dziś „Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru” to spotkanie wielu tysięcy sybiraków, młodzieży szkolnej, gości z zagranicy i przedstawicieli najwyższych władz państwowych. W Białymstoku, gdzie odbywa się „Marsz”, to dzień prawdziwie świąteczny – udekorowane ulice, flagi biało-czerwone, bukiety kwiatów w oknach, znakomita orkiestra wojskowa na czele pochodu kilkuset sztandarów Oddziałów i Kół Związku Sybiraków, szkół, harcerzy i organizacji kombatanckich.

I tylko nie ma już z nami Mariana Jonkajtysa. Pozostały nam po Nim *Marsz Sybiraków*, „Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru”, tomiki wierszy i „Żywa Pamięć”.

*Irena Tańska*



### *Z Augustowa do Kazachstanu*

Odkładając „na potem”  
Pilne sprawy i prace  
Wyruszyłem  
„Ścieżkami Dzieciństwa”  
Na spacer.

Marian Jonkajtys, *Ścieżki dzieciństwa*

Augustów miasto naszej dziecięcej bez troski, ciepło domu rodzinnego i dobrych wspomnień, położone wśród zielonych lasów i lśniących jezior, nasza mała często wspominana Ojczyzna.

Rodzina Jonkajtysów stanowiła jego elitę intelektualną. Ojciec rodu Hieronim Jonkajtys, dyrektor Szkoły Powszechnej nr 2. Matka Maria Jonkajtys, moja nauczycielka i wychowawczyni. Z czasów przedwojennych zachowało się niewiele, moje świadectwo szkolne ukończenia IV klasy Szkoły Powszechnej nr 2 z podpisem dyrektora Hieronima Jonkajtysa z datą 1938 roku i fotografia uczniów Szkoły Powszechnej nr 2 w Augustowie z Marianem Jonkajtysem i moją siostrą Krystyną.

Od 17 września 1939 roku w Augustowie przeżywaliśmy okupację sowiecką, zastraszanie mieszkańców, spisywanie, represje wobec Polaków. Mówiono nam, że jesteśmy częścią Białoruskiej Republiki Radzieckiej. W szkołach wprowadzono język białoruski, zdjęto krzyże, zburzono w rynku pomnik Józefa Pił-

sudskiego. 13 kwietnia 1940 roku władza sowiecka przygotowała drugą wywózkę Polaków na Sybir. Zerwani z łóżek w środku nocy, po 45 minutach chaotycznego pakowania wiele rodzin, w tym i naszą, upchano do bydłowych wagonów, wywożąc nas na Sybir. Po około 2 tygodniach podróży w okropnych warunkach sanitarnych, często pozbawieni nawet wody do picia zostaliśmy wysadzeni z mizernym dobytkiem na torowiskach stacji Mamlutka koło Pietropawłowska, w dalekim północnym Kazachstanie.

Wówczas na krótko spotkaliśmy się z rodziną Jonkajtysów. Rozwieziono nasze rodziny do luźno rozrzuconych na stepie „posiołków” północnego Kazachstanu. Mieszkaliśmy w stepie, w różnych wsiach odległych od siebie nieraz wiele kilometrów, nie wiedząc nic o znajomych, którzy przybyli tu razem z nami zesłańcym transportem.

Wszyscy przeżywaliśmy te same syberyjskie zimy, głód, insekty i choroby oraz pracę ponad siły. Pozostawaliśmy pod czułą i troskliwą opieką naszych matek. To im po latach Marian poświęcił wzruszający wiersz pt. *To o Was, Bezimiennie...*, pisząc:

I brnęłaś Polska Matko,  
Przez lód, powódź, zawieję...  
Przynosiłaś lekarstwo,  
Albo tylko nadzieję...

I chowałaś swych bliskich  
Z bezgłównym serca krzykiem,  
W bezimiennej mogile,  
Pod brzoźowym krzyżykiem...

Po 6 latach pobytu na zesłaniu, powróciliśmy w pełnym rodzinnym składzie: Maria Jonkajtys z sześciorgiem dzieci, Apolonia Zworska z czworgiem dzieci i babcią Pauliną Stankiewicz. Dziwnym zbiegiem okoliczności w 1946 roku, po powrocie do Polski, pani Maria Jonkajtys wraz z dziećmi osiedliła się w Szklarskiej Porębie, a nasza rodzina o kilka kilometrów dalej, w Sobieszowie

W pierwszych latach po wojnie, pospiesznie kończyliśmy szkoły, studiowali, Marian w Warszawie, ja we Wrocławiu. O sukcesach teatralnych i reżyserskich Mariana od czasu do czasu słyszałem w radiu, w telewizji, czytałem w prasie. Właściwie bliżej poznaliśmy się na nowo w Związku Sybiraków. W rozmowach powracały wspomnienia beztróskiego dzieciństwa w Augustowie, ciężkie lata naszej wczesnej młodości w Kazachstanie, byliśmy sobie bliscy. Całe swoje skomplikowane i niełatwe życie Marian zamknął w swych utworach poetyckich. Jestem pod urokiem jego poezji, będącej dla mnie kwintesencją przeżywanego krzywd, ludzi rzuconych przez los w okrutne warunki bytowania. Jego wiersze trafnie i bardzo emocjonalnie ukazują czas beznadziei, ale i siłę zawierzenia Bogu mimo wszystko. Jestem dumny, że mój „ziemlak”, Marian Jonkajtys jest autorem słów *Marsza Sybiraków*, który stał się hymnem naszego Związku.

Jego zasługi aktorskie, reżyserskie i poetyckie uhonorowało miasto Augustów, poświęcając jego pamięci jedną z ulic. Wszyscy Sybiracy z Augustowa wymienieni są z imienia i nazwiska na tablicach wmurowanych w kościele pw. św. Jana Chrzciciela na Borkach. Obecnie trwają prace nad realizacją pomnika

poświęconego ich pamięci. I znów, gdy nastąpi odsłonięcie tego monumentu usłyszymy *Marsz Sybiraków*, i znów Marian będzie wśród nas.

*Paweł Zworski*



### *Z minionych lat...*

Pamiętam jak 8 grudnia 1989 roku wspólnie ze śp. Marianem Jonkajtsem powoływaliśmy do życia Koło Związku Sybiraków na Pradze-Południe w Warszawie. Już wtedy wiedziałem dobrze o Jego aktorskich sukcesach i pokreconym przez stan wojenny życiu. Wcale nie uważałem się potem na ten los, a widywałem Go często przy różnych sybirackich uroczystościach i nie tylko.

Na pierwszym naszym spotkaniu okazało się, że byliśmy wywiezieni jednym transportem i przebywaliśmy na zesłaniu w północnym Kazachstanie, w wioskach odległych od siebie zaledwie 50 kilometrów. On w Korniejewce, ja w Kreszczence.

Śp. Marian od pierwszych dni był aktywnym członkiem południowo-praskiej organizacji, skupiając wokół siebie Sybiraków zamieszkałych w Sulejówku i okolicach. Teraz gdy słucham Jego *Marszu Sybiraków*, widzę jak pisze wiersze, widzę Jego uśmiech serdeczny, który nie schodził mu z twarzy mimo ciężkiej choroby. Zresztą nigdy się na nią nie uskarżał.

Był Człowiekiem wyjątkowym. Jego dobroć i serdeczność wobec drugich osób była szczerą, pełną miłości i zrozumienia. A ileż miał przykrych, życiowych doświadczeń. Sybir i doświadczenia stanu wojennego przeplatały się w jego życiu. Bez Niego Związek Sybiraków stał się uboższy. Teraz, gdy odszedł tak nagle, jest i pozostanie nadal wśród nas poprzez swoją poezję, prozę, rzeźbę oraz *Marsz Sybiraków*, który jest hymnem naszego Związku.

*Jan Belina*



### *Z Sulejówka*

Aktor, reżyser, poeta organizator warszawskiego życia teatralnego. Po osiedleniu się w drugiej połowie lat 80. w Sulejówku niemal natychmiast włączył się w życie społeczne naszego miasta, by stało się ono inne, by wreszcie przestało być tylko podstołeczną sypialnią.

Współorganizował Lokalny Komitet Obywatelski „Solidarności”, z jego pełnomocnictwa był członkiem Obwodowej Komisji podczas przełomowych wyborów do Sejmu i Senatu w czerwcu 1989 roku, a później został przewodniczącym Miejskiej Komisji Wyborczej po odrodzeniu się samorządu terytorialnego. W 1991 roku wyrzeźbił na desce inkrustowanej metalowymi detalami wizerunek kościoła parafialnego p.w. Maryi Matki Kościoła, ofiarowany Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II przez pielgrzymów z Sulejówka.

Po wstąpieniu wraz z żoną Reną Rolską do Towarzystwa Przyjaciół Sulejówka, od 1992 roku całym sercem angażował się w organizację Dnia Marszałka, upamiętniającego Józefa Piłsudskiego, niegdyś mieszkańca naszego kochanego Sulejówka. Utrzymując bliskie kontakty z warszawskim środowiskiem artystycznym zapraszał do nas wybitnych aktorów z programami poświęconymi Marszał-

kowi Józefowi Piłsudskiemu. Swoim zaangażowaniem w życie społeczne Sulejówka, darem czasu i pracy, pragnął to historyczne miasto utrwalić w ludzkiej pamięci, a tym samym przywrócić mu jego wyjątkową tożsamość

Marian Jonkajtys gromadził wokół siebie mieszkających w Sulejówku Sybiraków, inspirował ich do działalności, a młodzieży przekazywał wiedzę o Głogocie Wschodu, gdyż sam – jako mały chłopiec – wraz z rodziną został deportowany w głąb Kazachstanu. Był autorem wzruszającego *Marsza Sybiraków*, który jest hymnem Związku. W roku 2001 obdarzony został tytułem honorowym „Zasłużony dla miasta Sulejówek”.

Zofia Wolanin



### *Pamięci Mariana poświęcam*

Mariana znaleźliśmy od wielu lat nie tylko ze sceny takich teatrów jak „Syrena”, „Ludowy”, „Nowy” czy „Buffo”, ale i teatru radiowego. Zapraszany był bowiem często do udziału w słuchowiskach, programach satyrycznych i rozrywkowych. Zawsze pogodny, dowcipny, niezwykle muzykalny, o pięknym niskim głosie. Wiele jego piosenek do dziś można znaleźć na płytach. Był niezwykle aktywnym artystą i animatorem. To on jak powszechnie wiadomo stworzył dosłownie od podstaw teatr „Na Targówku”. Był jego dyrektorem, reżyserem, aktorem. Dowodem wdzięczności Jego widowni jest odsłonięte niedawno w hallu teatru popiersie Mariana, dłuta wybitnego artysty rzeźbiarza Gustawa Zemły.

Życie Mariana mogłoby być wzorem do scenariusza filmowego – tyle się w tym życiu działo. Pokłosem Jego okrutnego dzieciństwa i młodości spędzonych przymusowo na Syberii, są tomiki wierszy: *My, których ocaliłaś*, *Żywa pamięć*, *W Sybiru białej dżungli*, *Sonetu Kołymskie* – wydanie pośmiertne z pięknymi, poruszającymi grafikami syna Mariana, artysty grafika Grzegorza Jonkajtysa.

W stanie wojennym, kiedy teatr zamilkł, Marian ujawnił swój kolejny talent – plastyczny i rzeźbiarski. Jego dziełem jest między innymi drewniany różaniec sybiracki, wręczony na audyencji papieżowi Janowi Pawłowi II.

Snując osobiste wspomnienia związane z małżeństwem Jonkajtysów, tj. Reną Rolską i Marianem, chcę przywołać prywatne spotkanie przy kawie. Powieździeliśmy wówczas Marianowi, że nasze prace (Sekcji Radia, Telewizji i Filmu ZASP) nad uruchomieniem Studia Nagrań Związku Artystów Scen Polskich dobiegły końca i zaproponowaliśmy by został naszym pierwszym rozmówcą.

Kilka dni później spotkaliśmy się z Marianem u nas w domu, by szczegółowo omówić scenariusz nagrania. Przy pożegnaniu, na pytanie, którego dnia możemy umówić się w Studiu, Marian powiedział ze zwykłym spokojem, że jak najszybciej, bo idzie do szpitala i że... może już nie wrócić. Jeśli takie słowa padają z ust postawnego, zdrowo wyglądającego mężczyzny, nie sposób nie ofuknąć go po przyjacielsku, bo niedorzeczność takiego stwierdzenia była dla nas oczywista. I tak 9 stycznia 2004 roku Marian zainaugurował działalność naszego Studia zapisując w dźwięku swoją biografię.

Kiedy odszedł tak niespodziewanie, poczuliśmy nieznośną pustkę i niesprawiedliwość losu. Przecież tyle jeszcze mieliśmy sobie do powiedzenia. Był



człowiekiem otwartym na życie i chłonał je z młodzieńczą ciekawością. Taki był Marian.

Dziś z perspektywy czasu myślę, że ten artysta, człowiek wrażliwy, odgadł wyroki Boże i dał nam taki sygnał. Dla najbliższych, dla przyjaciół, jest tu i teraz, choć trochę inaczej.

Alina Pietrzykowska



### *W mojej pamięci...*

W mojej pamięci Marian A. Jonkajtys pozostanie zawsze wielkim przyjacielem Augustowa, gdzie się urodził i spędził lata wczesnego dzieciństwa. Stąd, wraz z matką i pięciorgiem rodzeństwa 13 kwietnia 1940 roku został wywieziony do Kazachstanu. Wrócił do kraju w kwietniu 1946 roku, po sześciu latach poniewierki i walki o przeżycie.

Był częstym gościem swego rodzinnego miasta, spędzał tu prawie każde wakacje. Wiele czasu poświęcał na spotkania z mieszkańcami Augustowa i przebywającymi w nim turystami. Szczególnie upodobał sobie kontakty z młodzieżą. Był obecny w czasie ważnych dla ziemi augustowskiej wydarzeń i uroczystości. Swoją osobą uświetniał nadanie im. Sybiraków, jako pierwszym w Polsce, szkołom: Szkole Podstawowej w Netcie oraz Szkole Podstawowej nr 5 w Augustowie (obecnie Gimnazjum nr 2).

Marian w swojej poezji często powracał do „kraju lat dzieciństwa”, do swoich korzeni. Ukochany Augustów i okolice wspominał w wierszach *Ścieżki dzieciństwa* oraz *Netta Folwark*. Jego patriotyczne wiersze rozpamiętujące złańczy los wspierały nas Sybiraków, w czasach, gdy takiej poezji brakowało.

4 kwietnia 2004 roku, dzień śmierci Mariana – Człowieka wielkiego serca i niekwestionowanego autorytetu – przeżyliśmy boleśnie. Potem 13 kwietnia w 64 rocznicę wywózki na Sybir, towarzyszyliśmy naszemu Przyjacielowi w Jego ostatniej ziemskiej drodze. Pogrzeb rozpoczął się Mszą św. w Bazylice Świętego Krzyża w Warszawie. Przy urnie wartę pełnili uczniowie Szkoły Podstawowej w Netcie – członkowie delegacji z Augustowa, w skład której wchodzili: ksiądz prałat Jan Wróblewski, prezes Koła Związku Sybiraków Eugeniusz Simson, uczniowie z Gimnazjum nr 2 w Augustowie z jej dyrektorką Henryką Rzepecką, uczniowie Szkoły Podstawowej w Netcie z dyrektorem Janem Ordowskim wraz z pocztami sztandarowymi Związku Sybiraków i szkół.

Marian A. Jonkajtys jest dla nas postacią niezapomnianą. Sybiracy z Augustowa oraz jego mieszkańcy podkreślili to w roku 2005 dokonując odsłonięcia w kościele pw. Św. Jana Chrzciciela tablicy memoratywnej z wizerunkiem artysty. W roku 2007 władze miasta na wniosek augustowskiego Koła Związku Sybiraków, nadały imię Mariana A. Jonkajtysa jednej z ulic w centrum Augustowa. W obu tych uroczystościach wzięli udział członkowie najbliższej rodziny Mariana.

Jakże ogromnie żał, że ten wspomniały Człowiek i bard Sybiraków nie będzie obecny 18 czerwca 2007 roku w Augustowie w czasie uroczystości odsłonięcia Pomnika Sybiraków – „Polska Golgota Wschodu”! Jednakże Jego nazwisko i nazwisko Jego rodziny zostanie uwiecznione przez ten pomnik i otoczone należną czcią.

Marianie! Wspominam Ciebie nie tylko jako wielkiego osobistego Przyjaciela, ale głównie jako Przyjaciela naszego miasta i wspaniałego Człowieka. Zawsze pamiętać będę Twoją szlachetność i niezwykłą skromność.

*Eugeniusz Simson*



### *Sybirak z Augustowa*

Zanim jeszcze Szkoła Podstawowa, a obecnie Gimnazjum nr 2 w Augustowie przybrały imię Sybiraków śp. Marian Jonkajtys, aktor, poeta, Sybirak znany był naszej społeczności szkolnej, podobnie jak i mieszkańcom Augustowa. Pamiętam Jego trzykrotne wizyty w naszej szkole, ostatnią w dniu 20 listopada 2002 roku podczas uroczystości nadania jej imienia Sybiraków. I podobnie jak wcześniej, także i wówczas nie chciał zajmować honorowych miejsc, wołał stać skromnie z boku i przyglądać się trwającym uroczystościom. Każde nasze spotkanie było potwierdzeniem Jego skromności oraz osobistej kultury i szacunku dla drugiego człowieka, a także nieskrywanej sympatii do Augustowa, tej Jego małej Ojczyzny, do której często powracał osobiście oraz w strofach swoich wierszy.

Teraz gdy nie ma już naszego krajana i barda Sybiraków, pamięć o Nim ożywa w szkole poprzez Jego poezję ukazującą zesłańczy los, którego doświadczył. Jego wiersze o wywózkach, zamarzniętych w pociągu dzieciach, nadzwyczajnych matkach i o zwykłym ludzkim głodzie poruszały do głębi tych, którzy słuchali przygotowywanych przez uczniów naszej szkoły inscenizacji i przedstawień. Poruszają one i dzisiaj gdy podczas konkursów recytatorskich odbywających się corocznie w naszej szkole uczniowie deklamują te wiersze. Wszystkie tomiki Jego poezji znajdują się w szkolnej bibliotece, w tym jeden egzemplarz niezwykle cenny bowiem opatrzony autorską dedykacją dla uczniów.

Szkolna Izba Pamięci posiada też Różaniec Sybiracki wykonany i ofiarowany szkole przez śp. Mariana Jonkajtysa, a Jego Małżonka Rena Rolska przekazała nam fragmenty rękopisów, okulary i etui oraz długopis, którym się posługiwał.

Z każdym rokiem oddaliśmy się od chwili śmierci naszego krajana. Są jednak czasy, miejsca i ludzie, których się nie zapomina – to właśnie w nie wpiął się na trwałe Sybirak z Augustowa, bard zesłańców syberyjskich, aktor i poeta – po prostu, nasz augustowski Marian Jonkajtys.<sup>3</sup>

*Henryka Rzepecka*



---

<sup>3</sup> Autorka jest dyrektorem Gimnazjum nr 2 im. Sybiraków w Augustowie.

### *Kultywujemy pamięć*

W dniu 10 lutego 1994 roku Szkoła Podstawowa w Netcie jako pierwsza w Polsce przyjęła imię Sybiraków. Zorganizowaliśmy w niej Izbę Pamięci poświęconą ludziom wywiezionym na Sybir, w której zgromadzono dokumenty deportacyjne, karty powrotu, fotografie, medale, monety i różne osobiste pamiątki przywiezione z zesłania. Ich ofiarodawcami są Sybiracy, którzy odwiedzali naszą szkołę. Gościliśmy też w jej murach znakomitego artystę teatralnego, poetę i Sybiraka Mariana Jonkajtysa, który od momenty pierwszej gościnny w jej progach stał się naszym Przyjacielem.

To właśnie Jemu poświęcona jest specjalna ekspozycja we wspomnianej Izbie Pamięci, w której znalazły się pamiątki osobiste poety i zdjęcie ofiarowane przez Jego Małżonkę Renę Rolską. Jest w niej też w niej list poety, który w roku 2000 przysłał On do społeczności szkolnej oraz wiersz pt. *Netta-Folwark* poświęcony mieszkańcom tej miejscowości opodal Augustowa deportowanym przez Sowietów na Sybir. Recytował go też podczas wizyty w naszej szkole z finezją aktorską i wrażliwością moralną.

Rzec można, że śp. Marian Jonkajtys należał do pokolenia aktorów i poetów, którzy z łatwością wędrowali po różnych obszarach ludzkiej wrażliwości. Ba, należał do osobowości, której talenty wykraczały znacznie poza zawód aktora. Swoją poezją wpisał się do literackiego almanachu jako piewca sybirskiej niedoli Polaków, którzy kibitkami, pieszo w kajdanach lub w deportacyjnych transportach wędrowali na zesłanie. Był Człowiekiem pogodnym i przyjacielskim, takim też zapisał się w naszej pamięci, tu w kresowej Netcie.<sup>4</sup>

*Henryka Mołodziejko*



### *Pogrążeni w smutku...*

Tak, pogrążeni w smutku autorzy tekstów o śp. Marianie Jonkajtysie przenieśli w przyszłość pamięć o Nim. Żegnano Go 13 kwietnia 2004 r., w dniu 64. rocznicy zesłania, gdy wraz z Matką i rodzeństwem nocą z dnia 12 na 13 kwietnia 1940 r. wywieziony został z Augustowa do Kazachstanu. Szczęśliwie powrócili wszyscy „z domu niewoli”, obolali i cierpiący, poszukujący z trudem swego miejsca w życiu, tym razem już nie w Augustowie, tak bardzo ukochanym przez Mariana mieście, które po dziś dzień odwzajemnia mu tę miłość.

Odwzajemniają Mu ją też Sybiracy z kraju i zagranicy, bo to On w strofach swych wierszy upamiętnił ból i rozpacz zesłańców Sybiru. W trzecią rocznicę śmierci wspominają Go bliscy, przyjaciele i współpracownicy.

*Spoleczność sybiracka i redakcja „Zesłańca”*

---

<sup>4</sup> Autorka jest dyrektorem Szkoły Podstawowej im. Sybiraków w Netcie

Wiesław Krawczyński

*Przyjacielowi  
śp. Marianowi Jonkajtysowi*

życie  
chwila przelotna  
smagana często  
okrucieństwem zdarzeń  
nawet wobec dzieci

życie  
układ cybernetyczny  
niezależnych zjawisk  
nieodgadnionych zapytań  
jak tajemnice kosmosu

odejście  
klamra ostatniego oddechu  
dla ludzi

w świecie wieczności  
wejście w bramę niebios  
nieskończoności

odszedłeś  
w rytmie poezji  
sybirskich znaków  
w hymnie – dającym pamięć  
nam – sybirakom

żegnam Cię – przyjazną myślą  
w modlony szept  
niech Ci się spełni  
niebios firmament  
a m e n

7 kwietnia 2004 roku

Marian Jonkajtys

Marsz Sybiraków

Z miast kresowych, wschodnich osad i wsi,  
Z rezydencji, białych dworków i chat,  
Myśmy wciąż do Niepodległej szli,  
Szli z uporem, ponad dwieście lat!

Wydłużyli drogę carscy kaci,  
Przez Syberię, wiódł najkrótszy szlak  
I w kajdanach szli Konfederaci  
Mogiłami znacząc polski trakt...

Z Insurekcji Kościuszkowskiej, z powstań dwóch,  
Szkół, barykad Warszawy i Łodzi;  
Konradowski unosił się duch  
I nam w marszu do Polski przewodził.

A myśmy szli i szli – dziesiątkowani!  
Przez tajgę, stepy – płataniną dróg!  
A myśmy szli i szli – niepokonani!  
Aż „Cud nad Wisłą” darował nam Bóg!

Z miast kresowych, wschodnich osad i wsi,  
Szkół, urzędów i kamienic, i chat:  
Myśmy znów do Niepodległej szli,  
Jak z zaboru, sprzed dwudziestu lat.

Bo od września, od siedemnastego,  
Dłuższą drogą znów szedł każdy z nas:  
Przez łód spod bieguna północnego,  
Przez Łubiankę, przez Katyński Las!

Na nieludzkiej ziemi znowu polski trakt  
Wyznaczały bezimienne krzyże...  
Nie zatrzymał nas czerwony kat,  
Bo przed nami Polska – coraz bliżej!

I myśmy szli i szli – dziesiątkowani!  
Choć zdradą pragnął nas podzielić wróg...  
I przez Ludową przeszliśmy – niepokonani  
Aż Wolną Polskę raczył wrócić Bóg!!!

---

ANTONI KUCZYŃSKI

## GDZIE STEP SZEROKI – Z DZIEJÓW ZWIĄZKÓW POLSKO-KAZACHSKICH. CZĘŚĆ I

„Hej stepie szeroki,  
Stepie Kazachstanu,  
Co z wiatrem przynosisz  
Gorzką woń burzanu...  
Gorzki smak zesłania...”  
Marian Jonkajtys, *My, których ocaliłaś*

### 1. Z najstarszych kronik

Historia Polaków w Kazachstanie ma jednoznacznie zesłańczy charakter i jest jego wyraźnym odbiciem. Związki polsko-kazachskie to współcześnie przede wszystkim przejawiający się w publicystyce krajowej problem powrotu Polaków do ojczyzny przodków. Wiele na ten temat napisano i sporo jest różnych opinii oraz przedsięwzięć wspierających te powroty. Nieco rodzin z Kazachstanu przesiedliło się już do Polski, kolejne etapy tego exodusu są zapewne przed nami, podobnie jak i prawne regulacje dotyczące tych powrotów. Rozwijają się też obecnie kontakty gospodarcze Polski z Kazachstanem zatem warto może przy tej sposobności zwrócić uwagę na odległe dzieje tych związków i wspomnieć o wkładzie Polaków w poznanie Kazachstanu oraz kultury jego autochtonicznych mieszkańców. W pierwszym planie tych związków jawi się fakt, że już w XIII wieku legat papieski Benedykt Polak, po najeździe mongolskim i bitwie pod Legnicą (1241), brał udział w misji dyplomatycznej do mongolskiego władcy Czyngis-chana i przemierzał ziemię dzisiejszego Kazachstanu, było to jednak, rzecz można, wydarzenie epizodyczne na tle późniejszych kontaktów Polaków z tym krajem. Jednakże nie od charakterystyki tej wyprawy wiedzie droga do polskiego opisanie Kazachstanu, lecz od podkreślenia dla kronikarskiej rzetelności, że relacja Benedykta Polaka była pierwszą autopsyjną wiadomością o praprzodkach dzisiejszych Kazachów, którą posiadał ówczesny papież Innocenty IV. Legacja zebrała ogromną ilość informacji geograficznych, etnograficznych i kulturowych o ludach, z którymi zetknęła się w podróży do mongolskiego władcy. Wiadomości te poszerzyły niezmiernie ówczesny horyzont geograficzno--kulturowy, dotyczyły bowiem krain i lu-

dów, spośród których na Zachodzie wielu nie znano nawet z nazwy; utorowały one także drogę kolejnym wyprawom drogę do Azji Środkowej i wschodniej.

Rezonans tej misji był jednak wówczas ograniczony do kręgu dworu papieskiego, a relacja Benedykta Polaka ukazała się drukiem parę wieków później.<sup>1</sup> Dlatego też do dzisiaj w nauce funkcjonuje powszechna opinia o tym, że pierwszym Europejczykiem, który odbył podróż w głąb Azji, był Marco Polo. Nie wglębiając się jednak w związek przyczynowy takiego poglądu, naukowa obiektywność prowadzi do korekty tej faktografii i nakazuje wpisanie Benedykta Polaka oraz Włocha Giovanniego da Pian del Carpiniego, legata papieskiego misji, w której brał udział wrocławski mnich Benedictus Polonus, do księgi pierwszych Europejczyków, którzy odbyli wówczas podróż na teren dzisiejszej Mongolii, jadąc przez ziemie kraju, który nazywał się „Kirges”, jak jest to odnotowane w relacji jednego z mnichów. Znane są trzy różne opisy tej podróży: najdokładniejszy, w formie książkowej, pochodzący od G. da Pian del Carpiniego, krótkie „sprawozdanie” Benedykta Polaka oraz historia Tatarów autorstwa C. de Brida, prawdopodobnie zakonnika polskiego pochodzenia, najpewniej z zakonu franciszkańskiego w Bardzie na Dolnym Śląsku, korzystającego w dużej mierze z informacji Benedykta, na które kilkakrotnie powoływał się w swoim opracowaniu.

Tę preambułę do historii związków polsko-kazachskich odnotowujemy po to, by świat przedstawiony w dalszych partiach tekstu pozwolił czytelnikowi zbliżyć się do odległej historii tych kontaktów. Wiemy dzisiaj dokładnie, że wspomniany XIII-wieczny ślad Benedykta Polaka w Kazachstanie przecina się ze szlakami tych, którzy stawiali tam swe stopy pod koniec XVIII wieku, gdy wielka fala konfederatów barskich zesłana została do Orenburga, a potem w XIX i XX stuleciu, gdy kraj ten był dla Polaków miejscem zesłań, a dla niewielu z nich także miejscem dobrowolnej rządowej służby (wojskowej i cywilnej), po tym, jak kończyli studia w Rosji – a byli to lekarze, orientaliści, inżynierowie, sędziowie, pracownicy administracji i inni, przysparzając temu krajowi korzyści w jego poznaniu i zagospodarowaniu. Częstokroć łączyły ich z Kazachami przyjazne kontakty, co dawało im możliwość pełniejszego poznania kultury tego narodu. Badania dotyczące tego wątku kontaktów polsko-kazachskich, to temat ze wszech miar interesujący, czekający nadal na swojego dziejopisa. Wiele jest w nich wątków różnej natury i treści. Wiadomo np., że nauczycielami kazachskiego uczonego Czokana Wali-chanowa był Karol Gutkowski, wykładowca geografii i geodezji w Sybe-

<sup>1</sup> F. M. Rosiński OFM, *Benedykt Polak – uczestnik legacji papieskiej do wielkiego chana (1245-1247)*, [w:] *Kościół katolicki na Syberii. Historia – Współczesność – Przyszłość*, pod red. naukową A. Kuczyńskiego, Wrocław 2002, s. 13-34; tenże, *Polskie opisywanie świata. Od fascynacji egzotyką do badań antropologicznych*, pod red. naukową A. Kuczyńskiego, Wrocław 2000, s. 7-21; *Spotkanie dwóch światów. Stolica apostolska a świat mongolski w połowie XIII wieku. Relacje powstałe w związku z misją Jana di Plano Carpiniego do Mongołów*, pod red. J. Strzelczyka, Poznań 1993.

ryjskim Korpusie Kadetów w Omsku oraz Hilary Gąsiewski, nauczyciel historii. Są źródłowe przekazy poświadczające jednoznacznie, iż Cz. Walichanow cieszył się wielką sympatią ich obu, korzystał z ich księgozbioru, uczestniczył w dyskusjach, co nie pozostawało bez wpływu na ukształtowanie jego postępowych poglądów, dotyczących zapewnienia narodowi kazachskiemu warunków do rozwoju własnej kultury.

W ich wielorakich działaniach zawodowych można też odnaleźć troskę o los tego kraju i poznanie kultury jego mieszkańców. Krąg drugi to działalność o charakterze gospodarczym, inspirowana dążeniami imperium rosyjskiego do rozpoznania zasobów naturalnych Kazachstanu. Poczynaniom tym towarzyszyła wielość sytuacyjnych splotów i różnych ukrytych złożoności, które wynikały z kolonialnej polityki Rosji wobec tych ziem. Wpisanie się Polaków w ten katalog wielu działań poznawczych, cywilizacyjnych oraz gospodarczych zapomnianych przez lata w naszej historiografii, a dzisiaj coraz częściej przypominanych, uczyni tę pamięć bardziej sprawiedliwą, a związki polsko-kazachskie wzbogacone zostaną o różne, jakże często dotychczas nierozpoznane elementy naszego dziedzictwa w tym kraju i ujawnią nieuchwytnie oraz mniej znane dotąd więzi. A było ich niemało na płaszczyźnie etnograficznego poznania kazachskiej kultury, przyrody tego kraju i jego zasobów naturalnych, wreszcie działalności gospodarczej i cywilizacyjnej, posługi lekarskiej oraz służby weterynaryjnej.

Powróćmy więc do wspomnianej wcześniej konstatacji o zesłańczech losach naszych rodaków w tym rozległym stepowym kraju. Ich obraz oddaje w jakimś stopniu obfita bibliografia autorstwa W. Galijewa, zatytułowana *Istorija Kazachstana. Dorewolucjonnyj pieriod. Bibliograficzeskij ukazatel*, t. 1-2, Ałma-Ata 1988, stanowiąca kompetentny przegląd rosyjskojęzycznej literatury z tego zakresu, w której są także tytuły związane z polskim wątkiem w Kazachstanie. Wspomnieć także należy o książce G. Sapargalijewa i W. Dżakowa zatytułowanej *Obszczestwiennno-politiczeskaja diejatielnost ssylnych Poliakow w dorewolucjonnom Kazachstanie*, Ałma-Ata 1971, której polska edycja ukazała się w roku 1982. Prezentuje ona wielość wątków polsko-kazachskich w tym także obserwacje ludoznawcze i badania geograficzno-geologiczne Polaków w tym kraju oraz ich udział w różnych dziedzinach życia na rozległych przestrzeniach Kazachstanu. A rozpoczynają się one w drugiej połowie XVIII stulecia i wiążą z losem konfederatów barskich, z których część osadzono w twierdzy orenburskiej, skąd w składzie rosyjskich wojsk wyprawiali się nieraz na tereny dzisiejszego Kazachstanu. Ich losy są niestety mało znane i ostały się jedynie w lakonicznych zapisach źródłowych, w większości jednak czas zatarł ślad. Pierwszą olbrzymią falę zesłańców, bo liczącą około 15 tysięcy, tworzyli więc uczestnicy konfederacji barskiej. Cezura czasowa i brak źródeł nie pozwala na odtworzenie ich losów, dość powiedzieć, że rozeszli się oni szeroko po Syberii, nawet aż na



Zabajkale, a Maurycy August Beniowski zawędrował zesłańczym szlakiem aż na Kamczatkę, z której zresztą zdołał uciec.<sup>2</sup>

Byli także konfederaci na ziemiach dzisiejszego Kazachstanu, bo włączeni do oddziałów wojskowych uczestniczyli w różnych akcjach zbrojnych przeciwko miejscowym plemionom. Ilu ich tam było, jak tę drogę odbyli, nie wiemy – natomiast zesłaniec Bronisław Zaleski, informując o tym, pisał, że

Orenburg od samych prawie początków cierpienia i pokuty naszej należał jakby do miejsc uprzywilejowanych wygnania; wyjąwszy Syberię, której nieobjęte przestrzenie chłoneły niezliczoną prawie liczbę naszych braci, tam może przez czas jakiś największą ich liczbę posyłano. Położony na wschodnim krańcu imperium, wśród ludności różnoplemiennej, a przeważnie mongolskiej, był istotnie miejscem najstosowniejszym na żywy grób dla nas. Tam najmniej wpływu polskiego obawiać się mógł rząd i rachował na to, że tam marnie wyginie. Ale nazwisko jedno Orenburga jeszcze miejsca wygnania w tych stronach nie określa, rozszerzyło się ono tam nawet w miarę ciągłego wzrostu państwa; bo też istotnie jednym jakby z fatalizmów, przywiązanych do naszej tułaczkiej doli, było to, żeśmy ślad w ślad za podbojami Rosji wędrować musieli. Gdziekolwiek stopa żołnierza rosyjskiego stanęła na Wschodzie, czy to na szczytach Kaukazu, czy nad granicami cesarstwa chińskiego i Spokojnego Oceanu, zaraz tam za nią iść musiał i wygnaniec polski, z tęsknotą i łzą swoją.[...]

Przy samym Orenburgu – pisał on dalej – gaj jeszcze na drugim brzegu Uralu, a dalej po Morze Aralskie z jednej, po Kaspjskie z drugiej strony, step tylko głuchy i pusty. Na przestrzeni tysiąca wiorst – jest tu jedno drzewo. Malutkie wzgórza i rozdoły jak fale lekko pofałdowanego morza ciągną się nieskończonym szeregiem, a piaski ruchome, wiatrami przesypywane ciągle, zajmują często pasy do wiorst trzystu długości. Rzadkie strumienie urywanymi jeziorkami płyną, to przepadają w ziemi, a ta znowu w wielu miejscach lśni się kryształkami soli, szeroko ją pokrywającymi nieraz. Latem upały wielkie i znojne, zimą dokuczliwsze daleko od naszych mrozy. Jak powierzchnia ziemi i postać nieba odmienna, tak różne tam wszystko od naszego, rośliny inne i zwierzęta, prócz konia i psa, nie takie jak nasze.

[...] A ludzie? Kirgiz przyrosły do konia, z namiotem swoim podróznym, z napojem z kobyłego mleka, z całym swym życiem koczowniczym. Z mongolskimi rysami twarzy, gospodarz dotychczasowy tych pustyń, który przez tyle wieków jako jedyną pamiątkę egzystencji tam swojej zostawił kilka wykopanych studni i nieco rozwalających się pomników grobowych – oto co spotkali wygnańcy nasi. Wszystko tam nie tylko inne, ale zupełnie i postacią, i duchem swoim różne i obce. Nic dokoła, co by rzeźwiło, wszystko zmuszało wejść w siebie i nowe rozpocząć życie.<sup>3</sup>

Historia tej ziemi i jej ludów to nieustająca wędrówka różnych plemion. W zamierzchłych czasach II i III wieku terytorium obecnego Kazachstanu zamieszkiwały liczne ludy. Potem jego część zajęli Hunowie, włodarzyli też tam Turcy i Mongołowie. Ta wielowiekowa dominacja

<sup>2</sup> E. Kajdański, *Tajemnica Beniowskiego. Odkrycia, intrygi, fałszerstwa*, Warszawa 1994.

<sup>3</sup> B. Zaleski, *Wygnańcy polscy w Orenburgu*, „Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu za rok 1866”, Paryż 1887, s. 76-77.

obcych elementów uniemożliwiała tworzenie się stałych związków państwowych o charakterze kazachskim. Raz najeźdźcy wyniszczali miejscowych, kiedy indziej znowu miejscowi wyniszczali się wzajemnie, walcząc o wpływy feudalnych władców. Procesy integracyjne nie przysły tu szybko, chociaż w XV wieku niektóre plemiona zjednoczyły się i w dorzeczu rzeki Czu utworzyły samodzielny chanat i przyjęły nazwę Kazachów. Z czasem też na innych terenach Kazachstanu utworzyły się trzy ordy: Wielka (Siedmiorzeczce), Średnia (Kazachstan Centralny) i Mała (Kazachstan Zachodni), na czele których stali chanowie. Nadal jednak sytuacja polityczna była chwiejna, przejściowa, a interesy poszczególnych chanów prowadziły do międzyplemiennych waśni. W wieku XVII na ziemie te najechali Dżungarowie, a po rozgromieniu ich przez Chiny (1756-1758) Kazachowie znaleźli się między dwiema potęgami: Chinami i Rosją. Zwłaszcza Rosja zainteresowana pełniejszym urealnieniem swej ekspansywnej polityki zarówno na Syberię, jak i w głąb Azji Środkowej przejawiała wielkie zainteresowanie kazachskimi ziemiami. Przez nie bowiem wiódł szlak handlowy do Chin. Na karawanowych drogach było jednak nadal niespokojnie. To właśnie sprawiło, że historia tych ziem pełna była różnorodnych konfliktów. Rozboje, bezprawie, nędza z jednej strony i bogate fortuny z drugiej, takie były realia tamtych czasów. To zawsze musi doprowadzić do konfliktu, a właśnie dualizm taki był szczególnie wyrazisty na tych terenach. W tym czasie gdy Rosja carska przejawiała zainteresowanie tymi ziemiami i rozpoczęła powolne ich kolonizowanie nazwa Kazachstan nie była używana, a Kazachowie określani byli mianem Kirgizów. Ziemie przez nich zamieszkiwane, podobnie jak przez inne narody tej części Azji Środkowej wchodziły w skład Zachodniosyberyjskiego Generalnego Gubernatorstwa potocznie zwanego Żółtą Syberią lub Krajem Stepowym. W czasach tworzenia się władzy radzieckiej terytorium dzisiejszego Kazachstanu nosiło miano Kirgiskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i dopiero w roku 1923 ustanowiono Kazachską Autonomiczną Republikę Radziecką. Jeszcze dzisiaj starzy Kazachowie nawiązując do tych czasów mówili mi: „Jak ja był Kirgiz, jeł machan i pił kumys/ Jak ja stał Kazach, oj propał, propał mój kurzach” (Jak ja byłem Kazachem jadłem mięso i piłem kumys, jak zostałem Kazachem, oj przepadł mój brzuch). Jest to proste nawiązanie do tamtych czasów, w których władza radziecka doprowadziła do likwidacji własności prywatnej, pozbawiając bogatych mieszkańców tej ziemi posiadanych przez nich olbrzymich stad bydła kolektywizując gospodarke pastersko-hodowlaną, co w wielu przypadkach spowodowało pierwotnie jej regres. Po rozpadzie Związku Radzieckiego (1991) i uzyskania przez Kazachstan suwerenności, kraj ten nazywa się obecnie Republiką Kazachstanu.

Głównymi zajęciami Kazachów były dawniej: koczownicza hodowla bydła, kóz i koni, prymitywne rolnictwo, a także handel wymien-

ny. Nic więc dziwnego, że z racji swego położenia ziemie te były obszarem, na którym mieszały się od wieków polityczne, kulturalne i gospodarcze wpływy arabskie, mongolskie i tureckie. W wieku XVIII natomiast zaznaczył się wyraźny wpływ imperialnej polityki rosyjskiej. Ta zacofana peryferyjna prowincja azjatycka popadała coraz bardziej pod rosyjskie wpływy. Panujące tam stosunki patriarchalno-feudalne powodowały bezwzględne posłuszeństwo koczowniczej ludności okazywane miejscowym władcom, ci natomiast, mamieni obietnicami Rosji, dobrowolnie uzależniali się od jej polityki i gospodarki. Doszło do tego, że w 1731 roku Mała Orda, w 1740 Średnia, a poczynając od 1819 stopniowo Wielka Orda przyjęły protektorat Rosji. Umocniwszy swe wpływy w 1822 r. Rosja zlikwidowała tam władzę chanów, rozpoczynając powolną kolonizację. Najlepsze obszary uprawnej ziemi w północnym Kazachstanie odebrano tubylcom, oddając je na osiedlenie wojskom kozackim. Stał się więc Kazachstan wewnętrzną kolonią Rosji i tworzył jej swoiste zaplecze militarne i gospodarcze. Tak było przez całe XIX stulecie, a później w innych realiach ustrojowych przez dziewięćdziesiąt lat w wieku XX. Gwoli obiektywności przyznać trzeba, że oprócz niewoli dała także kolonizacja rosyjsko-radziecka Kazachstanowi nowe wzorce kultury i nowe podstawy gospodarczego bytu, ale też zniszczyła ich kraj pod względem ekologicznym, zwłaszcza tych regionów, na których istniały poligony wojskowe gdzie dokonywano prób broni atomowej. Kto wie jednak, jak potoczyłyby się losy Kazachstanu, gdyby nie owa październikowa rebelia w Petersburgu? Postawić tu należy otwarte pytanie: które z państw Azji Środkowej miałyby tutaj największe wpływy, a może Kazachstan rozszerzyłby swoje panowanie na sąsiednie obszary?<sup>4</sup>

Pozostawiając na uboczu te domysły i rozważania, wróćmy do historycznych realiów związanych z rosyjskim włodarzeniem na tych obszarach. Otóż od początku zainteresowania ziemiami kazachstańskimi Rosja sposobiała się do ekspansji w tym kierunku. Na ziemiach dawnego Kraju Orenburskiego oraz południowej części Syberii Zachodniej, graniczących z dzisiejszym Kazachstanem, pojawiło się wiele twierdz, których załogi były w stałej gotowości do marszów na rozległe tereny tego kraju. Były to Iljińsk, Kizyl, Orsk, Tatiszczewo, Troick, Tanaty, Uralsk, Wierchnie-Uralsk, wszystkie obsadzone licznymi oddziałami. W początkach XIX w. wzdłuż południowej zachodnio-syberyjskiej linii granicznej liczącej 858 wiorst (czyli około 1.900 km) leżącej między Omskiem a Ust-Kamieniogorskiem znajdowały się 32 reduty, 3 twierdze oraz mniejsze posterunki graniczne. Wszystkie były ufortyfikowane, wewnątrz znajdowały się mieszkania korpusu oficerskiego i cywilnych urzędników, magazyny z prowiantem oraz koszary. Z nich wyruszały ku stepom ekspedycje wojskowe, jednak często też ich załogi musiały odpierać ata-

<sup>4</sup> W. J. Basin, *Rossija i kazachskie chanstwa w XVI-XVIII w.*, Alma-Ata 1971; N. Chalfin, *Prisoedinenie Sredniej Azii k Rossi (60-90-e gody XIX w.)*, Moskwa 1965.

ki ze strony Kazachów.<sup>5</sup> W Omsku znajdowała się Kancelaria Zarządu Granicznego Kirgizów Syberyjskich, w której opracowywano plany podbojów i uzależniania stepowych ludów od Rosji. W niej zatrudniony był polski zesłaniec Adolf Januskiewicz, dobry znawca tych terenów. Tamże pracował też zesłaniec Wiktor Iwaszkiewicz, który z poruczenia naczelnika guberni tobolskiej, generała Mikołaja Wiszniewskiego, przeprowadził spis ludności i inwentarza Starszej Ordy (zwanej też Wielką Ordą) przed oficjalnym poddaniem się jej pod panowanie rosyjskie.

Z wielkiego gąszczu faktów odnoszących się do długoletnich związków polsko-kazachskich można wyłuskać wiele nazwisk i zdarzeń. Powody tych kontaktów miały w zasadzie zesłańczy charakter i związane są z historią rosyjskiego panowania w tym kraju. To tam, podobnie jak na Syberię, kierowano jeńców z wojen polsko-rosyjskich w XVIII wieku, a także uczestników narodowych powstań Polaków – kościuszkowskiego (1794), listopadowego (1830-31) i styczniowego (1864), a także liczne rzesze niepokornych, walczących o niezależnienie się od rosyjskiego panowania. W historii zesłań Polaków w głąb Rosji wyraźnie jawi się wspomniany już poprzednio los konfederatów barskich, z których część znalazła się w Kraju Orenburskim, rozlokowana w twierdzach okalających od północnego wschodu ziemie dzisiejszego Kazachstanu.

Znawca dziejów Polaków na Syberii Zygmunt Librowicz wspominał też, że jeszcze pod koniec XIX stulecia w bliskości Semipałatyńska znajdowały się „dwie wioski, których mieszkańcy aczkolwiek już nie mówią po polsku”, uważali się jednak za potomków konfederatów barskich.<sup>6</sup> Generalnie o losie konfederatów barskich na zesłaniu wiemy bardzo mało, a wspomniany już B. Zaleski pisał też, iż nie wiadomo, ilu ich tam naprawdę było, jaką drogą dotarli do Orenburga ponieważ,

o ile wiemy, nikt z nich nie powrócił, kto by dał o tym świadectwo – ale dotychczas stoi mur kamienny, otaczający orenburską twierdzę, rękami konfederatów naszych wzniesiony i ten wymownie świadczy, że być ich musiało niemało i że do ciężkiej pracy używani byli. [...] Przed niewielu laty założony, Orenburg zagrożony był nieraz przez Baszkirów i Kirgizów, przez miejscową ludność tatarską; a jak były usposobione masy żyjące na tych przestrzeniach, najlepiej dowodzi fakt, że tam właśnie powstały i tak bardzo wzrosły bandy Pugaczowa. W walce z nimi mieliśmy mimowolnie nawet udział. Gwałtem w Syberii wcieleni do wojska konfederaci przyszli wtenczas z tamecznymi pułkami do Orenburga; 400 ich w bitwie z Pugaczowem poległo – wielu, razem z całą załogą Troicka, po wzięciu tego miasta wyróżnionych przez niego zostało.<sup>7</sup>

Skoro jesteśmy przy orenburskiej twierdzy, dodajmy, iż przebywający w niej konfederaci stanowili masę żołnierską, która podlegała surowym prawom regulaminowym. To byli ludzie przeznaczeni do ataku na pierwszej linii. Warunki bytowania w twierdzy były okropne i żołnierze-

<sup>5</sup> „Sibirskij Wiestnik”, 1819, t. 5, s. 146-149.

<sup>6</sup> Z. Librowicz, *Polacy w Syberji*, Kraków 1884, s. 55.

<sup>7</sup> B. Zaleski, op. cit., 76.

zesłańcy wymykali się nieraz by zasmakować wolności w rozległych stepach. Opisując te warunki, w których znaleźli się ludzie niejako na styku dwu cywilizacji, wspomniany już B. Zaleski czynił uwagę, iż wiadomo było, że niektórzy konfederaci, chcąc ulżyć swej doli, szukali

związków z powstającymi plemionami, być może długo jeszcze potem łudzili się myślą znalezienia sprzymierzeńców, a przynajmniej niebezpiecznych dla Rosji wrogów, i tam – oceniając podług naszych pojęć te plemiona zupełnie od nas różne, nic z Europą wspólnego nie mające i żadną europejską ideą nie dające się poruszyć. Podejrzewanych o chęć połączenia się z powstańcami czterech konfederatów w Orenburgu powieszono – ale więcej śladów nawet zamiaru podobnego nie ma; że w masach ani współczucia znaleźć, ani zrozumianymi przez nie być nie mogli. Rząd używał ich do robót, brał gwałtem do pułków liniowych, gdzie kijami zmuszał do wykonania przysięgi na wierność carowej, zapewne więc i do stanic kozackich wcielać ich musiał.<sup>8</sup>

W czasach oświeconego absolutyzmu rosyjskiego, gdy wszechwładnie panowała w Rosji szczecińska księżniczka Zofia Augustyna Anhalt-Zerbst, czyli imperatorowa Katarzyna II, srogo potraktowano konfederatów. Memoriał w sprawie ich położenia i powrotu do Polski złożył w Warszawie po powrocie z niewoli, pułkownik francuski w służbie konfederacji, Thesby de Belcour. Wstawiając się za pozostającymi w niewoli towarzyszami broni, informował on w 1774 roku króla i sejm o ich położeniu. Ilu z nich powróciło, nie wiemy. Wiadomo natomiast, iż część konfederatów brała także udział po stronie powstańców Jemieliana Pugaczowa, za co byli szczególnie karani, gdy dostali się w ręce wojsk rządowych. Szeroki, piaszczysty step nieznaną kresu wchłaniał tych ludzi, którzy wyruszali weń, by pacyfikować tubylcze osady, ich mieszkańców zaś podporządkowywać administracji rosyjskiej. Mimo woli więc wmieszani zostali polscy jeńcy w służenie rosyjskiej sprawie. Kto dzisiaj jest w stanie przedstawić ich rozterki, gdy, sami niewolni, musieli walczyć z tubylcami, by uczynić z nich rosyjskich poddanych. Ot paradoks historii, jakich wiele w kontaktach polsko-rosyjskich.

W starych materiałach źródłowych odnoszących się do rosyjskiego panowania nad Azją wiele jest podobnych przykładów. Nieraz dochodziło do krwawych walk z tubylcami, bywało, że i wśród kozackiej masy żołnierskiej wybuchały bunt. Wygłodniali żołnierze napadali na osady kolonistów, nieraz występowali przeciwko surowym regulaminom. Jakże często uważa się w literaturze dotyczącej zesłań syberyjskich, że zesłanie na katorgę w kopalniach było najsurowszym wyrokiem za nieprawomyślność wobec zaborcy. Tymczasem, jak słusznie wykazała Wiktoria Śliwowska, niestrudzona badaczka zesłań Polaków na Syberię i w inne rejony imperium rosyjskiego, właśnie przekazanie zesłańca „w żołdacy” i na ciężkie roboty w twierdzach stanowiły karę najdotkliwszą, częstokroć

---

<sup>8</sup> B. Zaleski, op. cit., s. 77.

zwielokrotnioną przez samowolę komendantów twierdz i dowódców innych oddziałów, niestroniących od hańbiącej kary chłosty.<sup>9</sup>

Wcielanie do wojska było częstą karą stosowaną wobec zesłańców politycznych, przeto i w jednostkach Korpusu Orenburskiego, i w oddziałach Korpusu Syberyjskiego, posiadającego twierdze wzdłuż północnych granic dzisiejszego Kazachstanu, znajdowało się wielu Polaków. Służba ta była udreką, nic więc dziwnego, że zdesperowani żołnierze, żyjący w ciągłym ponizeniu i nędzy, porzucali ją nieraz, ratując się ucieczką. Uchodząc w stepy, oczekiwali pomocy od tubylców, nieraz ją otrzymywali, częściej jednak dezercja kończyła się niepowodzeniem i pojmaniem w nową niewolę. Potem zagubili się gdzieś w rozległych stepach pełnych przedziwnych paradoksów i sprzeczności, zdeterminowanych różnicami interesów poszczególnych kazachskich chanów. Niektórzy z nich byli skłonni dobrowolnie poddać się pod panowanie Rosji, inni walczyli o prawa swego narodu, o prestiż i władzę. Dziwne to były czasy, a ich świadkowie wywodzący się spośród polskich zesłańców widzieli je, a nawet opisali, dając przez to obraz kazachskiej kultury, zwyczajów i obyczajów. Ostatecznie jednak w pierwszej połowie XIX stulecia Kazachstan wszedł w skład carskiego imperium, a pobudowane na jego terenie twierdze rosyjskie przyjmowały nowe zastępy polskich zesłańców.

Jednym słowem – służba w takich oddziałach była niebezpieczna. Często najeźdźcy i tubylcze plemiona wyniszczały się nawzajem. Pewne pogłosy tej sytuacji można też znaleźć w pamiętniku konfederata barskiego Karola Lubicz Chojeckiego, zatytułowanym *Pamięć dzieł polskich. Podróż i niepomysłny sukces Polaków przez urodzonego Karola Lubicz Chojeckiego*, wydanym w Warszawie w 1789 roku, pełnym dramatyzmu zesłania i kulturowych realiów.<sup>10</sup> Ich autor, zesłany w głąb Rosji, wcielony został do Korpusu Dragonów Syberyjskich, w którym służyli także inni pojmani w niewolę konfederaci barscy. Przez pewien czas przebywał w Omsku. Potem walczył przeciwko powstańcom J. Pugaczowa. Po stłumieniu powstania został odkomenderowany do Bachmuckiego Pułku Kozaków i walczył przeciwko burzącym się Tatarom nad Morzem Azowskim. Podczas przemarszów i częstych dyslokacji udało się mu

<sup>9</sup> W. Śliwowska, *Polacy na linii orenburskiej (pierwsza połowa XIX wieku)*, [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, pod red. S. Ciesielskiego i A. Kuczyńskiego, Wrocław 1996, s. 67-68.

<sup>10</sup> Nowa edycja tych wspomnień ukazała się w roku 1997. Dokładna nota bibliograficzna to: Karol Lubicz Chojecki, *Pamięć dzieł polskich. Podróż i niepomysłny sukces Polaków*. Na podstawie pierwodruku z 1789 roku wydali oraz przypisami opatrzyli Antoni Kuczyński i Zbigniew J. Wójcik, Bagno-Warszawa-Wrocław 1997. Nowe opracowanie tych wspomnień opatrzone informacją: „Opublikowano na pamiątkę wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II w Ojczyźnie w roku 46. Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego we Wrocławiu oraz konferencji naukowej «Syberia w historii i kulturze narodu polskiego» zorganizowanej przez Ośrodek Badań Wschodnich i Katedrę Etnologii Uniwersytetu Wrocławskiego oraz wyższe Seminarium Duchowne Salwatorianów w Bagnie przy współpracy Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego i Stowarzyszenia «Wspólnota Polska»”.

zbiec i powrócić do kraju. Jego wspomnienia zawierają wiele realiów odnoszących się do obszarów syberyjskich. Pisze w nich o klimacie i przyrodzie, charakteryzuje uciążliwość żołnierskiego życia, opisuje mniejsze i większe miejscowości. Podaje, że w Tobolsku, Kazaniu i wielu innych okolicach spotykał

wiele naszych Polaków, starych już mocno, w różnych tam stanach znajdujących się od kilkudziesięciu lat zabranych, którzy w rewolucji Stanisława Króla Leszczyńskiego dostawszy się w niewolę, nie mieli już swego wybawienia; przeżywał nas strach niejednego, obawiając się podobnego niebezpieczeństwa.<sup>11</sup>

Szczególne jednak jego zainteresowanie budziły nieznanne mu ludy Wotiaków, Czeremisów, Kirgizów, ich życie codzienne, ubiory, mieszkania, zwyczaje i obyczaje. Oto np., jak scharakteryzował Kazachów:

Naród ten mieszka w stepie pustym – pisał on – bez żadnych budynków, chleba nie jedzą, ani żadnego rolnictwa nie znają, szczególnie tylko mlekiem i mięsem żyją, bydła mają aż nazbyt wielki dostatek, ponieważ gospodarz jeden może mieć 5000 baranów, 2000 bydła rogatego, 1000 lub więcej koni i 300 lub 400 wielbłądów. Mieszkania ich *per modum* namiotów, wołokami nakrywane, mają takowe płoty drewniane na sprężynach żelaznych składane, które dokoła stawiają, na wierzch zaś mają krokwie z żerdzi na sprężynach zrobione, które także wołokiem nakrywają z zostawioną dziurą do wychodzenia dymu ogniowego, który na środku palą. Mają kotły najczęściej żelazne, w których mięso gotują i miseczki małe na podobieństwo filizanek, drewniane chińskie, którymi, gdy się ugotuje mięso, rosół piją, a potem same mięso jedzą. Niedługo oni na jednym mieszkają miejscu, gdyż bydła ich wielkość dla wypasania trawy potrzebuje częstego przeprowadzania się, a wtenczas dopiero, gdy się przeprowadzają, zbierają domy swoje i te na wielbłądy kładą i wynalazszy mil kilka lub kilkanaście dostatek trawy na inne z bydłem swoim prowadzą się miejsce. Gospodarzów też nie mieszka w jednym miejscu nad sześciu lub siedmiu, gdyż ci wielką swą liczbą bydła na mil kilka zabiorą obszerności. Pieniądzy żadnych nie znają ani ich biorą, gdyż wszystkie potrzebne sobie rzeczy na zamianę bydła swego nabywają. Z Moskalami ustawicznie jarmarczą na zamian rzeczy z czasem kilkanaście, a bardziej kilkadziesiąt tysięcy bydła nad Irtysz rzekę przypędziwszy, przeprowadzają się też Moskale do nich za Irtysz i tam z nimi na różne wymieniają towary za jedno tylko bydło, barany i konie, z niewypowiedzianym jednak zyskiem.<sup>12</sup>

Powróćmy jeszcze na chwilę do tej relacji, która oddaje wiernie ówczesny sposób życia tubylczej ludności Kazachstanu z zaznaczeniem okoliczności, jakie już wtedy tam zachodziły wskutek rosyjskiej kolonizacji Syberii Zachodniej. Owo napomknienie, że Kazachowie przeprowadzali się za Irtysz na jarmarki, jest potwierdzeniem istnienia wówczas ich osad w północnym rejonie kraju, czyli takiego właśnie zasięgu kazachskiego osadnictwa przed rosyjską ekspansją na te obszary, co nieraz bywa kwestionowane przez historyków rosyjskich. Z wszystkim, co napisał K. Lubicz Chojecki wypada się zgodzić, a ogólnikowość nie wyklucza prawdziwości informacji o ludności kazachskiej spotkanej na szla-

<sup>11</sup> K. Lubicz Chojecki, op. cit., s.74.

<sup>12</sup> K. Lubicz Chojecki, op. cit., s. 84-85.

kach, którymi wędrował autor tych opisów. Są one prawdziwe i choć świat przedstawiony przez autora wydaje się trochę sztuczny, nie brak w nim jednak blasku autentycznego obrazu życia ludności tubylczej i niebywałych losów autora. Pewne fragmenty jego pamiętnika mają coś z dramatycznych opisów z *Ogniem i mieczem* Henryka Sienkiewicza, jak pisał o tym znawca literatury polskiego Oświecenia, wybitny historyk literatury i erudyta Mieczysław Klimowicz.<sup>13</sup>

Wspomniano poprzednio o konfederatach barskich, którzy otarli się o kazachskie stepy. O ich następcach z końca XVIII i początków XIX stulecia nie zachowało się za wiele informacji. Wiadomo jedynie, iż część wziętych do niewoli żołnierzy napoleońskich dotarła w te strony. Jeden z nich, Melchior Witkowski, w *Pamiętniku prostego żołnierza z lat 1812-1816*, Wrocław 1961 wspominał, że wieźli ich aż do

miasta Omska, leżącego nad rzeką Irtyszem, gdzie ta rzeka graniczy z Syberią rosyjską i księstwem kirgiskim. Tam w tym mieście przenocowaliśmy. Nazajutrz poszliśmy do fortecy omskiej, gdzie pomiędzy miastem Omskiem a fortecą płynie rzeka pod nazwiskiem miasta Om. I ta rzeka wpada w Irtysz rzekę. W samym narożniku tej rzeki wpadającej jest forteca z czterema bramami. Idąc od miasta do fortecy nazywa się brama omska. We fortecy będąc miasto jest na północ i ta brama także na północ. Na wschód brama nazywa się irkucka, na południe tatarska brama nazywa się, na zachód nazywa się tobolska.[...] Gdyśmy już byli przewiezieni przez rzekę Irtysz do księstwa Kirgizów, jakeśmy przyszli w ich stepy, widzieliśmy wiele wielbłądów stadami pasących się po stepach, średnich i małych. Gdy ten inwentarz na tym placu wyje trawę, powieszają sakwy na wielbłądy i wsadzają też w sakwy dzieci swoje i zajmują resztę inwentarza i pędzą dalej w stepy. I tak z miejsca na miejsce z całą familją. Te stare wielbłądy tak są uczzone, gdy kto chce na nie wsiąść, to klękają na przednie nogi, jak tylko zawołają Kirgizy na nie *szalajkit*. My także jeździli na nich, gdyśmy szli przez ich księstwo, przez któreśmy szli tylko dni cztery. Przy granicy Syberii rosyjskiej ci Kirgizy chleb znają, ale w oddaleniu mil pięć lub sześć tam nie znają, tylko mięsem żyją, jako to końskim i wołowym; z mleka zaś kobyłego robią napoje tak mocne, którymi się można upić, tak są tegie. Dawali nam je do próbowania. Niektórzy mają na sobie adamszkowe tołuby, w zawojach po turecku, z ogolonymi głowami, na wierzchu głowy cokolwiek włosów.<sup>14</sup>

Przez stepy Kazachstanu niewielu wówczas chadzało Polaków. Nie znajduje się też u nas innych opisów z tego okresu, który, na użytek porządkujący, nazwaliśmy tu umownie napoleońskim.

## 2. Czas Filomatów i Filaretów

Już jednak nieco później zupełnie jaśniej rysuje się przebywanie w tych stronach członków Towarzystwa Filomatów i Zgromadzenia Filaretów (Uniwersytet Wileński) skazanych na służbę wojskową i osiedlenie, tj. Jana Czeczota, Adama Suzina i Tomasza Zana. Osadzono ich w twier-

<sup>13</sup> M. Klimowicz, *Oświecenie*, Warszawa 1973, s. 459.

<sup>14</sup> M. Witkowski, *Pamiętnik prostego żołnierza z lat 1812-1816*, [w:] *Pamiętniki z lat 1792-1849*, opracował R. Grabałowski, Wrocław 1961, s. 63.



dzy Kizyl. W 1824 roku zesłano także do Kazachstanu Alojzego Pieśłaka, Jana Witkiewicza i Wiktora Iwaszkiewicza, członków patriotycznego Stowarzyszenia Czarnych Braci z gimnazjum w Krożach na Litwie. Wszyscy oni zapisali się w dziejach tej krainy, pozostawiając do dni naszych żywy ślad w jej badaniach przyrodniczych, etnograficznych, geologicznych i dążeniach wolnościowych tubylców.<sup>15</sup>

\*

Tomasz Zan (1796-1855)

---

<sup>15</sup> W. Jewsiewicki, *Batyr. O Janie, Stowarzyszenie „Czarnych Braci” członków*, [w:] *Polacy w Kazachstanie*skiego i A. Kuczyńskiego, Wrocław 19

\*

Ks. Michał Zielonka (1797-1860)

Tomasz Zan (1796-1855) po opuszczeniu kizyłskiej twierdzy przybył do Orenburga w 1824 roku i trafił do kancelarii generała-gubernatora Wasyla Perowskiego. Można powiedzieć, iż los mu sprzyjał, oprócz bowiem urzędniczych obowiązków mógł zajmować się obserwacjami z zakresu geologii i przyrody rozległego Kraju Orenburskiego. A to interesowało go bezgranicznie, przeto przez Kazachów nazywany był „zbieraczem kamieni”. Interesował się występowaniem piasków złotonośnych w stepach kazachskich, które zlokalizował i przebadał ich procentową wydajność. Kolekcjonował także okazy flory i fauny, zabytki etnograficzne i historyczne oraz różnorodny materiał geologiczny – skały górskie, rudy, minerały, skamieliny. Wedle pewnych przekazów, gdy w 1837 roku T. Zan został ułaskawiony, zbiory, które pozostawił w utworzonym muzeum geologiczno-przyrodniczym w Orenburgu, składały się z 1500 okazów skał górskich, 150 rud i kopalin, 610 minerałów, 13 zieleni, w których było 1800 roślin, a także różnych spreparowanych okazów ptaków, owadów i zwierząt oraz eksponatów etnograficznych, map i rękopisów. Nic przeto dziwnego, że uważany jest za postać wielce zasłużoną dla tej ziemi, przypominaną od czasu do czasu w publikacjach jej poświęconych. Zyskawszy przyjaźń w osobie znanego w Orenburgu pułkownika Stanisława Ciołkowskiego – który zaangażował T. Zana do nauki języka polskiego i francuskiego swych dzieci – został on wprowadzony w środowisko miejscowych autorytetów, którzy, mimo iż zesłani Polacy określani byli często buntowszczykami, okazywali im swą przyjaźń, współczucie i pomoc. W jednym z listów pisanych do filarety Onufrego Pietraszkiewicza, T. Zan informował, że

Znajomy jestem z całym Orenburgiem, który dla mnie okazuje się być gościnnym, uprzejmym i cywilizowanym. Wyższych jego mieszkańców składają urzędnicy wojskowi, naszemu krajowi obowiązani i z najlepszej strony jego charakter znający. Tak ujęty i oblaskany jestem ich przyjmowaniem serdecznym, że musiał zapominać srogości, jaką mnie uciskać z obowiązku swojego powinni byli, i być nawet wdzięcznym niektórym [...]. Są tu ludzie znający kraj ten i ziemię dość ciekawą, bardzo mało nam znajomą. A my tu bez siły, bez pobudek i

celu na step wyrzuceni, ledwo przez pamięć szczęśliwej przeszłości życie swoje czuć mozem [...].<sup>16</sup>

Pozycja społeczna T. Zana w Orenburgu miała niepoślednie znaczenie dla jego działalności badawczej. Mógł swobodnie przenosić się z miejsca na miejsce. Często bywał w stepach, prowadząc obserwacje o charakterze etnograficznym, przede wszystkim wśród Kałmuków i Kazachów. Wspólnie z księdzem Michałem Zielonką, prefektem szkół dominikańskich na Litwie i Białorusi, zesłanym do Orenburga w latach trzydziestych, założył Muzeum Przyrodnicze, w którym znalazły się zbiory geologiczne, okazy botaniczne, zoologiczne oraz etnograficzne i historyczne, jak: odzież tubylcza, okazy broni, zbiory archeologiczne, numizmaty, mapy, sztychy i portrety, różne rękopisy i inne. Wielość eksponatów nadawała placówce znaczący charakter w tej części ówczesnej Rosji, a sława T. Zana niosła się daleko w step i do urzędów gubernatorskich. Spełniał swoje obowiązki ze starannością, był lubiany i szanowany. Zlecano mu różne zajęcia, z których najbardziej odpowiadały mu wycieczki w stepy, odpowiadające „zamiłowaniom do kamieni”, rozwiniętym na studiach w Wilnie. Cieszył się dobrą opinią, szacunkiem i życzliwością władz Orenburga, w którym z woli losu znalazł jako taką ostoję. Pozostawał w bliskich kontaktach z ks. Michałem Zielonką, zesłanym w 1833 roku na zamieszkanie do Orenburga pod dozorem policyjnym.<sup>17</sup> To jemu miasto w którym przebywał zawdzięcza wybudowanie kościoła katolickiego. Generał Wasyl Perowski uczynił go kapelanem Korpusu Orenburskiego. Wiele czasu poświęcał pracy duszpasterskiej i zawsze, gdy była potrzeba, wspomagał nie tylko wiernych. W 1837 roku T. Zan wyjechał z Orenburga i ks. M. Zielonka przejął opiekę nad utworzonym przez niego muzeum krajoznawczym i przyczynił się do dalszego jego rozwoju.

Wiemy, że podczas pobytu w Orenburgu T. Zan czuł się tam dobrze i spokojnie, nie cierpiał niedostatku, a szacunek miejscowych urzędników oraz ludzi z wpływowych środowisk dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Jego dorobek dotyczący poznania kazachskich stepów i ludzi tam mieszkających nie został jeszcze w pełni opracowany, wiadomo natomiast, że lata zesłania wiązały się z pracą w kancelarii generała gubernatora W. Perowskiego. Dawało mu to możliwość odbywania licznych podróży. Jedną z nich miała np. na celu odnalezienie miejsc gdzie „rozsypał się złoty piasek”, jak pisał w jednym ze swych listów. Często wyruszał w mało dostępne rejony stepu prowadząc eksploracje geologiczne, prace kartograficzne i klimatologiczne. Przy tym wszystkim nie krył podziwu dla miejscowych ludów Kazachów i Baszkirów, którzy odwzajemniali mu ten szacunek, wspomagając niejednokrotnie w trudnych warunkach stepowego życia. Zgodnie z wyniesionymi z kręgu filomackiej społeczności zasadami poszanowania wiedzy i jej praktycznego znaczenia dla rozwoju postępu był

<sup>16</sup> *Archiwum Filomatów*, t. I. *Na zesłaniu*, pod red. Cz. Zgorzelskiego, Wrocław 1973, s. 105-106.

<sup>17</sup> A. Kijas, *Polacy wRosji...* op. cit., s. 397.

człowiekiem nad wyraz praktycznym. Swoje terenowe zapisy przyoblekał w pełniejsze opracowania, był też autorem mapy geologicznej południowego Uralu. Podróżując jesienią 1832 r. spotkał w stepie Polaków, prowadzących eksploracje geologiczne, i stwierdził w swej korespondencji, iż polscy górnicy ożywili tam ruch poszukiwawczy naturalnych skarbów ukrytych w ziemi, i tak Wasiukiewicz poszukiwał złóż węgla kamiennego, Owsianego interesowała metalurgia, a Popławski w dolinach opuszczonych eksploatował złotonośne piaski.

Oto, jak wspominał T. Zana zesłaniec w te strony Bronisław Zaleski. Pisał on, że:

Zan prędko znajomy był bardzo wielu, pracował, a oddawszy się naukom przyrodzonym, głównie zaś geologii, niejedną usługę oddał władzom miejscowym w kraju tak bogatym, a o którym one nie wiedziały nic zgoła. Robił częste wycieczki do stepu i Kirgizów jako dzieci natury lubił, przez nich też lubiany znany był w aulach pod nazwaniem „miłośnika kamieni”, bo te w wycieczkach swoich zbierał. Szanowany powszechnie przez A. von Humboldta, nawet po jego podróży po Azji Centralnej, Mikołajowi zalecany jako największa tych stron osobowość, przebywał w Orenburgu lat blisko dwadzieścia i ledwo wtenczas, za wielkim staraniem, przez Petersburg wrócić potrafił. Dla towarzystwa rosyjskiego natura jego tkliwa, poetyczna, do mistycyzmu skłonna, nie była pojętną, wielu nazywało go marzycielem i rzadko kto mógł to życie prawdziwie ewangeliczne ocenić, wszakże w kilkanaście lat jeszcze po jego wyjeździe z Orenburga spotykały się tam osoby z zapalem utrzymujące, że gdyby takich ludzi pięciu było na ziemi jak Zan, to by świat cały przetworzyli, nie wylawszy kropli krwi.

Co do wspomnianego powyżej wybitnego uczonego niemieckiego A. von Humboldta, to istotnie spotkał się on z T. Zanem podczas swych podróży po Rosji. Wiemy, iż odwiedził wówczas Ural, Altaj i tereny leżące nad Morzem Kaspijskim. Z kalendarium wyprawy wynika, iż słynny przyrodnik, geograf i podróżnik niemiecki od lipca do września 1829 roku przebywał w Omsku, Troicku, Złotauscie, Orenburgu, Uralsku, Buzułuku oraz w twierdzach tanałyckiej, orskiej i wielu innych. Jeden z polskich zesłańców z kręgu „Czarnych Braci”, krożanin Alojzy Pieślak, pisał o spotkaniu z uczonym, informując, że

Kiedym przyjechał do twierdzy orskiej, zgłosiłem się do niego, on natomiast wypytał mnie szczegółowo o prowadzone przeze mnie prace w dziedzinie nauk przyrodniczych. Był niepomiernie zdziwiony, gdy w bibliotece mojego towarzysza Witkiewicza zobaczył 18 tomów swoich dzieł i gdy dowiedział się, że studiuje on języki wschodnie i że w sumie zna 19 języków łącznie z europejskimi.<sup>18</sup>

Biografowie T. Zana podkreślają także, iż bardzo istotnym wydarzeniem w jego życiu było spotkanie ze wspomnianym wyżej uczonym niemieckim, który poznawszy T. Zana i jego pasje badawcze, zwrócił się do władz o uwolnienie go z niewoli. Prośba A. von Humboldta została spełniona i w 1837 roku wyjechał on do Petersburga. Pracował tam w Bi-

<sup>18</sup> *Zapiski Pieślaka. Soobszczenije M.W. Łosiejewskiego*, „Istoriczeskij Wiestnik”, 1883, t. XIII, s. 583-584.

bibliotece Instytutu Górniczego. Jednakże jego zdrowie, nadwreżone ciężkimi przejściami i niedostatkami, bardzo się pogorszyło; otrzymał urlop i pojechał na Litwę w celu dalszego gromadzenia materiałów. Do ostatnich dni życia zajmował się opracowywaniem materiałów zgromadzonych w terenie. Zmarł w 1842 roku. Jego pamiętniki wydała z autografu Maria Dunajówna jako: *Z wygnania. Dziennik z lat 1824-32*, Wilno 1929. Ponadto jeszcze w XIX wieku ukazały się w Krakowie (1863) jego listy kierowane do różnych osób, zebrane w tomie *Żywot i korespondencje Tomasza Zana*. Kilkadziesiąt listów drukowano także w czasopiśmie „Kronika Rodzinna” (1883-1888), pod ogólnym tytułem *Listy Tomasza Zana do Karola Chodkiewicza*. W listach tych, obrazujących jego zesłańczy los, jest wiele innych informacji dotyczących miejsc, które poznał, będąc na zesłaniu. Są w nich także informacje przyrodnicze i etnograficzne, te ostatnie odnoszą się do Baszkirów i Kirgizów.

\*

Adam Suzin (1800-1879)

Wiernym przyjacielem T. Zana, stale wspomagającym go w terenowych eksploracjach, był Adam Suzin (1800-1879), student Uniwersytetu Wileńskiego skazany po procesie filaretów na 5 lat pobytu w twierdzy Kizyl, leżącej około 70 km od Orenburga. Po odbyciu kary mieszkał krótko w Orsku, potem zaś do 1837 roku w Orenburgu, gdzie był urzędnikiem w Komisji Granicznej. Z ramienia tej instytucji nadzorował sto-

sunki handlowe z południową Azją oraz sprawował nadzór nad plemionami koczowniczymi, których szacunek i przywiązanie zdobył sobie przez sprawiedliwe i ludzkie postępowanie. Wędrując po kazachskich stepach, pilnie obserwował życie i obyczaje Kazachów, zabytki ich przeszłości i stosunki społeczne. W 1834 roku wyjechał z Orenburga w dłuższą podróż po stepach, by tam spotkać się z Baj-Muhamedem, synem chana Małej Ordy, żywiącym przyjazny stosunek do władz rosyjskich. Mianowanie Baj-Muhameda pięć lat potem (1839) sułtanem Średniej Ordy pozwala przypuszczać, że podróż ta miała na celu pełniejsze poznanie poglądów tegoż na sprawy stosunków rosyjsko-kazachskich, a także przygotowanie innych lokalnych wodzów do akceptacji tego wyboru. Pobyt w stepach pozwolił Suzinowi zapoznać się z niektórymi zwyczajami koczowników, widział ich wesela, uczyty połączone z wyścigami, poznał warunki bytowania i układ stosunków społecznych. Był świadkiem różnych sytuacji wypełniających życie rodzinne i stosunki rodowe. Ich opis zawarty w artykule *Wycieczka w Stepy Kirgiskie odbyta w 1834 r. przez Adama S.*, opublikowanym na łamach „Kroniki Rodzinnej” (1870), świadczy niewątpliwie o zainteresowaniach A. Suzina realiami kulturowymi tych ludzi stepu. Sądzę, iż nie będzie przesadą, jeśli uznamy go za pierwszego polskiego profesjonalnego obserwatora kultury Kazachów. Dodajmy zaraz, że zasłużył sobie na to w nieszczęsnych latach niewoli jaka go spotkała. Bo rzecz to istotna, wskazująca na pasję poznawczą tego człowieka, która była wyraźną opozycją do srogięgo wyroku wydanego przecież tylko za nieprawomyślność wobec carskich porządków panujących w Wilnie.

By utrzymać chronologiczny ciąg tego tekstu, wspomnieć też trzeba o wyróżniających się postaciach z grona „Czarnych Braci” zesłanych na tzw. linię orenburską, którzy pozostawili żywy ślad w historii Kazachstanu. Teraz to już historia i o Stowarzyszeniu „Czarnych Braci” z miasteczka Kroże na Litwie mało kto wie. Była to grupka młodzieży z miejscowego gimnazjum, która swoje patriotyczne ideały wyrażała kontestowaniem carskich porządków i rusyfikacji procesu nauczania. Utworzono je prawdopodobnie w 1823 roku, w czasie, gdy działała w Wilnie Komisja Śledcza Nowosilcowa, powołana po ujawnieniu działalności patriotycznej w łonie młodzieży akademickiej tego miasta. Prowadzone wówczas śledztwo objęło także młodych gimnazjalistów z Kroż, prawdopodobnie po otrzymaniu donosu. Aresztowanych przywieziono do Wilna i w lutym 1824 roku po ponadmiesięcznym śledztwie sąd wojskowy pod przewodnictwem gen. Grigorija Rosena orzekł surowe wyroki. Za założycieli Stowarzyszenia uznano Cypriana Janczewskiego i Jana Witkiewicza, uczniów czwartego kursu. Za winnych nieprawomyślności wobec władz uznano także Wiktora Iwaszkiewicza, Alojzego Pieślaka, Mikołaja Suchockiego i Feliksa Zielenkiewicza. Dwu gimnazjalistów – C. Janczewskiego i J. Witkiewicza – jako najbardziej winnych, skazano na karę śmierci, pozostałych na dożywotnie ciężkie roboty i zesłanie. Wyrok ten

został złagodzony przez Wielkiego Księcia Konstantego. Dwaj młodzieńcy uratowali życie i podobnie jak pozostali, wcieleni zostali do garnizonów stacjonujących na linii orenburskiej. Uciążliwością tej kary było między innymi i to, że zesłańczy marsz odbywali w kajdanach, a potem bezwzględność regulaminów wojskowych, przewidujących np. karę chłosty, i z reguły bezsilność wobec tych warunków, w których zesłaniec-żołnierz przegrywał swoją stawkę, nawet bez nadziei na kompromis z sytuacją zastaną.

Do interesującego nas kręgu postaci należy krożanin Jan Prosper Witkiewicz (1808-1839), ów gimnazjalista ze Stowarzyszenia „Czarnych Braci”, skazany pierwotnie na karę śmierci. Wiemy już, że ten związek młodzieży gimnazjalnej w Krożach uznany został przez carski aparat represji za buntownicze sprzysiężenie, zatem i wyroki w odniesieniu do jakże młodych „spiskowców” były srogie. Zakuto ich w kajdany i zesłano do Orenburga, dokąd wędrowali przez siedem miesięcy, doświadczając po drodze wielu upokorzeń. Ze wspomnień A. Pieślaka wiadomo, że do miejsca przeznaczenia szli oni

zakuci w ciężkie pudowe (pud = 16,38 kg – A.K.) łańcuchy, które przyczyniały nam w drodze okrutnych mąk, zarówno wskutek nie przywyknięcia do ich noszenia i używania, jak i na skutek zbyt dużej wagi w stosunku do naszych osłabionych sił, co dawało się we znaki w czasie długich przemarszów od jednego etapu do drugiego.<sup>19</sup>

\*

Jan Prosper Witkiewicz  
(1808-1839)

L

Po przybyciu do Orenburga czterej przyjaciele zostali rozdzieleni i przekazani do służby w ramach Samodzielnego Korpusu Orenburskiego. Wiktor Iwaszkiewicz został przydzielony do Troicka, Alojzy Pieślak do Wierchnie-Uralska, Mikołaj Suchocki do Zwierinogołowska nad rzeką Tobol, a Jan Witkiewicz do twierdzy w Orsku. Wprawdzie nie była to katorga, do której zsyłano wielu polskich patriotów, ale służba w fortecznych batalionach nie należała też do łatwych. Żołnierzy srogo karano za naruszanie surowej dyscypliny, niekończące się musztry i bezsensowne zajęcia koszarowe były często przyczyną psychicznych załamań. W książce W. Dżakowa i G. Sapargalijewa, poświęconej dziejom Polaków w przedrewolucyjnym Kazachstanie, napisano między innymi, że roboty katorżnicze wytrzymywali nie wszyscy. Ale życie w twierdzach, dokąd zsyłano Polaków skazanych na służbę w szeregach żołnierskich, było podobne do katorgi. Drogą niekończącej się musztry i nieustannymi drobnymi szykanami osiągnano cel jeden – pozbawić więźnia możliwości myślenia o czymkolwiek poza perspektywą wielu lat służby. Za nieznaczne naruszenie dyscypliny wojskowej wydłużano lata służby liniowej, dodatkowo zaś winni byli nieraz poddawani karze chłosty. Pierwszym dozorcą zesłanego był podoficer z dziesiątki, następnie sierżant, który regularnie składał raporty dowódcy o jego zachowaniu. Te raporty były kierowane do dowódcy batalionu, stamtąd – do sztabu korpusu, gubernatorowi, a następnie do III Oddziału Jego Cesarskiej Wysokości. Cesarzowi meldowano o miejscu służby każdego „politycznego przestępcy” i bez jego wiedzy żaden z nich nie mógł być awansowany nawet do stopnia podoficera.<sup>20</sup>

Młodzi krożanie narażeni byli na jeszcze większe dolegliwości w żołnierskiej służbie. Oto bowiem skazano ich pierwotnie na dożywotnią wojaczkę, bez prawa awansu i z pozbawieniem szlachectwa, co nie chroniło ich od poniżających kar, zwłaszcza chłosty wymierzonej kijami przez dwuszeręg żołnierzy, przez który przechodził skazany. Na szczęście żaden z nich nie popadł pod ten szczególny rodzaj kary. Opisy takich egzekucji są dość realistyczne i dają ponury obraz kaźni. Przy dużej liczbie uderzeń ofiara traciła przytomność i lekarz kazał przerywać egzekucję. Gdy żołnierz wracał do zdrowia, ponownie kierowano go pod różgi, by wymierzyć mu wcześniej orzeczoną liczbę uderzeń. Nieraz egzekucja kończyła się śmiercią. Tę formę kary zastosowano np. wobec Józefa lub Aleksandra Lewandowskiego, uczestnika powstania listopadowego, który trafił do niewoli pod Hrubieszowem i został wcielony do Korpusu Orenburskiego. Szykany i połajanki, jakie go spotkały ze strony oficera rosyjskiego, sprawiły, iż uderzył go w twarz. Dowodzący tym Korpusem

<sup>20</sup> G. Sapargalijew, W. Dżakow, *Polacy w Kazachstanie w XIX w.*, Warszawa 1982, s. 32.



gen. Wasyl Perowski skazał go w marcu 1835 roku na karę 3 tys. kijów, czyli chłosty. Zmarł w czasie egzekucji, co wywołało szeroki rezonans wśród zesłańców, a na łamach emigracyjnego „Republikanina” (1837, nr 5 z 13 kwietnia) wychodzącego w Londynie ukazał się specjalny artykuł obnażający bezwzględność rosyjskiego systemu represji.<sup>21</sup>

Młodzi patrioci z Kroź wcieleni zostali do żołnierskich szeregów i poddani tam surowemu regulaminowi. Przypomnijmy, iż najmłodszy z nich miał 16 lat i orzeczone pierwotnie sądowe postanowienie „dozgonnego przebywania w wojsku bez prawa awansu”. Koszmar! Rozlokowani w batalionach na tzw. linii orenburskiej, narażeni byli nie tylko na surowość dyscyplinarną żołnierskiego życia, lecz również na ciągłe wymarsze w stepy, by chronić rubieżę carskiej monarchii przed napadami plemion kazachskich. Ponadto stepy kazachstańskie stanowiły obszar, przez który wiodły szlaki komunikacyjne z Rosji do państw Azji Środkowej. Kupieckie karawany, wyprawy dyplomatyczne, wędrówki eksploracyjne uczonych wymagały żołnierskiej ochrony. Przeto i służący w tych batalionach Polacy często wyruszali na ten niebezpieczny szlak.

Wędrując tzw. bucharskim szlakiem, karawany narażone były ciągle na rabunek. W celu ochrony posiadały one konwoje wojskowe, nieraz dobrze uzbrojone i liczne. Bywało jednak, że to nie pomagało w odstraszeniu rabusiów, znających wybornie teren i przystosowanych do walki na otwartym polu. Wiadomo np., że w 1824 roku wyruszyła z Orenburga do Buchary duża karawana, którą osłaniała eskorta wojskowa złożona z 625 żołnierzy, posiadająca na wyposażeniu dwie armaty. I choć tubylcy bali się ognia z dział, nie udało się uchronić karawany. Oddziałem chroniącym karawanę dowodził pułkownik Stanisław Ciołkowski, Polak w służbie rosyjskiej. Mimo, iż ochrona była mocna, karawana została napadnięta przez Chiwańców, Kirgizów i Turkmenów. Walczono przez trzynaście dni, wreszcie zdecydowano się na porzucenie towarów i wycofanie się. Podobnych przypadków było więcej na tym szlaku, a ponadto bywało i tak, że rozzuchwalone zwycięstwem tubylcze hordy napadały na osiadłych wzdłuż linii orenburskiej kolonistów rosyjskich. Być może, iż w niejednej z takich wypraw brali udział młodzi krożanie, z pewnością zaś niejednen Polak wcielony do carskiej armii walczył na tym stepowym teatrze. W każdym razie na przełomie roku 1829/1830 w warunkach życia trzech zesłańców, tj. A. Pieślaka, W. Iwaszkiewicza i J. Witkiewicza, zaszły duże zmiany. Zostali bowiem mianowani na podoficerów z prawem pobierania żołdu, a co zatem idzie - także zmiany statusu żołnierskiego. O całej zaś sprawie zdecydował przypadek, tj. kontakt ze wspomnianym już uczonym niemieckim Aleksandrem von Humboldtem. Otóż w Orsku, 7 września 1829 roku, przedstawiono mu żołdatę Jana Witkiewicza jako znawcę języków tubylczych ludów, geografii i stepów kazachskich. Niemiecki badacz zafascynowany zdolnościami młodzieńca

<sup>21</sup> W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy...* op. cit., s. 331.

oraz wszechstronną znajomością przez niego życia i spraw tubylczych, zapragnął pomóc żołnierzowi. Mniejsza o szczegóły związane z tym spotkaniem. Interesująco przedstawił to Władysław Jewsiewicki w książce: *Batyr. O Janie Witkiewiczu 1808-1839*, Warszawa 1983. W każdym razie zachowały się do naszych dni prośby A. von Humboldta, które skierował on do cara Mikołaja I w sprawie ulżenia polskim zesłańcom, wyrażając zarazem podziw dla ich hartu i poziomu intelektualnego. W pierwszej z nich, datowanej 25 listopada 1829 roku, pisał:

Pięć lub sześć lat temu troje młodych ludzi ze szlachty, wychowanków gimnazjum w Krozach, w guberni wileńskiej, zostało zesłanych w żołdacy do oddalonych twierdz, w których dotąd znajdują się: w orskiej Iwan Witkiewicz, mający wówczas 14 lat, w wierchouralskiej Jelisiej (Alojzy) Pieślak, siedemnastoletni i w troickiej – trzynastoletni Wiktor Iwaszkiewicz (wiek zesłańców został mylnie podany). W czasie ubiegłych pięciu lat wykonywali wszystkie obowiązki służbowe ku zadowoleniu swoich zwierzchników. Wyrażając skruchę za swoje winy, pokładali nadzieję w szlachetności i łasce monarszej.<sup>22</sup>

Dalej prosił A. Humboldt o darowanie im kary, wskazując na to, by J. Witkiewicz, który posiadał wielką wiedzę o kulturze stepowych koczowników i ich języki, miał możliwości do rozwoju swych zainteresowań. Po otrzymaniu odpowiedzi od cara z obietnicą ulżenia doli zesłańców, pisał ponownie:

W złożonej przeze mnie petycji upraszałem o łaskę szybkiego awansowania na podoficerów następujących zesłańców, służących w twierdzach: Jana Witkiewicza w twierdzy orskiej, Alojzego Pieślaka w twierdzy wierchneuralskiej, Wiktora Iwaszkiewicza w twierdzy troickiej. Wasza Cesarska Mość raczył mnie powiadomić, że los ich zostanie złagodzony. Prócz tego ośmielam się upraszać o łaskę przydzielenia do utworzonej w Orenburgu Komisji Graficznej Witkiewicza, który posiada wiele wiadomości, zdążył nauczyć się języków kirgiskiego i perskiego i jest lubiany przez zwierzchników.<sup>23</sup>

Wstawiennictwo A. von Humboldta, wielkiego autorytetu moralnego i naukowego, skutecznie odmieniło los żołdatów. J. Witkiewicz otrzymał zatrudnienie w Komisji Granicznej w Orenburgu, wykonując z jej ramienia różne misje, wykraczające daleko poza funkcję tłumacza, którą oficjalnie pełnił. Rozsądzał spory plemienne, obserwował handel z Bucharą, obsługiwał obce poselstwa i sam posłował do kazachskich bejów. Żywe zainteresowanie wzbudza do dzisiaj jego podróż do Afganistanu w latach 1837-1839 na polecenie władz rosyjskich rywalizujących z Anglią o wpływy w Azji Środkowej. Gdy wrócił z niej do Petersburga, popełnił samobójstwo lub został tam zamordowany najprawdopodobniej z rozkazu jednego z wywiadów – tj. angielskiego lub rosyjskiego. Śmierć ta była dla wszystkich zaskoczeniem, zarówno dla przyjaciół, jak i dla jego współpracowników.

<sup>22</sup> W. Jewsiewicki, op. cit., s. 83.

<sup>23</sup> Cyt. za. G. Sapargalijew, W. Dżakow, op. cit., s. 70.

Wspomnijmy, iż J. Witkiewicz służył jakoby w pierwszej linii mającej za zadanie zapewnić Rosji jej interesy w Azji Środkowej. Utrzymywał bliskie kontakty z kazachskimi feudałami – łagodził spory między poszczególnymi żusami, pośredniczył w interesach handlowych i zwalczał nadużycia. Znając język kazachski, umiejętnie oceniał przeróżne sytuacje społeczno-polityczne właściwe kazachskiej społeczności. Przedstawiały one dużą wagę dla administracji rosyjskiej – zarówno cywilnej, jak i wojskowej – dążącej do powolnego, acz konsekwentnego opanowania tego rejonu Azji. Z różnych notatek J. Witkiewicza wynika jednoznacznie, iż zdawał on sobie sprawę z tej formy ekspansji terytorialnej, widział też nieuchronność tego procesu, starał się jednak o to, by złagodzić do maksimum związane z tym uciążliwości spadające na tubylczą ludność. Był zdecydowanym przeciwnikiem ekstensywnej formy kolonizacji i jak tylko mógł, dbał o to, by oręż był w tym przypadku zupełnie zbędny. Posiadał rozległe stosunki wśród starszyny kazachskiej. Godził zwaśnione ordy, które bezwzględnością w walce o lokalne prawa wycinały się wzajemnie. Stosował zasadę dialogu dla załatwiania tych spraw, inspirował spotkania bejów, by nakłonić ich do pokojowego załatwiania konfliktów. Cieszył się dużym autorytetem wśród starszyny kazachskiej, która uznawała go za człowieka uczciwego, gardzącego przemocą. W raportach składanych swym zwierzchnikom akcentował konieczność włączenia się Rosjan do ustalenia pokojowych stosunków na rozległych obszarach stepowych. Zdecydowanie przeciwstawiał się tym, którzy utrudniali ułożenie poprawnych stosunków między Rosjanami i Kazachami. Nakłaniał też Rosjan, by podległe imperium plemiona kazachskie otrzymały osłonę przed napadami Chiwańców. W tym celu dostarczył informacje dotyczące wojskowej sytuacji chanatu Chiwy, podkreślając, że warowne budowle miast i twierdz chiwańskich są niedostatecznie przygotowane do obrony i przy zdecydowanym ataku rosyjskim legną w gruzach. W jego opinii Kazachowie byli zainteresowani wyprawą wojsk orenburskich przeciwko Chiwie, mając na względzie położenie kresu trwającym od lat grabieżom stad bydła i mienia. Sugerował, by wojska rosyjskie przeszły na rubież w pobrzeżu Syr-darii, tam bowiem Kazachowie czumiekiejewskiej ordy wędrowali na zimę ze swoimi stadami, by zapewnić im karmę. Często nieprzygotowani do walki z Chiwańcami, tracili stada, a poniesione straty w inwentarzu i sprzęcie osłabiały ich gospodarstwa z każdym rokiem.

Pracując w Orenburskiej Komisji Granicznej, wypełniał także J. Witkiewicz wiele sekretnych misji. Urząd ten bowiem miał w swych zadaniach gromadzenie informacji o sytuacji społecznej, gospodarczej i ekonomicznej rozległych chanatów środkowoazjatyckich. Zadania te wynikały ze stałej dążności Rosji do poszerzania swoich wpływów w tych rejonach. Ponadto nie zaniebdywano gospodarczej penetracji, podejmując eksploracje o charakterze geologicznym, przyrodniczym, etnograficz-

nym, mające stanowić oparcie dla umocnienia rosyjskiego panowania. W pracach tych polscy zesłańcy zapisali także swój wkład. Skoro mowa o penetracji polityczno-wojskowej, nie od rzeczy będzie wspomnieć o ekspedycji J. Witkiewicza do Buchar. Wyjechał tam w składzie karawany kupieckiej w listopadzie 1835 roku. Miasto to było w owym czasie centrum handlu niewolnikami, wśród których było także wielu Rosjan. Już sam udział w kupieckiej karawanie pozwala domniemywać, że misja ta miała agenturalny charakter. Sprawozdanie z niej obfituje w różne informacje o charakterze politycznym, jak np. wiadomości o działających w Bucharze agentach angielskich, a także wykaz osób mogących odgrywać te role na rzecz Rosji. Są w nim także wiadomości o wojsku bucharskim i jego uzbrojeniu, o jej władcach oraz panujących w mieście nastrojach politycznych. Podając skład narodowościowy niewolników, uczynił także uwagę o pewnym Polaku o nazwisku Michalski, pochodzącym spod Zamościa, który pojmany w niewolę, gdy uciekał z twierdzy w Orenburgu, został uwięziony przez Kajsaków, a następnie sprzedany do Buchar. Widocznie Polak ów był nieprzeciętną osobą, skoro po pewnym czasie mianowano go „naczelnikiem” rosyjskich niewolników przebywających w Bucharze.

J. Witkiewicz należy do kontrowersyjnych postaci, a jego krótkie, choć burzliwe życie stało się kanwą wielu opracowań, w których opisy mają odniesienie do rzeczywistości i tchną dużym stopniem wiarygodności, aczkolwiek są i takie, gdzie wyraźnie zostały one zmodyfikowane do wersji bliskiej opowieści przygodowej. Z literatury tej sam bohater jawi się w pozytywnych barwach, a jego życie spowite jest pasmem przedziwnych losów. Czyż nie one legły u podstaw jego tajemniczej śmierci w Petersburgu w maju 1839 roku?

Wreszcie czas wspomnieć o kolejnym „Czarnym Bracie” zesłanym na tzw. linię orenburską, tj. Wiktorze Iwaszkiewiczu (1806-1859?). Podobnie jak inni z tego grona, on też służył w jednym z batalionów fortecnych, skąd dzięki wspomnianemu już wstawiennictwu A. von Humboldta przeszedł do służby w Orenburskiej Komisji Granicznej. Szybko awansował – w marcu 1830 otrzymał stopień podoficerski, w kwietniu 1835 awansował na stopień chorążego, zaś w lipcu 1839 roku został mianowany porucznikiem. Począwszy od 1830 roku wykonywał funkcje urzędnicze we wspomnianej już Komisji Granicznej, w ramach której opracowywano różne warianty gospodarczo-wojskowego penetrowania stepów kazachskich i dalszych obszarów Azji Środkowej. Najprawdopodobniej służba ta szła mu nieźle, skoro w kwietniu 1842 roku został mianowany adiutantem szefa sztabu Samodzielnego Korpusu Syberyjskiego stacjonującego w Omsku. Ze względu na chorobę wystąpił ze służby wojskowej, pozostał jednak urzędnikiem ze specjalnymi zadaniami przy naczelniku Zarządu Granicznego Kirgizów Syberyjskich. Od 1848 roku dysponował zgodą monarszą na zatrudnienie w służbie cywilnej na tere-

nie Syberii Zachodniej, pod warunkiem, że pozostanie na jej obszarze na zawsze poddany tajnemu nadzorowi ochrony. Ożenił się z Polką i pozostał na terenie Syberii. Posiadał rangę radcy tytularnego i pracował jako asesor w tobolskim zarządzie gubernialnym. Nie posiadamy pełniejszych danych źródłowych, by móc dokładniej przedstawić biogram tej postaci. To, co jej dotyczy, odnosi się w większości do okresu pozostawania w służbie wojskowej. Jej charakter – poza okresem przebywania w batalionie liniowym – związany był z pracą o charakterze administracyjnym. Z różnych papierów urzędowych zachowanych w Kazachstańskim Archiwum Państwowym w Ałmaty wnika, iż W. Iwaszkiewicz włączony był w sprawy związane z penetrowaniem stepów kazachskich pod względem gromadzenia informacji o stosunkach zachodzących między Kazachami a Rosjanami, o różnicach dzielących kazachskie rody w sferze ich poglądów na kwestie rosyjskiego władztwa na tych obszarach. Wiadomo, że uczestniczył w ekspedycji naczelnika Zarządu Granicznego Kirgizów Syberyjskich generała Mikołaja Wiszniewskiego, związanej z przyjęciem Wielkiej Ordy w skład imperium carskiego. Był organizatorem uroczystości, podczas której odbierano przysięgę sułtanów i naczelników rodów starszego żusa, zgromadzonych na uroczysku Kzył-Agacz. Przysięgali oni wówczas „wiernie i szczerze służyć” carowi rosyjskiemu, stosować się do wszystkich praw i nakazów, być posłusznym we wszystkim jego woli, nie „szczędząc życia do ostatniej kropli krwi”. W. Iwaszkiewicz, „który uczestniczył w ostatecznym prawnym uregulowaniu przyłączenia starszego żusa do Rosji, wykazał przy tym niepospolite zdolności dyplomaty i administratora”.

Pomijając drobiazgowo kreślenie losów „Czarnych Braci” z Kroź, nieco wiadomości podać też należy o Alojzym Pieślaku (1805-1881), który po przybyciu do Orenburga skierowany został do 6. batalionu liniowego kwaterującego w Wierchnieuralsku. Nie było mu tam łatwo, dośkwierał brak pieniędzy, więc miał się różnych zajęć: udzielał lekcji, zanim mu tego nie zabroniono, robił szczotki lub naprawiał buty. Rozmiałowany w przyrodoznawstwie, podziwiał stepową roślinność i gromadził kolekcje botaniczne. We wspomnieniach pisał, że wystarał się o to, by z uniwersytetu wileńskiego przysłano mu podręczniki na ten temat. Otrzymał je, a ponadto

przysłano mi zasiłek pieniężny i niezbędne podręczniki przyrodoznawcze – wspominał – które jednak zabrano mi, przy czym zabroniono także zbierania roślin i owadów. [...] W czasie wolnym od obowiązków służbowych uczyłem dzieci czytania i pisania pobierając 10-12 kopiejek na miesiąc od ucznia. Po trzech latach zabroniono mi dawania lekcji. Dla zarobku szyłem buty, robiłem na drutach rękawiczki i pończochy, dla satysfakcji duchowej zająłem się studiowaniem przyrodoznawstwa i gromadzeniem kolekcji botanicznych.<sup>24</sup>

---

<sup>24</sup> *Zapiski Pieslaka...*, op. cit., s. 583.

Los jego został odmieniony po spotkaniu z A. von Humboldtem. Został awansowany na podoficera, a po uwolnieniu ze służby ożenił się z Rosjanką i mieszkał w jej folwarku Aleksiejówka opodal Birska, zajmując się uprawą roli.

Z wielkiej gęstwiny spraw polskich na syberyjskim zesłaniu w okresie do powstania listopadowego można wyłuskać wiele innych nazwisk prostych żołnierzy służących w twierdzach na pograniczu z Kazachstanem, zwłaszcza w Kraju Orenburskim. Ich służba oprócz uciążliwości i niebezpieczeństw nie wyróżniła się czymś szczególnym w sensie wiedzy o stepowych ludach i ich kulturze, zatem i pamięć o nich zetlała po latach, rzecz można – czas zatarł ślad. Jedno jest pewne, że nasi rodacy nadstawiali głowy za „ruskie sprawy, choć nie szukali śmierci na obcej ziemi”. Wręcz przeciwnie, służba ich była poniewolna. Przybyli tu z dalekiego kraju, o którym w kazachskich stepach nikt nie słyszał. Zniewoleni przez Rosjan, za Rosjan byli uważani przez Kazachów, którzy niejednokrotnie wielu z nich pojмали w niewolę. Czy popadli na targ niewolników do Buchary? Nikt o tym jednoznacznie zaświadczyć nie może, ale odnalezienie w tym mieście przez J. Witkiewicza owego Michalskiego spod Zamościa dowodzi, iż i tędy wiodły polskie drogi do niewoli, na poniewierkę i zatracenie. Jest to szczególnie prawdziwe w wypadku Polaków służących na tzw. linii orenburskiej, uczestniczących nieraz w konwojowaniu rosyjskich karawan do Chiwy i Buchary. Wtenczas bowiem najwięcej z nich popadało w niewolę, gdyż łupieżcze bandy Turkmenów, Kajsaków czy Chiwańców wybornie radziły sobie w stepowym kraju i mało kiedy napadnięta karawana obroniła się skutecznie od nich. Łupem padały nie tylko towary, ale i ludzie, którzy na bucharskim targu niewolnikami byli także towarem, towarem o szczególnej wartości. Można przyjąć za pewnik, że z tak odległych stron już się nie wracało.

Wspomniano poprzednio o konfederatach barskich, żołnierzach napoleońskich, „Czarnych Braciach” oraz „Filomatach” i „Filaretach”, którzy jako zesłańcy znaleźli się na tzw. kazachskiej ścieżce i zapisali się nawet w dziejach poznawania i zagospodarowywania Kazachstanu. Zdaniem Jerzego Kozłowskiego zesłania lat 1815-1830 nie były liczne i zamykały się w granicach maksymalnie do 100 osób

i to łącznie z karnie odesłanymi do służby wojskowej na czas nieokreślony. Objęły one wyłącznie ziemie „zabrane”, to jest położone na wschód od Królestwa Polskiego, bądź też Polaków pochodzących z tych ziem i uznanych za poddanych rosyjskich. W większości była to młodzież uniwersytecka i szkolna oraz niżsi rangą oficerowie, członkowie tajnych lub półtajnych organizacji, którzy płacili wysoką cenę za swą patriotyczną gorliwość i ideową postawę.<sup>25</sup>

<sup>25</sup> J. Kozłowski, *Emigracja okresu schyłkowego Rzeczypospolitej szlacheckiej i porozbiorowa (do 1874 r.)*, [w:] *Emigracja z ziem polskich w czasach nowożytnych i najnowszych (XVIII-XX w.)*, pod red. A. Pilcha, Warszawa 1984, s. 89.

Podobnie jak w Wilnie czy Krożach na Żmudzi, podobnie w innych rejonach kraju młodzi ludzie, często uczniowie gimnazjów zakładali patriotyczne stowarzyszenia nie godzące się z niewolą. Poddane dyktaturze przemocy ich młode życie, w takich właśnie formach organizowania się stanowiło obronę przed prześladowaniami i zniewoleniem. Ich uczestnicy poddawani byli represjom i zsyłani za Ural. Spotkało to np. braci Ordyńskich z gimnazjum w Białymstoku, członków Towarzystwa Przyjaciół Wojskowych. Jeden z nich o imieniu Karol skazany został w 1827 r. na pięć lat ciężkich robót w twierdzach, a po ich odbyciu na osiedlenie na Syberii. Orzeczoną karę ciężkich robot odbywał w Omsku, następnie w Ust-Kamieniogorsku a potem w Semipałatyńsku. W 1830 r. uzyskał zgodę na służbę w Korpusie Syberyjskim, z którego został zwolniony w 1838 r. i przeszedł do pracy jako urzędnik w Tobolskim Urzędzie Gubernialnym, a następnie w innych miastach na Syberii, między innymi w Semipałatyńsku gdzie mieszkał wraz z rodziną.<sup>26</sup> Skoro za pośrednictwem K. Ordyńskiego jesteśmy w Ust-Kamieniogorsku

### 3. Powstańcy listopadowi i inni

Nieszczęsne wydarzenia powstania listopadowego to bodaj pierwsza w XIX stuleciu masowa zsyłka Polaków w głąb Rosji. Szacuje się na podstawie niedokładnych materiałów, że objęła ona około 20 tysięcy osób i prawdopodobnie około 2 tysiące z tej liczby skierowano do oddziałów wojskowych wchodzących w skład Korpusu Orenburskiego. Do dać do tego jeszcze trzeba powstańców wcielonych do wojsk kozackich, których długoletnią służbę regulowały określone dekrety wojskowe.

Do takich właśnie powstańców listopadowych należał Adolf Januskiewicz (1803-1857) który po latach stał się wspólną własnością nauki polskiej i kazachskiej. W tej części Azji reprezentował on z urzędu interesy rosyjskie, natomiast w wysyłanych do bliskich listach pewny był swoich racji o kolonizacyjnej polityce Rosji, prowadzącej do zniewolenia ludu Kazachstanu. Żywił do niego wielką sympatię, upatrując w jego tradycjach i kulturze pewne porządki i reguły, rzecz można uniwersalne, sprawdzające się w surowych warunkach życia na stepie, co nie wykluczało faktu, że dostrzegał tam nędzę. Nieraz starał się jej zaradzić poprzez obiektywne przedstawianie rosyjskim władzom sytuacji panującej w stepie i pod dachami okopconych jurt. Zesłano go na Syberię za udział w powstaniu listo-

<sup>26</sup> J. Trynkowski, *Gimnazjum. Z dziejów Gimnazjum Białostockiego (1777) 1802-1915*, Białystok 2002, s. 146.

padowym.<sup>27</sup> Początkowo przebywał we wsi Żylakowa w guberni tobołskiej, a potem przez parę lat mieszkał w Iszymie.

Wreszcie od 1841 roku osiadł w Omsku, gdzie pracował w kancelarii Zarządu Granicznego Kirgizów Syberyjskich. Urząd ten, zainteresowany penetracją ekonomiczną i polityczną stepów kazachskich, często wysyłał swych pracowników w teren. Szli w dzikie ostępy, by tam nieść obietnicę carskiego imperium o wielorakiej pomocy dla krajowców. Nieraz zostawali w stepach na zawsze, osaczeni przez Kazachów broniących swej ziemi. Byli wśród nich także Polacy, służący w oddziałach wojskowych stacjonujących w twierdzach okalających kazachską ziemię od północy. Rzadko tylko wspomina się z imienia i nazwiska owych bohaterów codzienności. Stanowili oni jednak silne oparcie dla rosyjskiej kolonizacji północnego Kazachstanu. Pod ich naporem plemiona kazachskie cofały się ku południowi. Wytyczając kolonizacyjny szlak, tworzyli warunki do powstawania osiedli rosyjskich, rozwoju handlu i rzemiosła. Żyzne stepy północne, na których kiedyś wypasały się stada wielbłądów oraz owiec i koni, zazieleniły się teraz łąkami zbóż, pobudowano młyny i gorzelnie, zapewniające regularne dostawy żywności do twierdz. Powstało zaplecze kolonizacyjne. Trudne były to czasy, w których odmienny był tu nie tylko język, ale tradycje, zwyczaje i obyczaje, sposób bycia i mentalność, różniące autochtonów i przybyszów. Mało się wie o tamtych odległych czasach. W każdym razie spory procent ludności rosyjskiej w dzisiejszym północnym Kazachstanie, a także w jego centrach administracyjnych – dawniejszych twierdzach – to z całą pewnością spadek po carskiej jeszcze kolonizacji tych ziem i sowieckiego już ich zawłaszczania. Problem to niesłuchanie ważny dzisiaj, gdy Kazachstan stał się wolnym państwem. Dawniej stosunki rosyjsko-kazachstańskie układały się rozmaicie i zawsze pozostawały pod wpływem imperialnej polityki rosyjsko-radzieckiej.

Wróćmy jednak do postaci A. Januszkiewicza, uwikłanego w jakiś sposób w rosyjską politykę kolonialną na tym obszarze. Pracując w kancelarii Zarządu Granicznego Kirgizów Syberyjskich, włączony był w wiele spraw związanych z realizacją zadań administracji rosyjskiej na rzecz pełniejszego powiązania Kazachstanu z imperium. Rzecz jasna, że łączyło się to częstymi wyjazdami do kazachskich aułów, by mieć pełniejszy wgląd w atmosferę społeczno-polityczną panującą wśród tubylców. Zdajemy sobie sprawę, iż pertraktacje z poszczególnymi władcami stanowiły zbyt wielkie ryzyko dla mediatora. Trudno tutaj rozważać wszystkie subtelności carskiej polityki w tym względzie, jej podstawę stanowiło jednak to, że w przeciwieństwie do obszarów syberyjskich,

<sup>27</sup> A. Kuczyński, *Ludy dalekie a bliskie. Antologia polskich relacji o ludach Syberii*, Wrocław 1989, s. 124-126; J. Odrowąż-Pieniążek, *Dzieje Mickiewiczowskiego Adolfa*, „Kwartalnik Instytutu Polsko-Radzieckiego”, 1956, nr 1; S. Makowski, *Adolf Januszkiewicz w świetle nowych odkryć*, „Przegląd Humanistyczny”, 1969, z. 1; W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy...*, op. cit., s. 235-236; A. Januszkiewicz, *Listy z Syberii*. Wybór, opracowanie i przypisy H. Geber, Warszawa 2003.



które kolonizowano siłą, w Kazachstanie zachowywano pewne pozory dyplomacji. Różnice w tym względzie podyktowane były również odmienną sytuacją demograficzną panującą na tych obszarach. Ludy Azji Środkowej posiadały pewną formę organizacji państwowej i trudno było ją podporządkować Rosji na zasadzie siły, chociaż było to możliwe z uwagi na przewagę militarną imperium. Groziło to jednak wojną partyzancką, ciągłym nękaniami najeźdźców, niszczeniem ich osad itp. Umyślono więc sobie w Petersburgu, że radykalniejsze będzie zastosowanie polityki powolnych działań. W tym celu penetrowano dokładnie teren rozległych stepów, by wiedzieć kiedy, i gdzie wybuchają jakieś konflikty międzyplemienne, przekonywano poszczególnych władców do rosyjskiej polityki, obiecywano im zobowiązanie się Rosji do pilnowania kazachskich interesów i obrony plemion przed napadami sąsiednich ludów. Wysłano do tubylczych osad lekarzy, by zwalczali epidemiczne choroby, wspomagano materialnie władców w pozyskiwaniu przez nich artykułów zaopatrujących domowe gospodarstwo.

I tu wchodzimy niejako w sedno spraw załatwianych przez A. Januskiewicza na rzecz Rosji. Zadania swe wykonywał przez ponad dziesięć lat. Był sumienny w pracy i otrzymał za nią godność radcy tytularnego. Znał wielu naczelników kazachskich rodów i cieszył się ich zaufaniem. W raportach składanych swym zwierzchnikom obiektywnie informował o sytuacji panującej wśród Kazachów. Widział duże rozwarstwienie społeczne właściwe dla tego ludu, postępujące także pod wpływem kolonizacji. Podkreślał bezwzględną władzę naczelników rodów i często współczuł biedocie, cierpiącej nędzę i głód. Wskazywał na środki zaradcze, postulując np. wysłanie w step lekarzy, by ograniczyć praktyki miejscowych znachorów odpowiedzialnych za wysoki procent śmiertelności wśród ludności tubylczej. Stał na stanowisku, że w każdej gminie powinien być felczer wyposażony w podstawowe lekarstwa. Od tego uzależniał powodzenie w leczeniu i skłonieniu się Kazachów do nie przyjmowania pomocy od *kafyrów*, czyli niewiernych, tj. niemuzułmanów. Czy mu się to udało? W pewnym stopniu tak! Przebywając w stepach ze wspomnianym już W. Iwaszkiewiczem, wspominał, iż:

Na wieść o tych cudownych lekarstwach mego improwizowanego Hipokratesa, zbiegały się tłumy chorych z okolicznych aulów. Przywożono ich na koniach, krowach, wielbłądach, a najsłabszych na dwukołowych taradajkach, arbami zwanych. Wszyscy prosili o te proszki, co większy skutek przynosiły niż modlitwy mułłów i zaklęcia buksów (znachorów i szamanów w jednej osobie – A.K.); uzdrowieni zaś składali swe dzięki w najczulszych wyznaniach. Mąż nawet jednej młodej i wcale nieszpętnej rekonwalescentki posunął do tego stopnia uczucie wdzięczności, że na wyjeździe w drogę żegnając się z nami i dziękując Wiktorowi za pomoc okazaną żonie, prosił, aby w czasie nieobecności jego, nie robił sobie żadnej ceremonii i raczył go zupełnie zastąpić.

Ta wielka liczba chorych na febrę niczym jest atoli w porównaniu z syfilietyczną zarazą, której straszne spustoszenia ciągle się nam nasuwają przed oczy; zresztą febra, jak nas zapewniano, grasuje tu tylko z początku wiosny; latem zaś

sam wpływ powietrza, ruch, kumys, uwalniają od niej chorego i bez pomocy lekarskich środków.

\*

Adolf Januskiewicz (1803-1857)

ewicza, to chociaż jego działalność w alnej humanitarnej walki z trapiącymi nano go na tej ziemi jako człowieka ącego biedny kazachski lud. Trudno z władcami plemiennymi skłaniał ich ldanych, w każdym razie w zapiskach biedzie panującej wśród prostego kami, iż:

Korzystając z chwil wolnych od zatrudnień, zwiedzałem poblizsze auły, by lepiej się zapoznać z tym życiem tak różnym od naszego, życiem, które wyobraźnia moja malowała sobie w najpiękniejszych barwach. Ale nie wszystko złoto, co się świeci z góry. W każdej jurcie spodziewałem się znaleźć szczęśliwych pasterzy Arkadii, niestety rzadko w której (jurtcie – A.K.) nie spotykał wzrok mój smutnych obrazów nędzy i chorób trapiących biedną ludzkość. We wszystkich prawie czarnych jurtach (bo majątniejsi mieszkają w białych) febra. I straszniejsza od nich siphilis liczyła swoje ofiary, a dotknięte nią osoby obojej płci, wyglądały jak widma lub szkielety, na dzieciach ospa, krosta, wrzody: i wszystko to własną tylko siłą musi pasować się z cierpieniem, bo nauka Eskulapa, złożona tutaj w rękach głupich i zabobonnych buksów (rodzaj szamanów, guślarzy) podaje środki ratunku po największej części nacechowane piętnem szarlatanizmu i guślarstwa. Serce się rozdziera na widok tylu męczenników wołających o pomoc. Na szczęście nasze, niektórym z nich mogliśmy przynieść ulgę. [...] Widziałem (jakkolwiek mię to bolało) kirgiską biedę w całym znaczeniu tego wyrazu, powiększona jeszcze w oczach moich na widok pokarmów, jakich by im żaden pies [...] nie pozazdrościł [...] Jak bogatsi pogardzają uboższymi, dał przykład Kirgiz jeden, zaproszony na herbatę do generała. Widząc, że mnóstwo

jego ziomków stało koło jurty i tak cisnęło się, że ledwo jej nie obalili, obrócił się do nas i ze śmiechem i pogardą rzekł: „to szubrawcy”. Trzeba było widzieć jego dumę i głupotę [...]. Dziwnie to leniwi ludzie, mianowicie bogaci, którzy wszystkie ciężary, nawet powinności skarbowe, na przykład podwoły, zwalają na niższych. Biedak z musu całe lato jak Negr pracuje dla bogacza około roli, żyje krowim mlekiem, pali się na słońcu prawie nagi, z obawy, żeby mu rabusie nie zdarli odzienia – i cóż ma za to? Stary jaki wytarty chałat, kilka dziesiątków krutu (serków) i garść prosa, oby je sobie posiał na rok przyszył.”<sup>28</sup>

Żył w współczucie dla tego ludu, wierząc, iż przyjdzie czas, „że koczujący nomada zaszczytne zajmie miejsce wśród ludów, co nań patrzają teraz z góry”, pisał w jednym z listów. Śmiało rzec można, że opisy A. Januskiewicza to swoistego rodzaju pierwotna antropogeografia Kazachstanu, która mocno wrosła w polską literaturę zesłańczą związaną z rozległymi obszarami rozciągającymi się na wschód i południe od Uralu. Jego relacje dotyczące się różnych spraw związanych z pobytem na zesłaniu odbiegają daleko od konwencji zwykłych sybirskich pamiętników i utworów epistolarnych. Wiele w nich bowiem ciekawych opisów ogólnogeograficznych powiązanych z życiem tubylców zasiedlających stepy oraz informacji etnograficznych i historycznych realiów dotyczących kazachskiego narodu. Był obiektywnym kronikarzem stosunków społeczno-politycznych panujących w kazachskich aułach. Nieco informacji poświęcił sułtanowi Barakowi, który był jednym z wodzów Średniej Ordy. Podał ciekawe informacje o cieszącym się sławą wśród plemion kazachskich twórcy ludowym Kunanbaju, wielkim wówczas autorytecie moralnym, *nota bene* ojcu najwybitniejszego poety kazachskiego Abaja (którego spotkał podczas swych wędrówek po stepie, ba, nawet wyleczył z ciężkiej choroby).

#### Ojciec Abaja był

wielką znakomitością w stepie. Syn prostego Kirgiza, obdarzony z natury zdrowym rozsądkiem, zadziwiająco pamięcią i wymową, czynny, gorliwy o dobro swych ziomków, biegły w stepowym prawie i przepisach Alkoranu, znawca wszystkich ustaw rosyjskich dotyczących się Kirgizów, nieposzlakowanej bezstronności sędziego i przykładowy muzułmanin, plebejusz Kunanbaj zjednał sobie sławę wyroczni, do której, z najodleglejszych aułów, młodzi i starzy, ubodzy i bogaci cisną się po radę. Zaufaniem możnego rodu Tobukli, powołany na stopień rządcy, z rzadką pewnością i energią piastuje władzę, a każdy jego rozkaz, każde słowo spełnia się na skinienie. Niegdyś przystojny mężczyzna, dziś, napiętnowany strasznymi bliznami ospy, co go przed kilku laty omal nie wtrąciła do grobu, jak Mirabeau, w zapale mowy każe zapominać słuchaczom o szpetności swej meduziej twarzy; okrutna zaś plaga jaką dotknięty został obudzi w nim słodkie wspomnienia współczucia ziomków, które Ci może dać wiarę jego zasług i znaczenia. „Tłumy ludu w rozpacz – mówił mi z wzruszeniem i dumą – oblegały w dzień i w nocy moją jurte, w której walczyłem ze śmiercią, wśród mąk nieznośnych. Łzy to jego zalały ogień, co mnie pożerał, i wymodliły u Allacha mój powrót do życia”. Nie takimże współczuciem, w jednym z najoświecieńszych kra-

<sup>28</sup> *Żywot Adolfa Januskiewicza i jego listy ze stepów kirgiskich*, wydanie II, Berlin 1875, t. 2, s. 40, 42, 134, 179.

jów Europy, otaczał lud ostanie chwile wielkiego trybuna, co równie jak Kunanbaj był tarczą jego przeciw niesprawiedliwości i gwałtem możnych; ów lud co mniej szczęśliwy od półdzikiego, nie mogąc u swego obrońcy wyplakać życia u Boga, w uniesieniu wdzięczności dla umarłego wynalazł Panteon.

Tuzin sułtanów i z pół kopy murzów było dzisiaj u nas na herbacie. Do całej tej arystokracji rodu i bogactwa wybornie nawet można zastosować przysłowie: „wart pałac Paca, a Pac pałaca”. Biała kość (sułtany) bardziej szarą niż białą wydawała się obok Baraka, a wszyscy baje (bogacze) niegodni rozwiązać rzemyka u obuwia Kunanbaja.<sup>29</sup>

Interesował się folklorem, zwłaszcza ludowymi pieśniarzami-improvizatorami (*akynami*) i dwu z nich – Orynbaja i Dżanabaja, opisał w swej korespondencji ze stepów. Nic więc dziwnego, że raz po raz opinie jego przywoływane są przez badaczy historii kazachskiego narodu. Być może, jego stepowe zapiski wydane zostaną ostatecznie w takim kształcie edytorskim, na który zasługują, wcześniejsze wydania oraz tłumaczenia na język rosyjski i kazachski nie są bowiem doskonałe. Rysuje się realna szansa podjęcia tego problemu w ramach współpracy uniwersytetów polskich z uniwersytetami kazachskimi. Kto ostatecznie podejmie ten trud? Póki co ukazała się już we współczesnym Kazachstanie książka Otegena Kumizbajewa pt. *Polsza perzenti*, Ałmaty 1997, o A. Januszkiewiczu, w mieście tym jest ulica jego imienia, przed laty planowano wnieść tam pomnik czczący jego pamięć, planuje się też nazwanie jego imieniem ulic w Ajaguzie i Astanie.

Do interesującego nas kręgu wydarzeń dodać trzeba liczną rzeszę zesłańców, którzy znaleźli się w głębi Kazachstanie bądź na linii orenburskiej, wywodzących się z kręgu uczestników ruchów wolnościowych na terenie Królestwa Polskiego – takich jak np. Stowarzyszenie Ludu Polskiego, Związek Młodzieży Litewskiej czy spisek Szymona Konarskiego. Upadek powstania listopadowego ożywił w parę lat po tym wydarzeniu ruch patriotyczny w Królestwie wśród młodzieży uczącej się oraz inteligencji. Raz po raz odbywały się procesy, i w te nieszczęsne lata międzypowstaniowe nowe zastępy zesłańców wędrowały w głąb Rosji. Charakterystycznym elementem świadomości polskiej owych czasów było spiskowanie przeciw zaborcy i przeświadczenie, że tylko niegodziwiec może poddać się bezwolnie rządowi carskich namiestników. Ożywiły się kontakty z emigracją, zwłaszcza francuskie środowiska Polaków słały do kraju swych emisariuszy, by jednoczyć naród przeciwko zaborcy. Wedle zapisków carskiej ochrony nasilenie tego ruchu było tak duże, że stało się wręcz niemożliwe, by w pełni kontrolować polskie nastroje przeciwko caratowi. Tak było istotnie i tylko część spiskowców została aresztowana, inni natomiast rozwijali swoją działalność, krzepiąc ducha narodowego.<sup>30</sup> Ogólnie jednak te różne formy walki z caratem często koń-

<sup>29</sup> *Żywot Adolfa Januszkiewicza*, op. cit., s. 86-87.

<sup>30</sup> Dokładniej o tym zob.: W. Djakow, A. Gałkowski, W. Śliwowska, W. Zajcewa, *Uczestnicy ruchów wolnościowych 1832-1855 (Królestwo Polskie). Przewodnik*

czyły się zesłaniem. Miało ono różny charakter – karne bataliony bez prawa awansu, służba w regularnych jednostkach liniowych uczestniczących w walkach z tubylcami Azji Środkowej, Kaukazu czy Syberii, zesłanie na osiedlenie, katorga. Tak więc w poniewolnych uwarunkowaniach rozpoczynały się pierwsze kontakty polsko-kazachskie. Wprawdzie w okresie tym Kazachstan pozostawał na uboczu zesłańczych traktów, wiodły one bowiem przede wszystkim na Syberię, niemniej jednak w twierdzach, które rząd carski budował na terenach graniczących ze stepami kazachskimi, przebywało wielu Polaków odzianych w szynele żołnierskie i biorących udział w wyprawach na teren dzisiejszego Kazachstanu.

Dodajmy zaraz, że po powstaniu listopadowym kazachską ścieżką wędrowali kolejni zesłańcy przeznaczeni do służby w twierdzach przygranicznych, jak Kizyl, Orenburg, Orsk, Omsk i innych stanowiących spójny system umocnień rosyjskich. Ilu ich było, nie wiadomo, nikt do tej pory nie zdołał bowiem policzyć osób rozesłanych po wielu rejonach azjatyckiej części imperium. Wiadomo jednak, że część trafiła do wojska, sporo skazano na osiedlenie, a byli i tacy, którzy trafili na katorgę. Wszyscy oni, i ci znani z imienia i nazwiska, i ci, którzy bezimiennie utonęli w zesłańczej masie, przyczynili się w jakimś stopniu do umocnienia rosyjskiego władzenia zauralskimi obszarami, a bywało i tak, że mieli swój udział w poznaniu historii i kultury krajów leżących na rosyjskim kierunku kolonizacyjnej polityki. Uświadomienie sobie złożoności tej kwestii prowadzi do refleksji nad statusem jednostki w tej niełatwej sytuacji. Bo rzeczywiście służba „orenburczyków” nie należała do bezpiecznej i wielu z nich zostawiło swe kości na obcej ziemi. Różne były ich przewinienia – a to czytanie zakazanej lektury bądź jej kolportowanie, krytyczne wypowiedzi wobec zaborczych porządków, drobne spiskowanie przeciw zaborcy, planowanie lub udział w zamachach czy wreszcie działalność w patriotycznych stowarzyszeniach. Byli wśród nich uczniowie i studenci oraz ludzie różnej profesji, inżynierowie, lekarze, weterynarze, również księża. Na przykład Leon Kruszewski z Łodzi skazany był „za czytanie z uczniami przestępczych utworów”, „za składanie umysłów do buntu” zesłano „w żołdacy” uczniów Szkoły Farmaceutycznej w Warszawie – Seweryna Przewłockiego i Waleriana Staniszewskiego<sup>31</sup>, „za bezprawne działania” skazano dwóch księży – Czarnieckiego i Rymkiewicza, „za dezaprobatę prowadzonego stylu życia” znalazł się na zesłaniu Edward Kuszewicz, weterynarz z Wileńszczyzny, przeniesiono „na wszelki wypadek” do Troicka, Adolf Kuczyński, powstaniec listopadowy, który wcześniej umknął władzom z konwoju na trasie Dubno – Kijów, pojmany kolejny raz, wcielony został do wojska na

*biograficzny*, Wrocław 1990.

<sup>31</sup> W. Staniszewski, *Pamiętniki więźnia stanu i zesłańca*. Tekst do druku przygotowali A. Gałkowski i W. Śliwowska. Posłowiem i przypisami opatrzyła W. Śliwowska, Warszawa 1994.

orenburskiej linii, powstańcem listopadowym zesłanym również w ten rejon był wileński mieszczanin Antoni Kuczyński, a na 15 lat służby w Korpusie Orenburskim skazano zaliwszczyka Konstantego Kuczyńskiego. Podobnych do nich były setki, za niepokornego wobec władzy uznawany był bowiem nawet prosty chłop, jakże często niepiśmienny, któremu wymknęło się jakieś słowo poczytywane za obraźliwe w stosunku do zaborcy. Różnie tam układały się ich losy, wobec dość specyficznych warunków pełnienia służby, i nie chodzi tu o tzw. koszarowe okoliczności, dyscyplinę i „kaprałskie” połajanki, czyli o tzw. czynniki „karno-wychowawcze”, lecz o rolę, jaką odgrywały te oddziały na olbrzymich obszarach pogranicza rosyjsko-kazachstańskiego. Warto by może jednak poświęcić kiedyś nieco miejsca dla wyjaśnienia okropności tej służby. Ciężko więc i powoli wlokły się dni, miesiące i lata tej wojaczki w granicznych kordonach. Wszyscy ją odbywający wbrew swej woli „dotykali” rzeczywistości istniejącej w stepach kirgiskich, brali udział w walkach z „obcoplemieńcami”, podporządkowując ich władzy rosyjskiej.<sup>32</sup> Członkiem tej żołnierskiej zbiorowości był Wincenty Maciej Migurski, uczestnik powstania listopadowego, który po jego upadku zdołał wyjechać do Francji. Niebawem jednak powrócił do kraju jako emisariusz organizacji emigracyjnej „Zemsta Ludu” wspomagającej partyzancką działalność J. Zaliwskiego<sup>33</sup> Aresztowany zesłany został do Orenburga a następnie wcielony do 1. Batalionu Liniowego Korpusu Orenburskiego rozlokowanego w Uralsku. Po pewnym czasie przybyła do niego Albina Wiśniowska i dominikanin ojciec Michał Zielonka, połączyli ich węzłem małżeńskim. Tam urodziło się im dwoje dzieci, które wkrótce zmarły. Zrozpaczeni zaczęli myśleć o sposobie wydobywania się z niewoli. Albina obmyśliła formę ucieczki, zgłaszając władzom, że małżonek zaginął i najprawdopodobniej popełnił samobójstwo. Czas płynął i władze uznały Wincentego za zmarłego i postanowiły odłożyć sprawę *ad acta*, bowiem wysłany nawet za nim list gończy nie wyjaśnił tajemniczego zniknięcia. Żona „samobójcy” czyniła tymczasem przygotowania do ucieczki. Mając zgodę na powrót do kraju wynajęła powóz i 13 czerwca 1840 roku wyruszyła w drogę. Na dnie powozu ukryty był mąż i dwie małe trumienki potajemnie wykopane na cmentarzu. Powożący kozak spowodował wypadek na wyboistej drodze. Sprawa się wydała. Uciekinierów ujęto pod Saratowem. Sąd wojenny w Orenburgu skazał W. Migurskiego na służbę w 13. Batalionie Piechoty Korpusu Syberyjskiego w Nerczyńsku. Towarzyszyła mu żona, która zmarła tam 15 czerwca 1843 roku, a w parę miesięcy później, urodzony w Nerczyńsku syn Konrad. Spoczęli w jednej mogile na obcej syberyjskiej ziemi. W. Migurskiego objęła amnestia w 1857 roku i powrócił do kraju, gdzie zmarł w Wilnie 1863 roku. Przedtem jednak spisał swoje wspomnienia, które ukazały się w wydaniu

<sup>32</sup> W. Śliwowska, *Polacy na linii...*, op. cit., s. 69-79.

<sup>33</sup> W. Djakow, A. Nagajew, *Partyzanka Zaliwskiego i jej pogłosy (1832-1835)*, Warszawa 1979.

książkowym jako *Pamiętniki z Sybiru*, Poznań 1863. Na tle tych niecodziennych, i jakże tragicznych losów W. Migurskiego i jego dzielnej małżonki pojawiły się różne formy pisarstwa rosyjskiego, z najpopularniejszą nowelą Lwa Tolstoja pt. *Za co?*. Ostatnio natomiast w kooperacji polsko-rosyjskiej zrealizowany został film fabularny, ożywiający pamięć Albiny i Wincentego Migurskich. Godni byli tego.<sup>34</sup>

Kontynuując ten wątek poznawczy w konwencji: zobaczyć polski los i kulturę Kazachów, wspomnieć wypada o ważnym zapisie z tego zakresu, jakim jest książka Józefa Kobyłeckiego (1801-1867) *Wiadomości o Syberii i podróże w niej odbyte w latach 1831, 1832, 1833, 1834*, wydana w Warszawie w 1847. Była ona pierwszą polską monografią geograficzno-kulturową dotyczącą Syberii. Jej autor był oficerem rosyjskim, którego za odmowę udziału w tłumieniu powstania listopadowego przeniesiono do podmoskiewskiego pułku huzarów, a potem do Tobolska. Został tam oficerem inspekcyjnym wojsk rosyjskich stacjonujących w Omsku i z racji służbowych obowiązków poznał wielki szmat syberyjskiej ziemi, w tym i północny Kazachstan. Opisał różnorodność kazachskiej kultury i gospodarki, tj. hodowlę, typy domostw, odzież, różne aspekty kultury społecznej i duchowej. Podkreślił słabe przywiązanie Kazachów do islamu, dużo uwagi poświęcił opisom obrzędów pogrzebowych i cmentarzy, na których „nagrobne kaplice” wprawiały go w zdumienie. Było to, rzecz można, poznanie przez konkret, ukazujący inność tej kultury i materialnego bytu jej nosicieli.

Wspomnijmy też o zesłańcach z tego okresu, którzy pozostawili materiały wspomnieniowe, mogące stanowić wartościowe źródło odnoszące się do polskiego opisywania Kazachstanu. Należy do nich Aleksander Bem, przyrodni brat generała Józefa Bema. „Za ukrywanie przestępców politycznych” oddano go pod sąd wojenny. W 1849 roku otrzymał wyrok skazujący na wcielenie do wojska z pozbawieniem praw stanu. Służył w drugim batalionie liniowym w Korpusie Orenburskim. Zdemobilizowany w 1857 roku, powrócił do kraju. Rok wcześniej ukazały się jego listy ze stepów, zatytułowane *Kirgiz i stepy. Z listów Aleksandra Bema*, które przygotował do druku M. Wieczorkowski i opublikował na łamach „Kroniki Wiadomości Krajowych i Zagranicznych”, 1856, nr 48-50. Zachęcając czytelnika do lektury tych listów pisał:

Na dalekim wschodzie, za Wołgą i Uralem, ponad Aralskiem i Kaspijskim morzem, leży kraj dziki, ziemia pustyń piaszczystych, ziemia ludu, co nie przeszedł dziwnych kolei europejskiej cywilizacji, ale wegetuje z dnia na dzień, chowając stary obyczaj swoich przodków. Obyczaj ten to zlepek niekształtny mistycznych podań i wierzeń ludów, z którymi sąsiadował od niepamiętnych czasów, toż i hord różnojęzycznych, co przez ciąg tylu wieków ocierały się i mieszały z pierwotnym plemieniem ziemi.<sup>35</sup>

<sup>34</sup> A. Kuczyński, *Syberia. Cztery lata polskiej diaspory. Antologia historyczno-kulturowa*, Warszawa-Wrocław 1995., s. 144-159.

By nie rozbudowywać opisu treści tych listów, należy jednak podać, iż oprócz spraw dotyczących się bezpośrednio autora ukazują one obraz kazachskiego stepu i jego ludów. Oto bowiem pisał A. Bem:

Wystawcie sobie ogromną przestrzeń ziemi, której granic słabe ludzkie oko dojrzeć nie jest w stanie, i która łącząc się z horyzontem, jedną z nim całość stanowić się zdaje. Ziemia ta w wielu miejscach zupełnie jest naga, w innych pokryta właściwymi sobie roślinami, które zaledwie wegetować i kwitnąć zaczęwszy przypalone upałem słonecznym, nigdy nie zwilżone ożywczą rosą, a zaledwie parę razy do roku deszczem przykropione, usychają przedwcześnie, a okryte pyłem ziemi, który najmniejszy wietrzyk unosi, przedstawiają oku obumarłą naturę. Parę tylko iskier... a już i pożar w stepie.[...] Lasów i drzew nigdzie nie widać; żadnej prawie nie masz zieloności, żadnej różnorodności, która by choć na chwilę oko zająć mogła, a wiatr buja swobodnie po stepie od końca do końca, wiatr wściekły nieznośny. Wszystko martwe, wszystko bez życia, a dodawszy do tego widok niezgrabnego Kirgiza, ociężałego i leniwego, który jedzie na równie niezgrabnym wielbłądzie lub wole, a będziecie mieli zupełnie widok stepowy.[...] Mężczyźni są średniego wzrostu, krępi, dobrze zbudowani, twarz ich okrągła, czerwona, ogorzała, nos szeroki, najczęściej spłaszczony, oczy podłużne, wielkie, daleko od siebie położone, bo szerokość nosa znaczną pomiędzy nimi przestrzeń zajmuje. I cóż powiecie, mimo te wszystkie cechy, nie odrażają oni swoją brzydotą: owszem są nawet dość przystojni, w młodszym zwłaszcza wieku. Główny ubiór Kirgiza stanowi tak zwany *czapan*: jest to długa suknia, pospolicie czarnego albo brunatnego koloru, podobna do naszego szlafroka; taki *czapan* podbijają w zimie futrem baranim, używają także odzienia ze skór dzikich kóz włosem na wierzch. Szlafroki te wkładają w ogromne skórzane, a czasem w różne wzory wyszywane *szernbary* (szarawary). [...] Na ogolonej głowie noszą w zimie małe jarmułki kolorowe obszyte od dołu futerkiem, na te zaś kładą tak zwany *malachaj* z futra baraniego powleczonego sukniem lub inną materią; latem samego tylko używają *malachaja*, który bywa zwykle biały, wełniany. Ubiór ten na głowę, wybornie zastosowany do klimatu, jest bardzo użyteczny w czasie wielkich tu panujących mrozów i śniegowych zawiei. Użytku koszul nie znają.

Kobiety tu są małego wzrostu, brzydkie, prędko się starzeją, a ubiór ich jest jeszcze mniej udany aniżeli u mężczyzn. Używają one podobnych jak mężczyźni szlafroków, a w czasie zimy i jazdy konnej *szembarów*, co przy małym wroście bardzo je niekorzystnie przedstawia. Na głowie noszą białe zasłony, które im głowę i pół figury okrywają, jedną tylko twarz wyjąwszy.<sup>36</sup>

W dalszej części tej relacji jest mowa o ubiorze dziewcząt, sposobie zaplatania warkoczy, o ozdobach. Podaje też autor wygląd jurty kazachskich, opisuje dokładnie ich budowę i podkreśla dostosowanie tego domostwa do koczowniczego trybu życia. Charakteryzuje rozplanowanie wnętrza i jego wyposażenie, podkreślając ważną rolę ogniska płonącego na środku na specjalnym trzonie. Podkreśla ważną rolę hodowli i związany z nią koczowniczy tryb życia. Czyni uwagi o pożywieniu, podkreślając ważną rolę końskiego mięsa w jadłospisie Kazachów, którzy używali także mięsa baraniego, koziego i wielbłądziego. Nie pominął też wiadomości o kumysie jako podstawowym napoju stepowych tubylców. W sumie przekazy A. Bema są interesującym źródłem, wzbogacającym naszą

<sup>35</sup> A. Bem, *Kirgiz i stepy. Z listów Aleksandra Bema. Ułożył Władysław Wieczorkowski*, „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych” 1856, nr 48.

<sup>36</sup> A. Bem, op. cit., nr 49.



wiedzę o kulturze Kazachów i jawią się jako tekst nacechowany wieloma realiami etnograficznymi.

Poszukując tego, co nadal trwa w historiografii polskiej związanej z opisywaniem Kazachstanu i jego ludów, a także tego, co w nauce kazachskiej jawi się na pierwszym planie z tego dorobku wspomnieć należy postać Bronisława Zaleskiego (1820-1880), skazanego w 1846 roku za działalność patriotyczną na wcielenie do Korpusu Orenburskiego, w którym służył w latach 1848-1856.<sup>37</sup> Częstość wysyłano go w składzie różnych ekspedycji na teren Kazachstanu w charakterze rysownika. Z

tych pomiarów znano, że w procesie społecznym, w którym władza państwa nie podzielała odgrywała zasadniczą rolę. Kazachstan w owym czasie był państwem o sformalizowanej strukturze feudalnej, w której miejscowi bejowie zachowali znaczącą rolę, oni też często wciągani byli przez kolonizatorów rosyjskich do przeróżnych układów, w efekcie których sowicie opłacani, tracili część swojej władzy na podległym terytorium.

---

<sup>37</sup> W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy...*, op. cit., s. 698-699; W. Caban, *Z Orenburga do Paryża. Bronisław Zaleski 1820-1880*, Kielce 2006; A. Kuczyński, *Bronisława Zaleskiego opisanie Kazachstanu*, [w:] *Polskie opisywanie świata. Od fascynacji egzotyką do badań antropologicznych*, pod red. nauk. A. Kuczyńskiego, Wrocław 2000, s. 109-120; tenże, *Kazachstan głazami Bronisława Zaleskiego*, „Nowaja Polska” 2001, nr 6.

<sup>38</sup> W. Caban, *Z Orenburga ...*, op. cit.

## Kobieta kirgiska.

B. Zaleski pisał o tym wszystkim bardzo interesująco, sam bowiem aktywnie uczestniczył w różnych formach stepowego bytowania, często – także w trakcie wędrówek po rozległych obszarach – przesiadywał w tubylczych jurtach, nocował w nich, pił kumys i wysłuchiwał rad przydatnych na szlakach jego wędrówek. Relacje te, którymi nasycił teksty swoich opisów odnoszących się do kazachskich stepów, tchną wiadomościami pochodzącymi z tzw. obserwacji uczestniczącej, ale także odnaleźć w nich można pogłębione opisy kulturowych realiów, które musiały opierać się na dodatkowych informacjach zdobytych od mieszkańców stepów. Opis stepów zawarty w tym albumie to czas splątany wieloma czynnikami, rozciągający się na wiele elementów przestrzeni kulturowej, ale i topograficznej. Często konstytuuje się on we wspomnianiu przeżywanego zdarzeń, obserwacjach typu kulturowego, opisach drogi, co czyni ich treść swoistą tkaniną o różnych splotach, pełniejszych wzorach i postrzępionych brzegach. Widać tu też wyraźnie związki między różnymi częściami tej kulturowej materii, przedmiotami i ludźmi oraz mnóstwem innych czynników, jakim podlegało życie w określonym środowisku, i rolę tego środowiska w determinowaniu ludzkiego życia, przemieniania go, wzbogacania bądź zubożania. Czyni w nich nawiązanie do bogatego folkloru, w którym przetrwały elementy historii stepowych nomadów. Z uwagą przyglądał się tamtejszym cmentarzom. Spotykał tam kamienne nagrobki z różnymi napisami, rysunkami wyobrażającymi konie, wielbłądy czy motywy roślinne i zwierzęce. Indagowany w tej sprawie stepowy lud nie znał dziejów tych zabytków przeszłości, a nieraz odnosił się do nich z brakiem poszanowania i „na zapadłych mogiłach swoich batyrów (bohaterów – A.K.) pasł barany”.

1  
1  
.  
2  
1  
3  
.  
3  
1  
3

Kibitka Kirgizów.

przyjawił się ze stepem i jego ludnością, dostrzegając jego urok i „szepty tajemnicze” dlatego w notatkach swoich pisał:

Kto lubi przysłuchiwać się głosom ziemi, ten pewno przyzna, że każda strona ma swoją własną muzykę, swoje dźwięki i tony, swoje szepty tajemnicze, jednym słowem właściwą sobie harmonię. W stepie noc jest godziną tej muzyki. Nie umiem powiedzieć, jakie robi wrażenie płaczliwy krzyk wielbłąda, słyszany w nocy; jest w nim coś bardzo uroczystego i rzewnego. Często przypominał mi organy, i doprawdy jest to organ stepowy, który najuroczyściej nastraja duszę; a bez ustanku, to z tej, to z drugiej strony, słychać go w stepie, i pewno nikt tego wrażenia nie zapomni, kogo raz ono objęło; nie może on prześlizgnąć się po duszy, choć cokolwiek czującej.<sup>39</sup>

<sup>39</sup> *W stepach kirgiskich (Z notatek Bronisława Zaleskiego)*, cz.. 1-2, „Kronika Rodzinna” 1890, s. 622-623.

Jak widać, czas niewoli był dla niego okazją do poznania prawdziwej natury stepów i żyjącego w nim ludu. Charakteryzowanej przez niego rzeczywistości odpowiadał swoisty rodzaj własnego doświadczenia, oplecionego licznymi wędrówkami i wynikającymi stąd różnymi rodzajami komunikacji społecznej z mieszkańcami stepów.

Był to czas splełany przeróżnymi fragmentami tkanki kulturowej, znaczonej związkami z ludźmi i przedmiotami, doznawanymi wrażeniami i przebogatym „lasem rzeczy” zdeterminowanych przez przestrzeń i czas.

Tę Kobieta kirgiska na pustyni.

ni

w tej części Azji Środkowej, uległ rozproszeniu w nowej tkance znaczonej piętnem globalizacji i uniwersalizmu.

## Święte drzewo Kirgizów.

## Cmentarz d'Agaspeyar.

Czas cnoty na pobieżną konkluzję. Wyraja się zasadne stwierdzenie, że pisarstwu B. Zaleskiego patronowało postrzeganie złożoności kulturowej Kazachstanu i innych części rosyjskiego imperium. Bo należy wspomnieć, że wiele uwag poświęcił on także Baszkirom, Wotiakom i Czeremisom. Problematyka etnograficzna ujawni się także w pełni w innych jego tekstach, m.in. w relacyjnej opowieści charakteryzującej wędrówkę w Górach Mugodżarskich. Wszystkie one nasycone są wielością wątków kulturowych – folklor, stepowe karawany, cmentarze, życie codzienne, jurty itp. Rytm tego opisu zmieniał się w zależności od kierunków podróży i ich trwania. Nieraz zatrzymywano się w stepie na dłuższe postoje, które dawały możliwość pełniejszego poznania obyczajów i zwyczajów tubylczych ludów, ich sytuacji społecznej i materialnej. Dostrzegał także autor zarysowujący się tu wyraźnie u niektórych lokalnych grup proces akulturacji. Opisał wielość innych wydarzeń, zjawisk, zwy-

kłych ludzi i ich władców, a także koczujące bezimienne masy, nieraz to skomentował, widząc wielopłaszczyznowość kulturowej tradycji, w której mocno zakorzenione były obserwowane zwyczaje i obrzędy. Zatrzymując się na szczegółach, poszerzał ogląd tego świata, pozwalając czytelnikowi zbliżyć się do niego. Czytając te teksty mamy poczucie, że Zaleski poddaje często opisywane wydarzenia konwencji literackiej, zatem niektóre partie jego tekstów są urokliwe i zajmujące, ba, nawet potwierdzające sugestywność wyobraźni autorskiej, a styl pisarski jakim się posługiwał, preferował mówienie o faktach.

Tak więc, skoro z grubsza przedstawiono walory jego tekstów, wspomnijmy jeszcze o rzeczy najważniejszej. Oto w roku 1991 ukazała się w wydaniu kazachsko-rosyjskim jego książka-album opatrzona dwujęzycznym tytułem: kazachskim – *Kazak sacharasyna sajchat* i rosyjskim – *Žizn kazachskich stiepiej* (Ałmaty), będąca przekładem z języka francuskiego (*La vie steppes kirghizes. Descriptions, recits et contes*, Paryż 1865), dokonany przez F.I. Stieklową i B.I. Sadykową. Przekład ten stanowił podstawę tłumaczenia na język kazachski, dokonanego przez K. Segizbajewa. Ukazanie się współcześnie tej książki w dwujęzycznej wersji jest potwierdzeniem jej wartości i ważnym wyróżnikiem w dziejach związków polsko-kazachskich dotyczących wkładu polskich zesłańców w badania etnograficzne, geograficzne i geologiczne na rozległych przestrzeniach Kazachstanu oraz ich udziału w różnych dziedzinach życia tego kraju. I jeszcze na moment pozostanę w kręgu spraw i zakreślonej w albumie problematyki oraz przywołanego w jej tytule „życia kazachskich stepów”. Gdy ukazał się on we Francji, stwarzał okazję do przybliżenia jego czytelnikom leżącego gdzieś daleko Kazachstanu. W piśmiennictwie francuskim owego czasu liczne były opisy egzotycznych krajów, wszakże Francja posiadała wówczas swoje kolonie w Afryce i Oceanii. Jednak literatura dotycząca „kirgiskich stepów” należała raczej do rzadkości, a nawet można zaryzykować twierdzenie, że tam raczej nie istniała. Toteż album B. Zaleskiego, mimo poważnych trudności edytorskich na początku, zawierający 22 akwaforty uzupełnione obszernymi tekstami objaśniającymi, był niewątpliwie ważnym wydarzeniem wydawniczym na francuskim rynku księgarskim i głównym źródłem informacji o Kazachach i Kazachstanie w literaturze zachodnioeuropejskiej. Jego recepcję udało się odnaleźć w poczytnych czasopismach francuskich, m.in. na łamach „Journal des Politiques Débats et Littéraires” (19.X.1865) oraz w „Revue des Deux Mondes” (15.VI.1865). Ponadto prezentowano go na prestiżowym dorocznym salonie dzieł sztuki w Paryżu, i to już było wielkim uznaniem dla autora bowiem opiniujące dzieła na wystawę Towarzystwo Akwafortystów prowadziło srogą selekcję akwafort zgłoszonych do prezentacji.<sup>40</sup> Echo tej edycji dotarło też do kraju, a redakcja poczytnego czasopisma „Kłosa” nosiła się z zamiarem na-

<sup>40</sup> W. Caban, op. cit., s. 185-191.

wiązania współpracy z B. Zaleskim. Nic jednak z tych planów nie wyszło. Album został też zauważony w Rosji przez geografa Wasyla Grigoriewa, który wędrował z autorem po stepach i w poświęconym mu omówieniu napisał, że zarówno tekst, jak i akwaforty tchną autentycznością.

Zdolności autora i jego twórcza fantazja nie dodały ani nie pominęły najmniejszego szczegółu: ołówek i rylce Zaleskiego oddają z zadziwiającą wiernością te bezkresne, pustynne równiny, na których nie ma innych zabudowań prócz cmentarzy, innego piękna oprócz skał wapiennych lub bagien zarosłych sitowiem [...] Cichy smutek tchnie z jego wszystkich opisów i opowiadań, i nie mogło być inaczej; trudno było o radość wśród monotonnej przyrody stepu oraz w nastroju ducha, w jakim pozostawał piszący, jedna z najczystszych i najpoetyczniejszych dusz w naszym brudnym i prozaicznym świecie.<sup>41</sup>

Ważnym źródłem do badań nad kulturą Kazachów jest kontrowersyjna książka Edwarda Ostrowskiego (1816-1859) zatytułowana *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich...*, Grodno 1859. Kontrowersyjna, jak bowiem ustalił Jerzy Tulisow<sup>42</sup> pewne jej fragmenty wyraźnie współbrzmia tekstowo z wcześniejszymi publikacjami M.J. Kittary<sup>43</sup> oraz A. Lowszyna.<sup>44</sup> Jako lekarz weterynarii udał się on w 1855 roku do Kazachstanu z polecenia rządu, by przeprowadzić szczepienia bydła przeciwko dżumie oraz wykonać badania weterynaryjne dotyczące zagrożeń epidemicznych. Towarzyszyli mu dwaj młodzi absolwenci uczelni weterynaryjnej w Charkowie, w której był profesorem. Podróż ta dała mu możliwość poznania sposobu życia, zwyczajów i obyczajów Kazachów.<sup>45</sup> E. Ostrowski urodził się w Pokorszach na Litwie, gimnazjum ukończył w Wilnie. Studiował w wileńskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej na wydziale lekarskim, a od 1835 roku na weterynarii. Po studiach pracował w Warszawie jako asesor weterynaryjny Urzędu Lekarskiego, nadzorując i koordynując służbę weterynaryjną na terenie Mazowsza i guberni kaliskiej. Gdy w 1840 roku utworzono w Warszawie Szkołę Weterynaryjną, został w niej asystentem dyrektora, a potem dyrektorem. Obowiązki te łączył z działalnością pedagogiczną w Marymonckim Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa (Warszawa). Doskonalał swe umiejętności zawodowe, zdobywał kolejne stopnie specjalizacyjne, początkowo starszego lekarza weterynarii, a potem magistra nauk weterynaryjnych. Od 1853 roku był profesorem Wyższej Szkoły

<sup>41</sup> „Izwestija Imperatorskogo Russkogo Geograficznego Obszczestwa”, 1865, t. I, nr 1, s. 189-190.

<sup>42</sup> J. Tulisow, *Zapomniana relacja z podróży do Kazachstanu*, [w:] Kresy. Syberia. Literatura. Doświadczenia dialogu i uniwersalizmu, pod red. E. Czapplewicza i E. Kasperskiego, Warszawa 1995, s. 191-200.

<sup>43</sup> M.J. Kittary, *Stawka Chana Wnutrienniej Kirgizkoj Ordy*, „Zurnał Ministierstwa Wnutriennych Dieł”, 1849.

<sup>44</sup> A. Lowszyn, *Opisanije Kirgiz Kazaczjich ili Kirgiz Kajsackich ord i stiepiej*, Sankt Petersburg 1832.

<sup>45</sup> A. Kuczyński, *Polskie opisanie świata. Studia z dziejów poznania kultur ludowych i plemiennych*, t. 1. Azja i Afryka, Wrocław 1994, s. 112-117.

Weterynaryjnej w Charkowie gdzie umiejętnie łączył działalność pedagogiczną z pracą naukowo-badawczą.<sup>46</sup> Należy tu wspomnieć i o tym, że tam gdzie w jego książce nie ma wyraźnych zapożyczeń tekstowych z pracy wspomnianego powyżej A. Lowszyna, te fragmenty tekstu tchną fascynacją autora obszarami stepowymi i całe partie narracji związane są z opisem przyrody, której okazy złożyły się także na herbariusz, przekazany do Charkowskiej Szkoły Weterynaryjnej. W odczuciu Ostrowskiego, w jedną całość łączył się w stepie człowiek z naturą, a obrazy krajo-brazowe opisywane przez niego połączone są z realistycznymi scenami z życia ludności zamieszkującej step.

### Poetyckie strofy

W pejzażu polsko-kazachskich kontaktów przypadających na czas rozbiorów wyraźnie rysuje się postać Gustawa Zielińskiego (1809-1881).<sup>47</sup> Uczestnicząc w powstaniu listopadowym, uniknął zesłania, jednak już w 1834 roku znalazł się na Syberii. Popadł tam za pomoc udzieloną rannemu partyzantowi z oddziału K. Borzewskiego i A. Zawiszy, powiązanej z partyzantką polistopadową J. Zalińskiego. Wina G. Zielińskiego polegała na tym, że wiedział o tych oddziałach partyzanckich, a nawet dostarczał im żywności oraz ukrywał jednego z rannych. Odpowiadał przed sądem wojennym i w 1834 roku został skazany na pozbawienie praw stanu i osiedlenie na Syberii, dokąd jeszcze tego samego roku wyruszył na zesłańczy szlak. Krótko przebywał w Tobolsku, skąd w 1835 roku wyjechał do Iszyna, którego obraz i okolice przedstawił w liście do siostry:

Iszym leży w południowej stronie tobolskiej guberni, nad rzeką tegoż nazwiska, która miasto z trzech stron oblewa, a z czwartej rzeczka Karasula, wpadająca do Iszyna, nadająca miastu postać wyspy. Naokoło miasta jest step obszerny, na którym gdzieniegdzie jeszcze wioski spostrzegać się dają, o a 8 wiorst od miasta ciągnie się łańcuch gór, które widać były kiedyś brzegiem Iszyna. Od tych gór poczyna się step zwany „iszymski”, który na kilkaset wiorst odległości nie przedstawia nic prócz kwiatów, trawy i krzaków. Miasto Iszym, pomimo, że jest obwodowe, nie jest duże: dwie główne ulice i kilka poprzecznych stanowią całą jego rozległość. Domy drewniane i lubo niektóre porządne, będące własnością urzędników i kupców miejscowych, reszta bardzo mizerna i drogie, z powodu, że Iszym rzeka niespławna, a las, z którego mieć można drzewo do budowy, przeszło wiorst 200 (ponad 20 km) od miejsca odległy. Z tych powodów trudno znaleźć do wynajęcia dobre pomieszczenie i jeśli lepsza gdzie kwatery, to ją trzeba przepłacać. Zresztą Iszym nie jest punktem handlowym i lubo przedmioty do życia potrzebne, tańszymi są tu niż w Tobolsku, jednakże inne, bez których obejść się nie można, drogością swoją tanią pierwszych równoważą. [...] Okolice Iszyna są to okiem nieprzejrzane stopy, a których całą zimę rozciągnięta szata śnieżna, iskrzy się pod promieniami zimowego słońca odbijającego się od tysięcznych gwiazd i kształtów, w jakie tutejszy śnieg jest skryształizowanym, na których goniące wichry i burze zamieniają całą okolice w tuman zamąconego oceanu. Z nadejściem wiosny, jakby

<sup>46</sup> A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVII....*, op. cit., s. 255-256.

<sup>47</sup> M. Stogowska, *Wpisany w epokę. Gustaw Zieliński 1809-1881*, Płock 1996.



różdżką czarnoksięską dotknięte, znikają śniegi i lody i w dniach kilku całe stępy zaczynają się zielenić, a pracowita ręka śpieszyć się musi z uprawą, aby korzystać z dni ciepłych krótkiego lata i żeby zebrać owoce, które w długiej jesieni i zimie mają wynagrodzić trudy odpoczywającego rolnika. Ziemia tutejsza w ogóle jest bardzo dobra tak, że nawóz zupełnie jest niepotrzebny – byłby nawet szkodliwym bujności plonów. Ta ziemia już zacząwszy od Uralu nie ma na swej powierzchni jednego kamyka: jest to sypiący się czarnoziem, prawie wszędzie jednakowy, wszędzie urodzajny, gdzieniegdzie widzieć można gliniaste grunta, a piaski pomiędzy osobliwości policzyć należy. Jednakże staranna uprawa niemało przyczynia się do bujności urodzajów. Grunt zaorany sochą, a później zawleczony żelaznymi bronami zaraz z początku wiosny, leży tak i przepala się na słońcu aż do chwili, w której rozpoczynają się sianożęcia, wtenczas na nowo zaorany bywa i zawleczonym – i tak leży aż do śniegów zimowych, a dopiero z następną wiosną orze się, sieje i zawleka. Trzy więc razy około jednej roli pracować potrzeba, ażeby ta porządne przyniosła korzyści, radlenia i przeorywania tu nie znają, a nawet całkiem jest niepotrzebne.[...]

Liczne trzody bydła rogatego, wśród bujnych wyhodowanego stepu, stanowią znaczną gałąź handlu tutejszej okolicy, bowiem na jarmarku zimowym odprawiającym się w Szymie, masło, lój i skóry, główny stanowią artykuł, a obrót jarmarczny przynajmniej na milion można rachować rubli. W czasie jarmarku oprócz kupców rosyjskich, widzieć można Tatarów, Kirgizów, a niekiedy Bucharców ze stepów środkowej Azji przybywających, za kupnem lub sprzedażą rozmaitych przedmiotów.<sup>48</sup>

Wspomniany powyżej list do siostry to ledwie jego fragment. W innych miejscach autor pisał w nim o polowaniu, plonowaniu tutejszej ziemi, o gatunkach zbóż, sianokosach, deszczach i pogodzie. Czynił też różne uwagi na temat etnosów Syberii, podkreślał, że ludność zajmująca się rolnictwem to w większości rodowici Rosjanie: albo byli zesłańcy, albo dobrowolni przybysze zwabieni tu łatwością uzyskania ziemi, stworzoną przez kolonizacyjną politykę administracji carskiej Rosji. Nie omieszkał jednak zaznaczyć, że część tutejszych Tatarów zajmowała się rolnictwem, poza głównym zajęciem, jakim było polowanie i rybołówstwo. Podobny przyrodniczo-krajobrazowy wątek pojawia się w następnym liście, tym razem adresowanym do Marii Damięckiej. Znajdujemy w nim już na początku refleksję o stepach,

gdzie jeszcze sztuka nie ujęła w karby natury, gdzie jeszcze stałe siedliska uprawne swoją małością, nikną w obszarach dzikiego przyrodzenia. Widok rozległego stepu ma wiele poezji, bo nawodzi jakieś tęskne, melancholijne uczucia, i pomimowolnie wzrok od ziemi odrywa ku niebu. Tu imaginacja nie wykreśla owych czarodziejskich pałaców, tak jakoś właściwych brylantowym złudzeniem pustyń powieści arabskich, owszem, zadymiony koczowy namiot Kirgiza, koń jego i trzody, lepiej się układają do obrazu, którego tłem nieprzerodna zieloność stepu, a ramionami – zapadający błękitny nieboskłon. Kirgizy, zamieszkujący znaczną przestrzeń środkowych pustyń Azji, których koczowiska, acz w małej liczbie i na Szymskim stepie napotkać się dają. Kirgizy – są to potomkowie, wojownicze niegdyś plemienia Mongołów, które pod wodzą Dżyngishana,<sup>49</sup> Ta-

<sup>48</sup> M. Stogowska, op. cit., s. 102-103, 105-106.

<sup>49</sup> Właściwie Temudżyn, zwany też Czyngis-chanem (około 1155-1227), twórca imperium mongolskiego; dzięki sprzyjającym układom politycznym w Azji oraz talen-

merlana,<sup>50</sup> Batego<sup>51</sup> i innych, niewstrzymane ani murami Państwa Niebieskiego (Chin), ani wyżynami Himalajów, ani nurtami Eufratu, gdy już całej Azji było za mało, rozniosło postrach i spustoszenia aż do środka Europy. Ale nie zapuszczając się w badania historyczne lud, o którym mowa, jest wyłącznie pasterski, którego chów koni i bydła jest jedynym przemysłem.<sup>52</sup>

Myślę, że opisując poetycką drogę G. Zielińskiego, warto wspomnieć o tym, iż idąc po niej, czerpał i ze swego talentu, i z tego, co doświadczył w obcowaniu z tamtejszą przyrodą. Chętnie wędrował po stepach, bo one oprócz doświadczenia piękna dawały mu pozory wolności.

Zwróciłem konia i puściłem się w stepy. Jeszcze od brzegów góry widać gdzieś tam uprawne role, ja pędzę, oby je co prędzej stracić sprzed oczu, omijam łąki, pola, zarośla, omijam gaiki, siedlisko cietrzewia i zająca i nareszcie przybywam do miejsc, gdzie się drogi kończą, gdzie nikną wszelkie ślady pracowitej ręki i gdzie przede mną prawie niedojrzała równina powiewająca trawą i kwiatami.

Jak tu miło odetchnąć. Zdaje się, że te miejsca zachowały dotąd też same formy, jakie miały w dniu pierwszym stworzenia, tylko pokłady przybyły, wegetacja wznosi się na wegetacji – zgon jeden jest drugich kolebką. Gdybym był badaczem natury, jakież dla mnie skarby na tej płaszczyźnie milionem usianej kwiatów! Tu liliowy irys, tu polna róża, tu błyszczący jaskier, tu skromny goździk wabi do siebie, a ileż tu kwiatów bez dna otwierają swoje korony – czekają historyka, który by opowiedział ich wzrost, miłości i koniec. Jakżebym wzbogacił mój zielnik, może niejeden kwiat, nikomu dotąd nieznan, dziś jedyna ozdoba stepu, przekazałby moje imię potomnym w dziejach państwa roślinnego. Poeta w tej pięknej rozmaitości kwiatów, w tej grze kolorów i światła, widzi światy piastowane w łonie natury, widzi cuda w najdoskonalszej pomiędzy sobą harmonii, których łańcuch ciągle wiąże się z sobą, którego pierwsze ogniwo to trawka lub muszka, a ostatnie – myśl Przedwiecznego.

Dalej i dalej okolica coraz dziksza, trawy bujniejsze, kwiaty coraz piękniejszych kolorów. Płonące słońce zakryło się chmurami, a od południa na kształt gór bazaltowych, ciągną ciemnych chmur falangi, powietrze ciężkie, parne, płonące, grom słychać z daleka i wszystkie znaki zbliżającej się burzy, już połowa przede mną stepu znikła sprzed oczu, zaćmiona deszczem ulewnym, a dla mnie nie ma żadnego schronienia, bo na rozległych stepach jeden jest tylko namiot – niebios sklepienie. Ni drzewa, ni krzaczka, gdzie by podróżny głowę mógł złożyć. Na próżno pędzę, burza otoczyła mnie wokół i nic nie widzę prócz strumieni deszczu i błyskawic i słyszę ciągły grom bijących piorunów. Piękny to widok burzy na stepach, gdzie wzburzone żywioły, niczym nie hamowane tym większą wywierają siłę swoją wściekłością i huk gromów mocniej się tu odbija, pęd wichru jest szaleńczy i błyski mają więcej ognia i przerażenia.<sup>53</sup>

---

tom wojskowym i organizacyjnym stworzył z koczowniczych plemion mongolskich i tureckich scentralizowane państwo.

<sup>50</sup> Wódz plemion środkowoazjatyckich (1336-1405). Rezydował w Samarkandzie, popierał rozwój architektury, rzemiosła i handlu. Prowadził liczne wojny, podbił Irak i Zakaukazie, rozgromił Złota Orde.

<sup>51</sup> Batu-chan (początek XIII wieku – 1255), wnuk Czyngis-chana, wybitny dowódca i organizator. Od 1243 roku organizował państwo Złotej Ordy, które zjednoczył ostatecznie w 1251 r. W 1241 roku najechał Polskę i Węgry, docierając przez Chorwację i Dalmację do Adriatyku.

<sup>52</sup> M. Stogowska, op. cit., s. 108.

<sup>53</sup> M. Stogowska, op. cit., s. 109-110.

Takie wyprawy w step były zapewne dla poety czasem zapomina-  
nia o realiach zesłania. Zarówno ten fragment listu, jak i kolejne wersy  
raz jeszcze potwierdzają szczególną uwagę romantyka Gustawa do przy-  
rody, bo jakże mogło być inaczej, do rozległości stepów i ich kulturo-  
wych realiów. Nakazywał mu to duch romantycznego orientalizmu, który  
uwydatni się w napisanych przez niego poematach. Dostrzegam tu wy-  
raźny proces nabywania wiedzy o stepach i zrodzonej tutaj kompetencji  
poznawczej, w której splatały się wątki pejzażowe z realiami zesłańczego  
życia. I nie ma w tej twórczości poetyckiej separowania tych dwu spraw,  
wręcz przeciwnie - przenikają się one nawzajem, jak np. w bardzo osobi-  
stym wierszu *Na stepach*:

Ileż to razy człek w krainie ducha,  
Chciałby zapomnieć o ziemskim padole,  
I chciałby skruszyć żelazną niewolę  
Która go wiąże do nieszczęść łańcucha,  
Chociaż swe loty wybija nad chmury,  
Myśla, jak strzałą strop niebios przenika,  
Cofnąć się musi bo nie ma języka  
Jakim ma mówić do Stwórcy natury.  
Wraca – chce śpiewać co widział i smutnie  
Patrzy, na nicłość swych płomiennych tworów,  
Bo choć od ziemi pożyczy kolorów,  
Niebiańskich tonów, nie wleje w swą lutnię.  
I próżno żąda siłami wszystkimi,  
Skruszyć swe pęta, lecieć w złudzeń kraje  
Gdy zwichnięte skrzydła, dopiero poznaje  
Ze on jest wiecznie przykuty do ziemi.

Trzeba tu jeszcze raz wspomnieć, że w poezji Gustawa wiele jest  
kulturowych realiów i opisów przyrody. Nie mogło ich zabraknąć też w  
poemacie *Stepy*, są bowiem w nim obrazy wyścigów jeźdźców stepo-  
wych, folklor z tym związany, *akyni* grający na *dombrach*, surowa przy-  
roda. Wprawdzie nieraz to banał i poetycka dezinformacja, ale nie czytel-  
nicza nuda. Poemat poprzedzony jest słowem wstępnym, które wprowa-  
dza czytelnika w obcy dlań świat „tysiącami mil odległy, powierzchnią  
swoją, kolosalną przyrodą, nieledwie niebytem, tak różnych od co dzień  
widzianego, który pomimo licznych prac i badań najnowszych orientali-  
stów, dotąd jeszcze dokładnie zbadanym nie został, nie uważam zbytecz-  
nym, krótkim wstępem poemat mój poprzedzi.”

Przez cały okres zesłania pracował G. Zieliński w miejscowej ad-  
ministracji. Dawało mu to możliwość poznania rozległych stepowych ob-  
szarów. Zafascynowany folklorem kazachskim, zwyczajami i obyczajami  
tego ludu, stał się piewcą jego życia i wolnościowych dążeń. Z zesłania  
powrócił w listopadzie 1842 roku i osiadł na roli, poświęcając się gospo-  
darce (dobra Skepe na ziemi dobrzyńskiej). Metryka jego dorobku lite-  
rackiego, nacechowanego epigonizmem w stosunku do okresu przedpow-  
staniowego, związana jest z pobytem na zesłaniu. Tam bowiem napisał u  
schyłku lat trzydziestych poemat *Kirgiz*, którego pierwsze wydanie uka-

zało się w 1842 roku w Wilnie, gdy przebywał jeszcze na zesłaniu w Iszymie.<sup>54</sup> Ta poetycka opowieść przepojona jest egzotycznym orientalizmem powiązany z romantycznym obrazem kazachskich dążeń wolnościowych i ich buntów w imię idei wyswobodzenia się z ciężaru niewoli. Krajobraz poematu jest przepojony realiami kulturowymi właściwymi dla tego narodu, a detale etnograficzne pełne realizmu i wierności faktycznej są w nim wyeksponowane.

Ów koloryt lokalny wabi także treścią innych poematów, jak *Koń Beduina* oraz *Stepy*, jakkolwiek ten ostatni oprócz pewnej warstwy opisowej (pierwsza część niejako pejzażowa) w części drugiej tchnie filozoficznym rozumieniem losu człowieka. Ślepy *akyn* wznosi pochwałę wolności i szczęśliwego życia ludzi mających w nieprzebranej wielkości stepu poczucie swobody. Poprzez wszystkie utwory związane z tą ziemią przewija się wielka umiejętność odczuwania przez poetę uroku przyrody. Nic więc dziwnego, że jego utwory są po dzień dzisiejszy wielce cenione i lubiane przez Kazachów. Zwłaszcza *Kirgiz*, odtwarzający wolnościowe dążenia tego narodu, jest poematem po wielokroć przywoływanym w historii literatury kazachskiej.

Fabula poematu obraca się wokół losu tubylczego młodzieńca sprzedanego w niewolę. Tęskniąc za wolnością, uwalnia się on wraz ze swym wspaniałym koniem i wbrew wielu niebezpieczeństwom odnajduje współplemieńców. Rozkoszując się wolnością, poznaje piękną kobietę, jak się okazuje, córkę mordercy jego ojca, tego samego, który i jego sprzedał do niewoli. Ów niedobry bij zorientował się po czasie, że młodzieniec ten, to sprzedane przez niego kiedyś dziecko. Młodzieńca chroni jednak przestrzegane przez Kazachów prawo gościnności. By nie komplikować swych losów, narzeczeni uciekają w step. Ojciec wprowadzonej, nie mogąc ich dopędzić, podpala step i uciekinierzy giną w płomieniach. Piękna Dżamilia, ufająca chłopcu, zdecydowała się na ucieczkę wierząc, iż gdzieś w stepach będzie wieść szczęśliwe życie ze swym lubym. Los jednak nie pozwolił na ziszczenie się marzeń młodzieńców.

Czy poemat *Kirgiz* bliski jest rzeczywistości? A kto to wie! Nikt dzisiaj nie potrafi na to odpowiedzieć. Z pewnością jednak powstał on na kanwie ludowych gawęd kazachskich, pieśni *akynów*, z dużą dozą wyobraźni twórcy.<sup>55</sup> Powstanie dzieła związane jest z okolicami Iszumu, gdzie przez siedem lat przebywał jego autor. Często w porze letniej w okolicach pojawiały się koczowiska Kazachów, a tak oto pisze na ten temat zesłaniec Paweł Ciepliński:

<sup>54</sup> Kolejne wydania poematu to: Wilno 1842, Warszawa 1852, 1857, 1892, 1899, 1901, 1908, 1909, 1910, 1921, 1924, 1956; Lwów 1867, 1871, 1877, 1884 i 1906; Lipsk 1847, 1857, 1871, 1876; Brody 1908.

<sup>55</sup> Zob. G. Zieliński, *Kirgiz i inne poezje*, opracowanie i wstęp J. Odrowąż-Pięniątek, Warszawa 1956.

[...] mieszkaliśmy razem w tobolskiej guberni, w powiatowym mieście Iszymie, gdzie nas było trzynastu. Z tej liczby Adolf Januszkiewicz, Gustaw Zieliński, Eugeniusz Lempicki, Michał Moraczewski i ja, niżej podpisany lubiliśmy polowania na ptactwo: – Od mieszkańców Iszymu dowiedzieliśmy się, że w odległości siedmiu mil od miasta jest step, tak zwany Burlakowy, bardzo obfitujący w różne gatunki ptactwa. Nie pamiętam, którego roku, postanowiliśmy i ten step zwiedzić. Wypytawszy się więc o drogę i zaopatrzwszy się w samowar i żywność na dni cztery dla siebie, psów i koni, puściliśmy się w połowie lipca na wielkie łowy.

Na noc zatrzymaliśmy się w odległej o wiorst trzy od tego stepu wiosce, u zaleconego nam gospodarza, który nas przyjął najserdeczniej. Nazajutrz o wschodzie słońca, powziawszy wiadomość o pozycji, ruszyliśmy szukając jurt kirgiskich i szczęśliwie trafiliśmy od razu. Jedną z tych jurt najęliśmy na dwa dni i zaraz poznaliśmy jej gospodarza, czyli pana, jako też jego synów i trzy córki: Naxymelę, Demełę i Kartankę – bohaterki poematu *Kirgiz*. Kartanka najpodobniejsza do ludzi (bo wszystkie Kirgizki szkaradne) powinna była być bohaterką romansu, gdyż umiała szczebiotać cokolwiek po rosyjsku i najbardziej nas bawiła i zajmowała. Nie rozumiem, jak Gustaw jej imienia zapomniał.<sup>56</sup>

Z pewnością jednak twórca poematu szukał w swej wyobraźni literacko-romantycznych tragedii i dramatów, ale też i spojrzeniem osobistym i przekazami swych przyjaciół nasycił jego treść interesującą fabułą, w której oczywiście nie obeszło się bez romantycznego tchnienia atmosfery stepu. To oczywiście nie umniejsza wartości tego literackiego dzieła, pełnego dynamiki i zaskakujących literacko obrazów. Oto jeden z nich:

Zatrzymał konia – spiął się w strzemieniu,  
Rozpostarł ręce z czuciem dziecinnym,  
Aby po długim, długim cierpieniu  
Odżyć powietrzem stepu gościnnym.  
Jemu się zdało – czystsze i lepsze...  
A więc je chwycił z takim pośpiechem,  
Jakby chciał jednym pełnym oddechem  
Objąć w pierś całe stepów powietrze  
I długo, długo, jak ten co łaknie,  
Bał się czy jemu tchnieć nie zabraknie.

<sup>56</sup> P. Ciepliński, *Przyczynek do życiorysu śp. Gustawa Zielińskiego*, „Kłosy” 1882, nr 891.

Wyobraźmy sobie teraz tego romantycznego poetę, do którego wsząd docierały impulsy krajobrazowe oddziałujące na jego niebywałą spostrzegawczość i wrażliwość, w sytuacjach mających charakter najrozmaitszych kulturowych realiów życia ludzi stepu, krajobrazu i świata przyrody. Kto ciekaw, niech poczyta poematy *Kirgiz* lub *Step*, to zobaczy ten teatr składający się z osobliwego życia nomadów, wobec którego niemożliwym jest przejść obojętnie.

Pragnienie wolności i pragnienie życia godnego jest przecież dążeniem każdego człowieka. Nie dziwi zatem, że poruszało autora nieszczęście narodu kazachskiego, jego nowe dramaty będące konsekwencją rosyjskiej kolonizacji i niedające się rozwikłać wynikające z tego sprzeczności. Patrzył na te dramaty z pozycji piewcy „kirgiskich stepów”, a ukazując los jednostki czy samotnego nieszczęścia, miał zapewne na myśli szerszy kontekst społeczny ukazany w poetyckiej formule wypowiedzi. Myślę, że nawet stawianie pytania dotyczącego wzajemnych relacji mie-

Okładka książki w języku kazachskim poświęconej A. Januskiewiczowi  
wydanej w Ałmaty (1997).

---

**STANISŁAW CIESIELSKI**

## **POLACY W KAZACHSTANIE 1940-1946**

W latach 1940-1941 władze radzieckie przeprowadziły cztery wielkie operacje deportacyjne z okupowanych ziem polskich. Był to jeden z elementów polityki przekształcania i rozbijania zastanych tam struktur społecznych w celu uzyskania pełnej kontroli nad ludnością. Przesiedlaną ludność kierowano do rejonów ZSRR odznaczających się trudnymi warunkami klimatycznymi. Wynikało to zarówno z represyjnego charakteru przesiedleń, jak i z dążenia władz radzieckich do wykorzystania siły roboczej zesłańców do zagospodarowania obszarów, gdzie trudno było ściągnąć najemną siłę roboczą. Były to przede wszystkim północne terytoria Rosji europejskiej, Syberia i Kazachstan.

### **Liczebność Polaków w Kazachstanie**

Pierwsza masowa wywózka nastąpiła w lutym 1940 r. i objęła głównie polskich osadników wojskowych i kolonistów oraz służbę leśną. Z dokumentów NKWD wynika, iż spośród 139794 deportowanych wówczas obywateli polskich do Kazachstanu trafiło 5549 osób, w tym do obwodu akmolińskiego – 2072, do obwodu kustanajskiego – 902, do obwodu pawłodarskiego – 1133 i do obwodu semipałatyńskiego – 1442. Sporządzone w sierpniu 1941 r. przez NKWD ZSRR zestawienie zesłańców z lutego 1940 r. obejmowało 5379 osób, a wśród nich 4279 Polaków, 700 Ukraińców i 400 Białorusinów. Druga wielka deportacja nastąpiła w kwietniu 1940 r. Według ówczesnych raportów NKWD objęła ona 61092 osób: członków rodzin wcześniej represjonowanych obywateli polskich (m.in. rodziny jeńców wojennych), funkcjonariuszy policji, służby więziennej, żandarmerii, a także ziemian, fabrykantów i urzędników polskich. Deportowanych rozsiadano w obwodach: aktiubińskim – 7092 osoby, akmolińskim – 6176, kustanajskim – 8705, pawłodarskim – 11411, północnokazachstańskim – 20064 i semipałatyńskim – 7644 osoby. Następną grupą zesłańców trafiła do Kazachstanu w wyniku deportacji przeprowadzonej późną wiosną 1941 r. Z tzw. Ukrainy Zachodniej wywieziono wówczas niemal 12,4 tys. osób, spośród których 2291 w 3 transportach trafiło do obwodu południowokazachstańskiego (czimkienc-



kiego).<sup>1</sup> W czerwcu wywieziono ponad 22,3 tys. osób z zachodnich obwodów Białoruskiej SRR i 12,7 tys. z Litwy.<sup>2</sup> Miejszem docelowym eszelonów znów była m.in. Kazaska SRR. W sumie w toku operacji deportacyjnych w 1941 r. skierowano tam 15413 osób.<sup>3</sup> Ponieważ w odniesieniu do deportowanych z Litwy trudna do określenia jest liczba osób posiadających przed 1 września 1939 r. obywatelstwo polskie, niemożliwe jest precyzyjne ustalenie ilu obywateli polskich w sumie trafiło na zesłanie do Kazachstanu w latach 1940-1941.<sup>4</sup>

Przywrócenie stosunków dyplomatycznych między Polską i Związkiem Radzieckim i będące jego następstwem ogłoszenie tzw. amnestii dla obywateli polskich pozbawionych wolności na terytorium ZSRR uruchomiło wielkie i słabo kontrolowane ruchy migracyjne. Nastąpiło wówczas trudne do liczbowego określenia przesunięcie ludności polskiej z północnych obszarów ZSRR na południe, przede wszystkim ku miejscom formowania polskich jednostek wojskowych. Kazachstan stał się ważnym terenem tych ruchów. Do Kazachstanu napływali zwalniani więźniowie i zesłańcy z północnych rejonów ZSRR, zwłaszcza z obwodów archangielskiego i wołogodzkiego oraz z Komi.<sup>5</sup> Dokonywały się też przemieszczenia na mniejsze odległości, głównie z kołchozów i sowchozów do miast oraz z tzw. specposiołków do normalnych osad. Także władze radzieckie podejmowały decyzje o przesuwanie ludności polskiej. 3 listopada 1941 r. Państwowy Komitet Obrony ZSRR zdecydował o skierowaniu 10831 obywateli polskich przebywających w Kotłasiu, Toczoje, Tatiszczewie i Buzułuku do Kazachstanu i o osiedleniu ich w obwodach południowokazachstańskim, dżambulskim i semipałatyńskim.<sup>6</sup> 19 listopada 1941 r. Państwowy Komitet Obrony ZSRR postanowił przesiedlić 36500 obywateli polskich z Uzbekistanu do Kazachstanu: 18000 do obwodu południowokazachstańskiego, 12000 do obwodu dżambulskiego i 6500 do obwodu semipałatyńskiego.<sup>7</sup> Decyzja ta została wykonana tylko częściowo, jednak i tak spora grupa Polaków doświadczyła kolejnego przymusowego przemieszczenia.

<sup>1</sup> A. Gurjanow, *Cztery deportacje 1940-41*, „Karta” 1994: 12, s.124; I. Biłas, *Reprezywno-karalna systema w Ukraini 1917-1953*, Kyjiw 1994, t. 2, s. 201-213.

<sup>2</sup> W źródłach pojawiają się też inne dane: 19-28 tys., deportowanych z tzw. Zachodniej Białorusi, 9,6-12,4 tys. z tzw. Zachodniej Ukrainy 9,6-12,4 tys. Liczbę wysiedlonych z Litwy strona litewska ocenia na 17,8 tys. osób.

<sup>3</sup> W. N. Ziemskow, *Massowoje oswobodienije spiecposielencew i ssylnych (1954-1960 gg.)*, „Socjologiczeskije issledowanija” 1991, nr 1, s. 26; Centralne Archiwum Wojskowe. Kolekcja materiałów z archiwów rosyjskich (dalej: CAW, KMzAR), t. 695 k, k.5.

<sup>4</sup> S. Ciesielski, *Polacy w Kazachstanie 1940-1946. Zesłańcy lat wojny*, Wrocław 1996, s.42-45; D. Boćkowski, *Czas nadziei. Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRR i opieka nad nimi placówek polskich w latach 1940-1943*, Warszawa 1999, s. 72; CAW, KMzAR, t. 688, k. 29, t. 695k, k. 5.

<sup>5</sup> Archiwum Akt Nowych (dalej: AAN), Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej (dalej: MPiOS), t. 22, k. 106.

<sup>6</sup> CAW, KMzAR, t.165 a, k. 2.

<sup>7</sup> CAW, KMzAR, t.165 b, k. 2.; S. Kot, *Rozmowy z Kremlem*, Londyn 1959, s. 143.

Ambasada polska w ZSRR i jej placówki terenowe próbowały ustalić liczebność polskich skupisk. Pod koniec 1941 r. liczbę obywateli polskich w Kazachstanie szacowano – na podstawie mało wiarygodnych danych i z wyraźną przesadą – na 139 tys.<sup>8</sup> Władze radzieckie ze swej strony oceniały, że 1 stycznia 1942 r. w Kazachstanie mieszkało ponad 104 tys. obywateli polskich i ich liczba nadal wzrastała. Dane ambasady polskiej były jeszcze wyższe i wskazywały na obecność tam w styczniu 1942 r. ok. 113 tys., a w kwietniu ponad 121 tys. obywateli polskich.<sup>9</sup> Ustalenia te miały charakter szacunkowy, bowiem obok ludzi zarejestrowanych z imienia i nazwiska obejmowały grupy, o których posiadano tylko ogólnikowe wiadomości. W końcu 1942 r., kiedy ambasada posiadała stosunkowo najlepsze rozeznanie w liczebności polskich skupisk, pochodzące z Kazachstanu informacje mówiły o 89111 obywatelach polskich.<sup>10</sup> Bez wątplenia na zmniejszenie się tej populacji wpływ miała ewakuacja do Iranu armii polskiej i towarzyszących jej osób cywilnych. Na początku 1943 r. do obwodów ałmaackiego i tałdykurgańskiego Kazachstanu przesiedlono ok. 2,1 tys. obywateli polskich przebywających wcześniej w obwodzie saratowskim.<sup>11</sup> Wedle dokumentacji NKWD w 1943 r., w okresie ponownego przymusowego wydawania obywatelom polskim radzieckich dokumentów tożsamości, w Kazachstanie znajdowały się 76942 osoby, uważane przez władze radzieckie za „byłych obywateli polskich”. W dokumentach NKWD z 1944 r. liczebność tej grupy w Kazachstanie określano na 72-76 tys. osób, wśród których Polacy mieli stanowić 60-63 %.<sup>12</sup>

Próby obliczenia i rejestracji ludności polskiej przebywającej na terytorium ZSRR podjął także utworzony w 1943 r. z woli Stalina Związek Patriotów Polskich (ZPP). W połowie 1944 r. ZPP obliczał liczebność ludności polskiej w Kazachstanie na 95742 osoby, a więc znacznie wyżej, niż czynniki radzieckie, mimo iż rejestrami swymi obejmował w zasadzie jedynie osoby narodowości polskiej i żydowskiej. Późniejsze zestawienia ZPP nie potwierdziły jednak takiej liczebności obywateli polskich w Kazachstanie. Na prośbę Zarządu Głównego ZPP 11 lipca 1944 r. rząd radziecki postanowił przesiedlić 30 tys. Polaków mieszkających w rejonach o najtrudniejszych warunkach bytu, w tym także z niektórych obwodów Kazachstanu, na oswobodzone terytoria ukraińskie. Z Kazachstanu (z obwodów akmolińskiego, aktiubińskiego i kustanajskiego) prze-

<sup>8</sup> R. Buczek, *Działalność opiekuńcza Ambasady RP w ZSRR w latach 1941-1943*, „Zeszyty Historyczne”, t. 29, Paryż 1974, s. 56-57.

<sup>9</sup> Sz. D. Pirimkułow, *Trudowaja dejatielnost' i socialnoje obiespieczenije polskich emigrantow w SSS w 1943-1946 godach*, „Sowietskoje sławianowiedienije” 1978, nr 2, s. 88; AAN, MPiOS, t. 23, k. 9; t. 25, k. 20.

<sup>10</sup> S. Ciesielski, *Polacy...*, s. 49.

<sup>11</sup> CAW, KMzAR, t. 695 l, k. 34, 38.

<sup>12</sup> AAN, sygn. CAW, KMzAR, t. 677 a, k. 39, 44.

siedlono w ramach tej akcji 10226 osób.<sup>13</sup> Wedle informacji ZPP z końca 1944 r., liczebność ludności polskiej w Kazachstanie wynosiła 64035 osób,<sup>14</sup> natomiast dane tej organizacji z grudnia 1945 r. mówiły już tylko o 53854 osobach.<sup>15</sup> Trudno wyjaśnić takie różnice w ocenie liczebności ludności polskiej, nie tłumaczą ich bowiem żywiołowe przemieszczenia, indywidualne wyjazdy do Polski oraz na dawne wschodnie ziemie Rzeczypospolitej. Później okazało się zresztą, iż liczba uprawnionych do repatriacji była znacznie wyższa, niż to obliczano w 1945 r.

### Warunki bytu i pracy<sup>16</sup>

Pośród zesłańców z lutego 1940 r. najlichniesze grupy skierowano do przedsiębiorstw pozyskiwania złota w obwodach akmolińskim i pawłodarskim. Zakwaterowani byli na ogół zbiorowo. W barakach lub ziemiankach tworzących przyfabryczne osiedla lokowano po kilkadziesiąt osób, a powierzchnia na 1 osobę wynosiła poniżej 2 m<sup>2</sup>. Pomieszczenia przeważnie były niedogrzone, pozbawione elementarnych urządzeń sanitarnych, wyposażone jedynie w prymitywne prycze, czasem stoły z nieobrobionych desek. Niekiedy przez wiele miesięcy część zesłańców musiała mieszkać w kilkudziesięcioosobowych namiotach.

Polacy deportowani do Kazachstanu w kwietniu 1940 r. oraz wiosną 1941 r. w większości trafili do kołchozów i sowchozów. Często musieli samodzielnie u tubylców znaleźć mieszkanie w zamian za pieniądze, odzież, przywiezione sprzęty, bądź za świadczenie jakichś usług. Ludzie nie dysponujący odpowiednimi dobrami, nie nadający się do pracy lub obciążeni licznymi dziećmi mieli kłopoty ze znalezieniem kwatery. Niekiedy zesłańców administracyjnie przydzielano do miejscowych rodzin lub lokowano w pustych pomieszczeniach mieszkalnych lub gospodarczych, z reguły pozostających w fatalnym stanie. Budynki mieszkalne i inwentarskie miejscowa ludność wznosiła najczęściej z bloków darni lub gliny mieszanej ze słomą (*saman*), zagłębiając je przeważnie w ziemi dla lepszej ochrony przed mrozami. Te ziemianki i lepianki miały jedną, najwyżej dwie izby i sień lub obórkę. Polacy musieli więc tłoczyć się wraz z gospodarzami, nieraz po kilkanaście osób w jednym pomieszczeniu, ewentualnie zajmowali nieogrzewane pomieszczenie gospodarcze. Niektórzy z czasem zdobywali się na zbudowanie nowej lepianki, bądź dobudowanie nowej izby do już istniejącego domostwa.

<sup>13</sup> A. Głowacki, *Przemieszczenie obywateli polskich w Związku Radzieckim w 1944 roku*, Łódź 1989, s. 49, 52, 64.

<sup>14</sup> AAN, Związek Patriotów Polskich w ZSRR (dalej: ZPP), t. 755, k. 150-152.

<sup>15</sup> S. Ciesielski, *Polacy...*, s. 55-56.

<sup>16</sup> Szczegółową analizę warunków pracy i egzystencji polskich zesłańców w Kazachstanie wraz ze wskazaniem szerokiej podstawy źródłowej zob.: S. Ciesielski, *Polacy...*, s. 70-150; S. Ciesielski (red.), *Życie codzienne polskich zesłańców w ZSRR w latach 1940-1946*. *Studia*, Wrocław 1997, s. 79-208.

Dla przetrwania długiej i surowej zimy niezbędne było zgromadzenie odpowiedniej ilości opału. Ze względu na niewielką ilość lasów drewno było zdobyć trudno, a podstawowym paliwem był *kiziak* – mieszanka zwierzęcych odchodów ze słomą. Zbieraniem nawozu i mieszaniami go ze słomą zajmowały się całe rodziny, wykorzystując wszelkie ku temu możliwości. Na ogół jednak tego cennego paliwa nie starczało, starano się zatem gromadzić wszelkie inne materiały opałowe: słomę, stepowe krzewy i zielsko.

Przekleństwem i zarazem podstawą egzystencji polskich zesłańców była praca, często przymusowa, zawsze bardzo ciężka, źle wynagradzana. Deportowanych w lutym 1940 r. z zasady obejmował przymus pracy stosowany bezwzględnie wobec wszystkich uznanych za zdolnych do jej wykonywania. Zatrudniono ich w kopalniach złota bezpośrednio przy wydobywaniu kruszcu i przy robotach pomocniczych, przy wznoszeniu obiektów fabrycznych i mieszkalnych, budowie dróg i szlaków kolejowych oraz wodociągów. Większość deportowanych w kwietniu 1940 r. skierowana natomiast została do gospodarstw rolnych. Wobec części z nich stosowano przymus pracy, obejmując nim nawet 12-letnie, a niekiedy i 8-letnie dzieci. Z drugiej jednak strony wielu osiedlonych w kolchozach i sowchozach pozostawało bez stałego zatrudnienia, a więc i bez zarobków. Czasem sytuacja ta zmieniła się już w związku z nasileniem prac polowych, kiedy indziej dopiero na wiosnę 1941 r. Zesłańcy ci obrabiali działki przyzagrodowe kolchoźników, sprząтали ich domostwa, produkowali *kiziak*, zajmowali się rękodziełem, najczęściej w zamian za jedzenie i mieszkanie. Było to jednak w znacznej mierze zatrudnienie sezonowe i zimą problem braku pracy, a zatem i środków do życia przybrał dramatyczne rozmiary.<sup>17</sup>

Praca w kolchozach i sowchozach trwała 10-12 godzin dziennie, a w okresie szczytu prac polowych przedłużana była do 16 i więcej godzin. Polscy zesłańcy byli kierowani nie tylko do prac polowych, lecz także zajmowali się ogrodami warzywnymi, hodowali bydło, wykonywali różne prace budowlane i porządkowe. Prace te często przekraczały siły i umiejętności zesłańców, zwłaszcza stanowiących wśród nich znaczny odsetek kobiet, młodzieży i osób w podeszłym wieku.

Wiele prac rozliczanych było według trudnych do wykonania norm, a tylko wypełnienie normy umożliwiało zaliczenie dniówki i uprawniało do wynagrodzenia, głównie w formie towarów produkowanych przez dane gospodarstwo. Nawet w bogatych kolchozach stawka wynagrodzenia za dniówkę była niska. Bywało, że po rozliczeniu całorocznej pracy i potrąceniu zaliczkowo wydanych przydziałów żywności całe wynagrodzenie stanowiło kil-

<sup>17</sup> A. Głowacki, *Deportacje obywateli polskich do Kazachstanu i ich osiedlenie w latach 1940-1941*, [w:] S. Ciesielski, A. Kuczyński (red.), *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, Wrocław 1996, s. 294-295; S. Ciesielski, *Praca polskich zesłańców w Kazachstanie*, [w:] S. Ciesielski, A. Kuczyński, op. cit., s. 332-333.

kadziesiąt, a niekiedy kilkanaście kilogramów zboża i niewielkie ilości innych produktów. Zdarzało się nawet, że mimo ciężkiej pracy przez cały sezon, zaliczona liczba dniówek nie wystarczała na pokrycie kosztów żywienia i zakwaterowania w kołchozie lub sowchozie. Dotyczyło to zresztą również miejscowej ludności i decydowało o jej ubóstwie.

Poza rolnictwem zesłańcy z kwietnia 1940 r. zatrudnieni zostali m.in. w kolejnictwie, zwłaszcza przy obsłudze i budowie linii kolejowej Akmołińsk-Kartały. Zajmowali się przeładunkiem węgla i materiałów budowlanych, oczyszczaniem wagonów, naprawą torowisk, budową i remontami zabudowań kolejowych, w zimie odśnieżaniem torów. Zesłańcy pracowali także w przedsiębiorstwach przemysłowych Kazachstanu: na budowie elektrowni w okolicach Majkainu, w kopalniach, cegielniach, w przetwórstwie spożywczym. I w tych wypadkach potwierdzała się zasada, iż przydzielano im najczęściej roboty najcięższe i najgorzej płatne. Do pracy angażowano nie tylko nielicznych mężczyzn i dorosłe kobiety, ale także młodzież kilkunastoletnią, a nawet starsze dzieci. Praca trwała od ośmiu do kilkunastu godzin dziennie, przekraczała siły niedożywionych ludzi, w znacznej części nienawykłych do wysiłku fizycznego, w dużej części wręcz do niego niezdolnych. Miesięczne zarobki pozwalały zaś najwyżej na wykupienie niewystarczającego do przeżycia przydziału żywności.

Możliwości wyżywienia były uzależnione od miejsca pobytu i zatrudnienia zesłańców, lokalnej sytuacji ekonomicznej, postawy radzieckich nadzorców, a także od składu i zaradności rodzin zesłańczych. Zatrudnieni w przemyśle byli uprawnieni do korzystania ze zbiorowego żywienia w zakładowych stołówkach i zakupu żywności w miejscowych sklepach. Sporadycznie mieli okazję dokupienia artykułów spożywczych u okolicznych kołchoźników, głównie w zamian za przywiezioną z kraju odzież i przedmioty osobistego użytku. Zbliżona była sytuacja w sowchozach, gdzie robotnicy rolni również mogli korzystać ze stołówek, a żywność kupowali w miejscowym sklepie lub u kołchoźników. W sklepach w sprzedaży było jednak niewiele artykułów, zaś atrakcyjniejsze pojawiały się sporadycznie i były reglamentowane. Wiele kołchozów i sowchozów zatrudniających Polaków w ogóle nie interesowało się możliwością zdobycia przez zesłańców pożywienia, zwłaszcza gdy nie było dla nich pracy. Nagminne były też przypadki dyskryminowania ich przy rozdziale reglamentowanej żywności. Ratunkiem bywały bazy, na których kołchoźnicy sprzedawali swoje produkty, ale podaż była tam bardzo ograniczona, a ceny wysokie. Podstawowym źródłem żywności dla tych, których zatrudniono w kołchozach były przydziały podstawowych produktów wydawane na poczet rozliczenia wypracowanych dniówek po zakończeniu roku obrachunkowego oraz żywność uzyskana w zamian za pracę na rzecz kołchoźników.

Podstawę wyżywienia stanowił chleb, w wielu miejscach będący formą zapłaty za pracę. Wielkość dziennych przydziałów była zróżnico-

wana: od 300 do 1000 g na pracującą osobę. Pracujący musieli się tym dzielić z nie pracującymi członkami rodziny, zatem przy większej liczbie tych ostatnich wypadało ledwie po kromce chleba dziennie. Nie zawsze ów codzienny przydział był wydawany – zwłaszcza zimą zdarzały się wielodniowe przerwy w dostawach – i nie zawsze dzienne wynagrodzenie starczało na wykupienie przydziału.

Do wiosny 1941 r. wielkie znaczenie miały paczki przysyłane z Polski. Skarbem była dostarczana w ten sposób żywność, ale nie mniejsze znaczenie miały artykuły przemysłowe, zwłaszcza odzież, bielizna, pościel, mydło, które służyły nie tylko częściowemu zaspokojeniu potrzeb zesłańców, ale były przedmiotem wymiany na żywność.

Relacje zesłańców wskazują na znaczne zróżnicowanie poziomu żywienia. Ci, którzy mieli większe zasoby własne lub przez kupno i wymianę zdołali zdobyć odpowiednią ilość kaszy, ziarna lub mąki, potrafili zapewnić sobie czasem nawet trzy posiłki dziennie, choć norma stawała się jedzenie dwa razy na dobę. Jakość i wartość posiłków pozostawała na ogół wiele do życzenia. Wszystkie te źródła dostarczały jednak zbyt małych ilości pożywienia i głód lub jego bezpośrednia groźba stale towarzyszyły zesłańcom. Dobrodziejstwem była bliskość rzeki lub lasu z ich zasobami. Starano się też łowić drobną zwierzynę i dzikie ptactwo, nawet wróble. Przetwarzano na różne sposoby dziko rosnące rośliny stepowe, w tym pokrzywy i lebiodę.

Poważne zmiany w położeniu ludności deportowanej z Polski nastąpiły po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej i po podpisaniu układu polsko-radzieckiego z 30 lipca 1941 r. Mobilizacja obywateli radzieckich do armii spowodowała gwałtowny wzrost zapotrzebowania na siłę roboczą. Otworzyły się także możliwości lepszej pracy niż dotąd. Równocześnie jednak szybko pogarszały się warunki zatrudnienia, zaopatrzenie w żywność i inne artykuły niezbędne do życia. Coraz bezwzględniej egzekwowano obowiązek pracy, do najcięższych prac angażując kobiety, a nawet dzieci. Na południu Kazachstanu wielu Polaków napływających tam po zwolnieniu z więzień, obozów i zesłań w północnych rejonach ZSRR nie mogło znaleźć pracy, inni nie byli w stanie jej podjąć z uwagi na kondycję fizyczną. Niektórzy zresztą nie mieli takiego zamiaru, licząc na pomoc władz polskich.<sup>18</sup>

Nawet dla ciężko pracujących coraz częściej brakowało pożywienia. Na wsi podstawową formą ekwiwalentu za pracę stawała się dzienna porcja 100-800 g ziarna. Niekiedy zamiast zboża wydawano mąkę lub chleb, czasem tylko miskę zupy czy niewielką ilość ziemniaków lub garść prosa. Głód stawał się zjawiskiem coraz powszechniejszym. Charakter pracy w rolnictwie w latach 1943-1945 nie zmienił się w porównaniu z okresem wcześniejszym, pogłębiły się natomiast zjawiska negatywne, związane z wyczerpaniem ludzkich i materiałowych zasobów gospo-

<sup>18</sup> AAN, MPiOS, t.22, k.107-108; S. Kot, *Rozmowy...*, s. 147-148.

darstw. Tragizm sytuacji pogłębiał powtarzający się od 1943 r. neurodzaj. Kolchozy, nigdy nie prosperujące zbyt dobrze, popadały w nędzę, a ludzie nie dostawali coraz częściej żadnych produktów. Niewydawanie lub nieregularne wydawanie kolchoźnikom przydziałów żywności utrzymywało się w niektórych rejonach nawet jeszcze w 1945 r. Nieco korzystniejsza – przeciętnie rzecz biorąc – sytuacja panowała w tym okresie w sowchozach. Niektóre z nich wydawały swoim pracownikom nawet po 400 g chleba dziennie, inne płaciły po parę rubli dziennie, sprzedając za razem po cenie urzędowej niewielkie ilości chleba i zupę.

Po tzw. amnestii część Polaków w nadziei na lepsze warunki życia przenosiła się do miast. Czasem dawało to pewną poprawę położenia, jednak aprowizacja szybko pogarszała się. Ludność miast i osiedli robotniczych zaopatrywana była w żywność w systemie kartkowym. Przydziały były wprawdzie niewielkie, ale bez nich przeżycie w miastach było niemożliwe. Położenie Polaków stawało się tragiczne, gdy brakowało dla nich pracy, tym samym nie mieli bowiem prawa do kartek.

W wyniku zjawisk zachodzących w latach 1942–1943 zmieniła się struktura zatrudnienia ludności polskiej w Kazachstanie: zaczęli przeważać ludzie pracujący poza rolnictwem – w przemyśle, kolejnictwie i rzemiośle. Jednym ze znaczących rodzajów zatrudnienia ludności polskiej w tym okresie była praca w górnictwie, a największym skupiskiem Polaków – górników było zagłębie karagandyjskie.

Niezwyczajnie trudne warunki bytu, stałe niedożywienie i praca ponad siły szybko wyczerpywały zesańców, co w połączeniu z fatalnym stanem sanitarnym i bardzo słabą opieką medyczną prowadziło do wielu schorzeń. Powszechnie występowały choroby pokarmowe, różne formy dystrofii, jednak największe niebezpieczeństwo stwarzały epidemie, szczególnie tyfusu plamistego. Na obszarze Kazachstanu największe epidemie tyfusu zanotowano w 1942 r. w obwodach pietropawłowskim, czimkienckim i ałmaackim, w 1943 r. w obwodzie kustanajskim, w 1944 r. w obwodzie dżambulskim i w Karagandzie, w 1944 i 1945 r. w obwodzie aktiubińskim. Zapewne takich sytuacji i rejonów ogarniętych epidemią było więcej, a ogólna skala ofiar śmiertelnych tej i innych chorób jest trudna do ustalenia. Epidemie dziesiątkowały wprost niektóre skupiska polskie, powodując wymieranie nawet całych rodzin.

### **Opieka nad ludnością polską**

Porozumienia polsko-radzieckie z lipca i grudnia 1941 r. umożliwiły zorganizowanie delegatur ambasady polskiej oraz instytucji udzielających pomocy ludności polskiej. W Kazachstanie delegatury utworzono w Dżambule, Czimkiencie, Pawłodarze, Akmolińsku, Pietropawłowsku, Ałma-Acie, Kustanaju i Semipałatyńsku. Delegatury oraz podległe im placówki mężów zaufania zbierały informacje o liczebności, położeniu i potrzebach ludności polskiej, prowadziły akcję informacyjną, udzielały

pomocy materialnej, organizowały działalność kulturalną i oświatową. Był to ogromny zakres zadań, trudnych do wykonywania w ówczesnych warunkach. Władze radzieckie czasem pomagały, ale niejednokrotnie przeszkadzały w tworzeniu polskich domów inwalidów, domów starców, sierocińców, ośrodków zdrowia. Organizowana przez polską ambasadę pomoc objąć miała przede wszystkim dzieci, osoby niezdolne do pracy z racji wieku, stanu zdrowia lub obowiązków rodzinnych, a w miarę możliwości także wszystkich pozostałych. Pomoc ta polegała na wsparciu finansowym, a przede wszystkim rzeczowym w postaci żywności, odzieży i obuwia.

W Kazachstanie opieka nad ludnością polską najszerszy zasięg miała w pierwszej połowie 1942 r. Tamtejsze delegatury ambasady w tym okresie otrzymały na ten cel 7570670 rubli oraz 662 ton darów rzeczowych. Zorganizowano 82 punkty dożywiania, 9 sierocińców, 6 domów inwalidów, 1 szpital, 4 stołówki, 2 domy starców, 1 dom noclegowy.<sup>19</sup>

W związku z zaostrzeniem się stosunków polsko-radzieckich, po serii prowokacji, władze radzieckie w lipcu 1942 r. zlikwidowały delegatury ambasady. Opieka nad obywatelami polskimi spoczęła w całości na barkach mężów zaufania, których w Kazachstanie w grudniu 1942 r. było 100. Opracowany przez ambasadę polską wykaz placówek opiekuńczych w Kazachstanie w grudniu 1942 r. obejmował: 77 punktów dożywiania, 6 stołówek, 17 domów inwalidów, 1 dom starców, 17 sierocińców, 3 szpitale, 12 ambulatoriów i punktów sanitarnych.<sup>20</sup> Choć były to placówki niewielkie i borykające się z wielkimi trudnościami, to jednak ich pomoc miała ogromne znaczenie, często decydując o możliwości przeżycia poszczególnych osób i rodzin, a sam fakt ich działania miał dla Polaków wielkie znaczenie moralne.

Na początku 1943 r., w związku z ponownym narzuceniem Polakom obywatelstwa radzieckiego, polskie placówki opiekuńcze i oświatowe przejęte zostały przez władze ZSRR i częściowo zamknięte. Znaczna część zgromadzonych dóbr materialnych, w tym nierozdysponowane jeszcze dary z zagranicy, przepadła w wyniku samowolnych decyzji różnych czynników radzieckich, a to co ocalało znalazło się w dyspozycji utworzonej w maju specjalnej instytucji rządowej – *Uprosobtorg* – która miała zaopatrzyć ludność polską.

Położenie Polaków w Kazachstanie w 1943 r. dramatycznie się pogorszyło, a sytuacja w obwodzie dżambulskim była wprost katastrofalna. Przerwano tam wydawanie produktów żywnościowych dla osób niepracujących, co podważało podstawy bytu rodzin. Z coraz większymi opóźnieniami i na

<sup>19</sup> AAN, MPiOS, t.25, k.17, 63-65; S. Kot, *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*, Londyn 1955, s. 491.

<sup>20</sup> D. Boćkowski, op. cit., s.428; S. Ciesielski, *Polacy...*, s. 163, 173, 204-205.



coraz niekorzystniejszych zasadach dokonywano rozliczeń za pracę w tamtejszych kolchozach. Śmierć głodowa stała się zjawiskiem bardzo częstym.<sup>21</sup>

Pomoc dla ludności polskiej starał się od połowy 1943 r. zapewnić powołany do życia z woli Stalina Związek Patriotów Polskich, jednak jego zabiegi przynosiły nader ograniczone efekty. Rząd radziecki ograniczał się tylko do doraźnych posunięć o niewielkim znaczeniu. W marcu 1944 r. przekazano 500 t mąki na zaopatrzenie Polaków w obwodzie dżambulskim,<sup>22</sup> a w kwietniu zdecydowano o wydaniu ludności polskiej w kwietniu i maju dodatkowo po 2 kg mąki, 1 kg kaszy, 0,5 kg tłuszczu, 0,5 kg cukru, 0,5 kg soli na osobę. Formą pomocy dla dzieci polskich było wydzielenie do sprzedaży dla nich 15 tys. par butów i 500 tys. metrów tkanin (na całym obszarze ZSRR). Rodzinom żołnierzy pełniących służbę w Armii Polskiej w ZSRR przyznano zapomogi pieniężne w wysokości do 500 rubli.<sup>23</sup> Nawet te skromne przydziały przekazywane były ze znacznymi opóźnieniami i w niepełnym rozmiarze, a do niektórych skupisk polskich pomoc ta nie dotarła wcale.<sup>24</sup> Od połowy 1944 r. dzięki dodatkowym przydziałom żywności organizowano też dożywianie polskich dzieci, ale objęło ono tylko część dziatwy, a przeciętna ilość produktów przypadająca na jedno dziecko była niewielka.

ZPP starał się też tworzyć system samopomocy ludności polskiej inicjując zakładanie kas wzajemnej pomocy, organizując opiekę nad chorymi i imprezy rozrywkowe, z których zyski przeznaczano na zapomogi dla najbiedniejszych. Ponieważ jednak większość Polaków żyła w nędzy, te formy działalności mogły przynieść bardzo ograniczone efekty.

### Dzieci

Dzieci stanowiły ponad 40 % wywiezionych do Kazachstanu obywateli polskich.<sup>25</sup> Po tzw. amnestii do Kazachstanu przybywały dzieci wraz z rodzinami przenoszącymi się z północy ZSRR, jednak brak wiarygodnych informacji o ich liczbie. Nastąpił też odpływ, pewną liczbę dzieci udało się bowiem ewakuować z ZSRR, inne wyjechały wraz z armią gen. Andersa, przemieszczały się też z rodzinami do innych republik ZSRR. Łączna liczba ewakuowanych z ZSRR dzieci (wraz z junakami armii Andersa) wyniosła niemal 20 tys. W końcu 1945 r. Związek Patriotów Polskich dysponował informacjami o 13258 polskich dzieciach w Kazachstanie.<sup>26</sup>

Od chwili osiedlenia na zesłaniu polskie dzieci powinny uczęszczać do miejscowych szkół, jednakże tylko w niektórych osadach, do których trafili Polacy funkcjonowały choćby czteroletnie szkoły początk-

<sup>21</sup> AAN, ZPP, t. 13, k. 19.

<sup>22</sup> A. Głowacki, *Ocalić i repatriować. Opieka nad ludnością polską w głębi ZSRR (1943-1946)*, Łódź 1994, s. 79-80.

<sup>23</sup> AAN, Polonica, sygn. F-67, k. 9-14.

<sup>24</sup> AAN, ZPP, t. 806, k. 10; t. 818, k. 53; t. 839, k. 3.

<sup>25</sup> CAW, KMzAR, t. 688, k. 29.

<sup>26</sup> AAN, ZPP, t. 754, k. 77-78.

kowe. Z reguły nie było możliwości posyłania dzieci do szkół dalej położonych. W okresie mrozów edukację utrudniał, a nawet uniemożliwiał, brak ciepłej odzieży i obuwia. Dzieci, zwłaszcza starsze, musiały też pracować zarobkowo, bądź opiekować się młodszym rodzeństwem gdy pracowali dorośli. Władze z różną stanowczością egzekwowały obowiązek edukacyjny wobec polskiej młodzieży, niekiedy w ogóle nie interesując się tym problemem. Polacy radzieckie szkoły postrzegali jako miejsca indoktrynacji i wynarodowienia, a w wielu środowiskach za patriotyczny obowiązek uważano nie posyłać tam dzieci. Część rodziców uważała jednak, iż dzieci powinny się uczyć za wszelką cenę. W wielu wypadkach miejscowe szkoły borykały się z ogromnymi kłopotami materialnymi, nie istniała też możliwość nabywania pomocy szkolnych, zwłaszcza wyrobów papierniczych, co naukę ogromnie utrudniało.

Dzieci polskie w rosyjskich szkołach nierzadko były szykanowane przez miejscowych kolegów oraz nauczycieli. Niektórzy nauczyciele wręcz zachęcali miejscową młodzież do wrogości wobec Polaków, choć byli też pedagodzy nastawieni do nich życzliwie. Problemem była też początkowo dla większości młodych Polaków niezajomość języka rosyjskiego, lecz ta przeszkoda szybko została pokonana.

Roztoczenie opieki nad dziećmi za priorytetowe zadanie uznała ambasada polska w 1941 r., jednakże placówki wychowawcze i oświatowych powstawały głównie samorzutnie, przede wszystkim z inicjatywy nauczycieli – zesłańców, a czasem osób z oświatą niezwiązanych.<sup>27</sup>

Największe znaczenie wśród tych placówek miały szkoły, przedszkola i sierocińce. Wedle danych polskiej ambasady w grudniu 1942 r. na terenie Kazachstanu znajdowało się 17 sierocińców. Zapewne niektóre nie wyszły poza stadium inicjatywy, a niektóre inne działały bardzo krótko. Z dokumentów radzieckich wynika, że w momencie przejmowania polskich placówek przez władze radzieckie w Kazachstanie istniało jedynie 8 polskich domów dziecka. Historycy ustalili jednak, iż było co najmniej 10 takich placówek. Były one na ogół niewielkie, panowały tam bardzo trudne warunki, brakowało niemal wszystkiego: wyposażenia, odzieży, żywności. Niemniej dla wielu polskich sierot sponiewieranych przez los, taki dom dziecka stawał się prawdziwym ocaleniem. W grudniu 1942 r. na terenie Kazachstanu znajdowały się 24 polskie szkoły. Borykały się one z wielkimi problemami, począwszy od trudności z uzyskaniem lokalu nadającego się do prowadzenia nauki. Niekiedy odbywać się ona musiała po prostu w większych izbach mieszkalnych. Brakowało podręczników, zeszytów, przyborów do pisania, nie mówiąc już o innych pomocach. Tylko częściowo trudności te rekompensowane były zapalem

<sup>27</sup> E. Trela, *Edukacja dzieci polskich w Związku Radzieckim w latach 1941-1946*, Warszawa 1983, s. 22.

nauczycieli (niekiedy nie posiadających odpowiednich kwalifikacji) i entuzjazmem uczniów.<sup>28</sup>

Żywoć polskich placówek oświatowo-wychowawczych był krótki. Na mocy uchwały Rady Komisarzy Ludowych ZSRR z 26 stycznia 1943 r. zostały one przejęte przez organy radzieckie. Spora ich część po prostu przestała istnieć, w licznych dokonano poważnych zmian kadrowych, we wszystkich zaprowadzono porządku właściwe instytucjom radzieckim. Dopiero latem 1943 r. zaczęły powstawać nowe formy organizacji opieki nad polskimi dziećmi. Wiązało się to z utworzeniem 30 czerwca Komitetu do Spraw Dzieci Polskich w ZSRR oraz z działaniami ZPP. Liczba placówek zajmujących się polskimi dziećmi rosła jednak niezwykle wolno. Na początku 1944 r. w całym ZSRR tylko 1/3 dzieci polskich w wieku szkolnym była objęta nauką w języku ojczystym. W Kazachstanie utworzono 5 szkół początkowych, 16 niepełnych średnich i 1 średnią. Łącznie pobierało w nich naukę 3412 uczniów. W licznie zamieszkanym przez Polaków obwodzie kustanajskim nie było żadnej polskiej szkoły, a w obwodzie semipałatyńskim tylko jedna. Rok później w większości obwodów uczyło się mniej niż 50 % polskich dzieci.<sup>29</sup>

Nauka w szkołach dla Polaków odbywała się według programów radzieckich, uzupełnionych o język polski, geografię i historię Polski. Kłopoty lokalowe, kadrowe i braki pomocy szkolnych stale towarzyszyły działalności tych placówek. Nominacje nauczycieli leżały w gestii władz radzieckich, które brały pod uwagę zwłaszcza „polityczną prawomyślność” kandydatów. Fatalne było, zwłaszcza w latach 1943-1944, zaopatrzenie w podręczniki. Wykluczono wznowienie dawnych podręczników polskich, konieczne były więc tłumaczenia z rosyjskiego, bądź opracowywanie nowych książek. Pewną pomocą były polskie czasopisma oraz dzieła beletrystyczne. Uczniom i nauczycielom doskwierał też ogromny niedostatek przyborów szkolnych, takich jak atrament czy papier do pisania. Kazachstan należał, obok Uzbekistanu i Kirgizji, do tych republik, z których napływały najintensywniej informacje o złym odżywianiu dzieci, braku odzieży i obuwia, co odbijało się negatywnie na frekwencji szkolnej, zwłaszcza zimą.<sup>30</sup>

Ważną formą opieki nad polskimi dziećmi były przedszkola. Większość placówek powstałych w latach 1941-1942 uległa likwidacji wiosną i latem 1943 r. Na początku 1946 r. istniało w Kazachstanie zaledwie 9 polskich przedszkoli, a ich wychowankowie stanowili znikomy odsetek polskich dzieci w wieku przedszkolnym.<sup>31</sup>

Istotnym nurtem działalności ZPP i Komitetu do Spraw Dzieci Polskich w ZSRR była organizacja domów dziecka, bowiem znaczna część

<sup>28</sup> S. Ciesielski, *Polacy...*, s. 198-203.

<sup>29</sup> *Szkolnictwo polskie w ZSRR 1943-1947. Dokumenty i materiały*, red. R. Polny, Warszawa 1961, s. 159-160; A. Głowacki, *Ocalić...*, s. 123; E. Trela, op. cit., s. 82.

<sup>30</sup> E. Trela, op. cit., s. 86-67, 114-115, 121, 128-129; *Szkolnictwo polskie...*, s. 161.

<sup>31</sup> A. Głowacki, *Ocalić...*, s. 273.

polских dzieci pozostawała bez opieki, nie mając zagwarantowanych minimalnych podstaw egzystencji. W domach tych przebywały dzieci od 3 do 14 lat, a nawet sporo starszych. W 1943 r. liczba sierocińców dla dzieci polskich spadła w porównaniu z rokiem poprzednim: w sierpniu było ich tylko 5, a w grudniu 7 z 530 dziećmi. Później placówek tego typu przybyło i na przełomie lat 1945/1946 było ich 11 lub 12, a przebywało w nich 1000-1100 dzieci. Sytuacja lokalowa i materialna większości domów dziecka była bardzo trudna, a niekiedy wręcz dramatyczna. Wielkim problemem było zapewnienie w nich opieki medycznej i odpowiednich warunków sanitarnych, z reguły niezadowolający był poziom aprowizacji. Starsze dzieci bardzo często musiały pracować i to nieraz ciężko. Wedle oficjalnych danych w 1944 r. wydatki na jednego wychowanka w Kazachstanie były najniższe w skali całego ZSRR.<sup>32</sup>

### Siły przetrwania

Powszedni dzień Polaka w Kazachstanie był uporczywą walką o przetrwanie. Nie zawsze kończyła się ona zwycięstwem, a świadectwem tych porażek pozostają kości polskich zesłańców w kazachstańskiej ziemi. Przetrwać oznaczało nie tylko podtrzymać biologiczną egzystencję, ale także zachować siły duchowe, świadomość własnej tożsamości narodowej i społecznej, zachować ludzką godność. Aby przetrwać należało pokonać szok wywołany wyrwaniem z rodzinnych domów, a pogłębiony zetknięciem z nieznaną, surową przyrodą, z obcym kulturowo i cywilizacyjnie otoczeniem. Trzeba było przyswoić sobie nowe reguły postępowania, znaleźć rozsądne proporcje między uległością a sprzeciwem, a zarazem uchronić wartości, których wyrzeczenie się oznaczało degradację moralną. Przejawami tak rozumianej woli przetrwania były postawy wobec otoczenia przyrodniczego i społecznego, religijność, zabiegi o zachowanie polskości, zwłaszcza przez dzieci.

Istotnym czynnikiem determinującym postawy i zachowania Polaków były ich związki z religią. Polacy wywiezieni w głąb ZSRR znaleźli się w sytuacji dla nich całkowicie nowej również pod względem możliwości zaspokajania potrzeb religijnych. Związani z wiarą i kościołem wielowiekową tradycją, obyczajowością i uczuciami, nagle zostali pozbawieni opieki duszpasterskiej, miejsc kultu i możliwości odbywania praktyk religijnych. Usiłowali organizować sobie jakieś formy życia religijnego, jednak możliwości w tym zakresie były bardzo ograniczone, a groźba represji poważna. Najczęstszą i przeważnie jedyną formą religijności była modlitwa odbywana indywidualnie, ewentualnie w wąskim kręgu rodzinnym. Czasem śpiewano nabożne pieśni, nawet podczas pracy, gdy tolerowali to zwierzchnicy. Pieśń religijna towarzyszyła niejednokrotnie pogrzebom, majowym modlitwom do Matki Boskiej, wieczornym czy niedzielnym spotkaniom Polaków. Była elementem trwania

<sup>32</sup> Ibidem, s. 115, 93, 251-252; *Szkolnictwo polskie...*, s. 317.

przy polskości, sposobem na zachowanie przez dzieci i młodzież języka polskiego. W pierwszym okresie zesłania w stosunkowo wielu skupiskach polskich organizowano nabożeństwa majowe, mocno zakorzenione w tradycji polskiego katolicyzmu. Odbywane je oczywiście bez kapłana, w większej izbie lub zgoła w stepie. Zbierano się też na wspólne odmawianie różańca.<sup>33</sup>

Znaczenie wiary, modlitwy, pieśni kościelnej w życiu Polaków rzuconych w głąb radzieckiego imperium trudno przecenić. Nie ulega wątpliwości, że był to jeden z elementów przetrwania. Nawet ludzie wcześniej dalecy od religijnej gorliwości znajdowali w udziale w praktykach religijnych ważne dla siebie wartości. Wytężona działalność nielicznych polskich księży w latach 1941-1942 nie mogła zmienić faktu, że znakomita większość Polaków nie miała styczności z kapłanami, nie przyjmowała sakramentów, nie odbywała normalnych praktyk religijnych. Ci jednak, którzy mieli wówczas okazję uczestniczenia w nabożeństwach odczuli i zapamiętali je jako wydarzenia niezwykle silnie oddziałujące na ich postawy i nastroje.

### Repatriacja

Formalne podstawy repatriacji Polaków z ZSRR stworzyło podpisane 6 lipca 1945 r. polsko-radzieckie porozumienie, w myśl którego prawo do przesiedlenia do Polski uzyskały osoby „narodowości polskiej i żydowskiej, które posiadały do dnia 17 września 1939 r. obywatelstwo polskie”.<sup>34</sup> Apogeum akcji repatriacyjnej przypadło na I połowę 1946 r., kiedy powróciły do Polski 217144 osoby. Ogółem do 1949 r. przybyło ze Związku Radzieckiego 266 tys. osób, w tym z Kazachstanu – 69428 osób. Przytłaczająca większość tych ostatnich powróciła do ojczyzny w 1946 r. Wedle danych radzieckich 1 czerwca 1946 r. na terytorium Kazachstanu zamieszkiwały 53772 osoby uznawane przez władze radzieckie za obywateli polskich.<sup>35</sup> Skądinąd wiadomo, że w okresie styczeń-maj 1946 r. z Kazachstanu repatriowano już 19674 osoby.<sup>36</sup> Oznaczałoby to, że faktyczna liczba obywateli polskich wynosiła niemal 73,5 tys. osób. Repatriacja nie objęła wszystkich spełniających formalnie wymogi porozumienia z lipca 1945 r. Z radzieckich zestawień, uwzględniających stan na 1 czerwca 1946 r., wynika, że zezwolenie na wyjazd otrzymało 90,8 % spośród nich.<sup>37</sup> Nie jest obecnie znana pełna liczba przypadków

<sup>33</sup> Szerzej zob.: S. Ciesielski, *Życie religijne polskich zesłańców w Kazachstanie w latach 1940-1946*, [w:] A. Kuczyński (red.), *Kościół katolicki na Syberii. Historia – współczesność – przyszłość*, Wrocław 2002, s. 547-562. Tam podano podstawy źródłowe i literaturę przedmiotu.

<sup>34</sup> Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich, t. VIII, Warszawa 1974, s. 500-504.

<sup>35</sup> „Specjalnateczka Stalina”: *deportacje i reemigracja Polaków*, ed. N. F. Bugaj, „Zeszyty Historyczne”, Paryż 1994, z. 107, s. 124.

<sup>36</sup> J. Czerniakiewicz, *Repatriacja ludności polskiej z ZSRR 1944-1948*, Warszawa 1987, s. 162.

<sup>37</sup> „Specjalnateczka Stalina” ..., s. 124.

odmowy zgody na repatriację, co ogranicza możliwość ustalenia liczby Polaków pozostałych w Kazachstanie po upływie terminu opcji i zamknięciu możliwości powrotu do kraju.

Jeśli liczbę repatriowanych bezpośrednio z Kazachstanu powiększyć o przesiedlonych w 1944 r. na Ukrainę, tj. o ok. 10 tys. osób, to uzyskamy liczbę co najmniej (bowiem bez uwzględnienia indywidualnych wyjazdów z okresu poprzedzającego repatriację zorganizowaną) 72404 osób, które wyjechały w latach 1944-1948, a więc których obywatelstwa polskiego wówczas nie kwestionowano. Nakazuje to z ostrożnością traktować dane radzieckie z połowy 1944 r. oraz ustalenia ZPP. Natomiast trzeba pamiętać, że perspektywa wyjazdu do Polski z pewnością mogła zachęcać do starań o to także osoby wcześniej unikające ujawniania polskiego obywatelstwa, a także tych, którym wcześniej z różnych powodów wydano dokumenty radzieckie nie uwzględniające właściwej narodowości, w wyniku czego w rozmaitych ewidencjach nie byli oni zaliczani poprzednio do ludności polskiej.



---

**KS. BŁAŻEJ MICHALEWSKI**

**KATECHEZA W CZASACH  
KS. WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO  
I JEMU WSPÓŁCZESNYCH KAPŁANÓW  
W KAZACHSTANIE**

*Przemoc ma także swoje granice. Któż może mi zabronić się modlić? Ten najwyżej może się tylko sam ośmieszyć.*

Ks. W. Bukowiński

Śledząc historię Kazachstanu i zamieszkującą ten kraj ludność wiemy dzisiaj iż sporą część jego mieszkańców stanowią różne narodowości napływowe, a w ich składzie są zesłańcy z lat 30 i 40 ubiegłego wieku. Fala zsyłek jaka nawiedziła Zachodnią Ukrainę i Białoruś, w roku 1936 oraz zesłania i przesiedlenia z lat II wojny światowej, sprawiły że na niegościnne stopy Kazachstanu przybyła ludność katolicka, a wśród niej Polacy. Sięgając do wspomnień czasu deportacji, zauważymy że dla większości osób jedną z najważniejszych rzeczy jakie brali w „nieznane” były przedmioty kultu religijnego i co za tym idzie nie wyrzekali się oni swojej wiary lecz wręcz przeciwnie stawała się ona siłą ich przetrwania na „niehumanitarnej ziemi”.

Pierwsze lata zesłania stanowiły swoistą próbę wierności Bogu, nie tylko ze względu na oderwanie od ziemi Ojczyzny ale także z powodu braku kapłanów, którzy mogli by udzielać sakramentów i otaczać troską duszpasterską zesłańców. To co pozostawało, to modlitwa indywidualna czy też wspólne, ale tajne modlitwy grupy osób, zdających sobie sprawę z tego, że mogą za to doznać dodatkowych represji. Jednak głęboka wiara pokonywała lęk i niepewność jutra. Dla manifestacji wiary, często służyły pogrzeby osób wierzących i choć odbywały się one bez kapłana, to jednak modlitwa podkreślała znaczenie wspólnoty wiary zesłańców. Także święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy wnosły do domów ludności polskiej ducha patriotyzmu i religijności choćby przez śpiew kolęd czy



łamanie się opłatkiem, a gdy go brakowało, zwykłym chlebem. Jakże często życie sakramentalne ograniczało się do chrztu udzielanego przez nazwane ze względu na wiek „Babcie – Babuszki”, tj. kobiety cieszące się autorytetem w danej wspólnocie wiernych. One także często dokonywały przygotowywania dzieci do I komunii świętej, spowiedzi i pozostałych sakramentów z nadzieją wyczekując przyjazdu kapłana. W odniesieniu do ludności polskiej deportowanej w głąb ZSRR w latach 1940-1941 sytuacja zmieniła się po podpisaniu porozumienia Sikorski-Majski. Rozpoczęło się wówczas tworzenie oddziałów Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Władysława Andersa oraz wydane zostały określone postanowienia amnestyjne. Jednocześnie została naszkicowana sieć miejsc do których mogli udać się kapłani w ramach zapewnienia opieki duszpasterskiej rodakom.

Zakładano następujące rozlokowanie kapłanów: w obwodach archangielskim i wołogodzkiem – 5, w obwodzie kirowskim – 2, w obwodzie mołotowskim 2, w obwodzie gorkowskim 1, w Maryjskiej ASRR – 2, w Komi ASRR – 3, w obwodzie czkałowskim – 2, w obwodzie aktiubińskim – 2, w Baszkirskiej ASRR – 1, w obwodzie kustanajskim – 3, w obwodzie pawłodarskim – 3, w obwodzie północnokazachstańskim – 3, w obwodzie omskim – 2, w obwodzie akmołińskim – 3, w obwodzie semipałatyńskim – 3, w obwodzie almaackim – 2, w Kirgiskiej SRR – 3, w obwodzie swierdłowskim – 3, w Kraju Ałtajskim – 7, w obwodzie nowosybirskim – 3, w Kraju Krasnojarskim – 7, w obwodzie irkuckim – 4, w Jakuckiej ASRR – 1, w obwodzie saratowskim – 1, w Tadżyckiej SRR – 1, w Turkmeńskiej SRR – 1, w obwodzie dżambulskim – 4, w obwodzie południowokazachstańskim – 10, w obwodzie kzyłordyjskim – 2, w Uzbeckiej SRR – 3, w obwodzie samarkandzkim – 5, w obwodzie bucharskim – 4, w obwodzie chorezmijskim – 1, w obwodzie karakałpackim – 1, w obwodzie kujbyszewskim – 2. Tak więc minimalną obsadę duszpasterską w Kazachstanie oceniano na 35 kapłanów. Tymczasem w maju 1942 r., wg ambasadora Kota, w całym ZSRR wśród ludności cywilnej pracowało zaledwie 9 księży, "ale tylko prywatnie i po cichu", bowiem jedynie w wojsku kapelani dysponowali pełną swobodą działania. Na początku czerwca 1942 r. na podstawie zgromadzonych danych ambasada ustaliła, iż na terenie ZSRR pracowało 54 księży – obywateli polskich, z tego jednak w duszpasterstwie cywilnym tylko 15.<sup>1</sup>

Czas II wojny światowej, aż do początku lat 70 XX wieku to przede wszystkim tajna działalność kapłanów na terytorium ZSSR, w tym i Kazachstanu. Księży zsyłano do łagrów oraz prześladowano nakładaniem na nich różnych kar administracyjnych. Mimo to jak tylko była okazja, to w każdy możliwy sposób gdy tylko mieli sposobność, czy też gdy wychodzili na wolność udawali się w najdalsze części „Czerwonego Imperium” by posługiwać wszędzie tam gdzie byli ludzie wierzący. Warto zaznaczyć, że tak wierzący, jak i kapłani wywodzili się z różnych narodowości. Byli wśród nich Polacy, Niemcy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Koreańczycy i inni. Niektórzy z nich byli zesłańcami, inni nato-

<sup>1</sup> Por.: S. Ciesielski, *Deportacja Polaków w głąb ZSSR*, [www.sciesielski.republika-pl/sov-dep/polacy/index.html](http://www.sciesielski.republika-pl/sov-dep/polacy/index.html)

miast przybywali na kazachstańskie stepy z Litwy czy Łotwy zdając sobie sprawę z tego, że w każdej chwili mogli być aresztowani i skazani na więzienie. Mimo to ryzykowali takie misyjne wyprawy.

Do najbardziej znanych polskich kapłanów pracujących na terenie Kazachstanu należy zaliczyć o. Józefa Kuczyńskiego, o. Bronisława Drzepeckiego, o. Władysława Bukowińskiego, o. Alojzego Kaszubę, a także bp Aleksandra Chirę oraz innych. Warto zaznaczyć, że 19 czerwca 2006 roku w kaplicy metropolitów krakowskich, odbyło się uroczyste rozpoczęcie procesu kanonizacyjnego Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego. Warto więc pokrótce przybliżyć postać tego niezłomnego misjonarza imperium zła jakim podówczas był Związek Radziecki.

Przyszedł na świat 22 grudnia 1904 r. w Berdyczowie, dawnej guberni kijowskiej. Jego ojciec, Cyprjan Józef, pochodził z rodziny ziemiańskiej i był dyrektorem kijowskiej cukrowni. Natomiast matka, Jadwiga Scipio del Campo – potomkini rodu marszałka dworu królowej Bony – choć była Polką z Podola, miała korzenie włoskie; jej brat, Michał, należał do grona pionierów lotnictwa.

Władysław kształcił się w kijowskim gimnazjum rosyjskim, a następnie w gimnazjum polskim w Płoskirowie. W 1920 r. rodzina powróciła do Polski, a wkrótce ojciec został administratorem majątków Potockich w Pisarach oraz podkrakowskich Krzeszowicach. W 1921 r. Władysław zdał maturę i podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim; jednocześnie studiował w Szkole Nauk Politycznych. W tym czasie działał w Akademickim Kole Kresowym, które utrzymywało kontakty ze Stowarzyszeniem Polaków Uchodźców z Kresów Wschodnich. Kiedy odkrył powołanie kapłańskie, podjął studia na Wydziale Teologicznym UJ, zwieńczone 28 czerwca 1931 r. przyjęciem święceń z rąk metropolity krakowskiego kardynała Adama Stefana Sapiehy.

Skierowano go do Gimnazjum św. Tereski w Rabce, gdzie pracował jako wychowawca i katecheta. Od 1936 r. był wikariuszem i katechetą w szkole powszechnej w Suchej Beskidzkiej. Opiekował się wtedy chorymi i biednymi, a także zorganizował sekcję stowarzyszenia akademickiego „Odrodzenie”. W latach 1936-1939 wykładał katechetykę i socjologię w Wyższym Seminarium Duchownym w Łucku, ucząc również religii w szkołach, a w 1938 r. został sekretarzem generalnym Diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej. 17 września 1939 r., po wkroczeniu Sowieców na Wołyń, biskup Adolf Piotr Szełążek mianował go proboszczem parafii katedralnej w Łucku.

Niespełna rok później, 22 sierpnia 1940 r., został aresztowany przez NKWD i osadzony w łuckim więzieniu. Wolność odzyskał 27 czerwca 1941 r.; nakłaniano go do opuszczenia miasta, ale znowu podjął obowiązki duszpasterskie. W nocy z 3 na 4 stycznia 1945 r. został ponownie aresztowany – razem z biskupem Szełążkiem oraz kilkoma kapłanami – i wywieziony do Kowla, a potem do Kijowa. Oskarżony o zdradę został skazany na dziesięć lat karnego obozu pracy i trafił do obozu Bakał w obwodzie czelabińskim. Po przeniesieniu do Dżezkazganu pracował w kopalni miedzi. W okresie uwięzienia nie zaniechał działalności duszpasterskiej: udzielał sakramentów, odwiedzał chorych w łagrze, prowadził rekolekcje i podejmował, w imieniu więźniów, mediacje z władzami. Z obozu został zwolniony 10 sierpnia 1954 r. i – w trybie administracyjnym – zesłano go na trzy lata do Karagandy, gdzie miał podjąć pracę we wskazanym zakładzie, z obowiązkiem comiesięcznego meldowania się.

W czerwcu 1955 r., w ramach akcji repatriacyjnej, mógł powrócić do Ojczyzny, ale uważał, że jego miejsce jest wśród wiernych w Kazachstanie. I tak stał obywatelem Związku Sowieckiego. Dwa lata później znowu go uwięziono, tym razem na trzy lata. Po wyjściu na wolność powrócił do posługi duszpasterskiej, a oficjalnie pracował jako nocny stróż na terenie budowy.

3 grudnia 1958 r. został ponownie uwięziony za nielegalne otwarcie kościoła, agitację religijną wśród dzieci oraz młodzieży i posiadanie literatury antyrządzieckiej. Skazany na trzy lata znalazł się w miejscowości Czuma w obwodzie irkuckim, a później w łagrze dla „religijnych” w Sosnówce.

Zmarł w grudniu 1974 r.; został pochowany na miejskim cmentarzu w Karagandzie, a dziesięć lat później przeniesiono go w pobliże nowej świątyni pw. św. Józefa. Na jego grobie znajduje się tablica z napisami w języku: rosyjskim, polskim i niemieckim.<sup>2</sup>

Chcąc mówić o katechezie w Kazachstanie za czasów ks. W. Bukowińskiego i jemu współczesnych, warto odnieść się do dokumentów Soboru Watykańskiego II, szczególnie zaś do *Deklaracji o wychowaniu chrześcijańskim*, która porusza to zagadnienie w Kościele Powszechnym. Lata trwania Soboru (1962-1965), przypadają na czas pobytu i pracy ks. W. Bukowińskiego w Kazachstanie. Ojcowie Soborowi zwrócili uwagę na potrzebę kształtowania i pobudzania oceny moralnej wedle prawidłowo uformowanego sumienia, a co za tym idzie zwracali się z prośbą do rządzących narodami i odpowiedzialnymi za wychowanie, by umożliwili poznawanie wartości moralnych i miłowanie Boga.<sup>3</sup> W kolejnym punkcie wspomnianej powyżej *Deklaracji...*, jest mowa o prawie do chrześcijańskiego wychowania, które jest prawem każdego wierzącego człowieka i ma na celu pogłębienie jego wiary oraz pogłębiania swojej godności ludzkiej. Mówiąc o wychowaniu młodego pokolenie, nie sposób pominąć w nim roli rodziców. To oni są pierwszymi wychowawcami i przekazicielami wiary. Żadna zaś instytucja, ani organizacja nie jest w stanie zastąpić rodziców. Stąd też tak państwo jak i Kościół są tymi, którzy wspomagają rodziców w procesie wychowawczym. Pomocnicza działalność Kościoła i troska o wychowanie młodego pokolenia wyraża się przede wszystkim przez katechezę. To przez nią ma nastąpić umocnienie wiary, które prowadzi do głębszego wniknięcia w misterium Chrystusa i zanurzenia się w liturgii. Swoją troską Kościół ma objąć wszystkie swoje dzieci, czyli nikt nie ma być pominięty w rozwijaniu wiary, niezależnie czy uczęszcza do szkoły katolickiej czy też publicznej. Zadaniem Kościoła, jest również kształcenie kadr jak i troska o wszystkich odpowiedzialnych za wychowanie. W wychowaniu zajmuje też bardzo ważne miejsce szkoła. Współpracując z rodzicami, szkoła ma uczyć młodych ludzi na piękno i dobro, pogłębiać wiedzę i przygotowywać do dorosłego życia. Jak zauważają Ojcowie Soborowi, szkołę w tym zadaniu mają wspierać różne organizacje życia kulturalnego, obywatelskiego, religijnego i państwowego.

<sup>2</sup> Por.: M. Gryczyński, *Serce oddał zesańcom*, „Przewodnik katolicki”, 2006, nr 30.

<sup>3</sup> Por.: *Deklaracja o wychowaniu chrześcijańskim, nr 1, Sobór Watykański II*, Wydawnictwo Pallotinum (bez roku i miejsca wydania).

Przebywanie ks. W. Bukowińskiego i jego praca duszpasterska w Kazachstanie przypadają na lata kiedy w ZSRR obowiązywała tzw. konstytucja stalinowska z 1936 r. Warto więc przez chwilę zatrzymać się nad jej stosunkiem do wiary, Kościoła i wolności sumienia, mając na uwadze wyżej wspomniany dokument soborowy. Utwierdzenie władzy radzieckiej pod rządami Józefa Stalina, owocuje czasem tzw. „Wielkiego Terroru” (1936-1938).<sup>4</sup> Jest to czas rozpoczęcia wielkiej eksterminacji społeczeństwa radzieckiego przez władze. Czymś „zwyčajnym” stają się masowe deportacje i czystki wśród zwykłych mieszkańców państwa jak i wśród aktywu partyjnego. Liczbę ofiar szacuje się na 17-18 milionów, z czego śmierć poniosło ok. 10 milionów osób.<sup>5</sup> Polacy w tymże czasie, zapisałi się w historii ZSRR jako pierwsza społeczność prześladowana za swoją przynależność narodową.<sup>6</sup>

Na takim gruncie zostaje zatwierdzona i wprowadzona w życie kolejna konstytucja państwa radzieckiego z 1936 r., nazwana konstytucją stalinowską. Swoją treścią nawiązywała ona zasadniczo do konstytucji z 1918 r. zapewniając obywatelom wolność sumienia czego podstawą ma być oddzielenie Kościoła od państwa i szkoły od Kościoła, o czym mówi artykuł 124 tej ustawy zasadniczej z 1936r.<sup>7</sup> Pewną zmianę natomiast możemy dostrzec w drugiej części wspomnianego artykułu, który stwierdza: „Wolność odprawiania religijnych kultów i wolność antyreligijnej propagandy przyznana jest wszystkim obywatelom.”<sup>8</sup> W odróżnieniu od poprzedniego zapisu prawnego w konstytucji z 1918 r., nie ma tu miejsca na religijną propagandę. Prawo to zostaje zarezerwowane tylko do wystąpień antyreligijnych. Natomiast pojawia się wolność odprawiania kultu religijnego. Jak można zauważyć system totalitarny starał się coraz bardziej wyrugować życie religijne ze społeczeństwa socjalistycznego. Dawał on co prawda konstytucyjne prawo do sprawowania religijnego kultu, a jednocześnie nadal trwało zamykanie świątyń i prześladowanie duchowieństwa. Kościół katolicki schodził więc powoli do politycznego podziemia. O ile cerkiew prawosławna była jeszcze tolerowana na podstawie zawartej umowy z 10 maja 1927 r., między metropolitą Sergiuszem a władzami radzieckim<sup>9</sup>, co nie przeszkadzało to jednak władzom w walce z Prawosławiem, o tyle Kościół katolicki uważany był za ostoję i szpiega Watykanu.<sup>10</sup>

<sup>4</sup> *Wielki Terror (1936-1938)* [w:] *Czarna księga komunizmu*, pod red. S. Courtois, Warszawa 1999, s. 180 i następne.

<sup>5</sup> A. Szcześniak, *Deportacje XX wieku*, Radom 2002, s. 20.

<sup>6</sup> *Ibidem*, s. 20.

<sup>7</sup> Zobacz Konstytucja z 1936 roku. Art. 124 „W celu zabezpieczenia obywatelom wolności sumienia, kościół w ZSRR jest oddzielony od państwa i szkoła od kościoła. Wolność odprawiania religijnych kultów i wolność antyreligijnej propagandy przyznana jest wszystkim obywatelom.” – tłumaczenie B.M.

<sup>8</sup> *Ibidem*, art. 124.

<sup>9</sup> *Historia Kościoła*, t. 5, s. 363, Warszawa 1985.

<sup>10</sup> *Skazani jako „Szpiegzy Watykanu”*, z historii Kościoła katolickiego w ZSRR 1918-1956, pod red. ks. Romana Dzwonkowskiego SAC, Ząbki 1998, s. 22 i następne.

Z gruntu inaczej ma się realizacja dalszej części zapisu konstytucyjnego, odnoszącego się do wolności propagandy antyreligijnej. Była ona nie tylko literą prawa lecz skrzętnie została zrealizowana. Swoistą pomocą był kolejny zapis konstytucyjny dotyczący praw obywatelskich, dotyczący wolności słowa, druku, zebrań, mityngów i pochodów ulicznych oraz demonstracji. Wszystkie te prawa miały umocnić socjalistyczny ustrój państwa.<sup>11</sup>

Jak widać z powyższego cały system państwowy, ukierunkowany został ku jednemu celowi którym było rozwijanie i umacnianie socjalizmu w nowym i zarazem pierwszym komunistycznym państwie jakim był Związek Radziecki. Swoistym odzwierciedleniem zapisów konstytucyjnych i praktyki życia codziennego w sferze wolności sumienia oraz wolności wyznania jest hasło z Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej dotyczące ateizmu i wychowania ateistycznego.<sup>12</sup> W szczególny sposób na uwagę zasługuje ta część wspomnianego zapisu, która dotyczy myśli Lenina i czasów Związku Radzieckiego. Traktując religię jako wymysł czysto ludzki, twórcy idei socjalistycznej uważali, że religia stoi na przeszkodzie rozwoju świadomego człowieka, który kieruje się tym, co naukowo udowodnione i ma swoje podstawy w wiedzy. Religia jako wytwór człowieka, miała za zadanie pomagać mu w przyjęciu tego czego nie mógł zrozumieć, co przerastało jego poznanie. Jednak światli doktrynerzy socjalizmu zadali sobie trud by udowodnić ułudę i spustoszenie jakie religia poczyniła w świadomości społeczeństwa. Religia, która była opium dla ludu,<sup>13</sup> została teraz zastąpiona materializmem dialektycznym, który miał wyzwolić masy robotniczo-chłopskie z zabobonów religii.

Wybuch wielkiej rewolucji październikowej 1917 stał się początkiem i fundamentem tworzenia nowego państwa opartego na ateizmie. Zapisy konstytucyjne nie tylko pozwalały na prowadzenie propagandy antyreligijnej lecz również kładły nacisk na propagandę ateistyczną, zapewniając jednocześnie wszelkie potrzebne środki do jej prowadzenia. Związek Radziecki stał się pierwszym państwem ateistycznym i przez wiele lat nim pozostawał. Wolność sumienia polegała tu na oddzieleniu Kościoła od państwa i szkolnictwa, innymi słowy zamknięcia wiary w domach, i to na długo. Ten proces wcielania w życie idei ateistycznych, przeprowadzany był w sposób planowy i zakrojony na szeroką skalę. Rozpoczynał się od najmłodszych lat gdy dziecko tylko trafiło do systemu szkolnego. Od przedszkola poprzez szkołę podstawową, średnią i wyższe uczelnie, realizowane było wychowanie ateistyczne. Wszelkie

<sup>11</sup> Art. 125. „W celu zabezpieczenia obywatelom wolności sumienia, kościoł w ZSRR jest oddzielony od państwa i szkoła od kościoła. Wolność odprawiania religijnych kultów i wolność antyreligijnej propagandy przyznana jest wszystkim obywatelom.” – tłumaczenie B.M

<sup>12</sup> *Wielka Encyklopedia Radziecka*, t. II, hasła: „Ateizm” i „Wychowanie Ateistyczne”, Moskwa 1970, s. 369-370.

<sup>13</sup> *Ibidem*, *Ateizm*, s. 370.

dostępne środki masowego przekazu również służyły celowi szerzenia ateizmu i wypierania religii. Do tego zadania zaprzężono również sztukę we wszelkiej jej formach i środkach ekspresji.<sup>14</sup> Kolejnym sposobem realizacji zapisów konstytucyjnych dotyczących wolności sumienia, było powołanie do życia w 1925 roku organizacji pod nazwą „Związek wojujących bezbożników”. Do celu jakim była walka z religią i Kościołem służyły między innymi takie organy prasowe jak: „Bezbożnik” (1922-1941), „Wojujący ateizm” (1931), „Ateista” (1922-1930), „Nauka i religia” (1959), „Człowiek i świat” (1965) oraz inne.<sup>15</sup>

Pragnąc przedstawić działalność katechetyczną ks. W Bukowińskiego i mu współczesnych w Kazachstanie, nie sposób nie odnieść się do pierwszych wieków chrześcijaństwa i działalności misyjnej Apostołów. Polegała ona przede wszystkim na wyprawach misyjnych, podczas których dawali oni świadectwo tego, co widzieli i doświadczyli, będąc z Jezusem Chrystusem.<sup>16</sup> Mówiąc o katechezie i przekazywaniu prawd wiary w ateizowanym Kazachstanie warto zadać pytanie, do kogo była ona kierowana. Otóż obejmowała ona zarówno dzieci jak i młodzież, osoby w średnim wieku jak i starsze. Duszpasterze docierali do tych, którzy wynieśli mocną wiarę ze swoich domów rodzinnych a także do tych, których wiara ta była słaba i domagała się ugruntowania albo racjonalnego podbudowania. Kolejny podział może dotyczyć narodowości. Podstawowymi narodowościami, do których skierowana była katecheza katolickich księży byli Niemcy i Polacy. Ci pierwsi sięgali swoimi korzeniami osadników z czasów Katarzyny II i głównymi miejscami ich życia były południowa Ukraina i Powołże koło Saratowa, a przed II wojną światową, szczególnie zaś w pierwszych miesiącach jej trwania, zostali przesiedleni do Kazachstanu. Niewielka grupa Niemców mieszkała w Kazachstanie jeszcze przed rewolucją październikową. Spora część Niemców przyjechała też do Kazachstanu po wojnie, niejako dobrowolnie. Z kolei Polacy, to przede wszystkim przesiedleńcy z 1936 roku, kiedy to dokonywały się deportacje z Ukrainy. Oprócz tej wielkiej deportacji, trafili do Kazachstanu ci, którzy mieszkali na polskich Kresach Wschodnich zajętych przez Armię Radziecką w 1939 r. i w trakcie czterech wielkich fal deportacyjnych zesłani zostali na olbrzymie obszary ZSRR – na Syberię, Daleki Wschód, do Kazachstanu i w inne rejony tego imperium zła.

Tak więc wspomniane powyżej wydarzenia wojenne sprawiły, że wiek osób objętych przekazywaniem wiary rozciągał się począwszy od dzieci aż po osoby starsze. Jednak biorąc pod uwagę działalność propagandy ateistycznej i agnostycyzm, najwięcej pracy potrzebowało pokolenie już urodzone w Kazachstanie i tam wychowane, czyli ludzie młodzi. Wspomnijmy to jedynie skrótowo, że Związek Radziecki był mieszaniną

<sup>14</sup> *Wielka Encyklopedia...*, hasło: „Wychowanie ateistyczne”, s. 370.

<sup>15</sup> *Ibidem*, *Ateizm*, s. 370.

<sup>16</sup> Ks. W. Koska, *Katechetyka*, Poznań 1993, s.13

wielu narodowości, stąd też posługa duszpasterska księży obejmowała także znajdujących się na zesłaniu Białorusinów, Estończyków, Litwinów, Łotyszów, Ukraińców i inne nie tylko katolickie narodowości. Mała liczba księży sprawiała, że ich działalność nabiera szczególnego charakteru. Z jednej strony prowadzili działalność duszpasterską tam gdzie przebywali na stałe, z drugiej odbywali „podróże misyjne”. I tak tytułem przykładu można wspomnieć, że ks. W. Bukowiński swoją posługą obejmował Karaganę, ks. B. Drzepecki posługiwał we wsi Zielony Gaj i okolicach Celinogradu, dzisiejszej Astany, ks. J. Kuczyński pracował w zasadzie w Tainczy, obwód kokczetawski. Jednak oprócz pracy w „stałych” miejscowościach, ważną rolę pełniły podróże misyjne tych księży. Często przemierzali oni setki kilometrów, by dotrzeć do najbardziej oddalonych miejscowości, aby tam przez kilka dni, tygodni bądź miesięcy przebywać w danej wspólnocie wierzących i prowadzić działalność duszpasterską przez sprawowanie sakramentów świętych i katechizację. Tej posłudze podejmowali się zarówno kapłani pracujący w samym Kazachstanie jak i z innych państw wchodzących w skład Związku Radzieckiego. Należy wymienić tu ks. Jana Paukstisa, ks. Józefa Gustasa, ks. Aleksandra Żarneckiego, o. Serafina, ks. Antoniego Szeszkiewiciusa.<sup>17</sup>

Schemat „podróży misyjnych”, był następujący:

Wyruszając na wyprawę misyjną biorę paszport i zaświadczenie, że jestem księdzem katolickim, bo w paszporcie jestem zapisany jako „raboczi”. Biorę opłatki i wino mszalne oraz wszystko, co jest niezbędne do odprawiania Mszy św. i do udzielania sakramentów. Zawsze mam parę adresów mieszkańców tych miejscowości, dokąd jadę. Przyjeżdżam zawsze niespodziewanie. Wprawdzie nasi wierni wiedzą, że powinienem do nich przyjechać, lecz nie wiedzą, kiedy to nastąpi. Po przyjeździe zgłaszam się pod znany adres. Czasem tam właśnie pozostaję i rozpoczynam pracę duszpasterską. Lecz dość często po naradzie z miejscowymi katolikami – notablami – wybieram inny dom.<sup>18</sup>

Katecheza, która prowadzona była za czasów ks. W. Bukowińskiego, związana była przede wszystkim z przygotowaniem do przyjęcia sakramentów świętych. Poczynając od chrztu, przez pokutę, I. komunię, sakramentu bierzmowania, do sakramentu małżeństwa. Tematem wiodącym w tym nauczaniu było przekazanie podstawowych prawd wiary jak i przygotowanie do przyjęcia określonego sakramentu. Przygotowanie do I komunii św. obejmowało u ks. Bukowińskiego następujące tematy: Bóg, Jezus Chrystus, Kościół katolicki, żywot wieczny, spowiedź, komunika święta. Przygotowanie obejmowało osobno dzieci i osobno matki.<sup>19</sup> Ilość poświęconego czasu na takie przygotowanie, zależała od czasu, jaki kapłan spędzał w danej miejscowości. O wiele lepiej sytuacja wyglądała w miejscach gdzie kapłan przebywał „na stałe”. Wtedy kontakt między dusz-

<sup>17</sup> Por.: Ks. W. Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu*, Gdańsk 1989.

<sup>18</sup> Ibidem, s. 62.

<sup>19</sup> Ibidem, s. 58.

pasterzem a wiernymi był częstszy. Okazją do przekazywania prawd wiary były również podróże, w czasie, których przeprowadzano rozmowy na temat wiary i religii. Z kolei wierni pokonywali znaczne odległości by dotrzeć tam gdzie jest kapłan i skorzystać z jego posługi, często zdając sobie sprawę, że może to być ostatnia możliwość w ich życiu. W swoich wspomnieniach ks. W. Bukowiński mówił po wielokroć o swoich wyjazdach w „teren” często poza granice Kazachstanu, a także o tym, że nieraz „przyfruwali” im na pomoc księży z Litwy lub Ukrainy. Oddajmy jednak głos samemu duszpasterzowi, który tak oto przedstawił te podróże misyjne:

Dość często wyjeżdżam na kilka dni w bliższą okolicę Karagandy. Są tutaj dwa dość duże miasta: Temirtan i Sarań, oraz wiele innych osiedli. Ponieważ w tych sąsiadujących z Karagandą miejscowościach ludzie spowiadają się wprawdzie rzadziej niż w samej Karagandzie, lecz o wiele częściej niż przyjezdni z daleka, przeto duszpasterstwo w tych miejscowościach jest zbliżone do duszpasterstwa w Karagandzie. Właściwie to jest tylko ta różnica, że w Karagandzie wciąż wędruje z domu do domu, a w tamtych miejscowościach zwykle pracuję 2-3 dni i noce w tym samym domu, który musi odpowiadać warunkom.

Teraz nareszcie będę mógł szczegółowo opisać duszpasterską pracę podczas wyprawy misyjnej.

Wyprawy te odegrały i wciąż odgrywają olbrzymią rolę w duszpasterstwie naszej trzeciej strefy.

Byli księża, którzy całkiem poświęcali się takiemu wędrowaniu i misjonarzowaniu. O niektórych z nich potem napiszę więcej. Byli i są tacy księża, którzy stale pracują w jednej miejscowości, lecz od czasu do czasu urządzają wyprawy misyjne. Jedni z nich stale mieszkają i pracują w trzeciej strefie, tak jak i ja w Karagandzie. Inni stale mieszkają poza trzecią strefę, przeważnie na Litwie czy na Ukrainie, i stamtąd robią swoje ekskursje w głąb Związku radzieckiego. Siadzie sobie taki ojczulek w samolot w Kownie i frunie wprost do Krasnojarska. Tam pracuje tydzień- dwa, przeważnie w kilku miejscowościach: pochrczi; pospowiada, pokomunikuje, da ślubny i znowu siadzie w samolot i frunie z powrotem do Kowna.

Trzeba zauważyć, że tacy księża, którzy „przefruwiają” z Litwy lub Ukrainy, więcej się narażają od nas, stałych mieszkańców tych stron. Dla władz miejscowych my już jesteśmy „swoi ludzie” – my, lecz nie oni. Chociaż niektórzy z tych „latających misjonarzy”, robili znaczne błędy w pracy, zwłaszcza przez przesadny pośpiech, a jeszcze więcej przez lekkomyślność – pozostawienia Najświętszego Sakramentu bez pouczenia – to jednak ich praca ma olbrzymie znaczenie. Bez nich w bardzo wielu miejscowościach ludzie nigdy by nie widzieli księdza i nie mieliby możliwości wyspowiadania się po bardzo wielu latach.

Ksiądz Bronisław i ksiądz Józef wiele jeździli podczas swej pracy w Kazachstanie. Jednak w każdą niedzielę byli u siebie w domu, bo do nich przyjeżdżali ludzie z daleka. Było wiadomo, że w dzień powszedni może księży nie być w kościele, ale w niedzielę będzie na pewno. Dlatego Bronisław i Józef nie mogli urządzić dalekich wypraw misyjnych, ale za to dotarli do bardzo wielu miasteczek i osad w swoich obwodach: celinogradzkim i kokczetewskim – tam, gdzie najwięcej mieszka Polaków i sporo Niemców – katolików.

Moja praca duszpasterska podczas wypraw misyjnych tym się oznaczała, że ja stosunkowo dłużej przebywałem i pracowałem w poszczególnych miejscowościach niż to czyniła większość moich misjonarzujących kolegów. Dzięki temu



miałem więcej zająć z miejscowymi władzami, ale za to mogłem pracować stosunkowo gruntowniej i głębiej – „langsam aber sicher”, jak mówią Niemcy.

Nie licząc krótszych podróży misyjnych do niedalekich miejscowości, bo były i takie, odbyłem, osiem wielkich wypraw misyjnych. Z nich pięć jeszcze przed moim aresztowaniem, a trzy w ostatnich latach po uwolnieniu z więzienia.

Z tych ośmiu wypraw misyjnych połowa, bo cztery do Turkiestanu, republiki związkowej położonej na skraju południa ZSRR, na granicy z Afganistanem. Tam od 1947 r. mieszka dużo Niemców – katolików, którzy przed wojną mieszkali w Odessie.

Jedna wyprawa była również w kierunku południowym, w okolice Ałma Aty, gdzie objechałem miejscowości zamieszkałe przez Polaków przesiedlonych z Ukrainy w 1936 r.

Dwie wyprawy misyjne były na zachód, do miasta Aktiubińska z okolicą. I wreszcie jedna wyprawa była na wschód do Semipałatyńska i niektórych innych miejscowości w tamtych stronach.

Tylko na północ od Karagandy nie urządziłem żadnych większych wypraw misyjnych, bo tam działali Bronisław i Józef, a potem tam częściej pokazywali się inni księża. [...]

Pracę zaczynam od spowiedzi babci – to znaczy takich osób, które można spowiadać od razu, bez uprzedniego przygotowania do spowiedzi i komunii św. Zawsze na początku ogłaszałem, by mi zgłaszano na nauki i do I spowiedzi i komunii św. dzieci i młodzież, a osobno małżonków. Dorosła młodzież chętniej chodziła na nauki z małżonkami niż z dziećmi. Nauka w warunkach wyprawy misyjnej trwa 2-3 dni. Potem spowiedź dzieci i ich rodzin oraz uroczysta I komunია św. Staram się nie łączyć uroczystości I komunii św. z uroczystością ślubną. Bywało i tak, że rano była uroczysta msza św. I komunii św., a po niej ślub co najmniej kilku par małżeńskich.

Na samym końcu mojego pobytu w danej miejscowości ogłaszałem chrzest dzieci. Dlatego, że żadna inna praca tak nie zwracała uwagi otoczenia jak właśnie chrzest dzieci. Dlatego chrzczę dzieci i zaraz wyjeżdżam do innej miejscowości. A były wypadki, że władze szukały „popa”, lecz nie znalazły. Oprócz tego muszę jeszcze znaleźć czas na to by wypowiadać ludzi starszych, chorych lub słabych i udzielić im wspólnie a uroczyste namaszczenia olejami świętymi i odpustu zupełnego na godzinę śmierci.

Podczas wypraw misyjnych w 1957 i 1958 roku często bywały masowe chrzty i śluby, bo ja pierwszy ze wszystkich księży przybyłem do Tadżykistanu, do Aktiubińska, do Semipałatyńska i do polskich osiedli w pobliżu Ałma Aty. Bywało i tak, że chrzcilem nieraz kilkadziesiąt dzieci i błogosławiłem w jednym dniu do 30 paru małżeńskich, oczywiście po wysłuchaniu generalnej spowiedzi z całego życia.

Podczas ostatnich moich wypraw misyjnych już nie było takich „masówek” z tej prostej przyczyny, że dzieci już przeważnie były przedtem ochrzczone przez księdza, a pary małżeńskie przeważnie już po ślubie.<sup>20</sup>

Warto zaznaczyć, opierając się na wspomnieniach ks. W. Bukowińskiego, że w środowisku katolików niemieckich były także katechetki, które wspierały kapłanów w posłudze przekazywania i utrwalania wiary. Pomocą w katechezie i w pielęgnowaniu wiary były książeczki do nabożeństwa i katechizmy. Ci, którzy znaleźli się w Kazachstanie na skutek deportacji, jedną z rzeczy, które zabrali ze sobą to były właśnie książeczki do

<sup>20</sup> Ibidem s. 60-63.

nabożeństwa, które skrzętnie ukrywano przed sowieckimi władzami. W latach późniejszych można było nabyć książeczki, katechizmy i inne dewocjonalia, które najczęściej były sprowadzane z Litwy i Łotwy, co stało się np. przyczyną oskarżenia i aresztowania ks. J. Kuczyńskiego.

Swoistą rolę w przekazywaniu wiary odgrywały osoby świeckie. Często tam gdzie nie było księdza, chrztu udzielały „babcie”. Również bardzo często jak również bardzo ważną była pierwsza katecheza, która odbywała się w domu rodzinnym. Im bardziej wierzący byli rodzice tym więcej wiary przekazali swoim dzieciom. I odwrotnie im wiara słabsza, tym dzieci bardziej ulegały propagandzie ateistycznej. Jak było już wspomniane przy okazji „podróży misyjnych”, podstawowym miejscem spotkań gdzie odbywały się zarówno nabożeństwa jak i katechezy, były prywatne domy wierzących.

Nie każdy dom nadaje się do pracy duszpasterskiej. Najlepiej nadaje się domek jednorodzinny, położony na uboczu. Nie jest pożądane sąsiedztwo kina, szkoły lub klubu, a jeszcze mniej milicji. Trzeba zwracać baczną uwagę na to, żeby byli spokojni sąsiedzi.<sup>21</sup>

Oprócz takich tymczasowych miejsc spotkań, wierzący pragnęli mieć stałe miejsca, gdzie mogli się modlić.

Jak to się odbywało? Bardzo prosto. Wierni składali ofiary, kupowali dom. Usuwali kilka wewnętrznych ścian i w ten sposób kilku małych pokoików powstawał jeden wielki pokój lub – jak kto woli – mała sala. Wystawiano i urządzano mały ołtarz, poczym poświęcano kościółek i rozpoczynano w nim odprawianie nabożeństw, a wciąż dalej starano się lepiej zaopatrzyć i ozdobić swój rzeczywiście umiłowany kościółek.<sup>22</sup>

Niestety istnienie takich kościółków było bardzo krótkie. Władze dość szybko dowiadywały się o ich istnieniu i zamykały je. Tak było z trzema kościołami w Karagandzie jak również w Zielonym Gaju i Taińczy.

Nabożeństwa, jak również katechezy odbywały się w następujący sposób. Kiedy kapłan przyjechał do danej miejscowości czy też przybył do domu, następowało zwoływanie się poczym szczelnie zamykano drzwi i okna i rozpoczynał się „święty czas”. Czas modlitwy i przygotowywania do sakramentów oraz ich sprawowania. Pisząc o działalności duszpastersko-katechetycznej na terytorium Kazachstanu za czasów ks. W. Bukowińskiego, nie można pominąć jeszcze jednego elementu, nierozzerwalnie z nią złączonego. Chodzi mianowicie o zagrożenia, represje i aresztowania. Niejednokrotnie w swoich wspomnieniach przytacza ksiądz fakty aresztowań i zatrzymań. Z tego też powodu, wyprawy misyjne, musiały być skracane, gdyż ks. Bukowiński był do tego zmuszany przez miejscowe władze. Inną formą prześladowania były nakładane nad wyraz wysokie podatki, które musieli płacić księża oraz szkalujące arty-

<sup>21</sup> Ibidem, s. 50.

<sup>22</sup> Ibidem, s. 48.

kuły zamieszczane w prasie, mające na celu podważyć autorytet kapłana jak również ośmieszyć jego osobę i posługę.

Podsumowując działalność duszpasterską i katechetyczną ks. Bukowińskiego i jemu współczesnych, należy podkreślić zaangażowanie, z jakim kapłani oddawali się posłudze wśród katolików żyjących w Kazachstanie. W tej działalności objawiała się uniwersalność Kościoła i w praktyce realizowała się jego katolickość. Nie było w niej rozróżnienia ze względu na narodowość, pochodzenie społeczne i wiek. Tym, co łączyło wszystkich było pragnienie doświadczenia bliskości Boga i przyjęcie Go w sakramentach oraz w głębszym poznaniu zasad wiary przekazywanych przez katechezę. Często z narażeniem zdrowia i życia spieszyli kapłani do najdalszych miejsc by nieść Dobrą Nowinę. Nie zniechęcały ich ani aresztowania ani długie lata spędzone w więzieniach i łagrach, gdyż wezwanie i przykład Jezusa Chrystusa dodawały im sił. Przez tę misyjną posługę stali się oni żywym świadectwem i wezwaniem by swoim życiem, nie zważając na niebezpieczeństwa, głosić naukę Chrystusa. Nagrodą za ich pracę jest to, że dzisiaj w Kazachstanie pracują księża katolicy, że powstają tam świątynie i powiększa się rzesza wiernych.

Sytuacja taka trwała do lat 60-70 XX wieku, kiedy to władze pozwalały sporadycznie na rejestrowanie wspólnot wyznaniowych i na budowę świątyń. Często jednak raz wydane zezwolenia były cofane, wykupione domy z przeznaczeniem na kaplice, zostawały konfiskowane (Celinograd – obecnie Astana). Mimo tych trudności powstawały kościoły i oficjalne wspólnoty choćby w Celinogradzie, Karagandzie, Ałma-Acie, jak również innych miejscowościach. Życie religijne nabiera tam pewnej stabilizacji i „normalności”.

Rozpad ZSSR otworzył granice na przyjazd misjonarzy z różnych krajów w tym także z Polski. Dotarli oni także do Kazachstanu, który terytorialnie jest 9 razy większy od Polski, a zamieszkuje go około 17 milionów, z czego liczbę Polaków szacuje się na 60 do 100 tysięcy, zaś wszystkich katolików na 360 tysięcy. Kazachstan jako pierwszy z państw byłego ZSSR podpisał umowę międzypaństwową ze Stolicą Apostolską nazywaną „Małym konkordatem”.

Podczas pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II do Ojczyzny w roku 1997 wśród licznej grupy Polaków przybywających do Polski byli liczni pielgrzymi z terenu byłego ZSRR, w tym także z Kazachstanu. Tu wspomnieć też należy, że w roku 1992 duszpasterską wizytę w Kazachstanie złożył ks. prymas Józef Glemp co przyczyniło się do pełniejszego obdarzenia duchowymi znaczeniami życia religijnego polskich mieszkańców tego kraju. Otworzyło to w pewnym sensie nowy etap w działalności Kościoła katolickiego w tej części Azji i religijności w ogóle oraz w rozwoju budownictwa świątyń katolickich. Nośność znaczeniowa tej wizyty wpłynęła w dużej mierze na umocnienie katolicyzmu w Kazachstanie, nade wszystko zaś bogatym dopełnieniem tego faktu była w roku

2001 wspomniana już duszpasterska misja Ojca Świętego Jana Pawła II do Kazachstanu, który 23 września w Astanie na Placu Matki Ojczyzny, po Mszy św., szczególnie serdecznie przed modlitwą na Anioł Pański pozdrowił swoich rodaków w tym stepowym kraju mówiąc do nich:

Zawsze żywo się interesowałem Waszym losem. Wiele mi mówił o Was niezapomniany ks. Władysław Bukowiński, którego wielokrotnie spotykałem i zawsze podziwiałem jego za kapłańską wierność i apostolski zapał. Pragnę Was zapewnić, że nigdy nie byliście zapomniani w moim sercu. Dziś dziękuję Bogu za to, że dawał wam moc Ducha Świętego, dzięki której zachowaliście wiarę ojców mimo różnorodnych doświadczeń i prześladowań.

Dodajmy zaraz, że wiara i polskość do dzisiaj zostały w tych ludziach, władzy sowieckiej nie udało się wykorzenić tych wartości. W przetrwaniu najgorszych dla nich czasów pomagała religia, która była otuchą w chwilach zwątpienia i nadzieją na przetrwanie. Dzisiaj struktura Kościoła rzymskokatolickiego w tym kraju przedstawia się następująca: archidiecezja w Astanie na czele której stoi ks. abp. Tomasz Peta, diecezja Karagandyjska z arcybiskupem Janem Pawłem Lengą, który w roku 1991 otrzymał sakrę biskupią, a wcześniej przez szereg lat był proboszczem parafii katolickiej w Taińczy, w strukturze tej jest też diecezja Ałmaty z biskupem Henrykiem Howańcem. Oprócz trzech diecezji w strukturę Kościoła rzymskokatolickiego w Kazachstanie wchodzi Administratura Apostolska w Atyrał z ks. dr. Januszem Kaletą. Obecnie w Kazachstanie jest około 250 parafii, wybudowano 20 kościołów i wiele kaplic parafialnych, pracuje ok. 50 kapłanów. W 1998 roku założono w Karagandzie pierwsze seminarium w Kazachstanie, pod wezwaniem Matki Kościoła.<sup>23</sup>

\*

**Homilia Ojca Świętego Jana Pawła II**  
**wyłoszona podczas Mszy św. w Astanie na Placu Matki Ojczyzny**  
**w niedzielę, 23 września 2001 roku**

**1. „Jeden jest Bóg, jeden też pośrednik między Bogiem a ludźmi, człowiek, Chrystus Jezus, który wydał siebie samego na okup na wszystkich” (1 Tm 2, 5).**

Te słowa z 1 Listu Apostoła Pawła do Tymoteusza zawierają podstawową prawdę wiary chrześcijańskiej; i jest moją radością ogłosić wam dzisiaj tę prawdę, drodzy Bracia i Siostry w Kazachstanie. Przybywam pośród was jako apostoł Chrystusa i Jego świadek; przybywam jako przyjaciel do wszystkich ludzi dobrej woli. Przybywam do każdego i do wszystkich, by przekazać pokój i miłość Boga, Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Znam waszą historię. Znam cierpienia, którym wielu z was zostało poddanych, gdy przeszły reżim totalitarny zabrał was z waszych ziem ojczystych i deportował tu w okolicznościach ciężkich warunków i smutku.

<sup>23</sup> Por.: [www.rc.net/kazakhstan/pl/](http://www.rc.net/kazakhstan/pl/)

Cieszę się, że mogę być dziś pośród was i powiedzieć wam, że jesteście bliscy sercu Papieża.

stwie i kanłaństwa. Szczególna pozdrowienia kieruje do biskupa Tomasza  
] Ojciec Święty Jan Paweł II wygłasza homilię podczas Mszy św.  
, na Placu Matki Ojczyzny w Astanie 23 września 2001 roku.  
{ Fot. Joanna Dudek-Ławecka

obecnym na tym rozległym obszarze euroazjatyckim. Pozdrawiam Jego  
Ekscelencję, Prezydenta Republiki oraz władze państwowe i wojskowe  
oraz wszystkich, którzy jednoczą się z nami podczas tej celebracji.

**2. „Jest jeden Bóg”. Apostoł przed wszystkim innym ogłasza absolutną jedność Boga. Jest to prawda, którą chrześcijanie odziedziczyli od dzieci Izraela i którą dzielą z muzułmanami: jest to wiara w jednego Boga, „Pana nieba i ziemi” (Łk 10,21), wszechmogącego i laskawego.**

W imię tego jednego Boga zwracam się do ludzi spośród głębokich i starożytnych tradycji religijnych, ludu Kazachstanu. Zwracam się także do tych, którzy nie należą do żadnej religii i do tych, którzy poszukują prawdy. Niech mi będzie wolno powtórzyć im znane słowa św. Pawła, które z radością usłyszałem powtórzone w maju na Areopagu w Atenach: „w rzeczywistości jest On niedaleko od każdego z nas. W Nim bowiem żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17, 27-28). Przypominam sobie

także to, co napisał wasz wielki poeta Abai Kunanbai: „Czy można naprawdę wątpić w Jego istnienie / jeśli każda rzecz na ziemi daje Mu świadectwo?” (Poezje , 14).

Komunia Św. na Placu Matki Ojczyzny w Astanie 23 września 2001 roku.  
Fot. Joanna Dudek-Lawecka

**Jezus . Oznajmujący tajemnicę Boga, Apostoł spogląda na Chrystusa, jedynego pośrednika zbawienia. Do Niego należy pośrednictwo, odnotowuje Paweł w innym liście, które działa poprzez ubóstwo: „stał się ubogim, aby nas swym ubóstwem ubogacić” (2Kor 8, 9).**

Jezus „istniejąc w postaci Bożej, nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem” (Flp 2,6); nie chciał ukazać się przed naszym człowieczeństwem, biednym i kruchym, w swej przytłaczającej wielkości. Gdyby tak uczynił, poszedłby za logiką nie Boga, lecz potentatów tego świata, jednoznacznie odrzuconej przez proroków Izraela, takich jak Amos, z którego wzięto dzisiejsze Pierwsze Czytanie.

Życie Jezusa było w pełnej zgodzie ze zbawczym planem Ojca, „który pragnie, aby wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy” (1 Tm 2, 4). Dał On wierne świadectwo boskiej woli, „wydając samego siebie na okup za wszystkich” (1Tm 2,6). Oddając się całkowicie w miłości, Jezus nabył nam przyjaźń z Bogiem, którą utraciliśmy z powodu grzechu. Tę „logikę miłości” przedkłada nam, prosząc, byśmy wcielali ją w życie przede wszystkim przez hojność dla tych, którzy są w potrzebie. Jest to logika, która może połączyć chrześcijan i muzułman i

wspólnie zaangażować ich do pracy nad „cywilizacją miłości.” Jest to logika, która przewycięża wszelki spryt tego świata i pozwala prawdziwie zaprzyjaźnić się z tymi, którzy przyjmą nas „do wiecznych przybytków” (Łk 16,9), w „ojczyźnie” niebieskiej.

**4. Umiłowani, ojczyzną ludzkości jest Królestwo niebieskie! Jakże wymowne jest rozważanie tej prawdy na tym miejscu, na Placu, który nosi nazwę Matki Ojczyzny, gdzie stoi pomnik ją symbolizujący. Drugi Sobór Watykański nauczał, że istnieje łączność między historią ludzką a Królestwem Bożym, pomiędzy różnymi etapami postępu społecznego a ostatecznym celem, do którego ludzkość wezwana jest przez suwerenną decyzję Boga (por. *Gaudium et Spes*, 33-39).**

Dziesiąta rocznica odzyskania niepodległości Kazachstanu, którą obchodzicie w tym roku, zachęca nas, by popatrzeć na sprawy w tej właśnie perspektywie. Jaka łączność istnieje między tą ziemską ojczyzną, razem z jej wartościami i celami, a ojczyzną niebieską, do której powołana jest cała ludzkość, ponad wszelką niesprawiedliwość i konfliktem? Odpowiedź soboru przynosi jasne światło: „Należy starannie odróżniać postęp ziemski od wzrostu Królestwa Chrystusowego”, lecz ‘dla Królestwa Bożego jest bardzo ważne, jak dalece postęp ten może przyczynić się do lepszego urządzenia społeczności ludzkiej’ (tamże, 39).

**5. Chrześcijanie są na równi mieszkańcami tego świata, jak i obywatelami Królestwa niebieskiego. Angażują się pełnym sercem w budowanie społeczeństwa ziemskiego, ale pozostają skupieni na dobrach wiecznych, tak jakby wpatrując się w wyższy i nadrzędny model, aby wcielać go coraz skuteczniej w życiu codziennym.**

Chrześcijaństwo nie prowadzi do alienacji z zadań doczesnych. Jeśli w pewnych momentach, w pewnych szczególnych sytuacjach, stwarza takie wrażenie, to dlatego, że wielu chrześcijan nie żyje tak jak powinni. Prawdziwie jednak, gdy przeżywane jest tak jak należy, chrześcijaństwo jest zaczynem w społeczeństwie, przynosząc wzrost i dojrzałość na poziomie ludzkim i otwierając społeczeństwo na transcendentny wymiar Królestwa Chrystusa, w którym nowa ludzkość osiągnie swe ostateczne spełnienie.

Ten dynamizm duchowy czerpie siłę z modlitwy, jak to ukazuje dzisiejsze Drugie Czytanie. Podczas tej celebracji pragniemy modlić się za Kazachstan i jego mieszkańców, aby ten wielki naród, z całym swym zróżnicowaniem etnicznym, kulturowym i religijnym, wzrastał w sprawiedliwości, solidarności i pokoju. Niech postępuje naprzód zwłaszcza w oparciu o współpracę między chrześcijanami i muzułmanami, zaangażowanymi dzień w dzień, u swego boku, w wysiłek wypełniania Bożej woli.

**6. Modlitwie muszą jednak zawsze towarzyszyć właściwe dzieła. Idąc za przykładem Chrystusa, Kościół nigdy nie oddziela ewangelizacji od ludzkiego postępu i przynagla wiernych, by w każdych okolicznościach pracowali na rzecz odnowy i postępu społecznego.**

Drodzy Bracia i Siostry, niech kazachstańska „Matka Ojczyzna” odnajdzie w was miłujące i zatroskane dzieci, wierne duchowemu i kulturowemu dziedzictwu, otrzymanemu od waszych przodków i zdolne dostosowywać to dziedzictwo do nowych wymagań.

Zgodnie z Ewangelią, wyróżniajcie się swą pokorą i konsekwencją, oddając swe talenty na rzecz wspólnego dobra i wykazując szczególną troskę o najsłabszych i najbardziej pokrzywdzonych. Wzajemny szacunek dla swych praw, nawet gdy dana osoba ma inne przekonania osobiste, jest podstawą wszelkiego prawdziwie ludzkiego współżycia.

W pogłębiony i konkretny sposób miejcie postawę wspólnotowości w stosunku do siebie i wszystkich innych, czerpiąc natchnienie z tego, co Dzieje Apostolskie mówią nam o pierwszej wspólnocie wierzących. (Dz 2,44-45; 4,32). U stołu eucharystycznego żywi się wasza dobroczynność: bądźcie jej świadkami poprzez miłość braterską i służbę na rzecz ubo-



Krzyż na Sopce Wołyńskiej w Kazachstanie.  
Karta pocztowa Ośrodka „Wołanie z Wołynia”.

---

ANNA MILEWSKA-MŁYNIK

## CZY KAZACH MOŻE BYĆ ANIOŁEM?

Wspomnienia Wandy Myśliwiec (z domu Sułkowskiej) są wśród relacji poświęconych deportacjom Polaków w latach czterdziestych XX wieku pozycją wyjątkową, gdyż wyróżnia je pozytywny stosunek do nowego otoczenia. Obejmują one trzy pierwsze i najtrudniejsze lata zesłania, w których jej rodzinie dokuczał głód, choroby, ciężka praca oraz rozłąka z najbliższymi. Mimo tych doświadczeń Sułkowscy próbowali stworzyć na zesłaniu namiastkę prawdziwego domu, w czym pomagali im za przyjaźnieni zesłańcy, rosyjscy sąsiedzi i Kazachowie. We wspomnieniach Wandy Myśliwiec nie ma oskarżeń czy użalania się nad własnym życiem. Nawet szczególnie przykre wydarzenia zostały tu przedstawione jako złe zrządzenie losu, choć kontekst sytuacji pozwala czytelnikom wysnuć wnioski dotyczące ich realnych przyczyn.

Trudno powiedzieć, czy w czasach zesłania jej postawa była równie tolerancyjna. Bowiem wspomnienia z lat 1939-1942 powstały całkiem niedawno i nie są jeszcze zakończone. Ich autorka twierdzi, że pisze w nich szczerą prawdę, zaś wszystkie teksty konsultuje z bratem Czesławem, który przebywał z nią na zesłaniu w Kazachstanie. Wiem jednak, że w ostatnich latach przeżyła wiele ciężkich chwil, i w obliczu nowych nieszczęść młodsze doświadczenia mogły okazać się mniej bolesne. Mimo tych zastrzeżeń sądzę, iż postawę autorki wobec zesłańczego otoczenia cechowała autentyczna życzliwość. Świadczą o tym opisywane przez nią fakty, a po części również jej dzisiejszy stosunek do świata. Wanda Myśliwiec, którą znam z listownej korespondencji, jest bowiem osobą komunikatywną i pozytywnie nastawioną do ludzi.

Egzemplarz ofiarowanych Muzeum Niepodległości wspomnień<sup>1</sup> składa się z 61 nienumerowanych stron maszynopisu i zawiera rozdziały: *Wojna, wrzesień 1939 roku i wywózka; Chata pod bykiem; W szarym stepie - barwne spotkania; Połtawka – Krasnyj Połtawiec; Praca hartuje człowieka; Zimowe opowieści i czary; Ciężkie dni przy pracy; Sianokosy.* Opracowanie to, pod względem poznawczym, jest ważną pozycją we

<sup>1</sup> Wspomnienia Wandy Myśliwiec (bez tytułu), [2002], maszynopis w zbiorach Muzeum Niepodległości.

współczesnej literaturze zsyłkowej, gdyż autorka nie ogranicza się w nim do opisywania własnych przeżyć, ale w swoją opowieść wplata wątki o charakterze etnograficznym oraz ukazuje zesłańczą codzienność. Została tu również przedstawiona charakterystyka otoczenia i współpraca ludzi różnych narodowości, konieczna w sytuacji, gdy wszystkim było ciężko. Autorka opisuje też próby czynione przez jej rodzinę, by na obczyźnie wieść normalne życie.

Pierwszy kontakt Wandy Myśliwiec z kazachstańskimi realiami okazał się dla niej równie szokujący, jak dla większości zesłańców. Pisała bowiem: „Poczuliśmy straszne zagrożenie – pchły, wszy i komary, a tu nie ma czym palić żeby nagrzać wody do mycia, bo o mydle trzeba było zapomnieć na długo. W sklepie zawsze były tylko puste półki, zresztą Polaczkom i tak by nic nie sprzedali, bo my nie kołchoźnicy” (rozdz. *Chata pod bykiem*).

A jednak rodzina próbowała nie poddać się losowi. Wanda Myśliwiec wspomina: „Myśmy postanowili nauczyć się życia w stepach i nie poddawać się, po prostu przeczekać czas wojny”. Matka kupiła starą chatę i wraz z synem przeprowadziła remont, korzystając z porad sąsiadów. Dążąc do podniesienia estetyki skromnego wnętrza wybielono izbę, później Czesław wymalował ma ścianie głowę byka z wielkim biczem. Wyobrażenie to uznał wraz z siostrą za symbol Kazachstanu. Stosunki z najbliższym otoczeniem ułożyły się rodzinie Sułkowskich dobrze. Wanda zaprzyjaźniła się z rosyjskimi dziećmi mieszkającymi po sąsiedzku, a matka „zasłynęła jako wróżka”.

Miejscowa ludność udzielała rodzinie porad, jak należy zabezpieczyć się przed srogą zimą oraz okazała jej pomoc, gdy matka zachorowała na *sybirkę*<sup>2</sup>. Sąsiadka zaprowadziła wówczas Wandę do „babci znachorki”, ta zaś dała jej „odpowiedni proszek” i matka została uratowana. Ta sama znachorka wyleczyła później Czesława z dokuczliwej wysypki na ręce, zalecając palenie konopi nad chorym miejscem. Życzliwi wobec Sułkowskich byli nie tylko Rosjanie. Wanda Myśliwiec wspomina, że matka sporo zawdzięczała pewnemu Koreańczykowi, gdyż ten wybawił ją z opresji. Sprawa miała następujący przebieg: według relacji autorki Emilia Sułkowska nosiła w torebce znaleziony przypadkowo nabój od rewolweru. Kiedyś, w obecności miejscowego komisarza, niechcący upuściła go, a funkcjonariusz zaczął ją oskarżać o posiadanie broni, co groziło poważnymi konsekwencjami. Świadek zdarzenia, Koreańczyk powiedział mu wówczas, że nabój jest amuletem, zaś to wytłumaczenie okazało się wystarczające i Emilia Sułkowska uniknęła represji. Mieszkając

<sup>2</sup> Sybirka – choroba, którą Paweł Zworski opisał następująco: Na ciele pojawiała się lokalna opuchlizna, na wierzchu której występował bardzo bolesny wyprysk nalany czarną krwią. Jeżeli nie było przeciwdziałań, opuchlizna bardzo szybko się rozrastała; atakowane były węzły chłonne, występowała wysoka temperatura, obrzęk całego ciała i śmierć. Wśród mieszkańców „sybirka” funkcjonowała jak jakieś przekleństwo. [...] Istniało przekonanie, że jedynym skutecznym zabiegiem przeciw rozwojowi choroby było „odczynianie” w pierwszym stadium tej choroby przez ludzi posiadających moc uzdrawiania (P. Zworski, *Deportacja – zesłanie – powrót [w:] Polacy w Kazachstanie*, 1996, s. 457).

już w Połtewce, w domu Ukrainki Mychajłyczki<sup>3</sup>, Sułkowscy zaprzyjaźnili się z jej rodziną. Wieczorami siadali wszyscy na podłodze przy piecu i jedząc pieczone kartofle wysłuchiwali bajek o duchach, czarach i dziwnych wężach. Wanda Myśliwiec pisze, że Michajłyczka umiała też przeciwstawić się niecnym praktykom wiedźmy, którą była sąsiadka Woroncewa (rozd. *Zimowe opowieści i czary*).

Równie ciepło jak Ukraińców wspomina autorka miejscowych Kazachów. Sułkowscy mieszkali w pobliżu rodziny autochtonów i pewnego dnia Wanda udała się do sąsiadów, by kupić herbatę. Ponieważ Kazachowie przygotowywali się właśnie do obiadu, zgodnie ze swoim obyczajem, zaprosili ją do stołu. Ich zachowanie podczas posiłku bardzo Wandę zdziwiło. Pisała, że gospodarz rozdelał mięso palcami, kładąc każdemu po kawałku do miski z *lapszą*<sup>4</sup>. Nie czuła jednak obrzydzenia, a nawet stwierdziła, że potrawa okazała się całkiem smaczna. Kolejnym zaskoczeniem był dla niej sposób przyrządzania herbaty. Gospodarz nabrał bowiem palcem masło, a następnie włożył je do *pijalki*<sup>5</sup> z napojem. Fakt ten skwitowała następująco: „Cóż, w gościnie trzeba wszystko zjeść i nie obrazić miłych gospodarzy”. Ponieważ Kazaszka nie знаła języka rosyjskiego, Wanda dziękowała jej na migi, głaszcząc się po brzuchu.

Z miejscową ludnością wiąże się jeszcze jedno opisywane przez autorkę wydarzenie. Wanda Myśliwiec wspomina, że w czasie zimy wielkim utrapieniem były zamiecie. Gęsty śnieg zasypywał wówczas chatę po okna i w izbie robiło się ciemno, co u rodzeństwa wywoływało uczucie niepokoju. Któregoś dnia, podczas takiej burzy, Czesław zadał Wandzie dziwne pytanie: – Czy anioł przysłany z nieba może przybrać postać Kazacha? Jego siostra, po zastanowieniu odparła, że chyba nie. Pamiętała bowiem, iż w rodzinnym domu nad jej łóżkiem wisiał obrazek przedstawiający Anioła Stróża, który miał złociste włosy. Jednak brata nie zadowolila ta odpowiedź. Z uporem twierdził, że w nocy nawiedza go postać przypominająca Kazacha, która przedstawia się jako Anioł Stróż i prosi o wytrwałą modlitwę. Siostra nadal zachowała sceptycyzm, ale już wkrótce zaistniałe wydarzenia nakazały jej zrewidować swój pogląd.

Ponieważ rodzinie zaczynało brakować żywności, Czesław zwrócił się do anioła o pomoc. Zdaniem rodzeństwa na jego interwencję nie trzeba było długo czekać, gdyż już następnego dnia znana ze skąpstwa sąsiadka ofiarowała im worek kartofli, zaś Kazachowie wzięli od matki przywiezioną z domu serwetę, dając jej w zamian sporo żywności. Dzięki uzyskanym zapasom udało się im przetrwać zimę. Rodzeństwo uważało, że wydarzenia te nosiły znamiona cudu. Autochtoni w ogóle okazali się grupą najbardziej życzliwą Polakom. Wanda Myśliwiec pisała, że jej rodak Jurek pracował u Kazacha jako pastuch owiec, a zarabiał niemal tyle co *predsiedatiel* (przewodniczący).

<sup>3</sup> Jej rodzinę przesiedlono z okolic Winnicy w latach trzydziestych XX w.

<sup>4</sup> *Lapsza* – rodzaj makaronu z ciemnej mąki.

<sup>5</sup> *Pijalka* – miseczka do picia.

Kolejnym ważnym tematem, który poruszyła autorka, był stosunek autochtonów do radzieckiej ojczyzny i narzucanych im socjalistycznych form gospodarki. Wanda Myśliwiec zaobserwowała, że Kazachowie inaczej odnoszą się do sprawy obrony ZSRR przed niemieckimi agresorami, niż Rosjanie. Gdy wyruszali na front, odprowadzały ich całe rodziny, a kobiety płakały i śpiewały smutne pieśni. Udziału w wojnie ojczyźnianej nie traktowali zapewne jako zaszczytu, tylko pojmovali go w kategoriach obowiązku. Natomiast wyjazdom Rosjan towarzyszyły wesołe śpiewy, gdyż cieszą się, że żołnierze pobiją „przeklętych fryców” (rozdz. *W szarym stepie – barwne spotkania*).

Wanda Myśliwiec zwraca też uwagę na próby niszczenia tradycyjnego modelu bytowania Kazachów. We wspomnieniach pisała bowiem, że z polecenia władz został założony „aul” i wybudowane chaty, do których przeniesiono mieszkańców stepu, żyjących do tej pory w jurtach i utrzymujących się z wypasu owiec oraz koni. Autorka pisała na ten temat: „Władze chciały, żeby Kirigizi założyli kołchoz i osiedlili się, a dla zachęty nawet im zasadzili ziemniaki”. Stwierdziła jednak, że autochtoni co prawda polubili je jeść, ale kołchozu nie chcieli zorganizować. (rozdz. *Poltawka – Krasnyj Poltawiec*).

W ujęciu Wandy Myśliwiec Kazachowie byli ludźmi gościnnymi, współczującymi wygnańcom z Polski. Cechowało ich również przywiązanie do własnych tradycji oraz brak silniejszego poczucia więzi z radzieckim państwem. Zachowania autochtonów zyskały pełną aprobatę autorki. W relacji Wandy Myśliwiec najbardziej interesujące są rozważania, czy Kazach może być aniołem. Po raz pierwszy w literaturze zesłańczej autochton został tu nobilitowany, gdyż urósł do rangi wysłannika z niebios. Dzięki dobrym uczynom zasłużył on na włączenie do chrześcijańskiej tradycji, przełamał barierę obcości. Nie zmienia to jednak faktu, że podobnie jak w innych opracowaniach polskich zesłańców, został oceniony i wywyższony zgodnie z europejskim pojmovaniem świata. Opiekuńczy Kazach nie był bowiem azjatyckim bóstwem, tylko egzotycznym wcieleniem znanego Polakom Anioła Stróża.<sup>6</sup>

---

<sup>6</sup> Nota o autorce wspomnień: Wanda Myśliwiec urodziła się w 1925 roku w rodzinie urzędnika Jana Sułkowskiego, mieszkającego w Porębie k/Zawiercia. Na początku lat trzydziestych jej ojciec stracił pracę w fabryce obrabiarek i w poszukiwaniu nowego zajęcia opuścił miasto. W 1932 r. zamieszkał w Krzemieńcu, gdzie objął posadę urzędnika, a następnie sprowadził tam żonę Natalię z trójką dzieci. We wrześniu 1939 r. Wanda Sułkowska rozpoczęła naukę w 1 klasie gimnazjum Liceum Krzemienieckiego. Przed Wielkanocą 1940 roku jej ojca i siostrę Janinę aresztowano i osadzono w obozie, zaś 13 kwietnia pozostałych członków rodziny wywieziono do Kazachstanu. Natalia Sułkowska wraz z dwójką dzieci – Czesławem i Wandą zamieszkała w Starym Suchotinie (obw. pietropawłowski, obecnie północnokazachstański). W 1941 r. przenieśli się w okolice Tajańszy, a następnie do Poltawki i do Kijał. Na zesłaniu Wanda Sułkowska wykonywała różne zajęcia – pracowała na budowie, była traktorzystką w elektrowni. Do kraju wróciła w 1945 roku.

---

**GRAŻYNA JONKAJTYS-LUBA**

## **Z AUGUSTOWA DO PÓLNOCNego KAZACHSTANU**

### **Pożegnanie z domem**

Wczesnym rankiem tego dnia ludzie mieszkający blisko stacji kolejowej przynieśli wiadomość, że w nocy na torach ustawiono cały pociąg wagonów towarowych. Już od czasu lutowych wywożeń wszyscy w mieście wiedzieli, co to oznacza. Co chwila ktoś przerażony przybiegał do nas z tą wiadomością. Mama wróciła późno ze szkoły z konferencji, podczas której czytano protokół z wizytacji, zawierający bardzo pochlebną opinię sowieckiej wizytatorki o Mamy sposobie prowadzenia lekcji. Mama śmiała się i mówiła, że teraz po nagrodę pojedzie na Syberię.

Spodziewaliśmy się tego, gdyż w Palmową Niedzielę był u nas politrak z gimnazjum, Żyźniewski, który dokładnie spisał nasze dane personalne. Pomimo to na wiadomość o tych wagonach serca nam zamarły. Marysia pobiegła z koleżanką Mamy po chleb na drogę, gdyż mieliśmy w domu zbyt mało pieczywa, a było nas przecież ośmioro. Przed godziną policyjną przyszły do nas przerażone i zapłakane Babcia i Ciocia, matka i siostra Ojca. Przyszły nas pożegnać i przyniosły nam bochenek chleba i kawałek słoniny. Ich ówczesny lokator – żołnierz sowiecki ze straży granicznej – wrócił wieczorem do domu i powiedział im, że na pewno tej nocy będą wywozić ludzi wcześniej spisanych. Po wyjściu Babci i Cioci namówiliśmy do pójścia spać młodsze rodzeństwo: dwunastoletniego Stasia, który tego dnia miał podwyższoną temperaturę i ból gardła, dziesięcioletnią Terenię i ośmioletniego Antka. Same – Mama, Alina, Marysia, Jasia i Zosia – zostałyśmy w stołowym pokoju, zdenerwowane i oczekujące. Był z nami młody lekarz, Żyd z Łodzi, Rogoziński, który mieszkał wtedy u nas w naszym „panieńskim” pokoju z werandą. Wprowadził się on po naczelniku NKWD, który wyniósł się od nas po lutowych wywożeniach.

Siedzieliśmy razem rozważając „szanse” podróży. Raz jeszcze rozważaliśmy, czy dobrze się stało, że nie przeszliśmy przez „zieloną granicę” do zaboru niemieckiego, co zamierzaliśmy uczynić, aby uniknąć wywiezienia. Przeważała szalę na rzecz pozostania plotka-wiadomość, że w

czasie wywożenia łączą rodziny z więźniami. Ponieważ Ojciec od 11 października był w więzieniu i od trzech miesięcy nie mieliśmy o Nim żadnej wiadomości, postanowiliśmy zostać, chociaż bardzo nas namawiał na zmianę decyzji zaprzyjaźniony „przewodnik” ze wsi granicznej.

O godzinie 11<sup>00</sup> wieczorem rozległ się ostry, długi dzwonek do drzwi wejściowych. Mieliśmy śmieszny, staroświecki dzwonek „proszę kręcić”. Ktoś go musiał długo kręcić, żeby aż tak donośnie i bezlitośnie dzwonił. Doktor Rogoziński wycofał się do siebie i zamknął się na klucz. Marysia poszła otworzyć drzwi. Ręka jej bardzo drżała, ale drzwi musiały zostać otwarte.

Weszło ich siedmioro. Kobieta i sześciu mężczyzn: enkawudysta w błękitnej czapce, dwóch cywilów, bladych, z rozbieganymi oczyma, w długich ciemnych płaszczach i w „cyklistówkach”. Na koniec trzech żołnierzy z karabinami. Dwóch wyszło zaraz pilnować drzwi od ulicy i od podwórza. Enkawudysta zapytał:

– *Zdieś żiwiot siemija Januszkiewicz?* Mama powiedziała:

– Tak, tu.

Enkawudysta odczytał po kolei nasze imiona, nazwiska, daty urodzenia i powiedział:

– *Sowietskaja vlast' prisuzdajet was k' pieresieleniju na dalnyj Wostok.*

Mama na to:

– Dobrze. Tylko ta dziewczynka – wskazała Jasię – nie jest członkiem naszej rodziny i córką ojca-więźnia i może pozostać u drugiej ciotki.

Jasia jednakże powiedziała, że z nami wyjechała od swojej mamy, więc teraz też z nami pojedzie i z nami wróci.

Zaraz też, nie budząc dzieci, wzięliśmy się do pakowania. Enkawudystów zdziwił widok plecaków, przygotowanych w przedpokoju (na wypadek tego ewentualnego przejścia granicy). Mama im wyjaśniła, że dla nas dzisiejsza noc nie jest niespodzianką, gdyż już od kilku tygodni spodziewaliśmy się wywiezienia, i że to są spakowane podręczne rzeczy. Mogliśmy zabrać po 100 kilogramów na osobę. Enkawudysta radził zabierać jak najwięcej ciepłych rzeczy. Zapakowałyśmy więc futra Mamy i Ojca, kożuszki, wszystkie nasze ciepłe płaszcze, koce, kołdry, poduszki i pościel, jaka ocalała z wrzeźnia, spod rąk ludzi, którzy plądrowali nasz dom, podczas gdy część rodzeństwa była z Mamą na Wołyniu u rodziców Jasi, Ojciec i Alina w Wilnie, a nasz najstarszy brat Broniek na wojnie. Pakowałyśmy ubrania, bieliznę, buty. Zabierałyśmy ubranie Ojca w nadziei, że Go do nas dołączą. Zabierałyśmy książki, podręczniki szkolne, roczniki „Iskier”, „Płomyka”, „Płomyczka”, „Trylogię”, „Pana Tadeusza”, „Bohaterskiego Misia”, zbiory poezji – zresztą wybór dość przypadkowy, bo jednak wszystko leciało nam z rąk.

Przy pakowaniu kuchni asystował jeden z żołnierzy, wyszukując i podając różne przedmioty. I tak zresztą nie zabrałyśmy wielu istotnych –

a jak się później okazało – bardzo przydatnych rzeczy. Wzięliśmy na przykład żelazko elektryczne zamiast węglowego lub „z duszą”. Wiadra, miski, naczynia i garnki układałyśmy w dużej skrzyni. Ubrania i pościel – w wielkich pakunkach, uszytych naprędce z wakacyjnych sienników i kap na łóżka. Przez cały czas po naszych półkach ze szkolnymi książkami i po szufladach biurka Ojca plądrowali dwaj cywile, wyrzucając wszystko na podłogę, zrywając pieczołowicie gumki ze wszystkich znalezionych pieczętek i wertując nasze podręczniki i zeszyty swoimi szczerzymi oczami. Kiedy już większość rzeczy była spakowana, obudziłyśmy dzieci. Wstały wystraszone, ale spokojne. Pomogłyśmy im umyć się i ubrać, szczególnie troskliwie pilnując Stasia, gdyż miał skłonność do bronchitów.

Była godzina druga w nocy. Enkawudysta zapytał, kogo Mama upoważni do opieki nad pozostawianymi rzeczami. Ponieważ Mama chciała tę opiekę przekazać Cioci, Marysia poszła po nią z jednym z żołnierzy. Babcia i Ciocia nie kładły się spać. Czekwały. Marysia uklękła przed Babcią na pożegnanie. Wróciła z Ciocią i żołnierzem do domu.

Na naszej ukochanej, starej kanapie rozłożyła się bolszewiczka. Spędziłyśmy ją z kanapy i usadowiłyśmy się same, głaszcząc i tuląc zdenerwowane i rozespiane dzieci, które ogromnymi oczami patrzyły w milczeniu na to, co się działo w naszym domu. Terenia była szczególnie rozżalona, gdyż jej ulubieniec, wielki czarny kot Filemon, nie wrócił z wieczornych spacerów i nie mogła go pożegnać. Czekaliśmy na transport.

O czwartej nad ranem zajęchała przed ganek ciężarówka. Poszliśmy wszyscy do pokoju dzieci, uklękliśmy i powtarzaliśmy za kamiennie opanowaną Mamą „Pod Twoją obronę” i „Kto się w opiekę odda Panu Swemu”. Zaczynało świtać. Teraz już trzeba było wychodzić. Ogromne paki z pościelą i ubraniami i wielka kuchenna skrzynia przerastały możliwości naszych rąk. Żołnierze stali i przyglądali się naszym daremnym wysiłkom. I wtedy enkawudysta w błękitnej czapce krzyknął na nich: „Czego stoicie i przyglądacie się? Nie widzicie, że to same kobiety i dzieci? Ładujcie rzeczy na samochód”.

Żołnierze ułożyli nasze pakunki, myśmy usiedli na wierzchu. Ciocia, płacząca i zrozpaczona, została na ganku. Za nią świeciły okna naszego opuszczonego i przewróconego do góry nogami domu. Była noc z piątku – dwunastego, na sobotę – trzynastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

### **Odwiecznym szlakiem zesłańców**

W drodze na dworzec kolejowy, w półświatle wstającego dnia, spotykaliśmy nielicznych przechodniów, którzy na nasz widok wydawali okrzyki zdumienia i zgrozy. Znało nas przecież całe nieduże miasto. Po dwudziestu latach pracy nauczycielskiej Rodziców i ich zaangażowania w tworzenie instytucji kulturalnych i społecznych można bez przesady



powiedzieć, że po księdzu Dziekanie Wojciechu Choynowskim byli najbardziej popularnymi ludźmi w mieście. Ojciec był stałym członkiem Rady Miejskiej, a od zimy 1938/39 roku burmistrzem komisarycznym. Po drodze zajechaliśmy po panią Stasię P., żonę oficera miejscowego pułku ułanów. Mąż jej poszedł na wojnę, ona została z jego starą matką i z dwójgiem małych dzieci: dwuipółletnim Rysiem i dziewięciomiesięczną Anią. Z nieprzytomnymi oczyma niosła teraz na rękach dzieci, teściowa w dwóch kapeluszach na głowie dźwiżyła w ręku koszyk z nocnikiem i kilkoma słoikami konfitur. Rzeczy ich na rozkaz tego samego enkawudysty wynieśli i ułożyli na ciężarówce żołnierze z eskorty. Pomogliśmy obu paniom z dziećmi wdrapać się i usadowić na pakunkach.

Na dworzec dojechaliśmy odprowadzani okrzykami rozpaczliwego zdziwienia mijanych ludzi. Na rozkaz enkawudysty eskorta wyładowała nasze rzeczy do wagonu. Był to duży, bydlęcy wagon z małymi, okrętowanymi okienkami pod sufitem i z dwoma poziomami prycz. Wszystkie drzwi pociągu były otwarte i wszędzie ładowali się ludzie. Do naszego wagonu załadowano 32 osoby. Ponieważ byliśmy pierwsi w wagonie, zajęliśmy wraz z panią Stasią i jej rodziną wyższy poziom prycz, licząc na lepszą wentylację. Drżeliśmy wszyscy z zimna, niewyspania i zdenerwowania. Zwożono ludzi z okolicznych wsi, więc pociąg stał na stacji przez całą sobotę i do południa w niedzielę. Mieszkańcy miasta przychodzili, przynosząc żywność dla wywożonych. Do nas przyszły, aby nas jeszcze zobaczyć – Babcia i Ciocia. Nie mogły wciąż opanować płaczu. Przychodzili też nasi koledzy. Każdy przynosił coś do jedzenia. Nawet znajomi Rodziców z pobliskich wsi przyjechali nas pożegnać i przywieźli bochen wiejskiego chleba, kawałek słoniny, ser.

W niedzielę zjawił się politrak Żyźniewski sprawdzić pewnie, czy wszyscy jego podopieczni są już w wagonach. Mama zapytała go po polsku: „Cóż to, Żyźniewski, szukacie znajomych? Jesteśmy, jesteśmy!” Żyźniewski uśmiechnął się krzywo, ale nie było po nim widać, żeby to, co oglądał, wywarło na nim jakieś wrażenie. Były to przecież dla niego zwykłe sceny w długiej karierze enkawudysty.

W sobotę byliśmy świadkami wstrząsającego wydarzenia: wywożono rodzinę piekarza z przedmieścia, działacza robotniczego, który zwykle wygłaszał płomienne przemówienia na wiecach w dniu 1 maja. Został „w nagrodę” aresztowany przez bolszewików w październiku 1939 roku. Jego syn Józek, nasz kolega gimnazjalny, uciekł z domu do partyzantki, która już tworzyła się w okolicznych lasach. Kiedy mu dano znać, że jego matkę i siostry wywożą, przyszedł do nich z lasu na stację kolejową, żeby je pożegnać. Stąd go zabrali. Widzieliśmy, jak szedł w swoim szkolnym płaszczu, z opuszczoną głową, eskortowany przez trzech żołnierzy. Za nim leciał rozpaczliwy płacz matki.

W niedzielę wydawało nam się, że jesteśmy u skraju wytrzymałości. O myciu nie było mowy. Wychodzenie z wagonu w sprawach fizjo-

logicznych odbywało się pod eskortą żołnierzy. Ponieważ w naszym wagonie było kilka młodych dziewcząt – nas pięć i Lila Myślińska, którą z matką i z bratem przywieźli z ich domu na wsi – wciąż zaglądali do nas żołnierze, usiłowali dowcipkować i wybuchali głośnym, ordynarnym śmiechem. Zniecierpliwilo nas to w końcu i zaczęłyśmy im wymyślać. Około południa zasunięto drzwi wagonów, odganiając w sposób brutalny wszystkich zegnających, między innymi nasze zapłakane Babcię i Ciocię, i pociąg ruszył. Ludzie we wszystkich wagonach śpiewali pieśni religijne i patriotyczne. Nikt nie płakał. Płakali ci, co zostali. „Nasz” enkawudysta, przed samym zasunięciem drzwi wagonu, zajrzał do nas i powiedział: „Nie miejcie do mnie żalu, musiałem wykonać swój obowiązek. Myślę, że was przy tym dodatkowo nie skrzywdziłem”. Jego słowa przetłumaczyła nam potem Mama.

Więźniów nie dołączono do rodzin. Mieliśmy jeszcze nadzieję, że nastąpi to w Grodnie. Ale i tu dworzec był pusty i nasz transport szybko pojechał dalej. Po drodze doczepiano do nas inne wagony tak, że w końcu był to ogromny transport jadący na wschód. Nigdy nam się nie udało policzyć wagonów, gdyż postoje w lesie lub na stacjach, kiedy pozwalano nam wyjść, były bardzo krótkie i towarzyszyły im ochocze pokrzykiwania konwojentów: *Dawaj skorej w wagon!* Na każdej stacji, przez którą przejeżdżał nasz pociąg w ciągu dnia, czekały gromady ludzi z żywnością. Przynosili nam chleb, słoninę, jajka, sery, mleko w butelkach, a nieraz gotowane w łupinach kartofle. Były to nasze jedyne posiłki w czasie podróży przez terytorium Polski.

Mijaliśmy lasy, wsie i pola. Budziła się wiosna, śniegi już prawie stopniały, gdzieniegdzie tylko brudnawe łąty leżały pod drzewami. Wszędzie przebijała się młoda, zielona trawa, na słonecznych stokach nasypu kolejowego i na polanach leśnych kwitły sasanki, na suchszych łąkach i w lasach pasły się już nawet krowy. Na polach widzieliśmy ludzi orzących ziemię pod wiosenne siewy lub mijaliśmy rozległe smugi szmaragdowych ozimin. Na brzegach lasów bieleły się kuliste krzaki kwitnącej tarniny. Czasem widzieliśmy zgliszcza miasteczek i wsi ze sterczącymi ku niebu kominami. Przy torach i resztkach stacji kolejowych ziały ogromne doły po wybuchach bomb z września, ale już na to wszystko wracało powoli życie i ziemia zaczynała goić rany. Cały ten uroczy i tak umęczony kraj uciekał w tył pod kołami naszego pociągu, który raz prędzej, raz wolniej wiozł nas wciąż na wschód.

Którejś nocy otwarto z trzaskiem drzwi wagonu. *Skorzej, skorzej!* – krzyczeli konwojenci. Półspiący ludzie z rozespanymi i płaczącymi dziećmi musieli błyskawicznie wyładować się z wagonów polskich do szerokotorowych wagonów sowieckich. Wszystko odbywało się w ciemności, przy widmowym świetle księżyca, przeświecającego przez mgłę. Przekraczaliśmy granicę Polski z września 1939 roku. Zamknięto załadowane wagony i zaległa cisza. Staliśmy do rana. Dopiero wtedy nastąpiło

sprawdzanie obecności – odczytano wszystkie nazwiska i dane personalne „mieszkańców wagonów”.

Trwało to niesłychanie długo, gdyż okazało się, że na stacji w Baranowiczach stoi wiele transportów. Dawały się zauważyć oznaki pewnego zamieszania wśród konwojentów. Spowodowane ono było ucieczką kilku osób. Z naszego pociągu udało się zbiec kilku osobom. Była między nimi pani Salomea Przyrowska, żona inspektora szkolnego, aresztowanego przez Sowietów w jesieni 1939 roku. Udało się jej wrócić do Sejn. Zmarła w roku 1975, mając lat ponad 90. Mąż jej nie wrócił nigdy. W końcu konwojenci wrócili na swoje miejsca i pociągi jeden za drugim zaczęły ruszać. W okienku jednego z mijających nas pociągów zobaczyliśmy głowy naszych stryjecznych braci, którzy wraz z matką i siostrą też jechali na wschód. Krzyknęliśmy do siebie parę słów – i wagon przejechał.

Od tego dnia jechaliśmy przez teren Sowietów. Aczkolwiek charakter ziemi był taki sam jak naszych kresowych okolic – takie same lasy, pola, rzeczki, wsie i miasteczka – rzucały się w oczy ogromne różnice w sposobie zagospodarowania kraju. Był to już ósmy miesiąc od dnia wybuchu wojny, a nasze lasy wciąż nosiły ślady dobrej gospodarki. Po tej stronie widzieliśmy w lasach nie sprzątnięty chrust, nie przycinane, uschnięte drzewa i dzikie poręby z pniami drzew uciętych na wysokości ramion człowieka. Mijaliśmy nędzne wsie i miasteczka bez śladu ogródków przydomowych. W małych laskach i przy torach kolejowych pasły się zabiedzone, chude krowiny. W jakimś miejscu ze zgrozą zobaczyliśmy ludzi przy niewielkiej wysokości kopcach pokrytych darniną, z których wydobywał się dym. Kiedy przejeżdżaliśmy bliżej i można było przyjrzeć się dokładniej, zobaczyliśmy, że było to całe osiedle ziemianek – jam wykopanych w ziemi i nakrytych żerdziami, ziemią i darniną. Były to mieszkania ludzi.

Na jakiejś większej stacji pociąg stał dłużej i widzieliśmy pogrzeb miejscowego dostojnika, zapewne partyjnego, gdyż niezdarnie zbita trumna z surowych desek pomalowana była na jaskrawoczerwony kolor. W innym mieście pierwszy raz w życiu zobaczyliśmy ludzi leżących i śpiących w biały dzień na bruku, pomimo że był to kwiecień i dni chłodne. Na jednej ze stacji podkradł się do naszego pociągu chudy, wynędzniały chłopiec w obszarpanych resztkach szynela wojskowego i w oberwanej czubatej czapce. Przejmującym szeptem mówił: *Pany, dajcie chleba!* Spozregł go jeden z konwojentów i szybko biegł w jego stronę. Chłopiec uskoczył i ze zwinnością szczura zaczął uciekać i kluczyć pod wagonami. Żołnierz był jednak szybszy i silniejszy. Złowił go i na naszych oczach okrutnie zbił tę biedną, zagłodzoną ludzką istotę.

Wypuszczano nas z wagonów trzy razy dziennie na pięć minut. Konwojenci chodzili dookoła i krzyczeli: *Dawaj skoriej pod wagon, a potem Dawaj skoriej w wagon*, starannie sprawdzając pod wagonami, czy aby tam ktoś nie został. Te wychodzenia były szalenie męczące i

upokarzające, szczególnie dla starszych osób, którym było bardzo ciężko i niewygodnie chodzić przez tory pod wagony i tam jeszcze rozbierać się, kucać i wstawać – wszystko pod okiem brutalnych żołnierzy, przy akompaniamencie ordynarnych krzyków i dowcipów w rodzaju: „Babuszka, co tak długo, objadasz towarzyszy podróży, a potem czekać jeszcze na ciebie muszą”.

O wodzie do mycia trudno było marzyć, raz dziennie pozwalano nam brać wrzącą wodę z lokomotywy i od przekroczenia granicy, raz dziennie dawano nam gorący posiłek, złożony z gęstej zupy – grochówki lub krupniku – i talerza gęstej kaszy z łyżką oleju wlanego w dołek wykręcony na czubku stożka kaszy. Do tego dawano trzysta do pięciuset gramów ciemnego chleba, okropnego „gniotą”, sypiącego się i niesmacznego. Gospodarze ze wsi jadący z nami w wagonie mówili, że chleb jest pieczony z domieszką mąki z prosa i kukurydzy. Od tego „chleba” Marysia dostała silnej biegunki, z której Mama wyleczyła ją, dając jej do wypicia kieliszek wódki. Do mycia rąk łapaliśmy w czasie deszczu nieco wody z dachu wagonu przez okienka, które nie były okratowane. Czasem udawało się nam schwycić trochę wody w czasie postojów na stacjach.

W mijanych miejscowościach pani Myślińska wychylała się przez okienko i niezależnie od wielkości osiedla niezmiennie pytała konwojentów: *Bojec, budtie lubieznyj, skazitie mienia pożałujsta, kakaja eto dieriewnia?* – co ich w przypadku większych miast przyprawiało o wściekłość i odpowiadali: *Nu sztoż, tiotka, razwie nie widisz, wied' eto gorod* – i wymieniali nazwę stacji. Na to p. Myślińska: *Sztoż wy goworitie, a ja dumala, szto eto takaja bolszaja dieriewnia!*

W miasteczkach widać było krzywą zabudowę, nędzne, źle oświetlone ulice, nie otynkowane domy. Po ulicach chodzili zabiedzeni, szaro ubrani ludzie o posepnych, zgaszonych twarzach. Na takich „rozrywkach” upłynął nam czas aż do Uralu. Pojawiły się wspaniałe widoki: dzika przyroda, olbrzymie, pod niebo sięgające góry, przez które przejeżdżaliśmy w ciągu dwóch dni tunelami lub głębokimi wąwozami. Mijaliśmy wspaniałe lasy, nieruchome, ciche i ogromne, puste przestrzenie bezludnego kraju. Przejechaliśmy stacje kolejowe: Ufę, Złatoust, Czelabińsk, Swierdłowski, zdając sobie sprawę, że te góry oddzielają nas od świata kultury i życia, w którym wyrosliśmy i żyliśmy dotychczas. Wjeżdżaliśmy do Azji. Uświadamialiśmy sobie, jak daleko jesteśmy od domu, od kraju. I cały czas jechaliśmy sami: więźniów do nas nie dołączono.

Przejechaliśmy Ural. Przed nami rozciągnęły się bezkresne równiny stepów Azji. Na stacji Kurgan wypuszczeni zostaliśmy nareszcie na godzinny spacer. Co za ulga! Nawet w sprawach potrzeb fizjologicznych można było pójść do pobliskiego brzoźowego lasu bez konwojenta! Można było umyć twarz i ręce – oczywiście w kolejce – pod kranem stacyjnym. Dzieci biegały. Nawet starsze osoby udało się wyprowadzić z

wagonów na ten dobroczynny spacer. Po upływie godziny wróciliśmy do wagonów. Zasunięto i zaryglowano drzwi i pociąg ruszył.

Dnia 28 kwietnia obudziliśmy się rano. Uderzyła nas cisza i bezruch pociągu. Ten stan trwał dość długo. Ktoś z nas zastukał w drzwi. Konwojenci odsunęli zasuwę i otworzyli. Wyszliśmy z wagonu. Okazało się, że zostały tylko trzy wagony z całego naszego transportu. Reszta pociągu pojechała dalej, lub wagony w nocy zostawiono po drodze na innych stacjach. Trzej konwojenci, przydzieleni do „opieki” nad nami, pomogli wyładować rzeczy.

Stacja nazywała się Smirnowo. Dookoła roztaczał się pusty, szary i bezbarwny o tej porze wczesnego przedwiośnia – step. Za stacją był mały gaik brzozy. Białe, zauralskie słońce świeciło nad tą pustą, smutną ziemią. Po chwili przyszli do nas ludzie z widniejącego za laskiem osiedla i przynieśli jajka malowane na czerwono. Była to ich Przewodnia Niedziela. Wśród Polaków wyładowanych z wagonów – około 60 osób – znaleźliśmy jeszcze innych znajomych. Byli to żona i synowie urzędnika z elektrowni w naszym mieście – Witek i Władek Łęgiewiczowie z matką. Witek „wrócił do ojczyzny” – jak mówiła jego matka – gdyż urodził się gdzieś pod Uralem w 1919 roku, gdzie w tym czasie przebywali jego rodzice.

Tego ranka przyjechały pierwsze ciężarówki, rozwożące Polaków na miejsca przeznaczenia. Swoje pakunki przemieszciliśmy z tobołkami pani Stasi, żeby z nią razem pojechać do miejsca osiedlenia, sądząc, że przyda się jej nasza pomoc ze względu na małe dzieci i na wpół-zdziecinniałą teściową. Staraliśmy się też trzymać blisko Władka i Witka sądząc, że wspólnie łatwiej nam będzie zorganizować życie. Pierwszego dnia ciężarówki zabrały cztery rodziny. Ci, którzy zostawali na stacji Smirnowo, mieli przed sobą konieczność spędzenia nocy na stepie. Młodzi daliby sobie radę, ale dla starych ludzi i dzieci sprawa przedstawiała się tragicznie. Była w tej grupie pani N. z naszego miasta z trzema córkami – 5-14 lat – i dwoma starszycami: swoją na wpół głuchą matką i teściową, bardzo tęgą i z ogromnie opuchniętymi nogami starą osobą. Dla wszystkich starych ludzi i dzieci trzeba było szukać schronienia na noc.

Witek i Władek przywieźli ze sobą rower. Stał on teraz oparty o zwałoną stertę pakunków wszelkiego rodzaju, błyszczący i szlachetny w swojej smukłości – jak zjawisko z innego świata. Przyciągał on bardzo oczy naszych opiekunów – konwojentów. W końcu jeden z nich podszedł do Witka i powiedział: *Pareń, daj-ka pokatatsa! Chotielby ja piered smiertiu na takoj maszinkie poprobawat!* Oczywiście, Witek dał mu *pokatatsia*. Śmiało się bardzo z jego nieudolnych początkowych prób, ale widocznie chłopiec w marzeniach doskonale opanował jazdę na rowerze, gdyż po pewnym czasie jeździł jak szalony z uśmiechem szczęścia na twarzy i w błękitnych oczkach.

Alina i Marysia chodziły dookoła budynku stacyjnego, były w lasku brzozowym i ze ściśniętym sercem oglądały bezmierną, przygnębiającą pustkę, rozciągającą się aż po horyzont. Urozmaicały ją tylko brzydki, zaniedbany budynek stacji, opuszczona wieża wiertnicza pozostawiona tu przez geologów oraz dwa szeregi wysokich na trzy metry drewnianych płotów, osłaniających tory kolejowe przed zaspami w czasie burz śnieżnych. Wysokość tych płotów świadczyła o ilości śniegu pędzonego tu przez wiatr w zimie. Teraz ziemia dookoła pokryta była brunatną trawą i suchymi resztkami roślin. Czasem podmuch wiatru przetaczał po tej równinie uschnięte, kuliste krzaczki „perekatypola”. Nad tym wszystkim wisiało blade słońce bez promieni na tle szarego, zaciągniętego jednostajnymi chmurami nieba.

Szare twarze wygnańców, od wielu dni nie mytych, wymęczonych podróżą i niewyspanych, tworzyły na tle otoczenia przygnębiający obraz, jakby zapowiedź losu, który ich na tej ziemi czekał. Zmęczenie, rozpacz i lęk przed przyszłością znalazły wreszcie ujście w płaczu. Alina i Marysia, stojąc w lasku brzozowym i patrząc poprzez drzewa na beznadziejny krajobraz, nie ocierały nawet łez, płynących im z oczu niewstrzymanym strumieniem. Wtedy znalazła je Mama i powiedziała: „Córeczki, wszędzie żyć musimy. Jesteśmy, chwała Bogu, zdrowe, mamy ze sobą młodsze dzieci, o które trzeba zadbać – i dużo ludzi, którym trzeba będzie pomóc. Musimy być silne. Spójrzcie, ziemia i nawet rośliny wszędzie są jednakowe. Taka szara trawa rośnie i u nas w suchych, słonecznych miejscach, a takie same żółte kwiatki pięciornika i u nas o tej porze zaczynają kwitnąć”. Przyrodnicze zamięłowania naszej Mamy jeszcze niejednokrotnie miały nam w przyszłości przywracać równowagę.

Dzieci przez cały czas podróży były bez mleka. Alina, Marysia, Władek i Witek wyprawili się więc na poszukiwanie mleka w okolicy. Mogli porozumieć się z miejscowymi ludźmi, gdyż dwudziestoletni Witek, maturzysta z wiosny 1939 roku, poszedł we wrześniu jako ochotnik do wojska, walczył pod Lwowem i dostał się do niewoli sowieckiej. Przebył tam cztery miesiące i na krótko przed wywożeniami wrócił do matki i brata; ojciec ich od listopada 1939 był w więzieniu sowieckim. Z pobytu w obozie jenieckim wyniósł Witek znajomość kilkunastu zwrotów i mały zasób słów rosyjskich. Był więc teraz przewodnikiem i tłumaczem.

Znaleźliśmy mleko w chacie mieszkańca w osiedlu za laskiem brzozowym. Przy okazji sprzedaży mleka uzalali się ludzie nad nami, że za rok, jeżeli wywiozą nas do kołchozu, śladu nie zostanie po naszej – jak mówili – pańskiej urodzie: szerniejemy, ręce nam zgrubieją, będziemy chodzić w łachmanach, w dzień i w nocy nie będzie spokoju, gdyż będą nas wyganiać do roboty. A nie daj Boże głośno narzekać! Zaraz w nocy – stuk, stuk w okno – i czarnym samochodem przyjadą enkawudysty zabrać takiego malkontenta w nieznane, na nieokreśloną liczbę lat. Całkiem nas to zgnębiło. W czasie rozmowy zagotowało się nasze mle-

ko. Gospodarze pożyczyci nam nawet dzbanka. Wróciliśmy do naszych koczowników. Dzieci dostały gorącego mleka.

W czasie naszej nieobecności do grupy Polaków przyszli dwaj miejscowi agitatorzy i przemawiali bardzo wzniośle o tym, jak to nas się zatrudni „według specjalności” i jak to się nam światopogląd odmieni pod wpływem życia w blaskach słońca sowieckiej konstytucji. Kiedy oni skończyli, nasza Mama, która znała dobrze język rosyjski, powiedziała do nich: „Tak nam dużo obiecujecie, a traktujecie nas gorzej niż było! Krów z młodymi cielakami nie zostawilibyście na noc na mrozie i wietrze bez dachu nad głową, a nas z dziećmi zostawiacie. Idzie noc, a my nie mamy żadnego schronienia”.

Ten argument był trafny. Agitatorzy bardzo się zmieszali i zabrali Mamę ze sobą do miejscowej szkoły. Wszystkie starsze kobiety i dzieci miały na noc schronienie w szkole, dokąd ich potem zaprowadziła nasza Mama. Młodzież została przy rzeczach. Dostaliśmy u okolicznych mieszkańców trochę chleba i kartofli, które upiekliśmy w ognisku. Przygotowaliśmy się do spędzenia bardzo zimnej nocy pod gołym niebem. Trzeba było czymś ogień podsycać. Ile mogliśmy, tyle zebraliśmy suchych gałęzi i podeschłych brzózek w lasku, ale mało tego było z uwagi na długą noc, jaką mieliśmy przed sobą.

Z nastaniem ciemności któryś z chłopców wpadł na wspaniały pomysł: „Wykorzystamy do podsycenia ognia połamane deski z ochronnych płotów wzdłuż torów”. Deski były bardzo długie i tak szerokie, że jednej wystarczało na parę godzin. Z łamaniem desek czekaliśmy na przejeżdżające pociągi. Lokomotywy wydawały przeraźliwy, smutny jęk mijając stację z wielkim łoskotem ciągniętych wagonów. Była to dla nas sprzyjająca okoliczność, gdyż ten łoskot zagłuszał trzaski łamanego drzewa. Na długich deskach w razie zbliżania się kolejarzy kładł się Władek, rozciągając się w swojej długiej na 190 centymetrów postaci i zarzucając jeszcze ręce za głowę.

Przesiedzieliśmy noc, przeszedł następny dzień. Znowu trzy ciężarówkiabrały część wygnańców. Wśród nich panią Stasię z dziećmi i teściową. Konwojenci troskliwie wybrali jej rzeczy spomiędzy naszych. Na kolejną noc zostało nas już tylko 30 osób. Znowu ognisko, znowu łamanie płotów. Dzieci i starsze osoby drugą noc spędziły w szkole, gdzie matki ugotowały nawet jakiś posiłek dla wszystkich. Dopiero rano 1 maja przyjechały ciężarówki po ostatnich wygnańców. Nas załadowano razem z panią Myślińską i jej dziećmi oraz z jeszcze dwiema rodzinami – razem 16 osób. Rozjechaliśmy się, żegnając się wzajemnie życzeniami spotkania i zdrowia oraz opieki Bożej.

Droga wiodła przez zupełnie płaski kraj, pustym o tej porze roku szarozółtym stepem. Co pewien czas na horyzoncie ukazywały się rzadkie zabudowania, potęgując jeszcze wrażenie pustki. Droga była tak zwana gruntowa, toteż wzbijane przez samochód tumany kurzu wkrótce po-

kryły dokładnie wszystkie nasze pakunki i nas samych. Mieliśmy czarne twarze, w których tylko czerwieniły się zmęczone oczy. Po trzech godzinach jazdy dotarliśmy do kołchozu imienia Czkałowa, w rejonie lenińskim, który był miejscem naszego przeznaczenia. Kierowca zatrzymał się przed biurem i wraz z konwojentem weszli do środka. Naszą ciężarówkę natychmiast otoczyła gromada mieszkańców, przypatrując się „panom z Polski” z wrogą ciekawością. Kierowca i konwojent wrócili i okazało się, że mamy jechać do posiołka Poputnia, oddalonego od głównej wsi o cztery kilometry.

### Poputnia

W Poputni wylądowano nas przed stojącą na uboczu chatą. Przyjechał sam *predsiedatiel* kołchozu im. Czkałowa, Grigorij Siemionowicz Łucenko, pijaniuteńki z okazji 1 maja i pomógł nam „osobiście” znieść toboły do tej chaty, która miała być naszym domem. Pozostałych Polaków odwieziono do innego domu.

Chata przeszła nasze najśmielsze marzenia. Przez dwa tygodnie podróży układaliśmy sobie plany, jak też zagospodarujemy się na Syberii w malutkim domku, nawet jeżeli to będzie tylko kuchnia i pokój z podłogą z surowych, niemalowanych desek, którą przecież można utrzymać w czystości. Dom, do którego nas przywieziono, zbudowany był z cegieł wykonanych z gliny zmieszanej ze słomą. Składał się z chlewika, w którym stała krowa i prosiak, dość obszernej sieni z jednym malutkim okienkiem, i z jednej izby mieszkalnej, w której było okno naprzeciwko drzwi. Na prawo przy drzwiach stał wielki piec chlebowy. Między nim i ścianą z oknem był duży zasiek na pszenicę, wypełniony ziarnem. Leżały na nim derki i płachetki, na których sypiała rodzina Pawła Osipowa, właściciela domu. Sam gospodarz przebywał „w podróży służbowej” do rejonu. W domu była gospodyni i jej dwie córeczki: pięcioletnia Rajka i półtoraroczna Nusia, która jak zwykle dzieci w jej wieku, śpiąc na tej pszenicy, siusiała beztrąsko pod siebie. Gospodyni pokazała nam fotografię męża, na której wyglądał on przerażająco.

Podłogę izby stanowiło ubite gliniane klepisko. Przestrzeń do życia mieliśmy niezmiernie ograniczoną. Na kawałku klepiska o powierzchni 6-7 metrów kwadratowych musieliśmy się zmieścić w dzień i w nocy. Ułożyliśmy pakunki pod ścianą, w sieni urządziliśmy kąpielnicę, sami zasiadaliśmy nieruchomym rzędkiem na ławeczce wzdłuż ściany naprzeciwko pieca. Trzeba było jednak jakoś zorganizować życie. Wyjęliśmy z paki wiadra, jakieś garnki. Do studni było blisko. Trudności wynikały przy gotowaniu: do tego celu służył tu wielki, żeliwny garnek o egzotycznym dla nas kształcie, rozdęty w części środkowej, zwężający się ku górnemu otworowi i z bardzo wąskim dnem, tak zwany *czugun*, wpuszczony i wmurowany w palenisko malutkiej kuchni – *galanki*. Garnek ten służył do gotowania jedzenia dla prosiaka, potem myło się go dokładnie



wybierając wodę szmatką i gotowało się jedzenie dla ludzi. My – oczywiście – nie mogliśmy jeszcze wtedy obejść się bez herbaty do popijania przy jedzeniu kupionego na wsi chleba (jeszcze wtedy był tu wspaniały, wysoki, wyrośnięty pszenny chleb o znakomitym smaku), ale ta „herbata” miała odrażający zapach i pełna była tłustych ok. Piliśmy ją z jedynie dostępnych tu kubków z grubej gliny, szorstkich i kaleczących nam usta. Na noc rozłożyliśmy na klepisku tobołki z zaszytymi w nich rzeczami, wydobywając tylko koce, poduszki i dresy, i tak spaliśmy z głowami przy ścianie, a nogami oparci o zasiek i piec.

O czwartej rano Osipowa wstała do krowy i w ciemności deptała nam po nogach. Zaczął się dzień – drugi dzień naszego pobytu w Poputni. Rano złożył nam kurtuazyjną wizytę Grigorij Siemionowicz, aby się dowiedzieć, jak się też urządziliśmy. Na pytanie Mamy, czy nie miałby dla nas jakiegoś większego pomieszczenia, wybuchnął beztróskim śmiechem i oświadczył rozbrajająco: „Nie oczekujcie tu wygod, jesteście przecież *wragi naroda i was na to gdzieś przywiezli, sztab’ wy podochli*”. Po tej szczerzej wypowiedzi nie mieliśmy już złudzeń co do przyszłego układu stosunków.

Trzeciego maja spadł wielki śnieg. Poprzedniego dnia wieczorem Alina – za namową Osipowej – rozczyniła ciasto na chleb z mąki kupionej na wsi, żebyśmy mieli co jeść, ale od rana śnieg uniemożliwił nam zebranie na stepie tak zwanego „paliwa”, na które – jak nas oświeciła nasza gospodyni – składał się suchy nawóz, patyki, korzenie roślin oraz kępki suchej trawy. Póki nie zaczęliśmy spostrzegać tego pod nogami, wracaliśmy ze stepu z pustymi torbami, ale Osipowa pokazała nam te „skarby” i nauczyła je zbierać. Nauczyliśmy się wtedy używać torby, tak zwanej *a-woški*, którą trzeba było stale nosić ze sobą, bo „a-nuż” (*a-woś*) trafi się coś wartościowego, jakaś zdobycz: suchy patyk, kłapeć suchego nawozu, dobry gwóźdź, kawałek drewna lub skóry – wszystko może się przydać i wszystko trzeba podnosić. Teraz jednak step był grubo pokryty śniegiem i groziło nam zmarnowanie wielkiej ilości ciasta chlebowego. I wtedy okazała się wielkoduszność Emilki Osipowej: oddała nam swój „żelazny zapas” drzewa brzoźowego, trzymany na wypadek katastrofy zimna. Gospodyni sama napaliła w piecu, rozgarnęła żar i pomogła nam upiec pierwsze bochenki syberyjskiego chleba. Drzewo było tu po prostu skarbem, gdyż las był oddalony o 30 kilometrów od Poputni. Otaczał widoczną na horyzoncie „sopkę” – górę o idealnym kształcie stożka wulkanicznego. Od pierwszego dnia fascynował nas ten widok. Był jedynym urozmaiceniem płaskiego krajobrazu i przyciągał „nieznanym” i obietnicą jakiejś ciekawej przygody. Ale obecnie nasza uwaga i wysiłki skierowane były na przystosowanie się do nowych warunków życia.

Z powodu wielkich śniegów nie było prawie mowy o wychodzeniu z izby i nasza ósemka oraz trzy osoby z rodziny gospodarza siedziały w izbie, wykonawszy niezbędne czynności. Przez cały dzień izba pełna

była ciekawych, którzy przychodzili oglądać „panów z *Polszy*”. Mężczyźni i kobiety z dziećmi na rękach ładowali się do tej ciasnoty i godzinami przyglądali się nam, cisnącym się pod ścianą na ławeczce. Bezczynność na dłuższy czas była dla nas niemożliwa, toteż wydobyliśmy książki, jakieś roboty na drutach, cerowanie skarpetek – wszystko było komentowane i kwitowane śmiechem lub uwagami w niezrozumiałym dla nas wówczas, okropnym języku. Wszyscy „goście” gryźli pestki słonecznikowe, wrzucane do ust zręcznym ruchem. Wyplute łupiny wisiały im fantazyjnymi festonami na brodach (była to sztuka, której nigdy nie zdołaliśmy opanować).

W tym dniu wrócił gospodarz, Paweł Osipow. Obawialiśmy się go bardzo, gdyż na fotografii, wykonanej przez jakiegoś „artystę” z rejonu, miał odstraszący wygląd i był dla nas uosobieniem bolszewika. Okazało się jednak, że był to całkiem porządny i łagodny człowiek. Miał ponure życie – jak wszyscy w tym kraju – i rysy twarzy układały mu się w posępny grymas. Zaskoczony trochę „gośćmi” pogodził się szybko z losem. Na drugi dzień wyгнаł ciekawskich, mówiąc do nich: „*Szto eto, ludiej nie widieli?* Baby, wynoście się do domów, popatrzcie, te przyjechały i zaraz coś robią. A wy co – nic do roboty nie macie? Nie wnoście nam tu błota i zimna”. I wszyscy się wynieśli.

Do naszej Mamy Paweł mówił początkowo *tiotka*, potem *choziajka*, w końcu zapytał: *Kak wasze imia i otcziestwo?* – i zwracał się do Mamy „Maria Antonowna”. Mama uczyła go rachunków i pisania, bo dotychczas tę sztukę miał opanowaną w minimalnym stopniu. Urządzała mu więc dyktanda wieczorem przy świetle tak zwanej *kopciłki*, do której – niestety – musieliśmy zacząć się przyzwyczajać. Miało to być jedyne źródło światła dla nas, przez wszystkie nadchodzące lata, w długie zimowe wieczory i noce.

Była to zwykle mała buteleczka po jakimś lekarstwie o pojemności około 200 gramów. Napęniało się ją *kierosinem*, to jest brudną mieszaną ropy naftowej z naftą, czyli paliwem z traktorów. Na otworze szyjki tej butelki umieszczano się kółko z blachy o średnicy 25 milimetrów z wprawioną w środek krótką rurką grubości ołówka. W tę rurkę wpychało się pasemko skręconej waty lub nici bawełnianych. Zanurzony w tym smarze knot palił się nad buteleczką, dając światło czterokrotnie mniejsze niż zwykła świeca.

Czas płynął, śnieg leżał na stepie, mieszkanie w tych warunkach stało się koszmarem, ani o myciu, ani o praniu mowy nie było. Nasza przedsiębiorcza Mama wyruszyła na wieś szukać polepszenia naszego losu – i znalazła dla nas mieszkanie.

Ósmego maja przeprowadziliśmy się do chaty babuszki Łondarki i jej córki Nastii Nazimowej. Mieszkały one przy głównej drodze, na końcu wsi, w miejscu gdzie był lekki zakręt i zaczynała się droga do Awierjanowki – głównego osiedla kołchozu im. Czałowa. Dom babuszki był

duży, o stromym dachu krytym strzechą, z dwóch stron domu była przyzba i rosły przy nim cztery wysokie włoskie topole. Z powodu tych drzew – jedynych w całym kolchozie, to znaczy w obu wsiach – dom babuszki Łondarki nazywano „domem z sadem”. Przy zakręcie drogi była wielka studnia z żurawiem, przy której poiono bydło kolchozowe wracające wieczorem z pastwiska.

Do domu wchodziło się po ułożonych na kształt stopni dwóch dużych kamieniach i przez wysoki próg – do przestronnej sieni, oświetlonej oknem. Z sieni na prawo było wejście do obórki, a na lewo – do kuchni, w której był wielki chlebowy piec i łóżko. Z kuchni drzwi prowadziły do malutkiej izdebki z jednym oknem, wychodzącym na drogę. Właśnie tę izdebkę babuszka Łondarka odnajęła Mamie. Powód był – jak nam powiedziała Osipowa – następujący. Nastia, córka Łondarki, gruba, ospowata baba, jedyna w Poputni traktorzystka – a więc rodzaj „pozytywnej bohaterki” – pobila się z mężem i obie z matką wyrzuciły go z domu. On odgrażał się, że wróci je pozabijając.

Babuszka wynajęła więc nam tę izbę dla zapewnienia sobie większego bezpieczeństwa. Nad nami zaś zawisła groźba uczestniczenia w rodzinnych porachunkach. Na szczęście póki tam mieszkaliśmy – do niczego takiego nie doszło.

Po załatwieniu „formalności” z nową naszą gospodynią – przeprowadziliśmy się do naszego nowego mieszkania wozem zaprzężonym w woły, którego nam użyczył łaskawie Grigorij Siemionowicz. Nastia lizała rany i blizny siedząc na piecu. Oczy miała podbite, czerwone białka i fioletowe obwódki, sińce na policzkach i brodzie. Myśleliśmy, że ona ma te czerwone białka od pracy na traktorze, jako że pierwszy raz w życiu widzieliśmy kobietę-traktorzystkę. Nastia – zaiste – była postacią imponującą. Głos miała donośny, sama była wielka, gruba i silna jak koń. Zeszała z legowiska, wyniosła z obórki kilka brzozowych okrągłaków i pomogła nam zbić prymitywne prycze dla pięciu osób. Dla jednej mieliśmy przywiezione z domu składane letniskowe łóżko. Dwie pozostałe osoby musiały sypiać wprost na klepisku. Rozpakowaliśmy wreszcie toboły i z Nastią poszliśmy napychać sienniki słomą ze sterty na polu. Męczyliśmy się potem z tymi wielkimi siennikami, a ona jednym ruchem zarzucała sobie taki siennik na głowę i szła do domu swobodnie, jakby nic na głowie nie niosła. Nareszcie mieliśmy wygodne spanie. Wyjęliśmy prześcieradła, kołdry i koce włożyliśmy do pokrowców z koronkami. I tak też spały te dwie osoby na klepisku. Wieczorem zamknęliśmy drzwi i byliśmy znowu sami w czterech ścianach.

Rano odwiedził nas Grigorij Siemionowicz i chodząc w zabłoczonych butach między naszą białą pościelą rozłożoną na klepisku, trącał nas trzonkiem bata, „zapraszając” do roboty w polu: *Ajda, dziewczki, na robotu!*

Gdy tylko śnieg stopniał, do pracy w polu poszedł dwunastoletni wówczas Staś. Zaczął od razu orać i bronować wołami. Alina, Marysia,

Zosia i Jasia chodziły wraz z kobietami z kołchozu i z innymi Polkami pleć pszenicę na kołchozowe pola. Do pracy wychodziły rano o godzinie szóstej i musiały przejść w jedną stronę dziesięć kilometrów. Gleba w Kazachstanie jest wspaniała, niezwykle urodzajna, tak że dobrze uprawiona całymi dziesiątkami lat rodzi bez nawożenia, dając bardzo obfite plony. Każda ziemia wymaga jednak starannej uprawy. Tu zaś, celem wypracowania większej normy dziennej, oracze kołchozowi wymyślili i stosowali oranie „co drugą bruzdę”: orano pierwszą, opuszczano drugą, orano третią, ziemia odłożona lemieszem przy oraniu trzeciej bruzdy pokrywała pas nie zaoranej ziemi drugiej bruzdy – opuszczano czwartą, orano piątą – i w ten sposób całe pole. Z odległości trudno było zorientować się, czy pole zaorane jest prawidłowo, gdyż całe było pokryte poruszoną ziemią. Pod wieczór przychodził *uczotczik* z wysokim trójkątem zbitym z listewek – tak zwanym *arszynem* (sążniem) – szybko przebiegał pole, mierząc ilość zaoranych hektarów, i nie sprawdzając jakości wykonanej pracy szybko biegł dalej. Pszenica, siana potem w tę niechlujnie uprawioną ziemię, ginęła zaraz po wykiełkowaniu w morzu chwastów. „Pielenie” jej polegało na szybkim przebieganiu przez pole i zrywaniu górnej części ostów i innego zielska zasłaniającego zboże.

Kiedy majowy śnieg stopniał, powiały wysuszające wiatry. W ślad za nimi przyszły upalne dni i cały step pokrył się różnobarwnymi kwiatami. Najwcześniej zakwitły białe sasanki, kryjące się przed chłodem w puszystych listkach jak w kozuszkach. Potem rozwinęły się cudowne, ogromne jak gwiazdy białe zawilce, których drobniejszą odmianę znaleźliśmy z naszych lasów. Następnie zakwitła trawa, zwana tu *kawyl*, podobna do trawy z puszczy węgierskiej: kwiaty jej tworzyły źdźbła pokryte na całej długości wiotkimi, srebrzystymi włoskami. Wiatr poruszał trawę – i step falował jak bezkresne, srebrzyste morze. Na koniec pojawiły się białoróżowe dzikie róże i całe mnóstwo większych i mniejszych różnobarwnych kwiatów. Nad tym kwitnącym stepem rozpinano się bezkresne, błękitne, czyste niebo i zanosił się śpiewem skowronki. Wszystko to budziło w nas fale ogromnej tęsknoty i napełniało poczuciem przytłaczającej krzywdy.

W pierwszych tygodniach przynosił nam ulgę płacz – łzy, wyplakane głośno w tę falującą, srebrzystą trawę. Ale trzeba było żyć. Stopniowo zaczynaliśmy twardnieć. Trzeba było zdobywać żywność. Trochę ubrań wymieniliśmy w sąsiednich wsiach na mąkę, jakieś drobiazgi na mleko i masło. Ten maj był trudny i piękny zarazem.

Zaatakowała nas febra syberyjska: wysoka gorączka, szalony ból głowy, objawy grypy, połączone z wielkim osłabieniem i depresją psychiczną. Mieliśmy ze sobą trochę lekarstw z Polski, ale ani proszki od bólu głowy nie przynosiły ulgi, ani aspiryna nie skutkowała w zwalczaniu tej choroby. O pomocy lekarskiej – oczywiście – mowy nie było. Można było liczyć tylko na opiekę Bożą i na czas.

W maju wszyscy kolejno cierpieliśmy na tę męczącą gorączkę. Najbardziej jednak wymęczyła ona Mamę i Antka. W czasie tej serii chorób błogosławiliśmy Mamę za ten ciasny, ale nasz osobny kąt do mieszkania.

Posiłki gotowaliśmy w dużej i wygodnej sieni, gdzie był również wielki saszek na zapasy żywności. Babuszka Łondarka przez cały czas bez żadnych skrupułów podbierała nam mąkę z naszego worka, stojącego w tym saszku. Nastia przy pomocy Marysi zbudowała w sieni letnią kuchnię z cegieł, kamieni polnych i gliny. Płytę kuchenną i fajerki zastąpiły na niej oblepione gliną sztabki żelazne i zęby od starych maszyn żniwnych. Normalna kuchenna płyta była tu wielką rzadkością. Ale i na tej glinianej kuchni Alina dokonywała cudów, aby nakarmić naszą liczną rodzinę. Przeważnie jadaliliśmy dwa razy dziennie. Podstawowym jedzeniem była kasza jagłana z ziemniakami na mleku. Kaszę zdobywaliśmy drogą wymiany, a ziemniaki dostaliśmy jako zapłatę za pomoc przy ich sadzeniu w ogrodach mieszkańców kolchozu.

Każda rodzina kolchozowa mogła uprawiać obok swego domu 0,33 hektara ogrodu, oprócz tego hodować krowę i jednego prosiaka. Od krowy opłacano podatek: 240 litrów mleka rocznie (ta ilość wahała się, zależnie od zawartości tłuszczu w mleku, badanej w mleczarni rejonowej), 48 kilogramów mięsa i skórę z cielaka – jeżeli ktoś zostawiał sobie cielę na hodowanie, musiał opłacić ekwiwalent w rublach – oraz czy kto miał kury czy nie, a miał krowę, musiał oddać 100 jaj rocznie.

Przy sadzeniu kartofli – ponieważ nosiliśmy dość krótkie sukienki – wyszło na jaw, że nosimy majtki. Był to powód do ogólnej radości kobiet w kolchozie. Początkowo mówiły, że majtki noszą tylko ładacznice, w końcu przekonały się do nas, poznavszy nasz tryb życia, wciąż jednak oglądały szczegółowo naszą bieliznę, a cudowaniem się i dziwieniom nie było końca.

Zarobione kartofle pozwoliły nam przeżyć kilka tygodni. Prace w ogrodach miały jeszcze tę dobrą stronę, że gospodynie nie najgorzej karmiły wynajętych robotników. Poznavaliśmy też ludzi, warunki życia, a także stopniowo uczyliśmy się rosyjskiego. Z wolna też zaczęła ustępować niechęć mieszkańców Poputni do nas. Przekonali się, że nie jesteśmy ich wrogami, ani nie stronimy od pracy. Wyprawy na sadzenie kartofli do Awierjanowki pozwoliły nam zawrzeć znajomości z tamtejszymi mieszkańcami. Byli to przeważnie Rosjanie, potomkowie zesłańców z carskich czasów czy też dobrowolnych przesiedleńców-kolonizatorów. Oprócz nich mieszkało tu kilka rodzin potomków dawnych rdzennych Sybiraków z plemienia Mordwa. Mówili oni po rosyjsku, lecz pozostała im z dawnych czasów odrębność akcentowania i wymawiania niektórych wyrazów: akcentowali szczególnie dźwięk „O”.

Jedną z tych Mordwinek, babuszka Radiwonowa, u której w ogrodzie sadyli kartofle Jasia i Marysia, zaprosiła nas na „wypominki zmarłych” – miejscowe Zaduszki, które odbywały się tu w którąś niedzielę po

Wielkiejnocy. W sąsiedztwie ubogiego cmentarzyka – na którym między małymi, porośniętymi trawą pagóreczkami mogił tkwiły gdzieś niske, krzywe drewniane krzyżyki – kobiety rozłożyły na zeschniętej zeszłorocznej trawie białe ręczniki, jeden za drugim, jakby długi obrus, i po obu jego stronach ustawiły się ze swoimi smakołykami specjalnie przygotowanymi na tę okazję. Były tam bliny ze śmietaną, kilka rodzajów pierożków, chleb, twaróg, jajka na twardo, kawałki kury gotowanej i w glinianych dzbankach kwas do popijania. Przed rozpoczęciem „uczty” wszyscy uczestnicy bili pokłony, żegnali się skośnym krzyżem i śpiewali smutne i przeciągłe wezwanie: *Hospodi, pomiluj duszu raba twojowo – Hospodi pomiluj, Hospodi pomiluj, Hospodi pomiluj*. Modlitwy te, bardzo melodyjne, inaczej brzmiały tu, śpiewane cienkimi i drżącymi głosami kobiet, w porównaniu ze wspaniałym chórem prawosławnych kleryków, którego śpiewów Alina z Marysią chodziły słuchać do cerkwi przy ulicy Ostrobramskiej podczas pobytów w Wilnie.

Potem rozpoczęła się uczta, przy której gospodynie bardzo zwracały uwagę, aby nikt nie był głodny. W czasie spożywania posiłku kilkakrotnie następowały przerwy na modlitwę i śpiewy. Kiedy wszyscy „raby boże” byli już wspomniani i większość smakołyków zjedzona, resztę jaj, blinów i pierożków porozdzielano między gości. Nam dostała się też duża porcja, tak że z zapasami żywności wróciliśmy do Poputni.

Stale kontaktowaliśmy się z Emilką Osipową, której byliśmy wdzięczni za pierwsze „lekcje” syberyjskiego życia i ludzki do nas stosunek. Mama uszyła małej Rajce czerwoną sukieneczkę z jakichś resztek i chodziła czasem do nich uczyć Pawła, za co dostawała dla nas mleko. Kuzynka Osipowych, ciocia Tania, i jej córka Marusia pozwoliły nam w swoim ogrodzie posadzić parę rzędów kartofli i posiać trochę nasion jarzyn przywiezionych z domu, ale „uprzejmy” Grigorij Siemionowicz, kiedy mu ktoś doniósł o tym gościu cioci Tani, przyszedł do niej, skrzyczał ją ordynarnie i cały ten nasz nędzny ogródek rozdeptał buciorami. Groził przy tym najgorszymi karami wszystkim, którzy odważyliby się okazać nam życzliwość.

Któregoś dnia zawitało do wsi czarnym samochodem NKWD z rejonu. Stale byliśmy w ich ewidencji i pod ich opieką. Pod pretekstem wręczania sowieckich paszportów zapraszali nas na nocne rozmowy. Wezwali najpierw Mamę, potem Alinę i Marysię. Spisali dane personalne, pytali o zawód, obiecali zatrudnić „według specjalności” i przysłać fotografa do porobienia zdjęć do paszportów. Wszystkie rozmowy odbywały się w kancelarii kolchozu, tak zwanej „kantorze”. Marysia tak się rozzuchwalała, że od tego czasu po kilka razy w tygodniu chodziła do tej „kantory” czytać gazety. Starła się wyłowić z nich jakieś wiadomości o wojnie i o Polsce.

Terenia miała jasne warkoczyki i niebieskie oczy. Miała też śliczne letnie sukienki i kokardy do włosów, i myśmy ją wbrew wszystkiemu w

to ubierały. Wybiegała więc przed dom w majowe i czerwcowe dnie ubrana w kolorowe sukieneczki, drażniąc swoim wyglądem „z innej planety” nieszczęsne, szare istoty w kolchozie. Terenia przeżyła w tym czasie bardzo niebezpieczną przygodę: przy „naszej” studni z żurawiem pojono było kolchozowe, wracające nad wieczorem z pastwiska do obory, zwanej tu „baza”. Bydło było wtedy niespokojne, spragnione, krowy i cielęta pchały się do koryta, a młode, jedno- i dwuletnie byczki uganiały się wokoło, nastawiając czupurnie rogi. I w czasie tego pojenia bydła wybiegła z domu Terenia. Miała na sobie czerwoną sukienkę i czerwone kokardy we włosach. Natychmiast jeden podniecony byczek ją zaatakował, mierząc w nią nisko nachyloną głową! Terenia, przerażona, uciekając do domu potknęła się i upadła – i wcale nie wiadomo, jakby się to skończyło, gdyby nie przytomność kolchozowego pastucha, który przerwał nalewanie wody do koryta, szybko podskoczył, byczka odegnał, a przerażoną Terenię odprowadził do domu. Dziękującej mu naszej Mamie powiedział: „Ratowałem – bo to *rebionok*. Żeby to kto dorosły – nawet bym i nie spojrział w tę stronę”. Takie było początkowo nastawienie miejscowej ludności do „panów z *Polszy*”. Wciąż jeszcze mieliśmy z domu zapas mydła, proszek i szczoteczki do zębów, zapałki, a nawet trochę świec, które już zaczęliśmy oszczędzać na rzecz kopcilki. Staś i Antek nosili swoje harcerskie spodenki i koszule. Wszystkie nasze ubrania, bielizna i buty, okazały się skarbem na tym pustkowiu, gdzie nic nie można było kupić.

Czasem przyjeżdżał wóz z rejonu i za jajka wymieniano sztuczki perkalu, sól, noże i różne drobiazgi. W sklepiku wiejskim bywały zapałki, landrynki o dźwięcznej miejscowej nazwie *lampasje*, a w 1940 roku bardzo rzadko zjawiał się cukier. Niekiedy sprzedawano też miski i dziezki gliniane. Myśmy obywali się naczyniami przywiezionymi z domu, ale na przykład nie wzięliśmy łyżek i talerzy. Kupiliśmy tu więc pięknie malowane drewniane łyżki, a zamiast talerzy używaliśmy małych garnczków i miseczek od menażek.

Ten nasz sposób jedzenia drażnił Grigorija Siemionowicza, który jadąc z Poputni do Awierjanowki nigdy nie omieszkał nas odwiedzić. Czasem przyjeżdżał z nim pełnomocnik z rejonowego komitetu partii i obydwaj usiadłszy w kucki pod ścianą w sieni obserwowali nasze życie przez całe kwadransy, opatrując je uwagami i wybuchami śmiechu.

Dziwiło ich to, że jadamy każdy ze swojego naczynia zamiast wszyscy z jednej miski, intrygował sposób gotowania, nawet robienie zacierki było obiektem gorącego zainteresowania. Najbardziej drażniły ich nasze rozmowy prowadzone po polsku oraz to, że nauczyliśmy się już nie zwracać na nich najmniejszej uwagi. W końcu, w czasie jednej z wizyt, pełnomocnik powiedział do Mamy:

– Ciotko, dlaczego ty mówisz do dzieci po polsku? Przecież mieszkasz w Związku Sowieckim i powinnaś mówić po rosyjsku. Bo my nic nie rozumiemy.

Mama nasza na to:

– Dziwny jesteś, przecież wasza stalinowska konstytucja w paragrafie tym-i-tym, na stronie takiej-i-takiej wyraźnie powiada, że każda narodowość ma zagwarantowane prawo do rozwijania własnej kultury i tradycji oraz używania własnego języka. A my jesteśmy Polacy i mówimy po swojemu.

Na to pełnomocnik zaśmiał się dobrodusznie i powiedział: – Durna jesteś, ciotka. Wierzysz w konstytucję? Konstytucja jest dla nas, a dla was są przypisy.

Nie zmieniliśmy jednak obyczajów, a pomimo to wciąż stanowiliśmy dla nich ciekawy obiekt obserwacji, gdyż póki mieszkaliśmy w Poputni, poty nas odwiedzali. Grigorij Siemionowicz lubił rano przychodzić do naszego pokoju i zachęcać nas do pracy mówiąc:

– No i co, ciotka, ja skończyłem tylko dwie klasy i ja, cham, muzyk, was, inteligentów, gonię do pracy!

Potem pochwaliła się nam jego żona, że ojciec Grigorija był parobkiem w polskim dworze na Ukrainie. Córkę swoją Marusię, bardzo ładną dziewczynę, Łucenkowie wychowywali całkiem „po pańsku”, uczyła się ona w szkole w Petropawłowsku, stolicy województwa, i w czasie wakacji nawet chleba sobie sama nie kroїła.

Kiedys Grigorij Siemionowicz powiedział do Aliny:

– Słuchaj, jak ty mówisz do mnie, to czemu nie zwracasz się do mnie „pan”? Przecież taki jest u was zwyczaj.

Na to Alina:

– Sam powiedziałaś, że jesteś cham i muzyk. Jak ja do ciebie mogę mówić „pan”?

Pewnego dnia odwiedził nas dziwny gość. Linijką, zaprzęzoną w zadbanego konia, przyjechał do wsi nieznajomy człowiek, wysoki, siwiejący, z czarnymi oczami i wąsami. Przyszedł do nas, przedstawił się: „Artaszest Tigranowicz z Iranu, inżynier budowlany”. Zesłany na Syberię na 10 lat za posiadanie irańskiego paszportu. Żona, profesor uniwersytetu, mieszka w Leningradzie. Ma prawo raz w miesiącu napisać do niego list. Właśnie niedawno mu doniosła, że przeżyła wielki dzień: kupiła kilka jaj i z dwóch usmażyła sobie jajecznicę!

Sam Artaszest mieszkał w Jawlence, stolicy lenińskiego rejonu i nadzorował wszystkie budowy prowadzone na tym terenie. W związku z tym bywał we wszystkich okolicznych kolchozach, gdzie spotykał Polaków. Miał przy sobie kartki z ich nazwiskami i wśród nich adres pani Stasi, która mieszkała o 16 kilometrów od nas we wsi Nowouzinka, w kolchozie zamieszkałym przez kolonistów niemieckich. Artaszest powiedział nam, że córeczka pani Stasi choruje i że teściowa coraz bardziej dziecinnieje. Od niego także usłyszeliśmy następującą historię.

Do Nowouzinki przywieziono żonę burmistrza z Wołkowyska z szesnastoletnim synem. Chłopiec dostał silnego ataku bólów brzucha,



wskazujących na zapalenie ślepej kiszki. Matka błagała przewodniczącego kolchozu o konie do szpitala w Jawlence, oddalonej o 65 kilometrów. Przewodniczący odmówił tłumacząc, że nie da koni, gdyż są potrzebne do pracy w polu, a zresztą *was, wragów naroda, na to zdies' priwiezli, szto b' wy podochli*. Matka klękała przed nim i całowała jego buty. Koni jednak nie dostała. Chłopiec skonał w okropnych bólach na kolanach odchodzącej od zmysłów matki.

Artaszest Tigranowicz dołączył nasz adres do swojego zbioru, powiedział nam sporo miłych rzeczy o Polsce, Polakach, Warszawie, którą znał sprzed pierwszej wojny światowej i nazywał Paryżem Północy, obiecał odwiedzać... i pojechał. Wiele razy potem nas jeszcze odnajdywał, przywoząc wieści o Polakach, którym ile mógł, pomagał. Z tego powodu nazywano go polskim wujkiem. Alina najbardziej z nas zaprzyjaźniona z panią Stasia i jej młodszym rodzeństwem – kolegami z jednej klasy – następnego dnia wybrała się do niej i wróciła po kilku dniach zmartwiona z powodu choroby dzieci. Pani Stasia obiecała nas odwiedzić, gdy tylko jej czas i możliwości pozwolą.

Przyjechał fotograf z rejonu i porobił nam „błyskawiczne” fotografie, na których twarze były wielkości paznokcia. Chociaż tak małe, widoczne były na nich przygnębienie i smutek. Po paru tygodniach towarzysze z NKWD przywieźli i wręczyli nam paszporty, opatrzone pieczęciami i podpisami, z zastrzeżeniem, że swobodnie poruszać się możemy tylko w obrębie rejonu lenińskiego.

Ludność Poputni była pochodzenia ukraińskiego, przesiedlona tu przed 40-50 laty karnie lub dobrowolnie, ale już przywiązana do ziemi, klimatu i życia w tych warunkach. Mówili oni po rosyjsku z wielką domieszką ukraińskiego, co się szczególnie uwidaczniało w piosenkach. Tu nauczyliśmy się pięknej ukraińskiej dumki:

*Rewe taj stohne Dnibr szyrokiy,  
serdytyj witer zawewa...  
Do nyzu werby hne wysoooki,  
Horami pihu pidyma...*

i wielu innych piosenek, jak *Rozprehajte, chłopci, koni, Skakał Kozak czerez dolinu, Tam pid hajem, hajem, hajem zeleneńkim*, a przede wszystkim syberyjskiej „ballady” wędrownych rozbójników:

*Jesli ty mienia spolubisz,  
Nie pobrezgiwajesz mnoj,  
Tak pojdiem, moja czuldanoczka,  
Po dorożkie stolbowoj.  
Wozmiom palki dlinnyje, wostryje,  
Na zaszczitu złych sobak,  
I pojdiem, moja czuldanoczka,  
Po Sibiri worowat'.  
Gdzie ukradiem, gdzie zwojujem,  
Gdzie wozmiem na wierniaka,  
Gdzie kupca w lapti obujem,  
Gdzie prichwatim czudaka.*

Jej dzika melodia i w jakimś niebywałym żargonie ułożone słowa do dziś przejmują nas dreszczem – tak są związane z tamtymi realiami:

*Na Sibiri kapitału  
Sorok tys'czy ja ukrał,  
A s toboj, moja czuldanoczka,  
W odnu noczku prohulał.  
Ej, wy pticzki, kanariejki,  
Nie lietajcie wysoko,  
Ja sama pro eto znaju,  
Szto moj miłyj daleko.  
Ej, wy pticzki, kanariejki,  
Nie lietajcie wysze wstech –  
Ja sama pro eto znaju,  
Szto moj miłyj łuczsze wsiech.  
Ej, wy pticzki, kanariejki,  
Nie lietajcie nad oknom –  
Ja sama pro eto znaju,  
Szto moj miłyj pod kluczom.*

Wszystkie te piosenki przynosił Staś z pracy w brygadach polowych, oddalonych od domu o 10-15 kilometrów, gdzie spędzał po kilka dni z parą *prikreplionnych* do niego wołów, na których pracował.

Któregoś dnia pod koniec maja, w jakiś dzień świąteczny, kiedy jedliśmy nasze „święteczne” śniadanie – kluski na mleku – i byliśmy mocno przygnębieni z powodu ciężkiej febry Antka – otworzyły się drzwi naszej izdebki u babuszki Łondarki i weszło do nas dwoje ludzi: wysoki mężczyzna z jasnymi włosami i wąsami i z niebieskimi oczami, z dosyć tęgą uśmiechniętą kobietą. Ich ubiór nie budził wątpliwości – byli to miejscowi Sybiracy, lecz odwieczne powitanie Polaków wypowiedzieli najczystsza polszczyzną: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” Ogromne zaskoczenie i osłupienie – a potem wielkie wzruszenie znalazło swój wyraz w naszych łzach. Usłyszeć te słowa tak daleko od kraju wydawało się zupełnym nieprawdopodobieństwem. Potem, w rozmowie, dowiedzieliśmy się historii tych ludzi.

Byli oni mieszkańcami dużej wsi, odległej od Poputni o 12 kilometrów. Kupili od nas kilka kuponów materiału na męskie koszule i na spodnie i obiecali przywieźć za to deski na prycze oraz mąki i kaszy jaglanej. Cztery szerokie, grube deski, przywiezione w przeciągu kilku dni, przypilowane i zestawione jak należy przez fachowców, stworzyły wspańnięte łóżko-pryczę, nareszcie prawdziwe, wysoko nad ziemią, na koziołkach, oraz dość długą ławkę i stołek. Na tym łóżku i na dwóch wielkich siennikach sypiało wygodnie cztery, mniej wygodnie – pięć osób. Był to jeden z najwspanialszych i najmądrzejszych zakupów naszej Mamy. Prycze służyły nam przez cały czas naszego pobytu na Syberii i jeszcze przed wyjazdem wymieniliśmy je na chleb na drogę.

Z tymi ludźmi umówiliśmy się – i w niedługim czasie wybrały się do nich Alina z Marysią. Wieś, do której przyszły, była duża, porządnie rozplanowana, z obszernym placem i skwerem pośrodku. Przy placu –

duży budynek szkoły z wysokim dachem, urzędy kołchozowe, siedziba rady gminnej, tak zwanego *sielsowietu*, i niewielki budynek przedszkola. Za domami – stajnie, obory, chlewy, spichrze, mleczarnia i wiatrak. Domy mieszkalne, zestawiane po dwa, wprawdzie z samanu, ale bardzo starannie wykonane, obejścia czyste i celowo zagospodarowane. Nawet ogródki przydomowe utrzymane porządnie. Łazienka, piekarnia, drogi, a także konie i bydło – wszystko nosiło piętno dobrej i celowej gospodarki. Różnice między tą wsią a Poputnią czy Awierjanówką były tak rzucające się w oczy, jakby ta wieś leżała nie tylko w innym rejonie, ale i w innym kraju.

Kołchoz ten było to *sielo* Južnoje (*kellerowskij rejon, kokczetaw-skaja obłast*), kołchoz imienia Kirowa pod nazwą *Tropinka Iljicza*. Zamieszkiwali je Polacy, stanowiący część wywiezionych na Syberię w 1936 roku (w liczbie 600 000) mieszkańców sowieckiej Ukrainy, z rejonów graniczących z Polską: z nad Zbrucza, z okolic Kamieńca Podolskiego, Winnicy, Żytomierza. Wywiezieni zostali w ramach akcji „zapewnienia bezpieczeństwa na obszarach przygranicznych” w razie ewentualnych pertraktacji Hitlera z rządem Polski o przepuszczenie wojsk niemieckich na sowiecką Ukrainę. Ludzi tych wywożono latem, po zniwach. Każda rodzina dostała wagon towarowy. Mogli zabrać konie, bydło, wozy, mniejsze maszyny rolnicze, żarna i cały ruchomy dobytek. Wywieziono ich do Północnego Kazachstanu i zostawiono na pustym stepie, z wytyczonym planem kołchozu.

Na teren przyszłej wsi Južnoje przyjechało kilkaset osób; pozostałych rozmieszczono na innych obszarach Kazachstanu. Dano im namioty i polecono budować domy z cegieł wykonanych własnoręcznie z gliny, zmieszanej z siewką i wodą i wysuszonych na słońcu. Takie cegły zwano tu *saman*. Po drzewo na konstrukcje dachowe i stolarkę trzeba było jeździć wołami do lasu oddalonego o 50-70 kilometrów. Budynki mieszkalne i pomieszczenia dla bydła ukończyli jako tako do listopada.

Zima rozpoczyna się w tym kraju zwykle w połowie października, w listopadzie są już mrozy i zawsze pada śnieg. W namiotach lub w jamach wykopanych w ziemi i przykrytych darnią, w których mieszkały rodziny w ciągu lata i jesieni, wymarły dzieci i starzy ludzie – została młodzież i ludzie w średnim wieku. Zmarłych chowano na cmentarzu założonym opodal wsi, na którym kobiety stoczyły milczącą, tępą, udęcącą walkę z władzami rejonowymi o ustawienie krzyża z Pasyjką, wyrzeźbioną w drzewie przez jednego z przesiedleńców. Krzyż stawiany w nocy, wykopywany był za dnia – i tak przez wiele tygodni – aż w końcu władze ustąpiły i krzyż został.

Do tego kołchozu na wiosnę 1940 roku przywieziono kilka polskich rodzin. Ludzie „miejscowi” zetknęli się po raz pierwszy od długiego czasu z Polakami z Polski, do której modlili się i tęsknili całymi latami. Los wygnańców z 1940 roku był we wsi Južnoje o wiele łżejszy niż we wsiach ukraińskich czy rosyjskich.

Alina i Marysia przyszły do domu tej kobiety, która nas odwiedziła tego pamiętnego dnia. Nazywała się Zofia Bogucka, jej mąż był brygadierem polowym w kolchozie, a piętnastoletni syn Zygmunt uczył się w mieście. Była to sympatyczna rodzina. Pani Bogucka była pogodna, dość powolna, zawsze uśmiechnięta i znakomicie gospodarowała razem z mężem na swoim niewielkim gospodarstwie. Mieli nie najgorzej urządzonego dom, oczywiście z klepiskiem zamiast podłogi, przyzwoite – jak na owe możliwości – użyteczne meble, ładną pościel. Rozbudowana część gospodarstwa chroniła dom od wiatrów w zimie i tak była pomyślana, że zapewniała łatwy dostęp do pomieszczeń dla bydła i urządzeń gospodarczych bez konieczności wychodzenia zimą na zewnątrz. Boguccy mieli dwie krowy, prosiaka, kilkanaście kur, dobrze zagospodarowany ogród i doskonale żarna. To urządzenie było w każdym gospodarstwie, uniezależniając mieszkańców od kaprysów wiatru i umożliwiając zawsze zmielenie nawet niewielkiej ilości ziarna.

Alina i Marysia wymieniły trochę ubrań na produkty i poszły zobaczyć wieś oraz poszukać przesiedlonych Polaków. Poznały wtedy panią Halę Garbarczykową, żonę kapitana z pułku stacjonującego w Łucku czy może w Równem na Wołyniu. Pani Hala była szczupłą, średniego wzrostu, bardzo zgrabną, o mocno opalonej teraz twarzy i uśmiechniętych oczach, w kącikach których potworzyły się zmarszczki, biegnące na skronie. Ubierała się stosownie do okoliczności w jakieś spódnice i bluzki, wiązała chustkę chroniąc włosy i głowę przed nadmiarem słońca, ale nawet w tym „zgrzebnym”, roboczym ubraniu jej ruchy, sposób chodzenia, pochYLENIE głowy zachowały wdzięk i elegancję, podkreślona jeszcze miłym sposobem bycia i uśmiechem. Przywieziono ją tu razem z matką, przerażoną i zatroskaną starszą panią, z dziewięcioletnią córeczką Irenką i siedmioletnim synem Jurkiem.

Rodzina ta mieszkała w typowej dla Jużnego chacie u samotnej kobiety, ale na ścianie glinianej izby – z jednym oknem i klepiskiem zamiast podłogi – panoszył się po królewsku przywieziony przez panią Halę rodzinny skarb – XVIII-wieczny gobelin. W pięknych, stonowanych zieleniach, szarościach i brązach przedstawiał jakąś pogodną, sielską scenę parkowo-łąkową, z wdzięcznymi postaciami ludzi w wytwornych strojach, z łaskawymi zwierzętami i prawie rajska roślinnością. Gobelin miał wymiary około 2 na 1,5-1,8 metra i obszyty był długą jedwabistą frędzlą. Przetrwał szczęśliwie całe sześć lat, troskliwie chroniony przez właścicielkę przed wilgocią i kurzem i wrócił z nią potem do kraju. Jedyne frędzle wymieniła pani Hala na pszenicę, w jakimś tragicznym momencie ratując rodzinę od głodu.

Którejś niedzieli Alina z Marysią odbyły inną atrakcyjną wycieczkę – w okolice kuszącej na horyzoncie Sopki. Dzięki Artaszestowi Tigranowiczowi odnaleźli nas Witek i Władek, i przyszli nas odwiedzić. Zaprosili nas do swojej wsi Zagradowka, leżącej nad słonym jeziorem, w

malowniczym otoczeniu u stóp góry. „Na oko” było do Zagradowki około 25 kilometrów, siostry wyszły więc przed wschodem słońca, aby dojść na miejsce przed największym upałem. Widziały wtedy niesamowite zjawisko – „podnoszenie się horyzontu”.

Liliowe światło wstającego dnia nasycalo się coraz bardziej różowością. Horyzont miał o tej porze kształt wklęsłej miski z podniesionymi brzegami. Przedmioty znajdujące się w ciągu dnia poza linią widnokregu ukazywały się nagle na jego krawędziach. W taki sposób wyłoniła się właśnie wieś Zagradowka z jej pięcioma wiatrakami i matową taflą jeziora, w tym złoto-różowo-liliowym świetle. Znikło to wszystko natychmiast po wschodzie słońca, a dookoła roztoczył się niezmierny step, pokryty trawą i barwnymi kwiatami, których kolory coraz wyraźniej wydobywało światło podnoszące się na niebie słońca. Zjawisko wyłaniania się przedmiotów zza linii horyzontu przed wschodem słońca obserwowaliśmy na Syberii jeszcze wielokrotnie. Widywaliśmy tu również odbijanie się w drgającym w czasie upału powietrzu oddalonych przedmiotów – domów i drzew – które przy zbliżaniu się do nich wracały do normalnej pozycji i wymiarów.

Wyprawa do Zagradowki była wspaniała. Matka Witka i Władka była gościnna i serdeczna, obaj chłopcy zaprowadzili Alinę i Marysię we wszystkie ciekawe, godne obejrzenia miejsca. Sopka, góra pochodzenia wulkanicznego, utworzona była u podstawy z doskonale widocznych warstw lawy, porośniętych bujną, piękną roślinnością; między innymi rosły tu ogromne rozchodniki. U stóp góry leżało jezioro tak słone, że w czasie letnich upałów sól zbierała się na przybrzeżnych kamieniach. Okoliczni mieszkańcy polewali kamienie wodą z jeziora i po jej wyparowaniu zbierali sól. Na brzegach występował też rodzaj bardzo białej, o niebieskawym odcieniu glinki, którą wydobywali, lepili z niej duże kule, suszyli na słońcu i sprzedawali w pobliskich wsiach do bielenia domów. Po drugiej stronie Sopki wznosiła się druga góra, z naszej Poputni niewidoczna. Obie góry i ich podnóża porośnięte były sosnowymi laskami i brzołowymi gajami.

W zielonym krajobrazie pomiędzy górami leżał Bajskłan – autentyczna wieś Kirgizów, nazywanych tu teraz Kazachami. Witek i Władek pracowali tu przy jakichś budowach i mieli dużo przyjaciół. Ponieważ było lato, wszyscy Kazachowie mieszkali w jurtach. Jurt było wiele. Starannie uplecione z gałązek ścianki o wysokości 2-2,5 metra, ustawione w kształt koła, nakryte były przemyślną, stożkową konstrukcją z żerdzi i gałęzi. Sylwetki jurt pozostawały w doskonałej harmonii z krajobrazem i zarysami niedalekich gór. Chodzące pomiędzy jurtami białe postacie mieszkańców potęgowały jeszcze egzotyczny nastrój obrazu, który idealnie odpowiadał encyklopedycznym opisom osiedli kirgiskich w sercu Azji.

Kobiety i mężczyźni ubierali się podobnie. Nosili szerokie białe szarawary i na nie długą, białą koszulę, której przód dla wygody i swobody ruchów zapychany był za pasek spodni. Na to kładli długą, zwykle

czarną kamizelę, u kobiet zapinaną na wielką ilość sprzączek i błyszczących guzików – często pieniążków – których dużo naszytych było również dla ozdoby. Wśród tych pieniążków trafiały się polskie przedwojenne srebrne dwu-, pięcio- i dziesięciozłotówki. Małe dzieci umieszczano na plecach matek i podwiązywano płócienną płachetką; ich czarnowłose główki z płaskimi noskami i bystrymi oczkami wyzierały zza pleców rodziców. Na głowach nosiły kobiety wymyślne nakrycie: rodzaj welonu, połączonego z „podwiką” średniowieczną. Strój ten był dla nich bardzo korzystny, ukazywał bowiem jedynie równo rozczesane na boki pasma czarnych włosów nad czołem i ciasno objętą przez welon twarz. Wszystkie kobiety trzymały w rękach wrzeczona, a za paskiem miały zatknięty kłak waty lub wełny. Chodząc, siedząc czy mówiąc kręciły grubsze lub cieńsze nitki. Tkwały z nich potem wąskie paski materiału o pięknych wzorach, na prymitywnych, ale precyzyjnie wykonanych małych warsztatach tkackich, których kilka stało między jurtami. Mężczyźni nosili na głowach turbany, a na koszulach także czarne kamizelki, dłuższe jednak i z mniejszą ilością ozdób niż u kobiet.

Wszyscy Kazachowie palili fajki na długich cybuchach. Mieli bardzo wystające kości policzkowe, skórę o odcieniu żółtawo-brązowym, bystre oczy patrzące spod turbanu i śmieszny, rzadki zarost. Wąsy zaczynały im się na poziomie kącików ust i cienkie ich pasemka zwisały po obu stronach brody, tworząc wraz z jej zarostem rzadką kitkę włosów. Pomimo to starzy Kazachowie wywierali wrażenie dostojeństwa i powagi. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni mieli delikatne i smukłe dłonie.

Witek i Władek byli w Bajskłanie bardzo zadomowieni. Znając już trochę wyrażen w tubylnym języku, porozumiewali się nawet z kobietami. Z mężczyznami byli „za pan brat”. Największego ich przyjaciela Kindżibułata – o zabawnym zaroście i kaczym chodzie na pałakowatych nogach – przywoływali przeraźliwym gwizdem. On przybiegał z wyrazem szczęścia malującym się na żółtawym obliczu, a ciągnie go za brodę i wąsy przyjmował jak najmiłszą pieczętę. Ze strony chłopców były to zresztą wyłącznie wyrazy uczucia i gesty przyjaźni. Witek i Władek, Alina i Marysia zostali zaproszeni do jurty Kindżibułata na *czaj s masłom*.

Wnętrze jurty wywierało wielkie wrażenie: ściany, plecione z gałęzi, wewnątrz wyłożone były pięknymi wojłokami koloru beżowego lub szarego, z aplikacjami z czerwonego sukna, tworzącymi przedziwną plecionkę o zawiłym, abstrakcyjnym rysunku. Dach jurty nakryty był skórami zwierząt w ten sposób, że w środku pozostał otwór. Na ziemi leżały grube wojłoki, poduszki i pęki skór, służące do siadania i do spania. Pod otworem na środku jurty paliło się, stale podsycane, małe ognisko; cienka stróżka dymu unosiła się do góry, podsuszając i przydymiając kawały baraniego mięsa, wiszące na żerdziach i drażkach pokrycia dachowego. Pod ścianą, obok stosu poduszek i wojłoków, stało malutkie, drewniane łóżeczko, przemyślnie wykonane i – sądząc z wyglądu – liczące sobie co

najmniej pół wieku. Leżał na nim mały synek Kindzibułata – duma i nadzieja rodziny.

Matka przewijała właśnie dziecko, goście mieli więc możliwość zobaczenia tej jedynej w swoim rodzaju ceremonii. Niemowlę, zupełnie nagie, było owijane od stóp do głowy w pieluszki, z wyciągniętymi rączkami i nóżkami – na kształt mumii. Wysoko pomiędzy nóżki wkładano mu kostkę szpikową w kształcie rurki. Był to rodzaj „kanalizacji”, gdyż koniec tej rurki wychodził na zewnątrz przez siano ułożone w łóżeczku i odprowadzał nadmiar wilgoci, odejmując wiele pracy matce. Kostka owa była zbrązowiała od wieloletniego używania. Owinięte w pieluszki dziecko było następnie ciasno okręcane rodzajem bandaża i układane równo w swoim wąskim łóżeczku, przykryte miękkim kawałkiem wołoku, i jedyne co mu pozostawało – to spać.

W środku jurty stał okrągły, niski stolik z samowarem i małymi, porcelanowymi miseczkami, ozdobionymi pięknym rysunkiem. Teraz stolik wysunięto, dla gości przygotowano wołoki i skóry. Żona Kindzibułata nastawiła samowar i po wymianie obowiązujących ukłonów i gestów grzecznościowych goście usadowili się dookoła stolika. *Czaj kir-picznyj*, sprasowany w cegielki, gospodyni porąbała na drobne kawałki i włożone do porcelanowego czajniczka zalała gorącą wodą. Potem lała nam ten aromatyczny napój o mocnym, czerwono-brązowym kolorze do porcelanowych miseczek i dokładała do każdej po kawałku masła, biorąc je palcami. Do herbaty podała pieczone w żarze ogniska płaskie placki z pszennej mąki oraz kawałki dziwnego, szaro-różowego sera z koziego mleka. Kindzibułat mówił po rosyjsku, z jego żoną wymienialiśmy jedynie gesty i uśmiechy uprzejmości i podziękowań. Potem poszliśmy do innych jurt zobaczyć, jak robią *ajran* – rodzaj jogurtu o ostrym, szczypiącym smaku, oraz zostaliśmy zaproszeni na prawdziwy *kumys*, który tu nosi nazwę *szampan*, jest robiony z mleka kłaczy i przechowuje się go w skórzanych workach, w których on dojrzewa.

Wizyta w Bajskłanie przeciągnęła się do późnego popołudnia, toteż mowy nie było o powrocie tego samego dnia do domu. Alina i Marysia przenocowały u przyjaciół i o wschodzie słońca wyszły, odprowadzone przez Witka, Władka i ich matkę do ostatnich domów wsi. Zgradowka ze swoimi wiatrakami, drzewami i płótkami przy białych domach przypominała polską wieś – serca im ścisnęła tęsknota i poczucie oddalenia. Droga wiodła przez piękny, wiosenny step, pełen kwiatów i śpiewu skowronków, tak że szybko przebyły dzielące je od domu w Poputni 25 kilometrów.

Pewnego popołudnia przyszła do nas – a właściwie przywlokła się – pani Stasia z Rysiem na ręku. Oddała Rysia któregoś z nas i ze szlochaniem rzuciła się w objęcia Mamy. Wraciała z Jawlenki, gdzie pochowała swoją malutką córeczkę. Opowiedziała nam, że kiedy choroba się nasiliła, wzięła dzieci na ręce i poszła z nimi 65 kilometrów na piechotę przez

step, do lekarza. Dowlokła się tam, ale ratunku dla córeczki i tu nie znalazła. Pani Stasia pracowała w kuchni szpitalnej, zmywając naczynia i podłogi, aby być bliżej dziecka. W pierwszą rocznicę swoich urodzin i w dzień swoich imienin, 26 lipca, Ania otworzyła oczki i powiedziała: „Mama!” – i opuściła świat, który ją zdążył tak wymęczyć. Matka zdobyła gdzieś drewnianą skrzynkę, włożyła do niej swoją malutką męczenniczkę i pochowała ją sama na miejscowym cmentarzu. Po kilku dniach, ochłonawszy trochę, wzięła Rysia na ręce i wracała do teściowej i do pozostawionych rzeczy. Miała zamiar przenieść się do Jawlenki, gdzie był szpital, lekarze i więcej możliwości znalezienia pracy. Po tej morderczej wyprawie nogi i ręce miała strasznie umęczone. Ta młoda kobieta, lekarz-dentysta, wychowana i żyjąca w dobrobycie – teraz załamana i wychudła, z nogami pokrytymi węzłami potwornych żyłaków – z trudem mogła przypominać elegancką panią doktor, jaką znaliśmy przed wrześniem 1939. Odprowadziliśmy ją do Nowouzienki, do jej domu, niosąc Rysia, kiedy mu się nóżki zmęczyły. Przed jej przeprowadzką do Jawlenki Alina odwiedziła ją kilkakrotnie i pomogła jej w pakowaniu rzeczy przed wyjazdem.

Lato było w pełni i rozpoczynało się robienie kiziaku. Był to bardzo ważny okres w życiu tutejszych ludzi. Ziemia nie potrzebowała nawożenia, więc nawóz spod krów i świń wraz z ludzkimi ekskrementami z całej zimy, zmieszany ze słomą podścielaną krowom, wyrzucano na stertę i polewano wodą. W czasie największych upałów rozrzucono ten nawóz, aż utworzył płaski krąg, lano na niego wodę, mieszano dokładnie nogami i widłami wrzucano do zmoczonej drewnianej formy, kształtującej tę masę w dwie duże cegły o wymiarach 40 na 20 i 12 centymetrów. Układano je na trawie dookoła domu. Suszyło je słońce i wiatr. Trzeba było je przewracać i układać w przewiewne sterty. Kiedy wyschły, znoszono je pod dach. Czym więcej ich było koło domu, tym większa pewność ciepła w zimie. Był to w tutejszych warunkach bardzo dobry opał. Po wysuszeniu nie wydzielał w czasie palenia przykrego zapachu, a wartości ogrzewcze miał zbliżone do torfu. Ogarniało nas przerażenie na myśl, że mamy wykonywać tę obrzydliwą pracę. Już w jakiś sposób byliśmy uodpornieni, gdyż głównym opałem w tym kraju był szybko wysychający nawóz bydlęcy, zbierany na pastwisku, ale drętwiała nam skóra na myśl o wejściu nogami w to paskudztwo... i potem o uklepywaniu rękami tej masy w formach.

Przyszła nam znowu z pomocą nieoceniona Osipowa: zaproponowała, żebyśmy jej pomogły przygotować kiziak na zimę. Poszły więc Marysia, Jasia i Zosia. Osipowa była tak wyrozumiała, że nie śmiała się ani z ich łez, ani z objawów odrazy, jaka je napełniała – szczególnie w czasie jedzenia posiłków rękami cuchnącymi pomimo długiego mycia. Potem i do tego przyzwyczailiśmy się i tego lata w Poputni stanowiłyśmy ekipę wykwalifikowanych producentów kiziaku. Podczas tych prac zarobiłyśmy kilka setek drogocennych cegiełek.



Doświadczenia „kiziakowe” przydały się nam, kiedy dostałyśmy propozycję pracy przy produkowaniu *samamu*. Przedsiębiorcą był Zawadzki ze wsi Južnoje, który nie wstąpił do kołchozu, a będąc w tym społeczeństwie parszywą owcą, jako indywidualista – *odinolicznik* – angażował się do różnych prac w okolicy: kopał studnie, robił *saman*, budował chlewy, budował domy, nakuwał kamienie młyńskie itp. W domu swoim przechowywał papiery szlacheckie od króla Władysława IV, miał obraz Matki Boskiej z Kalwarii Zebrzydowskiej i polską książeczkę do nabożeństwa z XIX wieku. W naszym kołchozie zawarł umowę na wykonanie *samamu* do budowy nowej obory i szukał ludzi do pomocy, obiecując nieźle zapłacić. Ponieważ „poligon produkcyjny” zakładano przy „naszej” studni z żurawiem, wynajęłyśmy się – Jasia (15), Zosia (15) i Marysia (18 lat) – do tej pracy.

Wbito wielki pal w ziemię, obrysowano krąg, usunięto z niego darninę. Do pala na przegubie zaprzęgnięto dwa woły ciągnące pług i cały ten krąg ziemi zaorano na głębokość lemiesza. Teraz lano wodę ze studni wielkimi, ciężkimi wiadrami. Sześćset wiader. Cały czas wodę z zaoraną ziemią miesiły woły. Następnie wsypano w to dwa wozy sieczki i znów miesiły to woły, ciągnąc teraz tak zwany rak, czyli krótką belkę z nabitymi na niej łokciowej długości drewnianymi kolcami. Wciąż w tę mieszaninę lało się wodę. Ręce nas od tych okutych wiader bolały i marzły, gdyż mimo lipca i wielkich upałów woda w studni była lodowato zimna. Kiedy już mieszanina była jednolita, widłami narzucało się ją na wózek, którym wół rozwoził ją na „stanowiska produkcyjne”, gdzie kobiety wrzucały tę glinę do mokrych form ułożonych na trawie. Dokładnie udeptywały nogami i podnosiły formę. Na trawie zostawały dwie cegły wielkości około 50 na 25 i 13 centymetrów. Wysuszone układało się w sterty.

Najcięższymi pracami w całym tym procesie wytwórczym było: wydobywanie ze studni i wylewanie wody, wyrywanie widłami wymieszanej gliny ze słomą z masy – szczególnie wtedy, kiedy warstwy zeszły na niższe poziomy jamy – wyrzucanie gliny z jamy na wózek oraz układanie cegieł w sterty. Zwykle wykonywali te prace mężczyźni, ale my – nie mając żadnego doświadczenia, a w perspektywie niezły zarobek – zgodziłyśmy się do tej roboty. Niestety, Zawadzki okazał się zwykłym oszustem, mimo swoich „szlacheckich papierów”, i za taką ciężką, wielotygodniową pracę trzech dziewcząt nie zapłacił nam ani grosza. Nie pomogły żadne upominania się ani chodzenie do niego – po prostu nie zapłacił! Myśmy natomiast przypląciły to zdrowiem. Wszystkie dostałyśmy na rękach i nogach bolesnych wrzodów, które nas potem nękały całymimi miasmami, a biedną naszą Zosię przykuły do łóżka na pięć lat.

Zbliżała się jesień. Przed nami – perspektywa spędzenia zimy w malutkiej izdebce, bez pieca, w wielkiej ciasnocie. Trzeba było pomyśleć o nauce chociaż dla Tereni i Antka. Toteż Mama zaczęła myśleć o przeprowadzce. Najbardziej odpowiadałoby nam przeniesienie się do Južne-

go, ale kołchoz ten leżał w innej „obłasti” i nawet wyprawy w celach handlowych były nielegalne. Pozostanie w Poputni było też niemożliwe. Mama wyprawiła się do Awierjanowki – głównej wsi naszego kołchozu – i znalazła tu dla nas „przestrzeń życiową”. Była to letnia kuchnia u towarzyski Paraski Barabanowej, *zaw-choza Me-Te-Fe*, czyli *zawiedujuszczey chozajstwem mołoczno-towarnoj fiermy*, czyli dyrektora obory i przyległości.<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Jest to przedruk z książki: G. Jonkajtys-Luba (Maria Januskiewicz) „...was na to zdieś priwiezli, sztoś wy podochli”. *Kazachstan 1940-1946*, Lublin 1999, Wydawnictwo „Norbertinum” seria wydawnicza „Z nieludzkiej ziemi”. Publikowany fragment pochodzi ze stron: 13-46. Redakcja dziękuje Autorce za zgodę na dokonanie przedruku, natomiast wydawnictwu „Norbertinum” za udostępnienie elektronicznej wersji tego tekstu. Pierwsze wydanie tej książki ukazało się w Instytucie Literackim w Paryżu w roku 1982, dzięki redaktorowi Jerzemu Giedroyciowi.

---

ZOFIA HELWING

## A WOKÓŁ KAZACHSTAŃSKI STEP...

*Homo Homini lupus est.*

Czy zawsze człowiek człowiekowi jest wilkiem? Na pewno nie zawsze, i to rodzi nadzieję, że kiedyś ludzie całego świata staną się przyjacielscy, wyrozumiali i tolerancyjni, wspomagający się nawzajem... ale bywają takie okresy w różnych geograficznych częściach świata, że te straszne słowa stają się prawdą zrodzoną przez wzgardę do człowieka.

W tym właśnie przerażającym okresie znaleźliśmy się, pod przymusem deportacyjnym, w tej części świata, gdzie wzgarda dla człowieka i wszechobecny strach była codziennością, gdzie zapadały wyroki bez sądu a śmierć dzieliła się na natychmiastową – strzałem w tył głowy – lub rozłożoną na lata ciężkiej katorgi w łagrach, w licznych miejscach przymusowej pracy rozsianych po rozległych terenach ZSRR.

Strach noszący w sobie cechy wilcze. On coś wie, ale boi się mówić, a zapytany najczęściej odpowiada, i to rozglądając się wokół ... „nie znaju” – nie wiem. Odpowiada tak, gdyż nie jest pewien tego w jakim celu pytanie zostało skierowane, czy nie ma w nim ukrytej myśli. I tak utarło się powiedzenie, że wokół nas to same „nieznajki”, to znaczy ci, którzy nigdy, niczego nie wiedzą, bo tak jest bezpieczniej.

Strach. Tym strachem była również ogarnięta młoda pracownica Ambasady Polski w Kujbyszewie, dokąd przybyliśmy jesienią 1942 roku, jadąc przymusowo do Azji. Zadaliśmy proste pytanie... „dlaczego”? Dlaczego nas Polaków, zwolnionych z łagrów jesienią 1941 roku na mocy układu między rządem Polski w Londynie a rządem ZSRR w Moskwie, ponownie deportuje się do Kazachstanu? Nie odpowiedziała, a proszona o umożliwienie kontaktu z Sekretarzem Ambasady, który na pewno będzie znał odpowiedź, wyjaśniła, że chwilowo jest nieobecny. W zamian za odpowiedź na pytanie dlaczego, ofiarowała nam konserwy z końskim mięsem, słodkie mleko w puszkach oraz różną odzież a nawet mundury angielskie i starała się być bardzo serdeczną i gościnną, ale nam wydawało się, że jedynym pragnieniem tej młodej osoby jest jak najszybciej

sze pożegnanie nas i nie dopuszczenie do ponownego zapytania – dlaczego – a widoczny w jej oczach strach stawał się coraz większy.

Bała się, dlaczego? Czyżby i jej groziła ponowna deportacja? Co zawiśło nad Polakami? Nie znaleźliśmy odpowiedzi, nie dysponowaliśmy żadnymi wiadomościami ponieważ na żaden list kierowany do Ambasady nie otrzymaliśmy odpowiedzi, mimo niezbyt dużej odległości jaka nas dzieliła z Kamyszyna i sąsiadujące kołchozy z Kujbyszewem, dokąd ślaliśmy listy, od momentu przyjazdu z północnego archangielskiego łagru w październiku 1941 roku. Nie zadawała nas ta wielka darowizna, choć była wielce potrzebna, gdyż pragnęliśmy nie tylko wiadomości, lecz wsparcia duchowego, umocnienia nas w nadziei, że Polska o nas pamięta i w każdej sytuacji będzie z nami. Uzyskaliśmy natomiast odpowiedź na nie zadane pytanie, ale jakże okrutną i złowieszczą, że mając kartę deportacyjną do Kazachstanu musimy jak najszybciej wykonać to polecenie, choć już nie pod bezpośrednim nadzorem NKWD, jak to było w roku 1940. I w tym momencie odcuiliśmy wokół siebie niewidzialną, zaciskającą się pętlę ponownego, strasznego zniewolenia i wielkiej niepewności i to nie tylko naszej, ale tej urzędniczeki z Ambasady Polski.

Baliśmy się czerwonej władzy i drogi ku zbliżającej się Azji, zapisanej w naszej pamięci zesłaniami dziadów walczących o niepodległość Polski. Czelabińsk. Przesiadka. Udajemy się w kierunku Kustanaj – Karaganda. Przypatrujemy się pasażerom, których bilety sprawdzane są przez bardzo uważne konduktorki. Wszystkie miejsca objęte są rezerwacją – miejscówkami. Uciekinierzy z europejskiej części ZSRR pokrzykują donośnie, z jeszcze większym hałasem zajmują wyznaczone miejsca, kłócąc się o każdy wygodniejszy kątek, a szczególnie o górne półki, najwygodniejsze przy długich przejazdach. Są i inni pasażerowie, którzy wzbudzają w nas szczególne zainteresowanie. Wchodzą, mimo tłoku, wręcz majestatycznie, spokojnie i cicho. Mężczyźni wchodzą pierwsi, ich twarze są poważne, nieprzeniknione. Za nimi wsuwają się, jest to bardzo dobre określenie, bezszelestnie kobiety. Mężczyźni ubrani są w długawe kapoty samodziałowe o brunatnej barwie, głowy zdobią ogromne futrzane czapki z kolorowym denkiem, nie zdejmowane w wagonie, a na lekko krzywych nogach mają miękkie buty o długich cholewach. Kobiety ubrane są bardzo kolorowo w długie spódnice, spod których wystają nogawki ni to spodni, ni to szarawarów, ładne, bogato wyszywane serdaki, kolorowe chusty spadające na ramiona, obwieszane naszyjnikami wykonanymi ze srebrnych monet o różnej wielkości. Włosy, tak jak mężczyźni mają kruczoczarne, długie, splecione w liczne i cienkie warkoczyki. Bez słowa zajmują miejsca wskazane im przez mężczyzn. Przyglądamy się uważnie. Tak konduktorka, jak i ci „inni” mają lekko skośne oczy, trochę wystające kości policzkowe, trochę spłaszczoną twarz i są mniej jak średniego wzrostu. Azjaci! Rdzenni mieszkańcy tych ziem za Uralem, dokąd i my podążamy. Narasta gwar w dużej grupie uciekinierów. Słychać płacz dzieci. Pociąg rusza. Rozpoczynamy rozmowę, kątem oka patrząc na bliskich sąsiadów z ław i górnych półek. Milczą. Siedzą patrząc przed siebie, a ich spojrzenie nic nie mówi.

Za oknami pofałdowana równina. Nie widać drzew ani krzewów, ale ta zdawało by się martwa, pofałdowana równina, rusza się. Coś pędzi, przybliża się do torów i znów się oddala. Jedna kula, dwie, jest ich coraz więcej. Pędzą z pociągiem w zawody, toczą się złocistym kłębkim i nagle zatrzymują się i widać badyle wysokie, jak stojący w brąz zakuci rycerze, powodując, że teren który wydawał się monotony i płaski, zdaje się opadać i wznosić, a może faktycznie opada i wznosi się nierównościami terenu? Głośno wyrażany swój zachwyt, czym zwracamy uwagę sąsiadów, zajętych do tego czasu sobą czyli milczeniem. Teraz wyraźnie zajęli się nami. Patrzą uważnie, taksują nas wzrokiem i dalej milczą. A my gadamy. Staramy się zgadnąć z czego są te pędzące kule i jaka roślina przeradza się w rycerzy. Nagle wyrasta przed nami mała postać skośnookiego staruszka zagadującego... – Twoja nie Ruśki? – a pytanie wyraźnie jest skierowane do młodego Mirka.

– Nie! Ani moja, ani nasza nie być Ruśki – odpowiada spokojnie.

Na pewno ta rozmowa potoczyłaby się dalej, gdyby nie to, że z ławki sąsiadów zrywa się młody człowiek i przysiadając do Mirka wciska mu kawałek papieru prosząc – napisz coś, napisz po swojemu! Zdziwiony Mirek trzyma kartkę zastanawiając się, co napisać, gdy szybka jak zawsze Mańka chwyta ołówek i pisze dużymi literami: jesteśmy Polakami. Młody zabiera kartkę i biegnie do swoich wraz ze staruszkiem. Pochylają się nad kartką, coś szybko mówią dziwnie brzmiącym językiem. Po chwili podrywają się i młody i staruszek i jeszcze kilku mężczyzn, starając się zmieścić między nami, a staruszek woła – wy nasi..., wy swoi!

Właściwie w podróży można wszystkiego się spodziewać, nowych znajomości, nowych przygód, ale żeby Azjaci mówili do nas, że jesteśmy s w o i, tego już było za wiele. Nasze zdziwienie było wymowne. Głos zabrał staruszek i ten młody Kazach. I tak słowo po słowie, dowiedzieliśmy się, że nasz alfabet łaćński, to dawny, przed wprowadzoną cyrylicą, alfabet Kazachów, jakim posługiwali się dziadowie, a czasem nawet ojcowie. Słuchamy uważnie starając się zrozumieć o co chodzi tym miłym Azjatam, tak opanowanym, a teraz tak poruszonym. Chcąc upewnić nas w swych wypowiedziach piszą jakieś słowa podsuwając Mirkowi oraz dodając, że nasze języki na pewno różnią się między sobą, ale słowa pisane są takimi samymi literami. Kiwamy ze zrozumieniem głowami. Rozumiemy się bez słów i to właśnie podkreśla staruszek dodając, że chociaż nasze języki są różne to jednak jesteśmy braćmi, mamy takie same dusze i na pewno te dusze spotkają się razem tam..., a kończąc pokazuje błękit nieba za oknem. Widocznie uznał stary Kazach, że wszystko już zostało powiedziane, gdyż uniósł się, podszedł do górnej półki zajętej przez kobiety i ściągnął skórzany bukłak. Wyraźnie zadowolony podszedł do pana Michała, najstarszego z naszej grupy, wyjął skórzany czopek, podniósł bukłak do ust, pociągnął a następnie podał naszemu, jak uznał, przywódcy.

Bez mrugnięcia powieką pociągnął pan Michał i oddał gajowemu Stanisławowi, by ten z kolei podał Mirkowi, a Mirek po głębokim połknięciu nieznanego płynu, podał bukłak młodszemu Kazachowi. Kilka razy pociągali, wykluczając naturalnie kobiety, na które nawet nie spojrzeli. Byłam pewna, że popijają kumys – znany jedynie z kart czytanych opowieści.. ale jednak znany. A potem rozpoczęły się opowieści przekazywane przez naszych mężczyzn a następnie Kazachów. Interesowali się wszystkim, wiedząc, że teraz w Polsce jest Germaniec a my jesteśmy w niewoli. Ale najdziwniejsze w tych opowieściach było to, że oni siebie również uważali za ludzi pozbawionych wolności własnego kraju a Rosjan traktowali jak okupantów. Stwierdzali, że jesteśmy ubożsi, gdyż kraj nasz nie posiada stepów, które w nas wzbudzały załknienie. Wiedzieli, że Polacy kochają konie, tak jak oni i że na naszych pastwiskach wypasają się owce, trochę inne od miejscowych.

Gdy już wiedzieliśmy wiele o sobie, Kazachowie zainteresowali się dlaczego tułamy się po obcym kraju i dlaczego jedziemy do Kazachstanu. Smutna to była opowieść, poczynając od września 1939 roku, kończąc na deportacji w roku 1940 i katorżniczej pracy w łagrach, aż po dzień nadziei, dzień amnestii i układu Sikorski – Majski. Zastanawiali się Kazachowie dlaczego nasze władze są w obcym kraju i tam walczą, a dlaczego nie na miejscu, we własnym domu i zaraz dodawali, że oni nie opuszczają swojego kraju, że męczą się, są przepędzani z pastwisk, które wiekami należały do nich, oraz są zapędzani do kołchozów i zmuszani do zmiany bycia i życia. Ale są i stepów nigdy nie opuszczają, dodając natychmiast: „chyba że pod przymusem, jak wy!...”

Doradzali nam albo pozostanie w Atbasarze, dokąd mieliśmy nakazany wyjazd i zameldowanie się w NKWD albo też udanie się do kołchozów, gdzie zawsze jest trochę więcej artykułów żywnościowych, uprzedzając jednak, by starać się o wyjazd do kazachskich kołchozów, a nie kołchozów tzw. odszczepieńców (odszczepieńcami nazywali dobrowolnych osadników z czasów carycy Katarzyny II Wielkiej, kiedy to Rosjanie i Ukraińcy przyjeżdżali i otrzymywali duże nadania najlepszych ziem, położonych nad rzekami, źródłem życia w suchym Kazachstanie. Nie odradzali natomiast pobывania między przesiedlonymi w latach trzydziestych również Rosjanami a nawet Polakami, o czym wyraźnie powiedział staruszek. – To dobrzy ludzie. Dużo przeszli. Żyją z nami w zgodzie – zakończył – i natychmiast dodał, że nadszedł czas na posiłek.

Jak zawsze szybka Mańka zeskakuje z półki z węzełkiem w rękę i biegnie do konduktorki, w której służbowym przedziale mieści się podręczna kuchenka. Po chwili zapach angielskiej dobrej herbaty, podarowanej nam w Ambasadzie, wije się między półkami, a dodać wypada, że herbata jest wielkim rarytasem u Kazachów. Mirek starannie kroi puszkowe końskie mięso, też o smakowitym zapachu, a stary Kazach końcem kindżału wskazuje na kawałki i pyta – *czuszka?* (wieprzowina) – nie! konina – szybko odpowiada Mirek, zapraszając do poczęstunku. Częstują

się mężczyźni a kobiety, tak nasze jak i sąsiadki, przygotowują przy pomocy konduktorskiej kuchenki obiad.

Pociąg pokonuje kilometry, zatrzymuje się na stacjach. Wsiadają jedni, wsiadają drudzy i tak powoli zniknęli europejscy Rosjanie a ich miejsce zajęli skośnoocy Kazachowie. Nas, a właściwie mnie, męczy pytanie, czy ta duża grupa, już z nami zaprzyjaźniona to rodzina? a jak rodzina, to gdzie mieszka? może w Atbasarze? Proszę pana Michała o pomoc w rozwiązaniu zagadki. I tak dowiadujemy się, że w pojęciu Tego, co jest nad nami, to cała grupa, ba, nawet ci obecni w wagonie, to wielka rodzina Kazachów. ale staruszek doskonale wie, że pytamy o poznanych towarzyszy podróży. I tak dowiadujemy się, że młode kobiety to córki, młodzi mężczyźni to zięciowie, a kolejni, również biorący udział w rozmowach, to kolchoźnicy spod Buchary. Wszyscy jadą do Akmołańska (obecna Astana – stolica, poprzednio Akmoła) by tam przesiąść się i jechać dalej, jedni na Pawłodar, inni na Karagandę. Szkoda, że droga nasza dobiega kresu. Zbliża się Atbasar.

Żegnamy miłych znajomych, żegnamy jak przyjaciół, żegnamy ludzi, którzy przybliżyli nam duszę Kazachów, wyciszyli lęk przed nieznaną Azją, dali wskazówki rozpoznawania ludzi. Atbasar. Mała, drewniana, nieprzytulna stacyjka. (Z uwagi na przyjazd pociągu w poczekalni, przy pustym bufecie można zaopatrzyć się w *kipiatok* – wrzątek wydawany bezpłatnie.) Obowiązkowe zameldowanie przybycia grupy zesłańców w miejscowym NKWD i uzyskanie zgody na przemieszczenie się do pobliskiego kolchozu.

Wieś jak wieś, a jednak inna. Nie ma w niej radości i krasy wsi nadwołżańskiej. Nie ma kolorowych ogródków przed domami, nie ma ścian kolorowych upiększanych przez wiejskie dziewczęta malowanymi z kolorowej gliny. Chaty otoczone są płotami, które sięgają wysoko, podtrzymując na sobie płaskie dachy. Nawet poszczekiwanie psów nie wydaje się wesołe.

Przewodniczący kolchozu szybko rozdziela przybyłych robotników do poszczególnych chat, oznajmiając gospodyniom, że nakazem wprowadza sublokatorów – robotników kolchozowych. Gospodynie nie są tak radosne jak na Powołżu. Owszem, nawet pytają, ale bardzo powściągliwie, z zaleknieniem rozglądając się wokół, a same bardzo niechętnie mówią o sobie. Mężczyzn prawie nie widać pod żadnym dachem. Zostajemy oprowadzeni po gospodarstwie, które składa się z kilku owiec, gęsi, kur i koguta. Na pytanie dlaczego to wszystko mieści się pod wspólnym dachem nie dopuszczając świeżego powietrza do domowej sionki, uzyskujemy krótką odpowiedź, że gdy zadmie albo piachem, albo co gorsza śniegiem i mrozem, to nikt nie myśli o świeżym powietrzu, gdyż ogólny dach chroni nie tylko ludzi i ich domostwo, ale również bydło.

Temperatura gwałtownie spada, zaczyna sypać śnieg sypki, igiełkowy, a wiatr wciska mróz odczuwany aż do kości a my odczuwamy do-

broć osłoniętych dachem podwórek i zapoznajemy się z *kiziakiem*” jedy-  
nym paliwem na stepie, sporządzonym z krowiego (przeważnie) łąjna z  
dodatkiem stepowej roślinności, które przygotowują kołchoźnicy od wio-  
sny do jesieni. Łajno zbierane przez całą zimę i inne dni miesza się z su-  
chymi, stepowymi roślinkami a następnie po dodaniu wody ugniata się  
bosymi nogami aż do otrzymania jednolitej konsystencji. Następnie wy-  
rabia kostki ustawiane na ziemi i suszone przez bardzo mocne letnie  
słońce. Wysuszone, zostają ułożone w przewiewne przyzmy w najdalszym  
kącie podwórza, odgrodzonym przed inwentarzem łąjącym wszędzie, za-  
bezpieczonym dachem przed wpływami atmosferycznymi. Podpałką do  
tego niecodziennego paliwa są kruszynki łąjna cielecego, które zapalają  
się natychmiast i palą jasnym, niebieskim płomieniem jak spirytus, zaj-  
mując ogniem układane ostrożnie *kiziaki*.

Praca staje się coraz cięższa. Monotonne i niedostateczne odżywianie  
wpływają coraz bardziej na osłabienie organizmu. Z trudem porządkujemy  
stajnie, obory i zagrody z owcami i z wielką obawą wyruszamy saniami w  
step po słomę, gromadzoną w ogromnych stogach. Obawa ta rodzi się z  
dwóch powodów. Osłabieni chętnie siadamy na sanie a wówczas może nam  
grozić zamarznięcie, a więc czuwamy i wleczone przy wołach lub ko-  
niach. Drugim powodem jest spotkanie ze stepowymi wilkami, które w zi-  
mie przeważnie kończy się rozszarpaniem tak ludzi, jak i zwierząt, przed  
którymi ostrzega matka naszej gospodyni, która pod nieobecność córki bar-  
dzo chętnie z nami rozmawia. Dzięki jej szczerości dowiedzieliśmy się, że  
mieszkamy we wsi ukraińskiej, tak zwanych „odszczepieńców”, przed któ-  
rymi ostrzegli nas zaprzyjaźnieni Kazachowie z wagonu.

Opuszczamy niegościnnie kołchoz i ponownie meldujemy się w  
NKWD, otrzymując przydział nie tylko pracy, ale i przydział kąta pryczy  
w baraku, zasiedlonym przez Polaków jeszcze w lutym 1940 roku. Na-  
rzekają na życie, ciężką pracę i niezbyt przyjazne, a często złe, stosunki z  
miejscową ludnością – Kazachami. Nie jesteśmy w stanie zrozumieć tej  
wrogości, a nasi sąsiedzi barakowi kładą to na karb wielkiej hardości  
tego narodu. Niedostateczna (jak zawsze) ilość przydziałowej żywności  
zmusza do poszukania możliwości zamiany ubrania, bielizny itp. na  
mąkę, suchary, może mleko, ale nasi sąsiedzi odradzają, gdyż Kazacho-  
wie nie wchodzi w żadne układy, czy też rozmowy z zesłańcami. a żyw-  
nością dysponuje tylko ludność miejscowa, to jest Kazachowie.

Przy niskim płocie moja mama życzliwie pozdrawia młodą Kazasz-  
kę prowadzącą za rękę chłopaczką w wieku ok. 10 lat, dodając, że dziec-  
ko na pewno idzie ze szkoły i że mama jest nauczycielką, więc chętnie  
chciałaby porozmawiać na temat poziomu nauczania. Kazaszka wyraźnie  
jest zdziwiona, lecz grzecznie odpowiada i po sekundzie wahania zapra-  
sza nas do zabudowania. Aromatyczna herbata, bardzo dawno nie pita,  
doskonałe małe, pszenne placki i... rozmowa, rozmowa... na tematy  
szkolne i na tematy życiowe i wreszcie pytanie „skąd jesteście i kim je-  
ścieście...” Zdziwienie pogłębia się, gdy młoda kobieta dowiaduje się, że



jestemy Polakami zesłanymi z naszego kraju do obozów przymusowej pracy rozsianych po licznych krajach ZSRR. Przyznaje, że Kazachowie uznawali Polaków za Rosjan, którzy za różne przewinienia dokonane w europejskiej części ZSRR zostali zesłani do Kazachstanu i automatycznie traktowali jak wrogów, wiedząc od pokoleń, że ich Wielki Kazachstan znalazł się w niewoli za sprawą Rosjan, wraz z narzuconym, obowiązującym językiem rosyjskim, którym również posługiwali się Polacy. Nie pytana zaczyna opowiadać o doli Kazachów jeszcze w XIX wieku i ich przyjaźni z polskimi zesłańcami, wymieniając jednym tchem kilka nazwisk, jak: Cezarego Tarajewicza, w latach 1873-1889 lekarza powiatowego w niedalekim Akmolińsku, sędziego Makowieckiego, który w Semipałatyńsku był nie tylko sędzią powiatowym, ale współpracował z Kazachami w pracach badawczych nad kazachskim prawem zwyczajowym, przyczyniając się do kulturalnego i politycznego rozwoju ludności miejscowej, z którym współpracował Seweryn Gross – zesłaniec z Iszumu, a następnie z Semipałatyńska, jako groźny przestępca polityczny i wielki przyjaciel miejscowej ludności, czego dowodem była wielka przyjaźń z Abaj Kunanbajem – wielkim kazachskim krzewicielem oświaty i poetą, którego muzeum znajduje się w Semipałatyńsku i gdzie wśród przyjaciół Abaja wymienia się Polaków i politycznego zesłańca Seweryna Grossa, goszczącego w aule poety.

Na pożegnanie młoda Kazaszka wręcza mamie kilka pszennych placków zawiniętych w czystą lnianą ściereczkę, małej woreczek mąki i kawałek baraniny zawiniętej w gazetę, prosząc by przyjęła ten gościniec jako Polka – zesłanka, potomek przyjaciół Kazachów w XIX wieku, dodając, że zawsze będziemy mile witanymi gośćmi a gdy zechcemy coś wymienić na żywność, to chętnie to uczyni. Jedno serdeczne słowo, jedno pozdrowienie dokonało cudu pojednania dwóch różnych narodów zjednoczonych wspólnym zniewoleniem.

Żegnamy się z zaprzyjaźnionymi rodzinami Kazachów, podążając do kolejnej, wyznaczonej pracy na 76 Rozjazd przy budowie tamy na rzece Iszym. Wprowadzamy się do budowanych własnymi rękoma ziemianek ustawionych bokiem do rzeki, ze ścieżką prowadzącą do wody, na której w promieniach ciepłego, wiosennego słońca, każdego ranka leżały pokotem żmije wygrzewające swe zygzakowate cielska, bez najmniejszego zamiaru atakowania przechodzących ludzi. Wręcz odwrotnie, uprzedzona głośnym szorowaniem stóp po piachu, powoli wpełzała w stepowe rośliny stając się niewidoczną, a zatem groźną w momencie nadeptania, skręcając się jak sprężyna i wbijając jadowite zęby w nogę, przy żadnej pomocy medycznej, gdyż surowicy nie posiadał tzw. punkt sanitarny, który dysponował jodyną i bandażem.

Praca przy tamie nabiera rozmachu i wzrasta zapotrzebowanie na ciężarowe samochody, ale maleje liczba szoferów powoływanych do wojska – na front, gdyż jest to wiosna 1943 roku, wielka kontrofensywa w działaniach frontowych. Zielenieje kazachstański step, puszysty dywan

z milionami kolorowych tulipanów i innych kwiatuszków i ziół. Szybkie szkolenie kierowców, zdany egzamin i przydział małej ciężarówki o miłej nazwie Gaz 2A splół się z przyjazdem z Moskwy na 76 Rozjazd ekipy geodetów, specjalistów od wielkiej, zaplanowanej na długie lata pracy przy nawadnianiu suchych, kazachstańskich stepów. Na czele ekipy rudy jak wiewiórka inżynier, mały i brzydki a jednocześnie tak sympatyczny, że podbił serca wszystkich bez wyjątku. Siergiej Aleksandrowicz Jakowlew po prostu kochał ludzi. Starszych pytał o zdrowie, maluchów brał na ręce a dla młodzieży miał setki pomysłów: a to łowienie ryb, a to nauka pływania w zakolu rzeki, to znów polowania na stepowe susły lub nauka śpiewania.

Temu człowiekowi i tej ekipie zostaje przydzielona, wraz ze mną, mała ciężarówka GAZ 2A, w celu rozpoczęcia prac pomiarowych. Jest nas dziesięciu. Siergiej – inżynier i ośmiu chłopaków a właściwie dziadków w wieku 60-65 lat. W szoferce – kabinie Siergiej i ja, w skrzyni ciężarówki „dziadkowie” i sprzęt z aparatami pomiarowymi, łatami i innym drobiazgiem. Wyjazdy są coraz dalsze. Często nie wracamy do ziemianek na nocleg. Teraz dopiero poznaję piękno stepu i urok stepowej nocy, gdy księżyc zdaje się być bliski a jego poświata wysrebrza smukłe burzany, pobudzając do ruchu te wiecznie nieruchome, jak martwe, rośliny. W naszych wędrówkach zajeżdżamy do kazachskich aułów, wiosek tubylczych, do chałup ulepionych z rdzawej gliny, niekiedy jurt z wielbłądziej skóry o okrągłym kształcie i dziwnym dachu, gdzie wnętrza wyściełane są wełnianymi dywanami i skórą, na których siedzi się w niewygodnych dla nas, kuckach, przy okrągłym niskim stole. zastawianym natychmiast przez gościnne gospodynie – Kazaszki. Usługują szybko i bezszelstnie. Nigdy nie zasiadają do wspólnej biesiady. Czasami żona lub najstarsza żona, gdyż zdarza się spotkać Kazachów mających jeszcze z dawnych czasów więcej niż jedną żonę, bierze udział w rozmowie. Rzadko pokazują się młode Kazaszki. A jest na co patrzeć. Drobne w budowie, o skośnych oczach, długich czarnych włosach, ubrane bardzo kolorowo i ładnie, w barwne serdaki, długie kolorowe spódnice i pantalony, wystające, osłaniające nogi aż po kostki. Kazachowie są szarawi, odzież wełniana, jednobarwna. Ciemne spodnie, przeważnie golona głowa i cienkie wąsiki. Niekiedy nawet w domu noszą ogromne futrzane papachy, które na pewno skutecznie chronią gołe głowy przed upałem. Są raczej szczupli, choć rozkoszują się jadłem podawanym w dużych, płaskich miskach. Potrawy są wyśmienite. Baranina duszona ze stepowymi ziołami oraz zrzebięcina. Pieczeń z młodego zrzebięcia, przysmak niebywały, podawany tylko w niezwykłych okolicznościach, jakim stało się nasze przybycie, zapowiadające życiodajną wodę. Jest również pieczone jagnię, zabijane specjalnie przy przybyłych gościach, dla podkreślenia, że czyni się to wyłącznie dla gości. Jest kumys, kobyle mleko, specjalnie przetwarzane, poddawane fermentacji, pienne, musujące i orzeźwiające, podawane z bukłaka. Przypominam sobie bukłak w wagonie, gościnnych, przyjacielskich Kazachów i dyskusje starszyny. Ręce myjemy przy stole w poda-

nej przez gospodynię misce. Zmiana potraw odbywa się błyskawicznie. Do mięsa podawana jest *lapsza* rodzaj makaronowego ciasta, lecz nie krojonego jak u nas, lecz rwanego nad kotłem na małe kawałki. Na koniec uczty herbata, niebываły przysmak Kazachów. Na stole samowar, w miseczce kawałki rąbanego cukru a wokół stołu „pijały” czyli czarki – filiżanki bez uszek. Dodatkiem do herbaty są małe placuszki z białej mąki. Nie najedzeni lecz obżarci, rozkładamy się jak zwyczaj każe, na skórach i dywanach popijając małymi łyżkami boski napój. Siergiej Aleksandrowicz, moskwianin z urodzenia, opowiada o stolicy, o ogromnych budynkach i szerokich ulicach, o teatrach, koncertach i salach kinowych.

Nie przerywając słuchają biesiadnicy a gdy skończył gospodarz poprosił o zabranie głosu staruszka, siedzącego na uboczu w kłębach fajkowego dymu, podkreślając, że jego dziad miał przyjaciela ze stolicy Moskwy. Nie przerywając pykania dziad potwierdził, że przyjaciel był ze stolicy Moskwy, ale dodał, że ten przyjaciel był z dwóch stolic, ta druga to była Warszawa. Wywołało to niesamowitą wrzawę i moje wołanie, że jestem Polką i że moją stolicą jest Warszawa. Nie zdziwiło to staruszka, który bardzo uroczyście stwierdził, że Polacy to sławny naród i że było ich tutaj – na Kazachstanie, dużo, zesłańców, katorżników, którzy nadzieją powrotu do Ojczyzny żyli aż do śmierci. Tą nadzieją żyli przez wszystkie dni i nam o tym mówili tak, jak ty to teraz mówisz. Moja matka, trzecia żona mojego ojca, najmłodsza żona mojego ojca a twoja babka Aktybaju – zwraca się do gospodarza – żyła w wielkiej przyjaźni z naszym częstym gościem, poetą. Nazywał się Zieliński, dziwne nazwisko i imię też dziwne, Gustaw, ale ukochał nasz kraj i pisał o życiu Kazachów, o naszej doli i niedoli, o bogatych rodach i biednych niewolnikach, o wielkiej miłości i strasznej śmierci w płonąącym stepie. Moja matka, a twoja babka, synu mój, Aktybaju, знаła te słowa, знаła wszystkie i bywało, siądzie tak, jak my teraz siedzimy, pyknie fajeczkę, zaduma się i zacznie:

Jak ptak, co skrzydłem swobodnym płynie,  
Lecę w rodzinne moje pustynie.  
Witam step z dawna mi niewidomy;  
Spotykam wichry, burze i gromy,  
Aż wycieńczony od trudów, znoju  
Spostrzegam wreszcie – widoku czuły,  
Po tylu leciech!... pierwsze auły.  
Wpadam, nie pytam, jakiego rodu,  
Bo w każdym głosie, stroju, postaci  
Poznaję swoich – i jak mych braci  
Ściskam, całuję, łza z ocz mych tryska...

– piękniała wówczas twarz mojej matki, rumieniec wypływał na lica i dalej ciągnęła:

Wzdłuż i wszerz przeleć całą pustynię  
Od ujść Sir-Darii do Ajaguzy,  
Od zapadłego Urgantu w gruzy

Od siedmiu źródeł, skąd Iszym płynie.  
 I w całym bujnym stepie Iszyma,  
 Równej w piękności Demela nie ma.  
 Ani mieć będzie – bo blask jej lica  
 Na wdzięk i drugich mrok rzuca taki,  
 Jak w noc pogodną pełnia księżycy  
 Na koczujących światła orszaki,  
 Bo twarz jej, której nic nie ochmurza,  
 Sądysz – wśród śniegów rozkwitła róża.  
 A gdy jej uśmiech usta rozdzieli,  
 To zębki błyszczą tak cudnej bieli.  
 Że pereł sznurek zdobiący szyję  
 Ze wstydu między piersi si kryje.

– milknie starzec. Dym z fajki otacza go chmurą. Z zamkniętych oczu spływają perły łez.

Podrywam się z miękkiego dywanu. Całuję w żółty, pomarszczony policzek. – Dzięki, stokrotne dzięki za piękny wiersz, za nie znanego polskiego poetę. Za pamięć o Polaku, który tu był i kochał. Jakże inaczej spoglądam teraz na jurte. Na gościnnych Kazachów, na małe Kazaszki znikające jak cienie. Cienie dające natchnienie poetyckim duszom.

Serdecznie żegnani ruszamy w dalszą drogę. Wieczorem dojeżdżamy na brzeg ogromnego jeziora Tengiz. Jeziora porośłego szuwarami i trzcina pełną dzikiego ptactwa. Jeziora pełnego ryb, pluskającego karpia i buszującego szczupaka. Wpraszamy się w gościnę do starego rybaka, którego kurna chata stoi nad brzegiem wody. Przygarnia nas z całą wschodnią serdecznością, pełną uniżenia i pokory dla przybyłego gościa. Kłania się nisko gołą głową, zapraszając do chaty. Tak nie potrafią zapraszać Europejczycy. Taka nie potrafi być biała rasa, mimo całej serdeczności. Tutaj jesteś przyjacielem w momencie przekroczenia progu chaty, jurty czy też obejścia. Nie wolno ci nie przyjąć zaproszenia. Nie zasiąść do wspólnego stołu, bez względu na zasobność gospodarza.

Staruszek Kazach natychmiast odpływa od brzegu w malutkiej łódce, a za chwil parę wraca z koszykiem pełnym karpia, trzymając osobno w siatce okazałego szczupaka. Wprawne ręce patroszą żywe, nie zabijane ryby. W niedługim czasie w kociołku gotuje się smakowita „ucha” – rybna zupa a na patelni rumienią kawałki karpia. Szczupak nafaszerowany ziołami, skropiony olejem dusi się w żarze pod kociołkiem, opakowany szczelnie w łądygi wodnych roślin i glinę. Wyśmienita kolacja nastraja do gawędy a samotny zazwyczaj rybak gada i gada. Już świt różowi wodę a on jeszcze nie wyczerpał rozpoczętego tematu. Dla niego step, ten pustylny, płaski i bezkresny, nieogarnięty step, porośły jedynie suchą ostnicą, w której nie słychać cykania pasikonika ani świergotu ptaszka, jest stepem cudownym, stepem, który śpiewa własną pieśń. Zapatrzony w ognisko opowiada o legendzie, która żyje wśród Kazachów i głosi, że kiedyś cały ten kraj tonął w zieleni i był pokryty lasami. Mówi cicho:

– Pewien Kazach wykradł siekierę Panu Bogu by narąbać sobie drzewa w sąsiedniej dąbrowie. Ale siekiera wyrwawszy się z rąk złodzieja sama zaczęła ścinać stuletnie dęby i inne drzewa. Cały step od Uralu do Tengizu i Aralskiego Morza został ogarnięty pożarem. Zgorzały wsie i miasta. Gdy ogień wygasł na pustyni pozostało tylko jedno drzewo i kolczaste zielsko. To jedyne drzewo rośnie podobno między Orskiem a brzegami Morza Aralskiego. Drzewu temu okazuje się cześć a ono przynosi pomyślność, chroni przed chorobami – kończy Kazach.

– I musi być jakaś prawda w tej legendzie – mówi nasz inżynier – ponieważ znany poemat Szewczenki zaczyna się słowami: „U Boga za drzwiami leżała siekiera...” – A o drzewie samotnym na stepie to mówi się tak:

Samiuteńkie pośród stepu  
W dolinie ogromnej  
Stoi drzewo wybujałe,  
Bóg o nim zapomniał.  
Nie dotknęła go siekiera,  
Ani z nieba ogień,  
Jeno ze stepem pogwarza  
O minionej dobie.  
I Kajsacy święconego  
Drzewa nie ominą,  
Sycą oczy jego liśćmi  
Jadący doliną.  
Modlą się i ofiarami  
Proszą je o względy,  
Żeby w ich ubogim kraju  
Wypuściło pędy.

Z aprobatą kiwa głową staruszek, ciesząc się, że o jego stepie piszą poeci. I snuje dalej barwną opowieść o dawnym stepie i wielkim święcie, zwanym *Bajram*. *Bajram* następuje po wielkim poście trwającym przez cały maj. Na okres wielkiego postu w aulach wygasają ogniska. Przez cały miesiąc nie wolno jeść gotowanej strawy. – Ale za to gdy nadchodzi *Bajram* – ciągnie staruszek poprawiając żar ogniska. – Gdy nadchodzi *Bajram*, zarzyna się barany, młode wielbłądy a nawet źrebięta. To wszystko piecze się, gotuje. Potem odwiedzamy się. Odwiedzamy w aule i między aulami. To wielki *Bajram!* Teraz już nikt takiego *Bajramu* nie obchodzi i nikt nie wygasza ognisk w miesiącu maju – macha ręką. – A o turniejach konnych też się mało słyszy. A przecież nie tak dawno sam w takim brałem udział, i to nie jeden raz. A wesela? Jakie to dzisiaj wesele? Kto dba o to dzisiaj, by nie dopuścić pana młodego do narzeczonej. Nikt. Nikogo to nie obchodzi! Znów macha ręką i poprawia żar. – A dawniej? Dawniej młode mężatki i dziewczyny broniły dostępu i pilnowały. Kto teraz zważa na wysokość *kałymu* – posagu, a czy w ogóle rodzice decydują o ożenku, jak to dawniej bywało? A o *saukele* to już zupełnie zapomniano.

Spoglądamy po sobie. Żyjąc wśród Kazachów poznaliśmy dużo słów z ich języka, ale to jest nam zupełnie obce. – Słuchajcie, dziadku! A co oznacza *saukele*? – ośmielam się przerwać zaległe milczenie. – No, widzicie! Widzicie sami! Gdyby słowo to było w użyciu, na pewno wiedzielibyście co to jest! – jego oburzenie jest tak wielkie, że poprawiany żar rozsypuje się. Iskry rozlatują się po niskiej chacie, dym snuje intensywniejszy. Zaczyna: – *Saukele* jest to wysoki, stożkowaty kołpak z wojułoku pokryty od wewnątrz i z zewnątrz czarnym lub czerwonym sukmem. Ozdobiony złotem, srebrem i drogimi kamieniami. *Saukele* ma na głowie panna młoda podczas podróży do aułu, gdzie mieszka pan młody z rodzicami. Im bogatsze *saukele*, tym bogatsza panna. Moja pierwsza żona była bardzo bogata. Jej *kałym* to sto wielbłądów i złożone *saukele*. Moja druga, młodsza żona, dała mi tylko sto owiec i jej *saukele* było wyszyte tylko srebrem. Moja trzecia żona była jeszcze biedniejsza. Ale to nieważne. Ona była młodsza od mojej pierwszej żony o trzydzieści lat. Jej *kałym* to dwa konie i czerwone *saukele* naszyte tylko perłami, ale za to dała mi jedyną córkę, ukochaną Dżamelę, piękną jak step na wiosnę, a nasza *bajga*, nasza weselna uczta była najpiękniejszą ucztą mego życia. To jej wnuk, a syn Dżameli mieszka w Moskwie i pracuje w Instytucie. To oni właśnie chcą, żebym przyjechał do Moskwy. Byłem, ale zostać tam nie mogę. Tam nie ma czym oddychać, tam nie ma stepu. On tego nie rozumie a taki mądry, a ona już zapomniała. Wróciłem tutaj, na rybakę. Tutaj mieszkam przez cały okres letni. Łowię ryby. Odłowione wpuszczam do ogromnych plecionych zagród. Z takiej właśnie zagrody są te nasze, tak szybko złowione. Wystarczy rękę zanurzyć w wodzie i już masz rybę. Przyjeżdżają z mojego aułu po te ryby. I do nich wracam na zimę. Mam swoją jurte. Pustą jurte. Nie mam już żon. Najmłodsza umarła pierwsza, zostawiając malutką Dżamelę. Moją radość. A wy nie chcecie zabrać trochę ryby na tę waszą budowę tamy czy jak to mówiliście? – pyta zmieniając nagle temat. – Chcemy, naturalnie, że chcemy. – No to przy odjeździe przygotujcie miejsce. Damy liści, wyłożymy trzcina, to i dowiezicie jeszcze żywe – radzi.

Ruszamy wieczorem. Chłodniej. Lepiej dla nas i przewożonego towaru. Na Rozjeździe witają nas, a szczególnie przywiezione ryby, które urozmaicają monotony repertuar posiłków naszych kucharek. Niestety. Brak nie tylko pomysłowej Mańki, brak również produktów.

\*

Jak bardzo opowiadanie starego Kazacha przybliżyła nam naukowe opracowania Seweryna Grossa – zesłańca z XIX wieku dotyczące kazachskiego prawa zwyczajowego a szczególnie prawa rodzinnego, majątkowego i karnego. Zgodnie z twierdzeniem S. Grossa zawarcie małżeństwa było umową między krewnymi młodej pary i że wola ich obojga nie miała żadnego znaczenia. Wysokość *kałymu* zależna była, jak to opowiedział stary Kazach, od zamożności rodzin i że biedni zadawali się *kałymem* w posta-

ci dwóch koni, a bogaci żądali 100 wielbłądów. S. Gross pisał, że w posagu występowała *żelka* czyli narzutka z czerwonej materii, a *saukele* – wysoki, stożkowaty kołpak z wołoku i jego mniej lub więcej drogiecenne przybranie też zależało od bogactwa rodziny, o czym nie zapomniał nasz starszyzna znad jeziora Tengiz. Zgodnie z obyczajem kazachskim rodzice narzeczonej i narzeczony nie powinni mieć ze sobą żadnych kontaktów w okresie swatów. Narzeczony nie mógł towarzyszyć swatom w czasie formalnych pertraktacji a jeśli odwiedził narzeczoną czynił to potajemnie. Pierwsze spotkanie z teściem mogło mieć miejsce przy pożegnaniu, kiedy nowożeńcy odjeżdżali do aulu męża. Przez trzy lata nie było wolno młodemu przyjechać do aulu rodziców młodej mężatki.

Zgodnie ze zwyczajem mężatka przez całe życie powinna kryć się przed ojcem męża oraz spokrewnionymi z nim mężczyznami; mogliśmy sobie tym tłumaczyć zachowanie się kobiet w czasie naszego pobytu w aule. W czasie tzw. konkurów młode kobiety i dziewczęta często wyśmiewają się z podstarzałych swatów i nie dopuszczały narzeczonego do narzeczonej, jeśli nie przyniósł wielu prezentów i nawet z bronią w rękę broniły jurty panny młodej.

Trzeba przyznać, że dopiero prawo rodzinno-mażeńskie wprowadzane przez carat, nie wyróżniające się wielkim humanitaryzmem ani też demokratycznością, było jednak, szczególnie po zniesieniu pańszczyzny, bardziej postępowe niż kazachski – *adat* (prawo zwyczajowe narodów muzułmańskich przeciwstawiane prawu religijnemu – *szariatowi*) co znalazło odbicie również w nowym prawie zwyczajowym, gdzie pojawiły się oznaki szacunku dla kobiety, poszanowania jej prawa do swobodnego rozporządzania swoją osobą, jak również do zawierania małżeństwa według własnego wyboru.

Kończyła się praca na bezkresnym, kazachstańskim stepie. Trzeba było wracać do ziemianki nad rzeką Iszym. Ja – zesłaniec, ja młodociany więzień rzucony w roku 1940 do łagru w głębokiej tajdze, ja amnestionowana i niby wolna, ponownie zniewolona, zesłana w roku 1942 do Kazachstanu, wracałam pełna radości potwierdzającej wspaniałość ludu zamieszkującego ten piękny kraj, ludu przyjaznego i odczuwającego wraz z nami system zniewalający, współczującego nam wygnania z ziemi ojców i dziadów.

\*

Zofia Helwing z d. Sawicka (ps. literacki Zofia Tarkocińska). Córka Legionisty Marcelego, deportowana wraz z Matką Janiną z Kresów Wschodnich RP w roku 1940 do sowieckich łagrów, w których przebywała wraz z Matką (inwalidka, doznała obrażeń zimą roku 1941 w czasie ścinania drzewa w tajdze syberyjskiej) do 1946 r. Po powrocie do Polski w lutym 1946 roku, rozpoczęła pracę i naukę w szkole wieczorowej, gdyż musiała utrzymać chorą Matkę i siebie. W systemie nauki „zaocznej” ukończyła gimnazjum zdobywając techniczne wykształcenie w zakresie licencjatów w dziedzinie hotelarstwa i gastronomii oraz zarządzania.

Autorka książki pt. *Ociosani* wydanej przez Oficynę Wydawniczą – „Czytelnik” w roku 1989, która to książka zostaje umieszczona w Katalogu Translators Choice w 1999 roku. Frankfurt Book Fair.

W roku 1988-89 była współorganizatorem reaktywowania Związku Sybiraków, na terenie Dolnego Śląska. Jest autorką kilku *Informatorów* mówiących o martyrologii Narodu Polskiego na Wschodzie oraz kilku scenariuszy telewizyjnych filmów informacyjnych o Sybirakach. Bierze czynny udział w programie Urzędu Marszałkowskiego pt. „Lekcje żywej historii” odbywane w szkołach oraz na terenie Sanktuarium Golgoty Wschodu u Ojców Redemptorystów przy ulicy Wittiga nr 10 we Wrocławiu. Przygotowała też do druku książki pt.: „Odłączona od Macierzy – Warthegau nazwana” oraz „Oswobodzeni, czyli zniewoleni Kresowiaczy”, które są pogłosem zebranych opowieści Wielkopolan z okresu niemieckiej okupacji (1939-1945) oraz oficerów, żołnierzy, członków rodzin wojskowych i licznej grupy ludności cywilnej, przemierzających lub zamieszkujących Kresy Wschodnie od Karpat, Lwowa, Kołomyi, Wołynia, aż po Wilno. Na uwagę zasługuje moment opisywania przejściowego obozu w Szepietówce (obóz sowiecki), gdzie następowała selekcja żołnierzy przed wywiezieniem do obozów w Starobielsku, Ostaszkowie i Kozielsku.

Od kilku lat pełni funkcję rzecznika prasowego Związku Sybiraków – Oddział Wrocław.





---

**KAZIMIERZ BURZYŃSKI**

## **KAZACHSTAN OCZAMI MŁODEGO ZESŁAŃCA**

Przed wojną mając 12 lat skończyłem sześć klas szkoły powszechnej i chociaż geografia bardzo mnie interesowała, to jednak nic nie wiedziałem o Kazachstanie, podobnie jak o ówczesnej Rosji Sowieckiej. Późniejsze lata dały mi możliwość poznania tej republiki z autopsji, chociaż zupełnie bez mojej woli, a właściwie wbrew niej.

Łomża od dwudziestu miesięcy znajdowała się pod sowiecką okupacją, kiedy 19 czerwca 1941 roku na jeden z torów na stacji podstawili długi towarowy pociąg. Okienka wagonów były zakratowane lub miały przyśrubowaną w połowie solidną metalową sztabę. Miasto zamarło ze zgrozy. Wszyscy wiedzieli, co nasi „wyzwoliciele” nam szykują. Podobnymi pociągami deportowali na wschód tysiące mieszkańców ziemi łomżyńskiej 10 lutego i 13 kwietnia 1940 roku. Na kogo teraz padnie? Mieszkaliśmy w dosyć dużym domu wybudowanym przez mego dziadka Jana Burzyńskiego w 1908 roku. Na posesji liczącej ponad 3700m<sup>2</sup> znajdowały się poza budynkiem mieszkalnym różne budynki gospodarcze: garaże, stajnie, szopy – dziadek był właścicielem przedsiębiorstwa transportowego (transport konny), a ojciec przedsiębiorstwa transportu samochodowego.

W 1939 roku do 11 września Łomży bronił 33 pułk piechoty, zwany popularnie Pułkiem Dzieci Łomżyńskich, wchodzący w skład 18 dywizji piechoty dowodzonej przez gen. brygady Czesława Młota-Fijałkowskiego. Okupacja niemiecka trwała dwa tygodnie i już 29 września, realizując porozumienie paktu Ribbentrop – Mołotow z dn. 23. 08. 1939 roku i tajnego protokołu z 28. 09. 1939 roku, miasto zajęły wojska RKKK (Raboczo-Krestianskoj Krasnoj Armii – Robotniczo-Chłopskiej Czerwonej Armii).Całą naszą posesję zajęło wojsko. Moich rodziców i mnie oraz moją ciocię z synem i pasierbem stłoczyli w dawnym pokoju stołowym, a dziadkom pozwolili zachować ich sypialnię. Resztę domu mieszkalnego zajęły cztery rosyjskie rodziny, w tym dwie rodziny enkawudystów (jeden był zastępcą naczelnika łomżyńskiego więzienia).

Nie widzieć, czy to nasz stan majątkowy, czy fakt, że najstarszy brat ojca – Kazimierz był harcerzem i brał udział w wojnie bolszewickiej

(poległ pod Zambrowem 3 sierpnia 1920 roku mając zaledwie 17 lat i 10 miesięcy), spowodowały, że znaleźliśmy się na liście do wywózki. 20 czerwca o świcie przyszli po nas. Tak zwana grupa operacyjna składała się z trzech enkawudystów i jednego cywila – aktywisty jak go określali w protokóle rewizji przeprowadzonej zaraz po ich wejściu. Zabierali w nieznane rodziców mego ojca, moich i mnie. Dziwne, że nie interesowali się ciocią, która była żoną oficera Wojska Polskiego. Wujek był internowany na Litwie, więziony i już za okupacji niemieckiej rozstrzelany w listopadzie 1942 roku w Wilnie. Było już dobrze rano, kiedy przyjechała po nas ciężarówka – półtoratonowy GAZ – AA. Bagażu, który pozwolono nam zabrać była prawie pełna skrzynia. Przy pożegnaniu z ciocią nie obyło się bez łez. Czy jeszcze się kiedyś zobaczymy?

Dom nasz od stacji dzieli zaledwie kilkaset metrów, więc w ciągu kilku minut byliśmy na miejscu. Za rampą kolejową „nasz” pociąg, przed nim mnóstwo enkawudystów, a wokół tłum ludzi, furmanki, samochody, gwar jak na rynku w czasie największego targu. Strażnicy starają się nie dopuścić nikogo w pobliże załadowanych już wagonów. Jedziemy wzdłuż pociągu i w końcu zatrzymujemy się przed wagonem, którego drzwi są otwarte. Wagon jest jeszcze pusty. W okienkach metalowe sztaby. Po lewej i prawej stronie od wejścia zbite z grubych desek nary tworzące parter i piętro. Ponieważ mieliśmy możliwość wyboru, zajęliśmy miejsce na piętrze po lewej stronie czyli po tej, po której były okienka. Okienka po przeciwnej stronie były zabite na głucho, drzwi zaryglowane w pozycji lekko uchylonej, a przez szparę wysunięta była blaszana rura, która miała nam służyć za ubikację.

W krótkim czasie „dokwaterowano” nam następnych zesłańców z Łomży i okolicznych wsi. Wśród nich znalazła się cioteczna siostra ojca Jadwiga Przechodzeń ze swoją sześcioletnią córeczką Alusią. Jej mąż – prawnik z zawodu – siedział w tym czasie w łomżyńskim więzieniu. Zginął w 1943 roku w Stutthofie razem ze swoim bratem dokąd trafili za przynależność do jakiejś organizacji niepodległościowej. Staliśmy na stacji cały dzień w czerwcowym upale. Stale dowozili nowe rodziny, a tłum przed pociągiem gęstniał. Mimo zakazu obstawy wielu osobom udało się wrzucić przez okienka jakieś paczuszki, jakieś zawiniątka lub podać naczynia z wodą. Jakaś życzliwa ręka w ten sposób i nas poratowała. Późnym wieczorem tłum się przerzedził, a stłoczeni w wagonach ludzie zapadli w nerwowy, niespokojny sen. W nocy obudził nas warkot samochodów, szcęk otwieranych drzwi, jakieś krzyki. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że to enkawudyści wybierali z niektórych wagonów ludzi i odwozili do więzienia. Nasz wagon taka wizyta ominęła.

Było już widno, kiedy podstawili lokomotywę. Krótco po tym pociąg ruszył z szarpnięciem wagonów i ogromnym łoskotem. Od pierwszego do ostatniego wagonu niósł się lament, płacz zrozpaczonych w swej bezsilności ludzi. Pociąg przyspieszał bardzo wolno. Koła stuknęły

miarowo i z każdym stuknięciem oddalały nas od naszych rodzinnych miejsc, od naszych bliskich. Zatrzymywaliśmy się rzadko i na krótko, ponieważ jednak pociąg jechał niezbyt szybko, Białystok mineliśmy dopiero po południu. Minęła kolejna noc w zamknięciu. Od rana dało się słyszeć jakieś odległe strzały, czasem ukazywały się na niebie jakieś samoloty, ale nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Nasi konwojenci, którzy jechali w drugim wagonie przed nami, twierdzili, że są to manewry. Zorientowaliśmy się, że to nie manewry a wojna, kiedy wjechaliśmy na stację w Wołkowysku i zobaczyliśmy dwa doszczętnie zniszczone pociągi, które kilka godzin wcześniej przepuściliśmy na jakiejś stacyjce. Tu też przeżyliśmy pierwszy w naszej podróży nalot. Takich nalotów na trasie Mińsk, Bobrujsk, Homel, Brańsk było jeszcze wiele. Skończyły się dopiero gdzieś w okolicach Orszy. Chociaż nasz transport nie był nigdy celem bezpośrednich bombardowań, to i tak według wydanej przez „Memoriał” w 1997 roku w Moskwie książce pt. *Riepriessii protiv Poliakov i polskich grażdan*, z wywiezionych 20 czerwca (1940) z Łomży 1.204 osób zginęło 12, a 17 odniosło rany.

Trudno było wywnioskować, czy wiozą nas na Syberię, czy do Kazachstanu. Jedziemy zygzakiem, raz bardziej na północ, to znów na południe. Minąwszy Lipieck, Tambow i Penzę wjeżdżamy na bardzo długi most. Domyślamy się, że pod nami płynie Wołga. Na jej lewym brzegu Kujbyszew, do 1935 roku i obecnie – Samara. Tu po raz pierwszy zaserwowano nam byle jaki, ale przynajmniej ciepły posiłek. Jeszcze kilkaset kilometrów na wschód i mijamy kolejne duże miasto – Czkałow – kiedyś i obecnie Orenburg. Za Czkałowem znów przejeżdżamy szeroką rzekę. To Ural. Jesteśmy w Azji. Pociąg kieruje się wyraźnie na południe, a więc celem naszej podróży nie jest Syberia. Słowo to od czasów carskich zsyłek budzi grozę, a my „rozkosze” Kazachstanu mamy dopiero poznać. Wreszcie po 12 dniach podróży, 4 lipca o świcie zatrzymujemy się na stacji naszego przeznaczenia. Miasteczko nazywa się Martuk. Rozładowują mniej więcej połowę transportu, reszta jedzie dalej. Jak się później dowiedziałem, wyładowali tę drugą część na stacji w rejonowym miasteczku Dżurun, około 180 km na południowy wschód od Martuka, za obwodowym miastem Aktiubińsk.

Dzień minął bez sensacji, a noc spędziliśmy pod gołym niebem przy swoich bagażach. Rano zjechało mnóstwo furmanek i rozpoczął się targ niewolników. Podjeżdżało kilka podwód zaprzężonych przeważnie w woły, a jakiś strażnik wyczytywał nazwiska i kazał się ładować. Na bagażach sadowiły się dzieci, ludzie starsi, czy słabi, a przede wszystkim woźnice, którymi byli z reguły Kazachowie. Kawalkada ruszała, a na jej miejsce podjeżdżały następne podwoły i procedura powtarzała się. Przyszła kolej i na nas. Moja mama i dziadkowie jechali na bagażach, a my z ojcem szliśmy. Oprócz nas jechało jeszcze kilkanaście fur. Dopiero w drodze dowiedzieliśmy się od woźniców mówiących łamanym rosyjskim

językiem, że kołchoz, do którego nas wiozą, nazywa się Żusasaj i dotrzemy do niego dopiero jutro.

Dla mnie i dla pozostałych towarzyszy niedoli wszystko wokół było nowe. Dziwnie brzmiały nazwy miejscowości, dziwnie wyglądali nasi woźnicy – Kazachowie – poubierani mimo upałów w ciepłą odzież, o zupełnie obcych nam rysach ze zwisającymi wąsami i bródkami przypominającymi kozie, dziwnie wyglądały nasze furmanki z wołami w jarzmach i dziwnie wyglądał step, płaski po horyzont, bez jednego drzewka, bez jednego krzaczka. Woły poruszają się bardzo wolno z szybkością nie większą niż przeciętna szybkość piechura, a więc do 4 km na godzinę. Maszerowanie przy wozie nie było uciążliwe, ale i ojciec i ja wskakiwaliśmy od czasu do czasu na bagaże aby dać wytchnienie nogom. Najbardziej dokuczał żar lejący się z nieba. Daleko przed nami majaczyły jakieś wzgórza. Będąc już na miejscu dowiedzieliśmy się, że Żusasaj leży na przedgórzu Uralu.

Zbliżał się wieczór. Po kilku popasach zatrzymaliśmy się w szczerym polu na nocleg. Kazachowie wyprzęgli woły, rozłożyli przy wozach jakieś maty, posilili się czymś, co mieli w węzełkach i ułożyli się do snu. Zesłańcy też zjedli, co kto miał, gorzej było z popiciem, bo po drodze nie napotkaliśmy żadnego strumienia, ani żadnej osady, w której można byłoby liczyć na studnię. Po nocy spędzonej pod gołym niebem, pożądleni przez niezliczone chmary komarów, ruszyliśmy o świcie w dalszą drogę i koło południa dotarliśmy na miejsce. Osada składała się, jak pamiętam z dwudziestu jeden glinianych, malutkich chatynek rozmieszczonych kółkiem, tworzących w środku coś w rodzaju placu. Był 6 lipca, niedziela, wtedy jeszcze wolna od pracy, więc wylegli chyba wszyscy mieszkańcy, aby oglądać „wrogów” ludu. Patrzyli na nas z ciekawością, ale i podejrzliwie, bo wcześniej byli uświadomieni, jaki niebezpieczny element do nich przybędzie. Wszyscy wyładowali swoje bagaże na środku tego placu i czekali, co będzie dalej. Wkrótce nadjechał konno enkawudysta, prawdopodobnie z Martuka, i w asyście kilku mężczyzn reprezentujących zarząd kołchozu rozpoczął do zesłańców przemowę.

Kilka zdań z tej przemowy zapadło mi głęboko w pamięć. Powiedział między innymi:

– Przyjechaliście tu, żeby pracować i będziecie pracować, dopóki nie zdechniecie.

– Nie myślcie o waszej Polsce. Polski nie ma i nie będzie. Jak nie zobaczycie swojego ucha, tak nie zobaczycie swojej Polski. Przewodniczący kołchozu kazał szukać sobie, na własną rękę kwater u tubylców i wspólnie dał w poniedziałek wolny dzień na zagospodarowanie się. Ludzie pytali, co będą jedli, domagali się chleba. Przewodniczący wskazał ręką na łan zboża, zaczynający się zaraz za osadą, a którego końca nie było widać i powiedział z dumą:

– Popatrzcie ile chleba rośnie. Już wkrótce będą żniwa.

Ojcu udało się załatwić lokum u pary młodych Kazachów, którzy nie mieli jeszcze dzieci. Oczywiście o pieniądzach nie było mowy, bo i tak nic nie można byłoby za nie kupić. W grę wchodziła odzież, bielizna, pościel i takimi rzeczami ojciec opłacił komorne. Wszystko, co mieliśmy wzbudzało zachwyt wśród miejscowych nędźnie odzianych i nędźnie wyposażonych mieszkańców. Mimo początkowej nieufności chęć zdobycia tak wspaniałych (dla nas normalnych) rzeczy przemogła wszelkie opory. Chata, jak wszystkie we wsi, zbudowana z bloczków wielkością zbliżonych do naszego siporeksu, a wykonanych z gliny wymieszanej z krowim nawozem i słomą, i wysuszonych na słońcu. Tamtejsza nazwa takiego bloczka to *saman*. Dach stanowiła położona wzdłuż budynku drewniana, okrągła belka z ułożonymi na niej w poprzek żerdziami, przykrytymi warstwą wikliny. Całość z zewnątrz i od wewnątrz oblepiona gliną, podobnie jak *saman*, zmieszaną z krowim nawozem. Za podłogę służyła polepa wykonana z takiego samego materiału.

Wchodziło się do takiej chaty przez obórkę, w której stała uwiązana do słupa krowa. Z obórki było wejście do kuchenki z wbudowanym na stałe w palenisko żeliwnym kotłem, a z niej do maleńkiej izby, którą odstąpili nam gospodarze przenosząc się do tej właśnie kuchenki. Jedyнным wyposażeniem izby były zbite z desek nary. Spaliśmy na nich pokotem, całą piątką. Zresztą w całym gospodarstwie nie było innego wyposażenia: ani stołu, ani krzesła, ławki czy zwykłego stołka.

Tubylcy szybko się przekonali, że „wrogowie ludu”, jak nas określała bolszewicka propaganda, to tacy sami ludzie jak oni, chociaż o odmiennym wyglądzie, odmiennej kulturze, odmiennych wierzeniach. Starsi, mimo stalinowskiej nie przebiegającej w środkach ateizacji, pozostali na ogół wyznawcami islamu, zaś młodzi raczej byli ludźmi niewierzącymi. Widać jednak było wyraźnie, że ani jednym, ani drugim to nie przeszkadzało. Również ani jednym, ani drugim nie przeszkadzało to, że wszyscy nowi mieszkańcy Żusasaju to katolicy, wyznawcy nieznanego im przedtem religii. Nigdy nie odnosili się do nas z tego powodu wrogo, lekceważąco, nie robili na ten temat żadnych przytyków, ani żartów. Nie wiem, jak gdzie indziej, ale „nasi” Kazachowie byli ludźmi naprawdę tolerancyjnymi.

Byli również niezwykle gościnni. Nasi gospodarze, kilka dni potem jak zamieszkaliśmy u nich, urządzili powitalne przyjęcie. Zarznięli barana (oprócz krowy mieli kilka owiec i stadko kur), gospodyni nagotowała w kotle pływającego w tłuszczu mięsa, zagniotła ciasto z pszennej razowej maki, rozwałkowała je butelką na naszych narach na cienkie placki (jak na makaron) i przekroiła na cztery części. Mięso wybrała z kotła do miednicy i oddzieliła je od kości, a na „rosół” wrzuciła placki. Po ugotowaniu wylowała je i włożyła do mięsa. powstał kazaski przysmak – *biszparmak*.

Na przyjęcie został zaproszony mój ojciec, dziadek i kilku Kazachów. Kobiety i dzieci mogły posilić się dopiero po tym, jak najedli się mężczyźni. Gospodyni postawiła miednicę z *biszpami* na podłodze w kuchence, a goście obsiedli ją dokoła. Jedzono rękoma wybierając kawałki mięsa i placki wprost z miednicy i zlizując ciekący po przedramieniu tłuszcz. Popijano podawanym w czarkach gorącym wywarem. Do dobrego tonu należało czknięcie po posiłku. Był to dowód, że gość się najadł, a gospodarz czuł się wtedy w pełni usatysfakcjonowany. W tym czasie, kiedy mężczyźni jedli, gospodyni wiechciem ze słomy wyczyściła kocioł, nalała weń wody i zagrzała ją. Napełniła nią zgrabny, wąski, o wysmukłej szyjce, mosiężny dzbanuszek. Biesiadnicy umyli, a właściwie opłukali ręce polewaną z tego dzbanuszka wodą, po czym wytarli je o własną odzież. Uczta była skończona. Jak się później zorientowałem, takich dzbanuszków używali wszyscy miejscowi Kazachowie do higieny osobistej. Ubikacji tam nie było, więc kiedy widziało się Kazaszkę lub Kazacha wędrującego z dzbanuszkami w step, wiadomo było, że idzie za własną potrzebą.

Takich sytuacji, które nas bulwersowały, żeby nie powiedzieć – szokowały, było więcej. Kiedy pytaliśmy o opał, powiedziano nam, że trzeba iść w step zbierać *kiziak*, czyli wysuszone krowie łajno i tym palić. Gdy przyszło mi to robić po raz pierwszy, starałem się wyszukiwać tylko bardzo dobrze wysuszone kupki i nagarniać je do koszyka nie dotykając ręką. Po jakimś czasie przyzwyczailem się i brałem bezpośrednio nie tylko suchy *kiziak*, ale i ten jeszcze niezbyt dobrze wyschnięty. Szkoda było zostawiać taki skarb. Jutro mogło go już nie być, bo przecież takich zbieraczy było dużo.

*Kiziaku* używano nie tylko w postaci naturalnej, ale i nieco przetworzonej. Większą ilość krowiego nawozu rozkładano, tworząc krąg o średnicy kilku metrów, dodawano nieco słomy i polewano wodą. Następnie kilka osób z podwiniętymi nogawkami lub uniesionymi spódniami udeptywało bosymi nogami tę masę. Do tego celu wykorzystywano czasem krowę lub wołu. Po wymieszaniu masą wypełniano formy, z których bryły, takie jak bryły torfu, wykładano na stepie do wyschnięcia. Układano z nich później pryzmy stanowiące zapas na zimę. W podobny sposób mieszano glinę, z której powstawał *saman* do budowy domów.

Nieprzyjemne wrażenie zrobił na nas sposób pieczenia przez Kazachów chleba. Właściwie nie był to chleb w naszym pojęciu, a podpłomyki z pszennej razowej mąki. Otóż płaskie, okrągłe placki kładli bezpośrednio na żar po spalonym *kiziaku*, a kiedy się upiekły, wyjmowali je, otrząsali z popiołu i większych kawałków, które się do nich przyklepiły i po ostygnięciu konsumowali. Inny, możliwy do zaakceptowania przez nas, sposób polegał na pieczeniu w *skoworodach*. *Skoworoda*, to rodzaj żeliwnej patelni bez rączki. Ciasto wkładano do jednej *skoworody*, przykrywano drugą o takiej samej średnicy i wkładano w żar, obsypując nim

całość. Placek nie miał bezpośredniego kontaktu z żarem z nawozu. Jednak nie każda rodzina miała takie *skoworody*. Był to już na tamtejsze warunki wyższy standard, żeby nie powiedzieć luksus.

W Żusasaju przepracowaliśmy niespełna miesiąc bez żadnego wynagrodzenia. Czwartego sierpnia przyjechało do kołchozu kilkanaście podwód zaprzężonych w konie i wielbłądy. Okazało się, że będą nas przesiedlać do innej miejscowości. Piątego wydano nam zaświadczenia stwierdzające od kiedy do kiedy pracowaliśmy i ile każdy z nas wypracował dniówek obrachunkowych (*trudodni*). Na końcu był dopisek, że rozliczenia nie dokonano. Do dziś kołchoz jest na papierze naszym dłużnikiem.

Podwoły podjechały pod domy, w których mieszkali Polacy. Załadowanie skromnego bagażu nie zajęło wiele czasu. Miejscowi żegnali nas z wyraźnym żalem. Tracili źródło dochodu, możliwość zdobycia tego, co w sowieckiej rzeczywistości było zupełnie niedostępne. Nam dostał się wóz zaprzężony w wielbłąda. Widywałem te zwierzęta przed wojną w cyrku, ale nigdy z tak bliska. Okazały się ciekawe pod wieloma względami. Ponieważ z Żusasaju do miejsca naszego przeznaczenia – sowchozu Dżireń-Kupa jest około 200 km, a podróż trwała trzy, czy cztery dni, dokładnie nie pamiętam, mogłem im się dobrze przyjrzeć. Tamtejsze wielbłądy, to wielbłądy dwugarbne – *baktriany* pokryte długą, gęstą, brązową sierścią.

W zaprzęgu, kiedy woźnica ponaglał wielbłąda do szybszego marszu, ten niezadowolony potrafił go opluć. Odwracał łeb, potrząsał nim, a duże wargi, szczególnie te rozdwojone, górne, trzepotały gwałtownie rozbijając ślinę na drobne krople i rozrzucając ją na znaczną odległość. Wielbłąd wydawał do tego pomruki niezadowolenia. Innego odkrycia dokonaliśmy, kiedy na którymś etapie podróży ojciec zajął miejsce woźnicy. W pewnym momencie spostrzegł, że zaczyna mżyć deszczyk. Zdziwienie było ogromne, bo na niebie nie dało się zauważyć ani jednej chmurki. Po wnikliwej obserwacji ojciec stwierdził, że to nie deszczyk, że to siusia wielbłąd, i to siusia do tyłu!

Kiedyś na popasie wdrapałem się na grzbiet leżącego wielbłąda. Nie uwzględniłem tego, że podnosząc się wielbłąd staje najpierw na tylne nogi. Zważywszy, iż kończyny tego zwierzęcia są bardzo długie, podniesienie zadu powoduje, że grzbiet jest nachylony w kierunku głowy pod bardzo dużym kątem. Tym sposobem, chociaż siedziałem między dwoma garbami, poleciałem z dosyć dużej wysokości na łeb, na szyję. Na szczęście nic mi się nie stało i nikt tego nie widział, bo pewnie śmiechu byłoby ze mnie co nie miara.

Dżireń-Kupa to duży *molmiasosowchoz* (mleczno – mięsny sowchoz), nastawiony szczególnie na produkcję mięsa i mleka. W jego skład wchodziła centrala i dwie fermy rozlokowane w promieniu kilku kilometrów. Były to osady nie mające swojej nazwy. Określano je jako „sowchoz Dżireń-Kupa” ferma 2 lub 3. Centrala, jednocześnie ferma numer 1,



to duża wieś znajdująca się w miejscu gdzie łączą się dwie rzeki – Mała i Duża Chobda tworząc jedną o nazwie Chobda. Tak z resztą nazywało się i nasze nowe rejonowe miasteczko leżące około 120 km na południowy wschód od sowchozu. Obecnie nosi nazwę Nowoaleksiejewka. Jeżeli chodzi o rzekę Chobdę, to kilka kilometrów poniżej Dżireń-Kupy wpada do Ileku, ten zaś do Uralu, aby wreszcie zasilić swymi wodami Morze Kaspijskie.

Mieszkańcami sowchozu byli w większości Kazachowie, poza nimi Rosjanie i Ukraińcy. Nas w przeważającej części zostawiono w centrali, resztę odesłano do fermy numer 2 i 3. Zamieszkaliśmy na skraju wsi u starszej samotnej kobiety. Ciocia Machnowska jak ją nazywałem, po jakimś czasie, kiedy poznała nas lepiej, opowiedziała nam swoje dzieje. Pochodziła z Ukrainy i jak wielu Ukraińców, których nie zabił głód i bandy Dzierżyńskiego spod znaku Czecha, została deportowana do Kazachstanu. Poza Kazachami tu wszyscy są zesłańcami, albo ich potomkami – powiedziała. Za cara, jako młoda jeszcze dziewczyna, pracowała w dużym majątku ziemskim. Nigdy nie brakowało jej niczego, a teraz...

Z domu mieliśmy parę kroków do rzeki. Nasz lewy brzeg był wysoki i nad wodę schodziło się stromą ścieżką biegnącą ukosem w dół po urwistym zboczu. Przeciwległy brzeg był niski. Chobda okazała się dla nas wielkim dobrodziejstwem. Do niej schodziło się czerpać wodę na wszystkie domowe potrzeby, w niej myliśmy się, praliśmy, zmywaliśmy naczynia. Upały, które tam stale latem panowały, nie były tak dokuczliwe, bo kilka, a nawet kilkanaście razy dziennie można było zażyć w niej orzeźwiającej kąpieli. I jeszcze jedno – była niezwykle rybna. Ja ryb nigdy nie jadłem. Od małego. Wielu może wydać się to dziwne, ale tu w Kazachstanie, mimo iż głód był naszym nieodłącznym towarzyszem, nie zdobyłem się na to, aby go zaspokoić rybami. Za to reszta rodziny uzupełniała niedostatki w zaopatrzeniu tym, co udało mi się złowić.

W domu nikt nie był amatorem wędkowania, więc nie miałem wzorca do naśladowania. Tu zacząłem to robić po raz pierwszy, i przyznam, że miałem przy tym wielką frajdę. Powód był prosty. Na branie nigdy nie trzeba było długo czekać, a świadomość, że wydatnie pomagam rodzicom i dziadkom, czyniła mnie we własnych oczach prawie dorosłym mimo moich czternastu lat. Nauczyłem się różnego sposobu łowienia ryb: na wędkę, przy pomocy zaostrzonego metalowego pręta (namiastka ościenia) i wreszcie przy użyciu pułapkowego narzędzia połowowego, które tam nazywało się *morda*. W żadnym słowniku nie znalazłem odpowiednika tego wyrazu. Chociaż akcent w nim pada na samogłoskę „a”, to Polacy zawsze akcentowali, zgodnie z zasadami polskiej fonetyki, drugą od końca sylabę, a więc w tym wypadku samogłoskę „o”, co prowadziło do niewłaściwych skojarzeń.

*Mordę* wypłatało się z wikliny, której na szczęście nie brakowało nad brzegami Chobdy. Ja doszedłem do takiej wprawy, że mordy mojego

wyrobu uważane były za jedne z najlepszych, jeżeli nie najlepsze, w całej Dżireń-Kupie. Wyglądem morda przypominała jeden segment żaka, a może bardziej naszą polską wierszę, którą także wykonywano z wikliny.

Mieszkaniec jednej z podłomzyńskich wsi nauczył mnie wyplatania wiklinowych koszy, takich jak używanych u nas do zbierania kartofli w czasie wykopków. Ciekawe, że w Kazaszkach nie wzbudzały one żadnego zainteresowania, natomiast Rosjanki, jedna przez drugą, składały mi na nie zamówienia. Za koszyk dostawałem bochenek chleba, a chleb pieczony przez nie z pszennej razowej mąki był pyszny, pulchny, dobrze wypieczony, nie to co ten sowchozowy gniot kupowany w sklepie na kartki. „Dawali” po 500 g na osobę pracującą i 200 g. na niepracującą czyli *izdiwiencia* – osobę będącą na utrzymaniu. Bywało, że w ogóle go nie dostawaliśmy i przydział przepadał.

Oprócz *mord* i koszy wykonywałem również. beczki z sitowia, w których można było przechowywać zboże. Z liści sitowia skręcałem powrósto o średnicy 20-30 mm, zwiniałem na kształt ślimaka łącząc poszczególne zwoje wikliną. Tak powstawało dno. Wysokość w zależności od potrzeby mogła być różna. U nas w niektórych wsiach wykonywano podobne naczynia ale ze słomy. Można je jeszcze spotkać w muzeach rolnictwa, małych muzeach regionalnych, w skansenach.

W końcu października „wybuchła” zima. Później przekonaliśmy się, że w tej części Kazachstanu praktycznie nie ma wiosny i jesieni. Przejście od zimy do lata i odwrotnie trwa najwyżej kilkanaście dni. Teraz też od razu zaczęły się mrozy i zawieje. Gorsze od zimy było to, że nasz dziadek poważnie zachorował. Codzienne przechodzenie do pracy w bród przez zimną już Chobdę przy jego 67 latach zrobiło swoje. Tutejsza lekarka – Niemka – Derksen, którą z Powoźża przesiedlili po wybuchu wojny do Dżireń-Kupy, nie była w stanie nic pomóc. Nie miała do dyspozycji żadnych potrzebnych leków. Tragedia nastąpiła w 23 rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości – 11 listopada. Późnym wieczorem dziadek jako pierwszy z dżireń-kupińskich zesłańców oddał ducha Bogu. Babcia również nie wytrzymała warunków w jakich przyszło nam żyć i w dwa lata później 2 października 1943 roku mając 64 lata rozstała się z tym światem.

My musieliśmy żyć dalej, mimo wszelkich przeciwności losu, podtrzymywani na duchu nadzieją, że prędzej czy później wrócimy do Polski. Jednak 2 lutego 1942 roku dotknęło nas kolejne nieszczęście. Tego dnia podczas pracy ojciec uległ bardzo poważnemu wypadkowi. Jego przebieg opisuje w swym zeznaniu z 22 października 1942 roku traktorzysta Zakien Irmuchanow – Kazach. Był naocznym świadkiem, a po części sprawcą wypadku. Pracował z ojcem przy remoncie traktora. Z głowicy silnika wykręcił świecę, a mechanik kazał ojcu przepalić ją przy pomocy lampy lutowniczej. Ojciec nachylony był nad silnikiem i w tym czasie Irmuchanow, nie wiedząc czemu zakręcił korbą. Nastąpił wybuch

mieszanki, która osmalila ojcu całą twarz. W następstwie tego wypadku nastąpiła utrata wzroku.

Od początku 1942 roku zaczęły dziać się rzeczy, które były następstwem umowy Sikorski – Majski. Zaczęły dochodzić wiadomości o organizującej się w Buzułuku, Tatiszczewie i Tockoje Armii Polskiej. Odnajdywały się rodziny. Dzięki temu, że ich synowie służyli w Armii Andersa, dwóm rodzinom spośród naszej społeczności udało się opuścić Dżiren-Kupę i wyjechać później do Iranu. Kiedy 14 marca przyjechał do wsi pierwszy wojskowy, dla Polaków ten dzień stał się wielkim świętem. Każdy chciał zobaczyć polskiego żołnierza, dotknąć jego munduru, nacieszyć się widokiem orzełka na czapce.

18 lutego otrzymaliśmy po raz pierwszy amerykańską pomoc. Nie wiele tego było wobec naszych potrzeb, ale świadomość, że są kraje, a w nich ludzie, którzy o nas wiedzą i o nas pamiętają, którzy chcą ulżyć naszej doli, znacznie podniosła nas na duchu. Oprócz darów rzeczowych rodziny wojskowych, rzadziej inne, otrzymywały od czasu do czasu zapomogi pieniężne, których wysokość oscylowała wokół kwoty 150 rubli, co przy bazarowych cenach było kwotą symboliczną.

Zwykle na przełomie marca-kwietnia dzikie kaczki zaczynały składać jaja. Przemierzałem wtedy step w różnych kierunkach robiąc nieraz wiele kilometrów, a gdy zbliżałem się do gniazda, kaczka z łopotem skrzydeł zrywała się spod moich nóg. Czasem jeszcze nic w nim nie było, a czasem znajdowałem kilka lub nawet kilkanaście jaj. Jeżeli w czasie transportu któreś pękło, wypijałem je. Nic nie mogło się zmarnować. Niestety takie wybieranie jaj trwało krótko, bo później trafiały się już tylko zależone i nie nadawały się do spożycia.

Od chwili wywiezienia nikt z pełnoletnich Polaków nie miał żadnego dokumentu tożsamości. Dopiero na początku maja przywieźli dawno zapowiadane *udostowierienija* (zaświadczenia), ale NKWD rozdało je dopiero 14 maja. Ja jako niepełnoletni zostałem wpisany do zaświadczenia mamy.

Przy Armii Polskiej, która znajdowała się już w Uzbekistanie, utworzono organizację młodzieżową „Junacy”. Łącznie z ochotniczkami z Pomocniczej Służby Kobiet tworzyła pokaźną grupę około 4500 młodych ludzi. O tej organizacji dowiedzieliśmy się z pisma otrzymanego z Aktiubińska, w którym zachęcano, aby kilkunastoletni chłopcy zgłaszali swój akces do niej. Rodzice zdecydowali, że mam jechać. Oprócz mnie zgłosiło się jeszcze dwóch chłopaków. Po wielu perypetiach udało nam się dotrzeć do Przedstawicielstwa Ambasady Polskiej w Aktiubińsku, skąd nas i innych chłopców miał zabrać do Jangi-Jul, miasteczka leżącego na południe od Taszkientu, jakiś polski wojskowy. Okazało się, że zgłosiliśmy się za późno. Kapral Ostrouch (tak nazywał się ów wojskowy) wyjechał przed dwoma dniami z grupą nastolatków. Pani z Przedstawicielstwa kazała nam zgłosić się do NKWD, gdzie mieliśmy otrzymać przepustki. Tam zwodzono nas dwa dni zanim nam je wydano. Jeszcze jeden dzień zajęła, według tamtejszej nomenklatury, obróbka sanitarna.

My to nazywaliśmy odwyszalnią. Dopiero zaświadczenie z punktu dezynfekcyjnego i przepustka uprawniały do nabycia biletów. Po wielogodzinym staniu w kolejce kupiliśmy je i wkrótce pociągiem Moskwa – Taszkient ruszyliśmy w drogę.

Gdzieś za Aralskiem wsiadł do naszego wagonu jakiś w średnim wieku Kazach ubrany w barwny chałat i w *tiubitiejce* (czapeczce bez daszka) na głowie. Miał ze sobą coś długiego zawiniętego w płótno. Wkrótce okazało się, że to coś jest instrumentem muzycznym, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Nasz nowy współtowarzysz podróży przedstawił się jako *narodnyj artist* (artysta ludowy). Powiedział, że instrument, na którym gra, nazywa się *dombra*. Jego owalny korpus przypominał nieco korpus mandoliny, ale był bardziej płaski, natomiast szyjka była wąska i bardzo długa, zakończona płytą kołkową z zaledwie dwoma kołkami napinającymi dwie struny. Dopiero wiele lat później, w Polsce, dowiedziałem się, że *dombra* należy do bardzo licznej rodziny tzw. lutni długoszyjkowych wywodzącej się z Azji Centralnej. Kazach jechał z nami kilkaset kilometrów i długi czas umiłał nam podróż śpiewem przy wtórze *dombry*. Muzyka nie przypominała w niczym tej, do której byliśmy przyzwyczajeni. Wprawdzie słyszałem już nieraz, jak śpiewali Kazachowie, wśród których żyliśmy, ale ich śpiew wydawał się bardziej prymitywny. A może byłem zasugerowany tym, że to śpiewa artysta ludowy?

Od miasta Kazalińsk trasa biegła wzdłuż Syr-Darii, najdłuższej rzeki w Azji Środkowej. Po prawej stronie za rzeką rozciągała się pustynia Kara-Kum, ale i po naszej stronie bardziej przypominał pustynię niż step. Zdziwiła nas duża liczba lśniących w słońcu jeziorek, jednak ktoś z pasażerów wytłumaczył nam, że to lśni nie woda, a sól. Były to tak zwane sołonczaki. Dopiero po przejechaniu kilkuset kilometrów oddaliliśmy się od rzeki.

Pierwszego września po południu dotarliśmy do Taszkienu, a wieczorem do stacji Kaufmanskaja, skąd do Jangi-Julu trzeba było jeszcze przejść kilka kilometrów pieszo. Czekala nas jednak niemiła niespodzianka. Napotkani przed dworcem polscy Żydzi poinformowali nas, że w Jangi-Julu nie ma już wojska, że wszyscy wraz z całym sztabem są już w pociągu, którym wkrótce odjadą do Krasnowodzka i dalej przez Morze Kaspijskie do Iranu. Niestety mieliśmy pecha. Wprawdzie przy jednym z peronów znaleźliśmy pociąg, ale z będącego już w ruchu wyrzucił nas – to nie do pojęcia – polski plutonowy! Do dziś mam przed oczami obraz żołnierza ubranego w *battle-dress* (mundur polowy), z trzema belkami na naramiennikach (tyle belek miał wtedy plutonowy) i naszywką POLAND na rękawie, wymyślającego nam po rosyjsku, chociaż tłumaczyliśmy po polsku, kim jesteśmy i w końcu wykopującego nas (dosłownie) z wagonu na peron.

Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy wracać na gapę. Przepustek nie mieliśmy, biletów nie mogliśmy, i nie mieliśmy za co kupić, bo na dworcu, na oczach tłumu ludzi, obrabowała nas banda *biesprizornych* (bez

opieki) wyrostków. Jedno co mieliśmy, to około 1700 km do przebycia. Korzystaliśmy z różnych pociągów: towarowych, cystern, osobowych. Byliśmy wielokrotnie przeganiani, obrzucani kamieniami, obdzielani kopniakami, ale uparcie posuwaliśmy się na przód. Kilka wydarzeń z tej podróży szczególnie utkwiło mi w pamięci. Na którymś z kolejnych odcinków jechaliśmy na stopniach wagonu pociągu osobowego. Na stopniach sąsiedniego wagonu, ze względu na upał panujący we wnętrzu, jechało kilku sowieckich żołnierzy. Zajadali arbuzy i melony. Nam ślinka ciekła na ten widok, a oni pewnie dostrzegli w naszych oczach pożądliwość, bo któryś z nich spytał:

– *Czto riebiata, golodnyje?* (– Co chłopcy, jesteście głodni?)

Kiwnęliśmy twierdząco głowami. Zawołali nas do siebie i obdarowali kilkoma dorodnymi owocami. W ciągu kilku minut znalazły się w naszych pustych żołądkach. Wraz z częściowym zaspokojeniem głodu przyszła refleksja. Tam polski żołnierz wyrzuca nas z jadącego pociągu, a tu sowiecki wyciąga rękę, dzieląc się tym co ma. Kompletne przewartościowanie pojęć. Słowa „braterstwo”, „przyjaciel”, „wróg” nabierają zupełnie innego znaczenia. Załamuje się wiara w to, co uważało się za święte. Chaos w głowie, chaos w sercu.

Na którejś stacyjce, kiedy też osobowy pociąg ruszał, przeskoczyliśmy płotek oddzielający teren kolejowy i wskoczyliśmy do pulmana. Stailiśmy w wejściu. Pociąg już pędził, kiedy z korytarza wyszedł sowiecki major. Odniósł się do nas całkiem przyjaźnie. Wypytał o okoliczności, które skłoniły nas do takiego sposobu podróżowania, o cel podróży, a jednocześnie ostrzegł, że w razie kontroli na pewno zostaniemy wyrzuceni. Dodał z nutką dumy w głosie, że w 1940 roku był w Warszawie, i że Warszawa bardzo mu się podobała. Wyszedł, ale za chwilę wrócił prowadząc młodą kobietę w mundurze konduktora. Powiedział jej kim jesteśmy i poprosił, aby się nami zaopiekowała. Pokazała nam swój służbowy przedział. Tam mieliśmy się schronić, gdyby pojawiła się kontrola. Opuścili nas, ale major znów wrócił niosąc bochenek chleba.

– Jedzcie na zdrowie – powiedział – pewnie jesteście głodni.

Znów wracają wspomnienia z Jangi-Julu, znów jawi się obraz plutonowego, znów nasuwają się porównania i znów mętlik w głowie.

Mimo takiej protekcji kilkusobowa kontrola zaskoczyła nas. Wchodzili z dwóch stron wagonu uniemożliwiając ucieczkę. W ten sposób wyłapywali *biesprizornych* i uchylających się od służby wojskowej, i dezertów, którzy podobno też się trafiali. Kiedy przyjechaliśmy na stację, było całkiem ciemno. Zaprowadzili nas do budynku, w którym mieściło się NKWD. Na piętrze na korytarzu aż gęsto od takich jak my. Spędziliśmy tam noc, a na drugi dzień dopiero koło południa zaczęli wzywać zatrzymanych przed oblicze jakiegoś naczelnika. Niektórych wypuszczali, innych wyprowadzali pod strażą.

Było całkiem późno, kiedy przyszła kolej na nas. Każdemu, po krótkim przesłuchaniu, *grazhdanin naczalnik* (obywatel naczelnik) nakazał w ciągu 24 godzin zameldować się w Aralsku i podjąć pracę, albo wynosić się stąd. Kiedy po wyjściu zastanawialiśmy się, gdzie można spędzić noc, wypuścili następnego zatrzymanego – niewiele starszego od nas Rosjanina. Zaproponował, abyśmy poszli na dworzec, gdzie będzie łatwiej znaleźć miejsce na nocleg. Po drodze natknęliśmy się na jakiegoś kolejarza, który niósł kilka bochenków chleba. Nasz nowy kolega zaczął go:

– *Diadia! Prodaj chleba* (– Wujku! Sprzedaj chleba).

Odpowiedział, że nie sprzedaje, ale może na coś wymienić. Nasz Rosjanin zapytał, czy może być koszula. Zdziwiliśmy się, bo nic w rękach nie miał. Kiedy kolejarz przystał na propozycję, chłopak zdjął marynarkę i ściągnął koszulę z grzbietu, a marynarkę włożył na gołe ciało. Dostał za to dwa bochenki chleba. Poszliśmy dalej. Przed dworcem na placyku stała trybuna wykorzystywana pewno w czasie bolszewickich świąt. Od tyłu była na wysokości około metra obita deskami, ale z jednej strony brakowało kilku, więc przez otwór wślizgnęliśmy się pod podłogę. Wspaniałe miejsce na nocleg, ale jeszcze wspanialsze było to, że nasz towarzysz rozdzielił chleb sprawiedliwie, każdemu po równo, tak jakbyśmy wnieśli jakiś wkład w jego zdobycie. Niesamowite! Jak solidarny może być człowiek! Jak prawdziwie ludzki! Do dziś na to wspomnienie odczuwam wielki szacunek dla niego i wielką wdzięczność.

O świcie poszliśmy jeszcze do portu, aby popatrzeć z bliska na to olbrzymie jezioro nazywane tu Aralskim Morzem. Wtedy jeszcze jego powierzchnia wynosiła ponad 66 tys. km<sup>2</sup>. Zasilane było głównie wodami dwóch wielkich rzek Amu-Darii i Syr-Darii. Stalinowska polityka przeobrażania przyrody sprawiła, że z powierzchni Uzbekistanu, Turkiestanu i południowej części Kazachstanu zniknęły wszelkie uprawy. Zastąpiono je monokulturą bawełny. Do sztucznego nawadniania korzystano w sposób rabunkowy z wód obu dopływów. Doprowadziło to do tego, że od lat 70 Syr-Daria nie dociera do jeziora ginąc w piaskach pustyni, a Amu-Daria dociera tylko okresowo. Jezioro gwałtownie wysycha i w końcu lat 90 jego powierzchnia skurczyła się do 33 tys. km<sup>2</sup>. Aralsk, podobnie jak leżący na południu Mujnak i inne mniejsze miasta, przestał być portem i ośrodkiem rybołówstwa. Wszystkie teraz leżą na pustyni dziesiątki kilometrów od brzegu.

Tu pożegnaliśmy naszego rosyjskiego przyjaciela. Miał inne plany i nie zamierzał jechać z nami na północ. Nam wkrótce udało się złapać pociąg jadący w naszym kierunku, ale jeszcze kilkakrotnie musieliśmy się przesiadać na inne. Ostatni etap z Aktubińska do Sol-Ilecka przejechaliśmy niemal w komfortowych warunkach. Konduktorka pozwoliła nam ulokować się w przedziale obok innych pasażerów. Jechaliśmy nocą i dziwiła się, że wymienialiśmy kolejne miasta zanim do nich dotarliśmy: Martuk, Jajsan, Akbułak i wreszcie Sol-Ileck. Tu poczuliśmy się jak w

domu. Ponieważ jeszcze nie świtało, poszliśmy do domu noclegowego naszego sowchozu i na podłodze przespaliśmy się do rana, po czym nie zwlekając ruszyliśmy pieszo w dalszą drogę.

Niespełna dziesięć kilometrów na południe od Sol-Ilecka płynie Ilek. Przebyliśmy go w bród (mostów w takich miejscach nie było) i znaleźliśmy się wśród *bachczy* ciągnących się po obu stronach drogi. *Bachcza* to pole w stepie zasiane arbuзами i melonami. W tamtych stronach często spotykało się takie *basztany* w pobliżu wsi zamieszkałych przez Rosjan lub Ukraińców. Kazachowie tego typu uprawami się nie zajmowali. Wielkie kule owoców widać było z daleka, ale co kilkaset metrów stały szafasy i kręcili się strażnicy. Mimo to udało się nam podkraść tyle arbuзów i melonów, że zaspokoiliśmy i głód i pragnienie.

W Dżireń-Kupie również był taki basztan, na który robiliśmy nieraz nocne wyprawy. Czołgaliśmy się po plantacji, bo też była pilnowana, a zerwane owoce ładowaliśmy do worków ciągniętych za sobą. Mieliliśmy chyba dużo szczęścia, bo nie pamiętam, aby nas kiedykolwiek na tym procederze przyłapano. Pod wieczór ukazały się w oddali zabudowania wsi. To dodało sił naszym zmęczonym całodziennym marszem nogom. Jeszcze przyśpieszyliśmy kroku i po przekroczeniu w bród Chobdy rozeszliśmy się każdy do swego domu.

Pierwszą spotkałem mamę.

– Synku kochany! To ty? – Zawołała z niedowierzaniem. Uściśkom, całusom i łzom nie było końca. Podobnie wyglądało powitanie z babcią i ojcem. Zdziwienie moim powrotem było tym większe, że akurat wczoraj otrzymali mój list wysłany z drogi do Jangi-Jul. Musiałem oczywiście streścić cały przebieg naszej eskapady, a przy okazji dowiedziałem się, że jest już 10 września. W podróży, licząc od wyjścia z Dżireń-Kupy byliśmy ponad trzy tygodnie. W tym czasie przejechaliśmy i przeszliśmy prawie 4 tys. kilometrów.

23 września, licząc na pewną poprawę warunków, przenieśliśmy się do kołchozu Brusilówka leżącego 12 km na północ od Dżireń-Kupy. Jak na tamtejsze warunki był to dosyć bogaty kołchoz. Każda rodzina miała jakąś krowinę, parę owiec trochę kur, gęsi, a nad rzeką niewielki spłachetek ziemi, coś w rodzaju ogródka przydomowego, albo działki. Tu urwały się niemal wszystkie moje kontakty z Kazachami, bo mieszkańcami wsi byli w większości Rosjanie i Ukraińcy, do których kulturowo było nam wszystkim znacznie bliżej niż do Kazachów.

Tu jednak miałem okazję zobaczyć, jak Kazaszki wyrabiały z mleka swoje narodowe specjały: *irumszik* (akcent na ostatniej sylabie), *sarsę* i *kurt*. Zobaczyć, ale i spróbować. Gospodynie w żeliwnym kotle bardzo długo gotowały mleko. Nie wiem, czy dodawały coś do niego, ale raczej nie. Po jakimś czasie wytrącał się twaróg. Wybierały go na matę i suszyły na słońcu. Jego kawałki miały kształt poskręcanych uszek koloru ja-

snobrazowego, a smak słodkawy. Był to *irumszik*. Kazachowie często pogryzali go popijając herbatę.

Pozostała serwatka była nadal gotowana, aż po odparowaniu pozostawała na dnie gęsta, brązowa papka. *Marża* (żona, a bardziej ogólnie – kobieta) lepiała z niej okrągły placuszek średnicy około 10 cm o grubości około 2 cm, i wkładała go do wyschnięcia najczęściej na dach chaty. To była *sarsa*. Trudno po tylu latach dokładnie określić jej smak, ale na pewno była gorzko – kwaśno – słodka. Kiedyś przechodząc koło jakiejś lepianki zauważyłem dwie suszące się *sarsy*. Ślina gwałtownie napłynęła mi do ust, a żołądek burczeniem dopominał się o napełnienie go. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Podkradłem się, chwyciłem obie i popędziłem w step, aby je w spokoju skonsumować. Na moje szczęście nikt nie zauważył kradzieży i nikt mnie nie gonił. Jak bardzo mi wtedy smakowały! Aby zrobić *kurt* mleko należało mocno przekwasić i twaróg z niego powiesić w worku do odsączenia serwatki. Do bardzo kwaśnego i niezbyt zachęcająco pachnącego dodawano nieco mąki, wyrabiano i formowano bryłki wielkością i kształtem zbliżone do naszych małych oscypków, a następnie rozkładano do wysuszenia. Poza kwaśnym smakiem *kurt* odznaczał się mało przyjemnym zapachem. Moja cioteczna siostra – Alusia – nieraz wspomina te wyroby, bo jako mała dziewczynka często była nimi ugaszczana przez Kazaszki litujące się nad stale głodnym dzieckiem. Do dziś zresztą czuje wdzięczność do tych nieznanych kobiet.

Życie w Brusilówce miało pewne plusy, ale i poważne minusy. Zresztą wszędzie sytuacja Polaków po wyjeździe Armii gen. W. Andersa do Iranu uległa pogorszeniu. Zaczęły się represje, odebrano nam *udostowierienija*, zmuszono do przyjmowania sowieckich paszportów, a tym samym sowieckiego obywatelstwa, wiele osób aresztowano. W końcu marca 1943 r. pan Stanisław Polak, który uczył nas w funkcjonującej zaledwie trzy miesiące szkółce, mój przyjaciel Zbyszek Pieńkowski i ja dostaliśmy wezwanie do Chobdy w celu stawienia się przed komisją poborową. Zawiózł nas Kazach saniami zaprzężonymi w wielbłąda. Pana Stanisława, podobnie jak wielu innych, zatrzymali, a mnie i Zbyszka zwolnili. Wracaliśmy do domu około 120 km pieszo już w czasie trwających roztopów. Pan Stanisław był podobno w tak zwanym batalionie pracy gdzieś pod Moskwą, skąd uciekł, ale został złapany i wszelki ślad po nim zaginął.

My ze Zbyszkiem pierwszego dnia pod wieczór napotkaliśmy dwie bazy, w których trzymano bydło, a w wydzielonych kilku małych izdebkach mieszkali Kazachowie. W pierwszej bazie nie chciano nas przyjąć i jeszcze poszczuto psami, natomiast w drugiej samotna Kazaszka, nie dość, że pozwoliła przenocować, to jeszcze udzieliła jakiejś nędznej strawy – podzieliła się tym, co miała i podtrzymywała całą noc ogień susząc naszą przemoczoną odzież. Spaliśmy na polepie przy glinianym piecu, ale w ścianie były szpary i przez noc nawiało na nas nieco śniegu. Gospodyni, to słowo brzmi jak tytuł arystokratyczny przy jej widocznej miserii, uzależniła się, że jest sama, bo jej syna zabrali do wojska i być może



na froncie ponieważ się gdzieś tak jak my. Byliśmy ogromnie wdzięczni za jej dobre serce, bo gdyby nie ona przyszłoby nam spędzić noc na dworze, albo wcisnąć się cichaczem między krowy.

Dalsza droga była drogą przez mękę. Gwałtownie topniejący śnieg sprawił, że każdy jar zamienił się w rwący potok, a małą latem rzeczkę Tumanczę, lewy dopływ Bolszoy Chobdy przechodziliśmy po spiętrzonych krach tworzących zator. Wróciliśmy do domu w opłakanym stanie. 24 maja dziewięcioro Polaków zostało zmobilizowanych na *trudowej front* czyli tak zwany front pracy (coś w rodzaju hitlerowskich robót przymusowych). Wśród tej dziewiątki znalazł się Zbyszek i ja. Mobilizacja odbywała się na takiej zasadzie, że kolchozowi nakazywano wysłać na front określoną liczbę osób. Przewodniczący chroniąc swoich kierował Polaków. Podczas całego mego pobytu w Brusilówce ani razu nie zdarzyło się, aby zmobilizowano kogoś z Rosjan. Zawieźli nas siedem kilometrów na zachód od Sol-Ilecka i wysadzili przy torze kolejowym, na którym stał pociąg złożony z wagonów towarowych. Okazało się, że to ma być nasz hotel robotniczy. Miejsce to według oficjalnej nomenklatury nazywało się Kolonna nr 3 (Kolumna nr 3). Byliśmy na budowie linii kolejowej łączącej Sol-Ileck przez Aksaj z Uralskiem. Przeglądając starsze mapy można stwierdzić, że takiej linii nie ma, natomiast na mapach powojennych jest. Musiała zatem powstać w czasie wojny, a my ją budowaliśmy.

Praca była niesłychanie ciężka. Wszystko wykonywano ręcznie: wykopy, wynoszenie ziemi, układanie podkładów i szyn. Żadnej mechanizacji. Dla mnie, wówczas szesnastolatka, przy głodowych racjach żywnościowych, była to praca zabójcza. Po trzech tygodniach w niedzielę 13 czerwca uciekłem. Zbyszek uciekł dwa tygodnie po mnie, a jakiś czas po nim dwie siostry Stasia i Jadzia Bronowiczówny. Wszyscy początkowo ukrywaliśmy się nie wychodząc w dzień z domów. Tajemnicą pozostaje fakt, że Zbyszek i ja nie znaleźliśmy się w sferze zainteresowań NKWD i nie doznaliśmy żadnych represji. Starsze od nas siostry wytropili i postawili w Aktiubińsku przed trybunałem wojennym oskarżając je o dezercję. Stasię skazano na pięć lat więzienia, Jadzię na pięć lat przymusowych robót. Pierwszą wywieziono do Taszkientu, a następnie przerzucono do Czymkientu, gdzie na skutek pracy ponad siły i głodu zmarła w 1944 roku. Jadzia jakiś czas pracowała w Aktiubińsku, a gdy mieli ją wysłać na północ w tajgę, jeszcze raz zaryzykowała i znów uciekła. Pół roku ukrywała się w Brusilówce, a następnie cichaczem przeniosła się do Dżireń-Kupy.

Jakiś czas potem znów otrzymałem wezwanie na *trudowej front*. Tym razem nawet napisali, gdzie będę skierowany. Był to Niżnyj Tagił, miasto położone około 1000 km na północ od Czałowa, jeszcze za Czełabińskiem i Swierdłowskiem, w Środkowym Uralu. Jest to jeden z najstarszych ośrodków górniczych na Uralu liczący sobie ponad dwa wieki, z rozwiniętym przemysłem hutniczym, maszynowym i innymi. Było oczywiste, że stamtąd nie będzie dla mnie powrotu. Postanowiłem uciekać z Brusilówki zanim mnie wywiozą.

Z sowchozów, jako przedsiębiorstw państwowych, nie mobilizowano ludzi na front pracy, w przeciwieństwie do kolchozów, które teoretycznie były niepaństwowe i miały „przywilej” dostarczania taniej siły roboczej instytucjom państwowym. Najbliżej miałem do Dżireń-Kupy i tam postanowiłem wiać. W końcu września przenieśli się z Brusilówki rodzice z babcią. Zamieszkaliśmy w bardzo dużej izbie w budynku przypominającym bazę dla bydła, ale częściowo znajdującym się poniżej poziomu gruntu. Dwa okienka takie jak w wagonie towarowym znajdowały się niemal pod sufitem, a rozmieszczone były po przekątnej izby. To od strony drogi umożliwiało obserwowanie tylko nóg poniżej kolan osób przechodzących obok domu. Tu drugiego października kolejny cios dotknął naszą rodzinę. Po krótkiej chorobie zmarła babcia. Z pięciorga wywiezionych zostało nas już tylko troje.

Wkrótce nadeszła kolejna, trzecia już zima na zesłaniu. Żadne wróżby wieszczące szybki koniec wojny i powrót do Polski nie ziściły się. Jednak każda pomyślniejsza wiadomość ożywiała na nowo nasze nadzieje. Bitwę pod Stalingradem, bitwę pod Kurskiem, a nawet powstanie Związku Patriotów Polskich przyjmowaliśmy jako kolejne etapy przybliżające koniec naszej tułaczki.

Wzorem poprzednich lat przygotowaliśmy już wcześniej pryzmę *kizaku* i stertę opału roślinnego, w którym przeważał tak zwany *katun*. Nie znalazłem nigdzie odpowiednika polskiego tego słowa. Na stepie roślina ta przyjmuje kształt kuli. Po wyschnięciu ma kolor żółtopomarańczowy. Każdy silniejszy podmuch wiatru odrywa ją od ziemi i toczy po stepie. Stąd nazwa *katun*, bo *katitsia* znaczy tyle, co toczyć się. Łapaliśmy takie toczące się kule, ugniataliśmy w wiązki i nosiliśmy na plecach pod dom układając stertę. Do wyciągania ze sterty służył *diorgacz*. Można by to przetłumaczyć jako szarpacz (*diorgat* – szarpać, targać, wrywać). Był to pręt metalowy zakończony z jednej strony jak harpun, a z drugiej wygięty na kształt uchwytu. Wbijało się go w stertę i wyszarpywało z niej pęczki opału. Poza *katunem* mógł to być burzan, mogła być trzcina lub cokolwiek innego. Wszystkie te rodzaje opału wymagały stałego podkładania. Aby cokolwiek ugotować, trzeba było spalić ogromne jego ilości. Kuchnie miały odpowiednio duże drzwiczki, przez które jedna osoba pilnująca ognia musiała co chwila dokładać świeżą porcję. *Kiziak* był znacznie lepszym opalem o kaloryczności zbliżonej do kaloryczności torfu.

Na początku grudnia jeden z brygadzystów powiedział mi, że mam popędzić tabun koni do leżącego mniej więcej w połowie drogi do Chobdy sowchozu Akrab. Dostałem delegację ważną pięć dni i dziewiątego grudnia o świcie ruszyłem z ponad dwudziestką koni w drogę. Mróz był siarczysty, na pewno dużo poniżej  $-20^{\circ}\text{C}$ . Nie miałem walonek a ojca buty z cholewami, nie zabezpieczały zbytnio przed takim mrozem. Zrobiło mi się zimno w nogi, więc zacząłem nimi uderzać o boki konia, próbując je w ten sposób rozgrzać. Rzeczywiście po jakimś czasie przestałem

odczuwać chłód. Pod wieczór dotarłem do sowchozu. Jakiś pracownik biurowy oznajmił mi, że konie mam popędzić jeszcze kilkanaście kilometrów dalej, do którejś fermy, jednak ze względu na zapadający zmierzch kazał mi się ulokować z moim stadem na noc w bazie. Umieściłem koniki przy żłobach, nakładłem im siana, a sam umościłem sobie w jednym z tych żłobów posłanie i ułożyłem się do snu.

Następnego dnia nim dotarłem na miejsce, znów zaczął zapadać zmierzch. Zimą to naturalne. Ferma składała się z kilku nędznych lepianek. W jednej z nich, w maleńkiej izdebce, mieszkał samotny stary Kazach, któremu przekazałem stado. We wnętrzu panowało przyjemne ciepło, więc rozebrałem się, podczas gdy on poszedł gdzieś ulokować konie. Gdy wrócił zaparzył herbatę, zrobił coś do jedzenia, po czym pokazał, w którym miejscu na podłodze będę spał. Od wyjazdu z domu był to mój pierwszy ciepły posiłek. Siadłem na posłaniu i zacząłem ściągać buty. Czułem, że coś jest nie w porządku z moimi nogami. Gdy zdjąłem skarpetki zobaczyłem, że lewa stopa od małego palca po piętę jest czarna. Niewiele lepiej wyglądała prawa. Kazach na to wykrzyknął:

– *Oj purmaj, kutuk Żumabaj!* – Okrzyk zdziwienia i przerażenia, coś w rodzaju naszego „O rany Julek!”, a Żumabaj to kazaskie imię męskie.

– *Propal noga!* – dodał, czyli nogi przepadły.

Tu należy wyjaśnić, że z reguły starzy Kazachowie, chociaż i część młodszych, źle mówili po rosyjsku. Przypominało to mowę sienkiewiczowskiego Kalego z *W pustyni i w puszczy*: „Kali powiedzieć, Kali zrobić itp.”.

Położyłem się, ale wkrótce nogi zaczęły odmarzać. Ból niesamowity. Powstrzymałem się całym wysiłkiem woli, żeby nie wyć. Po jakimś czasie ból zelzał na tyle, że trochę się zdrzemnąłem. Było jeszcze ciemno, kiedy gospodarz zaczął się krzątać. Miał jechać do centrali i chciał tam być możliwie wcześniej. Zapalił kopcikę – buteleczkę wypełnioną naftą z osadzonym w niej knotem. Przy jej nikłym blasku zobaczyłem, że nogi nie dość, że są czarne to jeszcze spuchnięte i porobiły się na nich bąble wypełnione krwawą cieczą. Skarpetki jakoś wciągnąłem, ale każda próba włożenia buta powodowała znów okropny ból. Wyszedłem w skarpetkach na dwór, siadłem na znajdującej się przed chatą ośnieżonej przyzmi nawozu i ponowiłem próbę. Łzy ciekły mi jak groch.

Udało mi się z wielkim trudem i w wielkim bólu wsunąć nogi tak, że pięty znajdowały się nad napiętkami. Podobny układ stopy mają panie chodzące w pantoflach na bardzo wysokich obcasach. Wgramoliłem się jakoś na konia i ruszyliśmy – Kazach na przedzie saniami, ja za nim. Wiał dosyć silny wiatr i prószył śnieg. Wkrótce zaczęło świtać. W Akrabie pożegnałem go serdecznie, podziękowałem za gościnę, jakiej mi udzielił i dalej pojechałem sam. Za Akrabem wiatr dał już bardzo mocno i sypał gęsty śnieg. Prawdziwy *buran* (zameć śnieżna). Tu w Kazachstanie można go chyba porównać tylko z syberyjską *purgą*. Bywa tak, że nie da się dojrzeć nawet własnej wyciągniętej dłoni.

Kiedyś ojciec w czasie takiej śnieżycy wyszedł do sklepu. Mieliśmy do niego blisko, ale ojciec szedł długo na oślep zmagając się z wichurą. Szedł i szedł, a tu ani sklepu, ani żadnej chaty pozwalającej zlokalizować swoje położenie. Porządnie zmęczony natknął się na jakąś ścianę. Posuwając się wzdłuż niej dotarł do wrót. Szczęśliwie trafił na bazę. Kobiety, które tam pracowały przy krowach powiedziały, że jest w czwartej bazie. W centrali były takie cztery bazy rozstawione w jednej linii co kilkaset metrów. Czwarta znajdowała się najdalej, kilka kilometrów za wsią. To istny cud, że ojciec przypadkowo trafił na nią. Parę metrów w bok i poszedłby w niekończący się step. Nierzadkie były wypadki zabłądzenia i zamrznięcia. Człowiek przebijał się przez śnieg tracąc coraz bardziej siły. Gdy przysiadł na chwilę, aby odpocząć, już się nie podnosił. W domu bardzo niepokoił się długą nieobecnością ojca. Na szczęście *buran* wkrótce ucichł, a bywają takie, kiedy wieje kilka dni z rzędu.

Nieraz po śnieżycy wszystkie lepianki były całkowicie zasypane. Drzwi otwierały się do środka, co umożliwiało przekopanie się przez śnieg i wydostanie na zewnątrz. Mimo tragizmu całej sytuacji widok był piękny, szczególnie wcześniej rano, w jaskrawych promieniach wschodzącego słońca. Wokół, jak spojrzeć, tam gdzie stały chaty, tylko śnieżne pagórki. Z niektórych unosiły się ku błękitnemu niebu smużki dymu. To tam, gdzie komuś wcześniej udało się odkopać komin. A procedura była taka: po wydostaniu się na dwór trzeba było wejść na pagórek, czyli na dach, odszukać komin i odkopać go, aby w domu można było rozpalić ogień, a następnie ustalić, gdzie są okna i przekopać tunele w ich kierunku. Dopiero wtedy w chacie zaczynało się prawie normalne życie. Prawie, bo wkrótce wszyscy zdolni do pracy musieli wyjść i rozkopywać zasy, aby można było dostać się do sowchozowych obiektów.

Jedną z prac, do których też zapędzano wszystkich, było tak zwane *śniegozadzierzanie*. Nie da się tego wyrazu zastąpić jednym polskim słowem, a znaczone tyle, co zatrzymanie śniegu. W stepie wiatr nie napotykając prawie żadnych naturalnych przeszkód przewiewa śnieg z miejsca na miejsce, chodziło zaś o to, aby zatrzymać go jak najwięcej, co z nadejściem ocieplenia miało zapewnić glebie dużą ilość wilgoci. Należało usypać równoległe rzędy śniegowych wałów, przy których w czasie buranu tworzyły się wysokie i długie zasy. Było to coś w rodzaju odśnieżek stawianych u nas przy niektórych odcinkach dróg i torów kolejowych, czy inaczej płotków odśnieżnych.

Jechałem niezbyt szybko, bo nogi nie pozwalały mi utrzymywać się pewnie w strzemionach. Drogę było jeszcze widać, tym bardziej, że ktoś przede mną jechał saniami i śnieg nie zdążył zasypać śladów. Jednak bardzo szybko ślady stawały się coraz mniej widoczne i wkrótce nie wiadomo było gdzie droga, gdzie step. Wokół jednakowa biała równina i tylko wycie wiatru niosącego kłęby śniegu ograniczającego widoczność do kilku metrów. Mimo dnia panował półmrok. Gdzieś, kiedyś wyczytałem, że konie posiada-

ją nadzwyczajny instynkt i same potrafią odnaleźć drogę. W tym była moja jedyna nadzieja. Przestałem powodzić i po prostu położyłem cugle na łąku siodła zdając się całkowicie na konia.

Nie zawiodłem się na nim. Zauważyłem, że jesteśmy w kolchozie Krasnojarskim, kiedy wjechałem między chałupy. Z powodu zawiści nie sposób było dostrzec wsi z daleka. Nabrałem pewności, że nie zabłądzą w stepie, że dotrę do domu. Do Brusilówki było już blisko, a stamtąd 12 kilometrów i Dżireń-Kupa. Wydawała mi się wtedy tym jedynym, najbardziej pożądanym miejscem na ziemi. W Brusilówce zatrzymałem się przed domem, w którym mieszkali wywiezieni z nami państwo Kruszewscy. Akurat w oknie siedziały ich dwie córki – Wanda i jej starsza siostra Halina. Zapraszały mnie gestami do domu, ale ja byłem tak skostniały, że nie mogłem nawet zsunąć się z konia. Widocznie zauważyły, że ze mną jest coś nie porządku i wyszły na dwór. Zdjęły mnie z siodła i zaniósły do mieszkania. Rozebrały mnie, a kiedy ściągnęły buty, były wprost przerażone widokiem moich nóg. Stan ich był jeszcze gorszy niż wczorajszego wieczora, bo po odtajaniu w chacie Kazacha, w czasie wielogodzinnej jazdy ponownie zamarzły.

U państwa Kruszewskich przeleżałem około dwóch miesięcy. Pomocy medycznej żadnej. Panie pielęgnowały mnie, jak mogły najlepiej. Dwa razy dziennie opatrywały rozległe rany, które potworzyły mi się na nogach, a ja przecież żyłem i cały mój organizm funkcjonował normalnie ze wszystkimi jego fizjologicznymi potrzebami. Jestem dożgonnie wdzięczny całej tej szlachetnej rodzinie za to, co dla mnie zrobiła. Chyba to był już luty 1944 roku, kiedy rodzicom udało się wyprosić u dyrekcji sowchozu konia i sanie, którymi można by było przewieźć mnie z Brusilówki. Wkrótce po przyjeździe odwiedziła mnie doktor Derksen. Jedyne co mogła zrobić, to kazała moczyć nogi w roztworze *kalium hypermanganicum*. Niczym innym nie dysponowała.

Kiedy nogi zaczęły się goić, przyplątał mi się dur brzuszny, potem malaria, zapalenie płuc, tak że prawie cały 1944 rok był dla mnie pasmem chorób. Chyba Opatrzność czuwała nade mną, że z tego wszystkiego wyszedłem. W krótkich przerwach między chorobami chodziłem trochę po wsi i bliskiej okolicy, czasem do sklepu po kartkowy chleb, czasem po południu po *arian*, takie rzadkie zsiadłe mleko. Skąd *arian*? Otóż każdego roku, gdy step się zazielenił, wyruszano ze stadami bydła za Chobdę. Z reguły wyjeżdżali Kazachowie z całymi rodzinami. Mężczyźni pełniący rolę pastuchów konno, kobiety – dojarki – z dziećmi i całym dobytkiem wozami. W stepie rozbijali jurty, w których mieszkali do końca lata. Krowy dojono na miejscu, mleko odfuszczano w centryfugach, ale gdzie dalej była przerabiana śmietana, tego nie wiem. Co jakiś czas przylatywał do sowchozu mały, dwupłatowy samolot popularnie zwany kukuruźnikiem. Ładowano do niego duże, w formie prostopadło-

ścianów, bryły masła i wywożono. Dokąd? Na miejscu w sklepie nigdy go nie było.

Odtłuszczone mleko dojarki wlewały do dużej drewnianej beczki umieszczonej na wozie i zakwaszały. To był właśnie arian. Jedna z dojarek przed wieczorem przywoziła go do sowchozu. Na przyjazd beczkowszu oczekiwała zawsze spora grupa Polaków z wiadrami, bańkami i czym kto miał. Kazaszka odmierzała czerpakiem żadaną ilość *arianu* aż do opróżnienia beczki, po czym udawała się na noc do swego domu. Teraz do akcji wkraczały dzieci. Te najmłodsze wchodziły przez kwadratowy otwór w górnej części do środka i z dna i ścian wyskrobywały resztki mleka. Wychodziły, kiedy nie dało się już nic więcej wyskrobać. Na to tylko czekały psy, których sporo wałęsało się po wsi i okolicy. Wskakiwały do środka i wylizywały ściany z tego, co pozostało po dzieciach. Gdy i one nie miały już nic do wylizania, opuszczały beczkę. Rano Kazaszka zaprzęgała do beczkowszu woły i wracała na step. Przejeżdżając przez rzekę zatrzymywała się na środku, wlewała parę wiader wody i jechała dalej. W czasie jazdy woda ostatecznie „wymiwała” beczkę. Po południu scena powtarzała się.

W końcu lata Kazachowie ściągali z bydłem ze stepu. Raz na jednym z wozów z tyłu zobaczyłem martwego wilka. Obok szło potężne psisko w obroży najeżonej kolcami. Okazało się, że to właśnie ta bestia zagryzła wilka, który próbował atakować krowy. Starzy Kazachowie opowiadali jak w czasach kiedy byli jeszcze wolnym narodem urządzali polowania na wilki. Kilku jeźdźców wyruszało w step. Gdy dostrzegli wilka, galopowali obok niego przez dłuższy czas. Wilk cały czas miał zwróconą głowę w ich stronę. W pewnym momencie jeźdźcy przejeżdżali na jego drugą stronę. Podobno mięśnie na wilczym karku były tak zesztyniałe, że nie mógł odwrócić głowy, a Kazachowie zabijali go uderzeniami nahajek zakończonych ołowianymi kulkami. Nahajki do jazdy konnej (*kamczi*) mieli piękne.

Zupełnie inne były bicz używane do poganiania wołów w czasie orki. Do dwuskibowego pługa zaprzęgano trzy pary wołów, po parze w rzędzie. Cały zaprzęg z pługiem miał długość 8-10 m. Aby sięgnąć pierwszej pary należało mieć odpowiednio długi knut. Składał się z kilku odcinków: pierwszy spleciony z ośmiu rzemieni, drugi z sześciu, trzeci z czterech, a zakończenie stanowił rzemień pojedynczy. Niełatwo było opanować umiejętność posługiwania się takim biczyskiem, ale za to jak pięknie, głośno się z niego strzelało!

Naszym nieodłącznym towarzyszem poza permanentnym uczuciem głodu było robactwo, szczególnie wszy. Każdy je miał i nie było sposobu, aby się ich pozbyć. W Dżireń-Kupie spotkałem się z różnymi sposobami niszczenia tych insektów. Wszedłem kiedyś do bazy, w której Kazaszki wyrzucały spod krów nawóz. W pewnym momencie jedna z nich wbiła widły w pryzmę i zaczęła palcami przebierać we włosach. Najwyraźniej coś

uchwyciła, spojrzała i włożyła do ust. Zaciśnęła zęby, po czym zaczęła ssać i wreszcie splunęła. Później dowiedziałem się, że Kazaszki uważają za rzecz zupełnie normalną odzyskiwanie w ten sposób swojej krwi wyssanej przez wesz. Wielokrotnie byłem świadkiem, jak dzieciak kazaski siedząc na ziemi przed domem „jeździł” zębami od góry do dołu po szwach koszuliny. Przypominało to zachowanie psiaka, który tak kłapie zębami szukając pcheł. Dostyc często można było spotkać iskające się dziewczyny, czy kobiety, ale okropnie wyglądało, kiedy iskająca rozgniałała wszy paznokciem na nożu, którym po wytarciu o spódnicę kroiła na przykład chleb. Latem do zwyczaju należało moczenie zimowej odzieży w rzece. Przyciskano fufajkę, czy watanę spodnie jakimś żelastwem (kamieni tam nie było) i zostawiano na dłuższy czas w wodzie. Wszy po prostu się topiły. Po takim zabiegu odzież trzepano, wieszano i suszono na słońcu czekając na następny sezon.

W ostatnich dniach października przenieśliśmy się do Sol-Ilecka. Podobnie postąpiło wiele polskich rodzin. Po utworzeniu w 1943 roku Związku Patriotów Polskich ponownie uzyskaliśmy pewne przywileje utracone w 1942 roku po zerwaniu przez Związek Sowiecki stosunków z Rządem Polskim w Londynie. Jednym z tych przywilejów była możliwość wyboru miejsca zamieszkania. Sol-Ileck leżał w Rosyjskiej Federacyjnej Republice Radzieckiej niemal na granicy z Kazachstanem. Mieszkało tu dużo Kazachów, chociaż na pewno nie byli w większości, ale bardzo dużo przyjeżdżało na handel i po sól. W Sol-Ilecku jest duża kopalnia soli. Ja jednak już do końca naszego pobytu na zesłaniu nie spotykałem się z nimi ani w pracy, ani towarzysko.

Do Polski wróciliśmy w ramach repatriacji w pierwszej połowie kwietnia 1946 roku. Gdyby nie okoliczności i warunki w jakich przyszło nam żyć w Kazachstanie, na pewno patrzyłbym na ten kraj zupełnie innym okiem. Jednak i tak nie raz oczami wyobraźni widzę piękny bezkresny step pełen barwnego kwiecia, rozkołysanych na wietrze traw z białymi pióropuszcami (nie wiem, jak się nazywają) przypominających wzburzone morze, odurzający swym zapachem, pełen śpiewu różnego ptactwa, nawoływań dzikiej zwierzyny. To na początku lata, kiedy przyroda tam dosłownie wybucha. Widzę go również, jak spalony słońcem, w drgającym od żaru powietrzu czeka na deszcz, który bardzo rzadko pada. Widzę jego zimowy urok pod czarnym, rozgwieżdżonym niebem, nieskazitelną biel śniegu skrzącą się w słońcu, słyszę wycie wichru i wycie wilków, które nieraz napęłniało serce trwogą. Nade wszystko wspominam mile Kazachów rdzennych mieszkańców tej ziemi, od których, poza nielicznymi wyjątkami, nie zaznałem niczego złego.

\*

Kazimierz Burzyński urodził się 13 czerwca 1927 roku w Zagożdżonie (obecnie Pionki) koło Radomia. Został ochrzczony w Katedrze Łomżyńskiej (ojciec Edward pochodził z Łomży) stąd w dokumentach, jako miejsce urodzenia figuruje Łomża. Ro-

dzeństwa nie miał. W czerwcu 1939 roku ukończył szóstą klasę szkoły powszechnej. W czasie kampanii wrześniowej przebywał z babcią Kazimierą u rodziny w Warszawie. Po zajęciu stolicy przez Niemców wrócił do Łomży znajdującej się już pod okupacją sowiecką. Tu w czerwcu 1941 ukończył piątą klasę dziesięciolatki sowieckiej. Kilka dni później, w przeddzień wybuchu wojny niemiecko – sowieckiej wraz z rodzicami i rodzicami ojca został wywieziony do Kazachstanu. Przebywał kolejno w kołchozie Żusa-saj rej. Martuk, obw. Aktiubińsk, sowchozie Dżireń-Kupa, rej. Chobda, kołchozie Bru-siłówka, rej. Chobda a od października 1944 r. do repatriacji w końcu marca 1946 r. w miasteczku Sol-Ileck, obw. Czkałów, RFRR (kiedyś i obecnie Orenburg). Był robotnikiem rolnym, a w Sol-Ileku robotnikiem w szpitalu rejonowym. Po powrocie z pięcioletniej zsyłki uczył się w Państwowym Gimnazjum, a później Liceum Przemysłu Drzewnego. Tam też od 1951 roku pracował w Warsztatach Szkolnych, jako główny technolog, kierownik biura technicznego, a przez dwa lata, jako pełniący obowiązki kierownika warsztatów. Po uzyskaniu w 1957 roku dyplomu inżyniera mechanicznej technologii drewna uczył przedmiotów zawodowych w macierzystej szkole, która po licznych zmianach nosi obecnie nazwę Zespołu Szkół Drzewnych. W 1983 roku wydał podręcznik *Konstrukcje wyrobów z drewna*. Jest autorem programów nauczania przedmiotów zawodowych. Do żadnej partii nie należał. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Zesłańców Sybiru i innymi licznymi odznaczeniami. Od 1984 roku na emeryturze. W 2004 roku opisał swoje zesłańcze przeżycia w książce pt. *Wspomnienia sybiraka*. Prywatnie szczęśliwy ojciec dwóch synów i córki, dziadek siedmiorga wnucząt, a od czwartego lipca 2004 roku pradiadek pierwszej prawnuczki Zuzi. (red.)







---

**ANNA MILEWSKA-MŁYNIK**

## **FELIKS MOSTOWICZ I JEGO DROGA DO POLSKOŚCI**

Mała osada zagubiona w stepie. Rzędy podobnych, parterowych domków, studnia, wiatrak, kilka samotnych drzew, a wokół, jak okiem sięgnąć, pustka. Tak kiedyś wyglądała Biełojarka, rodzinna wieś artysty-malarza Feliksa Mostowicza. Czy kiedykolwiek utożsamiał się z tym miejscem, traktował jak swoją „małą ojczyznę”? Na to pytanie trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Dla wielu ludzi rodzinny zakątek ma wartość szczególną. Stanowi najbliższą przestrzeń, która pozwala identyfikować się z tym, co własne, nawet wtedy, gdy okolica jest uboga i niezbyt piękna. Oceniana przez pryzmat emocjonalnej więzi ulega swoistej waloryzacji i w oczach mieszkańców staje się wyjątkowa, obdarzona niepowtarzalnym klimatem i charakterem. Jest miejscem, do którego chętnie wraca się myślą.

W przypadku Feliksa Mostowicza relacje z rodzinną ziemią mają bardziej złożony charakter. Swoją wioskę wspomina z nutką sentymentu, czego dowodem są chociażby poświęcone jej obrazy, które malował nawet wtedy, gdy wyjechał stąd na zawsze. Jednak szczególnie bliscy byli mu tamtejsi ludzie. Lokalnych więzi nie osłabiał fakt, że tworzyli oni wówczas wielokulturową mozaikę. Mieszkali tu bowiem Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Niemcy, Ingusze i Czeczeni, by wymienić tylko najbardziej liczne nacje. Jego rodzicami chrzestnymi byli Czeszka i Żyd. Wśród szkolnych kolegów przeważali Polacy i Ukraińcy. Do swoich najbliższych przyjaciół zalicza rodaka Jana Piotrowskiego oraz Stanisława Kurżija, który został później cenionym inżynierem w „Ekibastusie”. Po latach ocenia, że ludzi wszystkich narodowości jednoczył głód.

Mimo pozytywnego odniesienia do lokalnej społeczności, jego stosunek do Biełojarki cechuje dość indyferentne poczucie przynależności, gdyż była ona jednocześnie miejscem zniewolenia, symbolem utraty prawdziwego domu. Rodzice Feliksa – Filomena i Wincenty Mostowiczowie przybyli tu bowiem nie z własnej woli i pod przymusem pozostawali przez długie lata.

Do Kazachstanu trafili w 1936 roku jako *specpieresieleńcy* z Ukrainy.<sup>1</sup> Wśród wywiezionych znaleźli się m.in. dawni „kułacy” oraz „nieprawomyślny i społecznie niebezpieczny element” różnych narodowości z 34 rejonów obwodu żytomierskiego. Do najliczniejszych grup należeli Niemcy z rejonu pulińskiego, Polacy z Marchlewszczyzny oraz Ukraińcy.<sup>2</sup> Odtąd ich przeznaczeniem była ciężka praca, gdyż przyjechali tu, by zagospodarować nietkniętą ludzką ręką stepową „celinę”. Potomkowie osób deportowanych w latach trzydziestych twierdzą, że często sytuacja tych właśnie ludzi była najtrudniejsza. Kazano im osiedlać się w pustym stepie, gdzie musieli zbudować domy dla siebie i dla przyszłych osadników, zamienić ugór w uprawne pola, walcząc przy tym z głodem, zimą i chorobami.

Nikogo nie interesowało, czy chcieli wieść takie życie. Wyznaczone miejsce pobytu stało się niejako więzieniem. Każdy pełnoletni przesiadleniec był zobowiązany do comiesięcznego meldowania się w komendanturze, a za oddalenie się ze wsi karano grzywną, albo kilkudniowym aresztem. Uciekinierom groziło 10 lat zesłania bez prawa korespondencji. W 1948 roku reżym uległ dalszemu zaostrzeniu, gdyż osadnicy musieli podpisać dokument stwierdzający, że zostali wysiedleni na zawsze. Za samowolny wyjazd z miejsca zamieszkania karano nawet dwudziestoma latami ciężkich robót.

Z czasem Mostowiczowie przyzwyczaili się do nowego otoczenia, choć nie było to łatwe. Uboga roślinność, trudny do zniesienia klimat, sąsiedztwo obcych kulturowo Inguszów i Czeczeńców, status *specpieresieleńców* nie pozwalały zapomnieć, że są na obcej ziemi. Rozumieli jednak, że dawny świat i jego sprawy należy uznać za zamknięty rozdział życia. Nie było więc sensu rozprawiać o przeszłości. Dlatego dziś Feliks Mostowicz niewiele może powiedzieć o tamtych czasach. Z zachowanych listów, które nadchodziły do matki z rodzinnych stron wie, że mieszkali w osadzie Uszomir w rejonie korosteńskim na Żytomierszczyźnie. Jednak sam nie ma bezpośrednich wspomnień z ziemi przodków, a nawet nigdy nie widział tamtych okolic. Udało mu się co prawda pojechać na Ukrainę, ale dotarł tylko do Winnicy. Zresztą nie bardzo miał do kogo wracać, gdyż w rodzinnych stronach pozostało już niewiele krewnych. Jediną bliską osobą, która nigdy nie opuściła Ukrainy, była rodzona siostra matki, Franciszka. Wujek Józef Swirski zginął w Ostasz-kowie, ciotka Emilia wyjechała z mężem inżynierem na Kaukaz. Brat

<sup>1</sup> 28 kwietnia 1936 r. Rada Komisarzy Ludowych ZSRR przyjęła uchwałę nr 776-120 ss o przesiedleniu „niepewnych politycznie” Polaków z Ukrainy do Kazachstanu. Zsyłano ich do obwodów: ałmatyńskiego, karagandzkiego, kokczetawskiego, południowokazachstańskiego oraz tałdy-kurgańskiego. W sumie przesiedlono 35.735 osób (wg. T. Jeremenko, *Kierownicza rola Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy w wysiedleniach ludności polskiej w drugiej połowie lat trzydziestych XX w.* [w:] *Polska droga do Kazachstanu*, red. T. Kisielewski, Warszawa 1998).

<sup>2</sup> J. Tymirajew, *Specprzesiedleńcy i speckomendantury w latach 1948-1956* [w:] *Polska droga...* op. cit., s. 89.

ojca, Antoni został w czasie wojny wywieziony do Niemiec, a potem trafił do radzieckiego obozu. Feliks Mostowicz pamięta go bardzo dobrze, gdyż po zwolnieniu zamieszkał w tej samej miejscowości co on - w Krasnoarmiejsku, gdzie ożenił się z Tatarką. Drugi, ukochany stryj Włodzimierz brał udział w wojnie fińskiej jako prosty żołnierz. Potem przeszedł szlak bojowy do Berlina i dosłużył się stopnia kapitana. W ostatnich godzinach walk został ciężko ranny. Leczono go w amerykańskiej strefie okupacyjnej, co zaważyło na jego późniejszych losach. Po powrocie został bowiem wywieziony do obozu na daleką północ jako „amerykański szpieg”. Spędził tam 10 lat, a po wyjściu na wolność, będąc już wrakiem człowieka, zamieszkał na Ukrainie.

Sam Feliks sięga pamięcią do czasów pobytu jego rodziny w Biełojarce. Mówi, że wciąż zachowuje żywy obraz tamtych lat. Jest to jednak specyficzne spojrzenie, z perspektywy dziecka. Dlatego wiele restrykcyjnych ograniczeń, utrudniających życie dorosłym ludziom umknęło jego uwagi. Na podstawie własnych doświadczeń stwierdza, że były to głodne lata, chociaż ojciec ciężko pracował w kolchozie im. Frunzego, w którym uprawiano pszenicę i hodowano bydło. Sytuacja zesłańców poprawiła się dopiero po śmierci Stalina. Zimą 1956 r. zostali zwolnieni ze *specposielenia* i obowiązku rejestracji w komendanturach.<sup>3</sup> Otrzymali wówczas paszporty i prawie wszyscy opuścili Biełojarkę. Upředzono ich jednak, że nie mogą powrócić w ojczyście strony, zaś skonfiskowany wcześniej majątek nie podlega rekompensacie.

Mostowiczowie zamieszkali w rejonowym miasteczku Czkałowie. Spędzili tam niespełna rok, ponieważ ojciec, który trudnił się stolarstwem, nie mógł znaleźć pracy w swoim zawodzie. Dlatego przeniósł się do Krasnoarmiejska, gdzie nie było kłopotów z zatrudnieniem fachowców. Reszta rodziny podążyła za nim nieco później. W Krasnoarmiejsku ojciec został stolarzem w fabryce, a matkę zwolniono z obowiązku pracy, gdyż miała czworo dzieci. Mogła zajmować się tylko domem.

Feliks Mostowicz liczył sobie wówczas piętnaście lat i powoli wchodził w dorosłe życie. Na otaczający go świat zaczął patrzeć bardziej refleksyjnie i dostrzegać rozdźwięk między trudną rzeczywistością, a wyidealizowanym wizerunkiem kraju, który starano się wpajać młodemu pokoleniu. Z drugiej strony brakowało mu jeszcze niezbędnych doświadczeń, by odpowiedzieć sobie na wiele pytań. Potrzebny był mu ktoś, kto potrafi mądrze wytłumaczyć nurtujące go problemy. Na rodziców nie mógł liczyć. „Nieprawomyślne” rozmowy prowadzili w domu szeptem, żeby dzieci nie słyszały, ponieważ w represyjnym państwie niebezpieczne było za dużo wiedzieć. Milczeli jak większość ludzi z ich otoczenia. A jednak Feliksowi Mostowiczowi udało się spotkać swojego przewodnika, który wtajemniczał go w zawilóści tego świata.

<sup>3</sup> Podstawą uzyskania wolności było rozporządzenie Prezydium Rady Ministrów ZSRR z 13 grudnia 1955 r. oraz uchwała Rady Ministrów ZSRR nr 62-41 z 17 stycznia 1956 r.

\*

Jedenastoletni Feliks Mostowicz,  
Czkałowo (1958).

\*

W wojsku:  
Feliks Mostowicz  
i telegrafista Kazbek.  
Kazachstan (1972)

Jego rodzice zamieszkali na ulicy Sowieckiej. Sąsiedni dom zajmował wówczas starszy pan, jak się później okazało – również zesłaniec. On to właśnie zaczął torować Feliksowi drogę do polskości. Zanim jednak zajmiemy się bliżej tą sprawą, warto spojrzeć wstecz, by przekonać się, w jakim stopniu był wówczas przygotowany do głębszej refleksji nad własną tożsamością. Trzeba bowiem pamiętać, że od najmłodszych lat poddawano go rusyfikacji.

Tadeusz Kisielewski we wstępie do książki *Polska droga do Kazachstanu* postawił fundamentalne pytanie: kto na Wschodzie może być uważany za Polaka. Pisał tam m. in.:

Niekiedy uważa się, że Polakiem na Wschodzie jest ten, kto mówi po polsku. [...] Ale nie jest to przecież wyznacznik jedyny i – co niezwykle ważne – nie zawsze konieczny jako kryterium zakwalifikowania kogoś do polskości. Bywa i tak, że ktoś, kto ma korzenie polskie i lepiej lub gorzej zna język polski, i miewa także niekiedy sentymenty polskie, w swoim wewnętrznym przekonaniu uważa się np. za Rosjanina. Jednocześnie może być to ktoś, kto zupełnie nie zna języka polskiego, gdyż był od niego od dziecka kompletnie odcięty, uznaje się za Polaka i chce być Polakiem, szuka swoich polskich korzeni. Znaczący problem uważają, że jedynym sensownym i zasadniczym kryterium polskości jest gruntowna i szczerza świadomość polska danego człowieka – jego poczucie narodowe.<sup>4</sup>

Teoretycznie Feliksowi Mostowiczowi można przypisać przynależność do trzech ojczyzn; z jedną łączył go rodowód, z drugą – własne pochodzenie, z trzecią – świadomość kulturowej wspólnoty. Ziemią jego przodków była bowiem Ukraina, krajem rodzinnym – Kazachstan, a ojczyzną ideologiczną – Polska. Istniało też realne zagrożenie, że zostanie człowiekiem określanym jako „homo sovieticus”, kierującym się ponadnarodowym patriotyzmem radzieckim. Wychowywany był przecież w rosyjskim wówczas Kazachstanie i tak jak inni jego mieszkańcy przeszedł indoktrynację świadomości, która miała mu zaszczerpić przekonanie, że prawdziwą ojczyzną jest tylko ZSRR.

Osoby, znajdujące się w podobnej jak on sytuacji, dokonywały różnych wyborów. Trzeba dodać, że nie zawsze były one podbudowane motywami patriotycznymi, lecz wynikały z daleko idącego pragmatyzmu. Nie powinno to zresztą dziwić, zważywszy na doświadczenia, jakie stały się ich udziałem. Zdaniem Marka Gawęckiego:

Trwający ponad pół wieku okres pełnej izolacji kazachstańskich Polaków w środkowoazjatyckich stepach poczynił straszliwe spustoszenia w stanie ich kultury, języka i świadomości etnicznej.<sup>5</sup>

Dlatego określenie własnej tożsamości wcale nie było proste. Niektórzy Polacy wtopili się w rosyjskojęzyczną społeczność. Część przesie-

<sup>4</sup> T. Kisielewski, *Polska droga...* op. cit., s. 19.

<sup>5</sup> M. Gawęcki, *Kontakty z ojczyzną a tożsamość Polaków w postsowieckim Kazachstanie* [w:] *Kultura i świadomość etniczna Polaków na Wschodzie*, red. A. Kuczyński, M. Michalska, Wrocław 2004, s. 421.

dleńców, gdy tylko zaistniała możliwość wyjazdu z Kazachstanu, powróciła na Ukrainę. Inni zdecydowali się pozostać w dotychczasowym miejscu zamieszkania, uznając je za ziemię ojczystą. Warto przy tym zwrócić uwagę na fakt, że nadal żyli w osadach założonych w 1936 r., do których ich przodkowie przyjechali nie z własnego wyboru, tylko w ramach przesiedleń. O złej przeszłości pamiętała również Halina Sawicka, a mimo to napisała:

Każdy człowiek ma takie miejsce, które jest dla niego najbliższe i najpiękniejsze – miejsce jego narodzin, dzieciństwa i młodości. Dla mnie tym miejscem jest wieś Zielony Gaj.<sup>6</sup>

Autorka wypowiedzi utożsamiała się nie tylko ze swoją „małą ojczyzną”, ponieważ bliski był jej cały Kazachstan. Bolało ją, że tutejsi ludzie żyją w trudnych warunkach i marzyła o lepszej przyszłości. Świadectwem jej przywiązania do rodzinnej ziemi są słowa:

Srogi i biedny jest nasz kraj, lecz nie jest on nam cudzym i obcym – to jest nasza Ojczyzna. Pragnę widzieć ten kraj bogatym, kwitnącym, pełnym obfitości. Chcę, żeby ludzie tego państwa chociaż teraz odczuli pełny dostatek i ład życia.<sup>7</sup>

Natomiast Feliks Mostowicz twierdzi, że zawsze czuł się przede wszystkim Polakiem i nie zamierzał wiązać swojej przyszłości z Kazachstanem. Chciał zamieszkać we własnym kraju, który znał tylko z opowiadań. Jego związek z ojczyzną opierał się w głównej mierze na wewnętrznym przekonaniu o swoim pochodzeniu, gdyż należał do pokolenia w znacznym stopniu zasymilowanego z lokalną społecznością, a więc pozabawionego przynajmniej części cech przypisywanych Polakom.

Powszechnie uważa się, że podstawowym wyróżnikiem identyfikacji narodowej jest przywiązanie do szeroko rozumianych wartości rodzi-  
mej kultury. Należą do nich język, religia, kultywowanie obyczajów, znajomość dziejów własnego kraju. Są one bowiem ważnymi elementami ideologii narodowej i więzi historycznej. Powstaje pytanie, które z tych wartości wyniósł Feliks Mostowicz z rodzinnego domu.

Na początek zajmijmy się sprawą języka. W realiach radzieckiego Kazachstanu przestał on pełnić funkcję wyznacznika narodowej tożsamości. W pierwszych latach pobytu na zesłaniu posługiwanie się nim było

;

1

|

\

1

-

s

(



Polak i Kazach. Kredka, karton.

Według badań Roberta Wyszyńskiego, prowadzonych w 1988 r. w rejonach największych skupisk zesłańców i ich potomków, najlepszą znajomością języka polskiego wykazywali się reprezentanci najstarszego pokolenia, którzy podczas przesiedleń 1936 r. byli dorośli lub mieli kilkanaście lat. Osoby w średnim wieku urodzone już w Kazachstanie lub przybyłe tam jako małe dzieci posługiwały się przede wszystkim językiem rosyjskim i ukraińskim, zaś macierzystego używały bardzo rzadko, ograniczając się zresztą tylko do mowy. Dla najmłodszego pokolenia stał się on już językiem obcym.<sup>9</sup>

Sytuacja w rodzinie Mostowiczów nie odbiegała od normy. Matka Feliksa aż do śmierci nie nauczyła się poprawnie mówić po rosyjsku, rodzice czytali i pisali po polsku, a w domu rozmawiali między sobą również po ukraińsku. Jednak on sam najlepiej znał rosyjski, tak jak większość ludzi z jego pokolenia. Choć w zamieszkiwanym przez niego rejonie przebywało bardzo wielu Polaków, w szkołach uczono wyłącznie po rosyjsku, zaś jedynym dodatkowym językiem obcym był niemiecki.

Bardziej miarodajnym wyznacznikiem narodowej tożsamości osób wysiedlonych w latach trzydziestych XX w. jest ich wiara. Nie wyrzekli się jej ani na brutalnie ateizowanej Ukrainie,<sup>10</sup> ani w Kazachstanie, w

<sup>9</sup> R. Wyszyński, *Zapomniani Polacy* [w:] *Polska droga...* op. cit., s. 140, 141.

<sup>10</sup> Problem ten szeroko omawia Henryk Stroński w artykule *Życie religijne ludności polskiej na Ukrainie radzieckiej w warunkach represji w latach trzydziestych XX*

którym publiczne życie religijne było zabronione. Janusz Kamocki pisze, że opuszczając rodzinne strony:

zabierali ze sobą polskie książki do nabożeństwa, krucyfiksy, śpiewniki religijne... Język polski zachowano przede wszystkim w modlitwach, odmawianych konspiracyjnie przez starszych ludzi... [Dziś] szczytem ich marzeń jest zobaczenie przed śmiercią obrazu Matki Bożej w Częstochowie.<sup>11</sup>

Nie inaczej było w rodzinie Mostowiczów. Feliks wspomina, że szczególną gorliwością religijną wyróżniała się jego matka. Wyjeżdżając z Ukrainy zabrała ze sobą dwa modlitewniki, stojący krucyfiks, obrazy z wizerunkami Pana Jezusa i Bogurodzicy. Traktowała je jak skarby i zachowała do końca życia. W domu zawsze zajmowały poczesne miejsce, o czym świadczą prace artysty poświęcone rodzinie. Na jednej z nich widzimy matkę klęczącą przed krzyżem, umieszczonym na stoliczku pod oknem. W rogu pokoju, pod pułapem znajduje się duży święty obraz z nałożonym na ramę haftowanym ręcznikiem.

Filomena Mostowiczowa zawsze bardzo dużo się modliła. Nie ograniczała się zresztą do prywatnego sprawowania wiary, gdyż wraz z grupką miejscowych kobiet podtrzymywała życie religijne w osadzie. W Biełojarce nie było bowiem ani kościoła, ani domu modlitwy. Zesłani tam Polacy, Ukraińcy i Niemcy przez ponad dwadzieścia lat pozostawali bez opieki duszpasterskiej. Jednak nie poddawali się i odprawiali nabożeństwa w prywatnych domach. Kiedy szli na wspólną modlitwę mówili „idziemy do kościoła”.<sup>12</sup>

W Biełojarce organizowaniem życia religijnego zajmowało się 4-5 rodzin. Najczęściej modlitwom przewodziła Wiera Lisowska, matka miejscowej nauczycielki. Nabożeństwa odbywały się też u Mostowiczów. Przychodziło na nie wiele osób, czasem nawet brakowało miejsca, by pomieścić wszystkich. Wśród nich byli też Ukraińcy, Niemcy, a nawet Tatarka, która miała męża Polaka. Jednak modliły się głównie kobiety, mężczyźni trzymali się raczej na uboczu. Na nabożeństwa nie przychodzili nigdy miejscowi Rosjanie, którzy naśmiewali się z religijnych praktyk katolików.

W domu Feliksa Mostowicza obchodzono też najważniejsze święta religijne. Szczególną wagę przywiązywano do tradycji związanych ze Zmartwychwstaniem Pańskim. W okresie postu zachowywano rygorystyczną wstrzeźliwość w spożywaniu pokarmów i jedzono przeważnie ryby. Całą noc poprzedzającą święto spędzano na modlitwie. Rano zasiadano do uroczystego posiłku. Na stole pojawiał się wówczas koszyk ze święconką, na którą składały się kiełbasa, mięso wędzone, jajka barwione

w. [w:] *Kultura i świadomość...* op. cit.

<sup>11</sup> J. Kamocki, *Świadomość narodowa Polaków w Kazachstanie* [w:] *Polska droga...* op. cit., s. 130, 131, 133.

<sup>12</sup> R. Dzwonkowski, *Praca księży polskich w Kazachstanie* [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, [red.] S. Ciesielski, A. Kuczyński, Wrocław 1996, s. 478.

na czerwono lub niebiesko, albo toczone z drewna. Pokarm „święciła” pani Lisowska zwykłą wodą. Podstawą wielkanocnego posiłku była ryba w galarecie z marchewką i ziemniakami oraz drożdżowa baba.

Na Boże Narodzenie stawiano w domu choinkę. Najczęściej była to sosna, która zachowywała świeżość nawet przez miesiąc. Dekorowano ją łańcuszkami i kwiatami z papieru, cukierkami, później chińskimi bombkami. Na wigilijną kolację przygotowywano aż 12 potraw, jednak były one bardzo skromne. W dzień Bożego Narodzenia dopiero w latach sześćdziesiątych na stołach pojawiła się szynka. Na straży tradycji stała oczywiście matka. Gdyby nie ona zapewne nic więzi religijnej zostałaby w rodzinie przerwana. W szkołach wpajano dzieciom ateistyczne wzorce wychowania, rozbudowana propaganda narzucała ludziom wizję świata bez Boga, a nieprawomyślnych eliminowano ze społeczeństwa. Jednak matka pozostawała niewzruszona w swoich poglądach.

Feliks Mostowicz zapamiętał jeszcze jedno ważne wydarzenie stanowiące świadectwo jej religijności. Pragnieniem matki było nawiedzenie cudownego obrazu Matki Boskiej w Częstochowie. Po latach mogło się ono ziścić, gdyż krewna Mostowiczów, która mieszkała w Szczecinie, przysłała jej zaproszenie do Polski. Wybierając się w podróż zabrała ze sobą rodzinny skarb – pięknie zdobione drewniane pudełko z bryłką złota wysokiej próby. Złożyła je jako wotum w Częstochowie.

Tyle wspomnień i doświadczeń wyniósł Feliks Mostowicz z rodzinnego domu. Nie obejmowały one jednak wiedzy historycznej o rodzinnym kraju i zagadnień moralnego osądu dziejowych wydarzeń. Kwestie te zaczął mu dopiero wyjaśniać sąsiad z Krasnoarmiejska.

Feliks Mostowicz postanowił nazywać go Jackiem Modrzejewskim. Nie chciał ujawnić nawet prawdziwego imienia swojego mentora, by nikt nie domyślił się, o kogo chodzi. Tłumaczy, że zachowanie w tajemnicy jego personaliów zapobiegnie upublicznieniu osobistych przeżyć człowieka, którego bardzo szanuje. Jest to dyskusyjny punkt widzenia, gdyż utajnienie nazwiska pozytywnego bohatera czyni jego zasługi anonimowymi. Cóż, kiedy Feliks Mostowicz uznał, że był on *nieładzimy*. To określenie celnie oddaje jego relacje z otoczeniem. Oznacza bowiem, że był typem samotnika, człowiekiem nieskłonny do zwierzeń, który zapewne nie życzyłby sobie, aby pozbawiano go prywatności.

Dlaczego stroniący od ludzi Jacek Modrzejewski uczynił powiernikiem swoich myśli właśnie młodego syna sąsiadów? Może zauważył, że Feliks był spragniony wiedzy, albo odczuwał potrzebę zaopiekowania się chłopcem, ponieważ stracił bliski kontakt z własnymi dziećmi. Nie jest też wykluczone, że po prostu odnalazł w nim bratnią duszę. Gdzie leży prawda, tego już nigdy się nie dowiemy. W każdym razie Feliks Mostowicz uważa, że zawdzięcza mu znacznie więcej niż swoim rodzicom, którzy nie mogli dostatecznie zadbać o jego rozwój duchowy. Byli ludźmi słabo wykształconymi, pochłoniętymi sprawami dnia codziennego i zapewne nie przywiązy-

wali zbyt dużej wagi do kształtowania postaw światopoglądowych swoich dzieci. Natomiast Jackowi Modrzejewskiemu udało się odmienić jakość życia Feliksa. Dzięki niemu z osoby przysposabianej do roli radzieckiego janczara przeobraził się w człowieka świadomego historycznej przeszłości swojego narodu i roli jednostki w społeczeństwie.

Modrzejewskiego poznał bliżej w 1960 roku. Wcześniej wiedział tylko, że jego sąsiad jest emerytowanym stolarzem, który dorabiał sobie wyrobem ram. W Krasnoarmiejsku cieszył się dobrą renomą, gdyż pracował co prawda powoli, ale bardzo solidnie. Wincenty Mostowicz, który doskonale znał się na tej robocie, mówił, że był „przepięknym stolarzem”. Jednak kiedyś jego życie wyglądało zupełnie inaczej. Wyjawił Feliksowi, że pochodził z Kresów, gdzie pracował jako nauczyciel. W 1940 roku zesłano go wraz z żoną i dwójką dzieci do rejonu kellerowskiego. Zamieszkali koło Krasnej Polany, ale już wkrótce musieli się rozstać. Modrzejewski został bowiem skierowany jako prosty robotnik do pracy w Niżnym Tagile i Norylsku. Po wojnie powrócił do domu, jednak żona na skutek traumatycznych doświadczeń nie chciała z nim żyć pod jednym dachem. Wtedy osiedlił się w Krasnoarmiejsku. W nowym miejscu zamieszkania ukrywał swoją przeszłość. Feliks Mostowicz powiada, że czynił to ze strachu, gdyż mówił mu: „Rozumniejszych zabrali do obozów, zostawili tylko ludzi do czarnej roboty”. Jedynym śladem świadczącym o jego pochodzeniu i wcześniejszych zainteresowaniach były polskie książki. Feliks Mostowicz zapamiętał, że posiadał w domu gruby tom historii i encyklopedię. Prowadził też pamiętnik, w którym odnotowywał m.in. własne ciekawe refleksje nad rzeczywistością, jednak nie wiadomo co się stało z tym rękopisem.

Już pierwsze, z pozoru mało znaczące spotkanie z Jackiem Modrzejewskim okazało się dla Feliksa Mostowicza brzemiennie w skutkach. Po latach tak je wspominał:

Pewnego dnia, gdy wracał ze szkoły, sąsiad zawołał go do siebie. Ponieważ wiedział, że zajmuje się trochę rysowaniem, poprosił go, by pomógł mu namalować na desce wizerunek Matki Boskiej. Feliks próbował wykonać szkic, ale efekt nie był zadawalający. Wtedy sąsiad, który posiadał sporą wiedzę teoretyczną w zakresie sztuk plastycznych, zaczął zaznajamiać go z techniką rysunku. Dzięki otrzymanym wskazówkom udało mu się dobrze namalować postać na pierze, zaś sąsiad odtworzył ów wizerunek na desce.

Od tego momentu Feliks Mostowicz coraz więcej czasu poświęcał twórczości artystycznej, a po ukończeniu szkoły rozpoczął studia na Wydziale Sztuk Plastycznych Instytutu Pedagogicznego w Omsku. Później malarstwo stało się jego profesją. Wspólna praca nad ikoną zapoczątkowała też wieloletnią przyjaźń z Jackiem Modrzejewskim. Jako chłopiec Feliks Mostowicz niespecjalnie brał sobie do serca słowa starszego pana. Jednak gdy dorósł, zaczął doceniać ich wagę i coraz bardziej odczuwał potrzebę poznawania poglądów sąsiada. Na rozmowach spędzali długie godziny nawet wtedy, gdy studiował w Omsku. Ich dyskusje koncentrowały się wówczas na sprawach światopoglądowych.

By móc rozmawiać na te tematy Feliks Mostowicz musiał zdobyć najpierw konkretną wiedzę o ludziach i wydarzeniach. Uczył się w rosyjskiej szkole, w której próbowano zniszczyć jego i tak niewielką świadomość narodową. Wspomina, że koledzy w klasie naśmiewali się z dzieci noszących polskie imiona. On sam co prawda nie stał się obiektem drwin, ale tylko dlatego, że jego imiennikiem był Dzierżyński. Musiał natomiast wysłuchiwać obelżywych piosenek w rodzaju „Pomniat polskije pany...”, oraz oszczerczych wypowiedzi o ludziach zasłużonych dla kraju, przede wszystkim o znieprawionym w Rosji Radzieckiej Józefie Piłsudskim.

W szkole wpajano dzieciom zniekształcony przez ideologię obraz historycznych wydarzeń. Podkreślano wybitne zasługi Stalina, który był przedstawiany jako oswobodziciel i dobroczyńca sąsiednich narodów. Pouczano, że Polacy powinni żywić do niego uczucie wdzięczności.

Wówczas Feliks Mostowicz nie zastanawiał się nawet, czy to prawda, ponieważ nie znał innej wersji wydarzeń. Dopiero Jacek Modrzejewski zasiał w nim ziarno niepewności. Wiele opowiadał mu o Tuchaczewskim, Hallerze i Piłsudskim, o których dotąd niewiele słyszał. Feliks Mostowicz zrozumiał wtedy, jak zakłamana jest rosyjska historia.

Pod wpływem Jacka Modrzejewskiego skryształizował się również jego światopogląd. Wydaje się jednak, że akurat w tym przypadku nauki sąsiada nie ułatwiły mu poszukiwania sensu życia, gdyż zawierały pesymistyczną wizję świata. Filozofia Modrzejewskiego opierała się bowiem na założeniu, że los jednostki naznaczony jest fatalizmem. Bez własnej woli i świadomych działań wiodących ku zgubie człowiek zostaje uwikłany w sytuację, z którą sam nie potrafi sobie poradzić i musi poddać się złu. Jako jego ofiara doznaje cierpień tym straszniejszych, że nie może oczekiwać zadośćuczynienia.

Pesymizm Modrzejewskiego był ceną za mądrość życiową i wrażliwość, które nakazywały mu wyciągać wnioski z tragicznych osobistych doświadczeń. Stracił bowiem ojczyznę, bliskich sobie ludzi, przeżył *gehennę* Norylska.

W okresie zesłania pasmo udręk zapoczątkowało przymusowe wcielenie go do „*trud-armii*”. Szczególnie traumatyczne były lata spędzone na dalekiej północy, gdzie egzystował na granicy życia i śmierci. Głodny i wycieńczony musiał pracować w lodowatej wodzie przy stawianiu mostu pod Norylskiem. Choć wiódł życie niewolnika mógł dokonać wyboru – albo próbować przetrwać, albo poddać się i znaleźć wyzwolenie w śmierci, jak jego najbliższy przyjaciel, Rosjanin z Irkucka.<sup>13</sup> Mimo

---

<sup>13</sup> Jacek Modrzejewski opowiadał Feliksowi Mostowiczowi o ostatnich chwilach życia Rosjanina. Choć był człowiekiem słusznej postury, ciężka praca fizyczna w niezwykle trudnych warunkach okazała się ponad jego siły. Wiedząc, że umiera oddał mu swój przydział żywności – zamarznąętą kromkę chleba. Modrzejewski ogrzał ją potem w baraku i zjadł. Po śmierci przyjaciela zrobił ze złamanej łopaty krzyż i postawił go na jego grobie.

odniesionych urazów psychicznych zwyciężyło pragnienie życia, gdyż miał rodzinę za którą bardzo tęsknił.

Po zakończeniu wojny Jacek Modrzejewski wrócił do domu. Spotkał go wtedy kolejny cios, ponieważ został odrzucony przez bliskich, choć w niczym nie zawinił. Gdy opuścił osadę, jego żonę brutalnie zgwałcił pijany milicjant. Nie mógł więc ani zapobiec nieszczęściu, ani udzielić rodzinie wsparcia w najcięższych chwilach. Żona nie miała do niego żalu, jednak nie chciała dalej z nim żyć. Modrzejewski bardzo cierpiał z tego powodu, ale uszanował jej wolę i odszedł. Po jakimś czasie, nie mogąc znieść samotności, związał się z Rosjanką, matką pięcioletniego chłopczyka. Pokochał go jak własnego syna, jednak dziecko wkrótce zginęło pod kołami samochodu pijanego kierowcy. Modrzejewski nie mógł uwierzyć, że morderca okupił zabicie chłopca zaledwie kilkuletnim więzieniem. Wtedy pograżył się w bezsilnej rozpacz.

Ginęli niewinni, a na świecie triumfowała niesprawiedliwość. Jacek Modrzejewski stał się człowiekiem wewnętrznie rozdartym. Był agnostykiem, więc nie pojmował zła w kategoriach doświadczenia, z którym człowiek musi się zmierzyć. Jednak intuicyjnie wyczuwał obecność Boga, gdyż mówił, że strzeże go Opaczność. Tym niemniej wpajał Feliksowi pogląd, by nie wierzył żadnym ideologiom. Sam nie wypowiadał się na temat dogmatów wiary, a co najwyżej odnosił się krytycznie do postaw katolików uważając, że istnieje rozdziewiek między ich poglądami i czynami. Zdecydowanie negatywny stosunek miał natomiast do systemów totalitarnych. Ze względu na własne przeżycia szczególną niechęcią darzył ideologię radziecką. Mówił, że jest oparta na pracy niewolników i gdy to się zmieni, ZSRR upadnie. Zdaniem Feliksa Mostowicza jego słowa sprawdziły się. A świat komunistycznej iluzji, którego miał być częścią, runął bezpowrotnie. System przestał go zniewalać. Zaczął od nowa budować swoje życie, tym razem jako człowiek wewnętrznie wolny.<sup>14</sup>

---

<sup>14</sup> Mniej szczęścia miał Jacek Modrzejewski. Był już starszym człowiekiem i nie liczył na odmianę swojego losu. Wciąż tęsknił za rodziną, ale było już za późno, by odbudować naderwane więzi. Starał się mimo wszystko nie utracić kontaktów z bliskimi; pisał do żony listy, pomagał finansowo dzieciom. Nadszedł jednak taki dzień, gdy korespondencja ustała. Żonę ogarnęły złe przeczucia i postanowiła pojechać do Krasnoarmiejska, by spotkać się z mężem. Dotarła do stolarni, w której pracował, ale zastała tam tylko jego pomocnika. Dowiedziała się od niego, że Modrzejewski od dłuższego czasu źle się czuł. Któregoś dnia postawił swoim pracownikom dwie butelki wódki i słoninę, potem powiedział: *Nie pominajcie lichom* i odszedł. Nikt nie wie, gdzie zmarł. Może zaszły się w jakiejś norze w okolicznych lasach i tam znalazła go śmierć.

---

IRINA NIKULINA (BARNAUŁ)

## PRZYCZYNEK DO DZIAŁALNOŚCI OŚWIATOWEJ POLAKÓW W LATACH 60-TYCH XIX WIEKU NA TERENIE ZACHODNIEJ SYBERII

O powstaniu styczniowym i zesłaniach na Syberię pisano już wielokrotnie w literaturze polskiej. Podkreślano jego niepodległościowe dążenia i brzemiennie w skutkach represje wobec uczestników, z których niektórzy stali się potem wybitnymi badaczami zauralskich obszarów wpisując się w dzieje poznania ich zasobów naturalnych i kultury autochtonicznych mieszkańców – np. Aleksander Czekanowski, Benedykt Dybowski czy Wiktor Godlewski. Wśród powstańców znaleźli się przedstawiciele wszystkich warstw społecznych: szlachta, duchowieństwo, mieszczaństwo i chłopci. Rozeszli się oni szeroko zesłańczymi szlakami po syberyjskiej ziemi.

Powszechnie wiadomo, że zesłańcy ci wywarli znaczny wpływ na życie społeczne, kulturalne i gospodarcze Syberii. Według wspomnień jednego z rosyjskich opozycjonistów z lat 60-tych XIX w. Ł. F. Pantelejewa, postyczniowe zesłania Polaków na Syberię objęły „w ogromnej większości ludzi wywodzących się z kulturalnych warstw polskiego społeczeństwa.”<sup>1</sup> Niemalą ich grupę stanowili przedstawiciele Kościoła katolickiego, jako że duchowieństwo aktywnie wpisało się w ówczesne dążenia niepodległościowe Polaków i w różny sposób wspierało powstańców. Znalazło to też swoje odbicie w opinii wyrażonej przez wybitnego działacza państwowego i ministra spraw wojskowych Rosji, D. A. Miliutina, który we wspomnieniach z lat 1863-1864 podkreślał wyraźnie, że „katolickie duchowieństwo wzięło bardzo aktywny udział w powstaniu.”<sup>2</sup> Nie jest to opinia odosobniona w piśmiennictwie rosyjskim, bowiem wyraził ją także A. Kappeler podkreślając, że w roku 1863 „duchowieństwo katolickie, było drugą po warstwie szlacheckiej siłą napędową i podporą narodowego buntu.”<sup>3</sup>

---

<sup>1</sup> Л. Ф. Пантелеев, *Воспоминания*, Leningrad 1958, s. 561.

<sup>2</sup> Д. Ф. Миллюютин, *Воспоминания*, 1863-1864, Moskwa 2003, s. 45.

<sup>3</sup> А. Каппелер, *Россия – многонациональная империя*, Moskwa 2000, s. 188.

Jak wiadomo, pomimo oficjalnych zakazów władz rosyjskich, wielu księży-zesłańców zajmowało się działalnością duszpasterską, a nie- rzadko także prowadziło różne formy pracy kulturalno-oświatowej w miejscu osiedlenia. Wśród nich należy wymienić księdza Józefa Dawidowicza (1825-1882), który w wyniku postyczniowych represji został zesłany do guberni tomskiej. Początkowo mieszkał w Kuźniecku, a potem został przewieziony do Tomsku, gdzie jak napisał we wspomnieniach, „zastał liczną kolonię wygnańców”, a wśród których „niemało znajomych i duchownych ze Żmudzi.” Wspominał też, że w Tomsku utworzył szkołę dla dzieci z ubogich rodzin, w której nie tylko uczono katechezy i czytania, lecz dodatkowo odziewano i karmiono.<sup>4</sup> Pogłos tego faktu znajduje się też w książce M. Janika, który pisał, iż ksiądz Dawidowicz troszczył się o dzieci zesłańców i założył dla nich ochronkę, pozyskując do pomocy dwie nauczycielki, wśród których była przebywająca na zesłaniu Elżbieta Tabeńska.<sup>5</sup> Należy także podkreślić, iż poza edukacją dzieci, służył on także biednym wygnańcom jako sekretarz od wszelkiej korespondencji.<sup>6</sup> Za działalność oświatową wśród polskich dzieci i zorganizowanie ochronki w Tomsku został przesiedlony do Kainśka, gdzie także nauczał religii, a w 1873 r. znalazł się w Jekaterynosławiu.<sup>7</sup>

Mówiąc o działalności oświatowej polskich zesłańców, przywołać tutaj należy postać Solejmana Smolskiego, który „za rozpowszechnianie szkodliwych dla rządu opinii, mogących niekorzystnie oddziaływać na niewykształconą warstwę ludzi i usposobić ich do współdziałania z buntownikami”, wyrokiem sądu Wileńskiego Okręgu Wojskowego, pozbawiony został wszystkich „praw i majątków” i jako zesłaniec 25 października 1864 r. znalazł się w Ust-Kamienogorsku (miasto w obecnym Kazachstanie). Zachowane świadectwa dowodzą, że w mieście tym prowadził on działalność nauczycielską i w założonej „szkole nauczał czytania, pisania, oraz arytmetyki” i, co znamienne, także religii. Szkoła istniała tam pięć lat. Zajęcia w niej trwały przez cały dzień z przerwą na obiad, a za naukę pobierano od każdego ucznia od 50 kopiejek do 1 rubla miesięcznie. „Wypuściła wielu uczniów”, przy czym „zajęcia pedagogiczne Smolskiego miały tym większe znaczenie, że w Ust-Kamienogorsku istniała w owym czasie tylko jedna szkoła parafialna, skrajnie przepelniona

<sup>4</sup> ГАОО (Государственный архив Омской области), Ф. 3, Оп. 5, Д. 7699, Л. 1; J. [J. S. Dawidowicz], *Z listów sybirskiego misjonarza x [księdza] Józefa Sylwestra Dawidowicza*, Kraków 1901, s. 69; idem, *Listy z zesłania* [w:] A. Brus, E. Kaczyńska, W. Śliwowska, *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815-1914*, Warszawa 1992, s. 272-276. Na stronie 272 podano życiorys J. S. Dawidowicza.

<sup>5</sup> M. Janik, *Dzieje Polaków na Syberji*, Kraków 1928, s. 344.

<sup>6</sup> [J. S. Dawidowicz], *Z listów ...*, op. cit., s. 70.

<sup>7</sup> [J. S. Dawidowicz], *Z listów...*, op. cit., s. 73-74; A. Maciesza, *Dzieje kolonii polskiej w Tomsku. Referat wygłoszony na zjeździe byłych wychowanków szkół tomskich w Warszawie 20 maja 1934*, Poznań 1934, s. 11; E. Tabeńska, *Z doli i niewoli*, Kraków 1897, s. 102- 103.



uczniami, w której zajęcia odbywały się na dwie zmiany: do południa uczyli się chłopcy, – po południu do wieczora – dziewczęta.”<sup>8</sup>

Tu trzeba też koniecznie wspomnieć o Wiktorze Żylińskim, pozbawionym wyrokiem sądu z dnia 24 października 1864 r. praw publicznych oraz majątkowych i zesłanym „za udział w nieporządkach politycznych” do Ust-Kamienogorska. Tam udzielał on prywatnych lekcji w domu pułkownika Katina, kupca Zarodowa oraz w domach innych znaczących mieszkańców tego miasta.<sup>9</sup> Wiadomo, że indywidualnym nauczaniem zajmował się tam postyczniowy zesłaniec Leon Berberiusz oraz że trudnili się tym również inni zesłańcy przebywający w Ust-Kamienogorsku.<sup>10</sup>

Mimo istniejących formalnych zakazów administracyjnych uniemożliwiających zesłańcom prowadzenia działalności nauczycielskiej, wiadomo że często uczyli oni dzieci rodaków pracujących na Syberii, chroniąc je w ten sposób przed rusyfikacją. I to był jeden aspekt ich działalności, drugim natomiast pozostawał fakt, że zesłańcy ci prowadzili nieraz indywidualne nauczanie w domach rosyjskich urzędników, kupców czy nawet wojskowych. Chętnie więc korzystali oni z takiej szansy, która łagodziła w pewien sposób nostalgię za krajem, dawała dodatkowe środki do zabezpieczenia materialnego oraz niwelowała w jakimś stopniu stan wiecznego załęknięcia o własny los. Ale skonstatujmy też i takie zjawisko, że zesłańcza egzystencja wymagała stabilności i czynienia rzeczy użytecznych dla miejscowego środowiska by korzystać w ten sposób z jako takiego azylu i stabilizacji.

Reasumując stwierdzić należy, że mimo istniejących oficjalnych zakazów polscy zesłańcy, zajmujący się działalnością nauczycielską na Syberii, wywarli pewien wpływ na rozwój kulturowy społeczeństwa, wśród którego wypadło im przebywać na wygnaniu. Egzystowali też tam jako nosiciele pewnych, uznawanych za wartościowe norm postępowania sprawdzonych w codziennym życiu, jak tolerancja i poszanowanie ludzkiej godności, czy pomoc drugiemu „w potrzebie”. Będąc uczciwymi wobec innych, sami doświadczali od nich pomocy i pozostawili po sobie dobre wspomnienia na Syberii. Ta humanistyczna postawa pozwalała im spokojnie przejść wszelkie odmiany zesłańczego losu i życiowe przeciwności spowodowane długoletnią nieraz niewolą bądź też dozgonnym przebywaniem na Syberii.

*Tłumaczenie Anna Mrozowicka*

<sup>8</sup> Б. Герасимов, *Ссылные поляки в Семипалатинской области (Краткий исторический очерк)*. “Записки Семипалатинского подотдела Западно-Сибирского отдела Русского Географического общества”, Семипалатынск 1918, nr 12, s. 1-109.

<sup>9</sup> Ibidem, s. 60.

<sup>10</sup> Ibidem, s. 48.

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. Janusza Przewłockiego i cyklicznego wydawnictwa „Tak było... Sybiracy”, realizowanego przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. Tym razem publikujemy zapomniane już dzisiaj relacje XI-X-wiecznych zesłańców, którzy wędrowali przez kazachskie stepy i pozostawili interesujące opisy Kazachów oraz ich kultury. (red.)

\*

### **Adolf Januskiewicz – *Listy ze stepów***

Zesłaniec z okresu powstania listopadowego, urodził się 9 czerwca 1803 r. w Nieświeżu, zmarł w Dziachylni na Ziemi Mińskiej (dzisiejsza Białoruś). Poprzez matkę spokrewniony był z rodziną Tadeusza Kościuszki. Kształcił się u dominikanów w Nieświeżu, a potem w Winnicy na Podolu. W latach 1821-1823 był słuchaczem Uniwersytetu Wileńskiego i należał do kręgu bliskich znajomych Adama Mickiewicza, który uwiecznił go w III części *Dziadów*, pod postacią Adolfa. Okres wileński w jego życiu charakteryzował się bliskimi kontaktami ze środowiskiem filareckim, z którym związał się duchowo, próbując nawet poetyckich zmagania. Po dwu latach studiów powrócił na Podole i zamieszkał w Kamieńcu. W 1826 r. wybrany został „deputatem sądu głównego izby cywilnej” i po trzech latach urzędowania zrezygnował z tej funkcji powodowany koniecznością leczenia nadwątlonego zdrowia. Początkowo przebywał w Karlowych Warach, potem był w Niemczech, Szwajcarii i Włoszech gdzie spotkał się z Adamem Mickiewiczem. W 1830 r. zamieszkał ponownie w Kamieńcu i po wybuchu powstania listopadowego włączył się czynnie do licznych patriotycznych przedsięwzięć i już 3 lu-

tego 1831 r. został członkiem powstańczej Legii Litewsko-Wołyńskiej biorąc udział w walkach z wojskami rosyjskimi. Siedmiokrotnie ranny podczas służby patrolowej dostał się w marcu 1831 r. do niewoli pod Maciejowicami, gdzie przed laty walczył jego krewny, naczelnik Tadeusz Kościuszko. Pierwsze raporty powstańcze uznawały go za poległego. Po pewnym czasie okazało się jednak, że przebywa on w punkcie zbornym w Brześciu n/Bugiem, skąd odprawiano jeńców w głąb Rosji. Potem przewieziono go do Wiatki, a następnie do Kijowa gdzie stanął przed sądem, który wyrokiem z dnia 4 marca 1832 r. skazał go na utratę szlachectwa, utratę majątku i osiedlenie na Syberii.

Tak więc z powstańczych szeregów powędrował A. Januskiewicz na zesłanie i 9 maja 1832 r. był już w Tobolsku, skąd po wykryciu spisku zesłańców przygotowujących powstanie i ucieczkę z niewoli (tzw. sprawa omska) przeniesiony został do wsi Zelakowa opodal Iszymia. Wreszcie od roku 1835 r. mieszkał w Iszymie gdzie za pieniądze dostarczone przez rodzinę kupił niewielki dom i nawiązał liczne kontakty z rodakami przebywającymi tu i w okolicy na zesłaniu. Często odwiedzali oni jego dom bowiem zorganizował on w nim bibliotekę zaopatrywaną w książki przesyłane przez rodzinę i kupowane na miejscu. Z tego okresu datuje się między innymi jego bliska znajomość z Gustawem Zielińskim, również zesłańcem, romantycznym poetą, piewcą kazachskich stepów.

Od 1841 r. mieszkał A. Januskiewicz w Omsku, gdzie początkowo pracował w miejscowym sądzie, a potem w kancelarii Zarządu Granicznego Kirgizów Syberyjskich. Tam pracował również polski zesłaniec Wiktor Iwaszkiewicz. Obaj często wyjeżdżali w step kazachski, wypełniając różne misje. Polubił te podróże, podczas których zachwycały go tubylcze „plemiona koczujące razem w liczbie tysiąca i więcej jurt, na przestrzeni jakich dwudziestu lub trzydziestu wiorst, zasianych krociami koni, wielbłądów, baranów i bydła cudnej piękności”. Był świadkiem ceremonii poddania się Wielkiej Hordy Kirgiskiej pod panowanie rosyjskie. Opisał życie Kazachów, nadając świadomie swojemu dziennikowi oraz listom charakter dokumentu historycznego. Żył w współczucie dla tego ludu, wierząc iż przyjdzie czas, „że i koczujący dziś nomada zaszczytne zajmie miejsce w pośród ludów, co nań patrzą teraz z góry”, pisał w jednym z listów. Przekazy A. Januskiewicza odbiegają daleko od konwencji zwykłych sybirackich pamiętników i utworów epistolarnych. Wiele w nich bowiem etnograficznych i historycznych realiów dotyczących się kazachskiego narodu. Wartości te legły u podstawy wydania ich w języku rosyjskim (1966) i kazachskim (1979). W roku 1997 ukazała się w Kazachstanie książka pt. *Polsza perzenti*, autorstwa Otegena Kimisbajewa (Ałmaty 1997), w której autor przedstawił postać A. Januskiewicza podkreślając zarazem jego wielki wkład w poznanie kazachskiej kultury. Książka ta wydana w języku kazachskim przyczyniła się do popularyzacji A. Januskiewicza w Kazachstanie, którego imieniem nazwano w ostatnim okresie jedną z ulic Ałmaty, a w miejscowej prasie ukazały się artykuły podkreślające wartość jego relacji o kulturze tego pasterskiego narodu mającego duże poczucie swojej odrębności. Był A. Januskiewicz obiektywnym kronikarzem stosunków społeczno-politycznych panujących w kazachskich aulach. Nic więc dziwnego, że raz po raz opinie jego przywoływane są przez historyków kazachskiego narodu, badających współcześnie dawne stosunki w łonie Wielkiej Hordy. Cenne są np. spostrzeżenia A. Januskiewicza o powstaniu Kenesarego Kasymowa, który zjednoczywszy wokół siebie wielu Kazachów był zdecydowanym przeciwnikiem podporządkowania tego narodu władzy rosyjskiej. Raz po raz napadał na posterunki rosyjskie, „w pień je wycinał i rzucał postrach aż po granice Syberii”.

Te i inne zapisy A. Januskiewicza czynią z niego nie tylko wybornego piewcę życia stepowych aulów, lecz ważnego kronikarza historii Kazachów. Dodajmy przy tym, że pełnił on funkcję sekretarza Komitetu do Ułożenia Projektu Praw Kirgiskich. Jego ponad dziesięcioletnie podróże po stepach sprawiły, że miał wielu przyjaciół wśród Kazachów, mimo iż był urzędnikiem rosyjskim w jego listach do matki widać wyraźnie krytyczny stosunek do

imperialnej polityki kolonizacyjnej narzucającej poddaństwo narodowi, który nade wszystko kochał wolność a szerokie stepy były jego domem

W 1849 roku nadwątlone zesłaniem zdrowie sprawiło, iż wystąpił ze służby i do 1852 roku mieszkał nadal w Omsku, a potem w Niżnym Tagile, gdzie pracował jako bibliotekarz i opiekun parku i ogrodów hrabiego Anatola Demidowa. To za jego wstawiennictwem car Aleksander II zwolnił A. Januskiewicza z zesłania, który co rychlej, mimo że był chory, pospieszył do matki i brata mieszkających w Dziahylni. Tam w czerwcu 1857 roku, w niespełna rok po powrocie z wieloletniego zesłania, pełnego udręki, tęsknoty i zarazem dobroci skierowanej ku stepowym ludom A. Januskiewicz zmarł wśród bliskich, do których przez wiele lat pisał listy. Pochowano go w Dziahylni, a na nagrobku umieszczono ten oto wiersz autorstwa G. Zielińskiego:

Z ducha, serca i myśli, z cnót, ofiar i czynów,  
 Bóg nie miał sług wierniejszych, kraj godniejszych synów,  
 Obywatel, z wyznawcy niezachwianą siłą.  
 Przechodniu! Nie zań tylko nad jego mogiłą,  
 Lecz módl się i za siebie. By przezeń uprosić  
 Tak żyć, wierzyć i kochać; tak cierpieć i znosić.<sup>1</sup>

\*

Kochany January! Nim opuszczę auly Akimbet-Kirejów, pośród których czas daleko znośniej mi upływa niżeli w Omsku, biorę raz jeszcze pióro do ręki, by ci przesłać braterskie uściśnienie i pomówić z tobą o otaczających mnie przedmiotach. Kirgizi tutejszego okręgu od miesiąca już z górą rzucili swoje *kystawy*, to jest koczo-wiska zimowe. Nie masz dla nich przyjemniejszego dnia w całym roku, jak ten, w którym po kilkumiesięcznym spoczywaniu na jednym miejscu, mogą przymarzłą do ziemi swoją jurętę włożyć na garby wielbłąda i z całym swoim dostatkim, ze wszystkimi swymi stadami koni, owiec i kóz, rozpocząć tę ciągłą wędrówkę, co się kończy dopiero aż za nastaniem śniegów i mrozów.

Dzień ten jest dla nich dniem szczęścia i powszechnej radości. Smutny dotąd, nudny, okopcony dymem *tezeku* Kirgiz wsiada z wesołym licem na swego najlepszego bieguna i z dzielną miną wywija na nim pośród tabunów występujących w pochód. Osmalona jego połowica przy nieustannie płonącym, jak nasz stary znicz, ognisku, stroi się w najokazalszy chałat, w najbogatszą swoją *sauklę*, i jak *karawanbasza* prowadzi za sobą szereg wielbłądów, dźwigających na swych grzbietach ruchomy dom Kirgiza, wszelki sprzęt jego i dostatek.

Dziewczęta rade, że się wydobyły spod okopconego sklepienia jurty, gdzie ich wdzięki wędniały jak kwiaty w ukryciu, rozpuściwszy na wiatr liczne splety swych kruczych włosów, na zwinnych harcują rumakach pod przestronnym sklepieniem niebios. Dziarska i swawolna młodzież, nieobojętny wzrok topiąc w czarne oczy swych towarzyszek, puszcza się z nimi na wyścigi; lecz niełacny tryumf, bo hoże amazonki pędzą po stepie jak strzały, i bolesny cios *kamczy*, częstokroć spadły na twarz, oddała najzuchwalszą pogoń.

<sup>1</sup> Pełniej o życiu A. Januskiewicza zobacz biogramy: A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVII wieku do 1917 roku. Słownik biograficzny*, Poznań 2000, s. 127-128; W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik biograficzny*, Warszawa 1998, s. 235-236; A. Kuczyński, *Ludy dalekie a bliskie. Antologia polskich relacji o ludach Syberii*, Wrocław 1989, s. 124-126.

Drobna dziatwa, co w czasie silnych mrozów leżała zagrzebana w popiele, uśmiecha się, krzyczy radośnie i wyglądając z kołysek przywiązanych do boków wielbłąda, zapomina o cierpieniach, jakich doznawała w tych pieluchach szczególniejszego rodzaju, których gorące uściski niejedną pamiątkę zostawiły na jej ciele. Tabuny wychudłe, wycieńczone po biednym karmie zimowym, który z wielkim trudem wygrzebywać sobie musiały kopytami spod zasp śniegu, nawalonego potęgą *buranu*, różnotonnymi głosy dzielają radość swych panów. Pies nawet, to wzgardzone i najniezwyklejsze stworzenie u Kirgiza, co za wierne usługi często dni kilka i kości nie widzi, ochoczo bieży za stadem, marząc o myszach polnych, swoim zwyczajnym pożywieniu. Jednym słowem: pierwsze to wyruszenie z miejsca na wiosnę, jest niejako zmartwychwstaniem Kirgiza, odrodzeniem się Fenixa z jego popiołów. Sam step, którego dotąd głucho milczenie przerywał tylko czasami przeraźliwy świst zawieruchy, nagle na wszystkich punktach się ożywia, bo po niezmierzonej jego przestrzeni rozlega się wszędzie uroczysta nuta pieśni kirgiskiej. Masz więc słaby zarys koczówki pasterskiego ludu.

Włość, której dziś gośćmi jesteśmy, koczuje już od czasu opuszczenia swoich zimowisk na trzecim miejscu, i zajmuje w tej chwili obszar kilkudziesięciu wiorst, ciągnący się po obu brzegach Czar. Korzystając z chwil wolnych od zatrudnień zwiedzałem poblizsze auly, by się lepiej zapoznać z tym życiem tak różnym od naszego, z życiem, które wyobraźnia moja malowała sobie w najpiękniejszych barwach. Ale nie wszystko złoto, co się świeci z góry! W każdej jurcie spodziewałem się znaleźć szczęśliwych pasterzy Arkadii... niestety! rzadko w której nie spotkał wzrok mój smutnych obrazów nędzy i chorób trapiących biedną ludzkość. We wszystkich prawie czarnych jurtach (bo majątniejsi mieszkają w białych) febra i straszniejszy od niej syfilis liczyły swoje ofiary, a dotknięte nią osoby obojga płci wyglądały jak widma lub szkielety; na dzieciach ospa, krosty, wrzody, i wszystko to własną tylko siłą musi pasować się z cierpieniem, bo nauka Eskulapa, złożona tutaj w rękę głupich i zabobonnych *buksów*, podaje środki ratunku po największej części nacechowane piętrem szarlatanizmu i guślarstwa. Serce się rozdziera na widok tyłu męczenników wołających o pomoc. Na szczęście nasze niektórym z nich mogliśmy przynieść ulgę. Wiktor<sup>2</sup> bowiem, mając z sobą zapas prosków emetyku, chinu i jałapy,<sup>3</sup> kilku chorym na febrę dał je do zażycia, nakazawszy zachowanie najściślej

<sup>2</sup> Wiktor Iwaszkiewicz, uczeń gimnazjum w Krozach na Litwie zesłany za przynależność do tajnego Związku Czarnych Braci, który stawiał sobie za cel pomoc więzionym Filaretom. Aresztowany w 1823 roku karnie został wcielony do wojska, pozbawienie praw i służbę w batalionach orenburskich. Odbył wówczas wiele wypraw wojennych przeciwko ludności tubylczej. W służbie wojskowej pozostawał przez wiele lat, w kwietniu 1842 roku został mianowany adiutantem generała Żumczużnikowa, naczelnika sztabu Korpusu Syberyjskiego. W roku 1845 odszedł do służby cywilnej i pracował w Pogranicznym Zarządzie Kirgizów Syberyjskich.

<sup>3</sup> Emetyk – metylocefelina, alkaloid występujący w korzeniu wymiotnicy lekarskiej. Farmaceutyk w postaci krystalicznego proszku o działaniu wykrztuśnym i przeciwprwotniakowym. Stosowany głównie do zwalczania schorzeń pierwotniakowych, np. motylicy wątrobowej; chinina – alkaloid otrzymywany głównie z kory chinowca. Farmaceutyk w postaci krystalicznego proszku o właściwościach przeciwgorączkowych i przeciwbólowych. Stosowany głównie w leczeniu zapobieganiu zimnicy czyli malarii; jałapa (wilec) – gatunek rośliny zielonej, z której produkuje się farmaceutyk o działaniu przeczyszczającym.

diety, a nie zepsuta jeszcze natura tego ludu naszymi wymyślnymi pokarmami, przyłożyła się dzielnie do zwalczenia choroby.

Na wieść o tych cudownych lekarstwach mego improwizowanego Hipokratesa, zbiegały się tłumy chorych z okolicznych aułów. Przywożono ich na koniach, krowach, wielbłądach, a najstabszych na dwukołowych taradajkach, *arbami* zwanych. Wszyscy prosili o te proszki, co większy skutek przyniosły niż modlitwy mułłów i zaklęcia *buksów*; uzdrowieni zaś składali swe dzięki w najczulszych wyrazach. Mąż nawet jednej młodej i wcale nieszpetynej rekonwalescentki, posunął do tego stopnia uczucie wdzięczności, że na wyjeździe w drogę, żegnając się z nami i dziękując Wiktorowi za pomoc okazaną żonie, prosił, aby w czasie nieobecności jego, nie robił sobie żadnej ceremonii i raczył go zupełnie zastąpić.

Ta wielka liczba chorych na febrę niczym jest atoli w porównaniu z syfilietyczną zarazą, której straszne spustoszenia ciągle się nam nasuwają przed oczy; zresztą febra, jak nas zapewniano, grasuje tu tylko z początku wiosny; latem zaś sam wpływ powietrza, ruch, kumys, uwalniają od niej chorego i bez pomocy lekarskich środków; lecz ostatnia, nie znajdując żadnego hamulca, rozwija się swobodnie, okropnie i bez względu na pory roku, wiek i płeć, zatruwa jadem swoim całe rodziny. Buksy wprawdzie, postawiwszy w trójkąt parę *kieregów* i nakrywszy je wołokiem, sadzają pod nim chorego i podkurzają go cynobrem; ale ta kuracja ledwie nie tyle pomaga co umarłemu kadzidło. Na ospę, od której mnóstwo ofiar pada co rok, żadnego środka nie zna kirgiska medycyna, a wielki wynalazek Jennera<sup>4</sup> straszniejszy dla nich jeszcze niżeli sama choroba, gdyż wprowadzeniu jego w praktykę przesąd stawia niezwalczoną tamę.

Kogo jad ospy owionie może pożegnać się z tym światem; odłączony bowiem od zdrowych, żadnego od nich nie doznaje ratunku: krewni uciekają od niego jak od zapowietrzonego i jeśli kto z litości przyniesie mu pokarm lub napój, to stawia go z daleka. Nieszczęśliwy więc pacjent musi ginać niechybnie, jeśli go sam Allach nie ocali. O krostę zaś błyszczącą prawie na każdym ręku, Kirgizi tyle dbają, co my o piegi. Lecz dosyć już tych smutnych obrazów, z którymi co chwila spotykałem się zwiedzając obszarpane, podziurawione jak rzeszoto, pozbawione zgoła wszelkich wygód mieszkania uboższej klasy tutejszych Kirgizów. O klasie bogatszej na ten raz nic nie powiem, gdyż nie miałem zręczności zajrzeć pod jej białe jurty: raz, że ich tu kilka zaledwie błyszczy wśród mnóstwa czarnych; po wtóre, iż etykieta nie pozwala nie tylko *kafyrowi* (niewiernemu), jak ja, lecz nawet rodakowi wejść do jurty Kirgiza grającego rolę dżentelmena, nie będąc wprzód zaproszonym od niego. *Dżataki* (to jest biedaki) jak wszyscy biedni na świecie, nie przestrzegają tak ściśle prawideł etykiety; tej to tolerancji obowiązany jestem, że widziałem (jakkolwiek mnie to bolało) kirgiską biedę w całym znaczeniu tego wyrazu, powiększoną jeszcze w oczach moich na widok pokarmów, jakich by im żaden pies twój nie pozazdrościł.

Przedostatniej nocy, *barantarze* napadli znowu na tabun pasący się w bliskości naszego stanowiska. Krzyki: „*Aj! gaj! Ablaj! Ablaj!*” z jednej, i wrzask pastuchów z drugiej strony, postawiły wnet na nogach całą ludność aułu, która

<sup>4</sup> Edward Jenner (1749-1823), lekarz angielski, wynalazca szczepień ochronnych przeciw ospie, które przyczyniły się do zupełnego prawie wygaśnięcia tej groźnej przedtem choroby. Metoda Jennera prawie niezmienną do dzisiaj, pozostaje najskuteczniejszym środkiem zwalczania ospy.

dopadłszy koni poprzywiązywanych na wszelki wypadek do jurty, puściła się na plac wrzawy; lecz nim nań zdążyła, już najeźdźnicy odbili osiem koni i korzystając z ciemności nocy popędzili z sobą. Ostatnia noc przeszła spokojnie; ale (jeżeli słuszny domysł naszego gospodarza) dlatego jedynie, że wczorajszego dnia deszcz padał: banda złodziei krążąca w tej chwili po okolicy, miałaby wielką trudność przebywać na swych zmęczonych koniach grząskie moczary, a co gorsza, zostawiłaby na nich wyraźne ślady, które by ją zdradziły i dały możliwość wytropić. Niebezpieczeństwo wszakże wisi nad nami. Tylko co na spoconym koniu przybiegł Kirgiz, który przed kilkoma godzinami najechał trafunkiem na czterdziestu z górą *barantarzy* leżących w dolinie, nie więcej jak o dwadzieścia wiorst od nas. Wszyscy uzbrojeni w dzidy, i czterech z nich długo pędziło za nim. Kształt siodeł każe wnosić, że ci rabusie są Basentyńcy, z barnaulskiego okręgu. Bijseke, spodziewając się ich napadu, rozesał na wszystkie strony podjazdy, kazał być w gotowości sąsiednim aułom, a my, ze swojej strony przedsięwzięliśmy środki ostrożności. Życzyłbym sobie bardzo być świadkiem tej nocnej walki, która, podług opowiadania Wiktora, przedstawiać ma najdoskonalszy obraz piekła z całym rykiem i wrzaskiem wściekłych jego obywateli. Niecierpliwie oczekując nocy tymczasem rzucam pióro i nabijam broń.

24 maja

Banda stepowych korsarzy musiała zwąchać proch wsypany do moich pistoletów pod ołowiane kulki, kiedy i tej nocy nie objawiła żadnych nieprzyjanych pokuszeń. W oczekiwaniu jednak co chwila napadu byliśmy *sur le qui vive!* przepędzając czas na gawędce z Kirgizami, którzy obsiadłszy dokoła ognisko, nie szczędzili nam pytań w różnych przedmiotach. Wiktor, znając wybornie ich język, musiał na wszystko kategorycznie odpowiadać, a odpowiedzi jego słuchane były jak wyrocznie i przyjmowane z największym aplauzem wśród nieustannych wykrzykników: „*Oj! boj! o appermej!*” Dziwili się oni wszyscy głębokiej jego mądrości i nie mogli pojąć w prostocie ducha, jak taka masa rozumu i wiadomości może pomieścić się w jednej głowie. Lecz nic nie zrobiło na ich umysłach tak wielkiego wrażenia i nie dało tak wysokiego pojęcia o geniuszu mego towarzysza, jak kiedy z powodu wszczętej rozmowy o *barancie*, przedstawił im dramatycznie cały proceder tego szlachetnego rzemiosła: jakim sposobem Kirgiz zazwyczaj podkrada się do cudzego tabunu pieszo lub konno; jak, pełzając po ziemi, przysłuchuje się czy śpią pastuchy; jak, przekonawszy się o ich czujności i lękając się o swoje boki, rzuceniem w tył poza siebie czapki, naśladuje niby wzlot dropia lub żurawia; jak nareszcie, pomimo tych wszystkich i tym podobnych środków ostrożności i podstępów, złapany ptaszek gra rolę niewiniątka, itp. Scena ta, wykonana artystycznie i z głęboką znajomością rzeczy, rozśmieszyła do łez najpoważniejszych Kirgizów, i nie wiem czy który partner na świecie bardziej był zadowolony swoim najulubieńszym aktorem, jak słuchacze Wiktora. Jeden z nich wykrzyknął: „Pułkundyku!<sup>5</sup> musiałeś ty sam jeździć na *barantę* i kraść konie, albo jesteś czarownikiem, kiedy znasz tak doskonale najskrytsze tajniki naszego życia stepowego”. Wiktor, nic nie odpowiedziawszy na ten komplement, wstał, i obszedłszy wkoło siedzące z rozdziawionymi gębami z zadziwienia, wskazał palcem na jednego ze słuchaczy i rzekł: „oto jest złodziej! On już nie jednego konia ukradł, i nie jednego jeszcze ukradnie!” Gdyby cały firma-

<sup>5</sup> Tu w znaczeniu pułkownika.

ment niebios ze wszystkimi swymi nowymi i starymi planetami, kometami i gwiazdami spadł na głowę tego Kirgiza, nie przeraziłby go potężniej, jak te niespodziewane Wiktora słowa. Oniemiał, struchlał nieborak. Cała publiczność zawrzeszczała: „prawda! prawda!” a wielki mówca Toukumbaj dodał: „Co nam ukrywać przed tobą, kiedy ty wiesz co u nas jest, co było i co będzie!” Domyślił się zapewne, że Wiktor oparł swe twierdzenie na podejrzanej fizjonomii Kirgiza, a traf zrządził, iż zgadł; wreszcie nietrudno było i zgadnąć, gdyż każdy z nich prawie jest, był lub będzie amatorem cudzych koników.

Kirgizi jednak innego byli w tym względzie przekonania; nie mogąc bowiem sobie objaśnić, jakim cudem człowiek, nie będący sam złodziejem lub czarownikiem może tak nieomylny stanowiąc wyrok, wpadli na promienną myśl, że Wiktor udaje tylko *kafyra*, lecz rzeczywiście jest prawowitym synem Mahometa. Jakoż jeden z *bijów* zaczepił go z tej strony, mówiąc: „Jak widzisz, wszyscyśmy z tobą otwarci; przyznaj się Pułkundyku! że nasza krew płynie w tobie”. – „Więcej wam powiem, śmiejąc się odparł Wiktor – moja krew płynie w ostatnim potomku jednego z najznakomitszych waszych chanów”. – „Jak to? co to?” – mnóstwo głosów zawołało – a że nadzwyczajnej ich ciekawości niepodobna się było oprzeć, mój towarzysz opowiedział im następane zdarzenie.

„Czy słyszeliście o Jakubie, synu chana Nurali?” – „O któż go nie zna w naszej hordzie!” – odezwało się kilka głosów. – „Otóż, ciągnął dalej Wiktor, za dni moich młodszych, kiedy los rzucił mnie na stepy Małej Hordy, poznałem się z Jakubem. Polubił on mnie bardzo i nazywał swoim *tamyrem*. Żyliśmy z sobą jak bracia: co jego, to było moje, co moje, to jego. Było mu naówczas ze 60 lat i miał dwie żony. Bajbiczne, stara jak mohodziarskie góry<sup>6</sup>, i brzydka jak wielbłądzica na skonaniu; lecz za to młodsza, piękna Ajdżanym, słynęła w całej hordzie ze swojej kraszy. Od Emby do Tobola nie znalazłbyś piękniejszej twarzy, żywszych i czarniejszych oczu. Nie szczupły też i *kałym* zapłacił za nią mój przyjaciel. Bywałem często u niego i często widząc Ajdżanym, pokochałem ją bardziej jeszcze niż jej męża: pozyskałem jej wzajemność; stary dozorca żon Jakuba, w czasie jego niebytności, ułatwiał nam sposobność widywania się; koniec końców następstwem tych *randez-vous* był syn, na nieszczęście tak podobny do ojca, że Jakub, zobaczywszy go po raz pierwszy, zaraz rzecz zmiarkował, i niezmiernie oburzywszy się na swego *tamyra*, ledwie że nie zabił żony. Po przejściu atoli pierwszej chwili gniewu, uspokoił się i dał mu imię Biktur. W kilka miesięcy przyjechałem znowu. Zrazu przyjął mnie kwaśno i ani słowa nie odpowiedział na moje pozdrowienia i pytania; nareszcie chwyciwszy mnie za rękę, pociągnął za sobą do jurty Akdżanymy. Tu skoro próg przestąpił, kazał jej podać kindżał wiszący nad łóżem i groźnym tonem rzekł do mnie: „Wybieraj! kogo chcesz, ażeby z was zabił: ciebie, żonę czy waszego syna!” Nie straciwszy przytomności, powiedziałem mu: „Sułtanie! ja nie chcę, abyś tu kogokolwiek z nas zabijał; twoje postępowanie mnie zadziwia, gdyż podejrzenia twoje są niesprawiedliwe: dostałeś chyba pomieszania zmysłów”. Straszna to była chwila; sam myślałem, że już nie wyjdę z jurty; lecz czy wiecie, na czym to wszystko się skończyło? Sułtan, spojrzawszy mi raz jeszcze w oczy, rzekł: „Bądźcie spokojni! ja tylko chciałem się przekonać czyś ty tchórz, czy nie? Na-

<sup>6</sup> Góry Mugodżarskie – pasmo górskie będące południowym przedłużeniem Uralu oddzielone od niego rzeką Ural, obecnie w granicach Kazachstanu.



straszyłem was, lecz czyliż sądzisz, żebym zdolnym był zabić ciebie, żonę lub syna? On mi jest drogi, bo nie mam innego, a życzylibym tylko, aby w sercu jego była śmiałość. Teraz pocałujcie się przy mnie i pamiętajcie, jeżeli mam mieć jeszcze potomków, warunek: niech tylko nie będą córki”. – Ze łzami wdzięczności w oczach spełniliśmy jego rozkaz; lecz z oddaleniem się moim w inne strony, zastrzeżenie względem prokreacji następców sułtana pozostało bez skutku. Tak więc mój Biktur jest teraz ostatnim potomkiem chańskiego rodu Małej Hordy. W kilka lat po tym zdarzeniu widziałem go, dodał bohater powieści, lecz gdy malcowi powiedziano, iż jestem jego ojcem, plunął mi w oczy i nazwał mnie *kafyrem*.

Te i tym podobne rozmowy zabrały nam większą część nocy. Niezmordowani nasi słuchacze chcieli je przedłużyć, lecz gdy sen zaczął kleić powieki, Wiktor kazał zagasić ognisko: Kirgizi rozeszli się, zapadł *tunduk*, nastąpiła długa cisza i tylko w oddaleniu długo jeszcze dawał się słyszeć śpiew pastuchów i uroczysty głos modlitwy: „*Allach Akber! Allach Akber!*”

25 maja

Za kilka godzin opuszczamy Kak. Dziś z rana, o dziesięć kroków od naszej jurty, spod nóg mi prawie wysliznęła się gadzina długości z łokieć; być może, iż w nocy nawiedzała i nasze mieszkanie. Kirgizi powiadają, iż ich tu „nie kupować” a za sąsiednią górą ma być takie mnóstwo, iż kroku nie można stąpić, żeby nie spotkać się z nimi. Gadzina, po kirgiskiu *dżilan*. Są tu wielkie i małe, i te ostatnie mają być bardziej szkodliwe: niektóre bywają grubości ręki. Często kąsają ludzi i bydło. Na zapytanie moje, jakich używają środków przeciw strasznym skutkom ich jadu, odpowiedział mi jeden Kirgiz: „Najlepszy jest środek wezwać natychmiast mułłę, aby nad człowiekiem ukąszonym przez gadzinę przeczytał: *żmijskoje* słowo (tak się wyraził po rosyjsku); ranę zaś samą posmarować końskim potem i dawać go choremu za napój. Jeśli pacjentem koń, należy położyć go pomiędzy owcami; ranę nacierać zasuszoną gadziną, a po trzech dniach puchlina ustąpi i koń wstanie zupełnie zdrowym. Warunek tylko niezbędny, ażeby gadzina była zabita ostatniej wiosny, *kamczą* a nie czym innym, i ażeby była pierwszą, którą Kirgiz tej wiosny zobaczy na stepie: dlatego staramy się zawsze o egzemplarz takiej gadziny; zresztą koński pot dajemy także pić koniom i bydłu”. Zostawiając ocenienie skutków tej kirgiskiej recepty waszym uczonym medykom, nie od rzeczy będzie zwrócić ich uwagę na to, że żadna pałka tak rychło nie pozbawia życia gadziny jak *kamcza*, która, ma się rozumieć, ciągle dotykając się konia, wsiąka w siebie pot jego. O tym zapewniamą mnie wszyscy Kirgizi i Kozacy. Musi więc w tym końskim pocie zawierać się jakiś antypatyczny pierwiastek dla tego stworzenia, który działać może nawet przeciw jadowitemu ukąszeniu jego. Ale wracając do rzeczy, z opowiadań Kirgizów przekonałem się, że prócz powyższych środków ratunku, uciekają się i do innych, bez wątpienia skuteczniejszych aniżeli *żmijskoje* słowo lub zasuszone gadzina. Tak na przykład, gdy raz córka naszego gospodarza została ukąszona w rękę, przewiązano ją natychmiast w górze, ranę wypalono gorącym żelazem, a córka we trzy dni wyzdrowiała. Było takie zdarzenie u nich: młody jeden chłopiec spał i śniło mu się, że matka podaje mu kumys i że on go pije. Zbudziwszy się poczuł nadzwyczajny ruch w żołądku; nareszcie zaczął uskarżać się, że *dżilan* krąży w jego wnętrzościach. Dano mu krowiego masła, herbaty, i

jak zapewniał mnie sam ojciec nieboraka, nazajutrz gość nieproszony wyszedł... Nie tak jednak szczęśliwą była dziewczka z sąsiedniego aułu, którą także w czasie snu nawiedziła gadzina. Po użycia rzezonego środka przez dwa dni nie było żadnego skutku, na koniec w chwili, kiedy prócz małego dziecięcia, nikt nie znajdował się w jurcie, gadzina pokazała swą głowę spomiędzy ust cierpiącej i zaczęła wychodzić powoli; na nieszczęście dziecię na ten widok krzyknęło; gadzina się zlekła, schowała się na powrót i ukąsiwszy biedną dziewczkę odebrała jej wkrótce życie. Środek ostrożności, jaki Kirgizi przedsiębiorą zwyczajnie przeciw żmijom i węzom, by nie zachodziły do ich mieszkań, jest bardzo prosty: bierze się arkan spleciony z sierści i końskich włosów, im nowszy tym lepszy, jako nie obtarty, i opasuje się nim jurtę wokoło. Gad, bojąc się ostrych kolców powrozu cofa się od tego zaklętego koła i zostawia człowieka w pokoju. Jak bocian, Kirgiz ma sobie za święty obowiązek oczyszczać step. Nigdy on nie przepuści gadzinie; jeśli ją spotka, choćby miał najpilniejszy interes, zatrzymuje się i zabija *kamczą*. Jeśli przypadkiem nie ma tej ostatniej z sobą, dopóty szuka pałki, póki nie znajdzie; wraca z nią w to miejsce gdzie zoczył swoją ofiarę, i odszukawszy, najczęściej przytrzymuje ją pałką tak, aby głowę podniosła do góry; wtedy w rozdziawioną gębę wysypuje szczyptę tabaki, od której gadzina ginąć ma niezwłocznie.

W tej chwili weszła żona naszego gospodarza wraz z kilkoma kobietami i całą swoją drobną rodziną. Powinnością płci żeńskiej jest zdjąć jurtę i opatrzeć czy wszystko w całości. Po raz pierwszy mieliśmy honor oglądać te damy; oprócz samej gospodyni, imieniem Nurczy, dość przystojnej, reszta wyglądała jak grzech śmiertelny. Rozmawiały z nami swobodnie i były sobie bez żadnej ceremonii; acz mówiąc prawdę, nie tyleśmy je zajmowali, ile nasze rzeczy. Łóżka żelazne najbardziej ściągnęły na siebie ich uwagę i one to w szczególności dały im powód do różnych konceptów, nader lekko obwiniętych w bawelnę, z których śmieli się ich mężowie a my jeszcze bardziej.

Bądźcie zdrowi, bo już eskorta nasza siada na koń i Amantaj czeka na kalamarz, by go schować do *arby*.

Ajaguza, 5 czerwca (do matki)

Kochana mamó! Dotąd jeszcze jesteśmy w Ajaguzie. Wypocząwszy po trudach stepowej podróży oczekujemy tylko przybycia pogranicznego naczelnika, z którym razem wyruszyć mamy na brzegi Lepsy. Tymczasem Ajaguza przedstawia dla mnie w tej chwili nieskończenie różnobarwny i zajmujący widok. Kilkunastu sułtanów z najznakomitszych rodów, w tej liczbie kilku potomków chana Ablaja, rozbiło już swoje białe jurty lub kolorowe w pasy bucharskie *szatry*, obok naszej topolowej chałupy. Ubrani w pstre chałaty i *biszmetry*, oddają nam etykietalne wizyty, piją u nas herbatę, palą cygara, mówią mało, jak zwykle arystokracja kirgiska, dla pokazania dobrego tonu. Mnóstwo *bijów*, aulnej starszyny i prostych Kirgizów ściąga co dzień z odległych uroczysk, aż zwirowy grunt tętni pod kopytami ich dzielnych rumaków. Kilkaset koni przepędzonych z najmańskich tabunów, buja swobodnie wśród doliny zarostej karagajnikiem, nie przeczuwając, że wkrótce nieznanie im dotąd wędzidło ukróci ich niepodległość. Obok tej dzicy pasą się ciche barany z ogromnymi kurdiukami (ogonami), przeznaczone na ugoszczenie kosztem rządu tylu przybylców w ciągu *bajgi* odbywającej się co rok, podczas bytności pogranicznego naczelnika w

stolicy okręgu. Ponad barany i konie wznoszą się garby wielbłądów, przygotowanych pod juki i żywność dla naszej wyprawy. Oddział kozaków i artyleria stoi w gotowości a ponad całą tą sceną pali słońce o 40 st. ciepła! Ale powietrze tak czyste, tak lekkie, tak zdrowe, że z prawdziwą rozkoszą nim oddycham.

Ajaguza, 11 czerwca, w nocy (Do G.Z.)

Kochany Gustawie! Po długim, długim oczekiwaniu, powitaliśmy nareszcie pogranicznego naczelnika, który pod osłoną 25 kozaków, przyleciał do nas z Kokbektów; mówię przyleciał, bo może być właściwszy wyraz dla jazdy mającej na zawołanie całe stada koni rozstawione co kilka mil na stepie, i co cię jak wichry niosą przez góry, doliny, krzaki i rzeki. Przyjazd jego wielce mnie uradował; przyspieszając bowiem nasz pochód za Lepse (w ów kraj złotych bażantów, i co ciekawsze, tygrysów, których dotąd widziałem w żelaznych klatkach, a z którymi teraz może mi się zdarzyć spotkać oko w oko pod otwartym niebem), kładzie zarazem kres temu nieczynnemu życiu, jakie tu od dni kilku pędzimy, a które straciło już dla mnie swój powab nowości.

Cicha i skromna Ajagyza, doczekawszy się tak znakomitego gościa, jakim jest rządcą średniej hordy Kirgizów, cała teraz w nadzwyczajnym ruchu, i wygląda jakby panna młoda w dzień ślubu. Nie wyobrazisz sobie, co za pstry *plumpudding*, co za jaskrawe *mixtum*, chaos przedstawia się oczom moim na każdym kroku. Tu dygnitarstwo cywilne i wojenne różnej broni, nie znające przez rok cały więzów ścisłej formy, w świeżych jak z igły mundurach, w haftach świetniejszych od słońca, w nie zaszarganych kapeluszach lub błyszczących kaskach, paraduje po placu twierdzy; tam arystokracja kirgiska, strojna w najbogatsze swoje chałaty lub *manłyki* o złotych lub srebrnych smokach, w *czambarach* szytych karmazynowym jedwabiem w różnowzore esy, floresy i gzygzaki, w spiczastych cukroglowych czapkach, poważnym krokiem przechadza się wśród tłumów ludu siedzącego na ziemi, obok grup koni patrzących obojętnie na tę całą pompę; ówdzie pleć piękna i niepiękna, w żółtych, zielonych, błękitnych i pasowych z chińskiej *kanfy* mantylkach, lekkimi stopy spaceruje po wałach. Jednym słowem jest to tysięczno-barwny i tysięcznokszałtny widok, jakiego byś nie zobaczył w kalejdoskopie, choćbyś go nawet tysiąckroć obrócił.

Tymczasem kwatera nasza ciągle jak w obłęzieniu a wewnątrz ścisk jak na raucie londyńskim. Przez dwa dni ostatnie w szczególności nie mieliśmy chwili spokoju; wskutek bowiem polecenia pogranicznego naczelnika, sąd *bijów*, ten improwizowany stepowy areopag, w obecności Wiktora, rozstrzygał ważną sprawę pomiędzy Taszkińcami i Bucharcami z jednej a Kirgizami z drugiej strony. Kilku Taszkińców i Bucharców (zwanych przez Kirgizów Sartami), zamieszkałych dla handlu przed czterdziestu laty w Semipałatyńsku, nieliczne swoje stada koni i wielbłądów składające karawany, pasło w kirgiskim stepie; a że step długi i szeroki jak ocean Kirgizi nie żałując trawy, „którą Allah co rok zasiewa”, nie wzbraniłi tych wypasów swym współwyznawcom; lecz gdy w późniejszym czasie przychodnie ci, wzrósłszy do liczy kilkuset, ogromnymi swymi tabunami okryli znaczne przestrzenie stepu i nie tylko ścieśniali kirgiskie koczówki (mianowicie zimowe, co najważniejsza), ale jeszcze pod pozorem dawności, przyswajali sobie całe uroczyska Arkatu i Aldżanu, zajmujące do 60 w. kw., Kirgizi, prawi właściciele tych ostatnich, słusznie oburzeni przeciw chciwości wdzierców, poczęli stawiać przeszkody tak, że nieraz przycho-

dziło między nimi do krwawych kłótni, zwłaszcza, iż Sarty, istne Żydy i pijawki Kirgizów, nie chcieli nawet najlżejszej daniny płacić za użytek z cudzej własności. Długoletni spór takowy, wytaczający się już niejednokrotnie przed wyższą władzą, ciągnął się dotąd, i dziś dopiero, po dwudniowych rozprawach i mowach bez końca, ostatecznie rozwiązany został. Oto jest krótka treść traktatu, który ja miałem honor układać na zasadzie, ma się rozumieć, ustnego wyroku *bijów* z obu stron wybranych.

1. Naród Sartów, odtąd i aż do skończenia świata, będzie miał wolne i niezaprzeczone prawo koczować latem i zimą, ze swymi stadami na uroczyskach Arkatu i Ałdżanu.

2. Za udział tego prawa naród Sartów obowiązują się wiecznymi czasy, co rok płacić kirgiskiemu narodowi średniej hordy daninę, składającą się ze stu *dab* bucharskich, które rozdane będą pomiędzy *dżataków* Kuczukk-tobuklińskiej i Dżangubek-siwanowskiej włości, jako koczujących na wspomnianych ziemiach od niepamiętnych czasów, i

3. Pokój, zgoda i dobra harmonia trwać będą na wieki wieków pomiędzy dwoma narodami.

Krótko i węzłowato.

Pisząc te *pacta conventa*, dowodzące wspaniałomyślności kirgiskiego narodu, co tak hojnie rozszafował ziemią, na której obszernej przestrzeni mogłoby najwygodniej pomieścić się z pół tuzina niemieckich książąt z całą pompą swych pałaców, szambelanów, fraucymeru, ministrów i swych potężnych kontyngensów, pomyślałem sobie: o dziwne losy człowieka! czy mi się śniło kiedy, ażebym ja, w drugiej części świata grał rolę dyplomaty pośród ludów znanych mi ledwie z imienia.

Sprawa ta taszkińsko-bucharsko-kirgiska nastęrczyła mi zreczność poznać dwóch mężów, mających wielkie znaczenie u swych rodaków, i którzy, jak dwie gwiazdy pierwszej wielkości, przyświecają plemionom stepu. Powiem ci więc słów kilka o sułtanie Baraku i *biju* Kunanbaju.<sup>7</sup>

W kwiecie jeszcze wieku potomek chanów, wyprowadzający swój ród od Dżingischana, sułtan Barak, jest to człowiek okazałej postawy, szlachetnych rysów lica i nadzwyczajnej siły. Hojna natura w uposażeniu tego stepowego Herkulesa, obok niepospolitych zdolności umysłowych, wlała weń tęgi charakter i nieustraszone męstwo. Wychowany po rycersku, jak syn barona z feudalnej epoki: nikt trafniej od niego nie strzeli z łuku, nie ujarzmi snadniej dzikiego rumaka, nie dźwignie ogromniejszego głazu. *Bajgi*, owe kirgiskie turnieje, łowy i *baranta*, na których zawsze palma zwycięstwa wieńczyła skroń jego, szeroko po stepie rozniosły sławę młodzieńca. Pode zielone jego znamię cisnęła się zewsząd chciwa łupów i zdobyczy drużyna, a młody bohater prowadził ją nieraz pod śnieżne szczyty Ałtaju, skąd, jak orzeł tych gór na ptaki, spadał na liczne stada Jusunów, których, mimo dziewięćkroć przeważniejszej siły, zbiwszy na miazgę, z bogatym zawsze plonem wracał do swych aulów. Wyprawy te, przypominające napady góralskich klanów na płaszczyzny Szkocji, imię jego, jak niegdyś bohaterów walterowych powieści, uczyniły straszny i opromieniły wieńcem narodowej poezji: niejedna bowiem banda stepowych korsarzy pierz-

<sup>7</sup> Uskinbajewicz Kunanbaj był ojcem poety kazachskiego Abaja Kunanbajewa (1845-1904), najprawdopodobniej którego A. Januszkiewicz leczył jako małego chłopca zagrożonego ślepotą.

chała na samo tylko imię Baraka, i niejeden *ulanczi* (poeta ludu) opiewał chwałę pogromcy zalepszańskich plemion. Dziś, ze zmianą okoliczności krajowych, złożył on swoje gromy, spoczywa na laurach, i tylko z *herkudem* na ręku goni za wilkiem, lisem lub stadem lotnych *sajg* (antylop); lecz dosyć nań spojrzeć, aby się przekonać, że krew dżyngischańska nie zamarła w jego żyłach, i że skromna władza *ilbilańczy*, a nawet bramowany złotem chałat, nie wystarcza dumie *batyra* Najmanów. Jakoż męskie swe czoło, na którym błyszczy gwiazda mocy i geniuszu, wysoko on wznosi przed każdym, kto by się go lekceważyć ośmielił. „Raz będąc w Czuguczaku – opowiadał mi – poszedłem z kilkoma innymi do tamecznego *aldaja* (komendanta); towarzysze moi padli przed nim na kolana, jak nasze kobiety przed starszymi: ja tylko jeden, na znak uszanowania, położyłem rękę na sercu. Niezgiętością mego karku zdziwiony *aldaj* zapytał: czemu nie padam na ziemię jak drudzy? – Bogu tylko taka cześć się należy, rzekłem, a ty nie jesteś Bogiem. Mój *aldaj*, rozgniewany tą odpowiedzią, wrzasnął: Ja ci każę. – Ty, odparłem, nie masz prawa mi rozkazywać, i ja nie spełnię twojego rozkazu; lecz jeśli ci nie podoba się moja wizyta, bądź zdrów. – Słowa te zmiękczyły Czurczuta (Chińczyka), i nie tylko prosił mnie usiąść, lecz jeszcze przyjął lepiej niż innych, częstował herbatą i różnymi potrawami, których wszakże dotknąć się nie mogłem, nie będąc przyzwyczajonym do gadzin i tym podobnych przysmaków chińskich kucharzy”.

Oto masz w słabych zarysach Bajronowską postać, obraz męża ze wszystkimi pierwiastkami potężnego ducha, zdolnego pod moc swej woli podbijać masy i naginać je ku swoim celom.

Niewiele laty starszy od sułtana Baraka, *bij* Kunanbaj, nie mniej jest także wielką znamienitością w stepie. Syn prostego Kirgiza, obdarzony z natury zdrowym rozsądkiem, zadziwiająco pamięcią i wymową, czynny, gorliwy o dobro swych ziomek, biegły w stepowym prawie i przepisach Alkoranu, znawca wszystkich ustaw rosyjskich dotyczących się Kirgizów, nieposzlakowanej bezstronności sędziego i przykładowy muzułmanin, plebejusz Kunanbaj zjednał sobie sławę wyroczni, do której z najodleglejszych aułów, młodzi i starzy, ubodzy i bogaci cisną się po radę. Zaufaniem możnego rodu Tobukli powołany na stopień rządcy, z rzadką prawością i energią piastuje władzę, a każdy jego rozkaz, każde słowo spełnia się na skinienie. Niegdyś przystojny mężczyzna, dziś, napiętnowany strasznymi bliznami ospy, co go przed kilku laty omal nie wtrąciła do grobu, w zapale mowy każe zapominać słuchaczom o szpetności swej meduziej twarzy; okrutna zaś plaga jaką dotknięty został obudza w nim samym słodkie wspomnienia współczucia ziomek, które ci może dać miarę jego zasług i znaczenia. „Tłumy ludu w rozpacz – mówił mi z wzruszeniem i dumą – oblegały w dzień i w nocy moją jurte, w której walczyłem ze śmiercią wśród mąk nieznośnych. Łzy to jego zalały ogień co mnie pożerał, i wymodliły u Allacha mój powrót do życia”. Nie takimże współczuciem, w jednym z najoświecieńszych krajów Europy, otaczał lud ostatnie chwile umierającego trybuna, co równie jak Kunanbaj był tarczą jego przeciw niesprawiedliwości i gwałtom możnych; ów lud, co mniej szczęśliwy od półdzikiego, nie mogąc dla swego obrońcy wypłakać życia u Boga, w uniesieniu wdzięczności dla umarłego wynalazł Panteon.

Tuzin sułtanów i z pół kopy *murzów* było dzisiaj u nas na herbacie. Do całej tej arystokracji rodu i bogactw wybornie zastosować można nasze przysłowie: wart pałac Paca, a Pac pałaca. Biała kość (sułtany) bardziej szarą niż białą

wydawała się obok Baraka, a wszyscy *baje* (bogacze) niegodni rozwiązać rzemyka u obuwia Kunanbaja.

\*

### Aleksander Bem – *Kirgiz i stepy*

Autor drukowanej poniżej relacji urodził się 1810 r. w rodzinie „szlacheckiego stanu” jako przyrodni brat gen. Józefa Bema. Kształcił się w szkołach wojskowych, prawdopodobnie w Kielcach, gdzie przez 5 lat odbywał aplikację w kancelarii prawnej. Od 1836 r. ponownie mieszkał w należącej do ojca wsi Słabkowice pomagając mu w prowadzeniu gospodarstwa. W 1846 r. został aresztowany za udzielenie pomocy braciom Janowi i Teodorowi Luniewskim w czasie „rozruchów” antyrosyjskich w powiecie miechowskim (kieleckie) oraz za próbę odbicia aresztanta przetrzymywanego przez carską policję i nakłanianie chłopów do buntowniczych wystąpień. W roku 1849 wyrokiem sądu wojskowego skazany został do Orenburskiego Batalionu Liniowego. Służył tam przez 5 lat i uznany za niezdolnego do służby wojskowej odesłany został do kraju, gdzie pozostawał pod nadzorem policyjnym.

Z listów pisanych przez A. Bema do rodziny W. Wieczorkowski skompilował relację pt. *Kirgiz i stepy*, którą opublikował w „Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych” (1856) uważając ją za ważne źródło ludoznawcze dotyczące Kazachów.<sup>1</sup> Listy te poprzedził wstępem, w którym czytamy: „Na dalekim wschodzie, za Wołgą i Uralem, ponad Aralskim i Kaspijskim Morzem, leży kraj dziki, ziemia pustyń piaszczystych, ziemia ludu, co nie przeszedł dziwnych kolei europejskiej cywilizacji, ale węgtuje z dnia na dzień, chowając stary obyczaj swych przodków. Obyczaj ten, to zlepek niekształtnych, mistycznych podań i wierzeń ludów, z którymi sąsiadował od niepamiętnych czasów, toż i hord różnojęzycznych, co przez ciąg tylu wieków ocierały się i mieszały z pierwotnym plemieniem tej ziemi. Kraj ten to ojczyzna Kirgiza.[...] Jednak badawczy wzrok zachodniego podróżnika nie przeniknął jeszcze do krainy Kirgizów. Zachód znał ją długo tylko z wieści, jak wszystkie wieści, niepewnych [...]. Co do nas poznaliśmy pierwszy raz Kirgiza w prześlicznym poemacie Gustawa Zielińskiego, poznaliśmy go ze strony uczuciowej, namiętnej... Chcielibyśmy może teraz chłodniejszego nieco, ale za to prawdziwego i więcej szczegółowego poglądu na ten lud dziki, ale nie zepsuty jeszcze, a więc godny głębszego zastanowienia.

Dostaliśmy nieco listów pisanych do rodziny przez bawiącego tam od niejakiego czasu Aleksandra Bema. Listy te szkicowane naprędce, jedynie w celu obznajomienia rodziny z miejscem swego pobytu i bez żadnego zamiaru drukowania kiedykolwiek, pisane, jak się wyraża sam ich autor: „pod horyzontem martwego stepu i pod jego wpływem, tak są posępne i życia pozbawione, jak wszystko co do stepu należy i z nim jest połączone”. Mimo tej jednakże skromności autora, listy te są dla nas bardzo zajmujące i tym się wyróżniają, że są pisane nader przystępnie i popularnie. Sądzymy więc, że nie będzie od rzeczy ułożyć z nich jaką taką całość dla czytelników „Kroniki”.

Nie obiecujemy całości skończonej, bo nasz wędrownik nie zwiedzał nigdy stepu w celu naukowym, dla wyczerpania tego bogatego przedmiotu, ale obdarzony umysłem spostrzegawczym i nauką, notował swoje wrażenia i dzielił się nimi listownie z najbliższymi jego sercu. Drukujemy więc wrażenia, często oderwane notaty, ale nie zupełny etnograficzny opis kirgiskich stepów.”<sup>2</sup>

<sup>1</sup> W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik biograficzny*, Warszawa 1998, s. 53.

<sup>2</sup> [W. Wieczorkowski], *Kirgiz i stepy. Z listów Aleksandra Bema. Ułożył Władysław Wieczorkowski*, „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych”, 1856, nr 48.



Gdybym był malarzem lub poetą, odmalowałbym wam pędzlem lub wierszem stepy i ich mieszkańców Kirgizów, kiedy jednak do malarstwa ani poezji nie jestem usposobiony, prostym a krótkim opisem pragnę wam dać wyobrażenie o stepach, Kirgizach i harmonijnie im odpowiadających wielbłądach, nieodstępnych towarzyszach stepowych mieszkańców.

Wystawcie sobie ogromną przestrzeń ziemi, której granic słabe ludzkie oko dojrzeć nie jest w stanie, i która łącząc się z horyzontem, jedną z nim całość stanowić się zdaje. Ziemia ta w wielu miejscach zupełnie jest naga, w innych okryta właściwymi sobie roślinami, które zaledwie wegetować i kwitnąć zaczęwszy, przepalone upałem słonecznym, nigdy nie zwilżone ożywną rosą, a zaledwie parę razy do roku deszczem przykropione, usychają przedwcześnie, a okryte pyłem ziemi, który najmniejszy wietrzyk unosi, przedstawiają oku obumarłą naturę. Parę tylko iskier... a już i pożar w stepie.

A i to Morze Aralskie, co się rozłożyło pośród ziemi spieczonej, nie rzuca z łoskotem falami i nie przeraża ludzkiego oka, ale jest ciche i spokojne; jak ten step, którego piaszczystymi brzegami otoczyło się dokoła. Zresztą słonych jezior i rzek nie braknie tu bynajmniej. Rzeki jedne wpadają do Uralu, inne toczą swe nurty do tak zwanego Morza Aralskiego, inne wreszcie do pomniejszych jezior. Oto są znaczniejsze rzeki: Ural, Irgiz, Turgaj, Jemba, Jarikła, Utwa itd.

Lasów i drzew nigdzie nie widać; żadnej prawie nie masz zieleności, żadnej różnaitości, która by choć na chwilę oko zająć mogła, a wiatr buja swobodnie po stepie od końca do końca, wiatr wściekły, nieznośny. Wszystko martwe, wszystko bez życia, a dodawszy do tego widok niezgrabnego Kirgiza ociężałego i leniwego, który jedzie na równie niezgrabnym wielbłądzie lub wole (bo tu i woły używane są miasto wierzchowych rumaków) a będziecie mieli zupełny widok stepowy. Jaka zgodność, jaka harmonia pomiędzy stepem, Kirgizem i wielbłądem panuje, trudno wyrazić, zdaje się, że dla siebie są oni stworzeni; Kirgiz bez stepów i wielbłąda żyć by nie mógł, a w stepach okrom Kirgizów i wielbłądów nikt by żyć nie chciał. Dotąd jeszcze cały step jest ziemia dziewicza, prawie nie tknięta pługiem od jej uformowania, a ta formacja jest bardzo nowa, bo zdaje się iż cały step był morzem. Najwznioślejsze miejsca mają pokłady rozmaitych muszli wodnych i skamieniałości, których obfitość nie daje wątpić o przemianie morza na ziemię, wiele jest skamieniałości jeszcze nie zupełnych, a górnicy nigdzie nie znajdowali tak świeżej formacji. Ziemia stepowa jest dobra i byłaby bardzo urodzajną, gdyby tylko deszcze ją odwilżały. Niektóre ogrodowe europejskie rośliny dobrze się tu udają, szczególnie słońceznik bardzo pięknie się rozwija, inne mianowicie: groch i bób są nędzne. Żyto jare (ozimego tu nie sieją) i proso nie bardzo się udają, ale za to arbuzy i melony nie mogą iść w zapasy co do dobroci z europejskimi, tak są wyborne, chociaż nie znają one, co to inspekta, ale rosną sobie wprost na grzędzie, a zasadzenie ich z powodu nieprędko kończącej się zimy, zwykle bywa późne. Arbuzy i melony są o wiele większe od europejskich, zasadzają ich tu bardzo wiele, bo stanowią one ważny artykuł żywności. Jedzą je surowe a na dłuższe zachowanie marynują, solą i różnie przygotowują. Arbuzy są tym dla Kirgiza, czym w Europie kapusta lub ziemniaki, które tu nie udają się wcale z powodu suszy. Nie wszystkie jednakże miejsca są równo żyzne; w nizinach brzegi niektórych rzek i jezior nadzwyczajnie przesycone

solą, a w takich niektóre tylko wegetują rośliny, a i te są najczęściej wodniste, ilością soku solnego i nie mają liści tylko pręciki. W Europie nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć podobnej rośliny, i nie pamiętam nawet czy jej opis czytałem w jakiejś botanice. Rośliny tej jest kilka gatunków i nazywają ją *słońcem*, zapewne dlatego, że jest bardzo słona.

Wiosny bardzo często nie masz w stepie; tak np. mieliśmy tu (w r.1851) zaraz po zimmach, ledwo dwa dni przyjemnych, wiosennych, i zaraz zaczęły się upały (w czerwcu), które bezprzestannie panują; gorąco przechodzi 30 stopni i czasem tylko wiatrem ochłodzone bywa. Długo czekaliśmy na deszcz który by odwilżył ziemię spieczona i stwardniała jak kamień. Zdarzy się nieraz, że czarne chmury pokryją horyzont, zdaje się, że już deszcz ożywczy odwilży ziemię spragnioną, gdy nagle, zrywa się wichur, rozwiewa chmury i kropla jedna nie pada – a natomiast powstaje okropna zawieja piaskowa. Już nawet tracono w tym roku nadzieję zbioru, gdy nareszcie doczekaliśmy się kilku deszczów, a po nich odżyły zboża i ziemia odwilgła., Gdy śniegi zimą są wielkie, to wtedy lepsza otucha na urodzaj, bo śniegi zrzadzają wielki rozlew wód i pomagają wegetacji, trawa bujnie się rozrasta i daje obfitość siana, którego można przysposobić na następne lata, jeśli te byłyby nie urodzajne. Ale gdy śniegów nie ma, wtedy dotkliwie daje się odczuć brak paszy na pożywienie dla bydła, owiec i koni. Bywały lata, że Kirgizi tracili z tego powodu całe stada.

W lipcu niknie zieloność, brzegi Turgaju, Uralu, Ory i kilku innych rzek stepowych pokryte trawą; jedyną są przyjemnością dla oka, bo wyższy step już prawie martwy, wypalony słonecznym upałem; Kirgiz wędruje dalej już to dla handlu, już dla ocalenia swej trzody od zarazy, step pozostaje głuchy i pusty. Nie darmo też mówią: pusto jak w stepie.

Miejscowość zwana Karakumy sławna jest na całym stepie, z tudności jakiej w jej przechodzie napotykać podróżni; słuchając poprzednich opowiadań rozumiałem iż rzadko komu udaje się przejść szczęśliwie tę drogę. Przeraziły mnie przesadzone opisy nadzwyczajnych upałów, piasków, pragnienia przechodzących z niedostatku wody, niezliczone mnóstwo jadowitych niedźwiadków (skorpion), tarantul i phalangów, dziś jednak kiedym już przebył Karakumy, poczytuję to wszystko za wyjątek z tysiąca i jednej nocy. Upały bowiem nie są silniejsze jak w całym stepie pod tymże samym stopniem, piaski daleko większe w innych miejscach napotkać się dają, a brakowi wody zapobiegają studnie, czyli doły wykopane w miejscach przeznaczonych na nocleg, gdy w dzień baryłka napełniona wodą gasi pragnienie. Co zaś do niedźwiadków, tarantul phalangów tych wcale nie wiedziałem. Prawda, że węższe tutejsze konie, ustają zwykle pod ciężarem zaprzęgu, wiele ich ginie w sławnych Karakumach. Dla mnie jednak też Karakumy innymi się wydały, bo znalazłem w nich to, czego w całym stepie nie widać, znalazłem życie. Kiedy cały step spieczony upałem słońca przedstawia oku panowanie śmierci i zniszczenia, kiedy żadna roślina nie pokazuje znaków życia, ale wszystko zwiedle i suche; Wtedy cała przestrzeń Karakumów pokryta krzewami saxsabtu, dżangilu itd. rozwesela wzrok podróżnika. Krzewy te nie mają właściwych liści, ale podobne są do roślin, które w Polsce nazywają rolnicy: chrząstka i skrzyp.

Krzew zwany tutaj *grebieńszczyk*, (którego właściwie nazwiska dopytać się nie mogłem) zupełnie jak cyprys wygląda, a w końcu maja i w czerwcu gdy się okryje różowymi kwiatami, zachwycający przedstawia widok. Wszystkie te trzy



gatunki krzewów, o których wspomniałem, są żółtego koloru i bardzo twarde. Ostatni tak jest ciężki, iż tonie w wodzie jak heban. Znajduje się jeszcze w stepie, drzewko nazywane przez Kirgizów dzida, podobne do *saklaku* i okryte na kształt cierni kolcami. Toteż używają go w stepie podobnie jak *saklaku* na cybuchy. Jest wreszcie jeden gatunek krzewu, nie znany mi z nazwiska, a podobny nieco do zwykłej akacji, tylko, że ma więcej kolców, chowa się mnóstwo zajęcy i bażantów: pierwsze karmią się kora ze wspomnianej rośliny, drugie nasieniem. Jednych i drugich mnóstwo tu nastrzelałem, ale niebezpieczne to polowanie i dla ciała i dla odzieży, gdyż mogą być bardzo łatwo pokaleczone i podarte.

W zimie trudniejsze już polowanie, bo kiedy przyjdzie na nią pora, to już to będzie zima prawdziwie stepowa. Śnieg pada szerokimi płatami, to znów topnieje, to znów pada i marznie. Na koniec w listopadzie zaczyna się stała zima, śnieg pada prawie codziennie; a *burany* (zawieje) bywają tak okropne, iż ani nie widzieć, ani wyjść nie można, przy tym potężne do 35 dochodzące okropnie dokuczają. Toć bywają i w Europie zawieje śnieżne, lecz te bynajmniej z tutejszymi porównać się nie mogą. W czasie takiej okropnej zawiei, albo *buranu*, wyszedł raz człowiek za wały twierdzy i oddalony siłą wiatru o kilka kroków, żadnym już sposobem trafić nie mógł napowrót, i pomimo dawanych mu znaków przez dzwony i strzały, nie powrócił już więcej i zmarł na stepie Dłatego też w czasie podobnych zawiei nikomu nie wolno wychodzić za linję, aby się takie wypadki nie powtarzały.

Blask słońca w czasie letnich upałów, drobny pył podnoszony najmniejszym powiewem wiatru, a w zimie rażąca białość śniegowa, bardzo szkodliwie działają na wzrok. Pobyt chwilę pod gołym niebem, za wejściem do mieszkania, nie można już potem żadnych rozeznąć przedmiotów. Panuje tu także corocznie przy końcu zimy szkorbut, który tu zowią cyngą; objawia się on w nieco odmienny sposób, jak w Europie, i jest daleko niebezpieczniejszym. Choremu pokazują się naprzód sine plamy na nogach, później robią się rany i nogi krzywią się, kręcą i dokuczają okropnie. Całe ciało nabrzmiewa, jakby w puchlinie, następuje na koniec duszność w piersiach, ociężałość i śmierć. Obecnie wiele bardzo znajduje się dotkniętych tą słabością, staranność tylko i wielka troskliwość lekarzy nie dopuszcza chorobie rozwijając się, ale ją zaraz w początkach uśmierzają. Najlepszym środkiem ustrzeżenia się od skorbutu jest ciągle używanie ruchu, zdrowych i posilnych pokarmów, przyprawianych pieprzem, chrzanem, gorczycą itp. korzeniami, obok używania wódki i fajki. Kto inaczej postępuje pewno ulegnie chorobie a kto zachorowawszy, wiele leży i śpi, nie ujdzie niebezpieczeństwa a nawet z trudnością przychodzi mu się wyleczyć.

W stepach kirgiskich żyją: bawoły, dziki, bobry, gronostaje, zające, dzikie kozy, piękne, wysmukłe, zgrabne, wesołe i pełne życia, lekkie w podskokach, zachwycają swoim widokiem. Dalej wspaniałe łabędzie, dropie, pelikany, czerwonaki, bażanty, rozliczne gatunki kaczek, cyranek, kulików i gęsi tudzież wiele innego ptactwa nieznanego w Europie, zapełniają step ubogi w ludzi, załują tylko że nikt tu nie umie dobrze wypychać, bo można by piękne zbiory dla gabinetu zoologicznego zgromadzić. Z pomiędzy kulików jest jeden gatunek duży, biały, dziób u niego płaski, zaokrąglony w końcu około półtora cala; w środku pół cala szeroki, a długi około 8 cali. Kulika takiego nazywają tutaj kołpikiem. Nie przypominam sobie ani nazwiska, ani opisu jego, i nie wiem czyli to nie jest ibis, którego czcili starożytni Egipcjanie. Z drugiej strony nie przeli-

czone mnóstwo komarów, bąków i innych rozmaitego rodzaju owadów, nieznośnie przez całe lato dokuczają. Wspomnę tu jeszcze o pewnym gatunku kaczek, które tu nazywają biegunami; są to kaczki morskie, większe od zwyczajnych, piękne, pstrokate; utrzymują się one na wodach słonych i gorzkich, a gnieźdzą się w ziemi, że zaś najłatwiej znaleźć im nory w grobach Kirgizów, więc chętnie składają tam swoje jaja, będąc w tym schronieniu tak spokojne, jak spoczywający w nim nieboszczyk. Nasi tylko myśliwi i tam ich wysledzą i czasem na gnieździe siedzącą ubijają. Jednakże wielu z tutejszych mieszkańców nie je mięsa tych kaczek z powodu bliskich ich z trupami stosunków.

Na tej ziemi bezludnej człowiek łatwo przywyka do otaczających go stworzeń a i one tu jakby instynktem lgną do swego dobroczyńcy. Łabędź, ten śliczny ptak łatwo się bardzo przywiązuje, w roku zesłłym wyhodowaliśmy jednego; tak on przywykł do tego, kto go karmił, że za nim wszędzie chodził, a nawet sypiał razem. Kiedy wyrósł siedząc przy łóżku w nocy, wkładał głowę na poślanie śpiącego karmiciela swojego. Wychodząc z Turgaju z żalem zostawiłem biednego, tudzież kilka jaj pod gęsiami, z których miałem nadzieję widzieć stado pięknych domowych łabędzi. Uważam, iż w ogóle ptaki i zwierzęta łatwo się oswiają. Chowano tu lisa i wilka, które bardzo się ugłaskały. Wilczek choć mię nie znał, bo tylko co przybyłem, lizał mi ręce, łasił się jak pies i chodził ze mną na spacer. Lisa trzymano na łańcuszku, raz dałem mu kawałek mięsa, to jak mię potem zobaczył z daleka, wybiegał krzyczał przeraźliwie, położył się do góry brzuchem i czekał żebym go pogłaskał, wbiegł na ramiona i łasił się. Teraz chowa się tu młody koziołek złapany w stepie; chodzi on jak piesek za swoim panem. Na stepie kozy są bardzo pierzchliwe, przeciwnie w niewoli bardzo powolne, lecz za to nie tak powabne i nie tak zreczne, jak na wolności. Chowalem także jeże; psy złapały mi na polowaniu samiec, a maleńkie tak się oswoiły, że nam na ramiona wchodziły, jadły razem z nami z jednego talerza i różne nam psoty czyniły. Z pomiędzy drapieżnych zwierząt, najstraszniejszym tu jest tygrys; nie spotkałem się dotąd z takim nieprzyjacielem, ale jeśliby się to zdarzyło, sądzę, że wystrzał ocaliłby mnie od śmierci. W ucieczce nie szukałbym ocalenia, gdyż uciec bym nie potrafił, bo i nogi nie po temu i jeździec ze mnie nie najlepszy, w strzale tylko nadzieja, a ogromny łeb tygrysa nie może być chybionym, i prawdę powiedziawszy ciekawy jestem, jaki byłby skutek wystrzału, gdybym np. o dwa kroki spotkał przyczajonego Dżułbarsa.

Było tu już takie zdarzenie, że żołnierz polując na bażanty, natrafił na tygrysa; nie stracił jednak przytomności, strzelił mu w łeb i wybił jedno czy dwa oczy, tygrys zaczął się rzucać i biegać, a tymczasem nabił fuzję, podszedł do niego i dobił. Mówiono mi jednakże, że czasem i kula zsunie się po głowie i czaszki nie rozbije. Już wtedy rozdrażniony tygrys rzuca się z całą wściekłością na swoją ofiarę...

... Abyście lepszego nabrali pojęcia o Kirgizach, bliżej ich opiszę. Mężczyźni są średniego wzrostu, krępi, dobrze zbudowani, twarz ich okrągła, czerwona, ogorzała, nos szeroki najczęściej spłaszczony, oczy podłużne, wielkie, daleko od siebie położone, bo szerokość nosa znaczną pomiędzy niemi przestrzeń zajmuje. I cóż powiecie mimo te wszystkie cechy, nie odróżniają oni swoją brzydota; owszem są nawet dość przystojni w młodszym zwłaszcza wieku. - Główny ubiór Kirgiza stanowi tak zwany *czapan*; jest to długa suknia popolicie czarnego lub brunatnego koloru, podobna do naszego szlafroka; taki *czapan* podbijają w zimie futrem baranym; używają także odzienia ze skór dzi-

kich kóz, włosom na wierzch, albo też noszą kilka zwykłych *czapanów*, jeden na drugim. Suknię męską ze skóry źrebięcej z włosom na wierzch odwróconym, ozdobioną aksamitnymi obwódkami jaskrawych kolorów, nazywają Kirgizi Verhakiem. Szlafroki te wkładają w ogromne skórzane a czasem i w różne wzory wyszywane *szembary* (szarawary), które dla pomieszczenia kożucha są bardzo szerokie i czynią z Kirgiza jakąś istotę niezgrabną, tym więcej, że nogi jego są bardzo krótkie. Jednakże ubiór ten jest bardzo wygodny, bo kożuch nie podwiewany wiatrem więcej ciepła daje, a pomieszczenie onego w szembarach ułatwia jazdę konną. *Szembary* ściągają się rzemiennym paskiem, u którego z jednego boku wisi skórzana kaleta, u bogatszych ozdobiona wraz z paskiem srebrem, a nawet kamieniami, z drugiej zaś strony pomieszczony jest nóż w skórzanej oprawie. Na ogolonej głowie w zimie małe jarmułki kolorowe obszyte u dołu futerkiem, na te zaś kładą tak zwany *malachaj* z futra baraniego powleczonego sukniem lub mną materia; latem samego tylko używają *malachaja*, który bywa zwykle biały, wełniany. Ubiór ten na głowę wybornie zastosowany do klimatu, jest bardzo użyteczny w czasie wielkich tu panujących mrozów i śniegowych zawiei. Okrywa głowę, szyję i większą część twarzy u wierzchu jest szpiczasty, dalej się rozszerza, spada na plecy i ramiona mając niejaki podobieństwo do worka: składa się on z kilku części stosownie wyciętych i zszytych; z przodu zawiązuje się sznurkiem dla okrycia twarzy. Użytku koszul nie znają wcale nasi stepowi mieszkańcy.

Kobiety są tu małego wzrostu, brzydkie, prędko się starzeją, a ubiór ich, jeszcze mniej udany aniżeli u mężczyzn. Używają one podobnych jak mężczyźni szlafroków, a w czasie jazdy konnej i zimą *szembarów*, co przy małym wzroście, bardzo je niekorzystnie przedstawia. Na głowie noszą białe zasłony, które im głowy i pół figury okrywają, jedną tylko twarz wyjąwszy. Nie jest to bynajmniej arcy malownicze ubranie. Dodawszy do tego twarz brzydką, ogorzałą i przedwcześnie pokrytą zmarszczkami, obok niechlujstwa odbijającego w całym ubiorze, wszystko to tym silniej dopełni nam odrazy. Dziewczęta przywieszają sobie do końca warkocza swobodnie spadającego im na plecy, rozmaitego rodzaju metalowe świedidla i ozdoby, głównie zaś srebrne monety, które za każdym poruszeniem głowy dźwięk wydają.

Teraz wam powiem jak mieszkają Kirgizi. Chaty swoje, czyli kibitki (kibit znaczy mieszkanie) albo właściwie jurty budują sobie Kirgizi bez wielkiego zachodu. Z kijów wystruganych, grubości palca robią rodzaj kraty, łącząc je w punktach krzyżowania się przeciągniętym przez wywiercone dziury kawałkiem rzemienia, przez co krata składa się i rozciąga i dlatego łatwo ją przenieść z miejsca na miejsce. Kratę takową wysoką na dwa łokcie, stawiają w okrąg na ziemi, a na wierzchu na kijach wygiętych, przytwierdzają za pomocą sznurków koło, które stanowi niejako sklepienie kibitki. Z wierzchu okrywają tę kratę cienką, słomianą lub też z trzciny mianą, lub też z trzciny cienkiej sporządzoną matą, na którą kładą jeszcze kosznię, rodzaj wołoka z grubej baraniej wełny lub wielbłądziej sierści; drzwi także z koszmy podnoszą się w górę. W czasie palenia odkrywają wierzch kibitki dla odchodu dymu. Wewnątrz w pośrodku jest ognisko i stoi kocioł do gotowania; naokoło rozesłane koszmy do siedzenia. Przy drzwiach stoją chore owce, krowy, jagnięta itp. Dla starego bowiem bydła, dla owiec, wielbłądów i koni, pomimo ogromnych mrozów i buranów, nie pomyślano o żadnym schronieniu.

Głównym pokarmem i przysmakiem Kirgizów jest, *machan* czyli mięso końskie; chociaż używają także mięsa baraniego, koziego i wielbłądziejego. Z końskiego urządzą sobie kielbasy, które mi prawdziwie smakowały, chociaż bez żadnych wymysłów i nieporządnie sporządzone. Główną przyprawę potraw stanowi sól, którą zbierają dla użytku kuchennego na brzegach słonych jezior. – Nie jest ona tak czysta jak warzonka, ani tak dobra jak kopalna. Kolor tutejszej soli jest ciemno-brunatny, połączona jest przy tym z solą glauberską, co jej pewną gorycz nadaje. Można jej jednak z pożytkiem używać na potrzeby kuchenne. W lecie Kirgizi sami żyją kumysem zrobionym z mleka kobyłego i wielbłądziejego; ma on podobieństwo do maślanki, z tą jednak różnicą, iż wiele w nim znajduje się spirytusu, co mu nadaje własność upajającą. Jest to zresztą napój bardzo zdrowy i w wielu słabościach, szczególnie piersiowych przepisują go lekarze, dla nieprzywykłych jednak jest trochę niemiły, a to z powodu jego przyrządzania. Robią go bowiem w następujący sposób. Ze świeżej skóry zwierzęcia, najczęściej zdechłego, szyją worek (*tursuk*) włosy wewnątrz obracając; w ten nalewają mleko kobyłe i wielbłądziejego i tak trzymają aż do fermentacji; przez takie ciągle utrzymywanie mleka w *tursuku*, włosy oblażą i pełno ich w kumysie, który w miarę używania dolewają zawsze świeżym mlekiem. Ze skóry świeżej wydziela się nieprzyjemna woń, która jednak zmniejsza się z czasem, a przyzwyczajonym nie czyni żadnej odrazy. Z początku nie bardzo chętnie piłem kumys, później jednak zasmakowałem mi bardzo. – Ale nie wszyscy Kirgizi zarówno smaczny wyrabiają kumys i dlatego stosownie do dobroci, można go gatunkować jak wino.

Kiedy gości przyjmują u siebie Kirgizi, a są gościnni tylko dla swoich, wtedy raczą ich kumysem, albo mięsem gotowanym lub smażonym w sadle. Lecz tym ostatnim przysmakiem, oprócz Kirgizów mało kto pragnie być ugoszczonym, gdyż nieczystość panująca tu ogólnie, czyni i ten pokarm niezdatnym. Gdy komu chcą okazać szacunek biorą kawałek mięsa w rękę i ten prosto do ust gościowi wkładają; a kiedy podadzą mięso z kością, znaczy to bardzo wysoki stopień szacunku; gość po ogryzieniu kości, ma prawo oddać takową gospodarzowi lub kogo lepiej uważa, co także oznacza wzajemny dla nich szacunek, kość tę tak czysto ogryzają, iż najmniejsza odrobina mięsa na niej nie pozostanie i będzie jak oskrobana, największym bowiem u nich przysmakiem jest mięso przy kości.

Kiedy Kirgiz chce uczcić gościa, ale nie radziłbym nikomu doświadczyć zemsty Kirgiza, czyli tak zwanej *baranty*. – Bo to prawdziwa korsykańska Vendetta. Terazniejszy rząd zapobiega o ile możności podobnym bezprawiom, ale rozległa przestrzeń stepowa, przedstawia wiele trudności w zupełnym wykorzenieniu złego, które chociaż mniej często, jednakże dotąd się praktykuje w ciichości. Dawniej rodzina jedna lub pokolenie, zbrojnie prześladowały inne gdziekolwiek się spotkali, co trwało dopóty, dopóki słabszy zupełnie wytepienym nie został, a majątek jego nie poszedł jako łup wojenny w posiadanie zwycięzcy. Dziś *baranta* ogranicza się właściwie do nocnej kradzieży końskich stadnin. Takie łupiestwo nie jest tu jednak w pogardzie. Owszem upatrują w tym pewien rodzaj rycerstwa, podobnie jak nasi karpaccy górale nie uważają rozboju za rzecz haniebną i upadlającą.

Kirgizi prowadzą życie koczujące, nie mają stałych siedzib i nagle z trzodami i mieszkaniem swoimi, przenoszą się z miejsca na miejsce i dlatego nie zajmują się bynajmniej uprawą gruntu, nie starają się nagromadzić zapasów żywności dla trzód swoich na zimę i zbudować im stajnie dla zasłonięcia od

ostrości zimy.. Trzody ich i stada, tak zimą jako i latem stoją pod gołym niebem, aż litość bierze patrzeć jak te biedne zwierzęta przeziębione w nocy, zmuszone są w dzień dla wyszukania lichego pożywienia, grzebać nogami śnieg, blisko na dwa łokcie pokrywający ziemię, gdyż innej paszy nie mają. Toteż gdy zima trwa długo, ogromne ponoszą straty mieszkańcy. Niekiedy nawet padają całe stada lub większa część takowych, a reszta pozostała, tak jest nędzna, że chodząc przewraca się. Wszystko to jednak nie potrafiło dotąd skłonić próżniackiego narodu do stałego zamieszkania i zaopatrzenia się na zimę w paszę przez co trzody ich i stada przynosić by im mogły ogromne korzyści, gdyż tak zaspakajają zaledwie pierwsze potrzeby życia. Nawyknienie Kirgizów do włóczęgi jest tak wielkie, że kiedy nawet mają konieczną potrzebę, pozostawać dłuższy czas w jednym miejscu, to przynajmniej co parę tygodni przestawiają swoje kibitki o kilkanaście lub kilkadziesiąt kroków.

Bogactwo Kirgiza zależy od ilości posiadanych przez niego stad bydła. Bogaty *fiura* (pan) ma kilka tysięcy owiec i koni, kilkadziesiąt wielbłądów i bydła rogatego. Aby tak ogromne stada wyżywić, całe lato włóczą się po stepach, na zimę dopiero gromadzą się w doliny zarosłe trzcina, a pośrodku nich, dla jakiegokolwiek zastłony od okropnych zawiei zakładają auły. Takie auły złożone są z kilku, kilkunastu lub kilkadziesiątu kibitek, w których mieści się albo jedna familia, albo też całe pokolenie. Gdy śniegi topnieć zaczynają i doliny woda zalewa, wychodzą Kirgizi ze swych zimowych siedzib, pakują kibitki i wszelkie ruchomości na wielbłądy, szukając sobie miejsc wyższych i w takim pochodzie całą wiosnę, lato i większą część jesieni pozostają. Zatrzymują się w miejscach obfitszych w paszę, ale zawsze nie na długo. Na zimę dopiero powracają znowu w okolice, z której wyszli i zakładają auły, albo w tych samych dolinach, albo w ich bliskości. Każde bowiem pokolenie, ma wyznaczone sobie miejsce w dolinach, których granic przekraczać mu nie wolno. Ubodzy Kirgizi (*bajgusze*), jako mający małe stada, nie przenoszą się tak często, i tak dalekich nie odbywają pochodów, co więcej zdarzało mi się widzieć w jednym miejscu auł z kilku kibitek złożony, którego mieszkańcy zajmowali się na małą skalę rolnictwem. Nad brzegami zaś rzeki Ory, spotkałem nawet dość liczne auły Kirgizów, stale zamieszkujących wspomnianą okolice i trudniących się rolnictwem. Trzody ich i stada pasące się w stepie, stogi siana sterczące nad brzegami Ory ożywiają smutną jednostajność stepową.

Kirgizi uznają władzę swoich sułtanów, którzy zostają pod głównym zwierzchnictwem i opieką Rosji. Język kirgiski bardzo zbliżony do tatarskiego, tak że umiając ten ostatni można rozmawiać z Kirgizami i Baszkirami. Religia ich niby mahometańska, jest właściwie mieszaniną różnych sekt, odwiecznych przesądów i najrozmaitszego pochodzenia tradycji. W tym jednakże chaosie prorok z Mekki zyskał sobie niejaka przewagę u Kirgizów, lecz o ile uważać mogłem, nie bardzo skrupulatnie zachowują oni swoje obrzędy. Tatarzy w tym względzie są gorliwszymi wyznawcami koranu.

Powiem słówko o tytoniu, może to wam śmiesznym się wyda, ale będzie to zarazem ustęp i o wierze Kirgizów. Bywając nieraz u nich, ile razy otworzyłem tabakierkę, zawsze znalazłem gotowe nosy i palce, wyciągnięte ku mnie po tabakę, która szczególnie stare kobiety chciwie zażywają; skutkiem tego wracałem zawsze do domu z prózną tabakierką. Patrząc jak chciwie zażywają tabakę, a wiedząc przy tym, że fajki wcale nie pała, dopytywałem się o przyczynę. Jako odpowiedź usłyszałem następującą legendę, która ma być zapisana w księgach świętych.

Bardzo dawno żył w Persji prorok wielki; gorliwy bardzo i słynący ze swej wiary mahometanin, a przez wyznawców koranu tak poważany, iż w jego obecności nikt nie śmiał coś zdrożnego powiedzieć, a zwał się Hazret Adams. – Po śmierci tego proroka niejaki Asraił, srodze prześladował mahometan, o czym doszła wieść na drugi świat do uszu Hazret-Adamsa obrońcy mahometan, ten ażeby przyjść w pomoc braciom swoim i zasłonić ich od prześladowań Asraiła, uprosił sobie Boga iżby mu pozwolił zmartwychwstać i przyjść na ziemię. I tak powstawszy z martwych, przyszedł Hazret-Adams do Asraiła żądając aby przestał prześladować mahometan; gdy jednakże Asraił był nieporuszony, groził mu prorok karami, a gdyby i groźby nie skutkowały, wnet nastąpiło spełnienie onych: naprzód Asraił ukaranym był uschnięciem ręki, potem odpadnięciem nosa i nogi, kiedy zaś i to nie odwiódło go od zaciętego prześladowania, prorok włożył na niego chomąto Boże. Przełęczony tym Asraił, spociał się i tym potem swoim zmoczył ziemię, która w oka mgnieniu wydała ziele tytoń. Zdziwieni ludzie na głym wyrośnięciem nieznanego im ziele przedsięwzięli dochodzić użytków i własności jego, więc zaczęli go palić, ale pierwszemu palącemu fajkę wzdęły się płuca, drugiemu twarz spuchła i oślepl, trzeciemu spuchł żywot i w okropnych bólach życie zakończył. Hazret Adams zwracając uwagę na szkodliwe ziele objawił, że nikt zbawionym być nie może, pomimo nawet swojej świątobliwości, kto tylko pali tytoń lub zażywa tabakę, gdyż wonności niebios, nie dozwoli mu zapach tabaki, a wijący się przed oczami dym z fajki, zaciemniać będzie oczy na piękności raj. Jednakże łaskawy prorok podał rady do oczyszczenia się od odoru tytoniowego: kto palił za życia fajkę, temu trzeba po śmierci wypalić płuca siarką i smołą, bo wedle powonienia proroka siarka przyjemniejszy od tytoniu wydaje zapach. Używającym tabaki każe Hazret nozdrza wypalać. Otóż i łatwy sposób osiągnięcia wiecznej szczęśliwości. Wypalanie po śmierci czy to płuc czy to nosa, rozumie się, że nie sprawia żadnej przykrości, każdy więc może poddać się tej pośmiertnej oczyszczającej ceremonii. Jednakże Kirgizi zgodzili się tylko na jedną połowę rad udzielonych przez proroka, zgodzili się na operację z nosem i łakomie zażywają tabakę. Za to operacja pośmiertna płuc nie ma w nich zwolenników; czy to zapach siarki tak zachwalany przez proroka jest dla nie nieprzyjemny nawet po śmierci, czy też inną nie mniej ważną mają do tego przyczynę, dość, że wcale fajki nie palą. Rzecz to dosyć dziwna pomiędzy wyznawcami koranu, którzy bez żadnego skrupułu używają tytoniu, podobno nawet sam Mahomet obiecuje swoim wyznawcom między innymi, że będą mieli w raju wyborny tytoń, kosztowne cyprysowe cybuchy. Co do samego Hazreta owego łaskawego dla Kirgizów proroka, ten w wielkim jest u nich uczczeniu, a miejscowość zwana Azret czy Hazret równie jest święta dla Kirgiza, jak Mekka dla wszystkich innych Mahometa wyznawców.

Cmentarze czyli *mazarki* widzieć można dość gęsto w stepie, zwłaszcza na miejscach wznioślejszych, każda familia na oddzielnych zakłada je wzgórzach. W wykopanym grobie chowają zmarłych siedzący, twarzą na wschód obracając, z wierzchu zakrywają grób grubą matą z rogoziny i obsypują ziemią, nadając rozmaite kształty i wielkość usypanym nagrobkom; można je widzieć w kształcie kolumn, ostrosłupów, domu lub kufra. Dla biednych niewielka kupka ziemi zastępuje wysokie usypiska. Niektóre groby bywają bielone, inne czerwono pomalowane, inne bez żadnej ozdoby. Wszystko to zależy od zasług i życia zmarłego. Często widzieć można na wierzchu grobu głowę końską, czerwono, zielono i biało upstrzoną, co znaczy, że pod nią spoczywa *batyr* (bohater). Kirgiz kiedy sobie dobierze dobrego konia, za nic się z nim nie rozstanie, miałem

nawet sposobność przekonać się, że nawet konia prawie na pozór wartości nie mającego, za żadne pieniądze sprzedać nie chciał. Kiedy taki Kirgiz mający konia faworyta umiera, familia i przyjaciele jego zabijają tego konia, zjadają mięso, a głowę kładą na pomniku.

Wszystkie jednak te pomniki Kirgizów nie są jednak bardzo trwałe, co stąd pochodzi, że grobu w którym pochowany zmarły nie zapełniają ziemią, ale sypią dopiero na matę dół pokrywającą. Próżnia znajdująca się pod matą, jest przyczyną całkowitego lub też częściowego zapadania się *mazarków*. Tylko wielka spójność gliniastej ziemi stepowej, którą z wierzchu oblepiają grobowiec utrzymuje go, choć do czasu w pewnej formie.

Obrzędów pogrzebowych nie widziałem, więc i mówić o nich nie mogę, wspomnę za to słów kilka o muzyce Kirgizów, która zapewne i przy podobnego rodzaju smutnych uroczystościach, nie poślednią odgrywa rolę. Kilkakrotnie zdarzało mi się słyszeć w aulach grajków kirgiskich, ot niedawno miałem sposobność widzieć takiego trubadura, który przygrywają na *dumra*, instrumencie z długą rękojeścią i dwoma tylko baraniami strunami, opiewał nam w formie eposu, bohaterskie ustępki z życia znajomego nam dobrze Kirgiza. Muzyka ta nie zachwycała nas bynajmniej, bo cóż i za wrażenie może wywołać narzędzie muzyczne, z którego jeno jakiś niesforny brzęk wydobywać się daje? Ale rzecz dziwna, te proste tony wywierają wpływ niepojęty na równie proste serce młodego ludu. Każdy akord, choć może mniej czysty i harmonijny odbija się natychmiast ogniem lub też spokojem na dzikich twarzach Kirgizów, i żaden dźwięk nie jest straconym dla tych serc, z których oświata nie wygnała jeszcze żywego uczucia. Oni rozumieją muzykę nawet w jej niemowlęctwie, bo też zarówno myślą jak i duchem są to jeszcze niemowlęta wobec ogólnego ruchu cywilizacji. Wyższa muzyka to jeszcze dla nich niezrozumiała zagadka.

Widząc grajków i słysząc muzykę kirgiską, dopytywałem się czy istnieją u nich tańce, lecz powiedziano mi, że ich nie znają; co mnie mocno zastanowiło, boć przecie i najdziksze ludy, jeśli mają tylko jakąkolwiek muzykę, zwykle tańczą podczas uroczystości posuwając nieraz swój zapał aż do szaleństwa. To też Kirgizi o ile mogłem uważać, mało bardzo mają świąt i uroczystości. Obchodzą zaś je przez wyścigi konne i piesze, gimnastykę, strzelanie do celu itp. Jeden z moich kolegów który był uczestnikiem podobnych wyścigów, gdzie nawet otrzymał konia za trafny strzał, opowiadał mi o nich, ale mnie samemu nie zdarzyło się ich widzieć.

Kończąc nasze opowiadanie musimy wspomnieć o żarliwym przywiązaniu Kirgizów do ojczyzny, przywiązaniu właściwym wszystkim ludom, o których biała szata nie otarł się jeszcze kosmopolityzm zachodu. Ani kraj bogaty, ani życie otoczone wygodami i rozkoszą – nic nie nęci Kirgiza do wydalenia się ze stepowego obszaru. Przedkłada on nad wszystko swoją spieczoną i bezwodną pustynię, bo to ziemia jego praojców, to jego własna ziemia rodzinna.<sup>3</sup>

---

<sup>3</sup> Źródło relacji: *Kirgiz i stepy. Z listów Aleksandra Bema. Ułożył Władysław Wieczorkowski*, „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych”, 1856, nr 48-50.





---

## KRONIKA

- **KAZACHSTAŃSKIE PAMIĄTKI W KOLEKCJI SYBIRACKIEJ MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI**

Historia Polaków wywiezionych w XX wieku na obszar Kazachstanu bywa opisywana na wiele sposobów: w naukowych opracowaniach, relacjach ofiar represji, poezji i sztukach plastycznych. Poza tą grupą ważnych świadectw, dokumentujących losy poszczególnych jednostek i całych grup społecznych, istnieją także autentyczne pamiątki z zesłań, które weryfikują lub potwierdzają ujmowane retrospektywnie fakty. Ich pokaźny zbiór posiada Muzeum Niepodległości w Warszawie i one właśnie będą tematem omówienia.

Dla Polaków okres stalinowskich represji rozpoczął się w latach trzydziestych XX wieku, kiedy Kazachstan stał się miejscem masowych zesłań. Oprócz rosyjskich kułaków, Niemców i kilku innych grup narodowościowych z zachodnich obszarów ZSRR, trafiła tam znaczna ilość mieszkańców polskiego okręgu na ukraińskiej Marchlewszczyźnie. Wśród wywiezionych przeważała ludność wiejska, niechętna nasilającemu się procesowi sowietyzacji wielu dziedzin życia. Podstawę prawną deportacji stanowiła decyzja Rady Komisarzy Ludowych nr 776-120 z 28 kwietnia 1936 r. o przesiedleniu osób narodowości polskiej jako „elementu niepewnego politycznie”. W ramach dwóch największych akcji, przeprowadzonych w czerwcu i wrześniu 1936 r. ojczyste strony opuściło 14.048 rodzin<sup>1</sup>. Ludzie ci zaliczeni do kategorii *trudposielańców* zostali rozmieszczeni w 37 nowych osadach w obwodzie północnokazachstańskim i karagandyjskim. Większość z nich nigdy nie powróciła w rodzinne strony.

Polacy wysiedleni z Ukrainy byli obywatelami Związku Radzieckiego i nie podlegali postanowieniom zawartym w układzie Sikorski – Majski.<sup>2</sup> Uniemożliwiło im to wyjazd do Polski w ramach umów repatriacyjnych. Dlatego

---

<sup>1</sup> Dane liczbowe podane w opracowaniu G. Hryciuka, *Patria in exsilio? Masowe deportacje do Kazachstanu w latach 30-50. XX wieku* [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia i Współczesność*, red. S. Ciesielski i A. Kuczyński, Wrocław 1996, s. 222. W tej samej książce H. Stroński pisze, iż „dostępny dzisiaj materiał archiwalny pozwala stwierdzić, że z Ukrainy przed drugą wojną światową mogło być deportowane w trybie represyjnym do 60 tys. ludności polskiej” (*Deportacje polskiej ludności z Ukrainy do Kazachstanu*, s. 245).

<sup>2</sup> 30 lipca 1941 r. ratyfikowano układ polsko-radziecki, który zawierał protokół dodatkowy dotyczący „amnestii”. Głosił on, że „z chwilą przywrócenia stosunków dyplomatycznych rząd ZSRR udzieli amnestii wszystkim obywatelom polskim, którzy są obecnie pozbawieni swobody na terytorium ZSRR bądź jako jeńcy, bądź z innych powodów”.

do kraju trafiło bardzo niewiele pamiątek dokumentujących losy osób deportowanych w latach trzydziestych. Przywiezione przez nie z rodzinnych stron modlitewniki, obrazy religijne, książki, fotografie, elementy wyposażenia wnętrz można oglądać jedynie w muzeach i narodowych izbach pamięci w Kazachstanie. Przechowują je także tamtejsi starsi mieszkańcy o polskim rodowodzie. Natomiast świadectw z pierwszych lat ich pobytu na obcej ziemi, poza nielicznymi fotografiami, nie ma prawie wcale. Zapewne jedną z głównych przyczyn takiego stanu rzeczy jest fakt, że walczyli wówczas o przetrwanie i dopiero budowali podstawy swojej przyszłej egzystencji. Trzeba dodać, iż większość z nich należała do osób słabo wykształconych, więc nie pozostawiła pisemnych relacji o swoich doznaniach. Później ludzie ci powoli wtapiali się w miejscowe środowisko, zapominali rodzinnego języka i na długie lata pozbawieni byli kontaktów z macierzystym krajem.

Musiało minąć ponad pół wieku, by Polska upomniała się o nich. W 1993 roku zainicjowano akcję „Powroty z Kazachstanu”, która obejmowała przede wszystkim ludzi przesiedlonych jeszcze przed wojną. Wśród przyjezdnych znalazł się potomek zesłańców z Żytomierszczyzny, malarz Feliks Mostowicz. W ostatnich latach wszystkie swoje kazachstańskie prace przekazał do zbiorów Muzeum Niepodległości, próbując tym samym odciąć się od swojej przeszłości. Dorobek twórczy artysty obejmuje ponad setkę obrazów olejnych, akwarel i rysunków. Prace te są swoistym malarskim pamiętnikiem, gdyż ukazują deportacje, nowe otoczenie zesłańców (krajobrazy, osady, miejscową ludność), życie polskiej diaspory w obwodzie kokczetawskim (dzień powszedni, zajęcia, ważne wydarzenia) oraz losy rodziny Mostowiczów. Szczególną uwagę warto zwrócić na obrazy odtwarzające przybycie Polaków do Kazachstanu. Jeden z nich, zatytułowany „Pierwszy eselon”, ukazuje zesłańców, którzy dotarli do stacji Tain-sza (późniejszy Krasnoarmiejsk). Przez pusty step wędrują ludzie z walizkami i pakunkami, konwojowani przez rosyjskiego komendanta. Przy wagonach czekają furmanki, którymi zostaną rozwiezieni do wyznaczonych im miejsc osiedlenia. Z innych prac Mostowicza dowiadujemy się, że zastawali tam tylko wcześniej wykopaną studnię, będącą „jedynym stabilnym elementem przyszłej osady”.<sup>3</sup> Przez wiele lat mieszkali w ziemiankach zwanych „stalinkami”. Malarskim zapisem tych wydarzeń są obrazy „Studnia” i „Biełojarka” (rodzinna wieś artysty).

Kilka lat później dramat Polaków powtórzył się. 5 grudnia 1939 roku Rada Komisarzy Ludowych ZSRR podjęła decyzję o wysiedleniu „osadników” z zachodnich obwodów Białoruskiej SRR i Ukraińskiej SRR. W latach 1940-1941 miały miejsce 4 akcje deportacyjne obywateli polskich różnej narodowości mieszkających lub przebywających czasowo na kresach wschodnich. Ich formalną podstawą był Rozkaz NKWD ZSRR Nr 001223 z 11 października 1939 roku wraz z *Instrukcją o trybie przeprowadzania deportacji antyradzieckiego elementu*. Do przymusowego wywozu wytypowano działaczy polskich partii i organizacji, urzędników i pracowników państwowych, w tym policjantów i wojskowych, ponadto właścicieli ziemskich, osadników, uchodźców z centralnej i zachodniej Polski, rodziny osób aresztowanych przez władze radzieckie, jak również element kryminogenny. Deportowaną ludność dzielono na

<sup>3</sup> S. Szynkiewicz, *Polacy kazachstańscy*, [w:] *Polacy w Kazachstanie...*, s. 249.

4 kategorie. Różniły się one rygiorem, rodzajem przydzielanej pracy oraz okresem zakładanego pobytu na zesłaniu. Do pierwszej zaliczano *specpieresieleńców*, których kierowano do osad specjalnych NKWD, tzw. *specposiołków*, do drugiej – *administratiwno-wysłannych*, wywiezionych na 10 lat do pracy w kołchozach i sowchozach, do trzeciej – *specpieresieleńców bieżących*, umieszczanych w *specposiołkach* o zaostrzonym rygorze, zaś do czwartej – *zsylno-posieleńców*”, których obowiązywał dwudziestoletni pobyt na wygnaniu.

Relację o rozmieszczeniu wywiezionych obywateli polskich zawiera masyzynopsis z archiwum prof. S. Kota. Czytamy tam m. in., że

z woj. południowych z branki kwietniowej wywieziono większość do Kazachstanu. Obwody: aktiubiński (6 rej.), kustanajski (12 rej.), pawłodarski (10 rej. – kopalnie miedzi i złota), siewierokazachstański (14 rej. – tu największe nasilenie wywiezionych ze Lwowa, praca przy bydło i na roli), obwód akmołiński (8 rej.). W obwodzie omskim osadnictwo idzie szlakiem kolei syberyjskiej, robota przy budowie, w lesie, tartakach i na kolei. W obwodzie semipalatyńskim stepowo-rolnym, drugie w kolei co do wielkości skupienie wysiedlonych (przewaga Lwowa – 7 rej.).<sup>4</sup>

W latach 1940-1941 do Kazachstanu wywieziono 80.000-82.000 obywateli polskich. Były to głównie rodziny inteligentkie, zaś około 80% zesłanych stanowiły kobiety i dzieci. W wyniku przemieszczeń ludności w latach 1941-1942 liczba tamtejszych Polaków znacznie wzrosła. Według różnych danych w 14 obwodach przebywało ich łącznie 89.111-112.900 osób. Na początku 1943 roku przesiedlono tam ponad 2000 polskich zesłańców z obwodu saratowskiego. Jak ostatecznie kształtowała się liczebność całej populacji, nie da się jednoznacznie rozstrzygnąć, gdyż materiały źródłowe nie uwzględniały wszystkich zgonów, narodzin czy przemieszczeń ludności. Według danych ZPP z grudnia 1945 r. w Kazachstanie przebywało 53.854 obywateli polskich, w tym 33673 osoby narodowości polskiej (wiarygodność podanych tu liczb szacunkowych została szerzej omówiona w książce S. Ciesielskiego pt. *Polacy w Kazachstanie w latach 1940-1946. Zesłańcy lat wojny*, Wrocław 1996).

W szczególnie ciężkiej sytuacji znaleźli się zesłańcy z początku lat czterdziestych, jako że znaczną ich część stanowiły kobiety z małymi dziećmi lub osoby w podeszłym wieku. Po straszliwej, wyczerpującej podróży ludzie ci trafili do obcego, nieprzyjaznego świata nie mając prawie żadnych środków do życia. W wyznaczonych im miejscach osiedlenia często nie mogli znaleźć zatrudnienia, a w realiach Rosji Radzieckiej lat czterdziestych okrutnie prawdziwa okazała się maksyma „kto nie pracuje ten nie je”. Sucho i rzeczowo opisano warunki życia w sprawozdaniu sporządzonym przez rząd Stanisława Mikołajczyka w 1944 roku:

Przesiedleni umieszczeni zostali po kilkadziesiąt rodzin w opustoszałych wsiach (tzw. posiołki), z dala od linii kolejowych i większych ośrodków miejskich. Na czele takiej wsi stoi komendant, najczęściej podoficer NKWD, a zadaniem przesiedlonych jest wykonywanie pracy gospodarczej, przeważnie wyrąb lasu, zbiór żywic, spław drzewa, oczyszczanie dróg itp. Jeżeli wysiedleńcy wykonują pracę dla innych przedsiębiorstw (np. tartaku, cegielni itp.), administracja NKWD pobiera 10% ich zarobku. Przesiedleni nie otrzymują żadnego pożywie-

<sup>4</sup> Oryginał AZHRL, archiwum prof. S. Kota, sygn. 89.

nia, otrzymują natomiast wynagrodzenie pieniężne obliczone według stawek akordowych. Za otrzymane wynagrodzenie mogą nabywać produkty najbardziej prymitywne w sklepie „wioski” zaopatrywanym przez władze, zaś ci, którzy wykonali 50% normy, podlegają sankcjom karnym. Inny system zastosowany został do części rodzin i osób samotnych, wysiedlonych do Kazachstanu, Jakuckiego Kraju itp. Rozmieszczeni oni zostali po kolchozach jako siła najemna i przeznaczona do spełniania najprymitywniejszych prac gospodarskich, jak wypasanie owiec w stepie, roboty ziemne, zwózka gnoju i wyrób z niego opału.<sup>5</sup>

Sprawozdanie nie uwikłanego w zesłańcze realia obserwatora nie może oddać w pełni bezmiaru nieszczęścia, jakie towarzyszyło wygnańcom z Polski na co dzień. Ich położenie i sposób przeżywania rzeczywistości do pewnego stopnia przybliżają jedynie relacje osób deportowanych. O sprawach tych mówią dziesiątki wspomnień i zachowana do dziś korespondencja represjonowanych. Przeróżający jest spokojny ton listu pisanego przez kilkunastoletnią Jądwigę Terajewicz do ciotki w Polsce. Oto jego fragmenty:

Droga Ciociu!

Długo nie pisaliśmy do Cioci, bo nie byliśmy pewni czy Ciocia nie zmieniła miejsca zamieszkania.

My chwała Bogu dotąd żyjemy z Mamusią, we dwie. Pozostałyśmy tylko dwoje. Ś.p. Dziunia zmarła 27 lipca tego roku. Ona chorowała na gruźlicę, obłożnie leżała pół roku. Wyszła na szkielet. Bardzo chciała doczekać się wiadomości z domu. Ś.p. Stryjek zmarł w maju tego roku. Leluś w początku lipca wyjechał do wojska polskiego. Teraz jest w Riazaniu w szkole oficerów [...]. Ziutek w 42 roku wyjechał do Iranu, tam jest w szkole oficerów.

Wujaszek Mizio był u nas kilka tygodni w 41 roku w jesieni, potem wyjechał do Taszkientu, stamtąd miał jechać do Iranu. Po wyjeździe nie mieliśmy żadnej wiadomości od Wujaszka. Wujaszek jak był u nas to był zdrowy i czuł się nieźle.[...]

Wiemy już o śmierci Tatusia, biedny nasz drogi tatuś nie doczekał się nas, widocznie taka już jest Wola Boża żebyśmy się więcej na tej ziemi nie zobaczyli. Ciężko nam teraz bez naszej Dziunki, a jeszcze ta wiadomość o Tatusiu. Mamusia znosi to wszystko z poddaniem się Woli Bożej. Prawda, że postarzała bardzo i zniedołężniała i na zdrowiu też nie czuje się bardzo dobrze. Mnie to by Ciocia na pewno teraz nigdy nie poznała, wyrosłam bardzo i zmężniałam, nic podobnego do dawniejszej Jadzi. Ja po śmierci Dziunki zaczęłam pracować w kolchozie, bo w czasie jej choroby nie można było od niej odchodzić. Ona miała gruźlicę całego organizmu, dostała go po grypie [...].

Ja do Cioci już dawno zaczęłam pisać ten list, ale ostatnio dużo bardzo miałam roboty i nie było czasu nawet na napisanie listu. Dziś jest Dzień W. Świętych, więc się zabrałam do odpisywania listów, których mam sporo. U nas już zaczyna padać śnieg, znowu zaczyna się ta taka długa i ciężka zima.

U nas teraz na kwaterze żyją troje sierot, matka ich już dwa lata jak umarła, najstarszej dziewczynce 15 lat. Nam we dwie z Mamusią smutno było i trudno z opalem.

Całuję Cioci rączki, a całą Trójkę uściskam serdecznie. Szczerze kochająca Jadzia.<sup>6</sup>

<sup>5</sup> Opracowanie dotyczące deportacji ludności polskiej do ZSRR przesłane przez rząd S. Mikołajczyka do użytku służbowego Głównego Delegata Rządu, 1944.

<sup>6</sup> List pisany w Łopuszkach, rej. presnowski 1 listopada 1944 r.: Zbiory Muzeum Niepodległości w Warszawie, A. z.1, s. 3, sygn. 5.

Szkoła w Pierwomajsku, rejon nowoczerkaski, obwód akmoński (1941).

Pismo Delegatury Ambasady RP w Pietropawłowsku  
w sprawie Bronisławy Ejmont (1942).

Jadwiga Terajewicz, prawdopodobnie bardzo zmęczona, nie miała siły rozpamiętywać zaszłych nieszczęść. Prawie jednym ciągiem omówiła tu rodzinne tragedie i sprawy zwyczajne, które w nienaturalnych warunkach zesłania nabierały znaczenia. Zmęźniała Jadzia mogła pracować, co było ważne, ponieważ osiedle opuścili wszyscy mężczyźni z jej rodziny. Leluś i Ziutek wyjechali do Wojska Polskiego, a wujaszek Mizio do Iranu, więc niejako wyrwali się z piekła. Teraz być może zaczną przysyłać paczki i staną się wspomóżycielami wygnańców. Z kolei dzięki dokwaterowaniu sierot wzrosły szanse na dodatkowy przydział opału. W realiach Rosji Radzieckiej trzeba było prowadzić tego typu kalkulacje, gdyż chodziło o przeżycie.

Niektórzy nie mieli dość siły, by dzielić się swoimi problemami z najbliższymi. Irena Bernatkowa pisząc do swojego ojca przepraszała go za długie milczenie. W liście argumentowała przyczynę takiego stanu rzeczy następująco:

Proszę się nie gniewać, że nie pisze mama, bo wszyscy tak pomęczeni, że ręce się nie podnoszą, ja korzystam, że w nocy nie ma pracy.<sup>7</sup>

W listach znacząca jest zresztą nie tylko ich treść, ale i forma. Potwierdza ona na przykład, że papier był na zesłaniu towarem trudnodostępnym. W zbiorach Muzeum Niepodległości znajdują się listy pisane na zadrukowanych stronicach wydartych z rosyjskich książek, podręczników, na kołchozowych formularzach czy postrzępionych karteluszkiach. Na niektórych terenach, szczególnie w początkowym okresie zesłania trudność sprawiało też zdobycie pióra i atramentu. Dowodzą tego listy pisane ołówkiem lub inkaustem z kory brzoźowej. Innym deficytowym towarem były koperty. Znaczna część wysyłanych przez zesłańców czy łagierników listów jest bowiem złożona w charakterystyczny trójkąt, którego zewnętrzna strona służyła do adresowania.

Ważnym świadectwem warunków bytowych zesłańców są zachowane do dziś przedmioty codziennego użytku. W zbiorach Muzeum Niepodległości znajduje się m.in. zespół pamiątek przekazanych przez Annę Sobotę, autorkę bardzo ciekawego pamiętnika *W stepach Kazachstanu*.<sup>8</sup> Z książki dowiadujemy się, że pochodziła z zubożałej rodziny ziemiańskiej, która ciężką pracą odbudowała świetność majątku. Rodzinny dwór w Podhorkach położony był w pięknym parku, mieszkanie zdobiły stare obrazy, porcelana i srebra. Sobotowie wiedli tam spokojny żywot – ojciec kochał książki, konie i dawną broń, mama sprawowała pieczę nad domem, zaś ona sama uczyła się w gimnazjum w Kałuszu. Działo się tak do czasów drugiej wojny światowej, kiedy wszyscy musieli ponieść „karę” jako „pomieszczycy” (obszarnicy) i ich dotychczasowe życie legło w gruzach. Zdzisław Sobota został w 1939 roku aresztowany przez NKWD i przypadł bez wieści w którymś z obozów. Jego żonę Marię, wraz z dwiema córkami, wywieziono do Kazachstanu. Wszystkie trzy musiały oswoić się tam z głodem, zimnem i biedą. Materialnymi świadectwami ich ówczesnego poziomu życia są: aluminiowy kubek, żeliwna patelnia z drewnianym uchwytem oraz prymitywna tarka, wycięta z kawałka blachy, z otworkami zrobionymi za pomocą gwoźdźcia. Takie właśnie sprzęty służyły w nowym gospodarstwie byłej właścicielce dworku.

<sup>7</sup> List pisany w Ostrówce, rej. presnowski 29 maja 1945 r.: Muzeum Niepodległości A. z.1, s. 11.

<sup>8</sup> A. Sobota, *W stepach Kazachstanu*, Warszawa – Wrocław 1993

Pamiętkami po mieszkance majątku Starosiele na Wileńszczyźnie – Magdalenie Ostoi–Chrostowskiej są fotografie, wielki kufer z metalowymi okuciami i solidna maszyna do szycia w drewnianej obudowie. Dzięki niej zesłanka mogła świadczyć usługi krawieckie dla miejscowej ludności i otrzymywać w zamian żywność.

Paweł Zworski w opracowaniu *Deportacja – zesłanie – powrót* zrekapitułował nastawienie osób represjonowanych na wschodzie następująco:

Podstawową i jedyną treścią życia wszystkich Polaków którzy zostali zmuszeni do wegetacji w zupełnie odmiennych niż w Polsce trudnych warunkach, była walka o byt, o fizyczne przetrwanie.<sup>9</sup>

Los nie oszczędzał ani dorosłych, ani dzieci. Wanda Markowa zesłana do Biełojarowki w obwodzie kustanajskim pisała do rodziców:

Paczki obie dostałam [...] dzięki Bogu że przyszły bo już resztkami gonilam głodni chodziliśmy wszystko się wyczerpało, co od was dostała, wszystko drogocenne, bo tu za pieniądze dostać nie można, a bez forsy to w ogóle trzeba przepadać, ginąć.

Jej syn Rysio dopisał kilka zdań od siebie:

Ja z początku wiosny bardzo choruję a mamusia już niezna lekarstw na moje choroby.[...] Moja biedna mamusia chodzi na robotę kopać ogrody i sadzić kartofle a za trzy dni roboty dają jedno wiadro drobnej kartofli.<sup>10</sup>

Sytuacja zesłańców uległa pewnej poprawie, gdy zostali objęci działalnością opiekuńczą najpierw delegatur polskiej ambasady (od 1941 r.), później Związku Patriotów Polskich (od 1943 r.). Muzeum Niepodległości nie posiada niestety znaczących pamiątek związanych z krótkim okresem funkcjonowania pierwszej z wymienionych organizacji. O wiele bogaciej udokumentowana jest natomiast działalność ZPP. W tej grupie archiwaliów szczególną wartość poznawczą mają materiały uwierzytelniające kazachstański etap życia zesłanki i działaczki politycznej Ireny Kuczyńskiej. Jej działalność w strukturach organizacji rozpoczęła się w roku 1943, gdy została przewodniczącą Akmolińskiego Obwodowego Zarządu ZPP, później kierowała Wydziałem Opieki Społecznej Zarządu Głównego, a od lutego 1947 r. była członkiem Delegacji Polskiej w Komisji Mieszanej d/s Repatriacji. Wśród należących do tego zespołu dokumentów znajdują się m. in. spisy osób zwolnionych z obozów w latach 1945 – 1947 i skierowanych do kraju oraz archiwalia związane z działalnością szkół.

Polacy zaczęli opuszczać Kazachstan latem 1945 roku, ale dramat zesłań miał jeszcze swój epilog. Kiedy ustały działania wojenne część byłych żołnierzy AK, BCh i NSZ trafiła do obozów NKWD. Według raportu „Karty” od stycznia 1944 r. represje objęły ponad 90 tys. osób.<sup>11</sup> Na ziemi kazachstańskiej pozostali też niektórzy zesłańcy z początku lat czterdziestych. Znamienny jest przypadek Wiary Bujalskiej, która spędziła na osiedleniu i w obozie 16 lat. O

<sup>9</sup> P. Zworski, *Deportacja – zesłanie – powrót*, [w:] *Polacy w Kazachstanie...*, s. 449.

<sup>10</sup> List Wandy Markowej do Tekli Kantor pisany w 1941 r.: Zbiory Muzeum Niepodległości w Warszawie, A. z. 1., s. 85.

<sup>11</sup> *Represje sowieckie wobec Polaków i obywateli polskich*, Ośrodek „Karta”, Warszawa, grudzień 2002 s. 32.

tej niezwyklej kobiecie pisałam w 13 numerze „Zesłańca”.<sup>12</sup> W tym miejscu przypomnę kilka najważniejszych faktów z jej życiorysu.

Wiara Bujalska z domu Malawczyk urodziła się 28 lutego 1900 roku w Łokaczach na Wołyniu. Była żoną urzędnika Bazylego Bujalskiego, z którym miała trójkę dzieci: Cezarego, Irenę i Janinę. Po agresji ZSRR na kresy wschodnie Cezary Bujalski został uwięziony w obozie w Starobielsku, zaś w nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 r. pozostałych członków rodziny wywieziono do Majkain-Zołoto w obwodzie pańłodarskim. 25 listopada 1944 roku Wiarę Bujalską aresztowano pod zarzutem wrogiej działalności przeciw władzy radzieckiej. Skazano ją na 10 lat obozu pracy i osadzono w Dolince koło Karagandy. Przebywający tam więźniowie zajmowali się rolnictwem, hodowlą, produkcją przemysłową (obróbką metali i drewna, wyrobem walonek, szyciem ubrań), produkcją materiałów budowlanych, pracami w hucie szkła, w cukrowni, suszarni warzyw, w kopalniach węgla, w wapienniku, produkcją artykułów codziennego użytku, połowem ryb, budową sowchozów i magazynów zbożowych na ugo-  
rach Kazachskiej SRR.<sup>13</sup>

Wiara Bujalska spędziła w obozie 9 długich lat. Pracowała w polu, prowadziła magazyny, kiosk z zieleniną, robiła skarpety na drutach, była zatrudniona w pracowni krawiecko-kuśnierskiej i w stacji meteorologicznej. W obozie przeszła dwa zawały serca. Ciężkie doświadczenia nie złamały jednak jej hartu ducha, gdyż zawsze dbała, by zachować standard Polki. Przez cały okres spędzony w Dolince nosiła białe kołnierzyki, używała zdobionego ręcznika opatrzonego własnym monogramem, zaś posiłki jadła na haftowanej serwetce. Wyroby te, jak też wiele innych pamiątek związanych z jej pobyt w obozie, znajdują się obecnie w zbiorach Muzeum Niepodległości.

Mimo dumy i poczucia własnej godności Wiara Bujalska nie separowała się od innych więźniów. Stała się częścią tamtej społeczności, otoczoną nie tylko powszechnym szacunkiem, ale też sympatią. Świadczą o tym zachowane w zbiorach Muzeum kartki „pocztowe”, których była adresatką. Wykonały je i ozdobiły rysunkami Rosjanki, Ukrainki i Estonki. Dowodem przywiązania są również ciepłe i pełne wdzięczności słowa dedykacji znajdujące się na fotografiach, które cudzoziemki ofiarowały Wiarze Bujalskiej już po wyjściu na wolność.

Inną niezwykle postać był ksiądz Michał Woroniecki. W zbiorach Muzeum Niepodległości znajduje się bogata dokumentacja fotograficzna związana z jego pobyt w obozie Dżekazgan, ozdobiona akwarelą kartka pocztowa pisana do matki i rękopis autobiografii.

Michał Woroniecki urodził się 23 XII 1908 r. w Nowej Wilejce. Trybunał Sądu Wojskowego skazał go 13 lipca 1949 roku na 25 lat obozu pracy i konfiskatę mienia. Od 9 października 1949 r. do 14 lipca 1956 r. przebywał w łagrach Dżekazgan Rudnik zlokalizowanych w rejonie Karagandy. Osadzeni tam więźniowie obsługiwali dżekazgański kombinat miedziowy, łącznie z pracami w kopalniach węgla, zajmowali się rolnictwem, wyrobem artykułów powszechnego użytku, zatrudniano ich w szwalni, stolarni i zakładzie szewsko-krawieckim.<sup>14</sup> Według Romana Dzwonkowskiego w latach 1940-1956 przebywało w obozach ponad 600 księży katolickich obrządku łacińskiego. Większość

<sup>12</sup> A. Milewska-Młynik, „Była wspaniała i niezwykle...”, „Zesłaniec” 2003: 13, s.87-95.

<sup>13</sup> N. Ochotin, A. Rogiński, *Łagry*, Warszawa 1998.

<sup>14</sup> Ibidem.



z nich to Polacy, Litwini i Łotysze oskarżeni o „antysowiecką działalność, antysowiecką propagandę, szpiegostwo na rzecz Watykanu i zdradę ojczyzny”.<sup>15</sup>

W swojej autobiografii ksiądz Woroniecki tak scharakteryzował pochodzenie osób więzionych w Dżezkazganie:

W obozie różne narodowości z Ukrainy, Rosjanie, Białorusini, Polacy, Litwini, Łotysze, Estończycy, Węgrzy, Słowacy, Chińczycy, Koreańczycy, Niemcy, Gruzini, Kazachy, Uzbeki, Kałmyki i inni. Byli także i duchowni: katolicy, prawosławni, greko-katolicy, mahometanie, sekciarze, buddyści i in.

Zapoznałem tu dość licznych kapłanów, którzy tu byli przede mną, lub których przewieziono później. Wśród nich: ks. Władysław N. (nazwiska nie pamiętam), Łotysz umiejący dobrze po polsku. Umożliwił mi odprawianie Mszy św. Wypisywał mi formularz wotywny Mszy o NMPannie i dostarczał wina i opłatków.

W pierwszym roku przebywania w obozie Dżezkazganie spotkałem energicznego ks. Antoniego Kujawę z Zołądka, ojców Grzegorza i Benjamina Kozarów karmelitów bosych z Wilna. Potem o. Antoniego Ząbka, jezuitę, o. Kamila [właściwie Władysława] Wołymańskiego franciszkanina z Wilna, ks. Waclawa Piątkowskiego z Brześcia, ks. Władysława Bukowińskiego z Łucka, ks. Stanisława Bohatkiewicza, o. Ryszarda Grabskiego, kapucyna, ks. Waclawa Bekisza. Oprócz księży Polaków w obozie przebywali księża litewscy oraz greko-katolicy Ukraińcy, Słowacy i Węgrzy.<sup>16</sup>

Zdaniem R. Dzwonkowskiego nie dochodziło między nimi do konfliktów na tle religijnym. Fotografie zgromadzone w Muzeum Niepodległości potwierdzają, że żyli ze sobą w zgodzie. Na jednej z nich widzimy Michała Woronieckiego z duchownymi greko-katolickimi, na innych – z księżmi Stanisławem Bohatkiewiczem, Władysławem Wołymańskim i Waclawem Bekiszem.

W zbiorach Muzeum znajdują się też zdjęcia kapłanów, przebywających w obozie „Dolinka”, jednak ich nazwisk nie udało się do tej pory zidentyfikować. Na jednym z nich widzimy np. księdza z Polski, kapucyna z Łotwy, byłego ministra w rządzie łotewskim oraz jezuitę z Litwy. Zdjęcia te wykonano w 1956 roku, na krótko przed ich powrotem do kraju.

Ostatni etap pobytu Polaków w Kazachstanie reprezentują w Kolekcji współczesne fotografie z życia diaspory oraz obrazy Feliksa Mostowicza. Symboliczne znaczenie ma jego płótno „Rozmowy z przeszłością”. Autor przedstawił na nim staruszkę podążającą w kierunku cmentarza na stepie. W unoszących się nad mogiłami obłokach ukazują się jej twarze bliskich osób, które już odeszły. Niedługo ona także do nich dołączy i polski rozdział w historii Kazachstanu zostanie zamknięty. Być może wizja Feliksa Mostowicza ma zbyt pesymistyczny wydźwięk, gdyż nadal żyją tam młodzi ludzie – potomkowie zesłańców, pamiętający o swoim rodowodzie. Jednak czas jest nieubłagany. Polskie wioski, ostoja dwanych tradycji pustoszeją, a zasymilowani z otoczeniem mieszkańcy większych ośrodków często redukują swoje związki z macierzystym krajem do nostalgicznych wspomnień.

*Anna Milewska-Młynik*

## • ROZPOCZĘCIE PROCESU KANONIZACYJNEGO SŁUGI

<sup>15</sup> R. Dzwonkowski, *Księża katolicy w lagrach syberyjskich i na zesłaniach – misja do spełnienia* [w:] *Kościół katolicki na Syberii*, [red.] A. Kuczyński, Wrocław 2002, s. 503.

<sup>16</sup> Archiwalia księdza Michała Woronieckiego, Zbiory Muzeum Niepodległości w Warszawie, A. z. 1 s. 59.

**BOŻEGO KS. WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO (1905-1974)**

W poniedziałek, 19 czerwca 2006 roku, w kaplicy metropolitów krakowskich, odbyło się uroczyste rozpoczęcie procesu kanonizacyjnego Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego (1905-1974). Wydarzenie to ma wielkie znaczenie dla odradzającego się Kościoła w Kazachstanie i na Wołyniu (Ukraina), gdzie pracował Sługa Boży.

Pierwsza sesja procesu kanonizacyjnego rozpoczęła się z rocznym opóźnieniem w związku ze śmiercią Sługi Bożego Jana Pawła II. Już 11 lutego 2005 roku przez poprzedniego metropolitę krakowskiego ks. kard. Franciszka Macharskiego została powołana do istnienia Komisja Historyczna dla Sprawy Kanonizacji Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego. W skład tej Komisji weszli: prof. dr hab. Urszula Perkowska z Krakowa – przewodnicząca i członkowie: ks. mg Witold Józef Kowalów z Ostroga na Ukrainie i s. mgr Anna Brzęk FC z Krakowa.

W dniu 10 maja 2006 roku został mianowany postulator Sprawy Kanonizacyjnej Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego, którym został ks. prałat dr Jan Nowak, kapłan archidiecezji krakowskiej będący obecnie proboszczem parafii Kamiszenka w archidiecezji astańskiej w Kazachstanie. W dniu 30 maja został wydany dekret powołujący diecezjalny Trybunał dla Sprawy Kanonizacyjnej Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego. Członkami trybunału zostali: ks. dr Andrzej Scąber – delegat biskupa, ks. mgr lic. Stanisław Molendys – promotor sprawiedliwości, ks. mgr lic. Jarosław Sroka – notariusz.

Po krótkiej modlitwie ks. kardynała Stanisława Dziwisza, kanclerz kurii metropolitalnej w Krakowie ks. Piotr Majer odczytał tekst informujący o powołaniu trybunału i rozpoczęciu I sesji procesu kanonizacyjnego Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego. Następnie postulator ks. prałat dr Jan Nowak wypowiedział prośbę o rozpoczęcie procesu i pokrótce przedstawił postać Sługi Bożego. Postulator zwrócił uwagę na następujące cnoty Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego: miłość do Kościoła, odwaga, której owocem były cierpliwość i wytrwałość, umiejętność przebaczenia i bezgraniczne zaufanie Opatrzności Bożej. Ks. kard. Stanisław Dziwisz podziękował za przybliżenie postaci wybitnego i świętego kapłana. Następnie w Imieniu Konferencji Episkopatu Kazachstanu przemówił ks. prałat dr Janusz Kaleta, administrator apostolski Zachodniego Kazachstanu. Z kolei ks. kard. Stanisław Dziwisz zauważył, że trud trybunału to zaszczyt dla archidiecezji krakowskiej. Złożył świadectwo o tym, iż mimo, że ks. Władysławowi Bukowińskiemu proponowano zostać w Polsce i ofiarowano mu wszystkie możliwości leczenia, powrócił do swoich wiernych w Kazachstanie. „Jesteśmy szczęśliwi, że możemy pomóc dla Kościoła w Kazachstanie” – powiedział metropolita krakowski.

Kolejnym punktem programu pierwszej sesji sprawy kanonizacyjnej Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego była przysięga poszczególnych członków trybunału. Przed udzieleniem błogosławieństwa dla osób zaangażowanych w proces kanonizacyjny Sługi Bożego i obecnych w kaplicy metropolitów krakowskich, ks. kard. Stanisław Dziwisz nazwał ks. Władysława Bukowińskiego Ojcem odradzającego się Kościoła w Kazachstanie.

Proces kanonizacyjny Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego rozpoczął się w Krakowie, gdyż jeszcze w dniu 26 kwietnia 2004 roku ordyna-

riusz karagandyjski ks. abp Jan Paweł Lenga zwrócił się z prośbą o przeprowadzenie procesu w Krakowie.

Polska dawała i daje kapłanów dla Kościoła Powszechnego. Prosił o to także Jego Świątobliwość Papież Benedykt XVI w czasie ostatniej wizyty w Polsce.<sup>1</sup>

*ks. Witold Józef Kowalów*

#### • PIERWSZA KOMUNIA U KS. WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO

Jest to zapis wspomnienia z ostatnich lat okresu międzywojennego oraz wojny w Łucku na Wołyniu. Zaczyna się w pierwszej klasie szkoły powszechnej, gdy nie zostałem dopuszczony przez księdza katechetę do Pierwszej Komunii z powodu – jak to podano oficjalnie – zbyt młodego wieku. Przeżyłem to zresztą jako upokorzenie za zadawanie na lekcjach zbyt dociekliwych pytań. Na uroczystości po Komunii moich kolegów z klasy nie byłem. W domu w związku z tym nie miałem przykrości. Mama z pewnością знаła podejście do mnie naszego katechety. Zdawałem sobie sprawę, że katecheta inaczej traktował dzieci niż inny ksiądz z parafii katedralnej w Łucku – Władysław Bukowiński. Ten, w czasie niedzielnej mszy dla młodzieży gromadził ją przy ołtarzu, mówił jak ma się zachowywać, kiedy śpiewać. Przez najmłodszych był traktowany jak ktoś bardzo bliski. Był zresztą przez nas zawsze z niecierpliwością oczekiwany wtedy gdy chodził „po kołędzie”. Jego wizyty w naszych domach traktowaliśmy jako dodatkowe święto. Zmieniło się to zresztą na przełomie 1939/40 roku, gdy Ojca aresztowali Sowieci, a niechęć przybyszów ze Wschodu do wierzących była widoczna na każdym kroku.

Sowieci weszli do Łucka po południu 18 września 1939 roku. Od poprzedniego dnia na frontonie żydowskiego domu towarowego wisiały już czerwone płachty, których policja nie kazała zdejmować. Nerwowy nastrój towarzyszył oczekiwaniu na wkroczenie Sowieców. Niebawem okupanci ogołocili wszystkie (w 90% żydowskie) sklepy z towarów. Mieli bowiem wiele nowiutkich banknotów polskich, o których mówiło się, że zostały wydrukowane w Moskwie. Procesowi ubywania towarów w sklepach towarzyszyło dziesiątki dowcipów o goniących za dobrami materialnymi Rosjanach. Mówiono, że często widywano Rosjanki idące na bale w eleganckich przedwojennych koszulach nocnych. Niektóre z dowcipów dotyczyły uzbrojenia czerwonooarmistów, zwłaszcza parcianych pasów przy karabinach, wytartego odzienia itp.

Już w pierwszych dniach sowieckiej okupacji musiał powstać jakiś komitet do uwalniania jeńców wojennych, przetrzymywanych wówczas pod strażą w wagonach na kolejowym dworcu towarowym. Żywność, cywilne ubrania podawali im wyrostkowie, do których wartownicy nie strzelali. Mój starszy brał wówczas rozmawiał z żołnierzem rosyjskim, a ja podawałem żywność i ubranie. Zgodnie z nakazaniem rodziców namawiałem jeńców do organizowania ucieczki, udzielając przy tym niezbędnych wskazówek o możliwości opuszczenia dworca.

<sup>1</sup> Tekst publikowany w: „Wołanie z Wołynia” nr 3 (2006). Ponadto znajduje się on na stronie „Dziennik pisany pod Horyniem” <http://www.ostrog.blox.pl> oraz <http://www.karaganda.blox.pl>.

Zima 1939/40 roku należała do trudnych. W sklepach nie było żywności, a po chleb stało się całe mroźne noce, nie zawsze z sukcesem. Aresztowania i wywózki potęgowały nastrój rosnącej grozy. W tym wszystkim niedzielne Msze święte były oazami normalności. Tym dla młodzieży ważniejszymi, że od listopada 1939 roku proboszczem kościoła katedralnego został ks. W. Bukowiński. Z miejsca zaczął zbierać dane o tych, którzy przed wojną nie przystąpili do Pierwszej Komunii, ale także i tych, którzy mieli przystąpić w 1940 roku. Była nas spora gromada. Lekcje przygotowawcze ruszyły na wiosnę, przy czym prowadził je osobiście ks. W. Bukowiński przed ołtarzem w bocznej nawie kościoła. Wszystko odbywało się jawnie. Uczący nie zwracał się jednak do nas po imieniu. Starannie obmyślił przezwiska (Gruba – to moja siostra, Biały – to ja). Mamę, jak i innych rodziców, poinformował by jak najmniej obciążać pamięć imionami i nazwiskami. Było dla niego oczywiste, że jest to zabezpieczenie na wypadek przesłuchań w NKWD. Ujawnienia nazwisk, a choćby imion, podczas przesłuchania pociągało za sobą kolejne aresztowania.

Uroczysta Pierwsza Komunia odbyła się w maju 1940 roku w czasie nabożeństwa niedzielnego. Nie było – jak przed wojną – przyjęcia. Zarówno komuni-kowani, jak i ich rodzice, wiedzieli że odbyła się ona w szczególnych warunkach. Ksiądz Bukowiński wszystko zrobili by jej przebieg był jak najbardziej skromny.

Mimo aresztowań w rodzinie, wywózek oraz świadomości przebywania Ojca w obozie pracy przymusowej w Janowiej Dolinie (znane kamieniołomy bazaltu na kostkę brukową), młodzi bawili się urządzając wędrowniki po mieście, w którym niemal na każdym roku ustawione zostały białe gipsowe pomniki: Lenina, Stalina, niekiedy wodzów gawędzących z sobą, pionierów z kompasem w rękę pochylonych nad mapami, to akurat tłumaczyliśmy sobie jako zbiorowe wybijanie sowieckich insektów. Raziły nas przede wszystkim wypowiedane przez Rosjan dość niesmaczne kawały (m. in. o Puszkynie i jego kolegach) oraz powszechna wśród Rosjan niechęć do Żydów jako grupy etnicznej (typowe powiedzonko: „nie gawari żid bo budiet dołgo żyt’ – gowari iwrej, togda zdochniet skorej”). Tych zjawisk przez wojną w ogóle nie znaliśmy, gdyż sąsiedzi – na ogół biedni Żydzi, zawsze czyści i schludni – byli naszymi najmiłszymi kolegami.

Boleśnie odczuliśmy fakt aresztowania ks. proboszcza W. Bukowińskiego w sierpniu 1940 roku. Starsi nie zapominali, że jest więziony w łuckim więzieniu (nb. w pobliżu katedry, w dawnych zabudowaniach klasztornych). Wiedzieliśmy, że cudem ocalał z pogromu jaki więzionym urządzili strażnicy sowieccy ustępując z Łucka. Rozstrzelanych wtedy polano benzyną i podpalono. Ciała zidentyfikowanych i nierozpoznanych odprowadzał do grobów ks. W. Bukowiński. Na twarzy jego widać było powagę człowieka, który – bodaj jako jedyny – przeżył tragedię współwięźniów.

Czas posługi kapłańskiej ks. W. Bukowińskiego po ustąpieniu Sowietów z Łucka nie należał do łatwych. Niemcy opanowali miasto po tygodniu od wybuchu wojny w 1941 roku. Przed wejściem, w czasie licznych nalotów, zrównali z ziemią całą dzielnicę biedoty żydowskiej. Na nędzne chałupiny niekiedy zrzucono tonowe bomby (później jeńcy sowieccy wrzucali do lejów gipsowe pomniki wodzów rewolucji). Nasz niewielki dom znajdował się w tej dzielnicy. Spłonął w czasie bombardowania. Doliczyliśmy się w jego otoczeniu siedem lejów po bombach. Jedna z nich pogrzebała mego wujka wraz z innym mieszkańcem tego domu.

Sługa Boży ks. Władysław Bukowiński (1905-1974). Kapłan i zesłaniec.  
Duszpasterz katolików na Wołyniu i w Kazachstanie.

W czasie licznych nalotów ucierpiała także jedna z kopuł kościoła katedralnego. Uratowany z pogromu dokonanego przez strażników więziennych ks. W. Bukowiński wyszedł kolejny raz z opresji cało. W czasie okupacji niemieckiej nie był nadmiernie ograniczany w posłudze. Na msze niedzielne czy podczas świąt, chodziliśmy normalnie.

Wojska sowieckie Łuck zajęły w lutym 1944 roku. Ksiądz W. Bukowiński natychmiast przystąpił do usuwania zniszczeń w kościele, powstałych w czerwcu 1941 roku i późniejszych. Na wiosnę 1944 roku byliśmy na uroczystościach Pierwszej Komunii młodszych naszych kolegów – tym razem już ostatnich pod przewodnictwem kochanego przez nas proboszcza. Następnym już nie doczekaliśmy. Księdza W. Bukowińskiego oraz dwóch innych księży: bp. Adolfa Piotra

Szelągka i kan. Karola Gałęzowskiego aresztowano w nocy z 3 na 4 stycznia 1941 roku. Po 18-dniowym śledztwie 22 stycznia wywieziono ich do więzienia do Kijowa. Później trzymano ich w łagrach. W końcu ks. W. Bukowiński osiadł w Karagandzie. O tym, że był więziony do 1954 roku, a później jeszcze w latach 1958-1961 dowiedzieliśmy się po latach z wydanej w drugim obiegu książeczki *Wspomnienia z Kazachstanu*. Wiedzieliśmy, jeszcze za jego życia, że miał szansę na stały pobyt w Polsce, ale wybrał Karagandę jako miejsce swej posługi. Był księdzem misyjnym w Związku Sowieckim. Jego wychowankowie i parafianie w Polsce zawsze uważali Go za świętego. Tak też traktowano Go w czasie pobytu w więzieniach i łagrach sowieckich, a także w tych miejscach, gdzie mniej lub bardziej konspiracyjnie, prowadził posługę duszpasterską w Kazachstanie.

Wypada jeszcze nadmienić, że po aresztowaniu księży w Łucku opustoszał kościół katedralny, z czasem zamieniony na magazyn. Obraz z głównego ołtarza Matki Boskiej Wędrującej został jednak uratowany i przewieziony do jednego z klasztorów żeńskich w Lublinie, gdzie przetrwał lata komuny.

*Zbigniew Wójcik*

#### • REPATRIANCI W NIEPOŁOMICACH

Zamek królewski w Niepołomicach, niewielkim miasteczku pod Krakowem, w dniu 7 maja 2006 r. gościł repatriantów z Kazachstanu. W siedemdziesięciolecie wywózki Polaków z Ukrainy na stepy kazachskie, zjechali z całej Polski, aby się spotkać, podziękować Bogu za przeżycie i za przyjazd do Polski, oraz tym ludziom, którzy ten przyjazd im umożliwili, którzy ich przygarnęli, dali mieszkanie i pracę. Zjazd zorganizowany przez Związek Repatriantów RP rozpoczął się mszą świętą odprawioną na dziedzińcu zamkowymi i kazaniem wygłoszonym przez kapelana rodzin katyńskich, prałata Zdzisława Peszkowskiego, w którym m.in. wspominał swego przyjaciela, niedawno zmarłego Mariana Olesia, długoletniego nuncjusza apostolskiego w Kazachstanie. A potem zaczęły się przemówienia. Najpierw przemawiał wicemarszałek Senatu, prof. Legutko, przypominając, że Senat RP z urzędu opiekuje się Polakami żyjącymi za granicą, a więc i w Kazachstanie, mówili także wicewojewoda i marszałek Małopolski, którzy przypomnieli, że Małopolska przyjęła już 174 rodziny z Kazachstanu, a przedstawiciel Rudy Śląskiej powiedział, że gdy 15 lat temu padło hasło, aby każda gmina polska (a jest ich ponad dwa tysiące) przyjęła jedną rodzinę z Kazachstanu – to Ruda przyjęła 5, zaś jedynym problemem jest nieuregulowany ich status emerycki, gdyż do wysługi lat nie wlicza się im pracy w ZSRR i w Kazachstanie. Przedstawiciel premiera przeczytał jego list do uczestników spotkania, w którym premier poinformował że Rząd pracuje nad nowelizacją ustawy o repatriacji oraz nad uchwaleniem karty Polaka. Oba te dokumenty mają ułatwić proces repatriacji.

Na koniec Aleksy Wołkow, ambasador Kazachstanu w Polsce, piękną polszczyzną mówił o związkach polsko-kazachskich, o uczczeniu 70 rocznicy przybycia Polaków do jego kraju oraz o wizycie Jana Pawła II w Kazachstanie. Na ręce ambasadora składano podziękowania dla narodu kazachskiego, dzięki którego pomocy zesłańcy mogli przeżyć.

A potem – niejako na zakończenie części oficjalnej - prezes Związku Repatriantów RP, pani Aleksandra Ślusarek, wręczyła specjalnie wybite na tę uroczystość medale. Pierwszy dostał ks. prałat Peszkowski, następnie – nieobecni – a tak bardzo zasłużeni dla repatriacji Jadwiga Rudnicka i Andrzej Stelmachowski, oraz prezes krakowskiego Oddziału Związku Sybiraków Jan Grodzicki, Franciszek Bogusławski i Anatol Diaczyński, twórcy polskich organizacji w Kazachstanie, Władysław Godyń, który cały swój majątek poświęcił na pomoc dla Polaków przybyłych z Kazachstanu, Andrzej Markowski, który zorganizował przyjazd do polski 15 rodzin, wójtowie gmin które przyjęły po kilka rodzin, w tym pan Kracik, burmistrz Niepołomic, który nie tylko przyjął w gminie niepołomickiej parę rodzin, ale także sponsorował odbywający się zjazd. Medal otrzymał też ambasador Aleksy Wołkow.

Potem był obiad, wspólne fotografie ludzi pochodzących z tych samych miejscowości, oglądanie i kupowanie książek A. Diaczyńskiego i F. Bogusławskiego, występy artystyczne. Ludzie byli wzruszeni, zjazd był udany. I tak chyba odebrała go większość uczestników. Ale w rozmowach, które prowadzili starsi repatrianci, ci, którzy znają problematykę reemigracji Polaków z Kazachstanu do Polski od początku, wyrażali czasem zdziwienie, czasem wprost zgorzelenie. Z przemówienia A. Ślusarek wynikało niedwuznacznie, że właściwie przed jej wyjazdem do Kazachstanu (sponsorowanego, jak to zaznaczyła, przez pana Kracika jako burmistrza Niepołomic) nic się nie działo. Mogło się wydawać, że jej, bardzo krótki zresztą, wyjazd, rozpoczął repatriację. Nie wspomniała natomiast o ludziach (Piotr Hlebowicz, Marek Gawęcki, Janusz Kamocki, Antoni Kuczyński, Maciej Ruszczyński), którzy do sowieckiego jeszcze Kazachstanu wielokrotnie docierali, problem tamtejszych Polaków odkrywali i nagłośnili. Nie było dla nich medali, ani nawet najmniejszej wzmianki o nich i o ich działalności. A przecież to niektórzy z nich (Janusz Kamocki) już w roku 1990 w porozumieniu z polskimi działaczami w Kazachstanie rozpoczęli prace nad repatriacją (aczkolwiek w wydanym małym katalogu o towarzyszącej zjazdowi wystawie można przeczytać: „Od 1993 roku zainicjowano akcję «Powrót z Kazachstanu» – czyli działalność ta prowadzona w latach 1990-1992 została przez autorów niezauważona) – akcję, którą próbowała storpedować ówczesna ambasada polska w Moskwie, uważająca, że poruszanie problemu Polaków w Kazachstanie jest akcją antypolską, mogącą popsuć stosunki polsko-sowieckie.” Także w przemówieniach zjazdowych nie było najmniejszej wzmianki o Społecznym Komitecie Pomocy Polakom w Azji Środkowej, który pomagał pierwszym repatriantom i walczył o prawo Polaków do przyjazdu na ziemię polską – Wielu z reemigrantów pamięta pomoc przy przyjeździe do Polski, zorganizowaną przez ten Komitet, prowadzony wtedy przez Janusza Kamockiego, a następnie przez Józefa Ramotowskiego.

O tym na niepołomickim zjeździe nie było mowy. Zabrakło również informacji o tym, że uczestnicy międzynarodowej konferencji pod nazwą „Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność” zorganizowanej w 1994 roku przez Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego opracowali „Apel w sprawie ludności polskiej w Kazachstanie” kierując go do ówczesnego premiera RP Waldemara Pawlaka, a także do Marszałka Senatu Adama Struzika i Marszałka Sejmu Józefa Oleksego, w którym domagano się podjęcia konkretnej pomocy rządowej na rzecz powrotu kazachstańskich Polaków do Ojczyzny. Apel ten był jeszcze jednym ważnym „głosem” zwracającym uwagę na rzecz pomo-

cy Polakom w Kazachstanie i ożywiającym krajową dyskusję w tej sprawie, prowadzoną w prasie, audycjach radiowych oraz telewizyjnych, często z inspiracji wspomnianych już osób (np. J. Kamocki i J. Ramotowski). Gwoli ścisłości dodać tutaj należy, że to właśnie ów „Apel” przyspieszył wyjazd polskiej delegacji rządowej do Kazachstanu i sprawił rzeczowe zainteresowanie się losem kazachstańskich Polaków, których kulturę i świadomość etniczną badał Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Poznańskiego.

Przemilczenie tych wydarzeń sprzed lat psuło humor niektórym uczestnikom spotkania w Niepołomicach, było dla nich zgrzytem i przykrym doświadczeniem z powodu braku miejsca w pamięci organizatorów tego spotkania dla ludzi, którzy wcześniej tak wiele zrobili dla naszych rodaków w Kazachstanie. Polacy z Kazachstanu zjechali się do Niepołomic z całej Polski, dziękowali tym, którzy dla nich działali w okresie późniejszym, a nie mieli nawet okazji powiedzieć „Bóg zapłać” tym, którzy pierwsi wskazali im drogę do Ojczyzny. No cóż, normalny ludzki los.

*Antoni Horodelski*

#### • O DEPORTACJI POLAKÓW Z UKRAINY DO KAZACHSTANU

W roku 2006 minęła 70. rocznica deportacji Polaków z Ukrainy do Kazachstanu. Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, który od wielu lat podejmuje wielorakie działania na rzecz polskiej diaspory w tym kraju, zorganizował w dniu 23 listopada 2006 roku konferencję naukową poświęconą tej rocznicy. Spotkanie, w którym wziął także udział Ambasador Republiki Kazachstanu w Polsce Aleksy Wołkow, było stosowną okazją by raz jeszcze omówić kwestie kultury i świadomości etnicznej Polaków w obecnym Kazachstanie oraz zastanowić się nad dalszą pomocą dla naszych rodaków w tym odległym kraju. Oczywiście zastanawiano się także nad kontynuacją dotychczasowych działań repatriacyjnych naszych rodaków z Kazachstanu, i to zarówno w sensie organizacyjnym jak też adaptacyjno-społecznym, tu w Polsce, nowym kraju ich osiedlenia.

Przed rozpoczęciem konferencji w siedzibie Senatu RP odbyła się prezentacja książki pt. *Z dziejów Polaków w Kazachstanie 1936-1956. Zbiór dokumentów z Archiwum Prezydenta Republiki Kazachstanu*, Warszawa 2006, której edycja w języku rosyjskim ukazała się w Ałmaty w roku 2000. Podczas tego spotkania z udziałem Marszałka Senatu RP Bogdana Borusewicza, Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny Republiki Kazachstanu w Rzeczypospolitej Polskiej Aleksy Wołkow odznaczył prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” profesora Andrzeja Stelmachowskiego orderem Przyjaźni II stopnia, jednym z najwyższych odznaczeń w Kazachstanie przyznawanych decyzją prezydenta tego kraju. Wręczając odznaczenie ambasador podkreślił znaczący wkład prof. A. Stelmachowskiego na rzecz zbliżenia naszych narodów a także współpracy kulturalnej i humanitarnej z polską diasporą w tym kraju.

Ten wątek współpracy znalazł także swój wyraz w wystąpieniu profesora Andrzeja Stelmachowskiego otwierającego konferencję, od wielu lat prezesa „Wspólnoty Polskiej”, animatora licznych przedsięwzięć na rzecz Polaków w Ka-



zachstanie. Przypomnił on polską drogę do tego kraju, która ma jednoznacznie zesłańczy charakter. Problem ten został rozwinięty w niektórych referatach wygłoszonych podczas konferencji. Zgodnie z przyjętymi założeniami konferencji referaty dotyczyły związków polsko-kazachskich, represyjnej polityki władz sowieckich wobec ludności polskiej, problemów świadomości etnicznej Polaków mieszkających w Kazachstanie, a także spraw związanych z ich repatriacją i adaptacją społeczną do nowych warunków osiedlenia, tu w Polsce. Niektórzy autorzy referatów wskazywali także na konieczność współtworzenia przez organizacje pozarządowe społecznego klimatu dla życzliwego zainteresowania losami polskiej diaspory w Kazachstanie.

Uczestniczący w konferencji ambasador Republiki Kazachstanu Aleksy Wołkow podkreślił w swoim wystąpieniu, że obecnie kazachstańscy Polacy biorą aktywny udział w życiu społeczno-politycznym tego kraju i zajmują w nim różne stanowiska w gospodarce, nauce czy kulturze. Przypomnił też znamieny fakt, że ludność polska mieszkająca w północnym Kazachstanie przyczyniła się do rozwoju rolnictwa w tym rejonie. Mówił o współżyciu Polaków z Kazachami i o ich pomocy polskim tułaczom rzuconym na pastwę losu w kazachstańskie stepy. Problem ten, tak nośny medialnie i humanitarnie wymaga pogłębienia w polskich badaniach etnologiczno-socjologicznych, by ta relacja „swój-obcy” nabrała pełniejszego wymiaru w dziejach związków polsko-kazachskich. Póki co przypomniany on jest jedynie przy różnych okazjonalnych spotkaniach rocznicowych, a przecież faktem jest, że w licznych wspomnieniach polskich zesłańców do Kazachstanu, zarówno tych z 1936 roku, jak również z czasów wojny oraz pierwszych latach po jej zakończeniu można spotkać wiele relacji mówiących o tym jak sam biedny wówczas kazachski lud wspierał ich w przetrwaniu. Dlatego problem ten należy traktować jako przyszłościowy postulat badawczy, który mam nadzieję zainteresuje obie strony.

A oto problematyka referatów będących w programie omawianej konferencji. Antoni Kuczyński zajął się kwestią obrazu Kazachstanu w polskich relacjach z XIX – pierwszej połowy XX wieku, zwracając uwagę na wpisanie się polskich zesłańców w poznanie kultury Kazachów. Referent omówił także badania przyrodnicze na terenie Kazachstanu prowadzone przez Polaków będących absolwentami uczelni rosyjskich. Kwestie portretu zbiorowego polskiej diaspory w Kazachstanie stanowiły przedmiot wystąpienia Marka Gawęckiego, byłego ambasadora RP w tym kraju, który z wielkim znawstwem mówił o sprawach dotyczących kultury i świadomości etnicznej Polaków we współczesnym Kazachstanie. Nawiązaniem do tych zagadnień było wystąpienie Janusza Jaskulskiego, który przedstawił problem obecności polskiej kultury w życiu Polonii kazachskiej, stwierdzając na podstawie własnych obserwacji, że sprawa ta z każdym rokiem ubożeje, skłaniając się ku tezie, że problem ten może zostać zatrzymany głównie poprzez działalność kulturalno-oświatową prowadzoną przez miejscowe stowarzyszenia przy wydatnym wsparciu ze strony Macierzy. O rezultatach dotychczasowych powrotów Polaków z Kazachstanu do Polski mówił Paweł Hut, podkreślając, że działania rządowe w tym zakresie nie można zaliczyć do udanych. Zresztą, od lat mimo różnych akcyjnych działań w tym względzie nie doczekaliśmy się jednoznacznej decyzji rządowej dotyczącej rozwiązania tej kwestii. Może współcześnie gdy kreuje się IV RP, sprawy te doczekają się sensownej realizacji wspartej rządowymi ustawami. Zwrócili się o to Członkowie Rady Koordynacyjnej Związku Polaków w Kazachstanie w specjalnym Apelu z dnia 15 września

2006 roku. A może tak Związek Sybiraków podejmie w tej sprawie rozmowy na szczeblu rządowym, wszakże jego członkowie mają za sobą lata spędzone na zesłaniu w Kazachstanie i sami kiedyś powracali do kraju na mocy określonych postanowień władz Polski Ludowej. Ich rodacy wywiezieni z radzieckiej Ukrainy w roku 1936, nie mieli takiej możliwości, wszakże na siłę zrobiono ich obywatelami ZSRR. Do spraw deportacyjnych i tzw. sowieckiego terroru nawiązywały wystąpienia Pawła Wieczorkiewicza i Grzegorza Hryciuka, którzy podkreślili iż masowe deportacje Polaków z Ukrainy do Kazachstanu w latach 1936-1937 były elementem polityki represyjnej jaka w owym czasie dotknęła wiele narodów Związku Radzieckiego.

Myślę, że konferencja zwróciła uwagę na aktualność problemów polskiej mniejszości w Kazachstanie, i to zarówno w kontekście jej repatriacji do kraju, jak również na wspomaganie mieszkających tam naszych rodaków dla których kraj ten jest nadal miejscem zamieszkania. Macierz też musi o nich pamiętać. Wielość przytoczonych podczas konferencji problemów oraz ich wewnętrzny splot ukazały polską drogą do Kazachstanu, usytuowanie tego zjawiska w represyjnej polityce ZSRR oraz jej ocenę i spowodowane przez nią przesiedlenia narodów. Należy wyrazić nadzieję, że przedstawione na konferencji referaty zostaną opublikowane w formie książkowej. Byłaby to bez wątpienia pożyteczna lektura, bowiem z obserwacji tego problemu wynika, że sprawa powrotu Polaków do Macierzy jest nadal aktualna i czeka się na sensowne rozwiązanie.

*Bronisław Przesmycki*

**• APEL ZWIĄZKU POLAKÓW W KAZACHSTANIE  
PRZYJĘTY NA POSIEDZENIU RADY KOORDYNACYJNEJ  
ZWIĄZKU POLAKÓW W KAZACHSTANIE 15 WRZEŚNIA 2006 R.**

My, przewodniczący Związku Polaków w Kazachstanie, zwracamy się do społeczeństwa polskiego, Polonii Zagranicznej, przewodniczących oraz członków rządzących partii i ruchów politycznych oraz opozycji, przewodniczących władz centralnych i miejscowych, posłów na Sejm RP oraz sejmików wojewódzkich, senatorów, do wszystkich ludzi wierzących w Polskę i za granicą, dla których wiara w Boga Pana Naszego i Naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa jest sensem życia, do środków masowego przekazu – mediów, o zwrócenie uwagi na losy Polaków w Kazachstanie, o pomoc w odzyskaniu naszej Ojczyzny – Polski.

W latach 30. reżim sowiecki, nadawszy Polakom status „wroga wewnętrznego”, przemocą deportował nas z terytorium I Rzeczypospolitej do Kazachstanu, gdzie staliśmy się obiektem brutalnej i bezlitosnej politycznej, religijnej i kulturowej zemsty za przynależność do polskiej nacji. Wśród dziesiątków innych narodów, również deportowanych do Kazachstanu, prześladowania i ograniczenia praw Polaków utrzymywały się aż do rozpadu Imperium Sowietckiego, ponieważ w stosunku do Polaków istniała ogólna zasada, że „każdy Polak to ukryty wróg”.

Teraz żyjemy w nowym, niepodległym państwie, jakim jest Kazachstan, który buduje swoją politykę państwową i narodową na podstawie muzułmańskiej kultury i języka kazachskiego. Przeżyliśmy w latach 20. i 30. przymusową

ukrainizację, po deportacji do Kazachstanu – przymusową rusyfikację i obecnie znowu stanęliśmy przed alternatywą nowej, tym razem muzułmańskiej, asymilacji. Prosimy każdego, kto ma Polskie serce, o rozważenie, czy chciałby on takiego losu dla swoich dzieci i wnuków.

Rządy Państw, których narodowości zamieszkują terytorium Kazachstanu, zrozumiały zaistniałą sytuację tuż po rozpadzie Związku Sowieckiego i rozpoczęły planowy powrót swoich rodaków do Ojczyzny; Niemcy wywiozły 950 tysięcy Niemców z 1 mln 200 tysięcy deportowanych; Grecja – 48 tysięcy z 51 tysięcy, Izrael – 60 tysięcy Żydów z 74 tysięcy, Rosja, Białoruś i Ukraina - 1 mln 500 tysięcy, a 15 września br. rosyjska delegacja rządowa ponownie w Ałmaty oświadczyła o kolejnych 500 tysiącach ludności słowiańskiej, które planuje repatriować do Rosji, itd.

Polska na dzień dzisiejszy repatriowała tylko 1600 osób z 50 tysięcy Polaków, zamieszkałych obecnie w Kazachstanie. Te liczby rodzą nie tylko gorzyc, rozczarowanie i żal u Polaków w Kazachstanie. Zdumienie – a nawet pogardę – u przedstawicieli innych narodów budzi obojętność władz polskich na los swoich rodaków.

My, przewodniczący Związku Polaków w Kazachstanie, po spotkaniach z rodakami w miastach i województwach Polski zobaczyliśmy współczucie i chęć pomocy w odzyskaniu przez nas Ojczyzny. Główną przeszkodą w urzeczywistnieniu tego jest specjalnie sformułowane wykrętne ustawodawstwo, które traktuje nas nie jako organiczną część narodu polskiego, powrót której do Macierzy powinien stanowić pierwszorzędny obowiązek państwa, ale jako obcokrajowców ze wszelkimi wynikającymi stąd konsekwencjami. Nawet nasze dzieci, które ukończyły w Polsce studia, po 4-6 latach pobytu w Kraju nie mogą uzyskać statusu repatriantów i obywatelstwa, i zmuszone są wracać do Kazachstanu, gdzie ich wykształcenie nikomu nie jest potrzebne. A delegacje rządowe z Polski natychmiast po wylądowaniu samolotu zaczynają nam wmawiać, jak jest w Polsce źle i jak jest w Kazachstanie dobrze.

Oczekujemy, iż problem Polaków w Kazachstanie nareszcie będzie zauważony nie tylko przez społeczeństwo polskie, ale również przez Polonię Zagraniczną, z odpowiednim oddziaływaniem na organy ustawodawcze i wykonawcze w Kraju. Prosimy o zrozumienie faktu, że praktyczna realizacja narodowej polityki rządu kazachskiego o przechodzeniu na język kazachski w administracji, szkolnictwie, wyższych uczelniach i innych dziedzinach życia społecznego, jak również narastające wymaganie społeczeństwa kazachskiego na zmianę słowiańskiej kulturowo-cywilizacyjnej identyfikacji na azjatycką turecko-muzułmańską, pozbawia obecnie żyjącą ludność polską i następne pokolenia perspektyw życiowych i zmusza do ponownego zwrócenia się do swojej Ojczyzny, Polski, z prośbą o aktywizację polityki i praktyki repatriacyjnej chociażby do liczby 450-500 rodzin na rok. Bo tylko w powrocie do Polski widzimy wyjście od perspektywy wynarodowienia i zaginięcia jako organicznej części Narodu Polskiego.

Członkowie Rady Koordynacyjnej Związku Polaków w Kazachstanie, przewodniczący Stowarzyszeń polskich w obwodach i miastach w Kazachstanie: *W. Świncicki, T. Jankowski, K. Tkaczuk, A. Swaryczewski, A. Pawłowski, R. Gicewicz, S. Kłopotowska, N. Malicka, S. Tarnopolski, W. Kaniewski, H. Cybulska, N. Nowkszonowa, H. Rogowska, I. Pawlukiewicz oraz prof. Jan Zinkiewicz – Prezes Związku Polaków w Kazachstanie.*

- **JASNOGÓRSKIE SKARBY**

Nie jest to jeszcze jedna wystawa. Udostępnienie szerokiej publiczności na Zamku Królewskim w Warszawie skarbów z Jasnej Góry ma szczególny wymiar duchowy, pod względem historycznym i artystycznym jest wydarzeniem bez precedensu.

Trwająca od 15 grudnia 2006 do 11 marca 2007 roku wystawa „U tronu Królowej Polski. Jasna Góra w dziejach kultury i duchowości polskiej” została zorganizowana we współpracy z jasnogórskim klasztorem OO. Paulinów i tworzącym się Muzeum Historii Polski. Honorowy patronat objęli prezydent RP Lech Kaczyński i prymas Polski Józef kardynał Glemp. O takiej ekspozycji myśłano już wcześniej, bezpośrednią okazją stały się dwie rocznice: 350-lecie ślubów lwowskich króla Jana II Kazimierza i 50-lecie Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego, odnowionych 26 sierpnia 2006 roku.

W dziejach polskiego muzealnictwa jest to przedsięwzięcie niezwykle. Po raz pierwszy zaprezentowano ponad 150 dzieł sztuki sakralnej i dokumentów, z których duża część nie tylko nigdy nie opuściła murów klasztoru, ale przechowywana w skarbcu nie jest dostępna dla zwiedzających. Ostatni raz duży zespół jasnogórskich zabytków został pokazany poza sanktuarium na wystawie w Warszawie sto lat temu.

Jasna Góra jest miejscem wyjątkowym. Górujące nad Częstochową sanktuarium cudownego obrazu Matki Boskiej wraz z klasztorem Paulinów przez wieki zyskało rangę duchowej, religijnej stolicy Polski. To ważne centrum pielgrzymkowe, ale też bezcenna kolekcja dzieł sztuki. Wystawa jest próbą odpowiedzi na pytanie, dlaczego Jasna Góra od momentu powstania po dzień dzisiejszy pełni tak doniosłą rolę w dziejach Polski. Ukazano w porządku chronologicznym historię sanktuarium poprzez ofiarowane od czasów średniowiecza wota – w przeważającej części przedmioty o wysokiej wartości artystycznej. Większość stanowią dary polskich monarchów i wybitnych osobistości oraz pamiątki po nich, aczkolwiek należy pamiętać, że dziedzictwo Jasnej Góry tworzyli nie tylko królowie i magnaci, ale także ubodzy pielgrzymi.

Opowieść rozpoczyna spisany na pergaminie dokument fundacyjny, wystawiony na rzecz klasztoru na Jasnej Górze przez księcia Władysława Opolczyka 9 sierpnia 1382 roku. Od czasów Władysława Jagiełły sanktuarium znajdowało się bezpośrednio pod opieką królewską, najpierw dynastii Jagiellonów, później Wazów. Z tych czasów pochodzą: relikwiarz Krzyża Świętego i monstrancja z fundacji Zygmunta I Starego, a także ornat подарowany przez królową Bonę. Najbardziej dramatyczny rozdział w dziejach sanktuarium, utrwalony przez Henryka Sienkiewicza na kartach *Potopu*, ilustruje XVII-wieczna rycina i obraz Jana Matejki „Matka Boska unosząca się na obłokach podczas oblężenia Jasnej Góry przez Szwedów”. Jest także rózaniec o. Augustyna Kordeckiego i jego autorstwa opis oblężenia pt. *Nova Gigantomachia*. Z czasów panowania władców elekcyjnych pochodzą między innymi trofea Jana III Sobieskiego spod Wiednia.

Osobne miejsce zajmuje sala poświęcona cudownemu wizerunkowi. Najcenniejszym eksponatem jest sukienka na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, zwana rubinową. Naszytych jest na nią ponad 800 drogocennych klejno-

tów, stanowiących wota składane od XVI po wiek XX. W kategoriach materialnych jest to jedna z najbogatszych kolekcji dawnej biżuterii w skali europejskiej. Ten fragment wystawy, w którym pokazano też dwie podobizny cudownego obrazu pędzla Józefa Chełmońskiego, uzmysławia, że cieszący się od sześciu stuleci szczególnym kultem wizerunek Matki Bożej jest jednym z najważniejszych składników naszego duchowego dziedzictwa. Tu także co roku w maju przybywają pielgrzymki organizowane przez Związek Sybiraków.

„Portret zesłańca na Sybir Józefa Świątkowskiego”  
ze zbiorów Muzeum 600-lecia Jasnej Góry.  
Reprodukcja z katalogu wystawy „U tronu Królowej Polski”,  
wydanego przez Zamek Królewski w Warszawie.

Lata zaborów, gdy Matka Boska Częstochowska była wspomóżycielką zniewolonego narodu, przywołują: rękopis utworu Józefa Elsnera „Te Deum laudamus”, pióro Henryka Sienkiewicza подарowane mu przez Polonię amerykańską, a także biżuteria patriotyczna. Pokazano pierścioneł z okresu powstania listopadowego, krzyżyki z czasów żałoby narodowej po upadku powstania styczniowego oraz dwie broszki sprzed I wojny światowej z napisem „Boże zbaw Polskę”. Zupełnie niezwykłymi pamiątkami są dwa ołtarzyki i szkatułka wykonane własnoręcznie przez Tadeusza Kościuszkę podczas uwięzienia w Petersburgu. Naczelnik insurekcji 1794 roku przekazał je klasztorowi pod koniec życia, ze Szwajcarii.

Martyrologię Polaków na Wschodzie egzemplifikuje niewielka powstała w Rosji po 1863 roku akwarela „Portret zesłańca na Sybir Józefa Świątkowskiego”. Przedstawia mężczyznę z długą brodą, z łopata w ręce i nogami skutym łańcuchem. Obraz został подарowany sanktuarium przed 30 laty wraz z książkami do nabożeństwa i własnoręcznymi zapiskami więźnia. Ekspozowany jest w Muzeum 600-lecia Jasnej Góry obok żelaznych kajdan innego katorżnika.

Przypomnieniem naszej XX-wiecznej historii jest drewniana monstrancja z obozu koncentracyjnego w Dachau i krzyż – pastorał papieski, będący wotum Jana Pawła II z 1983 roku. W części „Triumf wolności” pokazane są dary Lecha Wałęsy – medal i dyplom Pokojowej Nagrody Nobla, a także plastikowy długopis, którym podpisano tekst Porozumień Gdańskich w sierpniu 1980 roku. Prezentację skarbów uzupełniają fragmenty filmów dokumentalnych, ukazujących pielgrzymki na Jasną Górę, poczynając od lat 30.

Spojrzenie na historię Jasnej Góry, nierozdzielnie związanej z dziejami narodu, jest sięgnięciem do głębi, do istoty polskości. Prezentowana we wnętrzach Zamku Królewskiego w Warszawie wystawa rzemiosła artystycznego, malarstwa, rzeźby ze zbiorów jasnogórskich jest źródłem przeżyć nie tylko natury estetycznej. Jest swoistą syntezą historii Polski. A przy tym dotyka spraw fundamentalnych. Daje sposobność uprzytomnienia sobie na nowo, w nieco innym kontekście, czym była i czym jest polska religijność, patriotyzm, umiłowanie wolności.<sup>1</sup>

*Ewa Ziółkowska*

---

<sup>1</sup> Obraz „Portret zesłańca na Sybir Józefa Świątkowskiego” zgodnie z informacją zawartą w rękopiśmiennej księdze wotów składanych na Jasnej Górze, został ofiarowany do sanktuarium w 1974 roku przez Stanisławę Zborowską z Brwinowa koło Warszawy, razem z książkami do nabożeństwa i własnoręcznymi zapiskami Józefa Świątkowskiego (zapis nie podaje, czy przedstawiony na portrecie mężczyzna jest przodkiem lub krewnym ofiarodawczyni).



---

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Franciszek Bogusławski, *Z kazachskich stepów do Sejmu RP*, Warszawa 2005, s. 222.**

We wrześniu 2005 roku nakładem Wydawnictwa „Comandor” ukazała się kolejna książka o tematyce zesłańczej. *Z kazachskich stepów do Sejmu RP* to książka zawierająca wspomnienia i refleksje Polaka urodzonego w 1942 roku w Kazachstanie, który w 1997 roku, po wielu latach starań i pomocy wielu ludzi dobrej woli, po przełamaniu barier oporu i niechęci urzędów, uzyskał wreszcie możliwość przyjazdu do Polski i jak wspomina w książce „w ten sposób 16 marca ruszyliśmy w drogę, a w nocy na 22 marca przekroczyliśmy granicę Białoruś – Polska. Niezapomniane chwile, trudno opisać nasze przy tym uczucia.”

Rodzina F. Bogusławskiego, autora wspomnień, zarówno ze strony ojca jak i matki „od zawsze” mieszkała w okolicy Kamieńca Podolskiego na Ukrainie, który po ustanowieniu granicy polsko-radzieckiej w 1921 roku znalazł się w granicach Związku Radzieckiego. W latach „czystki” stalinowskiej niemal wszyscy mieszkańcy tych obszarów przyznający się do narodowości polskiej zostali przesiedleni do Kazachstanu. Autor wymienia długi szereg nazwisk Polaków, których wraz z rodzinami wywieziono z ziemi ojczystej i osiedlono na stepie, w wiosce Krasnaja Polana. Ciężka, niewolnicza praca, złe, poniżające traktowanie przez rosyjskich urzędników i nadzorców łagodziła sympatia i pomoc, jakiej doznawali Polacy ze strony Kazachów. Z czasem położenie materialne Polaków polepszyło się, ale szykany ze strony władz nie ustawały.

F. Bogusławski, inteligentny i ambitny, dwukrotnie zdawał egzamin na studia politechniczne i choć wynik był za każdym razem pozytywny, ze względu na narodowość nie był przyjmowany. W końcu postanowił więc studiować pedagogikę – gdzie wobec sfeminizowania tego zawodu chętnie przyjmowano mężczyzn, nie bacząc na narodowość. Autor wspomnień wiele miejsca poświęca opisowi stosunków społeczno-politycznych w ówczesnym Związku Radzieckim. Jako bystry obserwator widział mechanizm władzy radzieckiej, jej prymitywizm i azjatycką bezwzględność w egzekwowaniu posłuszeństwa „poddanych”. Obserwuje rozpad „maguczewo sojuza”, radość ludzi z odzyskanej wolności i jednoczesną bezradność w korzystaniu z niej.

Wolność i niezależność wykorzystuje znakomicie natomiast autor książki organizując Polaków. W 1994 roku tworzy Związek Polaków Kazachstanu i od tej chwili podejmuje walkę o utworzenie prawnych podstaw ustawy repatriacyjnej, na podstawie której Polacy wywiezieni w latach 1936-1937 mogliby powrócić do ojczyzny. Pokonuje wiele przeszkód pojawiających się po obu stro-



nach – zarówno polskiej jak i kazachskiej. Jest nieugięty w tej działalności, łączy do wszystkich urzędów i instytucji, które mają wpływ na te sprawy. Trafia do Sejmu i Senatu, do „Wspólnoty Polskiej” i wielu osób prywatnych, doprowadzając w końcu do uchwalenia ustawy repatriacyjnej.

Starania F. Bogusławskiego znajdują odzwierciedlenie w załącznikach do książki, które znakomicie ukazują długą cierniową drogę Polaków powracających z wygnania do Ojczyzny.

*Irena Tańska*

- **Jan Roy-Wojciechowski i Allan Parker, *Polski Nowozelandczyk. Nadzwyczajna historia życia dziecka z Polesia*, tłumaczyła Aleksandra Wronowska, Lublin 2006, s. 288.**

Mówimy, że ktoś ma szczęście w nieszczęściu. Do takich osób na pewno należy konsul honorowy Rzeczypospolitej Polskiej w Australii, Jan Roy-Wojciechowski: jako kilkuletni chłopiec zesłaniec syberyjski z całą tragedią tego zesłania, a później bodajże najbogatszy Polak w Nowej Zelandii. „Przejmując mroźną zimą roku 1940 mały Janek Wojciechowski został wraz z matką i rodzeństwem w nocy wyciągnięty z domu przez zwycięskich rosyjskich najeźdźców, by rozpocząć nieludzką podróż do obozu pracy przymusowej pod Kołem Podbiegunowym. Podobnie jak miliony innych obywateli polskich, wycierpiał lata okrutnego wyzysku i niedoli. Miliony zginęło w tym piekle, ale dzieci rodziny Wojciechowskich cudownym zrządzeniem losu przetrwały” – taki tekst autorstwa Don McKinnon, Sekretarza Generalnego Zjednoczonego Królestwa, widnieje na czwartej stronie okładki prezentowanej tu książki.

Wspólnie uzgodniony przez Hitlera i Stalina zbrojny napad Niemiec hitlerowskich i Związku Sowieckiego na Polskę we wrześniu 1939 roku i w jego wyniku nowy rozbiór naszego kraju przez te państwa przyniósł ze sobą największą tragedię dla Polaków w ich ponad 1000-letnich dziejach. Związek Sowiecki podbił i zaanektował wówczas wschodnie tereny państwa polskiego, które Kreml postanowił zdepolonizować poprzez eksterminację tamtejszych Polaków. Do czerwca 1941 roku sowieci wysiedlili na Sybir około jednego miliona etnicznych Polaków. Deportowano całe rodziny, a więc także dzieci.

Wśród tych dzieci był m.in. Janek Wojciechowski, znany dzisiaj jako John Roy lub John Roy-Wojciechowski. Janek miał wszystkiego tylko sześć lat, kiedy czerwona i krwiożercza dzicz sowiecka pod przewodem „ojca ludu” – krwawego Józefa Stalina napadła na wschodnią Polskę. Zagrabiono m.in. Polesie, gdzie był dom rodzinny małego Janka. 10 lutego 1940 roku rodzina Janka, mieszkająca w osadzie wojskowej Ostrówki koło Drohiczyna Poleskiego (dziś Białoruś), wraz z innymi Polakami z Ziem Wschodnich, została wepchnięta do bydłowego wagonu i wywieziona do obozu pracy na rosyjskiej dalekiej północy (obwód archangielski) – do wyřębu lasu. W głąb Rosji Janek został wywieziony wraz z matką, starszym bratem i trzema siostrami. Ojca – Józefa, osadnika wojskowego, nagrodzonego przydziałem ziemi przez rząd polski za udział w wojnie z bolszewikami, NKWD-yści aresztowali gdy przyszli by wywieść rodzinę na Sybir i później rozstrzelali. W ciężkich syberyjskich warunkach, które znaczyły głód i zimno oraz niewolniczą pracę, Janek z rodziną spędził 18 miesięcy. Uwolniła ich z Gułagu umowa Si-

korski-Majski, którą podpisano po napadzie Niemiec na Związek Sowiecki w czerwcu 1941 roku, a utworzone w Rosji Wojsko Polskie pod dowództwem gen. Władysława Andersa umożliwiło im opuszczenie w 1942 roku sowieckiego Domu Niewoli – udanie się do Iranu. Matka – Helena – była jednak tak ciężko chora na gruźlicę, że po przyjeździe do Iranu, zmarła w szpitalu. Janek miał wówczas tylko 9 lat. W 1944 roku rząd Nowej Zelandii postanowił zaopiekować się kilkuset dziećmi polskimi na czas wojny. W gronie 733 dzieci przyjętych przez Nową Zelandię znalazł się również Janek. Przyjechał tu wraz z dwiema siostrami. Starsza siostra została w Iranie, a brat poszedł do Wojska Polskiego na Zachodzie i był lotnikiem.

Okres przedwojenny i sowieckiej poniewierki Janka omawiają jego wspomnienia zatytułowane *Polski Nowozelandczyk. Nadzwyczajna historia życia dziecka z Polesia*, której polskie wydanie ukazało się niedawno w Lublinie (2006), w tłumaczeniu Aleksandry Wronowskiej. Książka napisana wspólnie z Allan Parker ukazała się po angielsku w Auckland w 2004 roku pod tytułem *A strange outcome. Remarkable Survival Story of a Polish Child*, nakładem znane wydawnictwa „Penguin Books”.

Z okresu przedwojennego autor zapamiętał po dziś dzień sielsko-anielskie życie na Polesiu w gronie rodzinnym, jak np. Boże Narodzenie, imieniny i dożynki oraz jazdę bryczką co niedzielę do kościoła katolickiego w Popinie. W domu Wojciechowskich był radioodbiornik. Nie wiem czy Pan Jan pamięta bardzo popularną przed samą wojną melancholijną piosenkę „Polesia czar”. Może nie, ale musiał ją słyszeć i to nie raz. Miała ona melodię, którą się pamięta, nawet jak się jej, że tak powiem oficjalnie nie pamięta. Gdzieś tam jest w człowieku na zawsze zakodowana. Ja usłyszałem ją po raz pierwszy w 1964 roku i po dziś dzień pamiętam jej melodię, a nawet i pierwszą zwrotkę. To może i ona wzbudza dodatkowo tęsknotę Autora do kraju lat dziecińczych.

Z późniejszych lat Janek zapamiętał druty kolczaste, różne kraty i ogrodzenia, a przede wszystkim przeraźliwe zimno na północy i palący upał centralnej Azji, ciemne syberyjskie puszcze, ogołoczone pustynie, głód, brud – pchły i wszy, choroby, no i oczywiście najdotkliwsze tragedie – utratę ojca i śmieć matki. Jako mały chłopiec został sierotą. To wszystko sprezentował mu Stalin i jego komunizm z piekła rodem. Ten temat jest również obszernie omawiany w książce.

Trzecim tematem wspomnień to życie w Nowej Zelandii, które miało trwać tylko do zakończenia wojny, a stało się, przez zniewolenie Polski przez Związek Sowiecki w 1945 roku, ostatnim etapem podróży autora. Nowa Zelandia stała się nową ojczyzną Janka-Jana Roy-Wojciechowskiego.

Był on najpierw w obozie polskich dzieci w Pahiatua, a potem w szkołach nowozelandzkich, aby wreszcie stanąć zupełnie na własnych nogach. Przez wykształcenie, pracowitość i różnego rodzaju wyrzeczenia Jan albo John Roy-Wojciechowski zaszedł daleko – osiągnął bardzo wiele. Stał się prawdopodobnie najbogatszym, najbardziej znanym i prawdopodobnie najbardziej zasłużonym Polakiem w Nowej Zelandii. Sam siebie uważa za Polaka i Nowozelandczyka. Bo jak nie kochać kraj – swoją drugą ojczyznę, której tyle zawdzięcza. Tu nie tylko zrobił pieniądze, które nie zawsze dają człowiekowi szczęście. Tutaj również założył swoją rodzinę – ożenił się z Nowozelandką Valerie (Walerią) i w ojczyźnie kiwi przyszło na świat jego sześcioro dzieci: Karen, Ellen, Steven, Alexander, Gregory, Lawrence.

John Roy-Wojciechowski do swego sukcesu życiowego dochodził powoli. Bo ciężką pracą majątek zdobywa się właśnie powoli. Ale przez to jest on znacznie bardziej trwały. W latach 1968-80 był dyrektorem Atlas Majestic Industries Ltd. w Auckland, w latach 1981-94 dyrektorem wykonawczym, następnie prezesem Mair Astley Holdings Ltd. w Auckland i na koniec, w latach 1982-94 głównym dyrektorem dużej nowozelandzkiej firmy budowlanej Mainzeal Group Ltd.

Roy-Wojciechowski udzielał się również społecznie. Był m.in. przewodniczącym Star of the Sea Heritage Trust, Howick Building Owners Association i przewodniczącym Eastern City Association Group of Howick. Od 1999 roku John Roy-Wojciechowski jest konsulem honorowym RP w Auckland. Dzięki jego hojności na University of Auckland mogło powstać i działa po dziś dzień Studium Kultury i Języka Polskiego. Zresztą Polonia nowozelandzka wiele mu zawdzięcza. Nie żałował pieniędzy na cele polonijne, a szczególnie te, które uznał za warte wsparcia finansowego. Jego „dzieckiem” jest Muzeum Polskie w Auckland. Pomagał zorganizować się Polakom w Dunedin i wspierał finansowo restauracje polskich pamiątek na Południowej Wyspie.

Tak, Jan Roy-Wojciechowski miał szczęście w nieszczęściu. Ale jestem pewny, że gdyby miał do wyboru bogactwo, które osiągnął czy swoją ukochaną matkę, którą tak wczesnie stracił, na pewno wybrałby matkę. Tym bardziej, że jego życie rodzinne w Nowej Zelandii i ilość dzieci wskazują na to, jak ważną jest dla niego idea samej rodziny i miłość rodzinna.

Wspomnienia Jana Roy-Wojciechowskiego czytałem z tym większym zainteresowaniem, że jego niedalekim sąsiadem do lutego 1940 roku była matka mojej żony, która mieszkała w pobliskim Janowie Poleskim, gdzie 16 maja 1657 roku kozacy ukraińscy zamordowali bestialsko jezuitę – św. Andrzeja Bobolę.

Książkę polecam wszystkim tym, którym z autopsji nie jest obca tragedia Polaków podczas II wojny światowej, szczególnie na Kresach lub którzy interesują się tym okresem w dziejach Polski i w ogóle martyrologią narodu polskiego, jak również byłymi polskimi Ziemiemi Wschodnimi. Musimy dzisiaj bez nich żyć, bo są nieodwracalne wydarzenia w historii narodów i zależy nam na dobrym współzyciu z sąsiadami. Jednak nikt nie zaprzeczy temu faktowi, że Polska bez Ziem Wschodnich, a szczególnie bez Lwowa i Wilna, a nawet i Polesia (to przecież ziemia rodzinna m.in. Tadeusza Kościuszki i Romualda Traugutta, króla Stanisława Poniatowskiego czy Ryszarda Kapuścińskiego) nie jest Polską w całym tego słowa znaczeniu.

W każdym bądź razie nie jest dla Jana Roy-Wojciechowskiego, dla którego Polesie to nie tylko ziemia rodzinna, ale także do 1945 roku ziemia polska. Kocha on ją tak mocno, jak kocha całą Polskę i swą przybraną ojczyznę – Nową Zelandię.

*Marian Kaluski*

- ***Bolesław Siergiejewicz Szostakowicz. K 60-letiju so dnia roźdzenija i 35-letiju nauczno-pedagogičneskoj diejatielnosti. Zestawiła W. K. Pieszkowa, wstęp S. I. Kuzniecowa, Irkuck 2005, s. 36.***

Biblioteka Naukowa Uniwersytetu Państwowego w Irkucku w serii bibliograficznej ogłosiła zestawienie publikacji profesora tej uczelni – Bolesława Szostakowicza, znanego w Polsce ze swych dokonań twórczych, przewodniczącego Komisji Naukowej Kongresu Polaków w Rosji. Zwraca w niej uwagę starannie zestawiony przez W. K. Pieszkową spis rosyjsko- i polskojęzycznych (łącznie 244 pozycje) publikacji Jubilata oraz *Przedmowa* S. I. Kuzniecowa z informacjami o życiu i twórczości irkuckiego historyka. Łącznie stanowi to interesujący materiał dla badaczy dziejów Syberii, ale także materiał wyjściowy do fabuły filmowej, bo dzieje rodu Szostakowiczów (*nota bene* spokrewnionych z wybitnym kompozytorem) zasługują na popularyzację.

W jednym z artykułów, ogłoszonych w Rosji kilka lat temu, Bolesław Szostakowicz ustosunkował się do sprawy swojej przynależności narodowej. Stwierdził jednoznacznie, że ród Szostakowiczów ma korzenie polskie, a jego prapradziad – również Bolesław – za sprawę polską w połowie XIX w. został skazany na zesłanie na Syberię. Tam wtopił się w miejscową społeczność rosyjską, podobnie jak jego dzieci. W domu Siergieja Szostakowicza, ojca Bolesława, już nie mówiono po polsku. Sam nauczył się – zresztą dobrze – języka swoich przodków pod wpływem tradycji rodzinnej, tej tradycji, która zdecydowała, iż nadano mu imię prapradziada-zesłańca. W sumie we wspomnianym artykule Bolesław Szostakowicz, syn Siergieja, stwierdził, iż uważa się za Rosjanina o korzeniach polskich. Z pewnością jest to uczciwe postawienie sprawy. Oddaje jednak coś co można dostrzec na Syberii: syndrom polskości. Sybiracy, bardziej niż mieszkańcy innych regionów Rosji, pamiętają o pochodzeniu swych przodków, co w konsekwencji przyczyniło się do uratowania wielu zesłańców oraz represjonowanych, także w czasie II wojny światowej.

Zestawiony przez W. K. Pieszkową spis składa się z następujących dzieł: *Prace B. Szostakowicza* (pozycje 1-190), *Wywiady z B. Szostakowiczem* (pozycje 191-200), *Literatura o życiu i twórczości B. Szostakowicza* (pozycje 201-236), *B. Szostakowicz w informatorach i wydawnictwach bibliograficznych* (pozycje 237-244). Pierwsza publikacja z 1967 r., wówczas 22-letniego historyka, nosi tytuł: *Muzej „Poljaki w Sibiri”* (Muzeum „Polacy na Syberii”). Drukował systematycznie, ale w latach 1969-1971 miał przerwę. Jest autorem głównie artykułów, czasem ze współautorami (ich nazwisk nie wymieniono w bibliografii). Niektóre z wymienionych publikacji mają tytuły sformułowane ogólnie, stąd czytelnik nie może się zorientować o treści poruszonych zagadnień. Wśród książek wymieniono studium ogłoszone w 1995 r. pt. *Istoria paljakow w Sibirii (XVII-XIX w.)*, odnotowane recenzjami w Rosji i w Polsce (ostatnia w „Kwartalniku Historii Nauki i Techniki” autora niniejszej notatki).

Co najmniej 80% publikacji dotyczy bezpośrednio lub pośrednio Polaków na Syberii, przeważnie zesłańców, choć nie tylko, np. jeden z artykułów z 2004 r. dotyczy Ferdynanda Karo, aptekarza z Częstochowy, który kilka razy udawał się na Syberię jako kolekcjoner flory. Wiele artykułów Szostakowicz drukował w prasie polskiej w ZSRR (zwłaszcza w wileńskim „Czerwonym Sztandarze”, np. 1982 r. *George Kennan przeciwko caratowi*). Jego opracowania zamieszczane były w wielu historycznych dziełach zbiorowych w Polsce, jak choćby *Uczestnicy wyprawy J. Zaliwskiego na katordze i zesłaniu na podstawie materiałów Archiwum Państwowego w Irkucku (1994) czy Dzieje irkuckiej parafii rzymsko-katolickiej do początku wieku XX. (Na podstawie materia-*

łów Archiwum Państwowego Obwodu Irkuckiego) – to ostatnie w ogłoszonej w 1998 r. przez Antoniego Kuczyńskiego we Wrocławiu księdze *Syberia w historii i kulturze narodu polskiego*. Większość prac wykorzystuje archiwalną bazę źródłową z Rosji, zwłaszcza z Irkucka. Są jednak opracowania wsparte na zasobach archiwalnych Polski i Litwy oraz publikacjach ogłoszonych w Polsce.

Jest, zwłaszcza na Syberii, wielu historyków zajmujących się problematyką rosyjsko-polską (m.in. W. Skubniewski W. Łatyszew). Nie brakuje ich także w europejskich centrach naukowych Federacji Rosyjskiej, w której do niedawna ogłaszali swe znakomite prace na ten temat zwłaszcza nieżyjący już dziś Boris Polewoj i Władimir Dżakow, że podamy tylko przykładowo te nazwiska. Wśród historyków rosyjskich Bolesław Szostakowicz zajmuje niewątpliwie pozycję szczególną. Przez ponad 35 lat wykazał się stałością swych zainteresowań twórczych i to podczas władzy sowieckiej, jak i później. Wcześniej zamieszczał swe studia o zesłańcach m.in. w seriach wydawniczych o rewolucjonistach. Ostatnio mógł już wyraźnie pisać o Polakach jako zesłańcach politycznych lub wręcz o ludziach represjonowanych ze względu na swe pochodzenie i przynależność narodową przez carat i Sowieców.

Przed laty Antoni Kuczyński, dyrektor Ośrodka Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego, podjął starania finansowe o pozyskanie środków na polską edycję książki B. Szostakowicza zatytułowanej *Istoria poljakow w Sibiri (XVII-XIX w.)*. I mimo, że te starania finansowe powiodły się, opiniodawcy tego przedsięwzięcia edytorskiego uznali, iż autor książki wcześniej już ogłosił w naszym kraju swe podstawowe ustalenia z tego zakresu. To tylko część prawdy. Jego książka – po uaktualnieniu – nadal zasługuje na przetłumaczenie i opublikowanie jej w Polsce.

Więcej, należałoby u nas wydać w osobnym tomie wszystkie jego ważniejsze publikacje na temat dziejów diaspory polskiej na Syberii. Byłby to nie tylko rodzaj hołdu złożonego zasłużonemu badaczowi, ale także przybliżenie młodszemu naszym historykom tematyki syberyjskiej. Mówi się o tym, że historycy zajmujący się Rosją muszą znać urzędowy język tego kraju. To prawda. Ale dobrnięcie do niektórych studiów drukowanych w Rosji jest czasem bardzo trudne, bo nakłady niekiedy wynosiły po 100 egzemplarzy. Zresztą nikt z naszych historyków nie dostanie dostatecznych środków na pozyskanie tych publikacji nawet drogą elektroniczną. Wydajemy, bez większych oporów, wszystko co ukazuje się na Zachodzie o dokonaniach Polaków (np. Normana Daviesa). Zadbajmy o szerszą popularyzację w naszym kraju dokonań historyków rosyjskich na temat Polaków i Polonii rosyjskiej, i to nie tylko dlatego, że mają korzenie polskie.

Zbigniew J. Wójcik

- ***Istoria i kultura poljakow w Sibiri. Sbornik materialow międzyregionalnych naukowo-praktycznych konferencji „Istoria i kultura poljakow w Sibiri 2005-2006 gg.”, red. S. Leończyk, Krasnojarsk 2006, s. 132.***

Od 2003 r. w Krasnojarsku (czasem także w Abakanie i Minusinsku) organizowane są międzyregionalne konferencje poświęcone dziejom i współczesności diaspory polskiej na Syberii. Przedstawione na tych spotkaniach referaty

ogłaszane są drukiem w specjalnych książkach. Ostatnia – recenzowana przeze mnie w „Zesłańcu” – ukazała się w 2005 r. pt. *Poljaki w Prijenisiejskom kraje*. Prezentowana obecnie książka gromadzi opracowania wygłoszone na kolejnej w Krasnojarsku konferencji, która odbyła się w 2005 roku. Autorami tych opracowań są historycy i krajoznawcy z Tomska, Omska, Jekaterynburga i Ułan-Uden, no i oczywiście z Krasnojarska. Jak poprzednio, głównym animatorem konferencji był Siergiej (Sergiusz) Leończyk, Sybirak o korzeniach polskich, historyk z doktoratem Uniwersytetu Szczecińskiego. Publikację finansowała w całości Fundacja z Warszawy „Pomoc Polakom na Wschodzie”, która swego czasu wsparła także edycję książki pt. *Z kraju nad Lena. Związki polsko-jakuckie dawniej i dziś*, Wrocław 2002 oraz wspomaga inne inicjatywy wydawnicze dotyczące dziejów Polaków na Wschodzie.

Przedstawione w książce opracowania zgrupowane są w czterech blokach: 1 – *Polacy na Syberii XVII - początek XX wieku. Aspekty historyczno-kulturalne*; 2 – *Diaspora polska w okresie sowieckich represji*; 3 – *Syberyjska historia rodzin polskich*; 4 – *Polska i Polacy we współczesnym świecie*. Tom zamknięto informacją o Kongresie Polaków w Rosji, czasopiśmie „Rodacy” (kwartalniku wydawanym w Abakanie pod red. wspomnianego już S. Leończyka) oraz informacją o Krasnojarskim Kulturalno-Historycznym Kompleksie Muzealnym. Książkę zamyka napisana po polsku nota „Od redaktora” (S. Leończyka) podkreślająca, że zbiór ten „otwiera przed czytelnikiem nowe i nie całkiem jeszcze zbadane karty historii diaspory polskiej w tak odległej od polski krainie, którą jest Syberia.”

To, co uderza czytelnika to treść przypisów niektórych artykułów: wskazówki o tym, że zostały one przygotowane w ramach różnego rodzaju grantów. Świadczy to, że zajmowanie się dziejami i współczesnością polskiej diaspory na Syberii przestało być następstwem sentymentów rodzinnych badaczy rosyjskich, mających świadomość swoich polskich korzeni lecz problem ten ma rangę poważnych przedsięwzięć naukowych podejmowanych na Syberii przez różne ośrodki badawcze. Zatem mamy w Federacji Rosyjskiej nie tylko pożalowania godne przedsięwzięcia typu świąt narodowych związanych z dobrowolnym(!) opuszczeniem w XVII w. przez wojska Rzeczypospolitej moskiewskiego Kremla, ale także poważny nurt badawczy i to nie tylko na poziomie prowincjonalnym. Oto i paradoksy współczesnej historii rosyjskiej.

Kilka zdań o treści niektórych opracowań. W dziale pierwszym – rozpoczyna je szkic o rodzie Raczkowskich w historii Krasnojarska. Iwan (Jan) Raczkowski dotarł do Krasnojarska w 1666 r. i pochodził z rodziny jeńców z wojsk litewskich. Jego następcy byli na ogół wojskowymi. Piotr syn Jana, jeden z ostatnich, lekarz, zmarł w 1921 r. A. A. Krich i I. W. Skuratowicz przedstawili artykuł pt. *Los szlachty polskiej na Syberii: zmiany etnicznej tożsamości (na przykładzie rodziny Skuratowiczów)*. Rzecz dotyczy zesłańców po powstaniu styczniowym do Syberii Zachodniej oraz losów ich potomków, którzy utrzymywali swą polskość, w związku z czym byli represjonowani zwłaszcza w latach trzydziestych XX w. Typowe dzieje rodziny polskiej, która wtopiła się w etniczne otoczenie zachodniej Syberii.

A. P. Dobronowska przedstawiła artykuł o krasnojarskim kościele katolickim. Dotyczy on głównie losów budynku stanowiącego od pewnego czasu pomnik architektury. Jako obiekt sakralny spełniał swą rolę do 1926 r. Później

pełnił różne funkcje, nawet Sali wykładowej miejscowej politechniki. Ostatnio starannie odnowiony jest kościołem rzymsko-katolickim, głównie dla Niemców, Polaków, Litwinów i Łotyszy. O katolikach Rosjanach nie wspomniano.

A. A. Krich przedstawił opracowanie o konfederatach barskich na zesłaniu (*posieleniu*) w Tarze w drugiej połowie XVIII w. Zachowane archiwa różnie szacują ich liczbę. Z pewnością 90. z nich ożeniło się i pozostało na Syberii. Żałować należy, że do Krasnojarska nie dotarła nowa edycja wspomnień Karola Lubicza Chojeckiego, która porusza także sprawy dotyczące skierowania konfederatów do Tary.<sup>1</sup>

S. W. Leończyk zamieścił artykuł zatytułowany *Narcyz Wojciechowski – zesłany powstaniec 1863 r. Minusinsk, Krasnojarsk, Tomsk*. Napisał go na podstawie maszynowej kopii zapisków N. Wojciechowskiego pt. *Moje wspomnienia z 1916 r.* Oryginał rękopisu spłonął w czasie Powstania Warszawskiego, natomiast zachowaną szczęśliwym zbiegiem okoliczności jego kopię rodzina przekazała do Muzeum w Minusińsku w 1978 r. Zapewne z innej kopii korzystał natomiast Igor Newerly pisząc znaną książkę pt. *Wzgórze błękitnego snu*. Kopia maszynopisu wspomnień N. Wojciechowskiego znajduje się obecnie w Archiwum Związku Sybiraków w Warszawie i zasługuje z całą pewnością na krytyczne wydanie.<sup>2</sup>

Narcyz Wojciechowski urodził się w 1846 r. w Serocku. Sądzony za udział w powstaniu styczniowym w 1866 r. został wysłany na Syberię. Osadzony zrazu w Krasnojarsku, trudnił się pracą urzędniczą. Z czasem w okolicy Milusińska stał się przedsiębiorcą zakładu poszukującego i przerabiającego złoto, a później soli. Działał także w miejscowym samorządzie. Zmarł w Tomsku w 1919 r. przeżywszy gehennę pierwszych lat wojny domowej. Dodajmy, że Leończyk w interesujący sposób skonfrontował zapiski pamiętnikarskie Wojciechowskiego z dokumentami archiwalnymi o jego działalności na Syberii.

Szkic S. A. Muliny nosi tytuł *Polacy-lekarze na zachodniosyberyjskiej zsyłce*. Autorka rozważania swe ograniczyła do zesłańców po powstaniu 1863 r. Było ich kilkunastu i na ogół mieli prawo wykonywania praktyki lekarskiej. Wyróżniali się swoimi umiejętnościami. W zasadzie nie wtapiali się w miejscowe środowisko rosyjskie. Mieli tym łatwiejszą pracę, że w większości byli absolwentami uczelni rosyjskich.

L. W. Rabucho przedstawiła bardziej syntetyczne opracowanie pt. *Wkład Polaków zesłanych po powstaniu 1863 r. i ich potomków w rozwój Uralu i Rosji*. Pisała głównie o działalności na Syberii (i w Rosji) Antoniego Baranowskiego, Dominika Karczewskiego, Floriana Leihmaiera(?), Zdzisława Mitkiewicza, Lidwiga Ludwigo-wicza(?), Bolesława Olędzkiego, Mariana Sienkiewicza i jego syna Emiliana, Antoniego Rydzewskiego, Konstantyna Szyszkowskiego. (Znaki zapytania postawione są przez autora recenzji, tam gdzie nie sposób było odtworzyć polskiego zapisu nazwiska). Niektórzy z nich urodzili się już na Syberii. Zawsze mieli ogromny wkład w rozwój cywilizacyjny Rosji, także za

<sup>1</sup> K. Lubicz Chojecki, *Pamięć dzieł polskich. Podróż i niepomyślny sukces Polaków*. Na podstawie pierwodruku z 1789 roku wydali oraz przypisami opatrzyli Antoni Kuczyński i Zbigniew J. Wójcik, Bagnó-Warszawa-Wrocław 1997.

<sup>2</sup> Zobacz: W. Masiarz, *Prawda i fikcja literacka w powieści Igora Newerlego „Wzgórze błękitnego snu”*, „Zesłaniec” 1994: 4, s. 100-122.

Uralem. Dodajmy, że wśród cytowanych opracowań jest książka Wiktorii Śliwowskiej *Ucieczki z Sybiru*, ogłoszona w Warszawie w 2005 roku!

Tę część książki zamyka opracowanie J. W. Siemionowa noszące tytuł *Polacy w Narczyńsku w końcu XVIII – pierwszej połowie XIX w.* Okazuje się, że przed Faustynem Ciecierskim (zesłanym w 1797 r.) do Nerczyńska dotarli zesłańcy uczestniczący w bitwach z Rosjanami w 1792 i 1794 r. Później, już choćby najmniejsza wykryta konspiracja miała swych zesłańców w zakładach górniczego okręgu nerczyńskiego. Znaczna ich liczba zmarła na Syberii. Autor ograniczył się do bazy źródeł publikowanych (m.in. książek W. Śliwowskiej oraz komentarzy A. Kuczyńskiego i Z. Wójcika do edycji pamiętnika F. Ciecierskiego z 1998 roku, a także najnowszej literatury rosyjskiej).

Wszystkie wyżej przedstawione artykuły mają bardzo wysoki poziom naukowy. Stanowią istotny wkład do poznania dziejów diaspory polskiej na Syberii, głównie przed epoką sowiecką. O holokauście Polaków na Syberii w latach władzy Sowietów traktują opracowania W. A. Czewardina (*Delegatura polska na Uralu 1942-1943 r.*), A. A. Adamięki (*O represjach duchownych katolickich w Kraju Krasnojarskim*) i T. A. Ulejskiej (*Polska sekcja narodowościowa w latach dwudziestych ubiegłego stulecia*). Pierwsze i ostatnie opracowanie mają solidną bazę archiwalną. Wszystkie trzy artykuły są istotnym wkładem do poznania problemu losów Polaków w tej części Rosji w XX w.

Blok „rodzinny” książki stanowi pięć opracowań, zwykle pisanych przez żyjących obecnie na Syberii potomków zesłańców. Tytuł wymowny ma zwłaszcza pierwszy z nich autorstwa P. A. Krajewskiego: *Krajewski Piotr-Paweł Iwan. Historia tragicznego życia niewinnie zamęczonego Polaka* (bardzo osobista historia dziadka autora, jeńca z wojsk pruskich z 1914 r., który został w Rosji i tam założył rodzinę), T. M. Kikiłowa opracowanie *Kartki o życiu rodzin polskich* (na podstawie materiałów naukowych muzeum-rezerwatu „Szuszen-skoje”; jest to miejsce zesłania Lenina oraz polskich i rosyjskich działaczy socjalistycznych, w tym J. Promińskiego), N. A. Łaktinowej o rodzinie zesłańczej z czasów sowieckich rozrzuconej w Krasnojarskiem, N. N. Skorobogatowej *Pamięć serca zachowuje drogie karty* oraz artykuł J. M. Wojdy *W syberyjskiej stronie dalekiej...* W tym bloku tylko niektóre opracowania odwołują się do źródeł archiwalnych. Są to przede wszystkim historyczne szkice literackie, pełne dramatyzmu w następstwie represji sowieckich.

Ostatni dział z artykułami A. N. Asłamaziszwili, I. P. Iwanowej i W. A. Połtorakowej ma formę publicystyczną. Szkic P. Połtorakowej dotyczy pierwszego w Rosji centrum książki polskiej w Abakanie, stolicy Republiki Chakańskiej. Dary płyną z całej Polski. Wielki wkład w rozbudowę placówki ma zwłaszcza Siergiej Leończyk.

Z tego co wyżej przedstawiono wynika, że prezentowany tom ma opracowania o różnej formule: obok rozpraw ściśle naukowych (pierwsze dwa rozdziały), pisanych zwłaszcza przez wybitnych fachowców, są także wspomnienia potomków rodzin wywodzących się z Polski i z tych czy innych względów osiadłych w Rosji. Marginalnie potraktowano dane w bloku o represjach z czasów sowieckich, gdyż o tym pisano więcej w poprzednim tomie. Dodano do tego – po ostatnim dziale – informacje kronikarskie. Tym samym tom jest rodzajem dobrych almanachów historyczno-literackich.



Dobrze się stało, że Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” wspiera poczynania kulturalne potomków zesłańców polskich do Kraju Krasnojarskiego. Dobrze też, że miejscowe środowiska wspierają organizowanie takich lokalnych konferencji podejmujących złożone dzieje polskiej diaspory za Uralem. Jeszcze nie tak dawno ośrodkiem wiodącym w tej dziedzinie był Irkuck, ostatnio natomiast uaktywniły się w tym zakresie stowarzyszenia polskie istniejące w Tiumeni, Tomsku, Abakanie i nawet w dalekiej Jakucji. Owoce ich pracy mają wielką wartość poznawczą, a tamtejsze ogniska Kongresu Polaków w Rosji w walnym stopniu przyczyniają się do popularyzacji kraju ich przodków. Są oni także – podobnie jak dawni zesłańcy – animatorami kultury za Uralem. Ponadto część z nich pozostaje w bliskich kontaktach z polskimi ośrodkami akademickimi zajmującymi się dziejami Polaków na Syberii i publikuje swe prace w wydawanych przez nie zbiorach studiów i czasopismach. Uczestniczą także oni w międzynarodowych konferencjach organizowanych w Polsce poświęconych dziejom Polaków na Syberii, a jednostką wiodącą w tej dziedzinie jest Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego, który poczynając od roku 1994 zorganizował już pięć takich konferencji<sup>3</sup>, a ich pokłosie ukazało się w monotematycznych tomach, z których jeden przetłumaczony nawet został na język rosyjski i w roku 2002 ukazał się w Moskwie pt. *Sibir w historii i kulturze polskiego naroda*. Książka miała pozytywne recenzje w prasie rosyjskiej i powszechnie cytowana jest przez historyków z Federacji Rosyjskiej zajmujących się polskim dziedzictwem kulturalnym, naukowym i gospodarczym na Syberii.

Zbigniew J. Wójcik

- „My Sybiracy” – nr 17, Łódzki Oddział Związku Sybiraków, 2006, s. 251.

Obszerny tom wydany, jak zwykle bardzo starannie, zawiera na początku informację o V Krajowym Zjeździe Delegatów Związku Sybiraków, który obradował w dniach 7-8 kwietnia 2006 r. w Rogowie, opodal Koszalina. Tekst ten to skrótowe omówienie obrad oraz zmian w Statucie Związku Sybiraków. W części tej jest również list pożegnalny współzałożyciela i wieloletniego prezesa Związku Sybiraków Ryszarda Reiffa, który ze względów zdrowotnych zdecydował się nie kandydować do przyszłych władz Związku. Jego następcą został wybrany przez Zjazd Tadeusz Chwiedź, z którym Jerzy Rossowski przeprowadził wywiad dotyczący kontynuacji zadań i celów naszego Związku. Na uwagę zasługuje artykuł prof. Albina Głowackiego pt. *Władze kirgiskie a repatriacja*

<sup>3</sup> Oto tematy tych konferencji: „Polacy w Kazachstanie. Historia i Współczesność” (1994); „Syberia w historii i kulturze narodu polskiego” (1997); „Kościół katolicki na Syberii. Historia. Współczesność. Przyszłość” (2001); „Kultura i świadomość etniczna Polaków na Wschodzie. Tradycja a Współczesność” (2002) oraz „Polacy w nauce, administracji i gospodarce na Syberii XIX – początek XX wieku. Tradycja jako element odradzania się kultury i świadomości etnicznej polskiej diaspory za Uralem” (2006). Ponadto Ośrodek ten był inicjatorem i współorganizatorem międzynarodowej konferencji poświęconej dziedzictwu naukowemu Bronisława Piłsudskiego pod nazwą: „Bronisław Piłsudski i Futabatei Shimei. Piękna karta w dziejach stosunków polsko-jaapońskich” (1999) oraz konferencji „Bronisław Piłsudski (1866-1918). Człowiek – Uczony – Patriot” (2000) podczas której odbyło się na zakopiańskim cmentarzu na Pęksowym Brzyzku poświęcenie symbolicznej mogiły tego zesłańcy i etnografa.

*obywateli polskich (1945-1946)*. Żmudne badania autora dają pogląd na warunki tej repatriacji. Ciekawy jest również artykuł poświęcony śmierci w ekstremalnych warunkach zesłania syberyjskiego.

W dziale „Informacje” zaprezentowano sylwetką nowego krajowego kapelana Związku Sybiraków ks. Z. Banasia. Są też w tej części omówienia działalności Oddziałów Związku Sybiraków w Opolu, Łodzi i innych miastach. Ciekawa jest też informacja Z. Lewczykowskiego z Gorlic o przywiezieniu z Kazachstanu kraty z łagru w Spassku.

W rozdziale „Aktualności” są wiadomości z Suwałk, Oławy, Jarosławia, Wrocławia, Piły, Bydgoszczy, Ciechanowca, Stalowej Woli, Gorzowa Wielkopolskiego, Łodzi, Międzychodu i Lublina. Zeszyt zawiera także informacje o szkołach noszących imię Sybiraków oraz bogaty dział „Relacje”, w którym publikowane są fragmenty wspomnień zesłańców.

*Wiesław Krawczyński*

- **Aleksander Zatajewicz, *1000 pesen kazachskiego naroda*, pod. red. I. K. Kożabekowa, Almaty 2004, s. 496.**

Obok wybitnych Polaków-badaczy kultury autochtonicznych etnosów Azji, takich jak Edward Piekarski, Bronisław Piłsudski, czy Waclaw Sieroszewski, należy wymienić Aleksandra Zatajewicza, muzyka i badacza folkloru, którego dorobek z tej dziedziny znany jest folklorystom w Kazachstanie, natomiast w Polsce wiadomość o jego dokonaniach sączy się zaledwie wąską strużką poprzez niektóre publikacje dotyczące związków polsko-kazachskich. A tymczasem był on pierwszym profesjonalnym badaczem kazachskiego folkloru i z wrażliwością muzyka oraz wielkiego humanisty odbierał tamten świat pieśni stepowych akynów oraz prostego kazachskiego ludu zawierający sporo życiowej prawdy o odwiecznych mieszkańcach stepu, ich tęsknotach i nadziejach. Rzec można, że każdy Kazach, czytając zgromadzone przez A. Zatajewicza pieśni, gdy zamyka prezentowaną tu książkę, czyni to nieledwie ze łzami w oczach, wszakże z zapisanych w niej pieśniach bije wyraźnie rytm życia jego narodu. Zamyka ją i dziwi się, że nikt przed A. Zatajewiczem nie dokonał tego, dziwi się tym bardziej, gdy dowiaduje się, że był on przybyszem z dalekiego kraju, o którym rzec można wielu współczesnych Kazachów nie wiele o nim wie, lub zgoła nic. Ale także w naszej folklorystyce i etnografii postać ta jest do tej pory bardzo mało znana.

A. Zatajewicz był kompozytorem oraz krytykiem muzycznym pisującym do „Dziennika Warszawskiego”, pracującym w urzędzie gubernatora warszawskiego w randze doradcy do zadań specjalnych. Po wybuchu I wojny światowej został ewakuowany do Moskwy, następnie mieszkał w Petersburgu, później znów w Moskwie, gdzie pracował w Komitecie Pomocy Uchodźcom. W 1920 roku znalazł się w Orenburgu i rozpoczął tam pracę jako akompaniator grupy koncertowej w tamtejszym Wydziale Kształcenia Narodowego. Tak rozpoczęła się jego kariera dokumentalisty kazachskiego folkloru i przez 13 lat pobytu w Kazachstanie z pasją oddawał się tej pracy uwieńczoną ukazaniem się w Orenburgu w roku 1925 omawianej tu książki. Jest to już trzecia jej edycja. Drugie wydanie miało

miejsce w roku 1963, niestety ze zbyt dużymi ingerencjami sowieckiej cenzury. Usunięto z niej, w tamtym wydaniu, informacje o wielu informatorach A. Zatajewicza, z którymi pozostawał on w osobistych i korespondencyjnych kontaktach, którzy byli represjonowani w latach 30-tych i nie uniknęli pobytu w łagrach a nawet śmierci. Ponadto wszechwładna cenzura usunęła wówczas z tej edycji niektóre fakty z historii Kazachstanu, kraju którego etniczni mieszkańcy żywili wielkie przywiązanie do tożsamości i narodowej kultury. Nie było to w smak władzom radzieckiego państwa, w obrębie którego Kazachstan pozostawał jedną z republik, a jej władze z nadania Moskwy skutecznie realizowały politykę idącą w kierunku zacierania narodowej odrębności kulturowej.

Omawiana tu edycja tej książki z roku 2004 bliższa jest jej pierwotnej wersji z roku 1925, z tym że wzbogacona została o wartościowy komentarz komitetu redakcyjnego odnoszący się do uwag A. Zatajewicza dotyczących poszczególnych wariantów pieśni, które nie weszły do pierwszego wydania. W tomie tym są także teksty pieśni kazachskich, które pochodzą z archiwum A. Zatajewicza zdeponowanym w Rosyjskim Państwowym Muzeum Kultury Muzycznej. Książkę uzupełniają dosłowne przekłady tekstów pieśni na język kazachski, a jej kształt edytorski omówiła W. Diernowa w części zatytułowanej *Z historii wydania zbioru 1000 pieśni kazachskiego narodu A. W. Zatajewicza*. Oprócz wspomnianych powyżej meandrów edycyjnych, zdeterminowanych cenzurą, znajduje się w tej części wiele interesujących merytorycznych ocen podkreślających ważność i unikalność trudu tego badacza, przed którym nikt wcześniej nie podjął się takiej pracy.

Książkę rozpoczyna *Przedmowa do trzeciego wydania*, napisana przez I. Kożabekowa, po niej jest *Wstęp* autorstwa A. Kastalskiego będący przedrukiem tekstu z pierwszego wydania oraz *Przedmowa do książki „1000 piosen kazachskiego narodu”*, ta sama, którą napisał A. Zatajewicz do pierwszego wydania. Autor nakreślił w niej skład narodowościowy i etniczny ówczesnego Kazachstanu oraz odniósł się do pewnych kwestii związanych z etnogenezą Kazachów, których wcześniej nazywano Kirgizami. Nie wchodząc w szczegółowe rozważania tej kwestii podkreślił, iż pod względem etnicznym i antropologicznym Kazachowie są narodem, który utworzyły plemiona tiurskie oraz mongolskie, zamieszkujące step. Tekst ten orientuje czytelnika o całej złożoności faktograficznej związanej z powstaniem tej książki. Pokonując liczne trudności merytoryczne, organizacyjne i nawet zdrowotne A. Zatajewicz kontynuował rozpoczętą pracę, która wymagała od niego wielkiej skrupulatności związanej z zapisywaniem linii melodycznej gromadzonych utworów. Zdawał sobie bowiem sprawę z faktu jak ważną rolę pełniła muzyka w codziennym życiu Kazachów i ich obrzędowości. Towarzyszyła ona wszelkim uroczystościom rodzinnym, była obecna w rytuałach wypełnianych przez szamanów, tzw. *baksów*. Niejednokrotnie był świadkiem szacunku z jakim odnosili się Kazachowie do swoich zawodowych śpiewaków (*olensza*) oraz twórców pieśni (*akynów*). Autor opisał pokrótce tradycyjne instrumenty muzyczne, jak *dombra* i *kobyz*. Swoją *Przedmowę* badacz zakończył dedykacją o treści: „Wam, moi drodzy przyjaciele-dzygi-ci, poświęcam i Wam oddaję tę pracę, wykonaną razem z Wami w godzinę głodu, chłodu i epidemii. Wy wiecie, iż zawsze wyznawałem przekonanie, iż to nie ja zbieram Wasze piękne narodowe pieśni, a Wy sami, za moim pośrednictwem, gromadzicie je, aby uchronić to Wasze narodowe bogactwo od zapomnienia i skażenia.

Nie mnie sądzić, czy dobrze i prawidłowo wykonałem to trudne zadanie, lecz jestem pewien, iż nie wątpię w to, że wypełniłem je z całą swoją miłością, poświęceniem i umiejętnościami, jakie posiadam. W tej pracy nie można było zrobić żadnego kroku bez wewnętrznego utożsamienia się z najbardziej czułymi strunami duszy Waszego narodu, co na zawsze spowinowaciło mnie, przypadkowego przybysza, z utalentowanym i szlachetnym narodem kazachskim. Lecz ja jestem już człowiekiem wiekowym, a do Was należy cała przyszłość! Strzeżcie więc, pilnujcie oraz pomnażajcie Wasze narodowe, duchowe bogactwa, rozwijajcie i upiększajcie osiągnięcia wyższej, ogólnoludzkiej kultury, do której dążycie, a z łona narodu odnowi się i rozkwitnie kazachska muzyka narodowa.” (s. 22).

Główna i najobszerniejsza część książki (285 stron) to zapisy nutowe pieśni, posegregowane według regionów, z których pochodzą. Wymagało to od badacza opracowania metody zapisu nutowego. Jego sposób utrwalania pieśni był wyjątkowy. Otóż notował on utwór w momencie wykonywania go przez śpiewaka, tym samym ważniejsza stawała się nie forma dźwiękowo-nutowa, a sam akt śpiewania. Badacz dokonywał tego bez użycia wałków fonograficznych, co jeszcze pełniej dokumentuje jego zdolności muzyczne i niesamowity więc trud badawczy. Nie mniej ważni, niż same utwory, byli dla A. Zatajewicza ich wykonawcy ze swymi wokalnymi możliwościami i cechami osobowości. Dlatego też autor zamieścił spis nazwisk wykonawców i tytuły śpiewanych przez nich utworów.

Bardzo istotną partią zbioru, obok zapisu pieśni, okazała się część zatytułowana *Uwagi autora*, gdzie poza komentarzami do samych pieśni, przedstawiał on, często w sposób szczegółowy, postać danego śpiewaka, jego cechy osobowościowe, a także okoliczności spotkania. Dlatego też książka przedstawia wartość nie tylko dla muzykologów czy folklorystów, lecz także posiada duże znaczenie etnograficzne i faktograficzne, gdyż opowiada o autentycznych spotkaniach z kazachskimi muzykami lat 20-tych XX wieku. Oto fragment relacji jednego ze spotkań: „Кобеген Амангельдин, młody, dobroduszny chłopiec ze stepu, atletycznej budowy ciała, który przejechał do Orenburga przez Taszkient z dalekiego frontu [...], był tak porażony moją sztuką szybkiego wyławiania i zapisywania jego prostych piosenek (które mu w tym czasie dla sprawdzenia nuciłem), że próbował wynagrodzić mi to wielką garścią... świeżych jaj (drogocenny podarek w tym okresie głodu – sierpień 1921 roku), przywiezionych z Taszkientu. Tylko z wielkim trudem i ostrożnością, żeby nie obrazić tego dobrodusznego człowieka, udało mi się odmówić przyjęcia tego szczodrego i kruchego daru i wyjaśnić mu, że nie on mi, a ja jemu powinienem dziękować za jego uczynność i zainteresowanie okazane mojej pracy” (s. 373).

Autorka ostatniej części książki, W. Diernowa, opisała w sposób wyczerpujący warunki oraz okoliczności, w jakich A. Zatajewicz pracował nad „największym dziełem swojego życia”, jak je sam określił. W okresie rewolucji zaczęli przybywać do tego kraju ludzie z różnych zakątków, a wśród nich znajdowali się wielbiciele tradycyjnej muzyki tego regionu, którzy chętnie dzielili się z badaczem swoją wiedzą. Wiele z tych pieśni kompozytor opracowywał jako utwory fortepianowe, poświęcając je osobom którym zawdzięczał ich znajomość. Znaczący dorobek A. Zatajewicza zadziwia to, iż

ten europejski badacz potrafił przeniknąć samą istotę i najbardziej charakterystyczne cechy kazachskiej muzyki tradycyjnej.

Nawiązywał kontakty korespondencyjne z osobami, które dzieliły się z nim treścią znanych pieśni. „Energia i przedsiębiorczość A. Zatajewicza w poszukiwaniu nowych informatorów nie miały granic. W swoich wspomnieniach opowiada on jak, dowiedziawszy się o przyjeździe ludzi, prawdopodobnie znających pieśni, późno wieczorem, prawie nocą, udał się na peryferie Orenburga w poszukiwaniu jakiejś noclegowni, do której go w końcu nawet nie wpuszczono, ponieważ otwieranie zamkniętych na noc drzwi przed nieznanym przybyszem, wydało się gospodarzom niebezpiecznym.” (s. 484). Dodajmy tu zaraz, że i te trudności pokonywał z powodzeniem bowiem główna teza jego żmudnej kolekcjonerskiej działalności mówiła że: „nosicielami twórczości narodowej są nie tylko znawcy i profesjonalści; ale także zwykli, niczym się nie wyróżniający ludzie mogą być nosicielami wysokiej, czystej i autentycznej twórczości.” (s. 490)

W grudniu 1922 roku na posiedzeniu Towarzystwa Badań nad Krajem Kirgiskim nadano A. Zatajewiczowi tytuł artysty narodowego Kazachstanu za wielkie zasługi w zbieraniu folkloru stanowiącego żywą tradycję kazachskiego narodu. Wspomniana już autorka komentarza do omawianej tu książki W. Diernowa autorka komentarza do prezentowanej tu książki stwierdziła, iż jest to „jeden z najbardziej znaczących i ważnych dokumentów historycznych pierwszych lat istnienia Kazachskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.[...]. Zbiór ten jest pamiętnikiem epoki” (s. 495). Dodała również, iż była to pierwsza książka dotycząca kazachskiego folkloru. A to bardzo cenna wartość nie tylko merytoryczna. Książka stanowi niewątpliwie świadectwo zdolności A. Zatajewicza, któremu udało się sprostać wymogom naukowej rzetelności, a także jego pasji dzięki której wpisał się on w dzieje wkładu Polaków w poznanie Kazachstanu.

*Anna Mrozowicka*

- ***Z dziejów Polaków w Kazachstanie 1936-1956. Zbiór dokumentów z Archiwum Prezydenta Republiki Kazachstanu, Warszawa 2006, s. 302.***

Badaczom dziejów Polaków w Kazachstanie książka ta znana była wcześniej w wersji rosyjskiej pt. *Iz istorii poljakow w Kazachstanie (1936-1956 g.g., Zbornik dokumentow. Archiw Priezidenta Respubliki Kazachstan*, wydanej w Ałmaty w roku 2000. Za dobór materiałów, do tej ze wszech miar interesującej publikacji źródłowej, odpowiedzialna była Elena M. Gribanowa, ona też została laureatką wyróżnienia zagranicznego przyznanego corocznie przez prestiżowe czasopismo ukazujące się w Warszawie pod nazwą „Przegląd Wschodni”. Autorem laudacji E. M. Gribanowej był wówczas historyk z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, profesor Stanisław Alexandrowicz, zesłany do Kazachstanu w okresie drugiej wojny światowej (tekst laudacji drukowany jest w tomie VIII, zeszyt 3 (31), s. 584-594 „Przeglądu Wschodniego”).

Podkreślając walory merytoryczne książki nie pominął on pewnych osobistych wątków dotyczących życia na zesłaniu, a także tego czego doświadczali inni jego rodacy deportowani do Kazachstanu. Napisał więc w laudacji: „Z lektury wielu relacji i wspomnień własnych wiem, że nikt z polskich zesłańców nie

wspominał źle o rdzennych mieszkańcach tej ziemi – Kazachach; w pamięci ludzkiej pozostało wiele przypadków okazywanej przez nich życzliwości i pomocy. A przecież sami żyli w skrajnej nędzy. Kilka lat zaś wcześniej padli ofiarą ludobójczej polityki sowieckiej, kiedy to w trakcie stopniowej przebudowy gospodarki i kolektywizacji, najpierw terror NKWD, a następnie zorganizowana klęska głodu przyniosła zagładę ponad trzeciej części populacji narodu.”

To fakt, w polskiej literaturze wspomnieniowej dotyczącej pobytu w Kazachstanie podczas drugiej wojny światowej oraz w pierwszych miesiącach po jej zakończeniu mamy wiele opisów dotyczących pomocy jaką otrzymywali polscy zesłańcy od autochtonicznej ludności. To, co czytelnik tych relacji otrzymuje w skondensowanej postaci w literaturze wspomnieniowej, znajduje uwierzytelnienie w wielu rozmowach jakie dano mi było prowadzić na ten temat z sybirakami. Fakty podawane przez nich po wielokroć potwierdzają to co słusznie podkreślił w laudacji S. Alexandrowicz. Wspomnę tu mniej znane, podobne relacje polsko-kazachskie z okresu lat trzydziestych XX stulecia kiedy z tzw. zazbruczańskich terenów (rejon Żytomierza, Winnicy) deportowano do Kazachstanu wiele tysięcy Polaków, którzy po traktacie ryskim w 1921 roku zostali mieszkańcami sowieckiej Ukrainy i stali się ofiarami bezwzględnej polityki narodowościowej Związku Radzieckiego. Miałem okazję we wsiach w rejonie Ałmaty rozmawiać z tymi, starszymi już dzisiaj mieszkańcami Kazachstanu i wszyscy oni podkreślali życzliwość ze strony kazachskiego ludu, który sam żyjący w biedzie przyjął ich do swoich bezokiennych, mizernych i zakopconych jurt lub pod dach innych ubogich domów. Nieuczciwością byłoby więc o tym nie wspomnieć. To zasługuje nie tylko na pochwałę, ale i na uchronienie od zapomnienia, bowiem w urzędowych dokumentach zawartych w omawianej tu książce tego nie znajdziemy.

Przejdźmy więc do zaprezentowania treści omawianej książki, wydanej po polsku z okazji 70. rocznicy deportacji Polaków z Ukrainy do Kazachstanu. Poprzedzona ona została tekstami Marszałka Senatu Rzeczypospolitej Polskiej Bogdana Borusewicza oraz Ambasadora Nadzwyczajnego i Pełnomocnego Republiki Kazachstanu w Rzeczypospolitej Polskiej Aleksieja Wołkowa, co jest wymownym przykładem dialogu jaki istnieje między Polską a Kazachstanem w przedmiocie losów polskiej diaspory w tym kraju. W „Przedmowie do wydania źródłowego” (s. 7-14), jej autorka A. S. Zułkaszewa zaznaczyła, że książka zawiera dokumenty ukazujące etapy przybywania i pobytu Polaków w Kazachstanie w latach 1936-1956 oraz przyczyny i historyczne powody ich deportacji, będące elementem sowieckich represji. Pokrótce też omówiła je, podkreślając znaczenie i autentyczną przydatność zawartych w książce dokumentów nieodzownych do pełniejszego poznania tego zagadnienia, które czas nielitościwie omijał. Napomykając zaś o „Słowie od tłumacza i wydawców” (s. 14-16) omawiającym specyficzne kwestie przekładowe, jak np. nazewnictwo miejscowości czy nazwy instytucji rządowych, organizacji i organów władzy poczynić należy uwagę, iż w wielu miejscach tłumaczenie to zawiera błędy składniowe, niekonsekwencje nazewnicze, nieporadności stylistyczne itp.

Rozdział pierwszy książki zatytułowany „Radzieccy obywatele polskiej narodowości jako obiekt politycznych represji (1936-1956)” – s. 17-90, zawiera 49 dokumentów: pierwszy z datą 16 lutego 1936 roku dotyczy wdrożenia

„czynności dla zagospodarowania i urzędzenia przesiedlanych do Kazachstanu 15 tysięcy niemieckich i polskich gospodarstw kołchozowych”, ostatni zaś z dnia 2 lutego 1956 roku mówi „o zniesieniu rejestracji specjalnego osiedlenia Polaków, przesiedlonych do Kazachstanu w 1936 r.”, czyli zdjęcia z nich tzw. „komendanckiego czasu”, zabraniającego np. zmiany miejsca zamieszkania. Wynikało to z zamiarów władz ZSRR zwiększenia bez dodatkowych nakładów finansowych liczby pracujących na roli, zwłaszcza w regionach rolniczych do których ludność ta mogła się teraz przesiedlić. Ogólna liczba byłych przesiedleńców z lat trzydziestych wynosiła ponad 50 tysięcy i była to w przeważającej części ludność zajmująca się rolnictwem

Pozostałe dokumenty zestawione w tym rozdziale są rozporządzeniami różnego szczebla władz i dotyczą spraw porządkowych, przedsięwzięć ograniczających ucieczki, pracy kulturalno-oświatowej, antyradzieckiej działalności przesiedleńców, opieki medycznej, wykluczenia z partii „wrogów ludu”, imiennych list przesiedleńców, charakterystyk osobowych itp. Są też w tym zespole źródłowym dwa pisma indywidualnych osób: jedno o udzielenie pomocy materialnej ze względu na biedę i głód, i drugie o przywrócenie praw obywatelskich. Szkoda, że nie zamieszczono w tym zbiorze informacji jak te dwie sprawy zostały załatwione!

Podobny charakter mają archiwalia zestawione w rozdziale II zatytułowanym „Polscy obywatele na terytorium Kazachstanu (1940-1947)” – s. 91-226, zawierającym 107 dokumentów. Podobnie jak poprzednie dotyczą one różnych spraw czasu i miejsca, np. pierwszy z nich dotyczy dyrektywy Północno-Kazachstańskiego Komitetu Obwodowego KP(b) z dnia 3 kwietnia 1940 roku, informującej, że zgodnie z rozporządzeniem rządu ZSRR w kwietniu i maju tego roku „w trybie specjalnego przesiedlenia z zachodnich obwodów Ukraińskiej i Białoruskiej SSR, zostanie skierowanych 28.000 osób – rodziny podlegających represjom byłych oficerów Armii Polskiej, policjantów, właścicieli ziemskich i kapitalistów, działaczy burżuazyjno-nacjonalistycznych partii, zawodowych prostytutek itd.

Przesiedleńcy nie otrzymują pomocy państwa [przy] zatrudnieniu i zostaną rozlokowani za własne środki w istniejących zamieszkałych miejscowościach, sowchozach i rzemieślniczych artelach.”

Zestawione w tej części pracy dokumenty od nr 50 do 157 dotyczą różnorodnych spraw ludności polskiej deportowanej w okresie wojny do Kazachstanu. Ukazują one rejony rozsiedlenia, szacunki liczbowe obywateli polskich w Kazachstanie, przed amnestią i po amnestii, w rezultacie paktu Sikorski-Majski oraz restrykcyjnych działań po zaostrzeniu się stosunków między rządami ZSRR i Polski po wyjściu do Iranu wojska polskiego pod dowództwem gen. Władysława Andersa. W każdym razie objaśnia to i pełniej dokumentuje szereg wątków z tego zakresu, podobnie jak i spraw, które miały miejsce po utworzeniu Związku Patriotów Polskich, z inicjatywy którego w 1944 roku część ludności polskiej przesiedlono z północnych rejonów Kazachstanu na Ukrainę.

I wreszcie w trzecim rozdziale zatytułowanym „Utworzenie polskich formacji wojskowych” – s. 227-254, zestawiono dokumenty (nr 159-181) związane z formowaniem się polskich jednostek wojskowych na terenie Kazachstanu podległych dowództwu generała W. Andersa, ewakuowanych we wrześniu

1942 roku do Iranu. Są tu też archiwalia dotyczące formowania dywizji piechoty im. Tadeusza Kościuszki, dowodzonej przez pułkownika Zygmunta Berlinga. Odnoszą się one do poboru uzupełniającego do riazańskiej szkoły piechoty, dane o przebiegu poboru do wojska, dyrektywy zorganizowania pomocy materialnej dla rodzin, których członkowie znaleźli się w dywizji kościuszkowskiej, wytyczne w sprawie nauki w szkołach i inne.

Kończąc trzeba też wspomnieć o rozdziale IV zatytułowanym „Wspomnienia” – s. 250-262, zawierającym 4 relacje przesiedleńców z 1936 roku mieszkających do dzisiaj w Kazachstanie. Nie znamy jednak okoliczności powstania tych relacji. Rodzi się więc pytanie czy powstały one dla potrzeb książki, czy są rezultatem jakichś zabiegów dokumentacyjnych prowadzonych przez archiwa, placówki naukowe itp.?

Relacje te uzupełniają zawarte w książce dokumenty oraz ukazują jednostkowe losy ludzi i ich życie w Kazachstanie. Niewątpliwie pozwala to dostrzec wiele sekwencji, które były zmaganiem z trudnym życiem, ale też i normalnych ludzkich odruchów, które czyniły je łatwiejszym. Jest to już kwestia psychologizacji tych realiów, zresztą nie odosobnionych w literaturze wspomnieniowej związanej z życiem na zesłaniu. W tym kontekście warto zwrócić uwagę na pewien deficytowy w zesłańskich wspomnieniach problem, który w socjologii nazywany jest relacją „swój-obcy”. A przecież, kto inny, jak nie zesłańcy postrzegali i doświadczali najbardziej ten problem będący rzeczywistością społeczną tamtych czasów pogardy. Mówiąc w skrócie, chodzi o to aby odkrywać te rzeczywistości, opisywać je i analizować. Na przekór różnym restrykcyjnym zarządzeniom sowieckich władz prości ludzie „tamtejsi i przybysze” wspomagali się wzajemnie. Ale to już pozostaje poza sferą prezentacji omawianej tu książki. Generalnie jest ona wartościowym kompendium źródłowym i nie należy mieć pretensji do kazachstańskich badaczy, że dokonali takiego, a nie innego doboru źródeł. Uważny jednak recenzent zajmujący się kwestią polskich zesłań do Kazachstanu w latach 1936-1941 znajdzie w książce wiele wątpliwych konstatacji i należy mieć nadzieję, że odpowiednio je skomentuje. Tutaj natomiast ograniczyliśmy się do informacyjnego omówienia tej książki, a prezentowany tekst nie rości sobie miana naukowej recenzji.

*Bronisław Przesmycki*

- **Adolf Januskiewicz. Listy z Syberii. Wybór, opracowanie i przypisy Halina Gerber. Przedmowa Janusz Odrowąż-Pieniążek, Warszawa 2003, s. 436.**

„Adolf Januskiewicz (1803-1857), pierwowzór Adolfa z III części *Dziadów*, był przyjacielem Adama Mickiewicza. Brat Eustachego, słynnego księgarza paryskiego, uczestnik powstania listopadowego, wzięty do niewoli rosyjskiej, spędził 24 lata na zesłaniu w Syberii Zachodniej. Wydane po raz pierwszy z rękopisów jego listy do rodziny i przyjaciół ukazują z jednej strony realia syberyjskiego życia autora i innych polskich zesłańców pierwszej połowy XIX wieku, z drugiej zaś zarysowują osobowość Adolfa Januskiewicza w świetle wypowiedzianych przezeń refleksji, jego przemyśleń i zainteresowań intelektual-



nych” – taką informacją opatrzył wydawca czwartą stroną okładki omawianej tu książki. Już na wstępie należy podkreślić wielki trud autorki tego opracowania Haliny Geber, sama bowiem wiem jak pracochłonne jest odczytywanie starych manuskryptów, a właśnie to tej kategorii źródeł należy rękopiśmienna spuścizna korespondencji Adolfa Januszkiewicza. To pierwsze podkreślenie zasług autorki w opracowaniu tej książki, drugie to opatrzenie jej wielką ilością komentarzy i przypisów, co było też nie lada problemem wymagającym „przekopania” się przez liczne rodzaje źródeł, wydobyte z których informacje dopełniają wartość omawianej edycji. A praca ta wymagała uciążliwej identyfikacji wielu nazwisk, by czytelnik wiedział „kto jest kto”, tłumaczenia kirgiskich i rosyjskich zwrotów, podawania przypisów bibliograficznych obejmujących prace polskich i zagranicznych autorów, wertowania słowników biograficznych, wspomnień zesłańców itp.

Podstawę omawianej książki stanowi dziewiętnastowieczna edycja zatytułowana *Żywot Adolfa Januszkiewicza i jego Listy ze stepów kirgiskich*, opracowana przez uniwersyteckiego kolegę autora Feliksa Wrotnowskiego i wydana dwukrotnie, po raz pierwszy w Paryżu (1861) i po raz drugi w Berlinie (1875). Są też w edycji przygotowanej przez H. Geber wcześniej nie publikowane listy Adolfa znajdujące się w zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu oraz w Bibliotece im. Zielińskich w Płocku oraz włączone do aneksu teksty przyjaciół i rodziny Adolfa dopełniające informacje zawarte w listach autora. Te wszystkie założenia edycyjne znajdzie czytelnik w skrupulatnej *Nocie wydawniczej* (s.45-50). Tak więc uciążliwemu „odkurzaniu” listów A. Januszkiewicza towarzyszyła sumienna praca, przeto książkę wyróżnia porządek i ład dokumentacyjny, do czego bez wątpienia potrzebny był upór autorki przy zajmowaniu się tak trudną pracą wydawniczą. Myślę też, że autorka związana była uczuciowo z wykonywaną pracą oraz świadomym realizowaniem zamiaru afirmacji zapomnianej dzisiaj postaci Adolfa z III części *Dziadów*, przyjaciela Adama Mickiewicza.

Przedmowę do książki zatytułowaną *Mickiewiczowski Adolf* (s. 5-44) napisał Janusz Odrowąż-Pieniążek, najlepszy dzisiaj znawca postaci Adolfa Januszkiewicza. Za tekst ten należy się jemu szczególna wdzięczność, bo oto raz jeszcze ukazał nam w mistrzowskiej formie postać autora listów, syberyjskiego zesłańca i piewcy kazachskich stepów. Znamienne iż w potocznej narracji autora nie zagubiły się przywoływane raz po raz szczegóły dotyczące życia autora listów, i to zarówno tego przed zesłaniem, jak i na zesłaniu. Jako sumienny badacz nie omieszkął też przywołać polskie piśmiennictwo dotyczące „Mickiewiczowskiego Adolfa”, jak również trud badawczy Fainy Stieklowej (1910-1980), docenta Uniwersytetu Ałmatyńskiego, która poświęciła A. Januszkiewiczowi wiele prac dzięki czemu jego postać spopularyzowana została w Kazachstanie. Wspominał też o wizycie w Warszawie kazachskiego pisarza Utegena Kumiżbajewa, który przygotowywał powieść o tym piewcy kazachskich stepów i ich autochtonicznych mieszkańcach, a także i o tym, że w Ałmaty jest ulica nazwana jego imieniem. Dodajmy tu zaraz, że powieść ta ukazała się w języku kazachskim pt. *Polsza perzenti*, Ałmaty 1997. Oczywiście nie na tych tylko nazwiskach opiera się współczesna wiedza części społeczeństwa kazachskiego o naszym rodaku, który opisał ich życie i kulturę, a przed paroma laty zamierzano nawet wznieść mu pomnik w Ałmaty. Mam nadzieję, że pomysł ten, troskliwie

kiedyś wspierany przez Marka Gawęckiego ambasadora RP w Republice Kazachstanu, doczeka się realizacji.

Po tych dygresjach powróćmy jednak do poprzedzającego książkę tekstu J. Odrowąż-Pieniążka, zatytułowanego *Mickiewiczowski Adolf*. Autor podzielił go na sześć części: *Student, poeta, deputat* (s. 5-13); *Podróż w kręgu Adama* (s. 13-18); *Powstanie w kręgu Juliusza* (s. 18-22); *Zesłaniec, poeta, tłumacz* (s. 22-27); *Wśród „kochanych Kirgizów”* (s. 28-39) i *Ostatnie lata życia* (s. 39-44). Zapoznając się z treścią tych „rozdziałów” poznajemy życiowe drogi bohatera książki i mamy do czynienia z ogromnym poszerzeniem wiedzy z zakresu tej problematyki. Motywy biograficzne, wątki rodzinne, zesłańcze wspominki, upadki i nadzieje, to wielość elementów losu pojedynczego człowieka, jego zesłańczego nieszczęścia i dostrzeganego przez niego nieszczęścia „kochanych Kirgizów”. Przynoszą one wiele nowego materiału, ukazanego w szerokim kontekście spraw miejsca i czasu oraz ząbających się różnych wątków. W sumie wartościowa to opowieść, rzec można szczegółowy konspekt do książki biograficznej o Adolfie Januszkiewiczu. Kto ją napisze?

Zasadniczą treść książki tworzą listy A. Januszkiewicza do różnych osób, przede wszystkim z kręgu rodziny o czym informuje dokładnie nota wydawnicza. Ich tematyka jest różnorodna i można powiedzieć, że wzbogacają rysunek postaci autora, nade wszystko zaś wnoszą one nowe wątki do naszej wiedzy o jego podróżach po stepach, o pobycie w Iszymie i różnych okolicznościach im towarzyszących. Opisywał on sprawy, które się działy wokół niego i stosunek do otaczającej go rzeczywistości. Nieraz były to lakoniczne napomknięcia, kiedy indziej całe listy poświęcone są jakiejś konkretnej sytuacji, wydarzeniu itp. Zwłaszcza listy do matki przesyłane są informacjami o zesłańczym życiu i sprawami jakimi nasycił je czas i tęsknota. Tworzą one interesujący klimat tego zbioru, tak, że niepodobna o tym nie wspomnieć bowiem bez wątpienia jest to klucz do zrozumienia osobowości autora. Czyta się je szybko i z zainteresowaniem widząc silną więź porozumienia syna z matką. Życiowa prawda wypełnia je i działa na wyobraźnię czytelnika poznającego realne przeżycia Adolfa. Są więc one ważnym dokumentem o życiu autora i wydarzeniach mu towarzyszących, które odnajdujemy również w listach do brata. Taka to oto refleksja, jaka nasuwa się po lekturze tej części korespondencji.

Są też w książce listy do Gustawa Zielińskiego, przyjaciela i poety, również zesłańca. Pochodzą one ze zbiorów Biblioteki im. Zielińskich w Płocku gdzie znajdują się też inne jego papiery, które wykorzystala Anna Maria Stogowska w książce pt. *Wpisany w epokę. Gustaw Zieliński 1809-1881*, Płock 1996. Listy dotyczą różnych spraw, nieraz codziennych i zbyt prostych jakie niosło ze sobą życie nie pozbawione także gorzkiej egzystencjalnej codzienności. Niektóre z nich odnoszą się do poematu *Kirgiz*, który przyniósł sławę G. Zielińskiemu, ale też nie pozbawił go przykrych przyjacielskich uwag ze strony A. Januszkiewicza. Interesujące poznawczo są te fragmenty korespondencji, które dotyczą opisów podróży A. Januszkiewicza po stepach, pełne dygresji historycznych i kulturowych wypowiedzi. W aspekcie kulturowym listy te będą nadal występować jako ważny opis odnoszący się do kazachskich stepów oraz zwyczajów i obyczajów ich autochtonicznych mieszkańców.

Książka zawiera część aneksową, w której znalazły się materiały przedstawiające A. Januszkiewicza w oczach przyjaciół i rodziny oraz jego sprawozdania z podróży po Europie przed powstaniem listopadowym. Tak więc pod

---

względem merytorycznym i edycyjnym – indeksy nazwisk, bogate przypisy, ilustracje, książka nie przynosi ujmy ani autorce, ani wydawcy. Jest ciekawa!

*Joanna Maria Kuczyńska*

**INFORMACJA**  
**o nowej książce wydanej przez Zarząd Główny**  
**Polskiego Związku Filatelistów**

Zarząd Główny Polskiego Związku Filatelistów wydał książkę z dziedziny filatelistyki, a właściwie z pogranicza historii i filatelistyki. Książka zatytułowana *Z Syberii do niepodległej Polski 1914-1921. Wybór dokumentów wojskowych i pocztowych*, Warszawa 2007, autorstwa Jerzego Gruszczyńskiego stanowi kontynuację i rozszerzenie tej problematyki przedstawionej w publikacji tego autora zatytułowanej *Polacy i Wojsko Polskie w Północnej Rosji i na Syberii w latach I Wojny Światowej (1914-1918 oraz wojny polsko-sowieckiej (1919-1920))*, Warszawa 1999. Jej autor w ciągu ostatnich lat, w oparciu o najnowsze badania historyków dokonał ponownego wyboru dokumentów wojskowych i pocztowych, zweryfikował i uściślił szereg podanych wcześniej faktów historycznych i filatelistycznych, a także wprowadził nowe istotne uzupełnienia. Zakres opracowania uzupełniony został o udział Polaków w wojnie rosyjsko-japońskiej, w Legionie Polskim w Finlandii oraz w IV Dywizji Strzelców Polskich na Kubaniu.

Obecnie na 245 stronach przedstawionych zostało ponad 400 ilustracji, często unikatowych całości filatelistycznych oraz fotografii, kart pocztowych i stempli szczegółowo omawianych w książce, dokumentującym drogę z Syberii do niepodległej Polski.

Dodatkowym źródłem wiedzy z tego zakresu jest 8 kolorowych map formatu A 3 załączonych do książki w specjalnej obwolucie przedstawiających między innymi działania bojowe Samodzielnego Oddziału Polskiego w Murmanie i V Dywizji Strzelców Polskich (Syberyjskiej), a także udziału byłych formacji syberyjskich w wojnie polsko-sowieckiej w latach 1919-1920.

Całość uzupełnia wykaz podający źródła i bibliografię historyczną oraz filatelistyczną wykorzystaną przez autora.

Cena książki: 75 złotych + porto.

Zainteresowani nabyciem tej interesującej publikacji mogą kierować zamówienia na adres:

Jerzy Gruszczyński  
ul. Starej Baśni 12 m. 28  
01-853 Warszawa

lub

Zarząd Główny  
Polskiego Związku Filatelistów  
Aleja 3-go Maja 12  
00-391 Warszawa